

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ SERII DIMILY

# ESTELLE MASKAME



Feeria  
young

OPOWIEŚĆ TYLERA



*Nawet o tym nie wspominaaj*

Nawet o tym  
nie wspominaj



ESTELLE MASKAME

PRZEKŁAD:  
ANNA DOBRZAŃSKA

Feeria  
young

## **Spis treści**

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33 34  
35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 Podziękowania  
Wiem, że nie mogę powiedzieć nikomu. Nigdy

Tytuł oryginału: *Just Don't Mention It*

Przekład: Anna Dobrzańska  
Opieka redakcyjna: Maria Zalas  
Redakcja: Elżbieta Meisner/Agencja Wydawnicza Synergy  
Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Zdjęcia na okładce: © mevans/iStock, Tuzemka/Shutterstock,  
Anastasiya Domnitch/Shutterstock, © Cameron Mead Photo/Shutterstock,  
© Lopolo/Shutterstock, © Elenamiv/Shutterstock

Copyright © Estelle Maskame 2018  
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-806-5  
Wydanie I, Łódź 2018

**Wydawnictwo JK**  
Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,  
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 [www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Dla moich niesamowitych czytelniczek;  
ta historia jest dla Was



# 1

## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Nadgarstek mam sztywny. Przeczesuję dłonią włosy, wciąż wilgotne i potargane po tym, jak przez ostatnie pół godziny leżałem w wannie, od czasu do czasu zanurzając głowę pod wodę i licząc, na jak długo potrafię wstrzymać oddech. Mój rekord to dziewięćdziesiąt trzy sekundy; szkoda, że nie dłużej.

Siadam na skraju wanny i sięgam po leżące obok umywalki środki przeciwbólowe. Zostało mi już tylko kilka tabletek, mam nadzieję, że mama niedługo uzupełni zapasy. Wyłuskuję na dłoń dwie tabletki, zaciskam palce i pochylam się, żeby nalać wody do szklanki. Połykam tabletki jedną za drugą, a resztę wody wylewam do umywalki.

Zerkam na swoje ramię. Skóra na łopacie jest otarta, ale krwawienie ustało. Pod świeżym rozcięciem ciemnieje fioletowoniebieski siniak. Kiedy go dotykam, szczypie, a głęboko pod skórą czuję ból. Mógłbym wziąć z kuchni trochę lodu, ale żeby to zrobić, musiałbym przejść obok pokoju gościnnego, a ostatnie, czego chcę, to zwracać na siebie uwagę. Jest po jedenastej. Powinienem już spać. Jutro rano mam szkołę.

Wstaję i chowam pozostałe tabletki do szafki nad umywalką, na samym końcu drugiej półki od góry, bo wyżej nie sięgam. Już wiem, że jutro będę ich potrzebował. Kiedy zamykam drzwi szafki, napotykam w lustrze własne puste spojrzenie i dopiero teraz dostrzegam niewielkie rozcięcie na górnej wardze. Pochylam się do przodu, ściskam wargę między kciukiem a palcem wskazującym i przyglądam się jej z uwagą. Nie pamiętam, kiedy to się stało, ale ranka nie jest świeża, więc wiem, że to nie pamiątka z dzisiejszego wieczoru.

Kręcę głowę i odsuwam się od lustra. Czas nie ma tu znaczenia, bo gdy tylko rana się zablizni, w jej miejsce pojawi się kolejna. Będzie więcej krwi i nowe siniaki.

Wciąż patrzę na swoje odbicie, oczy mam zapadnięte i bez życia, ramiona przygarbione, a usta wiecznie skrzywione. Przykładam dłoń do czoła i odgarniam włosy, by się przyjrzeć głębokiemu rozcięciu, które biegnie równoległe do linii włosów. Słabo się goi i zaczynam się bać, że zostanie mi po nim blizna. Pospiesznie przykrywam je włosami i odwracam się od lustra.

Sięgam po koszulkę i wkładam ją. Muszę zakryć wciąż jeszcze widoczne w dolnej części pleców brązowawe sińce: hodzenie bez koszulki nie wchodzi w grę. Zawsze są jakieś nowe ślady, które muszę ukrywać przed światem. Zakładam bokserki, ciskam ręcznik do pustej już wanny, ostatni raz spoglądam na siebie w lustrze i wychodzę z łazienki. Niczego nie widać, mogę iść.

Ostrożnie i najciszej, jak się da, uchylam drzwi i wyślizguję się na korytarz. Jest ciemno, bo światła są pogaszone. Słyszę dobiegający z pokoju gościnnego dźwięk telewizora i śmiech rodziców, którzy razem oglądają jakiś program. Na palcach idę w stronę schodów, zauważam jednak, że drzwi do salonu są uchylone i zamiast wejść na górę, podkradam się i zerkam do środka.

Rodzice siedzą przytuleni na kanapie. On trzyma ją w ramionach i opiera brodę o czubek jej głowy. Mama się śmieje, ale wciąż wydaje się zmęczona. Wróciła z biura ledwie godzinę

temu, akurat kiedy wchodziłem do łazienki, żeby się wykąpać.

Odsuwam się od drzwi, obracam się na pięcie i najszybciej, jak mogę, biegnę na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Miękki chodnik tłumi moje kroki. Drzwi do mojego pokoju są otwarte na oścież, światło nadal się pali, jednak na chwilę przystaję, żeby zajrzeć do sąsiedniego pokoju po prawej stronie, który należy do moich braci.

Zaglądam do środka, mrużąc oczy, i czekam, aż wzrok przyzwyczai się do półmroku. W łóżku po lewej stronie śpi mój najmłodszy braciszek Chase. Leży na brzuchu, z twarzą wciśniętą w poduszkę i jedną nogą zwisającą poza krawędź materaca. Na prawo, w drugim końcu pokoju, pochrapuje cicho Jamie. Na czole ma świeżego guza – pamiątkę po tym, jak jakiś czwartoklasista z drużyny baseballowej przypadkiem uderzył go piłką w głowę.

Chciałbym, żeby moje sińce też były dziełem przypadku.

Wychodzę z pokoju i przysmykam drzwi. Chase wciąż się boi ciemności i woli, żeby były otwarte, zostawiam więc niewielką szczelinę i idę do swojego pokoju.

Wygląda dokładnie tak, jak go zostawiłem. Na podłodze leży praca domowa z matematyki – bezwartościowe skrawki papieru, nie dość dobre, by je oddać przed końcem przyszłego tygodnia. Jedna z kartek została porwana na trzy nierówne kawałki. To ta z równaniem, które tak kiepsko mi poszło. Ale jeden błąd to najwyraźniej o jeden błąd za dużo, nawet jeśli to tylko algebra na poziomie siódmej klasy. Jutro muszę je poprawić i modlić się, żeby w końcu wszystko było tak, jak tego ode mnie oczekuje.

Zbieram papiery i wrzucam je do plecaka, gaszę światło i kładę się do łóżka. Tyle, że sprawia mi to ból. Krzywię się więc, wypuszczam powietrze i przewracam się na prawy bok. Podciągam kołdrę pod brodę i leżę w ciemności, w nieskończoność gapiąc się w ścianę. Potrzebuję dużo czasu, żeby zasnąć.

Wyciągam lewą rękę i trzymam ją w górze. Rozluźniam palce i trzy razy wykonuję okrężne ruchy nadgarstkiem. Powinienem to robić kilka razy w ciągu dnia, ale wciąż zapominam. Nadgarstek jest sztywny po tym, jak przez cztery tygodnie miałem go w gipsie. Może minąć jeszcze kilka tygodni, zanim złamanie w pełni się zrośnie.

Słyszac kroki na schodach, pospiesznie opuszczam rękę, zaciskam powieki i udaję, że śpię. Robię tak często i całkiem nieźle mi to wychodzi. Rozchyłam nawet usta i nieco głębiej oddycham.

Drzwi do pokoju otwierają się i mija kilka sekund, zanim wchodzi do środka. Wiem, że to on. To zawsze jest on.

Drzwi zamykają się za nim z cichym szcęknięciem. Przez chwilę słyszę wyłącznie jego oddech, a zaraz potem wyczuwam, jak zaczyna chodzić po pokoju. Nie wiem, co robi, i choć korci mnie, żeby się odwrócić i otworzyć oczy, wolę nie ryzykować i leżę bez ruchu.

Słyszę, jak szuka czegoś po omacku i wydaje mi się, że przetrząsa mój plecak, bo gdzieś w pokoju szeleści papier, a po tym, co wydarzyło się wczesnym wieczorem, całkiem prawdopodobne, że chodzi mu o moją pracę domową. Znowu cisza. A zaraz potem szelest i przeciągłe westchnienie, które brzmi niemal jak jęk.

I nagle w ciszy rozbrzmiewa jego głos.

– Przepraszam, Tyler – mruczy szeptem.

Nie wiem, czy wie, że nie śpię, wiem jednak, że często przeprasza. Wiem również, że nie są to szczerze przeprosiny. Gdyby tak było, nie powtarzałby ich każdego dnia. Boję się, że już zawsze będzie miał mnie za co przepraszać.

Nie ruszam się, bo im szybciej przekonam go, że śpię, tym szybciej wyjdzie. Chyba daje się nabrać, bo nie dodaje już nic więcej. Stoi bez ruchu i nie wiem nawet, w której części pokoju się znajduje.

Mijają kolejne minuty, podczas których nic się nie dzieje; skupiam się na oddechu i modłę się, żeby w końcu sobie poszedł. Wreszcie słyszę kroki, potem szcęk otwieranych drzwi i na chwilę znów zapada cisza. Znowu wzdycha i mam wrażenie, że jest zły, nie wiem tylko – na mnie czy na siebie. Raczej na mnie. Jak zwykle.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Oddycham z ulgą i otwieram oczy. Przynajmniej wiem, że na dziś to wszystko. W końcu mogę zasnąć, tyle że to niemożliwe, bo od miesiący nie przespałem całej nocy. Za kilka godzin się obudzę, będę się gapił w sufit, po czym znowu zasnę i znów się obudzę.

I choć nie sypiam dobrze, noc to zawsze najprzyjemniejsza część mojej doby. To czas, kiedy wiem, że przez kolejne siedem godzin jestem bezpieczny. Lubię to uczucie, ale nienawidzę świadomości, że jutro znów wszystko zacznie się od nowa.

Jutro będę musiał iść do szkoły i udawać przed wszystkimi, że nic się nie stało.

Jutro będę musiał dokładać wszelkich starań, żeby ukryć przed mamą świeże ślady.

Jutro na moim ciele pojawią się nowe siniaki i otarcia.

A wszystko to przez mojego ojca.





## 2

### DZIŚ

Ktoś majstrował przy moim piwie. Nie smakuje tak samo jak dziesięć minut temu. Zamykam oko, przechylam butelkę i zaglądam do środka, próbując zgadnąć, czy ktoś nie dołął mi czegoś, kiedy nie patrzyłem. Czuję mocny zapach rumu. Zerkam w stronę kuchni. Jake stoi odwrócony do mnie plecami i pochylając się nad blatem, z wprawą wytrawnego barmana miesza rozmaite drinki. Jak ja, kurwa, nienawidzę tego gościa.

– Co jest?

Opuszczam wzrok i spoglądam na Tiffani. Przez ostatnie pięć minut leżała na mnie, rozwalona, z długimi gołymi nogami zginającymi się na moim kolanie i głową opartą o mój biceps. Leniwie zataczała palcami kręgi na mojej piersi; właśnie sobie uświadamiam, że przestała. Zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć. Jej błyszczące niebieskie oczy przyglądają mi się z uwagą spod firanek gęstych rzęs, których wczoraj jeszcze nie miała.

– Jake myśli, że jest zabawny, kiedy dolewa mi rumu do piwa – mówię, a zaraz potem zaciskam usta i odstawiam butelkę na stojący przy kanapie niski stolik. – Chodź tu – mruczę. Uwalniam rękę, na której leży, otaczam ją ramieniem i przyciągam do siebie. Tiffani przytula głowę do mojej piersi i choć wiem, że pozostawi na mojej koszulce pięć warstw makijażu, nie obchodzi mnie to, bo omiatam wzrokiem jej nogi. Wolną rękę kładę jej na kolanie i głaszczę gładką skórę na jej udach. Jej mała czarna jest zbyt krótka i zbyt obcisła, ale nie mam powodów do narzekania. – Kiedy wychodzimy?

– Myślałam, że około jedenastej – mówi, ale widzę, że jest rozkojarzona, bo nakrywa moją rękę swoją. Powoli przesuwając dłoń w górę uda i wsuwa ją sobie pod sukienkę. Czuję pod palcami koronkę jej bielizny, a gdy na nią patrzę, uśmiecha się znacząco i wyciąga szyję. Muska wargami moje ucho. – Zostaniesz dziś na noc? – mruczy. Kiedyś uwielbiałem, gdy zniżala głos do lekko schrypniętego szeptu; rok, dwa lata temu doprowadziłaby mnie tym do szaleństwa, ale teraz nie robi już na mnie wrażenia. Wiem, że próbuje zainteresować mnie obietnicą seksu.

Jednak dziś wieczorem jej sztuczka działa. Siadam i sadzam ją sobie na kolanach; jedną rękę kładę jej na biodrze, a drugą odgarniam jej jasne włosy, by przywrzeć ustami do jej szyi. Tiffani odchyła głowę i zatapia palce w moich włosach. Oczy ma zamknięte. Skubię zębami jej skórę, pozostawiając na niej znajomy ślad. Tiffani twierdzi, że nienawidzi malinek, ale nigdy nie próbuje mnie powstrzymać, mam więc na ten temat odmienne zdanie.

Nagle się odsuwa, zrywa na równe nogi i prostuje niczym struna. Przez muzykę, którą Jake puszcza przez głośniki w kuchni, nie słyszałem, że drzwi wejściowe się otworzyły. Ale Tiffani usłyszała, dlatego odstawia drinka na stolik i obciąga sukienkę, jakby chciała zmusić ją siłą woli, żeby nie była taka kusa. Ona jednak ledwie zakrywa jej tyłek.

– Mamo – rzuca, drepcząc bosą po twardej drewnianej podłodze. – Mówiłaś, że będziesz pracować do późna.

– Jest wpół do dziewiątej – mówi Jill. Tuli do piersi czarną teczkę i stukając obcasami,

wchodzi do kuchni. – Jest już późno. – Zaciska usta i z dezaprobatą rozgląda się dokoła. Patrzy na alkohol stojący na blacie, na Jake'a, który pochyła się, by ściszyć muzykę, a w końcu na Tiffani. – Nie mówiłaś, że zaprosisz przyjaciół.

Tiffani nadal obciąża sukienkę, bo o ile znam jej mamę, wiem, że nie będzie zadowolona.

– Bo myślałam, że wyjdziemy, zanim wrócisz – przyznaje i wzrusza ramionami. Splata ramiona na piersi, ale nietrudno zgadnąć, że to nieudolna próba ukrycia tego, jak wiele odsłania jej sukienka.

– A gdzie dokładnie zamierzaliście iść? – pyta Jill tym samym surowym tonem co zawsze. W ciągu trzech lat, odkąd spotykam się z Tiffani, nie pamiętam, żebym widział, jak jej matka się uśmiecha. Jest sukowata. Obie są sukowate.

– Jest melanż – rzuca Tiffani z nadąsaną miną. – Pomyślałam, że moglibyśmy posiedzieć tu przed wyjściem, no bo daj spokój, mam, kto przychodzi wcześniej na imprezy. To żenujące.

– Dobrze – mówi Jill, ale chłód w jej głosie jasno daje nam do zrozumienia, że wcale jej się nie podoba, że tu jesteśmy. – Ściszcie muzykę. Głowa mi pęka. – Na potwierdzenie tych słów masuje palcami skronie, odgarnia włosy na ramię, po czym odwraca się w stronę drzwi. Wychodząc, mruży oczy i spogląda na mnie z odrazą, a ja pozdrawiam ją machnięciem dłoni. Uśmiecham się tylko dlatego, że wiem, jak bardzo ją to wkurzy.

Chodzi o to, że matka Tiffani mnie nie lubi. Nigdy mnie nie lubiła, nawet wtedy, gdy Tiffani i ja byliśmy jedynie przyjaciółmi. Już wówczas nie chciała, żeby jej córka zadawała się z kimś takim jak ja. Uważała, że mam na nią zły wpływ i poniekąd miała rację. Z czasem jej niechęć do mnie zmieniła się w pogardę, której nawet nie stara się ukryć. Ale nie zależy mi na Tiffani, a tym bardziej na jej matce; wiem, że nasz związek zmierza donikąd i nawet nie próbuję przekonać do siebie jej rodziców.

Z chwilą gdy Jill wychodzi, Tiffani wyraźnie się odpręża.

– Czasami bywa koszmarna – rzuca. Przewraca oczami i każe Jake'owi pogłośnić muzykę, a sama dołącza do niego przy głośnikach. On jednak uważa, by nie grać tak głośno, jak do tej pory.

Wstaję z kanapy i podchodzę do nich. Krzątając się przy kuchennym blacie, rozmawiają o tym, które kawałki dodać do playlisty i czego się napić. Wciskam się między nich i obejmuję ją ramieniem, a gdy tuli się do mnie, widzę, że Jake obserwuje nas kątem oka. Jake Maxwell może mieć każdą, ale nie Tiffani. Myślę, że do końca życia będzie się wściekał, że trzy lata temu wybrała mnie, a nie jego. Czasami czuję satysfakcję na myśl o tym, że jestem z dziewczyną, za którą tak wielu dałoby się pokroić. Ale bywają chwile, że żałuję, iż Tiffani nie wybrała Jake'a. Wtedy urządziłaby piekło jemu, a nie mnie.

Wyciągam rękę i sięgam po kolejne piwo, na co Jake podnosi głowę i pyta:

– Coś nie tak z poprzednim?

Dupek uśmiecha się złośliwie i unosi brew, a ja kolejny raz myślę, że całe to *udawanie przyjaciół przed wszystkimi dokoła* to jeden wielki syf. Mam ochotę mu przywalić.

Posyłam mu wściekle spojrzenie. Zwykle nie potrzebuję słów, by dać komuś do zrozumienia, że lepiej ze mną nie zadzierać, ale Jake zdążył się do tego przyzwyczaić i zamiast się wycofać, rzy i podaje mi otwieracz. Poważnie, myślę, że wkurza mnie tylko dlatego, bo liczy, że kiedyś puszcza mi nerwy. Zupełnie jakby żył tylko po to, żeby wystawiać na próbę moją cierpliwość.

– Do cholery, co Dean i Megs robią na górze? – pyta jak gdyby nigdy nic i zerka na zegarek. Chwilę później podnosi wzrok i wskazuje drinka, którego przygotowywał pięć minut temu. – Zrobiłem koktajl egzotyczny i chcę, żeby Dean go spróbował.

Nachylam się i zaglądam do szklanki, ale jedyną egzotyczną rzeczą w tym drinku jest

jego kolor – ciemnozielony.

– Skoczę po nich – mówię.

Wypuszczam z objęć Tiffani, otwieram butelkę, pociągam łyk i kieruję się w stronę schodów. Idę powoli, trzymając butelkę czubkami palców, a drugą ręką przeczesuję włosy. Wkurza mnie, że nie jestem jeszcze pijany. Do wyjścia na imprezę zostało jeszcze kilka godzin, mam więc czas, żeby to zmienić. Nie potrafię imprezować na trzeźwo. Nigdy nie umiałem.

Drzwi do pokoju Tiffani są uchylone i widzę Meghan, która krąży nerwowo, jęcząc i przyciskając dłonie do twarzy. Dean patrzy na nią w milczeniu i drapie się po karku.

– Nie za długo tutaj siedzicie? – pytam. Otwieram drzwi i wchodzę do pokoju. Oboje patrzą na mnie. Meghan wygląda na zrozpaczoną, mam wrażenie, że mruczy coś przez zaciśnięte zęby, a zaraz potem rzuca się na łóżko Tiffani. Dopiero teraz zauważam, że sukienkę ma rozpiętą, a plecy nagie. Unoszę brew i zerkam na Deana. – Migdaliliście się?

– Bardzo śmieszne – rzuca Dean i wzdycha. Kręci głową i wskazuje Meghan. – Zamek się zaciął.

Meghan siada na łóżku i patrząc na mnie, mówi:

– Będę musiała pożyczyć coś od Tiffani.

Zupełnie jakby to była najgorsza rzecz na świecie. Wiem, że zabije mnie, jeśli teraz przewrócę oczami, ale trudno się opanować, kiedy siedzi tu i rozpacza nad cholerną kiecką. Po trzech latach bycia z Tiffani mogę powiedzieć, że jestem przyzwyczajony do ciągłych tragedii z garderobą.

– Chodź tu – mówię. Odstawiam piwo na toaletkę Tiffani, podchodzę do łóżka, biorę Meghan za ręce i pomagam jej wstać. Staję za nią i wodzę oczami po bladej skórze i zamku, który się zaciął tuż nad jej talią, zaczepiony o niebieski materiał. Jednym stanowczym szarpnięciem w dół rozpinam go do końca. Chwilę później bez trudu zapinam go z powrotem, na co Meghan oddycha z ulgą, odwraca się i nazywa mnie swoim wybawcą.

Zerkam na Deana, podczas gdy Meghan biegnie w podskokach na drugi koniec pokoju, żeby wziąć buty. Dean robi minę, upija łyk piwa i przewraca oczami, jak gdyby czekał, aż zacznę z niego kpić. Swoją drogą trudno tego nie robić.

– Daj spokój, stary – zaczynam. – Poważnie, mocowałeś się z tym?

Rozciągam usta w uśmiechu, podchodzę do niego i dwukrotnie szturcham go w biceps, jakby wcale go nie miał. Dean to fajny koleś, choć mógłby trochę zmęźnieć, bo czasami jest aż za miły.

– Pomyślałem, że zostawię to specjaliście. No wiesz, zważywszy na liczbę sukienek, które rozpiąłeś w całym swoim życiu – odgryza się. To lekka przesada, ale i tak się śmiejemy, a Dean podaje mi piwo. Stukamy się butelkami i pociągamy z gwinta.

Ocieram usta wierzchem dłoni i zerkam przez ramię na Meghan, która siedzi na skraju łóżka i wkłada szpilki.

– Gdzie Rachael? – pytam. Siedzimy tu od kilku godzin, a ja dopiero teraz zorientowałem się, że nigdzie jej nie widzę. Zwykle trzyma się z nami; pewnie do tej pory zdążyłaby się już upić, Dean pomagałby jej utrzymać się na nogach, a Jake, jak zwykle, by jej polewał. Rachael uważa mnie za palanta, dlatego nieszczególnie przejmuję się tym, że jej nie ma.

– Matka chciała, żeby coś tam zrobiła – tłumaczy Meghan. – Przyjdzie prosto na imprezę. Czy ktoś w ogóle pamięta, jak ma na imię panna, do której wbijamy? Lucy?

Ja też nie pamiętam, patrzę więc na Deana. On zna każdego, nieważne, czy skończył szkołę trzy lata temu, czy jest świeżakiem. Nie wiem nawet, po co zapamiętuje te wszystkie imiona.

– Tak, Lucy – przyznaje. – Chyba jest w przedostatniej klasie.

– Nie mam pojęcia – mruczę pod nosem. Kimkolwiek jest, wcale się nie dziwię, że nas zaprosiła. Cały czas jesteśmy zapraszani na imprezy do ludzi, których w ogóle nie znamy.

Ktoś staje w drzwiach i odchrząkuje, chcąc zwrócić na siebie naszą uwagę. Odwracamy się i widzimy Tiffani, która stoi oparta o futrynę. Uśmiecha się cierpko i nawija na palec wskazujący pukiel włosów. Patrzy na Deana i Meghan, ale nie na mnie.

– Jake przygotował dla was drinki – mówi powoli. – Powinniście zejść i ich spróbować – dodaje nieco bardziej stanowczo. Uśmiecha się trochę szerzej, odsłaniając zęby.

– Chcesz powiedzieć, że mamy się wynosić z twojego pokoju? – żartuje Dean, ale ma rację. Dokładnie to ma na myśli Tiffani, która w odpowiedzi na jego słowa łopocze swoimi absurdalnie długimi rzęsami. – Chodź, Megs – rzuca Dean. – Zostawmy dzieciaki same.

Bierze Meghan za rękę, pomaga jej wstać i podtrzymuje ją, bo ona chwieje się na obcasach. Wychodząc z pokoju, ogląda się przez ramię i patrzy na mnie porozumiewawczo, na co odpowiadam uśmiechem. W kwestii ukrywania emocji Tiffani nie jest zbyt subtelna. Zwykle są one widoczne jak na dłoni, tak jak teraz, gdy odprowadza wzrokiem Deana i Meghan, a zaraz potem zamyka drzwi i odwraca się w moją stronę. Jesteśmy sami.

– Nie mogłaś trochę poczekać? – droczę się z nią. Podnoszę butelkę do ust i opróżniam ją jednym łykiem. Pustą odstawiam na toaletkę i podchodząc do Tiffani, podwijam do łokci rękawy flanelowej koszuli. Wszystko wydaje się takie znajome, takie rutynowe. Moje dłonie same chwytają ją za biodra, a usta szukają jej twarzy. Przytłaczająca woń jej perfum niemal pozbawia mnie tchu.

Ale Tiffani z jakiegoś powodu nie odwzajemnia moich czułości, a kilka sekund później przykłada mi dłoń do piersi i delikatnie odpycha mnie od siebie. Patrzę na nią; usta mam rozchylone, a brwi uniesione, jak człowiek wprawiony w osłupienie. Tiffani *nigdy* mnie nie odrząca. Minę ma nagle bardziej skwaszoną niż jeszcze chwilę temu.

– Zostawiłeś na dole telefon – mówi i ostentacyjnie podnosi do góry komórkę.

Wiem, że to mój telefon, a mimo to poklepuję się po tylnej kieszeni dzinsów, która – jak się nietrudno domyślić – jest pusta. Wzruszam ramionami i sięgam po telefon, ale Tiffani cofa rękę. Wolno, ale stanowczo kręci głową, wzdycham więc i drapię się po czole. Wiem, że coś ją wkurzyło, tak jak wiem, że do końca wieczoru nie da mi spokoju, jeśli jej tego nie wynagrodzę.

– Czytałam twoją rozmowę z Declanem – stwierdza po chwili.

*To o to chodzi*, myślę.

– I? – Nie rozumiem, w czym problem. Umówiłem się z nim, że później podrzuci mi kilka skrętów, ale to przecież nic nowego. Tiffani jest do tego przyzwyczajona, nie powinno jej dziwić, że o tym piszę, zwłaszcza z Declanem Portwoodem. Wszyscy go znają. Ci, którzy lubią dobry towar, są jego najlepszymi kumplami. Pozostali go nienawidzą.

Tiffani podchodzi bliżej. Odchyła nieco głowę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Czytałam *wszystkie* twoje rozmowy z Declanem – uściśla.

Teraz już wiem, co dokładnie ma na myśli. Zamieram i próbuję na poczekaniu wymyślić coś, co tłumaczyłoby moje wiadomości, ale w głowie mam pustkę i stoję przed nią jak pieprzony jeleń, schwytyany w światła reflektorów.

– To jakiś żart, prawda? – Teraz mówi nieco łagodniej. Jej wąskie ramiona lekko opadają. – To nie może być prawda. Dobrze wiesz, że toleruję różne twoje kretynstwa, ale przysięgam na Boga, Tyler, tego nie zniosę. Posuwasz się za daleko. Nie chcę być laską, której chłopak skończył w więzieniu. Wiesz w ogóle, jak by to wyglądało?

Zaciskam usta, nadal nie wiem, jak poradzić sobie z tą nagłą konfrontacją. Z czasem nauczyłem się, że lepiej nie wyklócać się z Tiffani i jak najszybciej przyznać jej rację, żeby się zamknęła. Nauczyłem się też, że tak naprawdę gównem ją obchodzi, co robię; interesuje ją tylko

to, jak odbije się to na niej.

– Jeszcze nic nie zrobiłem – mrużę. – Zresztą to nic wielkiego. Tylko rozmawialiśmy.

– Ale po co? – Upiera się i rozkłada ręce, poirytowana moją nieumiejętnością podejmowania słusznych decyzji. – Po co w ogóle się nad tym zastanawiasz? Nie potrzebujesz kasy, co cię opętało, żeby zrobić coś tak cholernie głupiego?

Mogę tylko wzruszyć ramionami, bo sam nie znam odpowiedzi.

– A co mam do stracenia?

Tiffani patrzy na mnie jak na idiotę.

– *Wszystko?* – odpowiada pytaniem na pytanie. – Jeśli myślisz, że dilerka to dobry sposób na życie, to jesteś jeszcze głupszy, niż mi się zdawało.

Zamykam oczy, wypuszczam powietrze i staram się zachować spokój. Przesadza, ale dziś wieczorem wolę wyklócać się o swoje, niż przeprosić.

– To tylko zioło.

– Jasne. To samo mówiłeś, jak zaczynałeś palić i zobacz, jak to się skończyło. – Bierze mnie za rękę i wciska mi telefon w dłoń. – Zaczнеш od sprzedawania zioła dzieciakom, a skończysz, wciskając kokę takim luzerom jak ty. – Znowu kręci głową, tym razem ze zdenerwowania, po czym podnosi rękę i odwraca głowę. – Nie odzywaj się dziś do mnie. Brzydę się tobą, a jeśli zobaczę Declana, dam mu w pysk.

Zgrzytam zębami, ale się nie odzywam. Wiem, że cokolwiek bym powiedział, tylko pogorszyłbym sytuację. Jestem wściekły, ale muszę zachować spokój, inaczej wybuchnę. Wypity alkohol wcale nie ułatwia sprawy. Wręcz przeciwnie. Ale skupiam się na tym, żeby uspokoić oddech i w milczeniu patrzę, jak Tiffani się odwraca i idzie w stronę drzwi.

Cała ta rozmowa powinna się teraz zakończyć, przynajmniej na jakiś czas; za kilka godzin ochłonę i znowu zacznę wlać jej w tyłek, tymczasem ona robi coś niebywałego. Zatrzymuje się, odwraca i kolejny raz otwiera te swoje wieczne skrzywione usta.

– Wiesz, Tyler – mówi i uśmiecha się złośliwie – czasami myślę, że chcesz skończyć w pierdłu, zupełnie jak twój ojciec.

Resztką samokontroli, której chwyciłem się jak tonący brzytwy, pęka z trzaskiem. Nie wierzę, że to powiedziała. Zaciśkam pięści i czuję, że muszę dać upust wściekłości, która szaleje w mojej piersi niczym pożar. Chwytam pierwszą rzecz, która nawija mi się pod rękę – stojącą na toalecie pustą butelkę. Nie zdaję sobie sprawy, że cisnąłem nią przez pokój, dopóki nie roztrzaskuje się o ścianę, a okruchy szkła sypią się na podłogę. Oddycham zbyt ciężko, wzrok mam zbyt oszalały. Kiedy się zmuszam, żeby spojrzeć na Tiffani, widzę, że patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Wychodzę – warczę przez zaciśnięte zęby. Wsuwam telefon do kieszeni, z drugiej wyjmuję kluczyki od samochodu i mijając ją, idę w stronę drzwi.

– I dobrze! – woła za mną, wskazując leżące na dywanie kawałki szkła. – Jesteś skończonym kretynem.

Mógłbym wykrzyknąć jej w twarz dużo więcej gorszych rzeczy, ale wiem, że muszę się stąd wynieść, zanim do reszty mi odbije. Chciałbym lepiej panować nad wybuchami złości, ale nie potrafię. Tak mnie wychowano.

Gdy otwieram drzwi do pokoju Tiffani, słyszę dobiegającą z kuchni muzykę. Słyszę śmiech Meghan, ale nie jestem w nastroju, żeby do nich dołączyć. Zbiegam po schodach, chcąc jak najszybciej wynieść się z tego domu, byle dalej od Tiffani. Wbijam wzrok w drzwi i chociaż Dean mnie woła, nie odwracam się. Mijam ich, przechodzę przez próg i zatrzymuję za sobą drzwi.

Mój samochód stoi zaparkowany przy chodniku tuż przed domem i chociaż wypilem

kilka piw, chęć ucieczki bierze górę nad zdrowym rozsądkiem, który podpowiada mi, że to, co robię, jest niezgodne z prawem. W tej chwili mam to gdzieś.

Otwieram samochód, siadam na fotelu kierowcy i zamykając drzwi, jednocześnie szarpie się z pasem bezpieczeństwa. Silnik z rykiem budzi się do życia. Wciskam gaz i ruszam z piskiem opon. Przed sobą widzę znak STOP, ale nie zwalniam. Nigdy tego nie robię.



### 3

#### PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Rano siniak na łopatce wygląda jeszcze gorzej. Jest większy oraz bardziej bolesny i nawet teraz, kiedy siedzę przy kuchennym stole, zmuszając się do zjedzenia płatków śniadaniowych, muszę się starać, by zapomnieć o bólu.

Dochodzi siódma trzydzieści. Za dziesięć minut muszę wyjść do szkoły, ale nie mam ochoty. Mam dzisiaj wf i ostatnie, czego mi trzeba, to żeby ktoś w szatni zobaczył, w jakim stanie są moje plecy. Na samą myśl robi mi się niedobrze i wiem, że będę musiał zerwać się z lekcji, chociaż dość mam już problemów.

– Dalej śpisz? – droczy się ze mną mama. Dźwięk jej głosu wyrывa mnie z zamyślenia. Mrugam i podnoszę wzrok; ręka, w której trzymam łyżkę, zatrzymała się w połowie drogi do ust, jestem trochę oszołomiony. Mama stawia na stole kolejne talerze, ale uśmiecha się i nieznacznie unosi brew. Jest już gotowa do pracy; na nogach ma szpilki, żakiet wisi na drzwiach.

– Aha – kłamię. Wolną ręką przecieram oczy i wracam do jedzenia. Raz za razem podnoszę do ust łyżkę i w milczeniu siedzę przy stole. Lubię takie poranki, kiedy w kuchni jesteśmy tylko mama i ja, ale one nigdy nie trwają długo. Jamie i Chase zbiegną na dół, kiedy tylko mama krzyknie na nich, żeby się pospieszyli. Tak samo ojciec – zejdzie, jak tylko się ogoli i znajdzie krawat wśród rzeczy z pralni.

– Jakie masz dziś lekcje? – pyta mama. Rankiem zawsze ciągnie mnie za język, bo uważa, że do południa jestem zbyt zamknięty w sobie, podczas gdy ja tak naprawdę nie odzywam się, bo szukam powodów, żeby wciąż oddychać.

Kręcę głową.

– Fizyka, matma i wf.

– Hmm – mruży. Przestaje się krzątać i staje naprzeciw mnie w drugim końcu stołu. – A skoro mowa o wf-ie, wczoraj dostałam pismo od twojego nauczyciela. – Nagle patrzy na mnie surowym wzrokiem, jakby oczekiwała wyjaśnień, tyle że ja nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Siedzę bez ruchu i nerwowo splatam i rozplatom dłonie, a tymczasem ona odwraca się i wyjmuję z szuflady złożoną na pół kartkę. Rozkłada ją i odchrząkuje.

– *Jestem zaniepokojony licznymi nieobecnościami Tylera na moich zajęciach w ciągu ubiegłego miesiąca. Do tej pory przykładałem na nie oko, jeśli jednak sytuacja będzie się powtarzać, będę zmuszony poinformować o nich na piśmie dyrektora Castillo* – czyta i świdruje mnie wzrokiem znad kartki papieru. – O co chodzi? Myślałam, że lubisz wf.

– Bo lubię – odpowiadam pospiesznie, ale wiem, że będę musiał ją okłamać, odwracam więc wzrok. – To dziwne, ale zawsze przed wf-em jest mi niedobrze. Naprawdę niedobrze. Dlatego opuszczam zajęcia. Wychodzę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie wierzy mi, ale to jedyna sensowna wymówka, jaka przychodzi mi do głowy. Nie mogę powiedzieć jej prawdy: że zrywam się z lekcji, bo nie chcę przebierać się w szatni, że mam do ukrycia zbyt wiele sińców i że udział w jakiegokolwiek grze zespołowej sprawia mi ból.

– Może powinnam cię zabrać do doktora Colemana, skoro tak często jest ci niedobrze

– mówi. Opiera rękę na biodrze i patrzy na mnie z troską.

– Nie – protestuję i prostuję się na krześle. Serce wali mi jak szalone, w ustach mam sucho, kilka razy z trudem przełykam ślinę, zanim znowu mogę się odezwać. – To się więcej nie powtórzy. Przysięgam – mówię błagalnym głosem, ale naszą rozmowę przerywa tupot stóp Jamiego i Chase’a, którzy zbiegają po schodach.

Kilka sekund później moi bracia wpadają do kuchni. Jamie wpycha Chase’a na ścianę i, wyraźnie zadowolony, siada obok mnie. Chase nie wygląda na równie szczęśliwego.

– Maaamooo! – zawodzi i rozciera obolałe ramię. Krzywi się, posyła Jamiemu nienawistne spojrzenie i, nadąsany, podchodzi do mamy.

– Moglibyście się czasem uspokoić – mówi mama, ale jak zawsze tuli Chase’a i mierzwi mu włosy. – Och, Chase – wzdycha. – Włożyłeś koszulkę tył na przód.

Mama, śmiejąc się, pomaga mu zdjąć koszulkę, a Jamie patrzy na mnie oczami wielkimi jak spodki i tak czujnym wzrokiem, jakby było popołudnie, a nie wczesny ranek. Jego niespożyte pokłady energii doprowadzają mnie do szału.

– Wiedziałem, że założył ją tył na przód – wyznaje Jamie – ale mu nie powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo to takie śmieszne, wygląda jak idiota – mówi. Podwija nogi pod siebie, pochyla się nad stołem, sięga po płatkę i wkłada rękę do pudełka.

– Jay – upomina go mama. – Miseczka. – Grozi mu palcem, bierze Chase’a na ręce i popycha miseczkę w naszą stronę. Raczej nie lubi poranków. Zawsze trochę ją denerwujemy, zwłaszcza Jamie. Kiedy więc mój brat, sypiąc płatki do miski, rozsypuje połowę, mama tylko wzdycha.

– Ups – rzuca Jamie i pstryknięciem posyła kilka płatków w stronę Chase’a.

– Dość tego. – Mama wkłada chleb do opiekacza. A potem się odwraca, żeby ogarnąć nas wszystkich wzrokiem, opiera się o blat i krzyżuje ręce na piersi. – Odrobiliście pracę domową na dziś?

Kiwamy głowami. Zawsze kiwam głową. Zawsze odrabiam pracę domową najwcześniej, jak się da. Ojciec dba o to osobiście.

– Plecaki spakowane? – ciągnie mama. – Niczego nie zapomnieliście?

Kolejny raz zgodnie kiwamy głowami. Ja chyba też nie lubię poranków. Nie cierpię tej rutyny. Zawsze te same pytania i zawsze te same odpowiedzi. Czekam, aż dołączy do nas ojciec i czuję, że robi mi się niedobrze.

Jamie je płatki, nie zamykając ust, i gryzie głośno, celowo nachylając się w moją stronę. Mama, ze wzrokiem wbitym w wiszący na ścianie telewizor, przełącza kanały w poszukiwaniu wiadomości, a gdy znajduje ten właściwy, ścisza dźwięk i kątem oka zerka na ekran, jednocześnie smarując Chase’owi tosta. Stawia przed nim talerz, a mój brat rozciąga usta w uśmiechu i wszyscy wydają się zadowoleni. Jak zawsze.

Czuję, że tak wiele mnie od nich dzieli. Wiem, że jestem tuż obok, ale czasami mam wrażenie, jakby wcale mnie tu nie było. Wszystko jest takie zdrętwiałe, takie puste. Tak bardzo nauczyłem się wszystko ignorować, że czasami nie potrafię wrócić do rzeczywistości. Tak naprawdę nie wiem, gdzie jestem. Po prostu *gdzieś*.

Z zamyślenia wyrrywają mnie kroki ojca na korytarzu. Są ciężkie. Pogwizduje melodię, którą gwizdże tylko wtedy, gdy jest w dobrym nastroju. Ale chyba tylko ja jeden to zauważam. Mama nie wie nawet, że ojciec miewa złe dni.

Oddycham głęboko, zaciskam powieki i staram się uspokoić. Kiedy chwilę później otwieram oczy, ojciec wchodzi do kuchni z uśmiechem na ustach. Nienawidzę, kiedy rano jest zadowolony. Czy w ogóle pamięta, co się wydarzyło wczoraj wieczorem? Jeśli tak, najwyraźniej



nie czuje się winny; na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Zabiłbym za kawę – mruczy tata. Przeczesuje dłonią włosy i z ręką na karku mija stół i podchodzi prosto do mamy. Przyglądam mu się uważnie, tak jak zawsze.

– Proszę – mówi mama. Wsuwa mu w dłoń kubek gorącej czarnej kawy, a gdy ojciec delikatnie nakrywa jej dłoń swoją, uśmiechają się do siebie. Mama robi to każdego ranka, zawsze czeka na niego z kubkiem świeżo parzonej kawy. To część rutyny, do której tak bardzo przywykliśmy.

– Dziękuję – mówi ojciec. Podnosi kubek do ust i upija spory łyk. Przełyka i podaje mamie swój niebieski krawat. Zadziiera brodę i patrzy na nią czule, a ona zapina górne guziki jego koszuli, wsuwa mu krawat pod kołnierzyk i wiąże go z największą starannością. – Dziękuję – powtarza, nachyla się i całuje ją w policzek.

– Tato – mówi Chase, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. – Jamie mnie popchnął.

– Ty to nazywasz popchnięciem? – prychna Jamie z drugiego końca stołu. Dźwiga się na kolanach i podnosi pięść. – Mogę ci pokazać, co to znaczy kogoś popchnąć.

*Ja też, myślę.*

Ojciec się odwraca, z niezadowoleniem marszczy brwi i spogląda to na jednego, to na drugiego. Wsuwa krzesło obok Chase'a, siada i odchyła się do tyłu.

– Kiedy w końcu przestaniecie się kłócić? – pyta. – Daj spokój, Jay, w styczniu skończysz dziesięć lat. Dwie cyfry. Wiedziałaś, że mając dwucyfrowy wiek, nie możesz już dokuczać bratu?

Jamie osuwa się na krzesło.

– Naprawdę?

– Naprawdę – mówi ojciec. Przygląda mu się szeroko otwartymi oczami i kiwa głową, a zaraz potem parska śmiechem. Kątem oka zerka na Chase'a i trąca go łokciem. Upija kolejny łyk kawy i pierwszy raz tego ranka spogląda w moją stronę. Patrzy na mnie znad krawędzi kubka i z jego twarzy znika całe ciepło. Odstawia kubek i zauważa:

– Ktoś tu jest cichszy niż zwykle.

– Pewnie dlatego – mówi mama, a ja widzę, że znowu sięga po list, i czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. *Proszę, nie pokazuj mi tego*, błagam ją w myślach. *Proszę, proszę, proszę.*

– Ostatnio pięć razy urwał się z lekcji wf-u – ciągnie mama. Pochyla się nad ojcem i wręcza mu pismo, a mnie żołądek podchodzi do gardła. – Muszę odpisać i zapewnić pana Ashera, że to się więcej nie powtórzy. Prawda, Tyler? Obiecujesz?

Jest mi tak niedobrze, że nie mogę mówić. Pospiesznie kiwam tylko głową – raz, drugi, trzeci. Ojciec przebiega list wzrokiem. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę, i nie podoba mi się, że z każdym słowem jego twarz tężeje coraz bardziej. Kiedy kończy, spogląda na mnie z nieskrywaną złością.

– Czemu, do cholery, opuszczasz zajęcia? Obniżasz sobie frekwencję.

– Ups, ktoś tu ma kłopoty – szydzi siedzący obok mnie Jamie. I ma rację... mam kłopoty.

Dobry nastrój ojca pryska. Od tej chwili jego dzień jest kiepski, o czym z pewnością przekonam się później.

Nie jestem w stanie wykrztusić słowa, podczas gdy on czeka na wyjaśnienia. Przez chwilę mam wrażenie, że nie mogę złapać tchu. Gdybyśmy byli sami, nie przejmowałbym się odpowiedzią, ale wiem, że muszę coś powiedzieć i trzymam się poprzedniej wersji.

– Źle się czułem – bąkam w końcu.

Ojciec unosi brew i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Pięć razy z rzędu?

Powinienem był wymyślić coś lepszego. Nie wierzy mi. Zresztą czemu miałby mi wierzyć? Dobrze wie, że kłamię. Mogę tylko wzruszyć ramionami, spuścić głowę i wbić wzrok

w drobne rozcięcie na dłoni, o którego istnieniu nie miałem nawet pojęcia.

– Koniec z opuszczaniem lekcji – przypomina mama surowym tonem. Nie podnoszę głowy, ale przytakuję i oddycham z ulgą, gdy pogłównia telewizor. Słyszę, jak Chase prosi o kolejnego tosta i wiem, że to koniec rozmowy.

Przez kolejne pięć minut nie jestem w stanie podnieść wzroku. Nie mogę na nich patrzeć, zwłaszcza na ojca. Wciąż boli mnie brzuch. Wiem, że jest na mnie zły i wiem, że nie puści mi tego płazem. Nienawidzę pana Ashera za to, że wysłał ten list.

– Dobrze – oświadcza ojciec. Zmuszam się, żeby na niego spojrzeć, właśnie dopija kawę, ociera usta kciukiem i wstaje od stołu. Zerka przelotnie na złotego roleksa na nadgarstku. – Lepiej podrzucę cię do szkoły. – Chociaż na mnie nie patrzy, wiem, do kogo kieruje swoje słowa. W drodze do pracy ojciec zawsze podwozi mnie do szkoły. Mama, jadąc do pracy, podrzuca Jamiego i Chase'a.

– Idź się przygotować – upomina mnie mama. Stoi przy zlewie i ogląda się przez ramię. Wątpię, czy odkąd wstała, miała czas usiąść. Rano chyba nigdy nie siada. – I nie zapomnij umyć zębów.

Chcę już wyjść. Przeraza mnie gniew w oczach ojca, a siniak na łopatkę przypomina o sobie bolesnym pulsowaniem. Poszedłbym teraz wszędzie, byle nie do szkoły. Mam nadzieję, że naprawdę zwymiotuję i będę mógł zostać w domu, ale wiem, że tak się nie stanie, wstaję więc od stołu i idę w stronę drzwi. Zamierzam wejść na schody, kiedy ojciec wygląda na korytarz.

– Tyler – słyszę jego głos i zamieram bez ruchu. Odwracam głowę i widzę, że wkłada marynarkę i poprawia krawat. Nie wydaje się zły, ale się nie uśmiecha. Twarz ma bez wyrazu i kiwa do mnie głową.

– Zaczekam na ciebie w samochodzie.

Odwracam się i biegnę na górę; wołałbym, żeby na mnie nie czekał.



## DZIŚ

*Kurwa, myślę. Grill.*

Na widok poruszenia w ogrodzie za domem przy parkowaniu hamuję tak gwałtownie, że wpadam w lekki poślizg. Przed domem nie ma co prawda żadnych zaparkowanych samochodów, ale to tylko dlatego, że mama zaprasza wyłącznie sąsiadów. Robi to co roku i co roku połowa okolicy ściąga do naszego domu ze skrzynkami piwa. Nie wiem, czemu mama się upiera, żebym tu był. Nie znam większej żenady, zwłaszcza że nie cierpię połowy naszych sąsiadów. Pani Harding, która mieszka kilka domów dalej? Raz wezwała gliny, bo przeszedłem po jej trawniku. A pan Fazio z naprzeciwka? Zakablował mamie, że jak wyjechała z miasta, urządziłem imprezę. Pani Baxter z północnego końca Deidre Avenue? Wiecznie marudzi, że hałasuję, kiedy przejeżdżam obok jej domu.

Dlatego zwykle odpuszczam sobie tę doroczną tradycję.

Gaszę silnik, wyjmuję kluczyk ze stacyjki, otwieram drzwi i wysiadam. Słyszę dolatującą z ogrodu muzykę i od razu czuję ten koszmarny smród, od którego chce mi się rzygać. Nienawidzę grilli. Nie dlatego, że to impreza towarzyska, ale przez ohydny smród palonego mięsa. Nie jem mięsa od lat. Przeczesuję włosy palcami i chwilę czekam, aż ochłonę. Jestem wkurzony, a powrót do domu nijak mi nie pomaga.

Mrużąc oczy, idę do ogrodu. Mogę być wściekły, ale muszę sobie jakoś radzić, walę więc pięścią w furtkę, żeby ją otworzyć. Gwar rozmów cichnie jak nożem uciał i słychać już tylko muzykę. Widzę panią Harding, która stoi w rogu i patrzy na mnie z odrazą.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucam. Rozglądam się dokoła, szukając wzrokiem mamy, ale na szczęście nigdzie jej nie widzę. Nie chcę teraz patrzeć jej w oczy, bo wiem, że przynoszę jej wstyd, ale w obecności tych wszystkich ludzi to nieuniknione. Nie widzę mamy, za to przy grillu dostrzegam Dave’a – dupka, który jest moim ojczymem. Rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, które mi mówi, że lepiej, żebym milczał, ale już samo to sprawia, że się odzywam. – Ominęło mnie coś poza zarzynaniem zwierząt? – Pokazuję mu środkowy palec i ignoruję pełne dezaprobaty pomruki. Mógłbym urządzić jeszcze większą scenę, na przykład kopnąć zapas piwa, który stoi przy mojej prawej nodze, ale tego nie robię, bo wciąż próbuję rozkminić, o co właściwie poszło między mną a Tiffani. – Mam nadzieję, że smakowała wam krowa, którą właśnie zjedliście. – Śmieję się, bo to jedyne, na co mnie teraz stać. Boję się, że jeśli tego nie zrobię, uderzę kogoś albo coś.

Odwracam się, zanim znowu wybuchnę, i słyszę, jak Dave mówi:

– Jeszcze piwa?

Wchodzę do domu przez drzwi tarasowe i słyszę wśród gości nerwowy śmiech. Szarpnięciem zamykam za sobą drzwi i oddycham z ulgą.. Klimatyzacja jest włączona i czuję przyjemny chłód, kiedy wychodzę z kuchni na korytarz, gotów pobiec na górę i zaszyć się w swoim pokoju, gdzie w końcu będę mógł się uspokoić.

Ale już u podnóża schodów słyszę, jak woła mnie mama, i wiem, że bez względu na to,

jak bardzo jestem zły, będę musiał z nią porozmawiać. Stoję przez chwilę ze spuszczoną głową, próbując zebrać myśli i przygotować wymówki, po czym się odwracam. Mam nadzieję, że nie wyczuje ode mnie piwa. Wściekłaby się, gdyby wiedziała, że prowadziłem w takim stanie.

– Co ty sobie, do cholery, myślisz? – warczy. Odwracam się, żeby na nią spojrzeć, a ona zaciska zęby. Widząc to, mogę tylko wzruszyć ramionami. Nie radzę sobie z odpowiadaniem na pytania, na które nie znam odpowiedzi.

– Gdzie się podziewałeś? – pyta, domagając się kolejnych informacji. Zerka przez ramię, żeby się upewnić, że jesteśmy sami. Widzę, że jest zawstydzona i mam wyrzuty sumienia. Chwilę później chwyta mnie za łokieć i ciągnie do pokoju gościnnego. – Mówiłam, że masz być w domu przed wieczorem, a ty jak gdyby nigdy nic wracasz o tej porze i robisz coś takiego? – Zamyka oczy, wyraźnie poirytowana, i masuje skronie, jakbym był bólem głowy, który próbuje złagodzić.

Wiedząc, że piłem, robię kilka kroków w tył, żeby zwiększyć dzielącą nas odległość. Nie chcę dolewać oliwy do ognia.

– Nawet się nie spóźniłem – bąkam, bo formalnie rzecz biorąc, powiedziała, że mam tu być, no i jestem.

– Spóźniłeś się dwie godziny! – krzyczy na mnie i otwiera oczy. Zwykle odpuszcza mi dużo szybciej i naprawdę bym wołał, żeby dała mi teraz spokój.

Znowu się śmieję, ale robię to tylko po to, żeby nie wybuchnąć.

– Naprawdę myślisz, że wrócę do domu, żeby patrzeć, jak grillujecie?

Wypuszcza powietrze, a jej wzrok łagodnieje.

– O co ci chodzi tym razem? – pyta, człapiąc przede mną w tę i z powrotem, jakby liczyła, że dzięki temu odkryje powód mojego dzisiejszego zachowania. Fakt, zwykle nie jestem taki podminowany. – Daj spokój z grillem. Zachowywałeś się jak dziecko, jeszcze zanim wysiadłeś z samochodu. Co się dzieje?

Nie potrafię patrzeć jej prosto w oczy, kiedy kłamię, zaciskam więc zęby, odwracam głowę i wyglądam przez okno.

– Nic – mruczę.

– Chyba jednak nie – warczy, a cała łagodność znika z jej twarzy. Nienawidzę, jak się tak zachowuje. Często się na mnie wścieka, ale wtedy zwykle sprawia wrażenie sfrustrowanej i bezsilnej. Tym razem naprawdę ją wkurzyłem. – Właśnie upokorzyłeś mnie na oczach połowy sąsiadów!

– I co z tego? – rzucam.

Milczy przez chwilę, a gdy oglądam się na nią, patrzy w podłogę i kręcąc głową, mruczy:

– Nie powinnam była pozwolić ci wychodzić. Powinnam była kazać ci zostać, ale nie, jak zwykle się zgodziłam. Chciałam dać ci trochę luzu, a ty odpłacasz mi jak zwykle.

– I tak bym wyszedł – rzucam, bo taka jest prawda. Nawet gdybym nie miał na wieczór żadnych planów, nie zostałbym w domu, i mama dobrze o tym wie. Nie mam pojęcia, po co w ogóle próbuje. Wołałbym, żeby odpuściła i dała sobie ze mną spokój. – I co zrobisz? Znowu dasz mi szlaban? – Robię krok w jej stronę i uśmiecham się głupkowato. Od dwóch lat ciągle mam szlaban. To nic, tylko czcze słowa i niespełnione groźby.

– Jesteś niemożliwy. – Odwraca wzrok i spogląda ponad moim ramieniem. Jej twarz zmienia się, znika z niej cała złość. Zamiast tego ściąga brwi, mija mnie i idzie w stronę drzwi.

Wzdycham przeciągle, przeczesuję dłonią włosy i odchylam głowę, że aż widzę sufit. Jeszcze jedna kłótnia i wybuchnę.

Mama coś mówi, a gdy się odwracam, widzę, że stoi tuż przy drzwiach, tyle że jej uwaga nie skupia się na mnie. Nie mam pojęcia, z kim rozmawia, przecinam więc pokój i wyglądam zza

drzwi.

Na schodach siedzi dziewczyna; oczy ma wielkie jak spodki, jak gdyby coś ją przeraziło. Nie wiem, co to za jedna, bo nigdy dotąd jej tu nie widziałem. Jestem tego pewien. Mrużę oczy i przyglądam się jej uważniej. Nie wygląda na dużo młodszą ode mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego nie kojarzę jej ze szkoły, a ponieważ jest brunetką, na pewno bym ją rozpoznał. Jej pełen niepokoju wzrok spoczywa na mnie i zaczynam się zastanawiać, co ją tak zdenerwowało; nie kombinuję jednak zbyt długo, bo moją uwagę przykuwają jej pełne usta, które zaciska, by nerwowo przełknąć ślinę. Nie jest stąd. Gdyby była, na pewno bym ją rozpoznał. Jak mógłbym jej nie rozpoznać?

Dociera do mnie, o czym myślę, i zaciskam zęby. Tiffani zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, co w tej chwili chodzi mi po głowie.

– Co to za panna? – pytam w końcu, patrząc wyczekująco na mamę.

Przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią, bo sama wydaje się odrobinę zdenerwowana.

– Tyler – mówi ze spokojem i kładzie mi rękę na ramieniu – to Eden. Córka Dave’a.

Z początku to do mnie nie dociera.

– Córka Dave’a?

Dziewczyna prostuje się i wstaje. Otwiera te pełne wilgotne usta i mówi:

– Cześć.

Dźwięk jej głosu sprawia, że spoglądam jej w oczy. Jest niski i nieco zachrypnięty, tak inny i nowy, że słysząc go, zamieram. Nawet kiedy stoi, jest kilka centymetrów niższa ode mnie, patrzę więc na nią z góry, próbując oswoić się z tym, co właśnie usłyszałem. Ta dziewczyna... ta brunetka z pełnymi ustami i lekko schrypniętym głosem... jest moją przybraną siostrą?

Nie. Ma. Kurwa. Mowy.

Mama mówiła, że dzieciak Davida spędzi u nas wakacje, ale jej nie słuchałem i teraz tego żałuję. Nie miałem pojęcia, że będzie mniej więcej w moim wieku. Ile w ogóle ma lat? Mam ochotę zapytać, ale nie mogę nawet otworzyć ust, nie mówiąc już o tym, żeby cokolwiek powiedzieć. Z trudem przełykam ślinę i kolejny raz patrzę na mamę.

– Córka Dave’a? – powtarzam głosem cichym jak szept. Nie mogę w to uwierzyć.

Mama wzdycha.

– Tak, Tyler – potwierdza, jak gdyby coś ją zirytowało. – Mówiłam ci, że przyjeżdża. Nie udawaj głupka.

Patrzę głównie na mamę, ale ukradkiem zerkam na dziewczynę, bo najzwyczajniej w świecie nie potrafię odwrócić wzroku. Makijaż wokół oczu ma trochę rozmazany.

– Który pokój?

– Słucham? – Mama wzdryga się, zmieszana.

Zaczynam czuć suchość w gardle.

– W którym pokoju zamieszka? – pytam.

I wtedy mama mówi to, czego się obawiałem.

– W pokoju obok ciebie.

Jęczę. W końcu czuję, że odzyskałem władzę w nogach. Mamy na górze dwa wolne pokoje dla gości i, oczywiście, mama musiała ulokować ją w tym obok mojego. Nie chcę przebywać blisko niej, nie dlatego, że mam dziewczynę, ale dlatego, że to moja przybrana siostra. Boże. W życiu nie sądziłem, że z tego powodu będę musiał trzymać się z dala od jakiejś dziewczyny.

Mój gniew znów wynurza się na powierzchnię. Nie zdaję sobie sprawy, że patrzę na nią wilkiem, dopóki napięcie na czole nie przypomina mi, że zbyt długo mrużę oczy. Nie mogłem

zostać u Tiffani i tu też nie mogę. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny, zaczyna działać mi na nerwy.

Potrącam mamę i biegnę na górę. Nie mam wyboru – muszę minąć dziewczynę, która przez całe lato będzie wchodziła mi w paradę. Szturcham ją ramieniem, ale nie przepraszam, bo myślę wyłącznie o tym, żeby wynieść się stąd w cholerę, byle dalej od niej. Wchodzę do pokoju, zatrząskuję za sobą drzwi i przez dobrą minutę krążę w kółko, próbując zebrać myśli. W głowie mam chaos i żeby zająć czymś umysł, włączam muzykę tak głośno, jak się da.

Kiedy uspokajam oddech, zatrzymuję się i rozglądam się dokoła. Mama pościeliła mi łóżko i znowu pozbierała z podłogi moje ubrania. Leżą złożone starannie na komodzie. Powinienem je schować, ale nauczyłem się, że jeśli tego nie zrobię, mama w końcu da za wygraną i schowa je za mnie. Odkryłem też, że co rano sprząta mój pokój tylko po to, żeby móc go przetrząsnąć.

Zaciskam usta, klękam i zaglądam pod łóżko. I, jasne, jak zwykle zabrała czteropak piwa, który ukryłem tam wczoraj wieczorem. Wstaję i idę do łazienki, żeby zajrzeć do szafki. Paczka Marlboro również zniknęła. Nie palę zbyt często, ale lubię mieć papierosy, tak na wszelki wypadek.

Wracam do pokoju, siadam na rogu łóżka i przyciskając palce do skroni, gapię się w podłogę, próbując zdecydować, co robić. Mam dziwny nastrój i jedyne, czego mi trzeba, to więcej piwa i skręt. Tylko one potrafią sprawić, że zapominam o rzeczach, o których wolę zapomnieć. Mam ochotę pójść dziś na tę imprezę, chociaż wolałbym uniknąć spotkania z Tiffani. Siedzenie w domu nie wchodzi w grę. Wyjmuję telefon i wysyłam wiadomości do chłopaków. Pierwszy odpisuje Kaleb. Mówię mu, że będę za dwadzieścia minut.

Wstaję, spryskuję się wodą kolońską, wyłączam muzykę i wyciągam z kieszeni kluczyki od samochodu. Po całej tej kłótni czuję się kompletnie trzeźwy, ale wciąż jestem wściekły. Pchnięciem otwieram drzwi i jakby tego było mało, znowu widzę tę przekłętą laskę.

Patrzy na mnie tym samym zalęknionym wzrokiem i dopiero teraz zauważam, że ma orzechowe, intensywnie orzechowe oczy. Nie umiem zdecydować, czy są bardziej złociste, czy brązowe.

– Cześć – mówi znowu. – Wszystko w porządku?

*Ten głos.* Mrugam kilka razy i staram się nie okazywać, że ten jej głos dziwnie na mnie działa.

– Nara – rzucam i mijam ją. Nie chcę kręcić się w pobliżu tej laski. Tak postanowiłem. Dlatego zbiegam na dół i wychodzę, nie oglądając się za siebie, chociaż bardzo tego chcę.

Tuż za drzwiami znowu słyszę muzykę dobiegającą z ogrodu za domem. I śmiech. Na szczęście przed wejściem nie ma nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak odjeżdżam. Zresztą wątpię, żeby mama próbowała mnie zatrzymać. Nigdy tego nie robi.

Otwieram samochód, siadam za kółkiem i zatrząskuję drzwi. Włączam silnik, ale nie odjeżdżam od razu. Siedzę tak przez minutę z łokciem opartym o opuszczoną szybę i w zamyśleniu wodzę palcami po szczęce.

Wzdychając, sięgam po telefon i otwieram wiadomości do Tiffani. Lepiej ją ostrzec.

*Widzimy się na imprezie,* piszę, wciskam „wyślij”, a chwilę później ruszam z piskiem opon..



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Droga przez trawnik do srebrnego mercedesa ojca to zawsze najtrudniejsza część dnia. Nogi mam sztywne, ledwo odrywam stopy od ziemi, wbijam wzrok w trawę i zaciskam palce na szelce od plecaka. Wiem, że mnie obserwuje, czeka, i wiem, że w ciągu dziesięciominutowej jazdy będzie miał mi wiele do powiedzenia. Żałuję, że mama pokazała mu ten list.

Nie podnosząc wzroku, chwytam za klamkę i otwieram drzwi; staram się nie patrzeć mu w oczy. Siadam na fotelu pasażera, kładę plecak na kolanach i zapinam pas. Uparcie wpatruję się we własne buty. Słyszę tylko cichy pomruk silnika i westchnienie ojca, kiedy ruszamy.

Pogłośnia radio i jęczy na wieść, że na autostradzie zdążył się już utworzyć spory korek. Wiem, jak bardzo nienawidzi jeździć co rano do centrum LA, a jakby tego było mało, zdążyłem popsuć mu już humor. Teraz jest bardziej rozdrażniony niż zwykle o tej porze. Po chwili wyłącza radio.

– A więc – zaczyna – w co ty, do cholery, pogrywasz? Zrywasz się z lekcji, bo źle się czułeś? Bzdura.

Spoglądam na niego kątem oka. Patrzy przed siebie i kręci głową; czuję jego narastającą złość.

– Ja... ja po prostu nie chciałem iść – tłumaczę. Znowu kłamię, ale myślę sobie: czy to nie oczywiste? – To zajęcia lekkoatletyczne, a ja nienawidzę biegać.

– Bzdura – powtarza. – Próbujesz się buntować? O to chodzi? Chcesz narobić sobie problemów, żeby mnie przetestować?

– Nie. Nie – jąkam. Skubię prującą się nitkę plecaka i myślę, co by tu powiedzieć. – Niczego nie próbuję. Chodzi tylko o... chodzi o szatnię. – Zagryzam wargi, zamykam oczy i wstrzymuję oddech. Tylko jeśli będę z nim szczerzy, wysiądę żywy z tego samochodu.

– Co z szatnią?

Zaciskam powieki. Mam nadzieję, że nie patrzy teraz na mnie. Mam nadzieję, że wciąż patrzy na drogę.

– Nie chcę... nie chcę, żeby ktokolwiek... nie chcę, żeby ktokolwiek zaczął pytać. – W ustach mam sucho i każde słowo więźnie mi w gardle.

– Pytać o co?

Otwieram oczy i odwracam twarz, żeby na niego spojrzeć.

– Tato... – mrużę. – Wiesz o co.

– Nie – odpowiada stanowczo. – Nie wiem. Nie ma o co pytać.

Wszystkiemu zaprzecza. Musi. Albo jest szalony.

– Dobra – bąkam i porzucam temat. Tak długo skubię nitkę, aż zaczyna pruć się na dobre. Ojciec nie patrzy na mnie, odkąd wyjechaliśmy spod domu. Mam nadzieję, że to przez to, że czuje się winny, a nie dlatego, że ma to gdzieś.

– Masz dziś matematykę, tak? – pyta.

Zanim zdążę odpowiedzieć, zatrzymuje się przed znakiem STOP. Skrzyżowanie jest

puste, ale on zaciąga hamulec ręczny i odwraca się w moją stronę. Wrywa mi plecak i kładzie go sobie na kolanach. Rozpina go, przez chwilę w nim grzebie, po czym wyciąga zeszyt do matmy z pracą domową na przyszły tydzień i przedartą na trzy kartką papieru. Nie wiem, czego szuka, ale cokolwiek to jest, jeszcze przez chwilę przerzuca kartki.

– Zaraz po powrocie ze szkoły masz usiąść i to poprawić – nakazuje mi ze spokojem, podnosząc jeden z oderwanych skrawków i pokazując to samo równanie co wczoraj, jedyne, które zrobiłem źle. – I będziesz musiał to wszystko przepisać. – Kręci głową na kawałki papieru, które trzyma w ręce, jakbym to ja je podarł, a zaraz potem zgniata je w pięści. Kłykcie ma białe, patrzę na nie beznamiętnym wzrokiem. Znięta w kulkę praca domowa z matmy ląduje w uchwycie na kubek na środku deski rozdzielczej, a plecak zostaje ciśnięty z powrotem na moje kolana.

– Mogłem zatrzymać pozostałe kartki – zauważam, zasuwając zamek. – Nie były porwane.

– Szkoda – rzuca ze wzrokiem wbitym przed siebie. Znów ruszamy. – Będziesz mógł zrobić wszystko od nowa. Potraktuj to jak dodatkowe ćwiczenia. Potrzebujesz ich.

W pracy domowej było trzydzieści zadań. Wczoraj wieczorem odrabiałem ją przez ponad godzinę i na myśl, że przez jeden głupi błąd będę musiał robić wszystko od nowa, zaciskam zęby aż do bólu. Ojciec bez przerwy robi takie rzeczy i chociaż przestało mnie to dziwić, nadal mnie wkurza. Ale ponieważ nie mogę mu tego okazać, rozluźniam szczęki i skupiam wzrok na desce rozdzielczej, gdy on tymczasem włącza radio. Chce dla mnie jak najlepiej, upominam się w duchu.

Każdego ranka, kiedy zatrzymujemy się przed domem Deana, czuję ulgę. Tata zaczyna się wtedy uśmiechać, chłodny ton znika z jego głosu i wiem, że przez kolejne pięć minut na pewno nie straci panowania nad sobą. Nie może. Nie teraz, mamy przecież towarzystwo.

Drzwi frontowe do domu Carterów otwierają się jak na zawołanie, a na schodkach pojawia się ojciec Deana, który pozdrawia nas machnięciem ręki. Chwilę później wychodzi Dean, który szamocze się z plecakiem. Hugh, jego tata, pomaga mu go założyć i obaj przecinają trawnik, idąc w naszą stronę.

Odkąd pamiętam, co rano podwozimy Deana do szkoły. Carterowie są dla nas jak rodzina i mój tata zawozi nas do szkoły, zaś pan Hugh przyjeżdża po nas po lekcjach. Dean otwiera drzwi samochodu i mości się na tylnym siedzeniu, a ojciec opuszcza szybę, żeby porozmawiać z Hugh.

Odwracam się, wyciągam szyję i patrzę, jak Dean szarpie się z pasem bezpieczeństwa. W końcu udaje mu się go zapiąć, patrzy na mnie, wyciąga w moją stronę zaciśniętą pięść i robimy zółwika. Uśmiecham się do niego, nie słucham, o czym rozmawiają nasi ojcowie.

– Zrobiłeś projekt z fizyki? – pyta Dean, opadając na obite skórą siedzenie. – Moja mama zrobiła za mnie połowę.

– Tak. Oddałem ją w zeszłym tygodniu – mówię.

Hugh odchrząkuje i schyla głowę, żeby spojrzeć na mnie i na Deana.

– Dobra, panowie – mówi – widzimy się o trzeciej. – Posyła nam szczery, serdeczny uśmiech, podnosi kciuki i odsuwa się od samochodu. Lubię Hugh. Czasami chciałbym, żeby to on był moim ojcem, a nie ten człowiek, który siedzi obok mnie.

Ojciec podnosi szybę i odjeżdża spod domu Carterów. Radio znowu gra, ale na tyle cicho, by mógł dalej udawać, zasypując nas pytaniami o lekcje, drużynę futbolową i o to, czy Dean cieszy się na przyjęcie urodzinowe w przyszłym tygodniu. Nie wiem, co jest gorsze: tata kiedy się wścieka, czy tata kiedy jest miły. Nie wiem, co o tym myśleć.

Jeszcze zanim zaparkuje przed wejściem do szkoły, rozpinam pas i z ręką na klamce jestem gotów wysiąść i na kilka godzin uciec od jego pełnego dezaprobaty spojrzenia. Dean



nienawidzi szkoły. Ja ją lubię, bo to jedyne miejsce, w którym mogę na trochę uwolnić się od ojca.

– Miłego dnia, chłopcy – mówi z tym swoim wymuszonym uśmiechem. Odwraca się, wyciąga rękę i przybija z Deanem piątkę, a gdy otwieramy drzwi i wyskakujemy na chodnik, pospiesznie poprawia mankiet koszuli.

– Tyler – rzuca, zanim zdążę zamknąć drzwi. Obracam się przez ramię i widzę, że patrzy na mnie obojętnym wzrokiem. Świdruje mnie spojrzeniem przez dłuższą chwilę, aż wyraz jego twarzy znowu zaczyna się zmieniać. Ściąga brwi, a kąciki jego ust unoszą się nieznacznie w smutnym uśmiechu. Pierwszy raz w tym tygodniu widzę w jego zielonych oczach coś jakby wyrzuty sumienia.

– Ucz się pilnie – mruczy i przełyka ślinę. – Kocham cię.

*Nie, myślę, odwracając się i zatrzasnąjąc drzwi. Wcale mnie nie kochasz.*



## 6

### DZIŚ

Dochodzi dziesiąta. Jadę przez miasto. Po drodze wpadłem do monopolowego i wiozę na tylnym siedzeniu dwa sześciopaki piwa. Nie mówiąc o nowej paczce Marlboro. Kasjer krzyknął sobie dwadzieścia dolców w zamian za to, że przymknie oko na to, że nie jestem pełnoletni – do dwudziestych pierwszych urodzin zostały mi cztery lata – ale na szczęście dla niego jestem lojalnym klientem. I pewnie jego ulubionym, zważywszy na napiwki, które mu zostawiam.

Imprezę organizuje jakaś Lucy, której w ogóle nie kojarzę, i chociaż pojawia się wcześniej niż zwykle, Kaleb mówi, że właściwie wszyscy są już na miejscu. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyszedłem sam na imprezę. W najgorszym wypadku zawsze towarzyszy mi Tiffani. Ale dziś wieczorem będę cholernym kretyńcem, który zamiast z przyjaciółmi, wbija na melanż z zapasem piwa.

W zapadającym zmroku wlokę się Stanford Street na przedmieściach miasta, aż w końcu docieram pod wskazany przez Kaleba adres. Przed domem stoi zaparkowanych kilka samochodów, a na ganku widzę dwóch kolesi z plastikowymi kubkami w dłoniach i sennymi uśmiechami na twarzach. Jak przez mgłę pamiętam ich ze szkoły. Patrzą na mnie, jak parkuję przy chodniku i gaszę silnik, i widzę, że wyciągają szyje, żeby obczaić mój wóz. Udamę, że tego nie widzę, ale ich zazdrosna uwaga sprawia mi niezłą frajdę; chyba nigdy się to nie zmieni.

Odpinam pas i opuszczam szybę na kilka centymetrów, żeby usłyszeć muzykę, po czym sięgam do tyłu po butelkę. Nie tylko nigdy nie przyjeżdżałem na imprezę sam, ale też jeszcze nigdy nie przyszedłem na żadną nie pod wpływem. Wypity wcześniej alkohol zdążył już wyparować i boję się, że wejdę trzeźwy. Udawanie wychodzi mi znacznie lepiej, jak jestem na bani.

Otwieram kapsel zębami, upijam łyk piwa, a zaraz potem jednym haustem opróżniam butelkę. Pustą wrzucam do schowka na rękawiczki, wdycham i spoglądam na siebie w lusterku wstecznym. Oczy mam błyszczące, bardziej zielone niż zwykle, ale nie podoba mi się mój wyraz twarzy – jest zbyt łagodny. Zaciskam usta i mrużę oczy, aż moja twarz nabiera charakteru; dopiero wtedy sięgam po kluczyki, papierosy i piwo.

Wysiadam z samochodu i łokciem zatrzaskuję drzwi. Stawiam piwo na masce, wkładam kluczyki do tylnej kieszeni i wyciągam z niej zapalniczkę. Wkładam do ust papierosa i zapalam go.

Jeden z gości stojących na ganku upija łyk piwa i woła z drugiej strony ulicy:

– Przyjechałeś na imprezę?

Zaciągam się papierosem i taksuję go wzorkiem, czekam, aż dym wypełni mi płuca i po kilku sekundach wydmuchuję go, tak że kłębi się wokół mnie i na chwilę zasłania widok.

– Nie. Wpadłem podziwiać widoki – odpowiadam z kamienną twarzą. Pieprzony kretyń.

Z papierosem w ustach sięgam po piwo i przecinając ulicę i trawnik, kieruję się w stronę domu. Z każdym krokiem muzyka rozbrzmiewa coraz głośniejsze, ale wciąż nie jest tak głośna, jak być powinna, od razu więc wiadomo, że ten, kto organizuje imprezę, robi to po raz pierwszy.

Wskazuje na to również fakt, że w domu wcale nie ma za wiele ludzi.

– Nie wiedziałem, że wpadniesz – rzuca tamten, kiedy podchodzę do niego i jego kumpla. Pospiesznie mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Wyciągam z ust papierosa i wypuszczam dym, a on wstrzymuje oddech. Wyglądają na zbyt młodych, żeby tu być, i zaczynam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie pierwszaki; chociaż równie dobrze mogą chodzić do drugiej klasy. Pięknie.

– To wasza pierwsza impreza? – pytam, ledwie otwierając usta. Unoszę brew i mijam ich. Ostatnie, na co mam ochotę, to rozmowy z dennymi drugoklasistami. Chcę wejść do środka i zobaczyć, kto przyszedł. Otworzyć następne piwo. I znaleźć Declana Portwooda.

– Taa – rzuca tamten. On i jego kumpel wymieniają zdezorientowane spojrzenia, na co rzucam ze śmiechem, nie próbując nawet ukryć rozbawienia:

– Od razu widać.

Z chwilą, gdy uchylam drzwi, do moich uszu dobiega muzyka, śmiech i brzęk butelek. Nie wchodzę jednak, zamiast tego odwracam się i, oparty plecami o drzwi, otwieram je na oścież.

– Poradzić wam coś? – pytam, rzucam niedopałek na ziemię i gaszę go pod butem. – Nie stójcie tak i pakujcie się do środka.

Po tych słowach odwracam się i wchodzę na imprezę, na której choć raz istnieje coś takiego jak przestrzeń osobista. W pierwszej chwili nie rozpoznaję nikogo, poza twarzami, które kojarzę z imprez, wiem jednak, że Kaleb już tu jest, więc lawirując między ludźmi, idę przez pokój gościnny i rozglądam się za nim. Nie uśmiecham się do nikogo, chociaż ludzie witają mnie skinieniem głów, i przepycham się obok grupki dziewczyn, które stoją w wejściu do kuchni.

– Tyler! – woła Kaleb, gdy zauważam go siedzącego na blacie. Wyspa kuchenna zastawiona jest różnymi alkoholami, przez co wszyscy tłoczą się wokół niej i żeby dotrzeć do Kaleba, muszę się przeciskać. – W końcu jesteś, stary – mówi i kładzie mi rękę na ramieniu. Czuć od niego nie tylko piwem, ale i ziołem, a jego nabiegłe krwią oczy rozglądają się dokoła, jakby czegoś szukał. – Gdzie Tiffani? Dean? I pozostali?

– Niedługo tu będą – mówię. Strącam jego rękę, stawiam piwo na blacie, sięgam po butelkę i otwieram ją. – A Declan? Wpadnie tu dziś?

Kaleb uderza łokciem w ekspres do kawy i z porozumiewawczym uśmiechem wzrusza ramionami. Jest ujarany na maksa.

– Później. Na co masz ochotę? – Pochyla się do przodu, unosi brew i dwukrotnie stuka palcem wskazującym w przednią kieszeń dzinsów. – Nie musisz czekać na Declana – mruczy, podczas gdy wszędzie dokoła dudni wściekle muzyka. – Mogę cię poratować.

Upijam łyk piwa i przyglądam mu się z uwagą. Czasami się zastanawiam, jakim cudem Kaleb trafia na imprezy. On i Declan są na pierwszym roku w college'u, ale Kaleb ma twarz czternastolatka, przez co bardziej pasuje do licealnych melanży niż studenckich baletów. Jeśli chodzi o Declana – ten gość kumpluje się ze wszystkimi. Kiedyś mi powiedział, że właściwe kontakty to pierwsza zasada w biznesie.

Kręcąc głową, cofam się o krok.

– Na razie mam dość. Daj mi znać, jak pojawi się Declan.

– Przynajmniej walnij shota – mówi Kaleb i sięga po stojącą obok, pustą niemal w połowie butelkę wódki. Jest odkręcona, a on zeskakuje z blatu i oskarżycielsko mierzy nią we mnie. – Czemu nie jesteś pijany? – pyta.

– Może dlatego, że pierwszego drinka wypilem pięć minut temu – odgryzam się i wyrywam mu butelkę z ręki. Kaleb ma rację. Nie mogę być trzeźwy na imprezie. To nie w moim stylu, dlatego podnoszę butelkę do ust i piję tak długo, jak długo jestem w stanie wytrzymać palący smak wódki, która spływa mi do gardła. Dopiero wtedy oddaję mu butelkę.

– Idę się rozejrzeć, kto wpadł.

– Jasne – rzuca Kaleb i z powrotem gramoli się na blat. Pociąga łyk z flaszki, a potem czubkami palców chwyta ją za szyjkę. – Gdybyś zmienił zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Odwracam się i odchodzę, zanim rzeczywiście zmienię zdanie. Chętnie ściągnąłbym chmurę albo dwie, ale podejrzewam, że nabiorę jeszcze większej ochoty, kiedy pojawi się Tiffani. Wtedy naprawdę będę potrzebował towaru, wołę więc poczekać. Mogę się powstrzymać przez kolejną godzinę, ale będę musiał się czymś zająć, dlatego krążę po domu i wypatruję znajomych twarzy. Jak na razie znam tylko Kaleba, choć jest parę osób, z którymi kiedyś zamieniłem kilka słów.

W kuchni ludzie nalewają drinki, żeby potem rozlać je w salonie. W ogrodzie za domem sześciu zalanych kolesi gra w piwnego ping-ponga; są tak napruci, że ledwie trzymają się na nogach. Nawet nie próbuję do nich dołączyć. Wracam do domu, żeby wyrzucić do kosza pustą butelkę i wziąć nową, i zauważam, że Kaleb zniknął ze swojego miejsca na blacie. To tyle jeśli chodzi o to, gdzie go znaleźć. Facet nie mógł wysiedzieć piętnastu minut w jednym miejscu.

Z pełną butelką piwa kontynuuję obchód domu i tym razem idę na górę. Dom nie jest duży, tak jak niedługa jest lista gości. Jestem tak znudzony, że zaczynam liczyć, ile właściwie osób przyszło na imprezę, i jak na razie doliczyłem się dwudziestu siedmiu. Wydaje się, że na górze nie ma nikogo poza dziewczyną, która wymiotuje w łazience.

– W porządku? – pytam ją, zaglądając do środka. Nawet na mnie nie patrzy, podnosi tylko kciuk na znak, że wszystko z nią dobrze; zamykam drzwi i zostawiam ją w spokoju.

– Tyler? Tak myślałam, że to ty. – Słyszę za plecami czyjś głos. Odwracam się i widzę dziewczynę, która wchodzi po schodach z pijackim uśmiechem na twarzy. Znam ją, ale potrzebuję chwili, żeby przypomnieć sobie, jak ma na imię.

– Cześć, Naomi – rzucam. Nie mogę zmusić się do uśmiechu, może to przez ten dziwny nastrój, i zamiast tego upijam łyk piwa. Nie wiem, co jej powiedzieć. Siedzi przede mną na zajęciach z literatury i rozmawiałem z nią tylko raz, kiedy potrzebowałem, żeby przetłumaczyła dla mnie Szekspira.

– Co tu robisz? – pyta, zatrzymując się tuż przede mną. Pochyliła się do przodu i opiera rękę o ścianę, żeby przestać się zataczać. Chichocząc głupawo, obciąga sukienkę i wydyma wargi. – Nie powinieneś być na dole? No wiesz, tam, gdzie jest alkohol?

Kręcę głową, dopijam piwo i stawiam na podłodze pustą butelkę. Nie pamiętam, która to – trzecia czy czwarta – w każdym razie nadal jestem trzeźwy i zaczyna mnie to wkurzać. Naomi jest wyraźnie wcięta, ale zauważam, że ręce ma puste.

– Słuszna uwaga – rzucam. – Może się napijemy?

– Nie powinieneś być z Tiffani?

– Jeszcze nie przyszła. – Zerkam na zegarek. Jest już po wpół do jedenastej, powinna się pojawić za jakieś pół godziny. Boję się konfrontacji, a to oznacza, że zostało mi pół godziny, żeby wlać w siebie, ile się da, a potem zapamiętać jak najmniej z kłótni, która – jak znam życie – wybuchnie między nami.

– O – bąka Naomi, ale uśmiecha się i kiwa głową. – Drink, to brzmi nieźle.

– Na co masz ochotę?

– Hmm. – Przechyliła głowę i udaje, że zastanawia się nad odpowiedzią, zaraz jednak rozciąga usta w uśmiechu i całym ciałem opiera się o ścianę. – Zaskocz mnie.

– Dobra. Nie ruszaj się stąd.

Mijam ją i schodzę na dół, gdzie kolejny raz spowijają mnie dźwięki muzyki. Ktoś zdecydowanie podkręcił głośność, bo ludzie muszą krzyczeć, żeby zrozumieć, co kto mówi. Odpycham gościa, który stoi w wejściu do kuchni. Może nie jestem pijany, ale nie jestem też

trzeźwy. Zaczynam czuć się nieco bardziej odprężony i dobrze mi tu bez Tiffani z jednej i Deana z drugiej strony.

Kaleb wrócił na swoje miejsce na blacie. Rozmawia z jakimś gościem i raz za razem parska śmiechem, ale widząc mnie, mruga i mówi bezgłośnie: *Ziolo?* W odpowiedzi kręcę głową.

Połowa mojego piwa zniknęła i zostały już tylko cztery butelki. Tak to już jest na domówkach. Kradnę komuś butelkę buda, otwieram ją, znajduję plastikowy kubek i przeglądam zapasy zgromadzone na kuchennej wyspie. Dostrzegam zgrzewkę red bulla, biorę puszkę, wlewam część do kubka i mieszam z podwójną wódką. Zgniatam puszkę w dłoni i rzucam na blat.

– Tyler – woła mnie Kaleb, a ja się odwracam, żeby wrócić na górę. Obracam się przez ramię. Przywołuje mnie do siebie skinieniem palca, biorę więc głęboki oddech i ruszam w jego stronę. – Znasz zasady – mówi bełkotliwie. – Za każdym razem, kiedy wchodzisz do kuchni, musisz wypić shota.

Patrzę na niego zdumiony. Nigdy w życiu nie słyszałem o takiej zasadzie, ale kim jestem, żeby się z nim wyklócać? Tylko idioci odmawiają darmowych shotów.

– No to już. – Mam zajęte obie ręce, dlatego podchodzę do niego, odchylam głowę i rozchyłam wargi.

Kaleb chwyta butelkę i przytyka mi ją do ust. Wódka spływa mi do gardła. Podnosi butelkę coraz wyżej i nie przestaje, tylko szczerzy się zadowolony, ja zaś biorę łyk za łykiem, aż mnie pali w żołądku. Czując, że nie dam rady wypić więcej, zaciskam usta; alkohol spływa mi po szyi i rozlewa się na koszulkę.

– Tak to się robi – komentuje Kaleb i kiwając z uznaniem głową, sam pociąga z butelki. Nie wiem, ile właśnie wypilem, ale najwyraźniej podoba mu się to, że nagle zbiera mi się na wymioty. Przez chwilę skupiam się na własnym oddechu, aż mam pewność, że nie puszcze pawia na podłogę.

– Dupek z ciebie – mruczę. Odstawiam kubek Naomi i ręką koszulki ocieram mokrą szyję. Przeczesałem włosy palcami i sięgam po drinka. Nie wiem, czy przez cały czas było tu tak gorąco, ale nagle oblewam się potem i czuję, że muszę uwolnić się od tego dudnienia i napierających na mnie ciał. Wyrywam Kalebowi niemal pustą butelkę wódki i ściskam ją w dłoni razem z butelką piwa. Kaleb patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, ale ja mrugam do niego porozumiewawczo. – Znasz zasady – naśladuję go, cofając się w stronę drzwi. – Za każdym razem, gdy wychodzisz z kuchni, zabierasz ze sobą flaszkę.

Słyszając to, przewraca oczami i mówi:

– Właśnie.

Zresztą w butelce nie zostało już prawie nic, ledwie kilka łyków, a on jest już tak pijany i zjarany, że nie potrzebuje więcej. Przynajmniej nie tyle co ja.

Idę przez pokój gościnny, gdy nagle ktoś dotyka mojego ramienia i rzuca mi „cześć”, ale ja nawet się nie odwracam. Trzymam w dłoniach dwie butelki i plastikowy kubek i całą uwagę skupiam na drinku, który przygotowałem dla Naomi. Kubek jest pełny po brzegi. Ktoś wpada na mnie przypadkiem i rozlewam trochę na dywan, a potem przyspieszam, zanim ktokolwiek zdąży to zauważyć. Zważywszy na to, jak bardzo pijana jest połowa imprezowiczów, aż dziw bierze, że nikt jeszcze nie zarzygał podłogi.

Dobrze jest wrócić na górę. Światła na korytarzu nadal są pogaszone i teraz, kiedy nie ma tu nikogo – nawet Naomi – wszystko wydaje się takie nieruchome. Zaglądam do łazienki, ale dziewczyna, która wymiotowała, zdążyła gdzieś zniknąć. Wracam na korytarz i wołam Naomi, choć moje wołanie bardziej przypomina pytanie. Pewnie nawet jej tu nie ma.

– Tutaj! – odpowiada niemal natychmiast i nie wiem dlaczego, ale na dźwięk jej głosu

oddycham z ulgą. Z kim miałbym rozmawiać? Znam tu tylko Kaleba, a on jest tak napruty, że tylko się głupkowato uśmiecha.

Podążam za pijanym głosem Naomi do pokoju po drugiej stronie korytarza, ostrożnie otwieram kolanem drzwi i wchodzę, uważając, żeby nie rozlać drinków. Nie pamiętam, jak ma na imię dziewczyna, która organizuje imprezę, ale to chyba nie jej pokój, sądząc po wiszących na ścianach plakatach NFL. Naomi stoi oparta o komodę i z ręką na biodrze podziwia plakat Philipa Riversa.

– Jej brat lubi Chargersów<sup>1</sup>? – pyta i zniesmaczona ogląda się na mnie przez ramię. Zaskakuje mnie jej znajomość tematu.

– Na to wygląda – mówię. Mógłbym porozmawiać z nią o futbolu, o tym, jak bardzo nienawidzę Chargersów i o tym, że 49ers<sup>2</sup> są od nich dużo lepsi. Podchodzę do niej i podaję jej drinka. – Proszę – dodaję tylko.

– Wiesz... – zaczyna. Całym ciałem opiera się o komodę i wodzi palcem po brzegu plastikowego kubka – wcale nie jesteś takim dupkiem, za jakiego wszyscy cię mają. – Podnosi kubek do ust i spogląda na mnie znad krawędzi. Patrzę, jak pije, i zastanawiam się, czy ta dwuznaczna uwaga miała zabrzmieć jak komplement. Myślę, że tak.

Nie wiem, co odpowiedzieć, upijam łyk piwa i pytam:

– Nie za mocny?

Wygląda na to, że nie, bo Naomi podnosi palec i naraz opróżnia kubek. Bierze głęboki oddech, stawia kubek na komodzie i miażdży go ręką.

– Mówiłeś, że jest za mocny?

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Kto by pomyślał, że Naomi, z którą chodzę na literaturę, potrafi tyle w siebie wlać? Na pewno nie ja – przynajmniej aż do dziś. I chociaż ma nieźle w czubie, jestem pod wrażeniem tego, co zrobiła, zważywszy na ilość wódki, którą tam wlałam.

– Wow! – mówię. Podaję jej butelkę wódki, którą również dopija.

– Tiffani potrafi tyle wypić? – pyta i podchodzi do mnie z wyzywającym uśmiechem na ustach. Wkurza mnie, że wspomina o Tiffani. Ledwie przestałem o niej myśleć i czuję, że złość wraca, kiedy Naomi przyciska mi dłoń do piersi i podnosi do ust pustą już butelkę. Tusz rozmazał się jej pod oczami, w których widzę przebiegły błysk. Rozchyła usta i obejmuje nimi szyjkę butelki, wbija we mnie wzrok i wodzi językiem po szkle. – Potrafi? – powtarza głosem, który przywodzi na myśl bełkotliwy szept i jeszcze bardziej nachyla się w moją stronę.

Jest tak blisko, że niemal wyczuwam smak alkoholu na jej skórze. Ciało ma ciepłe, niemal zbyt ciepłe, a ja czuję, że mam ściśnięte gardło. Z trudem przełykam ślinę, ale nie mogę się ruszyć, sparaliżowany jej bliskością.

– Chyba... chyba powinienem już iść – mruczę, ale zanim zdążę się ruszyć, ujmuję w dłoń moją twarz i przyciska usta do moich.

Robi to tak nagle, że zataczam się do tyłu, zaraz jednak odzyskuję równowagę, obejmuję ją w pasie i przyciągam do siebie. Butelka z piwem wbija się jej w biodro, a nasze usta poruszają się zgodnie, napędzane alkoholem, który krąży nam w żyłach. Zanurzam palce w jej włosach, które są tak splątane, że szarpie je niezdarnie, wciąż jednak przyciskam ją do siebie, podczas gdy ona wodzi dłońmi po mojej piersi, mnąc w palcach materiał koszulki. Smakuje wódką, którą wypila chwilę temu, a ja nie myślę trzeźwo. Jestem tak zaabsorbowany jej bliskością, że nie potrafię tego przerwać. Nie potrafię i nie chcę. Lubię, jak coś mnie rozprasza.

Naomi próbuje być ponętna i kąsa zębami moją dolną wargę, ale robi to zbyt mocno i zbyt długo, i przysięgam, że przez moment wydaje mi się, że ugryzła mnie do krwi. Jednak nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo wsuwa mi ręce pod koszulkę, a jej palce pieścą moją skórę i czepiają się paska spodni.

Tężeję, chwytam ją za nadgarstki i odsuwam jej dłonie, zanim posunie się za daleko. Oddech mam ciężki. Odrywam usta od jej ust, ale nie otwieram oczu, jak gdybym chciał oswoić się z tym, co się właśnie wydarzyło; dopiero po chwili unoszę powieki i patrzę na nią.

– Naomi... – mruczę i kręcę głową. – Nie mogę.

Na twarzy Naomi maluje się złość i dziewczyna wrywa ręce z moich dłoni.

– Dlaczego? – pyta.

– Wiesz dlaczego – odpowiadam ze spokojem. Wzdycham, przeczesuję włosy palcami, odwracam się od niej i siadam na łóżku. Opróżniam piwo, a pustą butelkę odstawiam na stolik nocny.

Już wcześniej robiłem takie rzeczy, ale nigdy nie posunąłem się dalej. Nie mógłbym. Bywam idiotą, ale nie aż takim. Tiffani urządziłaby mi prawdziwe piekło. Może jesteśmy z sobą na pokaz i może wcale się nie kochamy, ale nigdy bym jej nie skrzywdził.

Naomi podchodzi do mnie, upada przede mną na kolana i spogląda na mnie spod firanki rzęs. Jej przebiegłe spojrzenie już mnie nie kręci, wręcz przeciwnie – zaczyna mnie drażnić. Zaciska usta i mówi:

– Tiffani nigdy się nie dowie. Ja jej nie powiem i ty też nie, o co tyle krzyku?

– Naomi – powtarzam, tym razem bardziej stanowczo. Kładzie mi rękę na kolanie, a ja ją odpycham. – Nie.

– Jak sobie chcesz – prycha. Dźwiga się na nogi i przez chwilę chwieje się przede mną, poprawiając włosy. Nagle się uśmiecha. – Zresztą i tak chciałam się tylko z tobą zabawić – mówi. Po tych słowach odwraca się i znika za drzwiami.

Patrzę za nią i czuję, jak tężeją mi mięśnie twarzy. *Co jest, do cholery?* Obejmuję głowę rękami i z jękiem padam na łóżko. Przez chwilę gapię się w sufit, próbuję uspokoić oddech i zastanawiam się, która godzina. Trudno zignorować muzykę, która dobiega z dołu i pulsuje w całym domu. Wiem, że nie mogę tak tu siedzieć; powinienem być w kuchni, pić drinki i nalewać je, bo to przecież robię na imprezach. Na pewno nie kryję się w pokojach na piętrze.

Siadam i próbuję wziąć się w garść. Notuję w pamięci, żeby od tej chwili patrzeć wilkiem na każdego drugoklasistę, przelotnie uśmiechać się do dziewczyn i śmiać się z każdego dowcipu, choćby nie wiem jak głupiego. Upominam się w duchu, że mam być przekonujący i udawać najlepiej jak potrafię.

Przed wyjściem z pokoju poprawiam koszulkę i przyglądam włosy palcami, żeby nie wyglądały na potargane. To by wzbudziło podejrzenia. Sięgam po pusty kubek i butelkę po wódce, która leży na dywanie, ale przecież Tyler Bruce nigdy po sobie nie sprząta. Szybko dopijam piwo i ciskam pustą butelkę na podłogę.

Dopiero idąc w stronę drzwi, zauważam elektroniczny zegarek stojący na komodzie. Jest kwadrans po jedenastej i nie mam wątpliwości, że Dean, Meghan i Jake są już na miejscu. Podobnie jak Tiffani, z którą spotkania tak bardzo się boję. Zwłaszcza teraz.

Los Angeles Chargers – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w Los Angeles [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)

San Francisco 49ers – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w San Francisco [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Samochód ojca zniknął na końcu ulicy sekundę po tym, jak zamknąłem drzwi, ale tak jest lepiej. Im szybciej odjeżdża, tym szybciej oddycham z ulgą. Idziemy razem z Deanem przez szkolny kampus. Opuszczam ramiona, a moje ciało wyraźnie się odpręża. Do pierwszej lekcji zostało jeszcze dziesięć minut i na korytarzu panuje tłok. Ludzie stoją oparci o szafki i czekają na dzwonek. Mam tylko kilkoro przyjaciół, ale ilekroć mijam któregoś spośród innych dzieciaków, z którymi chodzę na zajęcia, zawsze się do niego uśmiecham. Czasami mi odmachują. Jestem dobry w rozdawaniu uśmiechów. Robię to nawet wtedy, kiedy tego nie chcę.

– Jest Jake! – mówi Dean i patrzy w kierunku gabinetu dyrektora. Idzie teraz szybciej, ja również przyspieszam kroku, a gdy w końcu odnajduję wzrokiem Jake’a, on rusza w naszą stronę.

– Siedzę tu od wpół do ósmej, bo moja mama musiała być wcześniej w pracy – uskarża się, stając przed nami. Wygląda dziś jakoś inaczej. Przechyliłam głowę i przyglądam mu się z uwagą, ale grzywa jasnych włosów jak zawsze opada mu na oczy i znów ma na sobie tę samą starą niebieską bluzę z kapturem. – Musiałem rozmawiać z tym dziwnym dzieciakiem z wf-u – dodaje, a ja słyszę, że sepleni i widzę błysk metalu na jego zębach.

– Masz aparat? – pytam.

– No – rzuca Jake, jakby kompletnie o tym zapomniał, chociaż nosi go od niespełna dwudziestu czterech godzin. Uśmiecha się szeroko, pokazując zęby. – I jak?

– Czemu wybrałeś zielony? – pyta Dean.

– Bo to mój ulubiony kolor, idioto – warczy Jake i wali go w ramię.

Znamy Jake’a trochę ponad rok, odkąd poszliśmy do gimnazjum, ale równie dobrze moglibyśmy znać go całe życie. Przynajmniej takie mam wrażenie i cieszę się, że zamiast dwóch jest nas teraz trzech. Wszyscy kochamy futbol, nienawidzimy matmy i za dużo gramy w Madden NFL na PlayStation 2.

– Prawie złamali mi szczękę! – opowiada Jake, kiedy idziemy do klasy, chociaż niezbyt uważnie go słucham. Znowu czuję, jakbym był gdzieś daleko, oderwany od rzeczywistości. – Nasz dentysta jest raczej mało delikatny, mój tata zaczął na niego wrzeszczeć i kazał mu przestać na siłę otwierać mi usta. Teraz przez cały dzień nie mogę jeść nic oprócz zupy.

Zerkam na Jake’a. Zawsze dużo mówi i rozwodzi się nad głupotami, ale tym razem przykuł moją uwagę.

– Twój tata nie pozwoliłby, żeby cię bolało? – wypalam bez zastanowienia. Zawsze ciekawią mnie inni rodzice. Gdyby chodziło o mnie, mój ojciec przewróciłby oczami i kazał mi zachowywać się jak mężczyzna.

– No raczej. A twój by pozwolił? – rzuca Jake i teatralnym gestem przykładają dłoń do twarzy. – Chryste, jak boli! Ledwie mogę oddychać! W ogóle nie powinno mnie być w szkole. Co za ból.

Wyłączam się, spuszczam głowę i wbijam wzrok w podłogę, gdy razem idziemy



szkolnymi korytarzami. Gwarno tu jak w ulu. Ludzie krzyczą, śmieją się, poszturchują mnie i napierają na ciemniejący siniec na mojej łopatce.

Jake nie ma pojęcia, co to ból. Nie wie, jak trudno się nie wzdrygać, kiedy ktoś cię dotyka. Nie wie, co to prawdziwe cierpienie. Zazdroszczę jemu i Deanowi, i wszystkim ludziom, którzy śmieją się wokół mnie, którzy wieczorami wracają do domów i nie boją się, że serce wyskoczy im z piersi za każdym razem, gdy ich ojciec jest w pobliżu.

– Nie masz teraz fizyki? – pyta Dean, a gdy podnoszę wzrok, widzę, że minąłem swoją klasę. Nie pamiętam ostatnich pięciu minut. Często tak się dzieje.

– Cholera. Tak. – Zatrzymuję się i zawracam. Siniak na łopatce pulsuje tęnym bólem.  
– Widzimy się na lunchu.

\* \* \*

Fizyka jest w porządku. To lekcja, w czasie której łatwo zniknąć, głównie dlatego, że co chwila ktoś podnosi rękę i prosi panią Fitzgerald, żeby jeszcze raz wytłumaczyła coś, co objaśniała już co najmniej pięć razy. Siedzę przy oknie z łokciem na blacie i brodą wspartą na dłoni i patrzę znudzonym wzrokiem przez zakurzoną szybę na boisko. Jest puste, nierówna trawa skąpiana jest w słońcu i po chwili przestaję widzieć. Oczy mam otwarte, ale myślami jestem gdzieś indziej i tak naprawdę nie widzę. Wyłączam się, głos pani Fitzgerald milknie i niebawem spowija mnie cisza. Lubię to, lubię tę ciszę i bezruch, bo dzięki nim czuję, że jestem sam. Dzięki nim czuję się bezpieczny.

Znowu myślę o Hugh, ojcu Deana. Za kilka godzin będzie na nas czekał przed szkołą w swoim pick-upie. O uśmiechu na jego twarzy i ręce w powietrzu, którą macha do nas na wypadek, gdybyśmy go nie zauważyli. Dean nie lubi, gdy to robi. Uważa, że to obciach, ale ja lubię wiedzieć, że Hugh na nas czeka. Zawsze poklepuje mnie po plecach, tak samo jak Deana, i choć to głupie, lubię udawać, że Dean i ja jesteśmy braćmi, a Hugh to mój tata. Fajnie by było. Jestem pewien, że Hugh nie wściekałby się na mnie, gdybym schrzanił pracę domową. Nie podnosiłby głosu ani pięści. Wiedziałbym, że mnie kocha.

Kocham swojego tatę, ale nie zawsze. Właściwie przez większość czasu go nienawidzę. Może mógłbym uciec. Nawet teraz mógłbym się wymknąć ze szkoły, złapać autobus na Union Station, wskoczyć do pociągu i pojechać gdzieś, gdziekolwiek da się dojechać za pięć doliców. Czyli nigdzie.

– Tyler. – Gdzieś z prawej strony rozbrzmiewa głos pani Fitzgerald i wrywa mnie z zamyślenia. Stoi przy mojej ławce z ręką na biodrze, twarz ma ściągniętą w wyrazie dezaprobaty. – Może powiesz klasie, co takiego interesującego zobaczyłeś za oknem?

– Eee. – Wszyscy na mnie patrzą i uśmiechają się złośliwie, bo zostałem przyłapany. Szukam w głowie odpowiedzi, ale co mógłbym jej powiedzieć? Rozglądam się dokoła po pełnych wyczekiwania twarzach kolegów i koleżanek i wiem, na co czekają. Myślą, że ugnę się pod presją, ale ja nie mam zamiaru. Nigdy. Nie tu, nie w szkole. Tu nie mogę okazać słabości.

Jeszcze bardziej osuwam się na krzesło, wruszam ramionami i leniwym wzrokiem patrzę na panią Fitzgerald.

– Nic nie poradzę, że trawa jest ciekawsza od pani zajęć – mówię beznamiętnym głosem. *Mam to gdzieś*, myślę, a gdy fala chichotu i poszeptywań przetacza się po klasie, czuję zadowolenie. *Zajmij ich czymś, żeby się nie dowiedzieli, co naprawdę myślisz.*

Pani Fitzgerald zaciska usta. W jej oczach widzę rozczarowanie, które znam aż za dobrze. Ostatnio większość nauczycieli patrzy na mnie w ten sposób. Rok temu byłem cichym dzieciakiem. Nie wychylałem się. Robiłem notatki najszybciej, jak mogłem. Staralem się. Ale ostatnio? Nie widzę sensu. Tata nigdy nie jest zadowolony, nieważne, jak ciężko pracuję. Lepiej

wcale się nie starać.

– Może zaczekasz na korytarzu? – mówi pani Fitzgerald. Kąciki jej ust drgają. Wskazuje głową drzwi i krzyżuje ramiona na piersi.

Przewracam oczami i uśmiecham się głupkowato, ale w głębi duszy czuję wyrzuty sumienia. Lubię panią Fitzgerald, wstaję więc i wychodzę z ławki, unikając jej wzroku. Na otaczających mnie twarzach maluje się rozbawienie i żeby sprawić im jeszcze większą frajdę, zamykam drzwi nieco mocniej, niż powinienem.

Na korytarzu jest cicho i cuchnie. Do końca lekcji zostało już tylko piętnaście minut. Przez kolejne pięć chodzę w tę i z powrotem, modląc się, żeby ojciec nie dowiedział się, że wyrzucono mnie z klasy. Kilka miesięcy temu pan Tiller wyrzucił mnie z lekcji za to, że pyskowałem. Wtedy myślałem, że to zabawne. Fajne. Nie wiedziałem tylko, że później, jeszcze tego samego dnia, pan Tiller zadzwoni do taty. Kiedy wróciłem do domu, czekał na mnie i gotował się ze złości.

To był kiepski wieczór.

Mam taką skalę, którą sam wymyśliłem.

Są fajne wieczory, takie, jakie powinny być zawsze. Tata uśmiecha się do mnie z drugiego końca pokoju i gdy mama nie patrzy, podaje mi puszki napojów gazowanych. Wtedy naprawdę możemy się pośmiać. Zdarzają się rzadko, ale myślę wtedy, że może jednak wszystko zmieni się na lepsze.

Ale są też dobre wieczory, kiedy nic właściwie się nie dzieje. W dobre wieczory ojciec trzyma się na uboczu, zwykle ślęczy w kuchni nad papierkową robotą z długopisem w zębach i nerwowo macha stopą.

Są też kiepskie wieczory. Te zdarzają się zbyt często. Kiepski wieczór zaczyna się z chwilą, gdy coś zepsuję, albo w momencie, gdy zdaniem taty zrobię coś niewystarczająco dobrze. Teraz potrafię sobie z nimi radzić. Uodporniłem się na nie. Zwykle zamykam oczy, żebym nie musiał na niego patrzeć. Zamiast tego wpatruję się w mrok i zastanawiam się, jak radzi sobie mama, która pracuje do późna, sama w biurze, czy Jamie przeszedł kolejny poziom gry i czy Chase śmieje się, oglądając kreskówki. Dawniej zastanawiałem się, czy tata kiedyś przestanie. Teraz mnie to nie obchodzi.

Jest jeszcze jeden punkt na mojej skali: bardzo, bardzo złe wieczory. W takie wieczory właściwie nie poznaję własnego ojca. Zwykle mnie nie przeraża, ale w wieczory takie jak te, oszalałe, dzikie spojrzenie jego zielonych oczu wystarczy, bym zaczął się bać. Wtedy nic nie jest w stanie go powstrzymać. Dobrze pamiętam ostatni taki wieczór. Wydarzył się ledwie miesiąc temu. To wtedy tata drugi raz złamał mi nadgarstek. Nie pamiętam nawet, o co się tak wściekł, bo przez większość czasu byłem nieprzytomny. Mama myśli, że spadłem ze schodów. Gdyby rzeczywiście tak było! Jeśli znałaby prawdę, pękłoby jej serce.

Patrzę na swoje ręce. Podnoszę lewą i kilka razy poruszam nadgarstkiem. Czasami wciąż boli, ale jest już lepiej. Wzdycham, opieram się o ścianę, zsuwam się na podłogę i zamykam oczy. Jestem taki zmęczony. Zmęczony myśleniem. Zmęczony szukaniem sposobów, żeby zająć czymś umysł. Przyciągam kolana do piersi, przeganiam z głowy wszystkie myśli i skupiam się na rozbrzmiewających w oddali krokach. Zbliżają się i z każdą chwilą stają się głośniejsze. Aż w końcu się zatrzymują.

– Zostałeś wyrzucony z klasy? – pyta czyjś głos.

Otwieram oczy i podnoszę wzrok. Rachael Lawson patrzy na mnie z ciekawością zza swoich dużych okrągłych okularów. Jasne włosy ma upięte w koński ogon, a luźne kosmyki okalają jej twarz. Chodzimy razem na niektóre zajęcia. I czasami wyskakujemy gdzieś razem. Chyba można powiedzieć, że się kumplujemy.

– Taa – rzucam. Znowu jestem fajnym Tylerem. Nie Tylerem myślicielem ani Tylerem, który daje sobą pomiatać. Tamten koleś jest do niczego. Nie lubię nim być. – Odpyskowałem pani Fitzgerald. Chyba jej się nie spodobało.

– Jesteś walnięty. – Rachael kręci głową, śmieje się i odchodzi.

– Żebyś wiedziała! – wołam za nią. Taa, jasne. Jestem walnięty, bo udaję kogoś, kim nie jestem. Nie pamiętam, kiedy to się zaczęło, ale zaczynam się do tego przyzwyczajać. Coraz bardziej lubię tego Tylera, ale z chwilą, gdy tracę Rachael z oczu, znowu zaczynam być sobą.

Siedzę na podłodze oparty o ścianę, z sińcem na łopatce i gonitwą myśli w głowie.



## 8

### DZIŚ

Zataczając się, schodzę na dół. Muzyka przybiera na sile. Ponieważ nogi odmawiają mi posłuszeństwa, idę krok za krokiem i żałośnie trzymam się ściany, żeby nie stracić równowagi. Wiem, że wyglądam na ujaranego, ale jeszcze nie jestem. Po prostu nie widzę w ciemnościach i przez dwie minuty badam stopami grunt i wysilam wzrok, zanim w końcu docieram do salonu.

W domu jest teraz tłoczniej, choć może tylko mi się tak wydaje. Wypita w pośpiechu wódka zaczyna przejmować nade mną kontrolę. Czuję się lżejszy, bardziej rozluźniony, wiem jednak, że będę musiał unikać Naomi, tak jak wiem, że muszę znaleźć Kaleba. Jeśli znajdę Declana – tym lepiej.

Podnoszę wzrok i lawirując między ludźmi, idę do kuchni, ale po kilku krokach wpadam na kogoś. Następuję mu na nogę, słyszę, jak cmoka z niezadowoleniem i odpycha mnie. Podnoszę przepaszająco ręce, choć wcale nie czuję się winny i widzę, że to Rachael.

– Chryste, Tyler – mruczy, patrząc na mnie z pogardą i zakładając za ucho kosmyk jasnych kręconych włosów. – Nie ma jeszcze północy, a ty już jesteś nawalony. Chociaż to mnie akurat nie dziwi.

– Ciebie też miło widzieć – rzucam beznamiętnym głosem. Powiniennem lubić Rachael. A ona powinna lubić mnie. Nazywamy siebie przyjaciółmi, ale tak naprawdę wcale nimi nie jesteśmy. Znam ją od gimnazjum, ale ona nie cierpi mnie od pierwszej klasy. W przeciwieństwie do całej reszty, nie zamierza tolerować moich kretyńskich zachowań. To jej słowa, nie moje. Mam gdzieś jej pogardę.

Sący drinka przez słomkę, żeby nie zetrzeć czerwonej szminki, a jej ciężkie od eyelinera oczy ciskają gromy.

– A więc – zaczyna i nachyla się w moją stronę – co to za numer odwaliłeś przed imprezą?

Unoszę brew i cofam się o krok. Nie wiem, o czym, u diabła, mówi. Nie była nawet u Tiffani.

– Co? – pytam.

– Na grillu – wyjaśnia Rachael i przechyla głowę. Muzyka jest tak głośna, że ledwie ją słyszę. Zresztą i tak nie mam na to ochoty. – Kiedy wparowałeś do ogrodu.

A więc o to chodzi. O grilla. Jestem zaskoczony, że w ogóle poszła. Zwykle nie bywa na takich imprezach.

– Byłaś tam?

– Tak. Twoja mama zaprosiła mnie, żebym poznała Eden.

Patrzę na nią spod przymrużonych powiek. Znowu to imię i znowu ta dziewczyna. Próbuję ją sobie wyobrazić, ale właściwie już nie pamiętam, jak wygląda. Pamiętam natomiast jej usta i głos. Za nic w świecie bym ich nie zapomniał. Chciałbym ją sobie wyobrazić, ale myśli mam zamglone.

– Eden?

– Twoją przybraną siostrę? – mówi Rachael i przewraca oczami. Niemal ze współczuciem zaciska usta i taksuje mnie wzrokiem. Zaraz potem kręci głową, jakby naprawdę było jej mnie żal. Nienawidzę, kiedy ludzie tak robią. – A tak przy okazji: ma cię za kretyna, widać więc, że zna się na ludziach. Tak czy siak, miłej zabawy, chociaż wygląda na to, że już bawisz się aż za dobrze. – Wydaje się taka odległa i rozmyta, ale wiem, że to wszystko wina alkoholu.

– Rachael. – Kładę jej rękę na ramieniu w chwili, gdy już się odwraca, żeby odejść. – Jest tu Tiffani?

– W kuchni – odpowiada, strząsa moją rękę i chwilę później znika.

Stoję pośrodku pokoju przez kilka sekund. A może przez minutę. Nie mogę skupić się na niczym poza Tiffani. Muszę ją znaleźć i wyjaśnić sytuację. Nasze kłótnie nigdy nie trwają długo. Żadne z nas nie ma takiej pewności siebie. Nie jesteśmy stworzeni do tego, by być sami. Tiffani potrzebuje mnie niemal tak bardzo, jak ja potrzebuję jej, i zwykle dwadzieścia cztery godziny po kłótni znów udajemy przed światem, że nic się nie stało. Przynajmniej tak było do tej pory.

Masuję skroń i biorę głęboki oddech. Jestem w tym dobry. Jestem dobrym aktorem. Teraz muszę być słodki i czarujący, skruszony i przekonujący, nawet jeśli wcale nie jest mi przykro.

Przeciskam się między ludźmi, przed oczami migają mi ich rozmazane twarze. W końcu staję w progu kuchni i szukam wzrokiem jej niebieskich oczu. Patrzy na mnie z drugiego końca pomieszczenia. Śmieje się z dowcipu, który właśnie opowiedział Dean, widzę wyraźnie jej olśniewający uśmiech. Świdruje mnie wzrokiem, zaciska usta i spogląda gdzieś w bok. Nalewa sobie kieliszek wina z butelki, którą przyniosła; jej ruchy są powolne i stateczne, głowę ma zadartą.

Ruszam w stronę Meghan, przeciskam się obok niej i szturcham ją delikatnie. Gdy podchodzę, Tiffani podnosi kieliszek do ust, upija łyk, patrzy na mnie znad szklanej krawędzi i stara się nie krzywić. Nienawidzi wina.

– Tiff... – zaczynam, sięgając po jej wolną rękę.

– Tyler! – woła i natychmiast rozciąga usta w uśmiechu. Jest tak wymuszony i nieszczerzy, że od samego patrzenie robi mi się niedobrze. *Czy ktoś to jeszcze widzi? Czy ktoś widzi, że to wszystko ściema? Pieprzone przedstawienie? Zarzuca mi ręce na szyję, przyciąga mnie do siebie i całuje w usta.*

Smakuje miętą i tanim winem, które sączy. Wplata palce w moje włosy na karku, szarpie odrobinę za mocno i gryzie mnie w dolną wargę, żeby mi pokazać, jak bardzo jest na mnie zła. Odwzajemniam pocałunek, wiedząc, że mamy publiczność. Nawet obejmuję ją w tali, bo wiem, że tego właśnie chce.

W końcu odsuwa się ode mnie i zmusza się do uśmiechu, ale z jej oczu wyczytuję, że nadal jest na mnie zła. Wciąż obejmuję ją w pasie i wtulając twarz w jej szyję, mruczę:

– Musimy pogadać.

Znowu spogląda na mnie tymi niebieskimi oczami, nieznacznie kiwa głową i bierze mnie za rękę. Kaleb, który przygląda mi się z uwagą i uznaniem, uśmiecha się znacząco, a Dean powstrzymuje się, żeby nie przewrócić oczami, gdy Tiffani zarzuca włosy na ramię i ciągnie mnie w stronę drzwi. Idę za nią w milczeniu i pozwalam trzymać się za rękę, głównie po to, żeby utrzymać równowagę. Głowa mi ciąży.

– Zaraz wracamy – rzuca Tiffani przez ramię, jakby wszystkich w tej przeklętej kuchni interesowało, co robimy, i otwiera drzwi, pozwalając, by świeże powietrze uderzyło mnie w twarz.

*Cholera, myślę. Naprawdę się nawalilem.* Jedną rękę kładę na ramieniu Tiffani, a drugą przykładam do czoła i zastanawiam się, czy to przez cały wieczór kręci mi się w głowie. Nie mam pojęcia; wiem tylko, że ogród za domem wiruje wokół mnie, a Tiffani odepchnęła moją

rękę. Próbuję się czegoś złapać, ale chwytam dłońmi powietrze, w końcu opieram się o ścianę domu i oddychając głęboko, próbuję spojrzeć jej w oczy.

Teraz, kiedy w końcu możemy przestać udawać, uśmiech znika z jej twarzy. Splata ramiona na piersi i mruży oczy. Nie powinienem się dziwić, że nadal jest na mnie zła, ale myślę, że może to nie jest najlepszy czas, żeby próbować załagodzić sytuację. Nie w tym stanie. Ale jaki mam wybór? Wciąż mam jej za złe, że wspomniała o moim ojcu, ale jest dla mnie oparciem. Jest częścią idealnego życia, które próbuję stworzyć, i nie chcę tego stracić. Poza tym w grę wchodzi seks i choćby dlatego warto ją przeprosić.

– Przepraszam, że tak wyszedłem – zaczynam. Wcale nie jest mi przykro, ale wiem, że to właśnie chce usłyszeć. Chce, żebym błagał o wybaczenie. To połehta jej próżność. Tak więc, chociaż jestem pijany i nie widzę jej wyraźnie, robię przepraszającą minę i patrzę na nią skruszony.

– I że rzuciłeś butelką o ścianę – zauważa Tiffani. Odwraca wzrok i spogląda w drugi koniec ogrodu. Jest spięta i widzę, że brakuje jej cierpliwości, dlatego staram się bardziej.

– Tak, za to też. – Robię niepewny krok do przodu i delikatnie chwytam ją za nadgarstek. Próbuję ją zmusić, żeby na mnie spojrzała, ale się wzbrania. – Przepraszam, skarbie. Znasz mnie. Reaguję przesadnie. Miałaś rację. – Mam ochotę powiedzieć jej, żeby nigdy więcej nie wspominała o moim ojcu, ale wiem, że wtedy znowu się pokłócimy, a – szczerze – nawet nie chcę o tym myśleć. Tiffani potrafi być okrutna. Wie, że zabraniam jej o nim mówić, ale wie również, że to moja słabość.

W końcu patrzy na mnie łagodnym wzrokiem i mówi:

– Wiesz, Tyler, może i jesteś idiotą, ale naprawdę cię lubię. Przynajmniej na tyle, że musiałabym kogoś powiadomić, gdybyś wsiąkł w narkotyki bardziej niż do tej pory – mówi głosem niewiniątka, gdy tak naprawdę chce mi przypomnieć, że jeśli będzie musiała, zniszczy mi życie. Dopóki kontroluje każdy mój ruch i ma pewność, że mówię i robię dokładnie to, co ona chce, między nami wszystko jest dobrze. Zerka na moją rękę uczipioną jej nadgarstka i kręcąc głową z dezaprobatą, odsuwa się ode mnie. – Bo jaki będę miała z ciebie pożytek, jeśli skończysz w więzieniu albo umrzesz? Popatrz na siebie. Jesteś pijany. Naćpany też?

– Nie – odpowiadam szczerze. Choć raz nie kłamię. Znowu sięgam po jej dłoń i tym razem nie umyka przed moim dotykiem. Podchodzę bliżej, wolną ręką ujmuję ją za brodę i zmuszam ją, by na mnie spojrzała. Lubi, kiedy to robię. – Po prostu znowu wypilem za dużo.

Milczy przez chwilę i patrzy mi w oczy, oceniając wielkość źrenic, po czym znów marszczy brwi.

– Chyba nie zamierzasz pomagać Declanowi Portwoodowi, co?

Znowu się zaczyna. Pytania, na które nie chcę odpowiadać. Odsuwam się o krok, chowam dłonie w kieszeniach džinsów i wzruszam ramionami. Głowę mam spuszczoną.

– Nie wiem.

– Dłaczego, Tyler? Przecież nie potrzebujesz pieniędzy. – Zaciska zęby i odgarnia włosy na ramię. Przyglądam się jej. Oddycha głęboko, a ja pierwszy raz myślę, że może rzeczywiście choć trochę jej na mnie zależy. – Naprawdę chcesz skończyć za kratkami za dilerkę, podczas gdy reszta z nas będzie imprezować i uczyć się w college'u? Jeśli to zrobisz... Jesteś stuknięty. Powiedz Declanowi, żeby znalazł kogoś innego, kto będzie sprzedawał to gówno.

Nie mam siły znowu się o to kłócić, robię więc to, co potrafię najlepiej: poddaję się i pozwalam jej wygrać. Nie ma sensu się wściekać. Poza tym mam ochotę się napić.

– Masz rację – mówię. – Nie zrobię tego. Byłem głupi, że w ogóle o tym pomyślałem.

Tiffani się rozpromienia.

– Przysięgasz, Tyler?

– Przysięgam, a teraz chodź tu. – Kładę jej ręce na ramionach, ściskam i przyciągam ją do siebie. Obejmuję jej drobne ciało i przyciskam do piersi, opierając brodę o czubek jej głowy. Skupiam wzrok na punkcie w oddali i staram się utrzymać równowagę, żeby się nie przewrócić i nie pociągnąć jej za sobą. – Tak jest dużo fajniej, niż kiedy się kłócimy, co?

– Mm-hmm – mruczy, tuląc twarz do mojej koszulki. Nagle prostuje się i odsuwa mnie od siebie. – Rozmazujesz mi makijaż.

Przewracam oczami, chwieję się na nogach i całuję ją.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Samochód Hugh stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Widzę go z daleka, ale tylko dlatego, że rozpaczliwie go wypatruję. Jest ze mną Dean, razem wychodzimy ze szkoły i idziemy przez kampus. Dziś nie było aż *tak* źle, a dzięki temu, że odbiera nas ojciec Deana, dzień staje się jeszcze lepszy. Fakt – wyleciałem z fizyki, ale poszedłem na wf i przetrwałem. Można powiedzieć, że to całkiem fajny dzień. Mam nadzieję, że nic się nie zmieni.

– Czemu on zawsze musi to robić?! – jęczy Dean, widząc, że Hugh otwiera drzwi i wysiada. Uśmiecha się, zadowolony, że nas widzi. – Cholera. Zabij mnie, zanim ktoś to zobaczy – mruczy Dean na widok swojego ojca, który podnosi rękę.

Nie wiem, czemu aż tak tego nie lubi. Mój tata nigdy nie wysiadłby z samochodu, żeby mnie przywitać. Nawet kiedy wsiadam, rzadko się uśmiecha. Dlatego uważam, że Hugh jest taki fajny. Pokazuję podniesione kciuki, na co Dean patrzy na mnie kątem oka jak na zdrajcę, ale nie dbam o to. Nie ma pojęcia, jakim jest szczęściarzem.

– Cześć, chłopcy! – wita nas Hugh. Na brodzie ma smugę smaru i domyślam się, że chwilę temu wyszedł z pracy. Ma swój warsztat i chce, żeby Dean z nim pracował, jak będzie starszy. Mój tata też chce, żebym kiedyś pracował u niego. Dlatego tak na mnie naciska, ale ja nie wiem nawet, czy tego właśnie chcę.

– Tato, proszę, przestań robić mi obciach – mruczy Dean. Otwiera drzwi od strony pasażera, wrzuca plecak na fotel i pakuje się do środka. Ja siadam z tyłu i zapinam pas.

– Ja robię ci obciach? – powtarza z udawanym niedowierzaniem Hugh i siada za kółkiem. Patrzy na Deana, a zaraz potem nachyla się w jego stronę i mierzwi mu włosy. – Nigdy.

– Przestań! – Dean odpycha jego rękę i nadąsany wygląda przez okno. Wiem, że wstydzi się tylko dlatego, że tu jestem; szkoda, że nie wie, jak bardzo mu zazdrości. W zeszłym tygodniu ojciec złapał mnie za włosy i powłókł przez kuchnię. Jeśli to, że twój tata macha ci na powitanie i targa ci włosy, jest żenujące, chciałbym być tak zażenowany każdego dnia.

– No już, Deano, rozchmurz się – rzuca Hugh ze śmiechem, po czym uruchamia silnik, który z rykiem budzi się do życia. Zapina pas, ogląda się przez ramię i patrzy na mnie. – Hej, Tyler. Może wpadniesz do nas na kilka godzin i porzucamy trochę piłką? Co ty na to? – Uśmiecha się do mnie i nie jest to nieszczerzy uśmiech, jakim zwykle raczy mnie mój tata.

– Naprawdę? – pytam. Gra w piłkę z Deanem brzmi nieźle, ale myśl o pracy domowej, którą muszę odrobić, nie daje mi spokoju. Chociaż akurat na jutro nie mam nic zadane...

– Jasne – zapewnia mnie Hugh, ruszając sprzed szkoły. – Dam znać twoim rodzicom.

Jedziemy do domu Carterów, a ja przez całą drogę modlę się w duchu, żeby tata pracował dziś do późna. Mam nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko. Mam przecież cały wieczór, żeby odrobić pracę domową, nie powinien się złościć.

\* \* \*

Robimy sobie przerwę dopiero wtedy, kiedy mama Deana przynosi nam sok. Dysząc,



leżymy na trawie i gapimy się w niebo. Kątem oka zerkam na Deana.

– A gdybyśmy byli braćmi? – pytam.

Patrzy na mnie i ściąga brwi, a zaraz potem się uśmiecha.

– Myślałem, że jesteście.

– Dobra. W takim razie mogę cię o coś zapytać? – Siadam po turecku i nerwowo skubię trawę. Już od jakiegoś czasu chciałem z nim o tym porozmawiać i teraz w końcu nadarza się okazja. Jesteśmy sami. Jesteśmy przyjaciółmi. Braćmi. Mogę z nim o tym pogadać.

Dean też siada i odwraca się tak, żeby na mnie patrzeć.

– Co jest?

– Czy twój tata wścieka się czasem na ciebie?

– No... tak – stwierdza rzeczowo i przewraca oczami. – W niedzielę przed wyjściem do kościoła oblałem mu koszulę kawą. Był taaaki zły.

– Nie – mówię i kręcę głową. Odwracam wzrok, wiedząc, że nie rozumie. – Pytam, czy wścieka się tak naprawdę.

Jestem ciekaw, czy to normalne, czy nie. Moim zdaniem nie. Ojciec raczej nie powinien wpadać w furję. I chyba nie powinien być aż tak surowy. Może tylko mój tata tak ma. Może coś jest nie tak ze mną? Coś, co sprawia, że wpada w złość i zaczyna mu odbijać. Wszyscy dokoła sprawiają, że jest szczęśliwy, czemu ja nie potrafię?

Zanim Dean zdąży odpowiedzieć, słyszymy nadjeżdżający samochód. Zerkam przez ramię i coś ściska mnie za gardło, bo widzę, że to *on*.

Mercedes ojca zatrzymuje się przy chodniku. Serce wali mi jak szalone i ze strachu nie mogę się ruszyć. Silnik gaśnie, drzwi się otwierają i widzę go, jak wysiada. Krawat ma poluzowany; jedną rękę opiera na drzwiach samochodu, a drugą na biodrze. Rolex, który dostał od mamy na Boże Narodzenie, lśni w słońcu.

– Tyler – mówi surowym głosem i od razu wiem, że nie jest zadowolony. Chłód w jego zielonych oczach tylko to potwierdza. – Miałeś być w domu. Uczyc się. Wiesz o tym.

Dźwigam się z ziemi. Głos więźnie mi w gardle i niewyraźnie bąkam:

– My tylko graliśmy... graliśmy w futbol. Hugh powiedział, że mogę wpaść.

W tej samej chwili, jak na zawołanie, na ganku pojawia się uśmiechnięty Hugh. Musiał nas widzieć przez okno. Podnosi rękę i macha ojcu na powitanie.

– Cześć, Peter!

– Miałeś odwiedzić Tylera prosto do domu – stwierdza ojciec. Nie uśmiecha się. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę, wzrok przenikliwy.

Uśmiech powoli znika z twarzy Hugh. Wyraźnie zmieszany, marszczy brwi i drapie się po głowie.

– Ella mówiła, że nie ma problemu, pod warunkiem, że przed szóstą odwiozę go do domu.

– Nie. – Ojciec kręci głową. Rozmawiają, stojąc na przeciwnych końcach trawnika, i choć są dobrymi przyjaciółmi, tata nie kryje faktu, że jest wkurzony na Hugh.

– Powinien siedzieć w domu i się uczyć, a nie obijać się i grać w piłkę. – Jego uwaga znów skupia się na mnie. – Zabierz swoje rzeczy, Tyler – mówi i stanowczo kiwa głową.

– Daj spokój, Peter! – rzuca ze śmiechem Hugh, próbując rozładować napięcie. – To tylko dzieciaki. Są w siódmej klasie, nie w college'u. Dopilnuję, żeby przed szóstą był w domu.

Ojciec rzuca mu wściekle spojrzenie, ale milczy. Zamiast tego patrzy na mnie i mówi nieco ostrzej:

– Tyler. Powiedziałem, zabierz swoje rzeczy.

– Jedziesz do domu? – pyta Dean, który wciąż siedzi na trawie.

– Przepraszam – rzucam cicho i wzruszam ramionami. Tata jest zły, nie mam więc wyboru. Dobrze wiem, co mnie czeka po powrocie do domu. Byłbym głupi, gdybym się upierał, że zostanę. Biegnę na ganek, gdzie zostawiłem plecak. Zarzucam go na ramię pod czujnym wzrokiem Hugh.

– Przykro mi, kolego – mówi ze smutnym uśmiechem i poklepuje mnie po głowie. Myślę, że wie, iż tata potrafi być surowy, ale chciałbym, żeby wiedział również, jak bardzo bywa źle. Chciałbym, żeby coś powiedział, żebym ja nie musiał tego robić. Nie chcę, żeby tata miał przeze mnie problemy.

*Proszę, nie pozwól mi jechać, myślę. Chcę zostać tu z tobą.*

Nie mogę powiedzieć tego na głos. Zamiast tego podnoszę na niego wzrok i modlę się, żeby wyczytał to z mojej twarzy; żeby zobaczył, jak bardzo boję się wsiąść do samochodu ojca i żeby mi pomógł. On jednak niczego nie zauważa. Bo niby dlaczego miałby zauważyć?

Nie mając wyjścia, idę do samochodu, ale nogi mam jak z ołowiu, jak gdyby moje ciało buntowało się przeciwko tej decyzji i próbowało mnie zatrzymać. Walczę z nim i uparcie prę do przodu. Nie patrzę na ojca, chociaż przez cały czas czuję na sobie jego wzrok. Ze spuszczoną głową siadam na fotelu pasażera i zapinam pas bezpieczeństwa.

Nie chcę jechać do domu. Nie chcę zostawać sam z tatą. Nie chcę, żeby znów zrobił mi krzywdę.

Ojciec siada za kierownicą i zatrząskuje za sobą drzwi. Uruchamia silnik i nachmurzony spogląda przed siebie, by po chwili zerknąć w moją stronę. To jest to samo ostrzegawcze spojrzenie, które poprzedza każdy jego błąd. W głowie już słyszę jego przeprosiny.



## 10

### DZIŚ

Stoję na trawniku przed domem, gapię się na drzwi i zastanawiam się, jak, u diabła, się tu dostałem.

Jest środek nocy. Jestem zalany. Prawie nie widzę na oczy, nie mówiąc już o tym, że ledwie trzymam się na nogach. Dostałem się pieszo? Jeśli tak, to jestem pod wrażeniem, że przeszedłem w tym stanie trzy kilometry. Rozglądam się dokoła i, dzięki Bogu, nigdzie nie widzę samochodu. Przynajmniej nie prowadziłem. Ktoś mnie podrzucił? Tylko kto? Nie pamiętam ostatnich kilku godzin. Miałem dziś nocować u Tiffani. Gdzie ona jest?

– Tiffani? – wołam, ale nikt nie odpowiada. Nikogo tu nie ma. Ulica jest pusta, domy pogrążone w ciemności.

Spuszczam wzrok. Wciąż mam w ręku cholerne piwo. Nie zostało go już wiele, zataczam się lekko i dopijam resztę. Zgniatam w dłoni pustą puszkę i wyrzucam ją. Powinienem iść spać, inaczej odchoruję tę imprezę.

Sięgam do kieszeni po klucze, ale znajduję tylko kluczyki od samochodu. Przeszukuję pozostałe kieszenie i poklepuję się po udach, ale znajduję jedynie kolejne zapalniczki, paczkę gum do żucia i telefon, aż w końcu przypominam sobie, że wychodząc z domu, w ogóle nie wzięłem kluczy.

– Kurwa – mrużę. – KURWA! – powtarzam po chwili nieco głośniejsz.

Odwracam się, przechylam głowę i jęcząc, patrzę na dom. Wszyscy śpią. Mama by się wściekła, gdybym pobudził wszystkich, żeby dostać się do środka. Mógłbym zadzwonić do Jamiego i poprosić go, żeby mnie wpuścił. Albo zbić szybę z tyłu domu.

– Nie – mrużę pod nosem i kręcę głową. – Nie. – Nikogo nie obudzę ani nie wybije żadnej szyby. To głupie. Prześpiję się tu, na trawniku. Wieje wiatr, ale noc nie jest chłodna. Siadam na trawie i muskam palcami suche źdźbła. Wygodnie tu. – Co się dzieje, do jasnej cholery? Kiedy minęła północ? – Śmieję się na głos, bo mam świadomość, jak bardzo jestem żaloszny. Siedzę na trawniku przed domem i gadam do siebie. Niech to szlag.

Nagle coś słyszę. Brzmi jak „hej”, ale nie wiem, czy mi się nie wydaje. Nigdy wcześniej nie miałem halucynacji po alkoholu, a w sąsiedztwie raczej nie ma żadnych duchów. Pewnie mi się zdaje. Tyle że znów to słyszę, tym razem głośno i wyraźnie, dziewczęcy głos, który mówi:

– Hej! Tutaj!

Rozglądam się dokoła, szukając źródła dźwięku, aż w końcu zatrzymuję wzrok na sylwetce w oknie pokoju gościnnego na piętrze. Wydaje się odległa i rozmazana. Mrużę oczy i czekam chwilę, aż odzyskam ostrość widzenia. To ona, znowu ta dziewczyna, ta przeklęta laska z zachrypniętym głosem. Moja... Nie, nie powiem tego na głos. To zbyt dziwne. Obserwowała mnie przez cały czas?

– Czego chcesz?

– Wszystko w porządku? – pyta z troską i patrzy na mnie z góry, marszcząc czoło.

*Nie, nic nie jest w porządku, myślę. Jestem pijany i utknąłem przed domem.*

I nagle dociera do mnie, że przecież może mi pomóc. To ona wpuści mnie do domu i dzięki niej zasnę z głową na poduszce.

– Otwórz drzwi – mówię, zrywam się z ziemi i idę w stronę domu. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję, ale to nic. Z alkoholem jakoś sobie poradzę. Przynajmniej mam taką nadzieję. Zależy mi na tym, żeby dostać się do domu, a panna najwyraźniej się nie spieszy. Kilka minut stoję pod drzwiami i skupiam się na oddechu, żeby się nie porzygać, aż w końcu słyszę szcęk zamka.

Drzwi otwierają się i widzę ją. W dżinsach i koszulce, z upiętymi wysoko włosami i zmęczonymi oczami. Nie pamiętam, jak ma na imię. Emma? Ellie? Znam to imię, wiem. Mam je na końcu języka. To... To Eden. Właśnie tak. *Eden*.

– Nie spieszyłaś się specjalnie, co? – Chryste, zaraz się porzygam. Zakrywam usta dłonią i wpadam do domu.

Eden patrzy na mnie z odrazą i marszczy nos, a zaraz potem zamyka drzwi.

– Jesteś pijany? – pyta, choć jestem pewien, że wcale nie musi. Czy to nie jest oczywiste?

– Nie – droczę się z nią. – Już rano?

– Jest trzecia w nocy – stwierdza beznamiętnie i ściąga brwi.

Aha, trzecia. To wciąż wcześnie. Śmieję się i nagle znów to czuję – żółć, która podchodzi mi do gardła. Rzucam się w stronę schodów, próbuję się czegoś uchwycić i wspiąć się na górę, ale przewracam się kilka razy i mało nie łamię nogi.

– Skąd one się tu wzięły? Wcześniej ich tu nie było. – Poklepuję dłonią stopnie. Wiem, że gadam bzdury, ale bawi mnie to. W tym momencie wszystko mnie bawi.

Eden patrzy na mnie z dołu schodów i zagryza wargę, jakby nie wiedziała, co zrobić.

– Przynieść ci wody albo coś?

Zabiłbym za szklankę wody, ale nie zamierzam o nią prosić. Ta dziewczyna mnie nie zna i nigdy nie pozna, dlatego będę Tylerem Bruce'em, do którego tak bardzo się przyzwyczailem.

– Przynieś mi piwo – rzucam żartem przez ramię i kontynuuję żmudną wspinaczkę po schodach. Otwieram drzwi do pokoju i oddycham z ulgą, widząc moje łóżko, niepościelone od rana, i łazienkę.

Zostawiam Eden z tyłu, zamykam drzwi i wstrząsany torsjami, rzucam się w stronę sedesu, gdzie natychmiast wymiotuję.

\* \* \*

– Niewiarygodne – mruczy pod nosem mama. Od co najmniej pięciu minut krąży po moim pokoju, zbiera ubrania, które walają się na podłodze i opróżnia kosz na śmieci. Myślę, że robi to celowo, żeby mnie torturować, bo nie ma jeszcze dziewiątej. – *Niewiarygodne* – powtarza. Podchodzi do okna, podnosi rolety i wpuszcza poranne słońce, które zalewa pokój i pali moje oczy.

Z jękiem chowam twarz w poduszkę.

– Mamo, *proszę!* – Głowa mi pęka, cały jestem zlany potem i jest mi cholernie niedobrze. Nie mam siły się z nią teraz użerać. Potrzebuję snu. I wody. W ustach mam sucho i boję się, że mogę się zakrztusić.

– Myślisz, że o niczym nie wiem? – Staje przy moim łóżku i z rękami skrzyżowanymi na piersi piorunuje mnie wzrokiem. – Myślałeś, że się nie dowiem, że wczoraj w nocy piłeś? *Cuchniesz* alkoholem. Spójrz na siebie! Wyglądasz jak siedem nieszczęść. – Kręci głową z odrazą. – Wstawaj. Nie przeleżysz całego dnia w łóżku. Dzieciaki, które mogą pić, mogą również skosić trawnik za domem.

– *Mamo* – próbuję błagalnym głosem. Cały jestem obolały i wołałbym umrzeć, niż mieć

takiego kaca. – Proszę, daj mi spokój.

– Wiesz, Tyler – mówi spokojnym głosem, z troską marszczy czoło i rozluźnia ramiona – istnieją lepsze sposoby radzenia sobie z problemami. – Dobrze wiem, o czym mówi, i wiem, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, ale w tej chwili po prostu nie mam siły wysłuchiwać jej paplaniny o właściwych metodach radzenia sobie z przeszłością. – Nie musisz być tak bezmyślny. Tłumienie wszystkiego w sobie nie jest dobre. Może powinieneś porozmawiać...

Przerywa jej dźwięk mojego telefonu, który wibruje wściekle na szafce nocnej. Mama unosi brew i sięga po niego, zanim ja zdążę to zrobić.

– To Tiffani – mówi poirytowana i rzuca mi telefon. Oczekuję, że wyjdzie, ale ona nawet nie drgnie. Tylko gapi się na mnie z dezaprobatą. Nigdy nie przepadała za Tiffani i zastanawiam się, czy to dlatego, że zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nawet nie kocham tej dziewczyny, z którą jestem od trzech lat. Mama nie jest głupia. Idę o zakład, że wie, iż ten związek nic nie znaczy.

Odwracam się do niej plecami i przykładam telefon do ucha.

– Co? – mrużę. Czy Tiffani porąbała? Po co wydzwania do mnie o tej porze? W ogóle wróciła wczoraj do domu?

– Pobudka, skarbie – mówi głosem zbyt radosnym jak na tę porę dnia, a ja czuję, że zaraz zwymiotuję. Czy ona nie ma kaca? Nie pamiętam nawet, czy była pijana. – Wpadnę do ciebie za pół godziny. Muszę skoczyć na zakupy i zabieram cię ze sobą. Myślałam o promenadzie. W drodze powrotnej możemy odebrać twój samochód.

– Żartujesz? – jęczę i przyciskam dłoń do czoła. Skórę mam rozpaloną, włosy wilgotne. Zimny prysznic byłby teraz zbawieniem. – Tiff, ja umieram.

– Cóż, tak to jest, jak się jest idiotą. – Śmieje się gorzko. – Do zobaczenia za pół godziny! – dodaje pospiesznie. Po tych słowach się rozłącza. To znak, że wszystko wróciło do normy.

Wkurzony rzucam telefon na podłogę i zaciskam zęby. Gdybym nie musiał się jej podlizywać po wczorajszej kłótni, *nigdzie* bym się dzisiaj nie ruszył.

– Co znowu? – pyta mama. Mogłaby przestać wzdychać. Wiecznie to robi i mam tego, kurwa, dość. Przez te jej westchnienia mam wrażenie, że potrafię tylko doprowadzać ją do szału.

– Wygląda na to, że jadę do centrum – mrużę, odrzucam pościel i siadam.

– Nigdzie nie jedziesz. Masz szlaban – przypomina mi mama z całą stanowczością, na jaką ją stać, ale to czcza gadanina i ona dobrze o tym wie. Nie radzi sobie ze mną. Nie wie jak. Nienawidzę jej rozczarowywać, ale nie wiem, co innego mógłbym robić. Oto, jaki jestem.

– Jadę na promenadę – oświadczam powoli i to wystarcza, żeby dała za wygraną. Znowu wzdycha, tak jak to tylko ona potrafi, kręci głową i w końcu wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Podoba mi się to, że nigdy nie oczekiwała, iż będę idealny, ale taki właśnie chciałbym być. Zasluguje na to i na znacznie więcej.

Nogi mam jak z waty. Wlokę się do łazienki, a gdy spoglądam w lustro, uświadamiam sobie, że naprawdę nie jest ze mną dobrze. Wyglądam, jakbym przeszedł piekło, i cały jestem obolały. Przetrzęsam szafkę, biorę antydepresanty i parę proszków przeciwbólowych i zmuszam się do wejścia pod prysznic. Stoję pod strumieniem zimnej wody tak długo, aż czuję, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Mam nadzieję, że mnie to obudzi, i tak jest, chociaż wcale nie czuję się lepiej.

Ubieranie się samo w sobie jest wyzwaniem. Muszę przerywać co kilka sekund, żeby zaczerpnąć tchu. W chwili, gdy Tiffani podjeżdża pod dom i zaczyna na mnie trąbić, właśnie kończę się przygotowywać. Sięgam po portfel oraz kluczyki i wpycham je do kieszeni. I nagle przypominam sobie coś z ubiegłej nocy.

Pamiętam, że nie miałem kluczy i drzwi otworzyła mi tamta dziewczyna.

*Eden.*

Eden wpuściła mnie do domu i oszczędziła mi upokorzenia, gdyby mama znalazła mnie rano śpiącego na trawniku przed domem.

Zatrzymuję się na korytarzu tuż przed drzwiami do pokoju gościnnego. Chociaż teraz to chyba pokój Eden. Drzwi są zamknięte i nie wiem, czy Eden śpi czy nie, ale na chwilę unoszę rękę i zastanawiam się, czy nie zapukać. Wiem, że powinienem jej podziękować, ale nagle przypominam sobie odrazę, z jaką patrzyła na mnie w nocy. Szybko opuszczam dłoń i idę dalej. Tiffani czeka, a Eden raczej nie ma ochoty mnie oglądać. Chyba nie zrobiłem na niej dobrego wrażenia; zresztą na nikim nie robię dobrego wrażenia. Wolę, żeby tak zostało. Kiedy ludzie cię nie lubią, trzymają się od ciebie z daleka.

Ukradkiem schodzę na dół i oglądam się przez ramię, szukając wzrokiem mamy i Dave'a, ale nigdzie ich nie widzę. Idę prosto do drzwi, otwieram je i pospiesznie przecinam trawnik, kierując się ku zaparkowanemu przed domem soczyście czerwonemu samochodowi.

Siadam na fotelu pasażera, a Tiffani mierzy mnie wzrokiem.

– Wyglądasz tragicznie – oświadcza. Łatwo jej mówić. Gdyby wypłała tyle co ja, w życiu nie wstałaby o tej porze, żeby się uczesać i umalować. Wygląda dobrze, ale nie mam siły jej tego powiedzieć. – Chcesz, żebym pokazywała się z tobą w takim stanie?

– Czuję się do dupy – mruczę. Zapinam pas i odchylam się do tyłu. Zamykam oczy i skupiam się na oddechu. – Głowa mi pęka, proszę cię, nic do mnie nie mów.

– *Nudny* jesteś – rzuca Tiffani i choć na nią nie patrzę, wyczuwam, że dramatycznie przewraca oczami, a zaraz potem rusza.

Choć raz autentycznie milczy. Przez całą drogę do centrum nie odzywa się ani słowem, chociaż radio jest włączone i jestem pewien, że muzyka gra coraz głośniejsze. To tylko potęguje mój ból głowy, muszę więc opuścić szybę, żeby wpuścić do samochodu trochę świeżego powietrza. Czuję się, jakby dwukrotnie potrącił mnie autobus i obiecuję sobie, że nigdy więcej się tak nie upiję. Nie jest to warte urwanego filmu i tych męczarni. Następnym razem odpuszczę, jak tylko poczuję, że mam już dość. Chociaż łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Wiem, co cię wyleczy – przekomarza się ze mną Tiffani, kiedy parkujemy. Otwieram oko i patrzę na nią. – Moja mama wychodzi wieczorem – ciągnie. Gasi silnik i odpina pas. Odwraca się w moją stronę, a ja zauważam, że uwodzicielsko przygryza dolną wargę. – Myślałam więc, że moglibyśmy...

Siadam prosto. Tiffani wie, jak przyciągnąć moją uwagę.

– Moglibyśmy co? – pytam i unoszę brew. Znam odpowiedź. Po prostu chcę usłyszeć, jak mówi to na głos. Tak cudownie się przy tym rumieni.

– Może – mruczy i nachyla się w moją stronę – moglibyśmy to kontynuować? – Trzepocze rzęsami, kładzie mi rękę na piersi i przyciska pociągnięte błyszczkiem usta do moich. Zawsze to samo. Stara się mnie zdominować, ale jestem od niej silniejszy i po chwili zatapiam palce w jej włosach i kąsam zębami jej dolną wargę. Niespełna minutę później Tiffani odpycha mnie od siebie. – Hmm? I co ty na to?

– Naprawdę musisz pytać?

Tiffani nie jest taka zła. Jest megalaską i odwraca moją uwagę od gównianych spraw, które chodzą mi po głowie. Wiem, że ją wykorzystuję, ale wiem też, że ona wykorzystuje mnie. W przyszłe wakacje po zakończeniu szkoły pewnie ze sobą zerwiemy, a ona wyjedzie do college'u i znajdzie sobie gościa, dzięki któremu jej życie studenckie będzie bardziej fascynujące. Wiemy, na czym stoimy, oraz jak wygląda nasz związek, i w tej kwestii jesteśmy zgodni.

Dobrze mi z tym. Nie zamierzam spędzać z nią reszty życia. Prawdę mówiąc, nie

zamierzam spędzać go z nikim. Nie wymyśliłem sobie tego, bo staram się nie myśleć za dużo o przyszłości. Nie wiem nawet, czy za kilka lat będę wciąż żył i, szczerze, wolę się nad tym nie zastanawiać. Nie nadaję się do college'u. Nie nadaję się na męża ani ojca. Tak naprawdę do niczego się nie nadaję. Dlatego żyję z dnia na dzień i próbuję jak najlepiej poradzić sobie z terażniejszością.

Wciąż czując mdłości, podążam za Tiffani Third Street Promenade, drugą z kolei dumą i radością Santa Monica, zaraz po molo i plaży. Jest sobota i słońce weszło wcześniej, na promenadę wyległy więc tłumy; ludzie lawirują między ulicznymi artystami, wchodzą i wychodzą ze sklepów z ubraniami oraz z restauracji. Tiffani i ja wkrótce do nich dołączamy.

Tiffani trzyma mnie za rękę i wlecze za sobą środkiem promenady. Kręci biodrami, próbując zwrócić na siebie uwagę, ale nikt na nią nie patrzy. Często to robi, a ja pozwalam jej na to, bo uważam, że to zabawne. Jestem wykończony, ale wyjście z domu na świeże powietrze sprawia, że czuję się trochę lepiej.

– A te? – pyta Tiffani. Jesteśmy w American Apparel i mam wrażenie, że macha mi przed nosem parą dzinsów chyba piętnasty raz. Nie mam pojęcia, czym te różnią się do poprzednich.

– Ja... szczerze... nie wiem. – Prawdę mówiąc, mam to gdzieś. Opieram się o wieszak z przecenionymi topami i, znudzony, przyglądam się ludziom. Nagle zauważam przebieralnie w drugim końcu sklepu. Na drzwiach wisi tabliczka z informacją, że są zamknięte, ale to nie z ubraniami zamierzam tam iść.

Zerkam na Tiffani, która stoi przed lustrem, sprawdzając, jak wyglądałaby w tych dzinsach, i przechyla głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Staję za nią i obejmuję ją w pasie.

– Po co czekać do wieczora? – mruczę jej do ucha. Przywieram do niej ciałem i muskam ustami delikatną skórę na jej szyi. – Czemu nie zrobić tego... teraz?

– Tyler! – Odwraca się i uderza mnie spodniami, które trzyma w dłoni. Usta ma rozchylone, policzki zarumienione i widzę, że jest chętna. Udaje oburzoną, ale jej oczy błyszczą figlarnie.

– No, chodź. – Wrywam jej dzinsy z ręki i ciskam je na najbliższy stół, a zaraz potem chwytam ją za rękę i ciągnę w kierunku zamkniętych przebieralni. Muszę się jej podlizać, a wiem, że nic nie sprawia jej takiej frajdy, jak świadomość, że jest pożądana. Nawet jeśli powód jest kiepski.

Rozglądam się dokoła, szukając wzrokiem kogoś z obsługi sklepu, ale nikogo nie widzę. Idę przodem, pchnięciem otwieram drzwi do przymierzalni i wciągam Tiffani za sobą.

– Boże, to kiepski pomysł... – mruczy i ściska mnie za rękę. – Bardzo kiepski pomysł...

Odwracam się do niej i przywieram ustami do jej ust, głównie po to, żeby przestała paplać, zanim spanikuje i się wycofa. Całuję ją zachłannie i oboje przez chwilę walczymy o dominację; w końcu wypycham ją do boksu i zaciągam zasłonę. Zarzuca mi ręce na szyję i przyciąga mnie do siebie, podczas gdy ja zatapiam palce w jej włosach. Nie jesteśmy wobec siebie szczególnie delikatni, gdy więc mam okazję szarpnąć ją za włosy, po prostu to robię.

– Przeestań – szepcze Tiffani ze śmiechem i odsuwa się ode mnie. Jej niebieskie oczy błyszczą i wiem, że podoba jej się to.

– Skarbie. – Chwytam ją za bluzkę i przyciągam do siebie; całuję w kącik ust i zaczynam rozpinąć guziki. Wodzę ustami po jej policzku i szyi, zamykam oczy i biorę się do roboty.

– Co to za zapach? – pyta schrypniętym głosem. Przechyla głowę i obiema rękami wczepia się w moje włosy. – To Montblanc? Pachnie jak Montblanc.

Mogłaby w końcu przestać gadać.

– Nie, to Bentley – mówię. – Chodź tu. – Odnajduję ustami jej usta i przypieram ją do ścianki kabiny. Nie myślę o kacu. Całuję megafajną laskę w przymierzalni cholernego American

Apparel i podoba mi się to. Byłbym idiotą, gdyby było inaczej.

Wsuwam jej rękę pod bluzkę i całuję jej piersi; zataczamy się jak pijani. Tiffani w jednej ręce gniecie moją koszulkę, a drugą obejmuje mnie za szyję. Czuję, jak dyszy mi we włosy, opierając brodę o czubek mojej głowy.

– Co robisz?

– Co? – mruczę, nie odrywając ust od jej ciała.

– Cokolwiek teraz robisz – mówi, z trudem łapiąc oddech – to jest przyjemne.

Sam nawet nie wiem, co takiego robię. Całuję ją i dotykam. Moje ręce błądzą po jej ciele, płaczą się w jej włosach, wślizgują się pod bluzkę i zatrzymują się na jej biodrze.

– Pewnie, że tak. – Odsuwam się na chwilę i ściągam koszulkę. Sięgam dłonią do paska spodni, ale Tiffani łapie mnie za nadgarstek.

– Tyler – szepcze. Kręci głową, ale patrzy na mnie rozbawiona. – Nie zrobimy tego tutaj.

Mam zamiar zmrużyć oczy i zapytać ją, dlaczego, do cholery, mielibyśmy nie robić tego tutaj, gdy nagle słyszę, jak ktoś woła:

– Eden, jesteś tu jeszcze?

Nagle oboje stajemy bez ruchu. Nie jesteśmy tu sami.

– Cśśś – syczy Tiffani. Na jej twarzy maluje się niepokój. – Kto tam?! – pyta chwilę później podniesionym głosem.

Odpowiada jej cisza, a zaraz potem słyszymy:

– Tiffani?

– Rachael?

*Dzięki Bogu.* Lepiej, że nakryła nas Rachael niż któryś z pracowników sklepu. Oboje z Tiffani patrzymy na siebie z ulgą. W końcu Tiffani odsuwa zasłonę i wychodzi z przymierzalni. Ja zostaję w środku.

– Nie miałam pojęcia, że ktoś tu jest – tłumaczy Tiffani. Słyszę w jej głosie zakłopotanie, choć domyślałam się, że z drugiej strony podnieca ją myśl, że zostaliśmy przyłapani. Uwielbia takie plotki. *Słyszałaś, że Tiffani i Tyler zostali nakryci, jak obściskiwali się w American Apparel?* To przypomni wszystkim, że tak, jesteśmy razem i, tak, musimy być cholernie zakochani, skoro nie możemy utrzymać rąk przy sobie.

– Co robisz? – pyta Rachael. – Ty też tu jesteś, Tyler? – dodaje zaraz potem nieco głośniejsze.

Zgrzytam zębami i masuję skroń.

– Taa – mówię w końcu i wychodząc z kabiny, zakładam koszulkę. Włosy mam w nieładzie i próbuję przyczesać je palcami. Nie podoba mi się to ich najście. – Słyszałaś kiedyś o prywatności?

Rachael patrzy na mnie tym samym pełnym dezaprobaty i obrzydzenia spojrzeniem co zawsze.

– A ty o niemigdaleniu się w samym środku American Apparel? To obrzydliwe.

Tiffani zaczyna niezdarnie zapinać guziki bluzki.

Rachael nie jest sama. Obok niej stoi Eden, która trzyma w dłoniach stos ubrań i patrzy na mnie w milczeniu. Nieznacznie spuszcza głowę, ale i tak widzę, że przygląda się nam z ciekawością.

– Co wy tu w ogóle robicie? – pytam, patrząc na Eden, i zastanawiam się, co myśli o mnie *teraz*. Czy była tu przez cały czas? Wczoraj widziała, jak spóźniłem się na grilla, potem oglądała mnie zalanego na trawniku, a teraz może nic nie widziała, ale na pewno wie, że zabawiałem się ze swoją dziewczyną w sklepowej przymierzalni. Pewnie myśli, że jestem dupkiem. I dobrze.

– Mierzymy ubrania – odpowiada Rachael i przewraca oczami. – W przymierzalniach to



chyba normalne.

Tiffani najwyraźniej też nie jest zadowolona z tego najścia, bo rzuca Rachael groźne spojrzenie i dopiero po chwili dostrzega Eden. Nie wiem, czy się już spotkały. Przechyla głowę i pyta:

– A ty to kto?

Znowu jest Tiffani, którą chce być. Oboje jesteśmy dobrymi aktorami i Tiff, gdy poznaje kogoś nowego, szybko daje mu odczuć, że to ona sprawuje władzę. Taksuje Eden wzrokiem, żeby ją zastraszyć, a mnie jest głupio, bo widzę, jak niezręcznie czuje się Eden.

– Eden – mówi z ociąganiem. Boże, kiedy zdenerwowana wypowiada swoje imię, jej schrypnięty głos brzmi niesamowicie. – Jego przybrana siostra – dodaje, zerkając na mnie.

– Masz przybraną siostrę? – Tiffany odwraca się i wierci mnie wzrokiem. Chyba nigdy jej o tym nie wspomniałem. Nie uważałem, że to konieczne. W końcu Eden tu nie mieszka, a poza tym kompletnie zapomniałem, że przyjeżdża na wakacje. Ale Tiffani lubi mieć pod kontrolą każdą sferę mojego życia i ta informacja jest dla niej sporym zaskoczeniem.

– Najwyraźniej. – Wzruszam ramionami.

Tiffani gapi się na mnie i mruga. Widzę, że jest wkurzona.

– Co tu robiłaś? – pyta i spogląda na Eden. – Szpiegujesz nas?

– Wyluzuj, kotku. – Dotykam jej ramienia i zerkam na nią. Po tym, jak Eden pomogła mi w nocy, jestem jej dłużnikiem. Mogę przynajmniej sprawić, że Tiffani zakończy to przesłuchanie, którym chce podbudować sobie ego. – To nic wielkiego. Przestań się rzucać.

Odtrąca moją rękę i krzyżuje dłonie na piersi. Będzie wkurzona, że ją powstrzymałem, ale mam to gdzieś.

– Tak tylko mówię – rzuca.

– No to przestań. – Znowu zerkam na Eden, która przygląda nam się z uwagą. – Ona ma to gdzieś. Chodźmy już. Muszę wpaść do Levi'sa. – To bzdura. Po prostu chcę się wynieść w cholerę z tych przeklętych przymierzalni. Obejmuję ją i przyciągam do siebie, ale ona ani drgnie.

– Widzimy się we wtorek – mówi do Rachael. – Bo chyba przyjdiesz na plażę?

– Jasne – odpowiada Rachael, a zaraz potem zerka na Eden i nie ma wątpliwości, co zaraz powie. Zastanawiam się, kiedy Rachael i Eden zdążyły się zaprzyjaźnić. Cholerny grill... – Eden też może przyjść?

Tiffani wzdycha i zaciska usta. Milczy przez chwilę, boleśnie dając Eden do zrozumienia, że wcale jej tam nie chce. Nasza paczka powstała w gimnazjum i Tiffani nienawidzi, kiedy kręci się koło nas ktoś nowy. Wie, że może kontrolować nie tylko mnie, ale i naszych przyjaciół, i drażni ją świadomość, że coś mogłoby to zmienić.

– No dobra.

Mam tego dość. Mam dość Tiffani, jej ego i ukradkowych spojrzeń Rachael. Dlatego raz jeszcze przyciągam Tiff do siebie i tym razem – na szczęście – ona nie protestuje. Dokończymy później. Dziś wieczorem. Jeśli, rzecz jasna, nie będzie wkurzona.

Wychodzimy z przymierzalni do tętniącego życiem sklepu, a ja dyskretnie oglądam się przez ramię i widzę, że drzwi są już zamknięte. *Cholera*, myślę.

Chciałem raz jeszcze spojrzeć na Eden, bo jeszcze się na nią nie napatrzyłem.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Ojciec w ciszy postukuje palcem wskazującym w kierownicę. Usta ma zaciśnięte, a wzrok wbity w drogę. Nie włączył radia. Stąd wiem, że nie jest po prostu zły, tylko naprawdę wściekły. I wiem dlaczego. Wszystko przez to, że miałem jeszcze raz odrabiać pracę domową, którą podarł wczoraj wieczorem. Nie powinienem był jechać po szkole do Deana. Powinienem był poprosić Hugh, żeby odwiózł mnie prosto do domu. Powinienem był wiedzieć, jak to się skończy.

– Miałem... miałem to zrobić wieczorem – mówię cicho, zbierając się na odwagę. Bawię się rękami, nerwowo splatam i rozplatom palce. Wolę na niego nie patrzeć. Nie teraz, kiedy jest na mnie zły.

– Wiedziałeś, że chcę, żebyś odrobił tę pracę domową zaraz po szkole – cedzi przez zaciśnięte zęby. Jego dłoń zaciska się na drążku zmiany biegów. Kiedyś mi powiedział, że prawdziwi mężczyźni jeżdżą samochodami z manualną skrzynią biegów. – Dobrze wiemy, co się dzieje, jak wszystko zostawiasz na wieczór. Zaczynasz marudzić, że jesteś zbyt zmęczony i nie możesz się skupić.

– Odrobię ją zaraz po kolacji! – obiecuję i podnoszę na niego wzrok. Może da się jeszcze uratować sytuację. Przecież nie chodzi o to, że nie zamierzałem odrabiać pracy domowej. Po prostu najpierw chciałem pograć w futbol, tak jak Dean.

– Lepiej nic nie mów, Tyler – mówi tata. Głos ma cichy, lecz stanowczy. Jak zawsze. Spogląda na drogę, wolną ręką masując skroń. – Proszę.

Spuszczam wzrok na plecak, który stoi na podłodze pod moimi nogami, i kopię go delikatnie. Tak jak powiedział Hugh: to tylko siódma klasa. Chciałbym, żeby ojciec nie traktował wszystkiego tak poważnie; jak gdyby cała moja przyszłość miała lec w gruzach z powodu jednego oblanego testu. Nawet nie jestem w liceum! Nikt nie uczy się tyle co ja, ale dla niego to i tak za mało.

Robię, co mi każe, i przez resztę drogi do domu nie odzywam się ani słowem. To tylko pięć minut, siedzę i wodzę palcami po liniach na swoich dłoniach. Kiedy radio nie gra, napięcie w samochodzie jest bardziej wyczuwalne, a cisza staje się niemal nie do wytrzymania. Jest dopiero po czwartej. Popołudniami ojciec pracuje w domu – tego nienawidzę najbardziej. Oznacza to, że przez kilka godzin dziennie jestem z nim sam na sam. Mama zwykle zostaje w pracy do piątej trzydzieści. Jest prawniczką i zawsze ma jakieś sprawy, nad którymi musi posiedzieć. Dlatego kiedy podjeżdżamy pod dom, na podjeździe nie ma jej samochodu.

Ojciec w milczeniu wyciąga kluczyk ze stacyjki i wysiada. Zarzucam plecak na ramię i wlokąc się za nim przez trawnik, czuję, że strach przygniata mnie do ziemi. Myślałem, że wiem, co mnie czeka, ale teraz nie jestem już pewien. Nadal jest wcześniej. Może nawet zdążyć odrobić pracę domową przed kolacją.

– Tato, pójdę i odrobię ją te... – wyrzucam z siebie, kiedy przechodzimy przez próg, ale huk zatrzasniętych drzwi sprawia, że urywam.

– Na górę! – nakazuje ojciec, wbijając we mnie spojrzenie zielonych oczu. Chwyta mnie za plecak i ciągnie przez korytarz i dalej na górę. Sadzi długie kroki, a ja muszę przebierać nogami, żeby za nim nadążyć, inaczej się przewrócę. Pchnięciem otwiera drzwi do mojego pokoju, wlecze mnie za sobą i ciska na krzesło przy biurku. – Godzina, Tyler. JEDNA godzina – oświadcza podniesionym głosem. Szarpnięciem zrywa mi z pleców plecak, omal nie wykręcając mi przy tym ramienia, i zaczyna przetrząsać jego zawartość. Rzuca we mnie garścią poobgryzanych długopisów. – Ohyda – warczy i nie przestaje grzebać w plecaku. W końcu wyciąga pracę domową z matematyki, kładzie ją na biurku i ciska plecak na podłogę. Chwyta mnie za ramię i z jedną ręką opartą o blat biurka kuca, tak że patrzymy sobie w oczy. – Każde z tych zadań ma być nie tylko zrobione, ale zrobione *dobrze*. Rozumiesz? Lepiej, żeby mama nie wiedziała, że się opuszczasz w nauce. Bierz się do roboty. Zaimponuj jej.

Kiwam głową i z długopisem w ręce sięgam po kartkę. Ojciec jeszcze mocniej ściska mnie za ramię, jego palce wbijają mi się w skórę.

– Rozumiem – bąkam. Godzina, żeby zrobić to wszystko jeszcze raz? Przebiegam wzrokiem trzydzieści różnych równań. Nie ma mowy, żeby zrobić to w godzinę.

Tata w końcu puszcza moje ramię, odwraca się i kopnięciem odsuwa plecak.

– *El trabajo duro siempre vale la pena*, Tyler – mruczy pod nosem. Zawsze, kiedy mówi po hiszpańsku, w jego głosie słychać akcent. W końcu babcia pochodzi z Meksyku. – *No lo olvides*. Dobra?

Nie wiem, co to znaczy. A powinienem, bo ojciec uczy mnie hiszpańskiego, odkąd zacząłem mówić; mówię prawie biegle, ale gdy próbuję przetworzyć jego słowa, w głowie mam pustkę. Obracam zdania w myślach i staram się je przetłumaczyć, ale dziś po prostu ich nie rozumiem. Serce wali mi jak szalone. O co zapytał?

Ojcu nie podoba się moje milczenie i najwyraźniej czeka na odpowiedź, bo ogląda się przez ramię i widząc moją zmieszaną minę, powoli się odwraca, by kolejny raz spojrzeć mi w oczy.

– Nawet nie wiesz, co powiedziałem, tak? – Kręci głową, jakbym go zdradził, opiera ręce na biodrach i mrużąc oczy, świdruje mnie spojrzeniem. – TAK?

– *No. Lo siento* – przepraszam. To wszystko, na co mnie stać. Nawaliłem dziś dwa razy. Nie mogę zrobić nic więcej. – *Lo siento* – powtarzam nieco ciszej. Nie wiem nawet, dlaczego wciąż próbuję odwołać się do jego lepszej, bardziej sympatycznej natury. Już dawno temu odkryłem, że nie posiada takiej.

– Chryste, czyli musimy powtórzyć dziś jeszcze *podstawy* pieprzonego hiszpańskiego? – ryczy i wyrzuca ręce w górę. Zaczyna przeklinać. To zły znak. – Próbowałem ci powiedzieć, że ciężka praca zawsze się opłaca. Rozumiesz?

Pospiesznie kiwam głową i wbijam wzrok w leżącą przede mną pracę domową, ale wszystko jest rozmazane. Dłonie mi drżą. Ojciec nie lubi, kiedy nie odpowiadam, ale nie mogę się zmusić do otwarcia ust. Ucisk w piersi utrudnia mi oddychanie. Nie mogę zaczerpnąć tchu. Nie mogę.

Dłonie ojca chwytają mnie za ramiona, ściągają z krzesła i ciskają o ścianę. Potrząsa mną. Mówi coś. Nie słyszę go. Wyłączam się, skupiam się na maleńkiej rysie na ścianie i staram się nie myśleć o tym, co się dzieje tu i teraz. Ogarnia mnie odrętwienie, myśli mam mętne. Ojciec krzyczy. Nadal nie mogę oddychać. W jednej chwili jestem przy biurku, a w następnej przy drzwiach. I znowu przy biurku. Leżę na podłodze. Uścisk taty jest zbyt silny. Zaciskam oczy.



## DZIŚ

Leżę na łóżku i z głową wspartą na trzech poduszkach gapię się w sufit. Telewizor jest włączony, ale nic nie oglądam. Mam na uszach słuchawki i słucham muzyki. Przygnębiających kawałków. Kawałków, które sprawiają, że za dużo myślę. Kawałków w stylu *You Me at Six* albo *All Time Low*, których nikomu bym nie polecił. Za godzinę powinienem się zbierać do Tiffani, ale odkąd godzinę temu wróciłem do domu, mam doła. To wkurzające, bo zwykle tak się dzieje tylko wtedy, gdy zapomnę wziąć pigułek – to znaczy często – a jestem pewien, że dziś rano je brałem.

Często tak mam. Za dużo myślę. Zwykle nic mi nie jest. Zwykle potrafię wszystko znieść. To łatwe, kiedy wystarczy udawać. Ale zdarzają się dni, gdy *nic* nie jest dobrze. Wtedy przestaję radzić sobie z problemami i musi minąć chwila, zanim znów wezmę się w garść i będę *tym* Tylerem Bruce'em.

Teraz jednak dobrze mi być sobą. Jestem sam w pokoju i przed nikim nie muszę udawać. Mogę leżeć tak długo, jak będę chciał, z kapturem naciągniętym na głowę i słuchawkami w uszach, kwestionując swoje życie i zastanawiając się, jaki jest, kurwa, jego sens. Ale niezależnie od tego, jak wiele nocy spędzam na tych rozmyślaniach, wciąż nie znajduję odpowiedzi.

Chciałbym wiedzieć, dokąd właściwie zmierzam. Za bardzo się boję rozmyślać o przyszłości, bo czuję obawę, że nie ma jej dla mnie. Bez przerwy wszystko zawalam, bo skupiam się wyłącznie na tym, żeby przetrwać kolejny dzień i się nie załamać, a jedyny sposób, żeby przetrwać, to nie myśleć o tych wszystkich cholernych problemach.

Szarpię sznurki bluzy, przewracam się na bok i wlepiam wzrok w ścianę. Czasami patrzę w przestrzeń, głównie z przyzwyczajenia. Dawniej naprawdę potrafiłem się wyłączyć, ale teraz trudno mi odpłynąć myślami gdzieś indziej. Mój umysł działa na najwyższych obrotach.

Chciałbym być jak Tyler, którego udaję. On niczym się nie przejmuje. Jest wyluzowany. Ma superlaskę, fajną brykę i największą grupę przyjaciół. Jest szczęśliwy. Ludzie nie wiedzą jednak, że tej superlascie wcale na nim nie zależy. Że samochód, którym się wozi, kosztował go wszystkie pieniądze z funduszu powierniczego. A wszyscy jego przyjaciele to pozerzy.

Tak więc jestem tylko ja, żalorny Tyler. Tyler, który nie wie, kim naprawdę jest, który nienawidzi rozczarowywać swojej mamy, który za bardzo się przejmuje i którego ojciec zrujnował mu życie.

Czasami się zastanawiam, czy w słowniku są słowa, które potrafiłyby wyrazić nienawiść, jaką do niego czuję. Nienawiść, która codziennie rozdziera mnie od środka, która bierze swój początek w klatce piersiowej i rozlewa się po całym ciele, aż nie jestem w stanie zapanować nad złością. Warczę na mamę. I braci. Na Tiffani. Na przyjaciół. Na nauczycieli. Nawet na obcych ludzi. Nie potrafię jej kontrolować. Jestem złym, nieznośnym człowiekiem i choćby za to będę nienawidził go do końca życia.

Tata jest w więzieniu. Siedzi tam od prawie pięciu lat i mam nadzieję, że szczerze go

nienawidzi. Mam nadzieję, że odchodzi od zmysłów, wiedząc, że nikt nie kocha go na tyle, żeby go odwiedzać. Mam nadzieję, że żałuje każdego pieprzonego razu, kiedy położył na mnie łapy. Stracił wszystko, ale ja również. Czy jemu także zdarzają się takie noce? Kiedy nie może przestać myśleć o tym, co się stało, i analizuje każdy szczegół? Kiedy zadaje sobie pytanie: „gdzie popełniłem błąd?” i nie znajduje odpowiedzi?

Pewnie uważa, że moje życie jest lepsze, odkąd nie ma w nim jego. Ciekawe, czy wie, że jest jeszcze gorsze niż kiedyś. Bo chociaż trafił za kratki, wciąż odczuwam skutki przemocy, jakiej się wobec mnie dopuścił. Zupełnie jakby zapuściła korzenie w mojej głowie. Zrobiła ze mnie popaprańca. Chciałbym, żeby wiedział, że radzenie sobie z psychologiczną traumą jest milion razy gorsze niż przyklejanie plastra na rozcięcie, czekanie, aż siniec zniknie albo aż złamanie się zrośnie.

Boję się, że to się nigdy nie skończy. Że nigdy nie dojdę do siebie i że już zawsze będę człowiekiem, którego życie poszło w rozsypkę.

Przez dźwięki muzyki przebija się głos mamy, która woła do mnie z dołu schodów. Siadam i wyjmuję jedną słuchawkę, żeby usłyszeć, co do mnie mówi, ale tylko mnie informuje, że zaraz wychodzą. Idą na kolację, ale ja zostaję. Wie, że mam kiepski nastrój i jestem jej wdzięczny, że się nie upiera, żebym szedł z nimi. Chociażby dlatego czuję, że powinienem wstać i się pożegnać.

Niechętnie dźwigam się z łóżka i podchodzę do drzwi. Nie zdejmuję kaptura i nie wyłączam muzyki. Wychodzę na korytarz i pierwszą osobą, którą widzę, jest Eden. Nie widziałem jej od rana, od tamtej niezręcznej sytuacji w American Apparel, i przyglądam się jej spod przymrużonych powiek. Ma na sobie spodnie dresowe, które raczej nie nadają się na rodzinny wypad do restauracji.

– Nie idziesz? – pytam.

– A ty? – odgryza się. Zakładam więc, że nie idzie. A to znaczy, że utknąłem w domu razem z nią. Niech to szlag.

Natychmiast wyciągam drugą słuchawkę i zdejmuję kaptur. Tak świetnie idzie mi udawanie Tylera Bruce’a, że potrafię wejść w rolę, nawet o tym nie myśląc. A teraz muszę być nim. Nie sobą.

– Mam szlaban – mówię tylko dlatego, że brzmi to lepiej niż tłumaczenie, że mam cholernego doła. Pocieram skroń i czuję na twarzy uderzenie gorąca. – A ty jaką masz wymówkę?

– Źle się czuję – rzuca bez przekonania. Odwraca się i schodzi po schodach. Idę za nią i patrzę, jak jej włosy kołyszą się wokół ramion. Nie wiem, czy robi to celowo, czy nie zdaje sobie z tego sprawy. – Dziwne: masz szlaban, a jednak poszedłeś do American Apparel – dodaje, obraca się przez ramię i patrzy na mnie spod firanki rzęs. Na szczęście mówi szeptem.

Kim w ogóle jest ta dziewczyna? Ma pojęcie, z kim zadziera?

– Zamknij się – warczę.

Na dole przy drzwiach czeka reszta tej dziwacznej zbieraniny, która udaje rodzinę. Mama i Dave są wystrojeni. Jamie i Chase dyskretnie szturchają się łokciami.

– Nie wrócimy późno – zapewnia mama, a jej łagodne spojrzenie spoczywa na mnie. Widzę w jej oczach niepokój, ale nic mi nie będzie. Jak zawsze. Kiepski nastrój nigdy nie trwa dłużej niż kilka godzin. – Nawet nie myśl o tym, żeby gdzieś wychodzić – dodaje, żeby przypomnieć mi, że nadal mam szlaban. Jakbym się tym przejmował.

– Gdzieżbym śmiał – zapewniam ją. Splatam ręce na piersi i opieram się o ścianę. Przed Eden muszę udawać luzaka. Pierwsze wrażenie jest zawsze najważniejsze, a ja właśnie pracuję na swoje.

– Możemy już iść? – marudzi Chase. – Jestem głodny.

– Tak, tak, chodźmy – rzuca Dave. Nawet jak na ojczyma jest do niczego. Praktycznie nie zwraca na mnie uwagi. Otwiera drzwi, żeby wypuścić Jamiego i Chase’a, którzy pędem rzucają się do samochodu. Patrzy tylko na swoją córkę. – Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej, Eden – mówi, ściągając brwi.

Eden raczy go kwaśnym uśmiechem. Kłamie, ale on tego nie widzi.

– Pa – rzuca, a ton jej głosu sprawia, że mam ochotę parsknąć śmiechem.

Pierwszy raz widzę, jak ze sobą rozmawiają, ale nie wyczuwa się między nimi ciepła.

– Zachowujcie się – dodaje pospiesznie mama, choć musi wiedzieć, że to ostrzeżenie nic nie da. W końcu wszyscy wychodzą, zostawiając mnie i Eden w ciszy korytarza.

Taksuję ją wzrokiem od stóp do głów i próbuję ją rozgryźć. Z początku wydawała się spokojna, niemal skryta. Ale przed chwilą odcięła mi się, a do tego okłamuje swojego ojca? Nieźle. A więc wcale nie jest taka spokojna.

Odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, a kiedy sobie uświadamia, że się jej przyglądam, marszczy nos.

– No i?

– No i? – przedrzeźniam ją piskliwym głosem. Jest tu nowa i muszę ją rozszyfrować, dlatego testuję ją i chcę, żeby od początku wiedziała, kim jest Tyler Bruce. Albo raczej kim chciałby być.

– No i? – powtarza. Sądząc po jej minie, nie przepada za mną, ale to nic. Wcale mi na tym nie zależy.

Zerkam na zegar wiszący na ścianie za jej plecami. Jest szósta. Tiffani chciała, żebym był u niej przed siódmą, ale myślę, że pojadę wcześniej, żebym nie musiał siedzieć tu z Eden. Sytuacja już teraz jest niezręczna.

– Idę pod prysznic – oświadczam. Stoi między mną a schodami, udaję więc najlepiej, jak mogę. – Jak tylko zejdziesz mi z drogi – dodaję.

Powoli się odsuwa, a jej zmrużone oczy patrzą na mnie z odrazą. Mam to gdzieś. Mijam ją, trącając ją ramieniem, i idę po schodach do swojego pokoju. Przynajmniej wyrwałem się z błędnego koła analizowania swojego życia. Teraz mam w głowie tylko jedno: Tiffani. Ona wie, jak mnie czymś zająć. Jest w tym naprawdę dobra. To jeden z powodów, dla których w ogóle z nią jestem.

Przez chwilę krzątam się bez celu po pokoju, przeskakuję po kanałach, wyciągam czyste dzinsy i koszulkę, a w końcu idę pod prysznic. Wyobrażam sobie, że woda splukuje ze mnie wszystkie kretyńskie myśli, jakie chodziły mi po głowie przez ostatnie kilka godzin, i kiedy wychodzę, czuję się dużo lepiej. Jestem gotowy wejść w rolę i być *tym* Tylerem Bruce’em.

Właśnie zakładam koszulkę, gdy słyszę kroki na schodach. Nasłuchuję, czy Eden idzie do swojego pokoju, czy może do mnie. Mam nadzieję, że to drugie, bo wtedy będę mógł się z nią podroczyć. Szybko uświadamiam sobie jednak, że to wcale nie Eden.

– Jezu Chryste – mówi Tiffani, wchodząc do mojego pokoju. Policzki ma zaróżowione i wygląda na zawstydzoną. Zamyka za sobą drzwi i wyrzuca do góry ręce. – Myślałam, że sprowadziłeś tu sobie jakąś pannę!

Mrugam zaskoczony. Nie miałem pojęcia, że wpadnie. Z tego, co wiedziałem, mieliśmy się spotkać u niej.

– Co?

– Ta twoja przybrana siostra, która wzięła się znikąd, mało nie przyprawiła mnie o zawał serca! – tłumaczy i kręci głową. Włosy, upięte w koński ogon, kołyszają się wokół jej ramion.

– Poważnie, byłam gotowa wejść tu i cię zabić.

– Tiffani – mówię stanowczo, a ona milknie. Podchodzę do niej, kładę jej ręce na ramionach i po prostu na nią patrzę. – Uspokój się. To tylko Eden.

Oddycha ciężko, ale kiwa głową. Wbijają we mnie spojrzenie niebieskich oczu i przechyla głowę.

– Masz rację. Nie wywinąłbyś mi takiego numeru, prawda? Bo nie wiem, co bym ci zrobiła.

Myślę o wczorajszym wieczorze i Naomi, ale zaraz przypominam sobie, że byłem pijany. Czyli to się nie liczy. Kilka miesięcy temu, gdy całowałem się z Ally Jones, też byłem pijany. Jestem prawie pewny, że raz całowałem się z Morgan Young, ale nie pamiętam szczegółów. Takie rzeczy zdarzają się, tylko jak za dużo wypiję, ale i tak wolę nie wiedzieć, co zrobiłaby Tiffani, *gdyby* się dowiedziała. Raz zawiesili mnie przez nią za ściąganie, bo twierdziła, że napisała za mnie esej z literatury. A wszystko przez to, że zapomniałem o jej urodzinach i nie postarałem się tak, jak tego chciała. Mama wie, że palę trawkę tylko dlatego, że Tiffani jej powiedziała. Zrobiła to, bo znów zapomniałem o jej urodzinach.

Uśmiecham się do niej. Nie może się dowiedzieć.

– Miałbym cię rzucić? Nigdy. – Boże, jak ja siebie nienawidzę. Chciałbym powiedzieć Tiffani, że ni cholery mi nie zależy, że owszem, jest ładna, ale tak naprawdę wcale jej nie lubię; że jestem z nią, żeby nie myśleć o innych rzeczach. Ale nie, jestem żalonym kretyńcem, który musi trwać w tym związku, żeby przekonać wszystkich naokoło, że w jego życiu wszystko jest okej, że nic mu nie jest i ma wszystko pod kontrolą. Szedłem do liceum z postanowieniem, że nikt nie zobaczy we mnie żalonego koleśka, z którym można zadzierać, a fakt, że już w pierwszej klasie zacząłem się spotykać z najfajniejszą laską, był tego dowodem. Bez Tiffani od początku musiałbym wyrabiać sobie markę.

Otoczam ją ramieniem, przyciągam do siebie i prowadzę w stronę drzwi, ale ona mnie odpycha.

– Czekałam na ciebie – mówi zupełnie innym tonem. Ostrzejszym i bardziej do niej podobnym. – Co ty wyprawiałeś przez cały ten czas?

Idę za nią na dół i myślę: *Znów się zaczyna*. Wróciła Tiffani-żółta.

– Wyluzuj – rzucam i przewracam oczami. – Miałem wpaść do ciebie za godzinę, tak jak się umawialiśmy.

– Mogłeś przynajmniej odebrać, kiedy dzwoniłam. Wiesz, że masz zawsze odbierać, żebym wiedziała, gdzie jesteś.

– Słuchałem muzyki. Nie słyszałem – kłamię gładko. Widziałem, że dzwoni, ale nie miałem ochoty odbierać. Była ostatnią osobą, z którą miałbym ochotę rozmawiać. Nie zrozumiałaby mnie, bo nie zna prawdy. Nikt jej nie zna.

Zatrzymujemy się w holu. Tiffani odwraca się w moją stronę, prawdopodobnie po to, żeby zacząć kolejną bezsensowną kłótnię, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, zauważam Eden. Siedzi na kanapie w pokoju gościnnym i przygląda się nam. Mam wrażenie, że tylko to potrafi.

– Masz jakiś problem? – pytam ją. Eden nie przestaje na mnie patrzeć. Jej pozbawiona wyrazu twarz wydaje się niewzruszona. – Chryste.

– Zamknij się, Tyler – rzuca Tiffani i wyczuwam, że kręci głową. Zupełnie jakby była po stronie Eden.

– Jak sobie chcesz. – Odwracam się do Tiffani i chociaż działa mi na nerwy, mam nadzieję, że nasze plany na wieczór się nie zmienią. – Wynośmy się stąd.

– Właściwie... – mówi powoli i wysuwa dolną wargę, jak zawsze, kiedy wie, że za chwilę zrobi coś, co mnie wkurzy. Dlatego wiem, że cokolwiek zaraz powie, nie będę

zadowolony.

Wzdycham ciężko.

– Co znowu?

Tiffani odwraca się, wchodzi do salonu i staje przed telewizorem, ku wyraźnej irytacji Eden. Ona też się zastanawia, o co tu właściwie chodzi. Ma to wypisane na twarzy. Wygląda na to, że jest kiepska w ukrywaniu myśli, choć może nie zdaje sobie sprawy, jak wiele można wyczytać z jej twarzy.

– Mam pomysł – oświadcza Tiffani. Zaintrygowany, wchodzę do pokoju i zamieniam się w słuch. Tiffani patrzy to na mnie, to na Eden i wcale mi się to nie podoba. – Austin organizuje spontaniczną imprezę, na którą się wybieramy. Idziesz z nami, Eden. Bo tak masz na imię, prawda? Nie wyglądasz na imprezowiczkę, ale Rachael mówi, żeby cię zaprosić. No to chodź.

– Chwileczkę – wypalam. Co jest? Znowu impreza? Ledwie przetrwałem tę wczorajszą. Ostatnie, czego mi trzeba, to kolejny melanz, na którym będę musiał śmiać się z nieśmiesznych żartów. Na którym będę musiał bujać się do muzyki, której nie lubię. I na którym będę musiał pić więcej od innych, bo wszyscy myślą, że mogę, chociaż wcale tak nie jest. A ja chcę tylko się zrelaksować, spędzić czas z Tiffani i pozwolić jej, by sprawiła, że zapomnę o wszystkim. Podchodzę do niej i kładę rękę na jej biodrze. – Myślałem, że idziemy do ciebie. No wiesz... – szepczę jej do ucha.

– Zmiana planów – mruczy. Mija mnie, splata dłonie i całą swoją uwagę skupia na Eden, przekłetej obcej dziewczynie, którą poznała ledwie kilka godzin temu. – Idziesz z nami, Eden. I ty, Tyler, też. Idziesz i raz w życiu się nie uchłasz.

Czyli nie mogę się nawet nawalić, żeby jakoś przetrwać imprezę?

– Co jest, kurwa? – Wkurza mnie, że zawsze podejmuje za mnie decyzje.

Trzyma w dłoni kluczyki, gotowa do wyjścia. To tyle, jeśli chodzi o informowanie mnie o zmianie planów.

– Rachael i Meg są już u mnie i szykują się do wyjścia, więc lepiej się zbierajmy!

– Zaczekaj – rzuca Eden. Patrzą na nią i widzę, że zrywa się z kanapy. Nie wygląda, jakby miała ochotę na imprezę, ale też nie protestuje. Raczej sprawia wrażenie zaniepokojonej. Zgadza się z Tiffani, nie wygląda na laskę, która lubi się zabawić, ale mam wrażenie, że idzie po to, żeby mnie zaskoczyć. – Muszę się przebrać. Dajcie mi pięć minut.

Tiffani śmieje się na głos; to śmiech pełen współczucia, ale Eden pewnie nie dostrzega różnicy. Naraz Tiff chwytą ją za ramię i przyciągają do siebie.

– Możesz pożyczyć coś mojego. A teraz ruszcie się! Za dwie godziny wychodzimy na imprezę. – Zwalnia uścisk na ramieniu Eden i z zadartą głową, podzwaniając kluczami, idzie w stronę drzwi. Ruszam za nią, ale tylko dlatego, że nie mam wyboru.

– Myślałam, że masz szlaban – rzuca Eden za moimi plecami.

Zatrzymuję się i odwracam, żeby jeszcze raz otaksować ją spojrzeniem. Kim w ogóle jest ta dziewczyna? Domyślam się, że jest z Portland, bo stamtąd właśnie pochodzi Dave. Wiem, że przyjechała tu tylko na wakacje. I wiem, że nie ma pojęcia, kim *ja* jestem, bo wciąż mnie testuje, czy jest tego świadoma, czy też nie. Obserwuje mnie, odgryza się i wszystko kwestionuje. Wiem, że okłamuje swojego ojca. Wiem też, że ma orzechowe oczy, bo widzę je teraz, jak wpatrują się we mnie. Posyłam jej złośliwy uśmiešek, chociaż jestem pod wrażeniem. Większość ludzi nie wytrzyma mojego spojrzenia. I po kilku sekundach odwracają wzrok.

– A ja myślałem, że ty jesteś chora.

Nie odzywa się ani słowem, nawet w samochodzie, kiedy jedziemy do Tiffani. Siedzę na fotelu pasażera i odsuwam go do tyłu najdalej, jak się da, żeby sprawdzić, czy Eden każe mi się odpieprzyć. Nie każe, a szkoda, bo wtedy przekonałbym się, jak brzmi to w jej ustach. Zamiast



tego siedzi cicho na tylnym siedzeniu i zaniepokojona wygląda przez okno.

Tymczasem Tiffani gada jak najęta. Opowiada mi o ostatnich nic nieznaczących dramatach, które kompletnie mnie nie obchodzą, na co tylko kiwam głową i od czasu do czasu mruczę: „Poważnie?”, żeby myślała, iż jej słucham. Tyle że jej nie słucham, bo myślę wyłącznie o tym, że przeraża mnie ta impreza. Melanże są do bani. Chodzę na nie tylko dlatego, że stanowią odskocznię od rzeczywistości. Pomagają się na chwilę zapomnieć, dzięki czemu skupiam się na czymś innym niż to, jak bardzo popaprane jest moje życie.

Na podjeździe przed domem Tiffani stoją zaparkowane samochody Rachael i Meghan. Wiem, że obie już są i szykują się na imprezę. Wyobrażam to sobie: będę musiał godzinami znosić ich kretyńskie chichotanie, oceniać ich stroje i przynosić im drinki.

– Twoja matka jeszcze nie wróciła, tak? – pytam. Stoimy w holu i słuchamy dudniącej na górze muzyki. Eden nie wygląda na zadowoloną, trzyma się z tyłu i pospiesznie rozgląda dokoła. Matka Tiffani nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że znowu tu jestem. Straszna z niej sztywniara.

– Tak. W kuchni jest piwo. Zaczekaj tam na nas, ale nie przeholuj – ostrzega mnie Tiffani i piorunuje mnie spojrzeniem. Wiem, że wczoraj narobiłem jej obciachu. Bierze Eden za rękę i ciągnie ją za sobą po szerokich marmurowych schodach, na których tak często potykałem się po pijaku. W połowie drogi na górę się odwraca. – Zaraz wracamy! – woła.

Eden wygląda na przerażoną, kiedy Tiffani wlecze ją do piekła, nad którym sprawuje kontrolę. Szczerze? Współczuję biedaczce. Jest tu zaledwie – no właśnie, ile? – jeden dzień? Nie wiem, jak wyglądają imprezy w Portland, ale raczej nie tak jak nasze. Nie ma pojęcia, w co się pakuje, i widzę już, że jutro będzie tego żałowała.

Przechesuję włosy palcami, idę do kuchni, gdzie czeka zapas alkoholu, i sięgam po pierwsze lepsze piwo. Otwieram butelkę i pociągam łyk, ale nawet to nie sprawia mi przyjemności. Wczoraj wypilem tyle, że wystarczy mi do końca wakacji.

Mimo wszystko dopijam piwo i, rozwalony na kanapie w pokoju gościnnym, przełączam kanały na ogromnym telewizorze. Skrzynka bud lighta stoi na wyciągnięcie ręki, żebym mógł łatwo sięgnąć po następną butelkę. I jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Wyluzować? Chciałbym, ale Tyler Bruce nie traktuje niczego lekko.

– Jeszcze chwila – słyszę po chwili czyjś głos. Wzdrygam się, bo piwo pite w samotności sprawia, że robię się senny. Podnoszę się i wyciągam szyję. W drzwiach stoi Rachael z drinkiem w dłoni. – Wiesz, że wczoraj byłeś kompletnie zalany.

– Taa. Dzięki za przypomnienie. – Mówiąc to, przewracam oczami i celowo pociągam z butelki, żeby wiedziała, że mam to wszystko gdzieś.

– Tak tylko mówię – bąka i wchodzi do pokoju. Przez chwilę zerka na telewizor, a zaraz potem na mnie i zmartwiona unosi brwi. – Wiesz, wcale nie musisz tyle pić.

– Powiedziała Małolitrażowa Lawson – odgryzam się i odwracam głowę. Rachael szybko mnie nudzi. Potrafi tylko kręcić głową i komentować wszystko, co robię. Czemu wszyscy w moim cholernym życiu próbują mnie kontrolować?

– To co innego – rzuca. Wchodzi głębiej do pokoju i staje dokładnie naprzeciw mnie, tak że nie mam wyboru i muszę na nią spojrzeć, choć wcale mnie nie interesuje, co ma do powiedzenia. – Upijam się, bo mam *slabą głowę*. Ty się upijasz, bo *chcesz*.

Wzdycham i patrzę na nią beznamiętnym wzrokiem.

– Skończyłaś swój wykład?

– Niezupełnie. – Upija drinka, siada na oparciu kanapy i zakłada nogę na nogę. – Po prostu chcę, żebyś wiedział, że ani ty, ani to twoje ego – mówiąc to, stuka mnie w czoło palcem wskazującym – nie ucierpie, jeśli będziesz pił mniej. Nic się nie stanie, jak raz czy dwa

odmówisz. – Spuszcza wzrok na stojące na podłodze puste butelki i ściąga brwi. – Myślę, że dość już wypiliśmy.

– Pogadaj sobie, Rachael. – Spycham ją z kanapy, ale nawet się nie broni. Mam nadzieję, że czuje się lepiej, wiedząc, że spełniła dobry uczynek. Nie odzywa się więcej, tylko upija łyk drinka i wychodzi. Słucham jej kroków na schodach, aż cichną na dobre, i dopiero wtedy pociągam z butelki.

Przez następne pół godziny piszę do Deana i Jake'a, żeby zobaczyć, czy oni też wpadną na imprezę. W końcu tracę cierpliwość. Czekam na dziewczyny od dwóch cholernych godzin – to jakiś żart. Dopijam siódme piwo i dzwigam się z kanapy. Kręci mi się w głowie, ale i tak wlokę się w stronę schodów. Jeśli dziewczyny nie są gotowe – walić to. Pójdę bez nich.

Otwieram drzwi do pokoju Tiffani, w którym pachnie palonymi włosami i perfumami. Muzyka dudni na cały regulator i strasznie tu duszno. Na szczęście laski są już ubrane i umalowane.

– Dobra, możemy już iść? – pytam, stając w progu i opierając się o futrynę. Kątem oka widzę Eden, która wychodzi z łazienki.

Wygląda inaczej. Wygląda jak... one. Jak Tiffani, Rachael i Meghan. Jak dziewczyna, która za bardzo się stara, żeby zrobić wrażenie. Ma na sobie jedną z małych czarnych Tiffani; wiem, że to kiecka Tiffani, bo nie dalek jak miesiąc temu ją z niej zdarłem. Jest kusa i obcisła. Staram się nie patrzeć, chociaż mam ochotę. Ale to by było dziwne. *Przybrana siostra*, myślę. To dla mnie wciąż nowość.

– Dean i Jake są już na miejscu – dodaję pospiesznie i staram się skupić na czymś innym.

– Dobrze wyglądam? – pyta Tiffani, niezupełnie odpowiadając na moje pytanie. Obraca się dokoła, żeby się pochwalić, ale wygląda tak jak zawsze. Wystrojona w skąpe ciuchy, ze zbyt mocnym makijażem, wygląda trochę tandetnie.

– Wyglądasz pięknie, skarbie – zapewniam ją, bo wiem, że to właśnie chce usłyszeć. Dopijam piwo, stawiam butelkę na toalecie i podchodzę do niej. Mam świadomość, że Eden nas obserwuje, dlatego obejmuję Tiffani w pasie. – Naprawdę seksownie – dodaję i całuję ją na oczach wszystkich, bo jeśli jest coś, co Tiffani lubi bardziej od samej siebie, to całowanie się przed publicznością. Ale nie robię tego dla niej. Nie, robię to, żeby pokazać Eden więcej siebie. Więcej Tylera Bruce'a.

Chcę, żeby uwierzyła, że jestem dupkiem. Palantem. Kretynem.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Piątkowe mecze bejsbola stały się w naszej rodzinie tradycją. Kibicujemy Dodgersom i tata zabiera mnie na mecze, odkąd pamiętam. Z czasem dołączył do nas Jamie, potem Chase, a teraz mama w piątki urywa się wcześniej z pracy, żeby pójść z nami. Gdy tylko Dodgersi grają w piątek na swoim boisku, Graysonowie zawsze tam są.

Dlatego jesteśmy tu teraz, na gwarnym Dodger Stadium. Ponieważ jest piątek wieczorem, a Dodgersi grają u siebie przeciwko Arizona Diamondbacks. Słońce stacza się za horyzont, trybuny powoli zapelniają się maruderami, a głos komentatora niesie się po boisku. Mecz właśnie się rozpoczął.

Siedzę pochylony do przodu na skraju krzeselka z rękami między kolanami. Wybijają Diamondbacks, zerkam kątem oka na Jamiego. On też siedzi na krawędzi krzeselka i zaferowany meczem, patrzy w dół. Wychylam się nieco bardziej i spoglądam na Chase'a. Siedzimy na górze trybuny i ludzie przed nami zasłaniają mu widok, dlatego stoi i ogląda mecz na telebimie. Ma czapczkę Dodgersów, która jest na niego za duża i bez przerwy spada mu na oczy. Wzdycham i wychylając się jeszcze bardziej, patrzę na mamę i tatę. Rozmawiają, a mama opiera głowę na ramieniu ojca. Ona też ma na głowie czapczkę. Tata otacza ją ramieniem i patrząc sobie w oczy, oboje wybuchają szczerym śmiechem. Lubię, kiedy są szczęśliwi. Podoba mi się to, że uszczęśliwiają siebie nawzajem.

– Och, Chase! – śmieje się mama. Prostuje się i strząsa z ramienia rękę taty. Opiera dłoń na ramionach Chase'a, delikatnie przyciąga go do siebie, zdejmując mu czapkę i zakłada mu ją tył na przód. – Myślę, że w drodze powrotnej tata powinien kupić ci mniejszą.

– Mama ma rację, kolego – rzuca tata i pochyla się do przodu, żeby spojrzeć na Chase'a. Uśmiecha się szeroko i obaj z Chase'em robią żółwika. Zaraz potem podnosi wzrok na mnie. Spogląda to na mnie, to na Jamiego i uśmiecha się szeroko. – Jesteście głodni? – pyta.

Jamie odwraca wzrok od boiska i zdezorientowany patrzy na tatę.

– Ale to dopiero pierwsza runda – mówi. Zwykle czekamy do trzeciej, żeby zjeść hot dogi; to kolejna rodzinna tradycja.

– Zanim dotrę na początek kolejki, będzie trzecia runda! – mówi mama i wstaje. Podnosi z ziemi torebkę. – Nadchodzą hot dogi! – Przeciska się obok taty, który chwytając ją za daszek czapki, przyciąga do siebie i całuje. Chwilę później mama znika na końcu rzędu.

– Tyler – mówi ojciec. Wbija we mnie spojrzenie i kiwa głową w jej stronę. – Pomóż mamie.

Zrywam się z krzeselka, przeciskam obok Jamiego i Chase'a i przechodzę nad długimi nogami ojca. Przygląda mi się z uwagą, a na jego ustach widzę cień uśmiechu. Dziś wieczorem jest odprężony. Jak zwykle w piątek. Przechodzę bokiem między rzędami krzeseł i puszczam się biegiem za mamą. Przy rozstawionych co kilkanaście metrów stoiskach z jedzeniem i gadżetami ustawiły się długie kolejki.

– Och, Tyler! – mówi mama. Staję obok niej na końcu jednej z kolejek, a ona patrzy na

mnie, nieświadoma, że za nią szedłem. – Przegapisz mecz!

– To nic – mówię i nieznacznie wzruszam ramionami. – Tata prosił, żebym ci pomógł. Zresztą i tak wybijają Diamondbacks. – Nawet nie chcę myśleć o minie, jaką zrobiłby ojciec, gdybym mu odmówił, gdybym zaczął kręcić nosem i powiedział, że chcę zostać i oglądać mecz. Ma dzisiaj dobry humor i dużo się uśmiecha, ale nie chcę wystawiać na próbę jego cierpliwości. Jego dobry humor nigdy nie trwa długo, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Hmm – mruczy mama i zaciska usta, udając, że się nad czymś zastanawia. Zaraz potem uśmiecha się szeroko; jej niebieskie oczy błyszczą. Czemu nie jestem podobny do niej? – Kto cię wychował na takie dobre dziecko?

– Ty – odpowiadam. Uśmiecham się do niej, ale jest to wymuszony uśmiech. Wychował mnie też ojciec i dlatego muszę być dobry. *Jestem* dobrym dzieciakiem, ale tylko dlatego, że za bardzo boję się nim nie być. Dlatego zawsze staram się pamiętać o dobrych manierach, pracuję ciężko w szkole i robię, co mogę, żeby unikać problemów. Czasami nawet to nie wystarczy.

Mama śmieje się, mierzwi mi włosy i otacza mnie ramieniem. Przesuwamy się do przodu.

– Z keczupem i bez musztardy, tak?

Kiwam głową. W miarę jak podchodzimy coraz bliżej, uwaga mamy skupia się na stoisku z jedzeniem. Nie zauważa, że przyglądam się jej, obserwuję jej łagodne rysy twarzy i zastanawiam się, czy kiedykolwiek by mi uwierzyła. Chcę, żeby poznała prawdę. Żeby wiedziała, że się boję i że nie wiem, co następnym razem zrobi mi tata, ale nie mam pojęcia, jak jej to powiedzieć. Ona go kocha. Czy nadal by go kochała, gdyby wiedziała? Tata nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wszystko zepsuł. Chcę jej powiedzieć, żeby mogła mi pomóc i może poprosiła tatę, żeby przestał. Ale nie chcę, żeby się smuciła. Lubię, kiedy się uśmiecha. Kiedy jest szczęśliwa. Kiedy oboje są szczęśliwi.

Dlatego nigdy jej nie powiedziałem. I dlatego nigdy tego nie zrobię. Nie mogę. Jestem przerażony, bo nie wiem, co się stanie, jeśli to zrobię. Czy mama nadal będzie mnie kochać?

– Potrzymaj to dla taty – mówi i wkłada mi w dłoń plastikowy kubek zimnego piwa. Mrugam zaskoczony, bo okazuje się, że jesteśmy na początku kolejki i mama zdążyła już zamówić nasze jedzenie. Znowu się wyłączyłem? Muszę przestać to robić.

Spoglądam na piwo. Tata lubi wypić kilka w trakcie meczu, bo to piątek i takie tam. To jest jego drugie. Kubek mrozi mi dłoń, przekładam go do drugiej ręki.

– Możemy wracać – mówi mama i sięga po tackę z hot dogami. Odwraca się i ruchem głowy pokazuje, żebym szedł przodem.

Ostrożnie lawiruję w gęstym tłumie ludzi, którzy idą w różnych kierunkach. Piwo jest zimne, a moje kroki coraz szybsze. Patrząc to na kubek, to na drogę, którą muszę pokonać, żeby dotrzeć na miejsce, i nagle się potykam. Tak po prostu, o własne nogi. Z głośnym plaśnięciem upadam na ziemię i ląduję na czworaka na betonie, a piwo taty rozlewa się przede mną. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdaję sobie z tego sprawy, dopóki zadrapania na kolanach nie zaczynają mnie piec.

– Tyler! – Mama wydaje stłumiony okrzyk i przypada do mnie. – Nic ci nie jest? Mój, Boże, ty krwawisz! Mam w torebce plastry. – Opiera tackę z hot dogami na biodrze, chwytając mnie za łokieć i delikatnie stawia na nogi.

Ludzie gapią się na mnie. Serce wali mi jak szalone. Odrętwiały spuszcza wzrok i patrzę na zdarte kolana. Trochę krwawią i szczypią, ale to nic takiego. Spoglądam przed siebie na leżący na ziemi pusty kubek. Po betonie płynie strużka piwa. Tata nie będzie zadowolony.

Ręce mi drżą i ogarnia mnie panika, aż cały zaczynam się trząść. Nie mogę nic na to poradzić. Jestem kłębkiem nerwów i przerażonym wzrokiem wpatruję się w pusty kubek.

– Piwo... piwo taty... – bełkoczę. Był szczęśliwy. Uśmiechał się. Znowu wszystko

zepsułem. Jak zawsze.

– Hej. Hej! – mówi mama. Staje przede mną, pochyla się i patrzy na mnie z troską. – To nic, Tyler. Później kupię mu drugie. – Próbuje mnie pocieszać, ale to za mało, żebym przestał się trząść.

Mama wyrzuca pusty kubek do najbliższego kosza, kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi z powrotem na nasze miejsca. Jest mi niedobrze, zupełnie jakbym miał zwymiotować na oczach wszystkich. Nie chcę wracać. Nie chcę, żeby tata mrużył oczy i zaciskał zęby, jak wtedy, gdy jest na mnie zły.

Idziemy między rzędami krzesel, kolana mnie pieką. Mijam ojca tak szybko, jak to możliwe, ze spuszczoną głową, tak by na niego nie patrzeć, niemal przebiegam obok Jamiego i Chase'a, i opadam na krzesło, byle dalej od niego.

– Gdzie moje piwo? – pyta ojciec. Mama siada obok niego z tacką hot dogów. Zerkam na niego kątem oka i widzę, jak patrzy na nią, wyraźnie niezadowolony.

– Och – rzuca mama i przewraca oczami. – Tyler miał mały wypadek. Przewrócił się. Później przyniosę ci drugie. Masz, potrzyмай. – Kładzie mu na kolanach tackę, a sama otwiera torebkę i szuka plastrów.

Spojrzenie ojca powoli sunie w moją stronę. Napotykam jego wzrok i truchleję, jak gdybym był przykuty do krzeselka i nie mógł oddychać. Zaciska usta. Jego szczęka drga nerwowo.

– Od kiedy taka z ciebie niezdara? – pyta.

Nie mogę odpowiedzieć. Nie jestem niezdara. Po prostu za bardzo zajmuje mnie wewnętrzna walka, którą toczę w swojej głowie. Mama odchyła się na krześle i za plecami Jamiego i Chase'a podaje mi kilka plastrów. Posyła mi pocieszający, pełen współczucia uśmiech, a ja skupiam się na jego ciepłe zamiast na negatywnych wibracjach, które wyczuwam od ojca.

Zrywam papier z plastrów, pochylam się i pospiesznie zalepiam skaleczenia na kolanach. W ostatnich latach plastry stały się koniecznością, ale zadrapania to wszystko, co potrafią naprawić.



## DZIŚ

Siedzę wciśnięty w tylną kanapę starej zdezelowanej corolli Meghan, która wlecze się przez miasto w stronę domu Austina. Ściemnia się. Rachael majstruje przy odtwarzaczu, podczas gdy ja utknąłem z tyłu między Tiffani a Eden. Na kolanach trzymam skrzynkę piwa i kusi mnie, żeby otworzyć następną butelkę, tylko po to, żeby przetrwać tę podróż. Wbijam wzrok w hamulec ręczny, krzyżuję ramiona i milczę.

Tiffani i Rachael robią to, co potrafią najlepiej: plotkują i zastanawiają się, kto będzie na imprezie. Nazywają kilka osób frajerami, ale nie przysłuchują się ich rozmowie. Nigdy tego nie robię. Nie mam na to sił.

Zamiast tego myślę o Eden. Siedzi po mojej prawej ręce i wyczuwam, że na mnie patrzy, ja też na nią zerkam. Przez krótką chwilę spoglądamy sobie w oczy, zaraz jednak oboje odwracamy wzrok. *Tak, na pewno mi się przyglądała.* To dziwne. Ona chyba też nie jest do tego przyzwyczajona. Do całego tego bycia przybranym rodzeństwem. Próbuje ją rozgryźć, tak jak ona próbuje rozgryźć mnie, ale nic z tego nie wychodzi.

Znowu na nią zerkam, a ponieważ siedzi ze wzrokiem wbitym w okno, przyglądam się jej dokładnie. Ciemne proste włosy opadają jej na plecy, choć grube kosmyki dotykają jej ramion i okalają twarz. Ma mocny makijaż. Powieki, pomalowane na ciemno, wyglądają, jakby osiadł na nich dym. Gęste rzęsy zdają się wydłużać z każdym mrugnięciem. Czerwone usta. Do tej pory widziałem ją tylko kilka razy, ale to mi wystarcza, żeby wiedzieć, że to do niej niepodobne.

Wyczuwa, że na nią patrzę, bo zerka w moją stronę, ale ja zdążyłem się już odwrócić. Chwyta moje spojrzenie jeszcze kilka razy, a wszystko przez to, że nie mogę się powstrzymać. Po jakimś czasie sytuacja między nami robi się niezręczna i w końcu przestają zwracać na nią uwagę. Przez resztę drogi gapię się przed siebie i nie mówię ani słowa, nawet gdy Tiffani przytula się do mnie i zaczyna dotykać mojego uda.

Oddycham z ulgą, gdy w końcu podjeżdżamy pod dom Austina. Nie znam gościa za dobrze, ale, oczywiście, on zna nas. Jest jeszcze wcześniej, dopiero ósma trzydzieści, ale impreza trwa już w najlepsze. Na ulicy stoją zaparkowane samochody, a na trawniku ludzie rozmawiają między sobą. Gdy tylko Meghan gasi silnik, biorę skrzynkę i wysiadam za Tiffani, żeby rozprostować nogi. Słyszę muzykę i mam ochotę jęknąć. Nie chcę znów przez to przechodzić. Nadmiar alkoholu, głośna muza...

– Hej, Tyler! – Słyszę czyjś głos, a gdy podnoszę wzrok, widzę Austina, który spieszy przez trawnik, by nas powitać. To niski gość, ale brak wzrostu nadrabia szerokim uśmiechem. Macha do mnie butelką piwa, a ja wiem, że przez następne kilka godzin będę musiał udawać. Robię z nim żółwika. – Fajnie, że wpadłeś – mówi.

– Taa – rzucam. Wierzę, że się cieszy. Idę o zakład, że jeszcze bardziej cieszy go, że jest ze mną Tiffani. Ludzie zapraszają nas na wszystkie imprezy i jeśli się pojawiajemy, znaczy to, że gospodarz nie jest frajerem. Wskazuję głową skrzynkę z piwem; tylko czekam, aż otworzę następne. – Do kuchni?

Macha w stronę domu i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Jasne. Zostaw to gdzieś i wracaj do nas.

Idąc przez trawnik w stronę drzwi wejściowych, ostatni raz oglądam się przez ramię na dziewczyny. Tiffani mówi coś do Austina, Meghan próbuje upchnąć w torebce kluczyki od samochodu, a Rachael gapi się na butelkę wódki, którą trzyma w ręce. Eden znowu ma ten nieodgadniony wyraz twarzy i nieufnym wzrokiem rozgląda się dokoła. Będzie żałowała, że tu przyjechała. Wiem to.

Kręcąc głową, wchodzę do domu i rzucam: „hej” każdemu, kto wita mnie skinieniem głowy. Kilka godzin temu byłem w swoim pokoju i myślałem. Teraz jestem tutaj, na imprezie, zamroczony alkoholem, i znowu gram. Nienawidzę tego. Nienawidzę świadomości, że muszę robić takie rzeczy, żeby zapomnieć.

Lawiruję między ludźmi i ze spuszczoną głową wchodzę do kuchni. Blaty zastawione są alkoholem, a podłoga klei się od rozlanych drinków. Przypadkiem nadeptuję na kieliszek i miazdę go pod butem. Wkurzony, kopniakiem posyłam okruchy szkła na bok.

– Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz – mówi ktoś i jak spod ziemi wyrasta przede mną Kaleb. Oczy ma nabiegłe krwią, uśmiech leniwy. Jest ujarany, ale to żadna nowość. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem go trzeźwego. – Austin powiedział, że możemy robić, co chcemy, pod warunkiem, że nie będziemy rzucać się w oczy, no i siedzimy w cholernej szopie. – Wyje ze śmiechu, otwiera pierwszą lepszą szafkę i wyjmuje z niej paczkę ciastek. Patrzę w milczeniu, jak wsuwa jedno do ust, zamyka oczy i mruczy z zachwytem. – Boże. *Niesamowite*. – Otwiera oczy i próbuje skupić na mnie wzrok. – Przyłączysz się? Przysięgam, mamy zajebiście dobry towar. Popatrz na mnie! Jestem *totalnie* załadowany.

Chętnie bym się teraz zrelaksował. Ściągnąłbym kilka chmur, żeby się uspokoić i popaść w przyjemne odrętwienie. Biorę butelkę piwa, otwieram o krawędź blatu i kiwam głową.

– Wchodzę w to.

Kaleb szczerzy się z zadowoleniem, bo wie, że na mnie zarobi. Chwilę później odwraca się i z paczką ciastek w dłoni kieruje się do tylnych drzwi. Idę za nim, popijając piwo, i właśnie mam wyjść do ogrodu, kiedy ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Zatrzymuję się. To Jake.

– W końcu dotarłeś – rzuca. – Gdzie dziewczyny?

– Idą – odpowiadam beznamiętnie. Nie chcę z nim rozmawiać. Nawet go nie lubię; chcę tylko zapalić skręta. Chcę odejść, ale on chwyta mnie za ramię i ciągnie mnie z powrotem.

– A ty dokąd? – pyta i unosi brew. Zerka na Kaleba, który przecina ogród za domem, i znowu na mnie. Myślę, że zna już odpowiedź.

– A jak ci się, kurwa, zdaje, Jake? – warczę i odpycham jego rękę. Boże, chciałbym, żeby przyjaciele dali mi czasem święty spokój. Wystarczy, że Rachael zrobiła mi dziś wykład, nie potrzebuję, żeby Jake mnie przesłuchiwał. Wiedzą przecież, że palę.

– Dobra, dupku – mruczy i w końcu odchodzi.

Wychodzę z domu i przecinając trawnik, idę za Kalebem do szopy w kącie ogrodu. Nory ćpunów. Czuję w powietrzu zapach ziola i słyszę śmiech, jeszcze zanim Kaleb otworzy drzwi. Nie jestem zaskoczony, widząc w środku Claytona i Masona. Palilem z nimi już wcześniej. I chodzimy razem na niektóre zajęcia.

– Najwyższy czas – wita mnie Mason. Siedzi rozwalony na krześle ogrodowym w kącie, z nogami na kosiarce, z końcówką skręta w dłoni. Wygląda niechlujnie, ale co tam. Jest upalony jak diabli. Wszyscy są.

– Wiem. – Sięgam do kieszeni po portfel, wyjmuję piętnaście dolarów i wręczam je Kalebowi. Wolę kupować dyskretnie od Declana, ale on ostatnio stara się nie wychylać i dlatego zamiast od niego, muszę kupić gram od Kaleba. – Kopsniesz trochę?

– Staaaaary – mruczy Clayton. Opiera się o ścianę, oczy ma zamknięte i wydmuchuje chmurę dymu. Szopa jest mała, w środku jest ciasno. – Cudownie.

Kaleb bierze pieniądze, przez chwilę szpera w kieszeniach i wyciąga dwa gotowe skręty.

– Skręciłem ci dwa – mówi z dumą. – Wiedziałem, że będziesz chętny.

Biorę je i obracam w palcach. *Pieprzyć to*, myślę.

– Przypał – mówię mu, na co on wyciąga zapalniczkę i przypala jeden ze skrętów. Patrzy, jak się zaciągam, i czeka na słowa uznania.

Dym wypełnia mi płuca, a jego znajomy smak zaspokaja moje pragnienie. Nie paliłem od tygodnia, jest naprawdę przyjemnie. Trzymam dym w płucach przez kilka długich sekund, wypuszczam go i od razu czuję różnicę. Jeszcze pięć minut oraz kilka machów i dopiero mnie sieknie, ale już teraz to czuję; ciężar, który przygniatał mi ramiona, słabnie.

– Hej, skąd, kurwa, wytrzasnąłeś te ciastka? – pyta Mason i prostuje się na krześle. Wskazuje jointem Kaleba, a Clayton otwiera oczy.

– Zwinąłem z kuchni. Włączyło mi się ssanie – tłumaczy Kaleb i wszyscy trzej parszczą śmiechem. Nie jestem jeszcze ujarany, dlatego tylko się uśmiecham.

Opieram się o ścianę, zamykam oczy, ściągam kolejną chmurę i skupiam się na oddechu. *Po prostu się odpręż*, uspokajam się w duchu.

– Tak przy okazji, to towar od Declana – mruczy Kaleb i szturcha mnie łokciem. Otwieram oczy, a on wskazuje głową stolik, obok którego stoi Clayton. Na blacie bieleją równiuseńkie kreski koki. Gapię się na nie przez minutę. – Mówiłem ci, że to cholernie dobry towar.

– Stary... – Powoli kręcę głową. Brzmi kusząco, ale nie. Nie jestem aż takim desperatem. Robiłem to już wcześniej. I robię często; chyba. Ale tylko wtedy, gdy czuję, że wszystko mnie przerasta. A odkąd raz miałem kiepskiego tripa, jestem bardziej ostrożny. Podnoszę rękę, żeby wiedział, że odpuszczam. – Nie dziś.

– Kieeeeeepsko – mówi przeciągle Mason i przewraca oczami. – Czekaliśmy na ciebie.

– Będzie więcej dla nas – żartuje Clayton i znowu parszczą śmiechem. Są tak ujarani, że patrząc na nich, żałuję, że mój towar nie działa szybciej. Dlatego ściągam kolejną chmurę, przytrzymuję dym w płucach tak długo, jak się da, a gdy zaczyna palić mnie w gardle, odchylam głowę i wypuszczam go.

Mam ochotę zamknąć oczy i rozkoszować się ciepłem, które rozlewa się po moim ciele. I wtedy drzwi szopy się otwierają. W środku jest tyle dymu, że potrzebuję dłuższej chwili, żeby zobaczyć, kto do nas dołączył.

*Cholera.*

To Eden. Zakrywa dłonią usta i zanosząc się kaszlem, wycofuje się.

– To trawka?

– Nie, wata cukrowa – żartuje Mason, na co Kaleb i Clayton wyją ze śmiechu, jakby w życiu nie słyszeli śmieszniejszej odpowiedzi.

Ja się nie śmieję. Nie dlatego, że nadal nie jestem na haju, ale dlatego, że ogarnia mnie panika. Chcę, żeby Eden wiedziała, kim jest Tyler Bruce, ale nie chcę, żeby wiedziała o *tym*. Nie, kiedy mieszka w tym samym cholernym domu co ja. Nie, kiedy może powiedzieć mojej mamie. Pospiesznie kryję skręta za plecami z nadzieją, że niczego nie zauważyła.

– Jaja sobie robisz? – pyta, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej się spóźniłem. Zdążyła zauważyć i nie ma sensu zaprzeczać.

– Koleś, wyprowadź stąd tę laskę – mruczy Clayton i macha skrętem w jej stronę. Nie patrzę na niego, bo cała moja uwaga skupiona jest na Eden. Wbija we mnie spojrzenie, a jej oczy rozszerzają się z pogardą. – Chyba, że ma ochotę wejść i dotrzymać nam towarzystwa.



– Stary – rzucam i gromię go wzrokiem. Z trudem przelękam ślinę. *Bądź spokojny. Bądź Tylerem Bruce'em. Masz to gdzieś.* – Naprawdę chcesz zaprosić tu tego dzieciaka?

Clayton i Kaleb chichoczą, podczas gdy stojący w kącie Mason dostaje ataku kaszlu. W przeciwieństwie do mnie, mają ubaw po pachy. Ja stoję jak wryty i zastanawiam się, jak, do cholery, mam wybrnąć z tej sytuacji.

– Co to w ogóle za jedna? – pyta w końcu Clayton, ale nie mam zamiaru mu odpowiadać. Już sobie wyobrażam te żarty, gdyby się dowiedzieli, że to moja przybrana siostra. – Nie znasz zasad? – Patrzy na Eden, a mnie nie podoba się sposób, w jaki się do niej uśmiecha. – Nie przeszkadzaj nam, mała. Wypieprzaj stąd, chyba że masz ochotę się z nami zabawić. – Robi krok w jej stronę i podaje jej na wpół wypalonego skręta, jakby liczył, że naprawdę go weźmie.

Odruchowo stają między nimi, przodem do Clayтона i tyłem do Eden.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – Gaszę swojego jointa, chowam go do kieszeni i mrużę oczy. – Daj spokój, Clayton. Gdzie twój zdrowy rozsądek?

– Proponuję jej, żeby się sztachnęła. Tak nakazuje zdrowy rozsądek – mówi. Podnosi skręta do ust i zaciąga się, choć na moje oko ma już dość. – I dobre maniery. Byłbym chamem, gdybym tego nie zrobił. Mam rację? – Patrzy ponad moim ramieniem na Eden.

– Odpuść sobie, stary – warczę. Zaczyna mnie wkurzać, głównie dlatego, że nie podoba mi się sposób, w jaki się do niej odzywa. – Ona nie chce. Popatrz na nią. – Oglądam się przez ramię na Eden i gdy widzę, jak na mnie patrzy, coś chwytam za gardło. Większość ludzi patrzy na mnie w ten sam sposób – z wymalowanymi na twarzy przerażeniem i pogardą. Ale zobaczenie tego samego na twarzy Eden to zupełnie coś innego; jakbym widział to po raz pierwszy i nie wiem dlaczego, ale przez sekundę czuję się rozczarowany samym sobą. Zioło zaczyna robić swoje. Jestem jakby lżejszy, rozmyty.

– Dobra już, dobra. Po prostu ją stąd wyprowadź. Po co nam tu jakiś obcy dzieciak? – mówi Clayton.

– Też się nad tym zastanawiam – mrużę i odwracam się, żeby spojrzeć na Eden. Widzę, że kręci głową i moje uczucie rozczarowania sobą wzmaga się. Muszę ją stąd zabrać, byle dalej od tych kretynów. I ode mnie. Robię krok w jej stronę, ale zawadzam ręką o stół. Hałas zwraca uwagę Eden.

Mam wrażenie, że cisza, która następuje potem, trwa całą wieczność. A może tylko mi się wydaje. *Cholera.* Jakby tego było mało, właśnie zaczyna działać trawa. Muszę zachować jasny umysł, żeby jakoś się z tego wytłumaczyć, bo wiem, że Eden nie jest głupia. Wiem, że patrzy na kreski koki na stole i nie sądzę, żeby wzięła je za cukier.

– Boże. – Blednie, patrzy z niedowierzaniem i niemal widzę kolejne pytania, które cisną się jej na usta. Rozchyła wargi. – Boże?

– Mówię poważnie, stary – warczy stanowczo Clayton. – Zabierz ją stąd, zanim naśle na nas gliny.

– Jasne, jasne, już wychodzi. – Chwytam ją za łokieć i wyprowadzam z szopy. Idziemy przez ogród, aż jesteśmy w bezpiecznej odległości. Mam wrażenie, że maszerujemy tak przez dwadzieścia minut, gdy w rzeczywistości wszystko trwa trochę ponad dwadzieścia sekund.

– Jesteś niesamowity – syczy do mnie. Odpycha moją rękę i patrzy mi prosto w oczy. – Koka? Poważnie, Tyler?

Chyba pierwszy raz zwraca się do mnie po imieniu i to chyba wina zioła, ale kiedy słyszę, jak wymawia je tym swoim aksamitnym głosem, czuję się jak w niebie. Chcę, żeby powtarzała je w kółko do końca mojego życia. Tak, jestem ujarany.

Patrzymy na siebie i milczymy przez chwilę. Nie jestem pewien, jak się wytłumaczyć, nie mówiąc jej, że całe moje życie to jeden wielki syf. Zakrywam twarz rękami i jęczę głośno.

– To nie miejsce dla ciebie – mówię jej. Wbijam ręce w kieszenie i wyczuwam pod palcami dwa jointy. Teraz potrzebuję ich bardziej niż kiedykolwiek. – Powinnaś... powinnaś wrócić na imprezę.

Ale ona patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami i kręci głową. Wygląda, jakby była wściekła, ale nie wiem, na co. Nawet mnie nie zna. Nie powinna się przejmować, ale najwyraźniej jest inaczej i mam paskudne przeczucie, że jak wróci do domu, powie o wszystkim mojej mamie. Mama wie, że palę, ale nie wie, jak często, i na pewno tego nie pochwała. Jeśli chodzi o kokę – nie ma o niczym pojęcia. Teraz nie jestem pewien, jak długo tak zostanie.

Odwracam się i wracam do szopy – według mojego odurzonego umysłu droga powrotna zajmuje kolejne dwadzieścia minut – gdzie chłopaki czekają na mnie z pytaniami wypisanymi na twarzach. Nie ma mowy, żebym im powiedział, kim jest Eden. Zamiast tego trzymam się swojej roli, przewracam oczami i mówię:

– Pozbyłem się jej.

Mam wrażenie, że salwa śmiechu wstrząsa całą szopą. Tym razem ja również się śmieję, ale nie długo, bo chwilę później słyszę głos Deana:

– Daj spokój, stary. To słabe. Wyluzuj.

Patrzę na niego. Stoi dwa metry dalej i kręci głową z dezaprobatą. Wydaje się zupełnie trzeźwy, ale to żadna nowość. Taki właśnie jest Dean. To miły facet, zawsze się pilnuje i dba o innych. Dlatego ma tylu przyjaciół. Prawdziwych.

– Zamknij się, Dean – warczę, na co on wzdycha i biegnie przez trawnik w stronę Eden. Odprowadzam go wzrokiem i unosząc brwi, patrzę, jak rozmawiają. Czy oni w ogóle się znają? Mam wrażenie, że gadają już od godziny, ale stoją za daleko, żebym usłyszał, co mówią.

– No już, zajaraj sobie – ponagla mnie Kaleb i rzuca mi zapalniczkę.

Łapię ją i sięgam do kieszeni, w której wcześniej schowałem skręta. Wsadzam go do ust i przypalam; właśnie zamierzam się sztachnąć i znowu ją widzę. Stoi w drzwiach domu i patrzy na mnie przez ramię. Chciałbym, żeby się nie przejmowała. Żeby wzruszyła ramionami, przewróciła oczami i odeszła. Nie znam jej na tyle, żeby wiedzieć, co robi z tą informacją. Tak naprawdę wcale jej nie znam, dlatego boję się, że wszystko wygada. Jeśli to robi, wykopią mnie z domu. A wtedy będę musiał znaleźć sposób, żeby jakoś przetrwać.

Odwracam wzrok i wbijam go w ziemię. Clayton coś mówi, wciska mi w rękę butelkę z piwem, ale nie rozróżniam jego słów. Wciąż czuję na sobie spojrzenie Eden, dlatego wchodzę głębiej do szopy – byle dalej od drzwi. Tak, żeby mnie nie widziała i żebym ja nie widział odrazy, która maluje się na jej twarzy.

Chłopaki znowu się śmieją, ale nie wiem z czego. Skupiam się teraz na czymś innym. Wiem, że przysięgłem Tiffani, że tego nie zrobię, ale nie zależy mi na niej na tyle, żebym się przejmował złamanymi obietnicami. Tyler Bruce robi, co mu się żywnie podoba.

Zerkam na Kaleba i szturcham go w żebra, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Powiedz Declanowi, że w to wchodzę – mówię mu na ucho. – Będę handlował jego towarem.

\* \* \*

Rano budzę się z zamglonym umysłem. Przez trwającą całą wieczność minutę mrużę oczy w promieniach słońca, które wlewają się przez okno, i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie jestem w swoim pokoju. Jestem u Tiffani. Z cichym jękiem przewracam się na bok i mało nie dostaję zawału. Widzę, że Tiffani już nie śpi i, ubrana, siedzi po turecku na łóżku obok mnie. Niebieskie oczy zdają się przewiercać mnie na wylot.

– Mama chce cię zabić – oznajmia. Znam fajniejsze sposoby, żeby powiedzieć komuś

„dzień dobry”.

Rozespany unoszę brew i mruczę:

– Co?...

– W nocy wyjadłeś połowę rzeczy z lodówki – tłumaczy i zaciska usta. Nie wiem, która godzina, ale ona jest już uczesana i umalowana. – Po powrocie do domu obudziliśmy ją i jest nieźle wkurzona. Musisz jak najszybciej wracać do siebie. – Opuszcza nogi, wstaje, zbiera z podłogi moje rzeczy i z całej siły ciska nimi we mnie. Dżinsy trafiają mnie boleśnie.

– I zabierz też rzeczy Eden – prycha i krążąc po pokoju, rzuca we mnie kolejnymi ubraniami. Na koniec ciska we mnie telefonem. – A, i wielkie, kurwa, dzięki, że narobiłeś mi wstydu. Świetnie jest mieć ujaranego chłopaka.

Zmuszam się, żeby usiąść i przecieram oczy. Jestem zamroczony, ale wiem, że to tylko zjazd po ziole. Zastanawiam się, co takiego się wydarzyło. Pamiętam, że dużo paliłem i dużo się śmiałem. Pamiętam, że wypilem dużo piw. Ale nie pamiętam, jak wróciłem do domu z Tiffani. I nie pamiętam, co się stało z Eden.

– Dokąd poszła? – pytam i mrużąc oczy, patrzę na Tiffani. Drażni mnie światło i gardło mam wyschnięte na wiór. Jestem taki spragniony. – Eden?

– Wyszła po półgodzinie – rzuca Tiffani jak gdyby nigdy nic. – Kiepsko, co? Dean odstawił ją do domu, a teraz ja muszę odstawić ciebie, zbieraj się.

– Która godzina?

– Dopiero ósma.

– Ósma? – powtarzam i piorunuję ją wzrokiem. Pewnie niedawno wróciliśmy do domu.

– Pieprzona ósma?

– Chcesz, żeby moja mama cię zabiła? – pyta Tiffani i odwraca się, żeby pokazać mi, jak bardzo jest niezadowolona. Opiera ręce na biodrach i unosi brew. – Chcesz, żebym ja cię zabiła? Bo im dłużej na ciebie patrzę, tym większą mam na to ochotę. Zbierajmy się.

Jęczę, zakładam koszulkę, którą miałem na sobie wczoraj, i zwlekam się z łóżka. Przydałoby mi się jeszcze kilka godzin snu i trochę się boję wracać do domu. Mama nienawidzi, kiedy jej nie uprzedzam, że będę spał poza domem, i będzie nieźle wkurzona, zresztą tak samo jak o to, że się wymknąłem z domu... Tak czy inaczej, na pewno nie będzie zadowolona. A jeśli Eden powiedziała jej o tym, co zobaczyła, nie mam po co pokazywać się w domu.

Zakładam dżinsy i zanim zdążę włożyć buty, Tiffani bierze mnie pod rękę i szarpie w stronę drzwi. W ostatniej chwili sięgam po ubrania Eden, ale zdążam je chwycić, i pozwalam zaciągnąć się na dół. W domu panuje cisza; domyślam się, że jej mama jeszcze śpi, co tłumaczy, dlaczego Tiffani tak szybko chce się mnie pozbyć.

Wychodzimy. Poranne słońce pali mnie w oczy. Ledwie siadam na fotelu pasażera, czuję, jak ogarnia mnie senność. To dobrze. Tiffani nie będzie próbowała mnie zagadywać. Mam jej dość jak na jeden weekend i na kilka dni chętnie uwolniłbym się od jej towarzystwa, chociaż wiem, że to raczej mało prawdopodobne. Tymczasem korzystam z okazji i zapadam w dziesięciominutową drzemkę, wiedząc, że już niebawem będę musiał skonfrontować się z mamą.

– Dobra, wysiadaj – rzuca chwilę później Tiffani. Unoszę powieki i widzę, że stoimy pod moim domem. *No to się zacznie*, myślę. Czas wytłumaczyć się mamie. Siadam i opuszczam osłonę przeciwsłoneczną, żeby przejrzeć się w lusterku. Oczy wyglądają w porządku, chociaż są suche. Mrugam kilka razy, podnoszę osłonę i otwieram drzwi samochodu. Stawiam jedną nogę na ziemi i zamieram na chwilę.

– Przepraszam – mówię i odwracam się do Tiffani. Nie wiem nawet, za co przepraszam, pewnie za to, że się upaliłem, ale wiem, że nie chcę, żeby była na mnie zła. Przyzwyczałem się,

że mam ją przy sobie i chociaż wiem, że nigdy by ze mną nie zerwała, nie chcę, żeby traktowała mnie oziębło. Mam wrażenie, że dobrze o tym wie i robi to celowo, żeby ukarać mnie za moje zachowanie.

– Idź, Tyler – mruczy ze wzrokiem wbitym przed siebie i rękami na kierownicy. Jak bardzo się ujaralem? Jakie głupoty gadałem?

Czymkolwiek ją zdenerwowałem, czuję się zbyt kiepsko, żeby teraz próbować ją ugłaskać. Chcę tylko położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i przespać następne dwanaście godzin. Dlatego nie mówię nic więcej i wysiadam z samochodu. Tiffani nie czeka, aż wejdem do domu. Chwilę po tym, jak zamykam za sobą drzwi, wciska pedał gazu i odjeżdża.

Z ubraniami Eden w ręce przez chwilę gapię się na swój dom. Z moich ust dobywa się westchnienie. Jestem przyzwyczajony do krzyków mamy i chociaż nie cierpię jej rozczarowywać, nauczyłem się je ignorować. Pokrzyczy góra pięć minut i zaraz odpuści. Przynajmniej tak było do tej pory.

Powoli, niemal niechętnie podchodzę do drzwi frontowych i naciskam klamkę. Ustępuje pod naciskiem dłoni. Zaciskam powieki, biorę głęboki oddech i pchnięciem otwieram drzwi. Najciszej, jak się da, zamykam je za sobą i przez chwilę stoję w cichym korytarzu, wpatrując się w schody, które oddzielają mnie od bezpiecznej przystani mojego pokoju. I wtedy słyszę najgorszy z możliwych dźwięków:

– Tyler?

Staję bez ruchu i postanawiam zdać się na los. Czekam w korytarzu i kilka sekund później widzę mamę, która wychodzi z kuchni.

– W końcu – wzdycha i kładzie rękę na piersi, jakby się o mnie zamartwiała. Nie wiem dlaczego. Przecież wcześniej już robiłem takie rzeczy. Jej twarz tężeje i poirytowana rozkłada rękę. – Gdzieś ty się, do cholery, podziewał?

Wbijam wzrok w podłogę i wzruszam ramionami.

– Gdzieś – bąkam. Zwykle od razu potrafi mnie przejrzeć; nie warto zdzierać sobie gardła.

– Gdzie? – naciska.

– Czy to ważne? Przecież wróciłem.

W jej niebieskich oczach widzę złość oraz troskę, i to najbardziej mnie wkurza. Chcę, żeby myślała, że nic mi nie jest, chociaż wie, że daleko mi do tego. Chciałbym, żeby wszystko było w porządku, choćby dla niej, żeby nie musiała przez to przechodzić.

– Znowu piłeś całą noc?

– Nie – mówię i przeczesuję palcami włosy. Są splątane. – Spałem u Tiffani.

– A przedtem?

– Mamo, jestem zmęczony – mruczę z nadzieją, że wzbudzę w niej współczucie, ale nic z tego.

– Tyler. – Patrzy na mnie w milczeniu. Złość i troska znikają z jej oczu, zastąpione rozczarowaniem, które tak często w nich widzę. – Paliłeś, prawda?

– Co? Nie – kłamię i odruchowo cofam się o krok.

– Myślisz, że nie czuję?

Patrzę na siebie. Mam na sobie ubrania, w których byłem na imprezie. Nie wziąłem prysznic. To oczywiste, że czuć ode mnie ziołem. Jestem pieprzonym idiotą.

– Dobra, byłem na imprezie. Jacyś kolesie palili. Ale nie ja – wyrzucam z siebie pospiesznie, a ponieważ nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć, mijam ją i próbuję uciec na schody.

– Okłamujesz mnie. – Słyszę, jak mówi drżącym głosem. – Boże, Tyler. Dlaczego?

Dłużej tego nie wytrzymam!

Zatrzymuję się i odwracam. Przyciska dłonie do twarzy i mam ochotę ją przytulić, powiedzieć jej, że jest mi przykro, że robię to wszystko, żeby jakoś sobie z tym poradzić, że kocham ją i chciałbym, żeby było inaczej. Ale wtedy pojawia się Dave. Wychodzi na korytarz, jak gdyby przez cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie, i rzuca protekcyjnie:

– W końcu raczył wrócić?

Patrzę na niego spod zmrużonych powiek. Nigdy nie lubiłem Davida. Nie lubiłem go od chwili, gdy mama przedstawiła go nam parę lat temu. Nie dlatego, że nie lubię autorytetów, ale dlatego, że Dave to dupek, który przez cały ten czas nie zrobił nic, żeby lepiej mnie poznać. Zna moją historię, a mimo to nie szczędzi mi tych swoich protekcyjnych uwag i przewracania oczami, przez co mam ochotę przywalić mu w pysk.

– Jak widać na załączonym obrazku – odpowiadam z uśmiechem.

– I wydaje ci się, że w porządku jest nocować poza domem? – pyta i przysuwa się do mamy. Kładzie jej rękę na ramieniu i delikatnie zaciska palce, jakby chciał dodać jej otuchy.

– Miałeś szlaban. W ogóle nie powinieneś być wychodzić z domu.

Robię minę. Śmiesz mi, kiedy udaje surowego. Może i jest moim ojczymem, ale to nie daje mu prawa, żeby się zachowywać, jakby był moim ojcem.

– Davidzie, wyświadczyć mi przysługę i odpuść sobie. – Teraz to ja przewracam oczami, odwracam się i wbiegam na schody.

– Tyler! – woła za mną mama. – Wracaj tu.

Ignoruję ją i pod nosem wyzywam Davida od kutafonów. Patrzę na drzwi do pokoju i uświadamiam sobie, że wciąż trzymam ubrania Eden i że mama nie nakrzyczyła na mnie za kokę. A to znaczy, że Eden o niczym jej nie powiedziała. Przynajmniej na razie.

Na chwilę zatrzymuję się pod drzwiami jej pokoju i wchodzę, nie pukając. Nie tylko muszę oddać jej ciuchy, ale muszę z nią porozmawiać.

Na szczęście już nie śpi i kiedy wchodzę, akurat zakłada przez głowę bluzę z kapturem. Piorunuje mnie wzrokiem.

– Słyszałeś o czymś takim jak... och, nie wiem... prywatność?

Zamykam za sobą drzwi i przyglądam się jej, przechylając głowę na bok. To jasne, że nadal jest na mnie zła.

– Masz swoje rzeczy – bąkam. Czuję się niezręcznie, rzucając ubrania na skraj łóżka. Przez chwilę szukam w kieszeniach telefonu i podaje go jej. – I telefon. – Nie mogę spojrzeć jej w oczy, ale wolę myśleć, że to dlatego, że jestem zmęczony, a nie dlatego, że jest mi głupio.

– Dzięki – rzuca beznamiętnie.

Napięcie jest niemal nie do zniesienia, kiedy tak patrzy na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, choć najprawdopodobniej analizuje wszystko, co zrobiłem i powiedziałem wczoraj wieczorem. Czuję się oceniany, odwracam się więc w stronę drzwi, ale nagle przypominam sobie coś, co cały czas wylatuje mi z głowy.

– Posłuchaj – mówię i patrzę na nią. – Jeśli chodzi o wczoraj...

– Wiem już, że jesteś palantem, że ćpasz i jesteś żaloszny jak diabli – przerywa mi pospiesznie. Jej słowa, mimo że wypowiedziane tym miękkim aksamitnym głosem, ranią mnie do żywego. – Nie musisz mi tego tłumaczyć.

Przynajmniej wie, jakim człowiekiem jest Tyler Bruce. Jest palantem, to prawda. I lubi sobie zapalić. Ale czy jest żaloszny? Zaraz, chwila. To nie Tyler Bruce. To ja. Nagle czuję się obnażony, jakby przejrzała mnie na wylot. Ale nie wiem, czy to możliwe.

– Po prostu... po prostu nic nie mów. – Boże, nawet brzmię żalosznie.

Eden krzyżuje ramiona na piersi, a wyraz jej twarzy łagodnieje. Patrzy na mnie przez

chwilę niemal z rozbawieniem i mówi:

– Prosisz mnie, żebym na ciebie nie doniosła?

– Nie mów mojej mamie ani twojemu ojcu. Po prostu zapomnij o tym – błagam i naprawdę czuję się jak pieprzony nieudacznik. Oto ja błagam jakąś pannę, którą ledwie znam, żeby nie rujnowała mi życia bardziej niż jest zrujnowane.

– Nie mogę uwierzyć, że się w to wplątałeś – mówi cicho. Przez chwilę patrzy na telefon, po czym rzuca go na łóżko. Spogląda na mnie, a ja nie pamiętam, jaki kolor mają jej oczy. Stoi za daleko, żebym mógł to stwierdzić. – Po co w ogóle to robisz? Wcale nie wyglądasz przez to lepiej, jeśli o to ci chodzi.

Robię mnóstwo rzeczy, żeby sprawiać wrażenie fajnego gościa, gościa, który ma wszystko pod kontrolą, ale upalenie się nie jest jedną z nich. Gdyby tylko wiedziała, że robię to, żeby zapomnieć o całym tym gównie, z którym muszę sobie radzić, żeby zapomnieć o tym wszystkim, co zrobił mój tata.

– To nie tak – mówię.

– A jak? – pyta poirytowana. Wciąż nie wiem, dlaczego tak jej zależy.

– Nie wiem – odpowiadam. Może myśli, że powiem jej prawdę? Nie zamierzam mówić jej nikomu, a nawet jeśli, to na pewno nie jej. Jest dla mnie kompletnie obcą osobą. – Nie przyszedłem tu, żeby słuchać wykładów, dobra? Chciałem oddać ci rzeczy i powiedzieć, żebyś trzymała język za zębami. – Przeczesauję włosy palcami i patrzę na drzwi. Muszę się stąd wynieść. Muszę się przespać.

I kiedy szykuję się do wyjścia, słyszę, jak pyta szeptem:

– Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz?

Patrzę na nią. Czy tak właśnie myśli? Że jej nienawidzę? Nic, co powiedziałem czy zrobiłem, nie było wymierzone przeciwko niej. Po prostu taki jestem. Może sprawiam wrażenie człowieka pełnego nienawiści i pewnie tak już jest, ale nie w stosunku do niej.

– Kto powiedział, że cię nienawidzę?

– Wykorzystujesz każdą okazję, żeby mi dopiec – mówi i marszczy brwi, jakby nie rozumiała, czemu w ogóle musi mi to tłumaczyć; jakby to było oczywiste. – Wiem, że to dziwne nagle dowiedzieć się, że ma się przybraną siostrę, ale mnie też nie jest łatwo. Myślę, że źle zaczęliśmy naszą znajomość.

– Nie. – Śmieję się i kręcę głową. Niewiarygodne. Myśli, że się tak zachowuję, bo nie mogę pogodzić się z myślą, że mam przybraną siostrę? Ależ się myli. Zachowuję się tak, bo nie mam wyjścia, bo to mechanizm obronny, dzięki któremu nie jestem słaby i bezbronny. To coś, czego nigdy, nigdy nie zrozumie. – Nie rozumiesz. – Dość mam tej rozmowy, odwracam się i podchodzę do drzwi.

– Czego nie rozumiem?! – pyta Eden stanowczym, podniesionym głosem. Chce poznać odpowiedź.

Nawet się nie odwracam. Rzucam tylko:

– Wszystkiego.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

– Jak tam praca domowa? – pyta ojciec późnym popołudniem w niedzielę.

Podnoszę wzrok znad biurka, nogi mi ścierpły od siedzenia po turecku na krześle, a w rękach czuję skurcze. Ojciec stoi w drzwiach, oparty o futrynę, z rękami w kieszeniach. Ma na sobie sprane džinsy i flanelową koszulę. Jest nieogolony. Nigdy nie goli się w niedzielę. Dlatego uwielbiam weekendy. Bo kiedy nie stresuje się pracą, jest bardziej wyluzowany i łatwiej się z nim dogadać. Wraz z weekendem znika ciśnienie, żeby być najlepszym.

– No... – bąkam. Spuszczam głowę i przebiegam wzrokiem leżące na biurku papiery. Przez całe popołudnie przygotowywałem projekt na historię, ale chociaż skończyłem wcześniej, bałem się zrobić sobie przerwę. – Skończyłem godzinę temu. Teraz przeglądam notatki, które zrobiłem na lekcji.

– Dobrze – mówi tata. Rozciąga usta w uśmiechu i z uznaniem kiwa głową. Nagle prostuje się, wyjmuje ręce z kieszeni i zaciera je. – Dobrze, odłóż długopis. Koniec na dziś. Chodź na dwór, chcę ci coś pokazać.

Patrzę na niego w osłupieniu i zastanawiam się, czy na pewno dobrze usłyszałem. Powiedział, że to koniec na dziś? Koniec nauki? Ślęczałem nad książkami tylko dwie godziny. To za mało.

– No, chodź! – ponagla mnie i klaszcze w dłoń.

Wolę się nie sprzeciwiać. Odkładam długopis i gwałtownie zrywam się z krzesła, przez co kręci mi się w głowie. Chociaż nogi mam zdrętwiałe, podchodzę do niego, a on kładzie mi rękę na plecach i prowadzi w stronę schodów.

– Co jest na dworze? – pytam cicho. Może nie powinienem zadawać pytań, ale jestem ciekaw. Poza tym tata jest w dobrym humorze i nie sądzę, żeby miał coś przeciwko.

– Zobaczysz! – odpowiada. Zerkam na niego kątem oka i widzę na jego twarzy szeroki uśmiech. Nie jest to pierwszy raz, ale zobaczyć jego uśmiech to niewątpliwie rzadka okazja.

Wychodzimy głównymi drzwiami. Słońce świeci, niebo jest bezchmurne, dzieci z sąsiedztwa jeżdżą po ulicy na rowerach, a pan Perez z domu obok kosi trawę. Typowy kalifornijski dzień. Tymczasem na naszym podjeździe Jamie próbuje wyrwać Chase'owi piłkę do kosza, którą mój najmłodszy brat przyciska do piersi. Nawet nie wiedziałem, że mamy piłkę do koszykówki. Mrużę oczy w słońcu i patrzę na nich, a zaraz potem na kosz, zawieszony nad drzwiami do garażu. Jeszcze wczoraj go tam nie było.

– Co... co to? – bąkam.

– Kosz. – Tata stwierdza oczywiste. Zdejmuje rękę z mojego ramienia i idzie przez trawnik w stronę podjazdu, ale po chwili do niego dociera, że zostałem z tyłu, więc się zatrzymuje. Nadal stoję na werandzie, zaskoczony, a on patrzy na mnie, przewraca oczami i uśmiecha się jeszcze szerzej, chociaż nie wiem, czy to możliwe. – Do rzucania, Tyler. No, rusz się.

Zdezorientowany idę za nim na podjazd i nerwowo przygryzam wargę.

– Myślałem, że... żadnych sportów.

– Żadnego futbolu – protestuje. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. To znacznie lepsze.

– Wrywa piłkę z objęć Chase'a, odwraca się, tak by Jamie nie mógł jej dosięgnąć, i wyraźnie zadowolony, kozłując, podbiega z nią w kąt podjazdu.

– Hej! Właśnie miałem mu ją zabrać! – marudzi Jamie. Zrezygowany rozkłada ręce i mierzy ojca wściekłym spojrzeniem.

– Wcale nie! – protestuje Chase. – Ja miałem rzucić! – odpycha Jamiego i zaczynają się kłócić.

Stoję na skraju podjazdu i przyglądam się im, a gdy zerkam na ojca, widzę, że twarz ma łagodną. Znowu się uśmiecha i rzuca mi piłkę. Łapię ją, ale siła, z jaką została rzucona, sprawia, że cofam się o kilka kroków. Przez chwilę ważę ją w dłoni i gapię się na nią bez celu. Tata naprawdę pozwolił mi pograć w kosza na podjeździe, zamiast kazać się uczyć?

– Nie możesz się zastanawiać! – woła do mnie i śmieje się. Wskazuje głową kosz zawieszony nad drzwiami do garażu. – Rzucaj.

Zadzieram głowę. Nie celując, wyrzucam piłkę w powietrze i patrzę, jak z łomotem odbija się od drzwi garażu. Przez chwilę podskakuje na ziemi, a Jamie i Chase rzucają się w jej stronę.

– Musisz trochę poćwiczyć – stwierdza tata i podchodzi do mnie. Dlaczego cały czas się uśmiecha? Mierzwi mi dłonią włosy, a zaraz potem odwraca się na pięcie i pomaga Chase'owi blokować Jamiego, który, kozłując, próbuje podejść do kosza. – Chase, jesteś ze mną – mówi. Jamie rzuca piłkę nad ich głowami i trafia do kosza. Tata patrzy na mnie i uśmiecha się znacząco. – Tyler, Jay... powodzenia.

Odpuszczam się. Tata jest szczęśliwy. To dobry dzień. Gra z nami w piłkę w gorące niedzielne popołudnie. Niemal zapomniałem, jaki czasami potrafi być fajny. Chwytam Jamiego za łokieć i odciągam na bok, żeby omówić z nim strategię. Tata stoi po drugiej stronie podjazdu i obserwując nas, porusza brwiami; widzę to i uśmiecham się do niego. *Do dzieła.*

Gramy kilka godzin. Jamie i ja biegamy zziębnięci, kozłujemy i udając drużynę, od czasu do czasu podajemy sobie piłkę. Nawet mama wychodzi przed dom z sokiem dla nas wszystkich i po długich namowach dołącza do gry. Jest w naszej drużynie, ale cały czas pomaga naszym przeciwnikom i nie mamy z niej żadnego pożytku.

Wygrywamy, ale myślę, że tylko dlatego, że tata nam pozwala. Z Chase'em na ramionach, kozłując jedną ręką, pokonuje cały podjazd, celuje i wrzuca piłkę prosto do kosza. Chase jest zbyt zmęczony, żeby mu pomóc, ale podnosi ręce i wiwatuje, a zaraz potem przybija z tatą piątkę. Mama całuje ich obu w policzki.

To dobry dzień. Jeden z najlepszych. Wszyscy się śmiejemy. Moi bracia na zmianę plotą bzdury. Uśmiech mamy jest szeroki i czysty, pełen miłości i dumy. Tata znów jest mężczyzną, którego uwielbiałem i wiem, że w głębi duszy nim pozostał. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

Oto rodzina, którą tak bardzo staram się chronić.





## DZIŚ

Zerkam na dwie karty leżące przede mną na stole i telefon w mojej dłoni.

*Straaaaszny dziś upał na plaży! Właśnie wróciłam do domu. BTW myślimy o tym, żeby wyskoczyć gdzieś wieczorem. Może do Venice albo pod znak Hollywood. Możesz wziąć Eden i spotkać się z nami na miejscu? Tak będzie prościej,* napisała Tiffani.

Podnoszę głowę i spoglądam w dal na tętniące życiem molo. Jak na czerwiec pogoda jest dobra. Poranny smog rozwiął się szybko, pozostawiając po sobie bezchmurne niebo i upał. Jak na wtorek strasznie tu tłoczno.

Spędziłem na plaży całe popołudnie, ale na jej południowym skraju, po drugiej stronie molo. Tiffani myśli, że cały dzień przesiedziałem w domu i, na szczęście, nie wpadliśmy na siebie.

*Brzmi nieźle. Mama dalej truje mi dupę o sobotę, ale postaram się wyrwać,* odpisuję i krzywiąc się, wysyłam SMS-a. Okłamywanie Tiffani nie jest żadną nowością, ale za każdym razem, gdy to robię, czuję się fatalnie. Nie jest to także pozbawione ryzyka. Tiffani nienawidzi, kiedy nie odbieram przeklętego telefonu, a gdyby wiedziała, że ją okłamuję, wpadłaby w szal.

Odkładam telefon i skupiam się na grze, bo karty zostały rozdane, a gotówka leży na stole, chociaż nie mam pojęcia, co właściwie tu robię. Jestem na plaży od kilku godzin, siedzę przy starym rozchwierutanim stole i gram w blackjacka z gośćmi, których pierwszy raz widzę na oczy. Są starsi ode mnie, muszą być dobrze po dwudziestce, i cały czas patrzą na mnie nieufnie. Jest tu Kaleb, ale on nie gra, bo co pół godziny znika gdzieś i wraca.

Jest i nieuchwytny Declan Portwood. Nie wychylał się od kilku tygodni i dobrze w końcu go zobaczyć. Declan ma skupioną twarz i poważny wzrok, jest dobrze ubrany i gładko ogolony. Złoty zegarek na jego nadgarstku błyszczy w padających na niego promieniach słońca. Dla tych, którzy go nie znają, wygląda jak student z college'u. Reszta wie, że robi niezłą kasę na trawie, którą hoduje na strychu.

Myślę, że po to mnie dziś zaprosił. Żeby poznał chłopaków i robił dla niego to, co Kaleb i inni. Jak na razie wszystko jest jasne. Declan sprzeda mi towar, a ja opchnę go dalej i zatrzymam to, co na nim zarobię. Nie mam wiele do stracenia. Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tu.

– Miałem pomysł – ogłasza Declan. Kończy rozdawać karty, odchyła się na krześle i rozgrzebuje stopą piasek. – Co powiecie na małą imprezę? Wiecie, taką we własnym gronie. Żadnych obcych, tylko ludzie, z którymi się dogadujemy.

Warren siada prosto, opiera łokcie o blat i pochyła się do przodu. Ma szerokie ramiona i tribale, które niczym węże oplatają jego imponujące bicepsy.

– Kiedy? – pyta.

– W weekend – odpowiada Declan. Opuszcza okulary przeciwsłoneczne na nos. – Będę miał zajebisty towar i chcę go jak najszybciej pchnąć. To ryzykowne, ale będzie z tego naprawdę niezła kasa. Musisz opłacić czynsz, nie, Liam? – dodaje ściszym głosem.

Liam pada ofiarą jego daru przekonywania i pospiesznie kiwa głową. To chodzący stereotyp. Ma wory pod oczami i krótki niesforny zarost, a fakt, że na stole przed nim leżą dwa telefony, mówi sam za siebie. Od czasu do czasu wzdryga się i sam już nie wiem, czy jest trzeźwy, czy nie.

– Wchodzę w to – rzuca.

– Sorki, panowie, ale muszę się urwać. – Kaleb piąty raz wstaje od stołu. – Nie wiem, co jest, ale wszyscy potrzebują dziś towaru. Jest pieprzony wtorek – mruczy i odchodzi bez słowa, podzwaniając kluczykami od samochodu.

– Słyszałeś, Tyler? – pyta Declan i patrzy na mnie. Nie widzę jego oczu za szklami okularów, ale uśmiecha się znacząco. Pociera kciukiem o palce wskazujący i środkowy. – Brudne, brudne pieniądze.

Warren zerka na mnie i przechyla w bok głowę. Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem i pyta:

– Co taki bogaty biały dzieciak robi w takim miejscu? Na pierwszy rzut oka widać, że nie potrzebujesz gotówki. – Obraca się przez ramię i patrzy wymownie na mój samochód, zaparkowany niecałe trzydzieści metrów dalej na jednym z południowych parkingów. – Portwood – zwraca się do Declana – skąd w ogóle znasz tego dzieciaka? Jak dla mnie wygląda jak syn gliniarza albo coś. Idę o zakład, że w tej chwili nagrywa naszą rozmowę.

– Wyluzuj – rzuca Declan i nieznane kręci głową. – Jest w porządku. Trzymamy się razem od...? Od pierwszej klasy? Zgadza się, Tyler? Mogę ci ufać, nie? – Przysuwa się do mnie i podnosi okulary. Jego ciemne oczy wwiercają się we mnie. Uśmiezek nie schodzi mu z twarzy.

Sięgam po karty i rzucam na stół pięćdziesięciodolarówkę. Nie obchodzi mnie, czy wygram, czy przegram, po prostu nie chcę, żeby myśleli, że do nich nie pasuję. W porządku, może jestem młodszy, ale na pewno sprytniejszy.

– Gdybyś nie mógł mi ufać, nie zapraszałbyś mnie tu – stwierdzam.

Declan uśmiecha się jeszcze szerzej i z powrotem opuszcza okulary. Przytakuje i skupia się na kartach.

– To nie tłumaczy, dlaczego tu jest – upiera się Warren. Chciałbym, żeby przestał mnie przesłuchiwać. A czemu *on* tu jest? Założę się, że dla kasy i dlatego, że jego życie jest równie popaprane jak moje własne.

– Stary, czy to ważne? – pyta Liam, przewracając oczami. Nadal nie wiem, czy jest upalony, czy nie. – Grajmy.

Ale Warren nie odpuszcza i przysięgam: nie wiem, co go to obchodzi.

– Wszyscy, jak tu jesteśmy, zaczęliśmy się w tym babrać, bo nie mieliśmy wyboru. A więc, Tylerze z wypasioną sportową furą, co skłoniło ciebie? Tatuś przestał płacić za zabaweczki?

Ciskam karty na stół, zrywam się na równe nogi i opieram dłonie na blacie. Zaciskam zęby, pochylam się w stronę Warrena i patrzę na niego spod przymrużonych powiek, żeby wiedział, że lepiej zrobi, jak przestanie kłapać dziobem.

– *Tatuś* siedzi w pierdłu, dupku.

Zwykle nie startuję do nikogo, kto jest dwa razy większy i niemal dziesięć lat starszy ode mnie, ale są rzeczy, po których mi odbija. Na przykład kiedy ktoś wspomina o moim ojcu. Nikt nie wie, za co naprawdę trafił do więzienia, a to znaczy, że nikt nie wie, jak bardzo boli, gdy ktoś mi o nim przypomina. Zbyt łatwo tracę panowanie nad sobą.

Warren nie wzdryga się, ani nawet nie mruga.

– I to ma sens – mówi powoli ze śmiechem. – Idziesz w jego ślady, stary.

Wtedy pękam. Czuję ucisk w piersi, zaciskam zęby i rzucam się na niego, a moja pięść

łąduje w kąci jego ust. Sam nawet nie wiem, co robię. Przekonałem się już, że kiedy wpadam w szal, przestaję się kontrolować. Czuję zastrzyk adrenaliny. Warren odchyła się na krzesło, zrywa się od stołu, poprawia spodnie i unosi pięści.

– Dajcie już, kurwa, spokój – jęczy Declan. Podnosi się i staje między mną a Warrenem. Liam przygląda się nam w milczeniu, a ja nabieram przekonania, że jest ujarany.

Wbijam wzrok w Warrena. Oddycham ciężko i czuję, jak serce wali mi w piersi. Warren ociera strużkę krwi, kręci głową i opuszcza pięści.

W tej samej chwili słyszę czyjś głos.

– Co wy, do cholery, robicie? – Podnoszę wzrok i serce podchodzi mi do gardła; widzę Davida, który idzie w naszą stronę. Dwie myśli jednocześnie przychodzą mi do głowy. Pierwsza: co, u diabła, David robi na plaży? I druga: mój ojczym nie może tu podejść; nie teraz, kiedy stoję obok pieprzonego Declana, który zajmuje się czymś znacznie gorszym niż rozdawanie kart.

– Declan, odezwę się później, dobra? – rzucam pospiesznie i zanim Dave zdąży podejść bliżej, biegnę w jego stronę. W tej sytuacji może na mnie nawrzeszczeć, byle się stąd wyniósł.

– Co to miało być, Tyler? – pyta podniesionym głosem. Poirytowany rozkłada ręce i patrzy na mnie z niedowierzaniem. Nigdy nie przestaję go zaskakiwać. Za każdym razem, gdy wydaje mu się, że nie mogę wpakować się w większe gówno, udowadniam mu, że się myli. – Masz szlaban, a to znaczy, że masz siedzieć w domu. Nie tutaj! Grałeś na pieniądze? – Wyciąga szyję, żeby się przyjrzeć Declanowi i pozostałym, ale przesuwam się i zasłaniam mu widok. Nie musi wiedzieć, kim jest Declan.

– Wygłupialiśmy się. To tylko gra – tłumaczę, kłamiąc jak z nut.

– Gra, w której rzucacie się na siebie z pięściami? Tak? – Patrzy na mnie oszalałym wzrokiem. Zdążyłem się już przekonać, że Dave albo ma kiepskie podejście do bycia rodzicem, albo po prostu mnie nienawidzi. – Przegrałeś pieniądze? Dlatego jesteś wkurzony?

– Taa, przegrałem – kłamię i odsuwam się od niego. Łatwiej skłamać, niż się przyznać, że walnąłem gościa, bo nie mogę znieść myśli o swoim ojcu, choć jestem pewien, że gdybym powiedział o tym Dave'owi, on by zrozumiał. Przynajmniej chcę w to wierzyć. Wie, jak bardzo skrzywdził mnie tata, gdy byłem dzieckiem.

David szczypie grzbiet nosa i oddycha głęboko.

– Wsiadaj do samochodu i jedź za mną do domu. Już! – nakazuje.

– Daj spokój, Dave...

– Nie – przerywa mi. – Powiedziałem już. Wracasz do domu, do mamy. – Chwyta mnie za ramię i prowadzi na parking, gdzie stoją zaparkowane nasze samochody. Nie kłócę się i nie oglądam się za siebie, bo wiem, że Warren prawdopodobnie ma niezły ubaw, widząc, jak pieprzony ojczym odstawia mnie do domu. Teraz naprawdę czuję się jak dzieciak, pokornie spuszczałem więc głowę.

Podchodzimy do samochodów. Strząsam z ramienia dłoń Dave'a, otwieram swoje auto i siadam na fotelu kierowcy. Nie mogę jednak zamknąć drzwi, bo Dave staje obok mnie i kładzie rękę na dachu.

– Prosto do domu, Tyler – mówi stanowczym tonem i świdruje mnie wzrokiem. – Wiem, że wiele przeszedłeś, ale nie możesz robić takich rzeczy.

Wysłuchawszy jego tyrady, przewracam oczami i zamykam drzwi. Naprawdę myśli, że będę próbował wywinąć jakiś numer? Nie mam na to sił i wcale mi nie zależy. Zresztą i tak zamierzałem niedługo wrócić do domu.

Piętnastominutowa podróż do domu ciągnie się w nieskończoność, głównie dlatego, że wlokę się za Dave'em i za każdym razem, gdy zatrzymujemy się na światłach, widzę, jak patrzy na mnie w lusterku wstecznym. Udaję, że tego nie widzę, i jadę z opuszczoną szybą, słuchając

głośno muzyki przez całą drogę, aż do Deidre Avenue.

W milczeniu parkujemy i idziemy w stronę domu. Puszczam go przodem, a sam nonszalancko kroczę z tyłu. Bawi mnie, jak nerwowo staje się Dave, kiedy chodzi o mnie. Naprawdę go denerwuję, ale robię to, odkąd mama przedstawiła go nam parę lat temu. Zupelnie, jakby przeprowadził się tu, do LA, z nadzieją na nowe, idealne życie, i prawie je ma. Mieszkamy w dużym domu, w spokojnej okolicy. Jeździ fajną bryką. Myślę, że ma pozycję w firmie, w której pracuje. Ma mamę, która jest niesamowita, i Jamiego, i Chase'a, z którymi się dogaduje. Ale ma również mnie, a ja jestem daleki od ideału. Nie mogę go winić, że się na mnie wkurza. Zresztą kogo to obchodzi? Na pewno nie mnie.

– Ella! – woła tuż za progiem. Krzywię się, bo nagle do mnie dociera, że mama piecze steki. Zapach, który unosi się w korytarzu, przyprawia mnie o mdłości. – Pewnie się ucieszysz, że znalazłem Tylera!

Kiedy wchodzimy do kuchni, mama się odwraca. Włosy ma spięte i patrzy głównie na mnie.

– Chcesz wiedzieć, co właśnie widziałem? – pyta Dave podniesionym głosem. Brzmi jak dupek, jakby bawiło go to, że mama zaraz się zdenerwuje. Niepotrzebnie zdiera sobie gardło. – No więc jadę sobie Apian Way, żeby w drodze do domu podrzucić dokumenty, i zgadnij, kogo widzę na plaży. – Spogląda na mnie wymownie, jakby od początku nie było oczywiste, kogo ma na myśli.

Mama patrzy na mnie i widzę, że stara się powstrzymać westchnienie.

– Mówiłam ci, żebyś nie wychodził – mruczy.

Dave ignoruje ją i ciągnie dalej:

– Myślę więc: „Hej, przecież on ma szlaban”. Podchodzę, żeby zobaczyć, w co gra, i widzę, że siedzi przy stoliku z gośćmi, którzy wyglądają na dziesięć lat starszych od niego. Stałem tam i PATRZYŁEM, jak rzuca na stół dziesięcio-, dwudziesto-, pięćdziesięciodolarówki – opowiada, a ja się zastanawiam, jak długo mnie obserwował.

– Tyler.

Podnoszę wzrok na mamę. Na jej twarzy znowu maluje się rozczarowanie, którego tak bardzo nienawidzę. Jest jeszcze gorzej, jak nic nie mówi. Jej milczenie przemawia głośniejsz niż słowa.

– Gówna prawda – mruczę i kręcę głową.

– Zamknij się, do cholery – warczy na mnie Dave i dziwię się, że zwraca się tak do mnie przy mamie. Obaj wiemy, że mama nie lubi, kiedy on tak do mnie mówi. Poluzowuje krawat, podwija rękawy koszuli i opiera ręce na biodrach. – A więc stoję tam i patrzę, jak gra na pieniądze i wiesz, co się stało, gdy przegrał? – Zawiesza głos, jakby chciał, żeby wszystko zabrzmiało jeszcze bardziej dramatycznie. – Wystartował do jednego z nich z pięściami.

– Dupek oszukiwał – kłamię. Ale tylko w kwestii oszukiwania. Warren to dupek i na samą myśl o tym, co powiedział, zaczynam się wściekać. Opieram się o blat. – Nie mogłem pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

Dave działa mi na nerwy i gdyby nie mama, jemu też bym przywalił.

– Chcesz, żeby aresztowali cię za napaść? Chcesz wylądować w poprawczaku? O to ci chodzi?

– Tyler, musisz przestać – mówi mama spokojnym głosem, a jej błagalny ton sprawia, że czuję się beznadziejnie. Wzdycha ze smutkiem. – Nie chcę, żebyś wpakował się w kłopoty.

Chcę jej powiedzieć, że ja też nie chcę wpakować się w kłopoty, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Jak mam jej powiedzieć, że robię to wszystko, bo tylko to znam? Bo całe moje życie kręci się wokół kłopotów. Bo robię, co mogę, żeby przetrwać.

– To nie Las Vegas – prycha Dave, skupiając na sobie moją uwagę. Stoi teraz nieco bliżej i widzę złość w jego oczach, ale nigdy tego nie pojmem. Nie jestem jego synem. Jestem dla niego nikim. – Po co to robiłeś?

Ze stoickim spokojem patrzę mu w oczy i mówię:

– Żeby się zabawić.

– Nie mam już siły – rzuca Dave. Odsuwa się ode mnie i rozkłada ręce, zrezygnowany. Patrzy na mamę, kręci głową i wychodzi do ogrodu na tyłach domu.

Niesamowite. Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim znów zechce mnie wychowywać. Pewnie niewiele. Wyśmieję go; po ostatniej próbie trudno byłoby się nie śmiać. Widzę, że mama otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie chcę jej słuchać. Nie mogę też znieść smrodu przeklętych steków, które pieką się za jej plecami. Nawet chyba nie zdaje sobie sprawy, że się przypaliły.

Odwracam się, żeby nie patrzeć jej w oczy, i wychodzę z kuchni. Nie mam pojęcia, o której powinienem jechać na spotkanie z Tiffani i resztą, ale nie mam zamiaru tu siedzieć. Patrząc na drzwi, sięgam do kieszeni po kluczyki, i – proszę, proszę – znowu widzę Eden.

Stoi pod ścianą w kącie korytarza. Gapi się na mnie i choć się zastanawiam, co, u diabła, robi, coś sobie przypominam.

– Mam cię podrzucić, tak?

Waha się przez chwilę i – znowu – sprawia wrażenie skrępowanej. Czy naprawdę jestem taki onieśmielający?

– Chyba tak – rzuca w końcu. Nie wydaje się specjalnie chętna, ale ta jej niepewność jest poniekąd słodka.

– Właśnie wyjeżdżam – mówię jej. – Albo jedziesz, albo zostajesz. – Nie zamierzam siedzieć tu ani chwili dłużej i czekać, aż Eden się zdecyduje, odwracam się więc na pięcie i idę w stronę drzwi.

– Tyler! Proszę, nie wychodź znowu! – Z kuchni dobiega głos mamy, ale chociaż słyszę, jak bardzo jest jej przykro, nie mogę się zmusić, żeby zostać.

Ze spuszczoną głową wychodzę z domu i idę dalej przez trawnik. Z początku zakładam, że Eden nie jedzie, ale słyszę za plecami szcęk otwieranych drzwi, a zaraz potem lekko zachrypnięty głos:

– Zaczekaj!

I, szczerze, cieszę się.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Przed trzecią godziną lekcyjną w środę jestem tak zmęczony, że nie mogę się skupić na lekcji historii. W nocy kiepsko spałem. Tata znów był zły, a ja wciąż nie wiem, o co. Teraz jestem śpiący, oczy same mi się zamykają. Staram się uważać, ale to na nic.

Żeby nie odpłynąć, przerzucam kartki w zeszytach i zaczynam rysować palcem wielkie koła... Znowu opadają mi powieki, wzdrygam się i zaczynam pospiesznie mrugać. Siadam prosto z nadzieją, że może to pomoże. Ale nie pomaga. Zerkam w lewo na ławkę Deana, który przygląda mi się z uśmiechem.

*Obudź się, mówi bezgłośnie. Czy to aż takie oczywiste?*

Kryję twarz w dłoniach i trę oczy tak długo, aż zaczynam widzieć gwiazdy. Kiedy odzyskuję ostrość widzenia, pani Palmer odkłada telefon na biurko. Podnosi wzrok, patrzy prosto na mnie i obraca się na krześle, żeby lepiej mnie widzieć.

– Tyler – mówi łagodnie i uśmiecha się. – Pan Hayes prosi cię do swojego gabinetu.

Pan Hayes prosi mnie do gabinetu? Czego chce ode mnie szkolny pedagog? Jake mówił, że w ubiegłym tygodniu wezwał go, żeby porozmawiać o jego kiepskich stopniach, ale przecież ja mam dobre oceny. Nic mi nie jest.

Chwilę temu przysypiałem, ale teraz jestem całkiem rozbudzony. Z trudem przełykam ślinę, odkładam długopis i dźwigam się z krzesła. Połowa klasy siedzi z nosem w podręcznikach, a druga przygląda mi się z uwagą. Idąc między rzędami ławek, obracam się przez ramię na Deana. Widząc to, unosi brwi, ciekawy, po co pan Hayes wezwał mnie do gabinetu. Szczerze? Nie mam pojęcia, wzruszam więc ramionami i odwracam się. Z pochyloną głową wychodzę z klasy.

Do tej pory tylko raz byłem w gabinecie pana Hayesa, rok temu, wtedy wzywał nas po kolei, żeby porozmawiać o naszych planach na przyszłość; jakbyśmy już w gimnazjum wiedzieli, co chcemy robić przez całe życie. Powiedziałem mu, że nie jestem pewien, ale prawdopodobnie będę pracował u taty, bo tego się ode mnie oczekuje.

Wreszcie docieram do gabinetu. Biorę głęboki oddech i zapinam bluzę, żeby ukryć plaster na szyi. Zaraz potem pukam do drzwi i czekam.

Kilka sekund później drzwi otwierają się i widzę uśmiechniętą twarz pana Hayesa.

– Ach, Tyler. Dzięki, że przyszedłeś – mówi. Odsuwa się i ruchem ręki zaprasza mnie do środka, po czym zamyka za mną drzwi. – Usiądź, proszę.

Wbijam ręce w kieszenie bluzy i siadam na skraju krzesła stojącego przed dużym starym biurkiem. Jestem spięty. Nerwowo postukuję nogą w podłogę i patrzę, jak pan Hayes siada na fotelu naprzeciw mnie. Jest młody. Młodszy od taty. Ma gęsty kilkudniowy zarost, haczykowaty nos i ciemne oczy, które wwiercają się we mnie.

– Miałeś teraz lekcję historii, tak? – zagaduje łagodnie. Splata dłonie i kładzie je na biurku. Cały czas się uśmiecha.

– Tak – przyznaję. Zastanawiam się w duchu, po co tu jestem. Zaciskam pięści

w kieszeniach i robię się jeszcze bardziej niespokojny niż przed chwilą.

– Uspokój się, Tyler. – Pan Hayes odczytuje emocje z mojej twarzy i uśmiecha się. Prawdopodobnie wyczuwa moje zdenerwowanie. – Nie wpadłeś w żadne tarapaty. Zaprosiłem cię, żeby z tobą porozmawiać. Chciałem zobaczyć, jak sobie radzisz i czy wszystko u ciebie w porządku.

– Jak sobie radzę i czy wszystko u mnie w porządku? – powtarzam zdezorientowany. Czemu sprawdza, czy wszystko u mnie w porządku? Przecież to nie jest obowiązkowe. Czyżbym zrobił coś złego?

Uśmiech pana Hayesa gaśnie, zastąpiony marsową miną, a on sam odchyła się w fotelu, nawet na chwilę nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Kilku nauczycieli skarżyło się, że ostatnio sprawiasz problemy – mówi w końcu. – I podobno urywałeś się z wf-u? – Unosi brew.

Aha. Wyjmuję ręce z kieszeni, bo zaczynają mi się pocić, i zaczynam kręcić młynki kciukami.

– Ja nie... nie sprawiam problemów. – Kłamię i czuję, że słowa więzną mi w gardle.

– Hmm. – Pan Hayes wyciąga szyję i przez chwilę patrzy w ekran komputera. – Nie słucha. Pyskuje do nauczycieli. Nie kończy zadań w trakcie lekcji. – Znow patrzy na mnie i przechyla głowę na bok. – Co spowodowało taką zmianę zachowania? Oceny nadal masz bardzo dobre, a zatem co się dzieje, Tyler?

– Nie wiem – odpowiadam beznamyślnie. Unikając jego spojrzenia, wbijam wzrok w przypadkowy punkt na biurku. Dobrze wiem, co się dzieje. Rozcięcie na szyi znowu zaczyna mnie piec.

– Z kim się przyjaźnisz? – pyta pan Hayes.

– Z Deanem Carterem i Jakiem Maxwelllem – mruczę. Co go obchodzi, z kim się przyjaźnię? Nadal nie mogę spojrzeć mu w oczy, ale to nie znaczy, że nie czuję na sobie jego spojrzenia.

– Dobrze, a zatem nie obracasz się w złym towarzystwie – zastanawia się na głos pan Hayes. Milknie na chwilę, jakby rozważał inne możliwości. – Czy w szkole jest ktoś, kogo nie lubisz? Ktoś, o kim chciałbyś mi opowiedzieć? – pyta zaraz potem.

Podnoszę wzrok i zaciskam zęby. Dlaczego tak mnie przesłuchuje? Co go to obchodzi?

– Nikt się nade mną nie znęca, panie Hayes – mówię wolno i wyraźnie. Nic mi nie jest. *Nic mi nie jest.* – Mogę już wracać na lekcję? Sam pan mówił, że moje oceny są bardzo dobre. Nie mogę opuszczać lekcji. – Podnoszę się, gotowy wyjść z gabinetu.

– Tyler. – Głos pana Hayesa jest stanowczy. Krzyżuje ręce na piersiach i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, ale bez złości. Raczej z troską. – Jesteś wobec mnie nieuprzejmy, a twierdzisz, że nie sprawiasz problemów. – On również wstaje i patrząc na mnie, z rękami w kieszeniach opiera się o okno. Boję się, że jeśli zostanę tu chwilę dłużej, rozgryzie mnie. – Wszystko w porządku w domu? – pyta.

Czuję, jak wali mi serce.

– Czemu pan pyta? – mruczę i posyłam mu wściekłe spojrzenie. Jestem zły. Czy on wie? Nie, to niemożliwe. Nikt nie wie.

– Cóż – mówi – może twoi rodzice się kłócą? Może dzieje się coś, co ma na ciebie negatywny wpływ?

– Nie, moi rodzice się kochają – wyrzucam z siebie. Zaciskam zęby tak mocno, że aż się boję, że się połamią. Oboje kochają też mnie. Tata zbyt łatwo wpada w złość, ale to wszystko przez stres. Chce dla mnie jak najlepiej. Chce, żebym odniósł sukces. Nie chce mnie krzywdzić; po prostu nie potrafi nad tym zapanować. Pragnę, żeby to się skończyło, ale nie chcę, żeby nam

go odebrali. Moim braciom. I mamie. – Wracam na lekcję, panie Hayes. – Tym razem naprawdę odwracam się do wyjścia. Idę w stronę drzwi i chwytam za klamkę.

– Tyler – powtarza pan Hayes kolejny raz. Zatrzymuję się, ale się nie odwracam. Gapię się na klamkę, oddycham ciężko i słucham. – Jeśli poznasz przyczynę, dla której tak się zachowujesz, proszę, przyjdź ze mną porozmawiać. Pamiętaj, że jestem tu, żeby ci pomóc – dodaje łagodnie cichym głosem. – Dobrze?

Zaciskam powieki, szarpnięciem otwieram drzwi i bez słowa wychodzę na korytarz. Trzaskam wściekle drzwiami, bo ten człowiek to kłamca. Nie może mi pomóc. Nikt nie może mi pomóc.





## DZIŚ

Otwieram drzwi samochodu i odwracam się. Eden pospiesznie przecina trawnik, jakby się bała, że odjadę bez niej. Przyglądam się jej, jak idzie w moją stronę. Włosy ma falujące, usta pociągnięte błyszczkiem, a na powiekach dziwne czarne kreski. Przez ostatnie dni mijaliśmy się w domu, ale żadne z nas nie próbowało zacząć rozmowy. W niedzielę usłyszałem od niej, że jestem żaloszny. Ma rację, chociaż wołałbym, żeby było inaczej. Dlatego, chociaż jestem zły, wiem, że muszę znowu przywdziać maskę i na powrót stać się pewnym siebie dupkiem, którego wszyscy znają jako Tylera Bruce'a.

– O co chodzi? – pyta Eden i nagle dociera do mnie, że się w nią wgapiam.

– No i? – pytam. Wskazuję głową samochód, bo to pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy. Nigdy dotąd ze mną nie jechała, ale jestem pewien, że zdążyła go zauważyć. Taka bryka przyciąga uwagę. Jednak twarz Eden pozostaje beznamietna. – Wiesz w ogóle, jaki to wóz?

Obchodzi samochód, ogląda nadwozie i w końcu, kiedy widzi znaczek, pyta:

– Audi?

Wydaje się kompletnie niezainteresowana i jakby zmieszana tym, że w ogóle o to pytam.

– Audi R8 – poprawiam ją z nadzieją, że wykaże trochę więcej entuzjazmu.

– Super. Mam zacząć cię oklaskiwać czy co? – pyta z powagą i patrzy na mnie. Ramiona ma splecione na piersi. W sumie mnie to nie dziwi. Pochodzi z Portland, gdzie wszyscy są hippisami i jeżdżą na rowerach. Nic dziwnego, że nie potrafi rozpoznać wypasionej bryki, nawet gdy na nią patrzy.

– Dziewczyny są ciemne – rzucam ze śmiechem. – Zemdlałabyś, gdybyś wiedziała, ile kosztuje takie cacko.

Mama rok temu też omal nie zemdlała, gdy jej powiedziałem, że chcę je kupić. Z początku upierała się, że nie ma mowy, żebym wydał połowę pieniędzy z funduszu powierniczego na sportowy wóz, ale kilka dni później ustąpiła. Myślała, że fajna bryka sprawi, iż będę szczęśliwszy. I rzeczywiście, przez chwilę tak było, głównie dlatego, że pieniądze z funduszu pochodziły w znacznej mierze z gównianej firmy ojca i fajnie było wydawać jego ciężko zarobioną kasę na coś bezsensownego. Teraz uwielbiam ten samochód i dbam o niego tak, że nie widać po nim, że ma cztery lata, a skrzynia biegów i klocki hamulcowe wymagają natychmiastowej wymiany. Ale przynajmniej dzięki niemu wyglądam jak człowiek, który ma wszystko pod kontrolą

– Błagam, daruj sobie – mówi Eden i siada na fotelu pasażera. Mrugam kilka razy. Poważnie, co to w ogóle za laska? Muszę bardziej się postarać, bo na razie oneśmielanie jej coś kiepsko mi wychodzi.

Siadam za kółkiem, uruchamiam silnik i rzucam jej swój telefon.

– Zadzwoń do Tiffani – mówię.

– Masz na myśli swoją dziewczynę, którą albo obmacujesz, albo kompletnie ignorujesz?

Cholera, a więc wcale mi się nie wydawało i rzeczywiście mnie obserwuje. Jak na kogoś, kto za mną nie przepada, coś za bardzo się interesuje, co robię i z kim. Trochę mnie to bawi, a trochę przeraża. Nie lubię, żeby ludzie zbyt skupiali się na moim życiu. Jeśli dobrze się przyjrzą, zobaczą rysy i pęknięcia.

– Dupek z ciebie – mruczy pod nosem i odwraca się. Nie zdawałem sobie sprawy, że odpowiedziałem na jej pytanie kpiarskim uśmiechem. Z uporem wpatruje się w okno, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nie chce ze mną rozmawiać. Wciąż jednak trzyma mój telefon.

– Zadzwoń do niej – powtarzam. Nieco za mocno wbijam pedał gazu, przez co ruszamy z piskiem opon. – Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy.

Eden wzdycha dramatycznie, jakbym ją prosił, żeby oddała mi nerkę, po czym prostuje się i wbija wzrok w ekran telefonu.

– Pin?

– Cztery trzy pięć pięć – mówię bez wahania. Oprócz sprośnych zdjęć Tiffani i obciążających dowodów w rozmowach z Declanem Portwoodem nie mam w telefonie nic ciekawego. Kątem oka zerkam na ekran, żeby mieć pewność, że nie będzie węszyła.

– To twój ulubiony numer, układa się w jakieś słowo, czy?...

– Układa się w słowo *hell*<sup>1</sup> – przerywam jej gwałtownie. Piekło, bo moje życie jest piekłem, bo czuję się piekielnie kiepsko, bo zmierzam prosto do piekła. Wymyśliłem to hasło podczas jednej z kiepskich nocy. Mam nadzieję, że nie spyta dlaczego, bo nie mam sił jej tłumaczyć. – Zadzwoń do niej.

Eden marszczy brwi i przewija listę kontaktów, na której są Declan i Kaleb, mama i Dave oraz setki innych imion, aż do Tiffani. Wybiera numer i podnosi telefon do ucha.

– Tu Eden. Tyler prowadzi – tłumaczy Eden, kiedy Tiffani dobiera. – Postanowiliście już, dokąd jedziemy?

Obserwuję ją, jak słucha i skubie zębami dolną wargę. Tiffani coś mówi, a ona przytakuje i nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, jakie skupienie maluje się na jej twarzy. – Tak – mówi i znowu nasłuchuje. Tak bardzo skupiam się na niej, że omal nie wjeżdżam na krawężnik, a gdy odbijam gwałtownie, Eden patrzy na mnie z ukosa. Odsuwa telefon od ucha i przełącza na głośnik.

– Tak? – pytam. To jasne, że Tiffani chciała ze mną rozmawiać. Zerkam na ekran i gwałtownie wciskam hamulec przed znakiem STOP. Zwykle nie jestem taki rozkojarzony za kółkiem, ale rzadko wożę obcych ludzi. Chyba można powiedzieć, że to wina Eden.

– Cały dzień cię nie słyszałam! – Z głośnika płynie piskliwy, słodziutki i kompletnie fałszywy głos Tiffani. Zachowuje się tak, bo wie, że Eden przysłuchuje się naszej rozmowie i na myśl o tym, jak bardzo jesteśmy załośni, przewracam oczami. Czemu staramy się przekonać wszystkich, że jesteśmy idealną, szczęśliwą parą, gdy tak naprawdę jest zupełnie inaczej? Tworzymy toksyczny związek, wiążemy się wzajemnie, nienawidzimy się, a jednak nie potrafimy się rozstać, bo oboje jesteśmy od siebie zależni. – Matka cofnęła ci zakaz wychodzenia? – pyta.

Zaciągam hamulec ręczny i patrzę na Eden. Jestem pewien, że podsłuchiwała moją rozmowę z mamą i Dave'em, a to znaczy, że wie, gdzie spędziłem popołudnie. Z Tiffani na głośniku nie mogę pozwolić, żeby wypaplała prawdę, dlatego powoli kręcę głową, żeby wiedziała, że ma się nie odzywać.

– Nie, cały dzień siedziałem w domu – mówię w końcu. Znowu. To już dziś piąty raz. Przysięgam, że nie zwraca uwagi na to, co mówię, ale to dobrze, bo i tak większość moich słów to kłamstwa.

– To kiepsko – rzuca. – Nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę! Niedługo będziemy. Zaczekajcie na nas przy Sunset Ranch – dodaje głosem wyższym o oktawę.

Dobra, jedziemy do znaku Hollywood. Mnie to pasuje. Lubię to miejsce. Człowiek przez chwilę zapomina o bożym świecie.

– Jasne.

– Kocham cię – mówi Tiffani, ale to też jest kłamstwo. Wcale mnie nie kocha. Po prostu chce, żeby wszyscy tak myśleli.

Dlatego rzucam tylko: „Taa” i rozłączam się. Nie odwzajemniam się tym samym.

Kładę telefon na desce rozdzielczej, przeczesuję włosy placami i odchylam się w fotelu. Do znaku Hollywood jest kawałek drogi.

– Jesteś niewiarygodny – mówi Eden z niedowierzaniem. – „Cały dzień siedziałem w domu?”

Nawet na nią nie patrzę i, skupiony na drodze, przejeżdżam przez skrzyżowanie.

– Taki już jestem.

– Będziesz ją tak okłamywał? – dopytuje, a ja myślę: *Znów się zaczyna*. Czemu suszy mi głowę jak moja mama? Zerkam na nią, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście jest na mnie zła, ale wygląda na zniesmaczoną. – Byłeś na plaży, grałeś na pieniądze, mało nie wdałeś się w bójkę, a zamierzasz udawać, że przez cały dzień siedziałeś w domu? Współczuję jej.

Śmieję się. Ona współczuje Tiffani? Niesamowite. Zabawne, jak ludzie z zewnątrz postrzegają pewne rzeczy. Za zamkniętymi drzwiami wszystko wydaje się inne.

– Córeczka Dave’a, nie ma co – rzucam. Wygląda na to, że wszyscy z rodziny Munro zaczynają mnie nienawidzić, gdy tylko mnie poznają, kwestionują wszystko, co robię, i są zniesmaczeni moim zachowaniem. – Musisz nauczyć się pilnować własnych spraw, dzieciaku.

– Przestań nazywać mnie dzieciakiem – nakazuje mi i, sądząc po tonie jej głosu, mówi poważnie. Wiem już, że wcale jej nie onieśmiałam. – Jesteś starszy o rok i znacznie głupszy.

– Jasne, dzieciaku – rzucam z uśmiechem, żeby wiedziała, że nie robię tego złośliwie. Tylko się z nią droczę. – Twój stary to dupek.

– Przynajmniej w tej jednej kwestii jesteśmy zgodni. – Oboje milkniemy i słyszę teraz tylko ryk silnika oraz westchnienie Eden, która tęsknym wzrokiem spogląda przez szybę.

– Nawet nie wiem, o co mu chodzi – mówi po chwili. – Życie pod jednym dachem z kimś takim jak ty musi być naprawdę wkurzające, ale mam wrażenie, że przez cały czas szuka pretekstów, żeby na ciebie nawrzeszczyć.

Bębnię palcami w kierownicę.

– Mów mi jeszcze.

– Mamie chyba lepiej bez niego – ciągnie i nagle zerka na mnie, przerażona własnymi słowami. – Nie chodzi o to, że twoja mama miała pecha – dodaje pospiesznie. – A twój ojciec? Co się z nim stało?

Hamuję tak gwałtownie, że samochód dosłownie staje w miejscu, a szarpnięcie wyrywa nas do przodu. Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– O co ci, kurwa, chodzi?

Eden gapi się na mnie, oczy ma szeroko otwarte, twarz bladą jak ściana. Pierwszy raz mam wrażenie, że naprawdę się mnie boi. Nie chcę na nią krzyczeć, ale... kurwa. Co ona sobie myśli, że pyta mnie o takie rzeczy?

– Przepraszam... ja... – bąka piskliwym głosem.

Zaciskam zęby, żeby nie wybuchnąć. Już raz mi dzisiaj odbiło i staram się opanować, chociaż to trudne. Czuję, jak ogarnia mnie wściekłość, gdy twarz ojca staje mi przed oczami; jedyne, co mogę zrobić, to wbić pedał gazu w podłogę. Silnik ryczy, opony piszczą – od razu mi lepiej.

– Po prostu nic nie mów – cedzę przez zaciśnięte zęby. Eden ma szczęście, że staram się

kontrolować. Jeszcze mnie nie widziała, jak jestem naprawdę zły i myślę, że nie chciałyby mnie oglądać w takim stanie.

– Nie chciałam cię obrazić...

– Zamknij się, do cholery – warczę. Czy ona wie? Czy ona, kurwa, wie? Czy Dave jej powiedział? Nie... Nie zrobiłby tego. Dave to palant i zwykle nie mogę go znieść, ale ufam mu na tyle, że wiem, iż nie zdradziłby sekretu, którym tylko ja mogę się dzielić. Mama wielokrotnie z nim o tym rozmawiała; Eden pewnie nie ma o niczym pojęcia. Zadała tylko pytanie, normalne pytanie, które dla mnie jest bardzo bolesne.

*Ona nie wie, tłumaczę sobie raz za razem. Nie chciała być okrutna. Po prostu chciała porozmawiać.*

Resztę drogi pokonuję w milczeniu ze wzrokiem wbitym w drogę i przez cały czas upominam się w duchu, że mam się uspokoić. To było tylko niewinne pytanie. Chciałbym nie wpadać w szal na każdą wzmiankę o ojcu, ale robię to, choć szczerze tego nienawidzę. A ona do długiej listy moich wad może teraz dopisać niekontrolowane wybuchy złości.

Na szczęście Eden również nie próbuje podejmować rozmowy, dzięki czemu mogę trochę ochłonąć. Przez cały czas wygląda przez okno i domyślam się, że myśli, jakim jestem dupkiem, bo na autostradzie widoki są dosyć kiepskie. W LA są godziny szczytu i stoimy w korku zderzak w zderzak. Jest gorzej niż zwykle, a wszystko przez to, że utknąłem w samochodzie z Eden i napięcie między nami jest niemal namacalne. Włączam muzykę, żeby rozładować atmosferę, ale nic to nie daje. Odzywam się dopiero godzinę później, kiedy jesteśmy już prawie na miejscu.

Jadę krętymi bocznymi uliczkami od North Beachwood Drive w kierunku Sunset Ranch, a przed nami na wzgórzu góruje znak Hollywood. Widzę, jak Eden pochyla się do przodu i kryjąc uśmiech, wygląda przez przednią szybę i od razu cała złość mi mija. Mam wyrzuty sumienia, że na nią nakrzyczałem.

Kilka minut później docieramy w końcu do Sunset Ranch i gdy wjeżdżam na mały przydrożny parking, oddycham z ulgą, widząc, że wszyscy są już na miejscu. Dean i Jake wyjmują z bagażników butelki wody, a dziewczyny – Tiffani, Rachael i Meghan – nakładają błyszczak na usta. Kumplujemy się od dawna i choć Rachael i Jake mnie nienawidzą, tolerujemy się nawzajem.

Parkuję, gaszę silnik i zerkam na Eden. Zastanawiam się, czy nie przeprosić jej za to, że tak na nią naskoczyłem, ale ona otwiera już drzwi. Z westchnieniem, które ciśnie mi się na usta, wysiadam i widzę Meghan idącą w naszą stronę.

– Jechaliście autostradą, tak? – pyta.

Tuż za nią idzie Tiffani. Widząc mnie, rozciąga usta w uśmiechu, zarzuca mi na szyję chude ramiona i mocno mnie obejmuje.

– Taa, a wy przez Beverly Hills? – pytam ponad ramieniem Tiffani.

Napiera na mnie całym ciałem, ujmuję w dłonie moją twarz i zamyka mi usta pocałunkiem. Wiem, że robi to wszystko na pokaz, ale i tak całuję ją przez chwilę. Zaraz jednak uwalniam się z jej objęć i odsuwam się. Czuję na sobie wzrok Eden. Prawdopodobnie myśli o rozmowie telefonicznej z Tiffani, kiedy ją okłamałem i nie powiedziałem jej, że ją kocham. A teraz jak gdyby nigdy nic całuję się z nią jak jakiś cholerny hipokryta. Spuszczam wzrok i rozgrzebuję ziemię czubkiem buta.

– Można poszaleć i człowiek nie musi się martwić, że go zatrzymają – mówi Jake, a ja nie pamiętam nawet, o co pytałem. – Nie chcieliśmy, żebyście czekali na nas godzinę.

– Niesamowite – mówi cicho Eden tym swoim matowym zachrypniętym głosem. Patrzę na nią; wszyscy na nią patrzymy. Zadziiera głowę i mrużąc oczy w wieczornym słońcu, patrzy na znak. – Dzięki, że mi go pokazaliście.

Boże. Parskamy śmiechem i naprawdę nie mogę się powstrzymać. Ona myśli, że to już? Że jechaliśmy taki szmat drogi, żeby tak po prostu popatrzeć na znak? I jeszcze jest za to wdzięczna? Boże, niewinność jest słodka.

– Jeszcze ci go nie pokazaliśmy – tłumaczy Rachael, a ja widzę, że policzki Eden nabierają rumieńców. – Zabieramy cię na górę.

– Na górę? – pyta Eden. Ściąga brwi i jeszcze raz patrzy na znak. Fakt, góra Lee jest dość wysoka, ale wspinaczka wcale nie jest taka zła.

– Dokładnie, na górę – potwierdza Dean. – Lepiej ruszajmy, jeśli chcemy zdążyć przed zachodem słońca. A jest gorąco. Więc proszę. – Podaje jej butelkę wody, a kolejne dwie Jake'owi i Meghan.

– Kto pamięta trasę? – pyta Rachael. Podchodzi do mnie i Tiffani i wciska mi w rękę butelkę ciepłej wody.

– To nie takie trudne, Rach. Trzeba ostro skręcić w lewo, a zaraz potem w prawo – przypominam jej. Obejmuję Tiffani w pasie i prowadzę ją w stronę Hollyridge Trail, który zaczyna się kawałek dalej. Ostatni raz byliśmy tu razem ponad rok temu, ale szlaki są proste i trudno je zapomnieć.

Tiffani i ja idziemy przodem, ale to nic nowego. Odkąd pamiętam, zawsze przewodziliśmy grupie. Może dlatego, że oboje lubimy onieśmielać innych. Może dlatego, że oboje jesteśmy dobrymi aktorami. A może po prostu najbardziej przejmujemy się tym, co myślą o nas inni. Sam nie wiem.

– Nooo i? – zaczyna Tiffani. Muska palcami moje ramię i bierze mnie za rękę. – Pewnie się cieszysz, że wyrwałeś się z domu, co?

– Raczej – mruczę. Gdyby tylko wiedziała, co naprawdę dziś robiłem. Myślę, że by mnie zabiła, zwłaszcza że obiecałem, iż nie będę się zadawał z Declanem Portwoodem. A przecież to właśnie robię. – Jak tam było na plaży? Opaliłaś się?

– Nie wiem – mówi. – Zobaczysz później, jak się rozbiorę – dodaje z charakterystyczną dla siebie nonszalancją.

Cholera. Tiffani nie potrzebuje dużo czasu, żeby od razu przejść do rzeczy. To mi uświadamia po raz kolejny, jak bardzo do siebie nie pasujemy. Potrafimy rozmawiać wyłącznie o seksie, imprezach i naszej pozycji w towarzystwie. Po tylu latach to takie nudne i wtórne. Patrę na nią z ukosa, a ona posyła mi najbardziej niewinny uśmiech, na jaki ją stać, choć jest w nim jakaś złośliwość. Nie wiem, co powiedzieć, poza:

– Jasne. Brzmi nieźle.

Sądząc po jej minie, najwyraźniej nie takiej reakcji się spodziewała.

Idziemy w górę i w pewnym momencie obracam się przez ramię. Wszyscy zostali w tyle. Eden rozmawia z Rachael i słucha jej z uwagą, Dean, Jake i Meghan z czegoś się śmieją, a ja nagle żałuję, że utknąłem tu z przodu w towarzystwie Tiffani.

Przez całą drogę rozmawiamy o kompletnych bzdurach. Gdyby nie to, że idę na tę przeklętą górę, zasnąłbym z nudów. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, rozmowy nie były takie beznadziejne, ale z czasem przyzwyczailiśmy się do siebie. A jak już przyzwyczaisz się do kogoś, kogo niespecjalnie lubisz, odechciewa ci się próbować. Od czasu do czasu, żeby sprawić jej przyjemność, kładę jej rękę na ramieniu, a ona muska palcami mój biceps. Wszystko to nic nieznaczące gesty, ale nigdy nie spodziewałem się czegoś więcej. Od początku wiedziałem, że między mną a Tiffani nie będzie prawdziwego uczucia, choć czasem tego żałuję.

Jeszcze raz oglądam się przez ramię i nie wiedzieć czemu zaciskam pięść, widząc, że Eden nie rozmawia już z Rachael. Nie, flirtuje z Jakiem. Zostali daleko w tyle, a ja, widząc ich razem, czuję się niezręcznie. Mrużąc oczy, patrę na Jake'a i zastanawiam się, o co mu chodzi.

Eden chwyta moje spojrzenie i odpowiada tym samym. Czy nadal jest zła za to, że naskoczyłem na nią w samochodzie? Czy myśli, że to na nią krzywo patrzę?

– Ooooch, w życiu się tak nie cieszyłam na widok tego płotu! W końcu! – mówi Tiffani. Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą w stronę znaku. – Chodź, Eden. Musisz to zobaczyć! – woła przez ramię.

Skręcamy i oto on: napis „Hollywood” w pełnej krasie. Ogromne litery górujące nad miastem. W bezchmurne dni, takie jak ten, w oddali widać drapacze chmur w centrum LA. Dotarliśmy na górę w niecałą godzinę, a ponieważ słońce zaczyna zachodzić, stoimy skąpani w ciepłym pomarańczowym blasku. Bywałem tu już wcześniej i widok nie robi na mnie takiego wrażenia jak kiedyś.

Dołączają do nas pozostali; wychodzą zza zakrętu, ale mój wzrok skupiony jest na Eden. Rozpromienia się, otwiera szeroko oczy, przyciska dłonie do siatki ogrodzeniowej i wyęcza wzrok. Milczy przez chwilę, napawając się widokiem. Idę o zakład, że w Portland nie mają takiego gówna.

– I jak, warto było się wspinać? – pyta ją Dean, a ona nie odwraca się, tylko kiwa głową.

– To jest przepiękne – mruczy.

Meghan coś mówi, ale jej nie słyszę. Przestałem słuchać, bo też się gapię na napis. Kilka razy przechodziliśmy przez płot, żeby dotknąć liter i choć to nielegalne, nigdy nas nie złapano. Zwykle szybko się stąd wynosimy, ale skoro Eden pokonała taki kawał drogi, zasługuje na to, by doświadczyć wszystkiego. Poza tym chcę poddać ją próbie i zobaczyć, czy lubi wyzwania i adrenalinę. Nie wygląda na taką, ale nie wyciągam pochopnych wniosków, bo póki co, cały czas mnie zaskakuje.

Chwytam się siatki i oglądam się na pozostałych.

– Na co czekacie? – pytam z uśmiechem, po czym, jako przywódca grupy, podciągam się i płynnym ruchem przeskakuję na drugą stronę, jak cholerny akrobata. Aż sam jestem pod wrażeniem. – Chodźcie.

Spoglądam na Eden przez ogrodzenie z siatki. Rozgląda się dokoła i patrzy na kamery, na znaki zakazujące wejścia, a w końcu na mnie. W jej oczach widzę lęk. Uśmiecham się do niej i spojrzeniem rzucam jej wyzwanie.

– Mamy jakieś dziesięć minut, zanim wyślą helikopter – mówi Tiffani i jako pierwsza zaczyna wspinać się na siatkę. – Eden, dotknij któregoś z liter i spadajmy stąd.

Eden ściera brwi i kręci głową.

– Naprawdę, to nic takiego. Nie muszę dotykać...

– Po prostu dotknij tego cholernego napisu – warczę poirytowany. Naprawdę chciałem, żeby mnie zaskoczyła. A ona robi dokładnie to, czego się po niej spodziewałem. To wcale nie jest fajne. Wolę, kiedy mi udowadnia, że się co do niej myliłem.

– Nie złapią nas – zapewnia ją Rachael, wspinając się na siatkę razem z Deanem i Meghan. – Nie pierwszy raz to robimy – dodaje. To pieprzone kłamstwo. Tylko dwa razy przeskakiwaliśmy przez ogrodzenie.

– Nie przejmuj się – mówi Jake, widzę, jak kładzie jej rękę na siatce, i czuję ucisk w piersi. O co mu chodzi? Dziwnie się zachowuje. – Jeśli wpadniemy, to razem. Ale musimy się spieszyć.

Eden w końcu daje za wygraną, czepia się siatki, podciąga się i przeskakuje na drugą stronę. Widząc to, z uznaniem kiwam głową, ale ona tego nie zauważa. Odwracam się i ruszam w stronę ogromnych liter. Teren jest tu stromy, musimy uważać i przez cały czas patrzeć pod nogi.

– Uwielbiam to miejsce – mówi Dean, gdy docieramy do napisu. Dotyka litery „O”

i wzdycha. – Ciekawe, ilu ludzi gotowych byłoby zabić, żeby tylko móc zrobić coś takiego. Szczęściarze z nas.

Wbijam w niego wzrok. Dean tak już ma. Dla niego wszystko jest takie głębokie.

– Stary, przestań się rozczulać, to tylko stojący na cholernej górze napis – mówię. To naprawdę nic takiego i nie wiem, czemu ludzie robią z tego takie halo. – To miasto jest głupie jak diabli, tak samo jak ten napis.

– Boże, jakiś ty negatywnie nastawiony – strofuje mnie Tiffani i kręci głową. Staje przede mną i zaczepia palce o szlufki moich spodni, jakby się bała, że się odsunę. Patrzy na mnie spod firanki gęstych sztucznych rzęs. – Skąd ten kiepski nastrój?

Unikam jej wzroku i zamiast tego patrzę przed siebie.

– Wcale nie mam kiepskiego nastroju.

– Właśnie, że masz – upiera się. – Jak zawsze. To wkurzające. Mógłbyś się czasem uśmiechnąć? No wiesz, żebyś nie wyglądał jak dupek. Powinniśmy być szczęśliwi.

Patrzę na nią i zaciskam zęby. Mam ochotę powiedzieć jej, żeby się odpieprzyła, żeby dała mi spokój i przestała mi mówić, co mam robić, i wtedy słyszę, jak ktoś na lewo ode mnie mówi:

– No i jak z tą randką?

Odwracam wzrok i widzę Jake'a i Eden. Stoją przy literze „H” tak blisko siebie, że niemal stykają się ramionami. Przesłyszałem się? Czy on naprawdę chce się z nią umówić? Ledwie zna tę cholerną dziewczynę!

– Co jest, stary? – wołam do niego. Mijam Tiffani i idę w jego stronę. Coś kombinuje, wiem to. Eden nie jest nawet w jego typie.

– O co ci chodzi? – pyta Jake i odwraca się w moją stronę. Jest wkurzony, że im przeszkadzam, bo zaciska wargi i przewraca oczami.

– Coś ty powiedział? – warczę schrypniętym głosem. Stajemy naprzeciw siebie, a ponieważ jestem trochę wyższy, patrzę na niego z góry. Za kogo on się uważa, że chce się umówić z moją przybraną siostrą?

– Odczep się, stary – mruczy Jake i robi krok w tył. Odwraca się i rozkłada ręce, jak ktoś, kto nie szuka konfliktu, przez co wyglądam jak ciskający się mięśniak.

I nagle rozumiem: robi to, żeby mnie wkurzyć. Chce mnie sprowokować? Nadal jest wściekły, że to nie jego wybrała Tiffani?

– Nie – upieram się. Znowu do niego podchodzę; nie zamierzam dawać za wygraną. Nie musi wykorzystywać Eden, żeby mnie wkurzyć. Zachowuje się jak palant. Palcem wskazującym dżgam go w pierś i nawet na chwilę nie spuszczam z niego wzroku. – Zapomnij, że się z nią umówisz. Skopię ci tyłek, jeśli w ogóle o tym pomyślisz – grożę mu i mam nadzieję, że wie, iż nie żartuję. Przywalę mu.

– Tyler, skarbie, wyluzuj – prosi Tiffani tym swoim słodkim fałszywym głosem. Staje między mną a Jakiem, kładzie mi ręce na piersi i próbuje mnie odepchnąć. Wciąż patrzę Jake'owi w oczy. – Nie bądź dupkiem. Przestań wszczynać awanturę.

Dean również próbuje pomóc, a widząc, że Tiffani stoi mi na drodze, on zastępuje drogę Jake'owi.

– Dajcie spokój. Opuśćcie sobie – mówi.

Chcę poszukać wzrokiem Eden, zobaczyć jej minę i przekonać się, czy jest wdzięczna za moją interwencję, czy znowu się na mnie wścieka, ale w tej samej chwili słyszę odległy dźwięk helikoptera. Wszyscy milkną i wiem, że oni też go usłyszeli. Z każdą sekundą warkot silników i śmigieł tnących powietrze przybiera na sile. Odchylam głowę, podnoszę wzrok i widzę nadlatujący z drugiej strony góry Lee policyjny helikopter.

*Hell* (ang.) – piekło [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)





## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Słyszę ich głosy w kuchni, jeszcze zanim zejść na dół. Jest późno i o tej porze powinienem leżeć już w łóżku, ale nie mogę zasnąć. Chwilę temu wyszedłem z łazienki, gdzie oczyściłem ranę na ramieniu i wziąłem środki przeciwbólowe. Ale potrzebuję lodu.

Dom pogrążony jest w ciemności, z wyjątkiem wąskiej nitki światła, które sączy się zza uchylonych kuchennych drzwi. Po cichutku, stopień po stopniu, schodzę na dół. Po drodze zaglądam do Jamiego i Chase'a, ale obaj chrapią. Poruszam się najciszej, jak się da, nie tylko dlatego, żeby nie usłyszeli mnie rodzice, ale i po to, żeby nie obudzić braci.

Idę korytarzem w stronę kuchni, a kiedy docieram na miejsce, przywieram do ściany i zaglądam przez szczelinę w drzwiach. Wstrzymuję oddech, bo się boję, że usłyszą, jak oddycham.

– Nie możesz po prostu zastąpić go kimś z firmy? – pyta mama i z marsową miną patrzy, jak tata krąży po kuchni. Wydaje się zmęczona. Ma na sobie spodnie dresowe, włosy upięła z tyłu głowy i zdążyła już zmyć makijaż. – Awansować kogoś?

– Zastąpić Evana Krogera? – pyta ojciec i nagle się zatrzymuje. Oszalałym wzrokiem patrzy na mamę stojącą w drugim końcu kuchni. Wciąż jest ubrany w koszulę i krawat, który jednak jest poluzowany. Widzę, jak podnosi rękę, żeby rozpiąć górne guziki. – Nikt inny się do tego nie nadaje. Jak Evan mógł tak po prostu odejść? Bez uprzedzenia! – Zdenerwowany kręci głową. – Teraz oddział w Seattle został bez project managera. Na dwa dni przed podpisaniem najważniejszej umowy. Jesteśmy w czarnej dupie.

W ciemnościach podwijam rękaw koszulki i zerkam na swoją rękę. Zaraz poniżej ramienia pojawiają się nowe sińce. Nie byłem pewien, co takiego dziś zrobiłem, ale teraz wiem, czemu się tak wściekł. Coś poszło nie tak w pracy.

– Przestań przeklinać – mówi mama. Opuszczam rękaw i znowu zaglądam przez uchylone drzwi. Mama patrzy na tatę ze współczuciem. Zawsze go wspiera. – Coś wymyślisz, Peter. Jak zawsze.

– Przepraszam – mruczy ojciec. – Ale niech to szlag! – Mięsień zuchwy mu drga. Nagle się odwraca i wali pięścią w blat. Już dawno nie był taki zły. Opiera się o blat, zwiesza głowę, przez chwilę masuje skronie i wypuszcza powietrze.

Mama podchodzi do niego, obejmuje go i przytula twarz do jego piersi, jak gdyby chciała go pocieszyć.

– Jesteś taki zestresowany. Odpręż się – szepcze, zadziera głowę i całuje go w kącik ust, a zaraz potem w usta.

Wrócił z pracy dwie godziny temu, później niż zwykle, i od razu wpadł do mojego pokoju. Domyślałem się, że był zestresowany. Nie spodobało mu się, że oglądał telewizję, chociaż odrobiłem już pracę domową.

– Pewnie powinienem lecieć tam porannym lotem i zobaczyć, z jakim bałaganem zostawił mnie Evan – mówi tata. Opiera ręce na ramionach mamy, przyciąga ją do siebie i patrzy na nią

z przepaszającym uśmiechem. – Poradzisz sobie z dziećmi? Jeśli nie, poproszę rodziców, żeby posiedzieli z nimi popołudniami, dopóki nie wrócisz z pracy. Dobrze? Nie muszę jechać, jeśli nie chcesz. Mogę załatwić wszystko przez telefon.

– Do poniedziałku nie muszę stawiać się w sądzie. Mogę popracować w domu. Zajmę się wszystkim – zapewnia mama. – Leć do Seattle.

Tata oddycha z ulgą, dotyka czołem czoła mamy, ujmuje w dłonie jej twarz i zatapia palce w jej włosach. Uśmiech, który jej posyła, jest pełen ciepła i wdzięczności.

– Ratujesz mi życie – mruczy. Zamierza ją pocałować, ale ogląda się przez ramię i jego wzrok spoczywa na mnie. Odchyła się w tył, ale nie wypuszcza mamy z objęć. – Tyler! – mówi podniesionym głosem. Ton ma surowy, jego twarz tężeje. – Powinieneś spać. Wracaj na górę do łóżka.

Mama wyciąga szyję, żeby na mnie spojrzeć, i chociaż się uśmiecha, myślę, że jest zła, że im przeszkodziłem. Wyczuwam napięcie w jej głosie.

– O co chodzi, Tyler? – pyta.

Zobaczyli mnie. Nie mogę się odwrócić i uciec. Otwieram drzwi i przechodzę przez próg. Tata gromi mnie wzrokiem, skupiam się więc na mamie.

– Ja... Chce mi się pić – kłamię. Mam sucho w ustach, ale nie dlatego, że jestem spragniony. – Mogę wziąć sobie wody? Z lodem.

– Pewnie – mówi mama. Wsuwa się z objęć taty i podchodzi do zlewu.

W kuchni zapada krępująca cisza, mama bierze szklankę i podstawia ją pod kran. Tata wciąż opiera się o blat i obiema dłońmi ściska jego krawędź. Wzrok ma utkwiony we mnie. Widzę, że mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów, patrząc, czy nie popełnił jakichś błędów. Pod jego czujnym wzrokiem sięgam do rękawa koszulki i próbuję go obciągnąć. Patrzę pod nogi, słucham szumu wody i chrzęstu lodu w maszynie do lodu wbudowanej w lodówkę.

– Proszę bardzo – mówi mama i podchodzi do mnie. Wsuwa mi szklankę w dłoń, unosi brew i niemal niezauważalnie kiwa głową. – A teraz dobranoc, Tyler. Musisz rano wstać do szkoły. – Całuje mnie w czoło, a ja odwracam się i idę w stronę drzwi. Nie patrzę na tatę, a wychodząc, zostawiam drzwi lekko uchylone.

Kilka kroków dalej zatrzymuję się. Wsuwam dłoń do szklanki i wyjmuję lód, zanim zdąży się rozpuścić. Z zimna drętwieją mi palce, ale jestem zdeterminowany. Zanim wrócę na górę, ostatni raz oglądam się przez ramię. Mama znów tuli się do taty, rękami obejmuje go za szyję, a on opiera ręce na jej biodrach i całuje ją. Zataczają się. Zamykam oczy, odwracam się i w drodze do pokoju podciągam rękaw. Potem przykładam lód do świeżych sińców, które na moim ramieniu pozostawiły palce ojca.



## DZIŚ

– Cholera! – wrzeszczę i wściekły walę dłonią w ogromne „H”. Skóra mnie piecze, ale jestem za bardzo przerażony, żeby się tym przejmować. Nerwowo przeczesuję włosy palcami.

– Jak to możliwe, że zawsze zjawiają się tak szybko?

– Zbieramy się! – woła Tiffani. Nagle wszyscy zrywają się do ucieczki, a Tiffani łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą. Bez względu na to, jak stroma jest góra Lee, dużo szybciej przebiegniemy przez porastające ją krzaki, niż gdybyśmy mieli wracać na ścieżkę. To niebezpieczne, ale w tej chwili nasze bezpieczeństwo jest najmniejszym z moich zmartwień.

Nie mogą mnie złapać. Już wcześniej aresztowano mnie za wtargnięcie. Jeśli mam pracować dla Declana Portwooda, muszę unikać glin jak ognia. Nie mogą o mnie wiedzieć.

– Boże, jeśli mnie aresztują, matka mnie zabije! – panikuje zdyszana Tiffani. Nadal trzymamy się za ręce, ale to ja biegnę pierwszy i pospiesznie badam grunt. Pełno tu przypadkowych uskoków oraz dziur i łatwo się przewrócić. A chociaż Tiffani drażni mnie jak cholera, to przecież nie chcę, żeby coś jej się stało.

Ścigamy się z czasem, by jak najszybciej dotrzeć na dół, zanim gliny wyślą radiowóz. Dlatego nie czekamy na pozostałych. Słyszę, jak biegną za nami. Co chwila dobiegają mnie piski Rachael i Meghan, dziewczyny się nawołują, ale się nie odwracam.

W końcu razem z Tiffani docieramy na dół, bez żadnych skaleczeń i bez radiowozów w zasięgu wzroku. Chociaż to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy bezpieczni, oddycham z ulgą. Zdyszani biegniemy na parking, na którym zostawiliśmy samochody. Zaczynam nerwowo szukać w kieszeniach kluczyków. Wciąż słyszę nad naszymi głowami ten przekłety helikopter.

– Wynośmy się stąd – mruczę i otwieram samochód. Siadam za kółkiem, a Tiffani wskakuje na fotel pasażera. Reszta zrozumie, dlaczego odjechaliliśmy bez nich. Wiem, że prawdopodobnie powinienem poczekać na Eden, ale nie mogę ryzykować. Na pewno odstawią ją do domu.

– Tak – przyznaje Tiffani i kładzie mi rękę na udzie. – Jedźmy do mnie.

\* \* \*

Jedziemy do Tiffani, ale tylko żeby ją podrzucić. Wysiada, trzaska drzwiami, wyzywa mnie od dupków i idzie do domu, kręcąc biodrami i zarzucając włosami, żeby mi pokazać, z czego właśnie zrezygnowałam. Ale ja naprawdę nie jestem w nastroju. To był dziwny dzień.

Kiedy wracam do domu, jest już ciemno. Mama i Dave oglądają telewizję w pokoju gościnnym. Stoję w korytarzu i zastanawiam się, czy należy z nimi porozmawiać, i dochodzę do wniosku, że po tym, co się dziś wydarzyło, powinienem mieć na tyle przyzwoitości, żeby im powiedzieć, że wróciłem do domu. Nie chodzi o to, że chcę ich wkurzyć. Po prostu czuję, że... powinienem. Jeśli istnieje szansa, że choć przez chwilę mogę być do zniesienia... zamierzam ją wykorzystać.

Pukam w szybę drzwi i otwieram je delikatnie. Oboje patrzą w moją stronę, jakby się

dziwili, że choć raz jestem w domu przed północą, i wyciszają telewizor.

– Wróciłem – mówię cicho. Nawet się uśmiecham. Wiem, że wcześniej sprawiłem mamie zawód, dlatego chcę jej to wynagrodzić.

– Gdzie byłeś? – pyta. Głos ma spokojny, jakbyśmy zawarli niepisaną umowę, że zapominamy o tym, co wydarzyło się wcześniej.

– Z Tiffani – mówię. Tym razem nie kłamię; po prostu nie mówię całej prawdy. Przecież nie powiem im, że prawie nas aresztowali, bo zakradliśmy się do napisu „Hollywood”.

– Gdzie Eden? – odzywa się Dave i chociaż w jego głosie słychać gniew, nie jest tak gburowaty jak zwykle. On również wydaje się lekko zaniepokojony.

– Z Rachael – mówię, chociaż nie mam pewności. Nie zamierzam mu mówić, że jego córka uciekła gliniarzom. Zresztą pewnie i tak zaraz wróci do domu. Zauważam puste opakowania po jedzeniu na stoliku do kawy i unoszę brew. – Zamówiliście chińszczyznę?

– Mama przypaliła steki – tłumaczy Dave i zerka na mamę, która oblewa się rumieńcem. Zwykle świetnie gotuje.

– Super! – rzucam z sarkazmem. – Czyli krowa zginęła na marne!

Mama pochmurnieje.

– Tyler...

– Żartuję! – mówię. Podnoszę ręce i śmieję się. Boże, nie mogę nawet zapodać któregoś z moich wegetariańskich żartów, żeby nie pomyśleli, że znowu mi odbija. Trochę to smutne. Czyżbym dotarł do punktu, w którym ludzie oczekują, że cały czas będę agresywny?

– Tyler! – Słyszę Jamiego, który zbiega po schodach. W skarpetkach na nogach ślizga się po podłodze korytarza i wpada na mnie. Uśmiecha się i patrzy tymi niebieskimi oczami, identycznymi jak oczy mamy. – Wróciłeś. To dobrze. Zagraj ze mną w Maddena, bo Chase jest kompletnie do niczego.

– Stara się, jak może, Jay – mówi mama.

– Wcale nie, mamó – jęczy Jamie. – Nawet ty zagrałabyś lepiej od niego! Chodź, Tyler.

– Bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę schodów, ale kątem oka widzę jeszcze mamę, która uśmiecha się znacząco i przewraca oczami. Pewnie się cieszy, że choć raz widzi mnie w miarę spokojnego.

Idę za Jamiem na górę do jego pokoju na końcu korytarza. Chase w piżamie siedzi po turecku na podłodze i czeka cierpliwie przed telewizorem z zapauzowaną grą Madden NFL.

– Posuń się – nakazuje mu Jamie i szturcha go kolanem. – Tyler zagra zamiast ciebie.

– Jak to? Czemu? – pyta Chase, wyraźnie zdumiony. W pokoju jest ciemno i blask telewizora, jedyne źródło światła, odbija się w jego niebieskich oczach. Obaj moi bracia mają jasne włosy mamy i jej oczy. Z jakiegoś powodu tylko ja odziedziczyłem hiszpańskie geny ojca i dlatego teraz, kiedy jego nie ma, wyglądam, jakbym nie pasował do rodziny.

– Bo jesteś do bani – warczy Jamie.

– Wcale nie! – prychna Chase, ale ciska pada i niechętnie ustępuje mi miejsca na podłodze.

Zabawne, jak bardzo różnimy się od siebie. Ja jestem tym popieprzonym, zbuntowanym synem. Jamie to mądry perfekcjonista. A Chase – niewiniątko i pupilek wszystkich. Mają zaledwie czternaście i jedenaście lat, ale już wiem, że będą dużo lepsi ode mnie.

Siadam obok Chase’a na podłodze, opieram się plecami o łóżko Jamiego i wyciągam nogi. Sięgam po pada.

– Sorki, stary, ale grasz z profesjonalistą – drocę się z nim. Dla podkreślenia swoich słów wyłamuję palce i ruszam szyją, aż trzeszczą mi kości. – Gotowy, Jay?

– Gotowy – odpowiada Jay z łóżka. Wznawia grę, a ja gapię się w ekran, próbując zgadnąć, którą drużyną gram. Tak, Chase naprawdę jest kiepski. Nie zdobył żadnych punktów.

Żadnych.

Nie grałem od lat. Gdy byłem w ich wieku, grałem w Maddena z Deanem i Jakiem. Cały. Przekląty. Czas. Ale to było dawno temu. Teraz w czasie wolnym rujnuję sobie życie. Dlatego na początku kiepsko mi idzie, ale w końcu przypominam sobie to i owo. Jamie przez cały czas obrzuca mnie obelgami, a Chase wierci się obok, przyklejony do telewizora. Śmiejemy się i żałuję, że nie robimy tego częściej. Chryste, uwielbiam ich, ale zwykle tak wiele dzieje się w moim życiu, że nie mam kiedy spędzać z nimi czasu. Są szczęśliwi i beztroscy, i wiem, że przydałaby mi się ta pozytywna energia, którą emanują.

– Buuum! – krzyczy Jamie. Rzuca pada na podłogę i podnosi ręce po ostatnim przyłożeniu, które przesądza o losach meczu. Nie miałem szans odrobić strat, które odniósł Chase, nic dziwnego, że to on wygrał. – I co, Tyler? Widzisz? I kto tu jest profesjonalistą?

– Nie ty – mruczy Chase i krzyżuje ramiona na piersi. Dąsa się, ale ja parskam śmiechem. To tylko gra!

– Co powiedziałeś? – warczy Jamie, rzuca się na Chase'a i siłuje się z nim. Przez chwilę tarzają się po podłodze, przepychają się i śmieją, próbując usiąść okrakiem na przeciwniku. Patrzę na nich rozbawiony i śmieję się z nimi.

Jeśli jest coś, za co jestem wdzięczny, to że tata nigdy nie podniósł ręki na żadnego z nich. Zniósłbym trzy razy tyle, gdyby to znaczyło, że nigdy nie doświadczą tego co ja. Nie wiem, czy byłbym w stanie to wytrzymać. Byli tacy mali. Patrzę teraz na Chase'a, jak zdyszany i pokonany zrzuca z siebie Jamiego. Jest taki młody, taki dziecinny i czysty. Nie ma mowy, by ktokolwiek go skrzywdził. Ma dopiero jedenaście lat.

Ale ja też miałem kiedyś jedenaście lat... i do dwunastego roku życia nosiłem na ciele siniaki i skaleczenia.

Jak ojciec mógł patrzeć na mnie, tak jak ja patrzę teraz na Jamiego i Chase'a, i myśleć o tym, że zrobi mi krzywdę?

Chase nie wie o tacie. Prawda by go zraniła, a przecież nie musi wiedzieć, że jego ojciec to potwór. Mama nie mogła ochronić mnie i Jamiego, ale chce chronić Chase'a. Lepiej, że wierzy, że tata jest w więzieniu za kradzież samochodów. Zresztą większość ludzi zna taką wersję. Ale Jamie wie, jak było naprawdę. To on ją odkrył. Pięć lat temu niemal uratował mi życie. Nigdy o tym nie rozmawiamy. Myślę, że go to przeraża.

– Możecie mi coś obiecać? – pytam, sięgając po pilota i wyłączając telewizor. W pokoju zapada cisza. Wstaję i zapalam światło, a zaraz potem siadam na łóżku i patrzę na nich, siedzących na podłodze. Nie śmieję się już. Twarz mam poważną.

– Co? – pytają zgodnie i patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie zróbcie niczego głupiego, jak już będziecie w moim wieku, dobra? – mówię. W przeciwieństwie do mnie mają szansę na normalne życie. Na college, dobrą pracę, zdrowe relacje... na to, by być szczęśliwym. Nie chcę, żeby to schrzanili. Mają przewagę, której ja nie miałem. – Nie chcę, żeby któryś z was wpakował się w kłopoty.

Patrzą na mnie obojętnym wzrokiem, aż w końcu Jamie uśmiecha się głupkowato i pyta:

– A ty co głupiego zrobiłeś?

Ze śmiechem pochylałem się do przodu i mierzwię mu włosy.

– Myślisz, że ci powiem?

– Tak, a wtedy zacznę cię szantażować i w sierpniu będziesz musiał kupić mi Maddena 12 – mówi i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– A może – zaczynam i sięgam do kieszeni po portfel – już teraz dam ci trochę gotówki? Tylko nie mów mamie. – Jestem hojny, bo wprawili mnie w dobry nastrój. Wyciągam trzydzieści dolców i daję je Jamiemu. Patrzy na mnie z niedowierzaniem; oczy mu błyszczą.

– Hej! – woła Chase. – A ja?

Cholera. Daję mu dwadzieścia dolarów, ale na szczęście nie zauważa, że go okantowałem. Pięćdziesiąt dolców to niewielka cena za ich uśmiechy, szczerzą się, jakby wygrali na loterii. Chowam portfel z powrotem do kieszeni i wstaję. Życzę im dobrej nocy i wychodzę.

Idę do pokoju i ze schodów widzę Eden, która biegnie na górę. Dopiero wróciła? Gdy wyjeżdżaliśmy z Tiffani z parkingu, była kilka minut za nami. Powinna być w domu wieki temu.

– Eden? – Patrzę na nią i zastanawiam się, gdzie była, bo na pewno nie wróciła prosto do domu. – Gdzie ty zniknęłaś, do cholery?

Zamiera na schodach i chwilę później się odgryza:

– Ja? Gdzie TY zniknęłaś, do cholery? – Powoli pokonuje ostatnie kilka stopni i staje przede mną. Jest dużo niższa ode mnie, ale jej oczy ciskają błyskawice. – Zostawiłeś nas. To się nazywa praca zespołowa; nie ma co.

Cholera, jest na mnie zła. Ale za co? Za to, że naskoczyłem na nią w samochodzie? Że starłem się z Jakiem? Zrobiłem dziś wiele rzeczy, które mogły ją wkurzyć i na myśl o nich mam ochotę jęknąć.

– Po prostu nie przepadam za gliniarzami, ok? Nie mogą mnie znowu złapać.

– Znowu – prycha Eden. – Kolejny punkt na liście moich przekrętów: *był aresztowany*.

– Kiedy wróciłeś do domu?

– Dwadzieścia minut temu. Mama w końcu przestała mi suszyć głowę o tę akcję na plaży.

– Super – rzuca głosem wypranym z emocji i jak gdyby nigdy nic, mija mnie i wchodzi do pokoju. Nie skończyłem z nią jeszcze rozmawiać, idę więc za nią. Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem. – O co ci chodzi?

Nie wiem. Chyba chcę się dowiedzieć, czemu jest na mnie zła.

– O nic – mówię i wbijam wzrok w podłogę. Boże, co się, do cholery, ze mną dzieje? Powinienem stąd spadać, skoro nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Zakłopotany odwracam się i idę do swojego pokoju, a ona nagle pyta:

– O co ci chodziło z Jakiem?

Oglądam się przez ramię, widzę, że tym razem to ona wyszła za mną. Ręce ma skrzyżowane na piersi i unosząc brwi, patrzy na mnie w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Zadałam ci pytanie.

– Nie zamierzam na nie odpowiadać – mówię. Czy mój pokój jest posprzątnany? Rozglądam się dokoła. Nie, kurwa, jasne, że nie. Rano nie pościeliłem nawet łóżka. Na szafce nocnej stoi butelka piwa, a przy drzwiach do łazienki leżą bokserki. Muszę odwrócić jej uwagę, zaciskam więc zęby i odwracam się do niej. – Albo nie. Odpowiem. Koleś jest drugim z kolei największym dupkiem, jakiego znam. Nie trać na niego czasu. Wystawi cię.

– A kto jest pierwszym? Ty? – odcina się. Wolałbym, żeby oszczędziła sobie złośliwości, bo pierwszym jest mój ojciec. Moja krew.

– Byłaś blisko – rzucam tylko.

– Cóż, tak się składa, że Jake jest miły. W przeciwieństwie do niektórych. – Robi krok w tył i zaczyna rozglądać się po pokoju. – I nie ty będziesz decydował o tym, czy umówię się z nim, czy nie.

– Żartujesz, prawda? – pytam. Bo przecież musi żartować. Jake to dziwak. Nie zna go tak dobrze jak my. Nie wie, że to koleś, który lubi zaliczać laski i szczyca się tym. Nie ma pojęcia, że jest kłótlivy i konfliktowy. – W porządku – rzucam. – Tylko nie mów, że cię nie ostrzegalem.

– Zresztą, co cię to obchodzi? – pyta.

– Nie obchodzi – odgryzam się. A może jednak? Skoro mam to gdzieś, to czemu wkurzam się na myśl, że mogłaby się z nim spotkać?

– Chyba jednak tak.

Odwracam się, wbijam ręce w kieszenie i zastanawiam się, jak zmienić temat. Przy telewizorze leży stos starych DVD. Zachowuję się jak totalny kretyn, bo pytam ni stąd, ni zowąd:

– Jaki jest twój ulubiony film?

Eden gapi się na mnie. Pewnie ma mnie za idiotę, który próbując wybrnąć z sytuacji, zadał najgłupsze pytanie świata.

– *Zakochany kundel* – mówi w końcu

– Disneyowska bajka? – Mało nie parskam śmiechem. Proszę, proszę, znów mnie zaskoczyła. Gdyby to była Tiffani, Rachael albo Meghan, zrywałbym boki. Ale uważam, że to słodkie, że się nie wstydziła. – Czemu?

– Bo to najpiękniejsza historia miłosna wszech czasów – tłumaczy. – *Romeo i Julia* nie umywają się do *Zakochanego kundla*. To dwie różne historie. Lady jest absolutnie normalna, a Kundel absolutnie lekkomyślny, a jednak się w sobie zakochują. – Uśmiecha się, nawet na mnie nie patrząc. Nigdy nie widziałem nikogo tak zachwyconego disneyowską bajką. – Poza tym, scena ze spaghetti absolutnie przeszła do klasyki.

– Absolutnie – zgadzam się ze śmiechem. Nigdy nie oglądałem tej bajki, ale chyba wiem, o co w niej chodzi. – Poza tym jestem pewien, że Lady nie była normalna. Była nudna i nie miała pojęcia, co to dobra zabawa. Zdecydowanie wolę Kundla.

– Dlaczego? Bo włóczy się po ulicach, jak ty, kiedy pijany wracasz do domu? – Przechyliła głowę. Uśmiecha się do mnie i w jej orzechowych oczach pojawia się błysk. Znowu się śmieje, a ona kolejny raz rozgląda się po pokoju. – Grasz w futbol? – pyta.

– Co? – Oglądam się przez ramię i wiem, o czym mówi. Na górnej półce w szafie leży ciśnieńta w nieładzie sportowa kurtka Deana. Jest tam od roku i przywołuje złe wspomnienia. Rok temu, latem, zaliczyłem kiepskiego tripa. Niewiele pamiętam, ale wiem, że gdy się obudziłem, miałem na sobie kurtkę Deana. Najwyraźniej trząśłem się jak galareta i chcieli mnie jakoś ogrzać. Teraz jestem ostrożniejszy. – Nie – mówię. – To Deana. Nie jestem typem sportowca.

– Dean gra w futbol? – pyta powoli, jakby była zaskoczona. – A ty nie?

– Taa. Jake też. – Podchodzę do szafy i po drodze subtelnie odkopuję na bok bokserki. – Grałem, kiedy byłem młodszy, ale w gimnazjum przestałem.

– Czemu?

– Według niektórych futbol to strata czasu – mówię ze ściśniętym gardłem. Kiedyś kochałem futbol. Czekałem, aż pójdę do liceum i spróbuję się dostać do tamtejszej drużyny, ale ojciec widział dla mnie inne priorytety. Do dziś słyszę, jak mówi: „Po co marnować czas? Rzucając piłką, nie dostaniesz się do Ligi Bluszczowej. Siedź w domu i ucz się, żebyś w przyszłości odniósł sukces”.

Eden przygląda mi się z uwagą.

– Kto ci tak powiedział?

– Po prostu ktoś. – Ktoś, o kim nigdy, przenigdy się nie dowie. – Dlatego nie wolno mi było grać.

– Nie wolno? – Unosi brew.

Cholera. Czasami naprawdę muszę uważać na to, co mówię.

– To znaczy... dlatego przestałem grać – wyjaśniam pospiesznie i wpycham kurtkę Deana głębiej do szafy. Przebiegam wzrokiem po swoich ubraniach i postanawiam, że po tym, co się dziś wydarzyło, muszę zmienić koszulkę. Ta, którą mam na sobie, jest przepocona. Staję plecami do Eden i pospiesznie zmieniam ją na świeżą. – Muszę oddać tę bluzę. Od wieków suszy mi o nią głowę. – rzucam przez ramię.

Na chwilę zapada cisza, po czym słyszę, jak Eden pyta:

– Co oznacza twój tatuaż? – Odwracam się i patrzę na nią zmieszany. – Pominę fakt, że zrobiłeś go nielegalnie – dodaje Eden pospiesznie.

– Mój tatuaż? – Mam tylko jeden. Na lewej łopatkę. I tak, Eden ma rację, zrobiłem go nielegalnie rok temu, w piwnicy, u któregoś ze znajomych Declana. – To hiszpańskie słowo *Guerrero* – mówię i czuję się trochę niezręcznie. Drapię się po karku i zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, tłumaczę. – Znaczy „wojownik”. – Nadal nie wiem, dlaczego wybrałem właśnie to słowo. Myślę, że w tamtym czasie znaczyło tyle, co powiedzieć ojcu: „Pieprz się”. Zawsze wbijał mi do głowy, że o sukces trzeba walczyć. No i w piwnicy, cuchnącej trawą i zwiertzałym piwem, zdecydowałem, że zrobię dokładnie tak, jak mi mówił. Będę walczył o swoją własną wizję sukcesu i nie pozwolę, żeby to, co zrobił, zrujnowało mi życie. Chociaż na razie kiepsko mi to idzie.

Eden nie spuszcza ze mnie wzroku; naprawdę jest zaciekawiona i poniekąd jest to miłe. Tiffani powiedziała mi pewnego razu, że to głupi tatuaż, ale ona nie wie, co on oznacza.

– Dlaczego hiszpańskie?

– Mówię płynnie po hiszpańsku – odpowiadam. – Moi rodzice też. Tata nauczył mnie, kiedy byłem dzieckiem. – Teraz nie używam już po hiszpańskiego, bo kojarzy mi się z ojcem.

– Ja nie znam hiszpańskiego – mówi Eden. Przygryza wargę i uśmiecha się figlarnie. – Ale mówię po francusku. Jak Kanadyjczycy – żartuje. – *Bonjour*.

Co jest? Czy ten schrypnięty głos właśnie powiedział coś po francusku? Nie wiedziałem, że francuski może brzmieć tak dobrze.

– *Me frustras* – odpowiadam po hiszpańsku i przeczesuję włosy palcami. Eden wygląda na zmieszaną, ale bawi mnie to. – *Buenas noches*. To znaczy „dobranoc”. – Nie tłumaczę jej pierwszej części. Nie mówię jej, że mnie irytuje.

A tak właśnie jest. Bez przerwy zadaje mi pytania i zwraca na mnie uwagę. Raz jest nieśmiała i zakłopotana, a raz pewna siebie i zaczepna. Słucha, ale nie zamierza znosić moich humorów. Poniekąd mi to pasuje.

– A – rzuca. Kącik jej pełnych ust unosi się w słodkim uśmiechu, a ona sama odwraca się i wychodząc z pokoju. – *Bonsoir* – mruczy tym swoim hipnotyzującym głosem. Może to znaczy „dobranoc” po francusku? Cokolwiek to znaczy, w jej ustach brzmi niesamowicie.

Odprawiam ją wzrokiem. Stoję jak wryty, wpatruję się w pusty korytarz i uśmiecham się. Coś jest nie tak. Nie wiem co i przez chwilę łamię sobie głowę, próbując odpowiedzieć na pytanie, czemu czuję się tak dziwnie. Dopiero gdy widzę swoje odbicie w lustrze, uderza mnie prawda.

Mój uśmiech jest inny niż zwykle. Nie jest kpiarski ani zadziorny. Nie mrużę oczu, a w moim wzroku nie ma wrogości. Serce podchodzi mi do gardła, gdy uświadamiam sobie, że przez ostatnich kilka minut nikogo nie udawałem. Po raz pierwszy od dawna zapomniałem być Tylerem Bruce'em.

Byłem po prostu sobą i to był mój największy błąd.





## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Uwielbiam, kiedy tata wyjeżdża z miasta, bo to znaczy, że nie ma go w domu, a jak nie ma go w domu, nie może zrobić mi krzywdy. Od dwóch dni jest w Seattle i raczej nie wróci do jutra wieczorem. Chciałbym, żeby został tam dłużej, i mam nadzieję, że po powrocie nie będzie już taki nerwowy. Liczę, że wróci szczęśliwy i będzie grał z nami w koszykówkę na podjeździe, tak jak kilka tygodni temu. Byłoby fajnie.

Jest piątkowe popołudnie. Mama zwolniła mnie dziś z ostatniej godziny lekcyjnej, bo mam umówioną wizytę u doktora Colemana. Siedzimy w poczekalni, a ja gapię się na wiszący na ścianie zegar i obserwuję ruch wskazówek. Minęło trochę czasu, odkąd zdjęto mi gips z nadgarstka i doktor Coleman chce zobaczyć, jak zrasta się złamanie. Ciągle zapominam o ćwiczeniach, które kazał mi robić, i dlatego teraz, próbując ratować sytuację, podnoszę lewą rękę i kręcę nadgarstkiem. Czasami sprawia mi to ból.

– Nie za późno na to? – pyta mama i zerka na mnie kątem oka. Od dwudziestu minut zapisuje coś w telefonie, prawdopodobnie dlatego, że przez kilka ostatnich dni pracowała w domu i musi być w kontakcie z biurem. Zrobiła sobie wolne popołudnie, żeby mnie tu przywieźć, i obiecała, że w drodze powrotnej pójdziemy na lody, na promenadę.

– Może pomoże – mówię i wzruszam ramionami, zaraz jednak daję za wygraną i opuszczam rękę na kolano. Znowu patrzę na zegar.

– Tyler? – słyszę czyjś głos. Podnoszę wzrok i widzę, że w drzwiach gabinetu stoi doktor Coleman, który uśmiecha się do mnie. Jest stary. Ma głębokie zmarszczki, siwiejące włosy i wielki brzuch, ale zawsze jest dla mnie miły. Tylko że to nie wystarczy, żebym poczuł się swobodnie. – Zapraszam!

Mama chowa telefon do torebki i wstaje z krzesła. Kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi mnie korytarzem do gabinetu doktora Colemana, a ja staram się nie krzywić. Doktor Coleman to przyjaciel z dzieciństwa mojego dziadka. Jest naszym lekarzem rodzinnym, odkąd sięgam pamięcią. Mama pyta go, co u niego słyhać, ale nie słucham odpowiedzi, bo zaczynam się denerwować. Denerwuję się przed każdą wizytą. Chociaż na dworze jest ciepło, mam na sobie kilka warstw ubrań, w tym bluzę z kapturem. Nie chcę, żeby zobaczył siniaki, utrudniam mu więc zadanie.

– I jak tam nadgarstek? – pyta doktor Coleman, kiedy rozsiadamy się w gabinecie. Posyła mi ciepły uśmiech, spleta dłonie na kolanach i czekając na odpowiedź, obserwuje mnie zza grubych szkieł okularów.

– Czasami nadal jest sztywny – przyznaję i wbijam wzrok w dłonie. Chcę mieć to już za sobą, najszybciej jak się da.

– Normalnie wszystko powinno być już dobrze, bo złamanie było niewielkie, ale zważywszy na to, że kość była już wcześniej złamana, gojenie może potrwać trochę dłużej – tłumaczy, marszcząc czoło. Siada na skraju krzesła i wyciąga rękę. – Zobaczmy.

Podwijam rękaw bluzy aż do łokcia i pokazuję nadgarstek. Robiłem to już na początku

roku. Wtedy tata złamał mi nadgarstek po raz pierwszy, dokładnie w tym samym miejscu. Wiem, jak mam się zachować. Doktor Coleman wygina mi rękę na wszystkie strony. Obraca ją i ugniata skórę kciukiem.

– Jest tylko sztywna? Nic więcej się nie dzieje? – pyta, siada głębiej na krześle i odwraca się w stronę komputera.

– Tak – mówię i pospiesznie opuszczam rękaw.

Zaczyna pisać coś na klawiaturze i mówi przez ramię:

– Wygląda nieźle. Dajmy jej kilka tygodni, a jeśli nadal będzie sztywna, umówimy się na wizytę. – Przystaje pisać, zsuwa okulary na czubek nosa i świdruje mnie wzrokiem. – Nadal nie rozumiem, jak to możliwe, że dwa razy w ciągu roku złamałeś rękę w tym samym miejscu. To doprawdy rzadkość. Jak skończysz osiemnaście lat, koniecznie kup los na loterii! – Śmieje się i puszcza do mnie oko.

– Tyler bywa taki niezdarny – mówi mama. Nie muszę na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że przewraca oczami. – Bez przerwy się o coś obija.

– To pewnie rodzinne. Jak byliśmy młodzi, stary Pete zawsze o coś potykał się na dworze! – wspomina doktor Coleman. Oboje wstają, uśmiechają się do siebie i ściskają sobie ręce. Jestem w stanie uwierzyć, że dziadek naprawdę był niezdarny. Ale ja nie jestem. – Dopilnuj, żeby robił te ćwiczenia.

– Oczywiście – mówi mama, a gdy wstaje, znowu kładzie mi rękę na ramieniu.

Jest mi niedobrze. Nawet doktor Coleman nie wie, co się naprawdę dzieje. Ale sądzę, że trudno byłoby się domyślić. Część mnie rozpaczliwie chce, żeby ktoś w końcu się o tym dowiedział, podczas gdy druga wie, że lepiej, by pozostało to tajemnicą.

– Tyler – mówi doktor Coleman. Oboje z mamą idziemy już do drzwi, lecz na dźwięk jego głosu odwracamy się w jego stronę. – Koniec z bieganiem po schodach, dobrze? Nie chcę, żebyś złamał rękę po raz trzeci! – dodaje ze śmiechem.

Gdybym tylko mógł mu to obiecać.



## DZIŚ

W ciągu tygodnia przy byle okazji staram się pokazać Eden, kim naprawdę jest Tyler Bruce. We wtorek wieczorem dałem ciała i muszę to naprawić. Eden nie może się dowiedzieć, że wcale nie jestem taki zły, jak się wszystkim wydaje. Dlatego przez cały tydzień testuję swoje umiejętności i gram najlepiej, jak potrafię. Ignoruję ją, patrzę na nią wilkiem, a od czasu do czasu coś burknę albo każę jej zejść mi z drogi. I na razie to działa.

Nawet teraz ją słyszę. Mieszkamy w sąsiednich pokojach i wiem, że od pięciu minut rozmawia przez telefon. Nie wiem, co dokładnie mówi, ale to na pewno jej głos. Dlatego, choć już leżę w łóżku i przeglądam wiadomości, nie włączam telewizora i nie słucham muzyki. Zamiast tego słucham dźwięków za ścianą.

*Lepiej wpadnij, jeśli chcesz zarobić trochę \$\$\$*, napisał Declan. Dziś wieczorem organizuje imprezę. Powinienem się na niej pokazać, ale na razie nie mam siły się przygotować. Zresztą jest jeszcze wcześniej.

To idealny wieczór na imprezę. Raz w miesiącu Tiffani wyjeżdża na weekend ojca, a to znaczy, że ten czas muszę przetrwać bez niej. Dziś jednak cieszę się, że jej nie ma. Gdyby tu była i wiedziała, że idę na imprezę do Declana Portwooda... w życiu by mnie nie puściła.

Trochę się denerwuję. Declan mówi, że to idealna okazja, żebym się wdroył i poznał odpowiednich ludzi, ale zaczynam mieć wątpliwości. Nie przemyślałem tego i trochę za szybko się w to wpakowałem. Nie jestem pewien, czy naprawdę chcę to robić.

Znowu słyszę głos Eden. Niski i gardłowy. Zastanawiam się, jakie ma plany na wieczór. Pewnie nie ma żadnych. Może wyskoczyłaby na imprezę? Zaproszenie jej ma swoje plusy. Po pierwsze, przekona się, jaki naprawdę jest Tyler Bruce i zapomni, że byłem dla niej miły. A po drugie, nie będę musiał iść sam.

Zwlekam się z łóżka i patrzę na siebie w lustrze. Mrużę oczy i zaciskam zęby. Nawet przyglądam włosy. Przez chwilę stoję pod drzwiami jej pokoju i słyszę, jak mówi komuś, żeby zbytnio za nią nie tęsknił.

Otwieram drzwi i nie przejmując się, czy skończyła już rozmowę, wchodzę do pokoju.

– Z kim rozmawiałaś? – pytam.

Na szczęście już skończyła. Siedzi po turecku na łóżku i patrzy na mnie. Widzę w jej oczach złość.

– Pozwoliłam ci wejść?

– Z kim rozmawiałaś? – powtarzam. Zachowuję się jak dupek, ale muszę przyznać, że trochę mnie to ciekawi. – Masz w Portland chłopaka czy co?

Eden patrzy na mnie beznamiętnym wzrokiem i nie wygląda na zachwyconą moim wtargnięciem.

– Podśluchiwałaś?

– Mieszkam w pokoju obok, a ściany są tu cienkie jak papier.

– Rozmawiałam z mamą – mówi w końcu i wstaje. Dobrze. Czy to znaczy, że nie ma

chłopaka? Nie chcę jej pytać, stoję i milczę. Eden zerka na zegar. – Nie powinieneś być już poza domem?

– Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać – oświadczam. Tyler Bruce nie prosi. Tyler Bruce żąda. Eden nie ma wyboru. – Przy Jedenastej jest impreza. Nie mów o niczym ojcu – oświadczam i zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, odwracam się w stronę drzwi.

– Tyler! – woła za mną. Zatrzymuję się niechętnie i odwracam się w jej stronę. Stoi z ramionami skrzyżowanymi na piersi i unosi brew. – Kto powiedział, że chcę iść z tobą na imprezę? Wybacz, ale jesteś ostatnią osobą, z którą mam ochotę gdzieś wychodzić.

Wygląda na to, że nadal mnie nienawidzi.

– Przygotuj się – rzucam.

– Nie.

– Tak. – Upieram się. Czemu to robi? Czemu nie może być jak każdy i robić, co jej każe? Czemu musi mi się sprzeciwiać? Najwyższy czas zachować się jak palant. – Co będziesz robiła? Przesiedzisz całą noc w pokoju jak cholerna luzerka, która nie wie, co to dobra zabawa?

Eden markotnieje i nie wygląda już jak twardzielka. Patrzy w sufit, po czym wbija wzrok w podłogę, jakby biła się z myślami, a w końcu pyta:

– W co mam się ubrać?

Od razu lepiej. Dzięki Bogu, nie będę musiał iść sam.

– Załóż cokolwiek – mówię. Mój głos traci pewność siebie. – To nie jest impreza jak ta u Austina. Tutaj ludzie są bardziej... wyluzowani. Możesz przyjść w dresach i nikt nie zwróci na ciebie uwagi. – Będą zbyt ujarani, żeby się interesować takimi rzeczami, ale tego już jej nie mówię. Sama się przekona, jak dotrzemy na miejsce.

Od razu to wychwytuje, bo wydaje się zakłopotana.

– Wyluzowani?

– Taa – rzucam. – Napijesz się czegoś przed wyjściem? – proponuję. Czy na imprezie u Austina w ogóle cokolwiek piła? Nie jestem pewien. Szkoda, że nie zwróciłem uwagi. – Kończą mi się zapasy, bo matka bez przerwy przeszukuje mój pokój, więc mam tylko piwo oraz trochę jacka danielsa i wódki. Wiesz co, zaskoczę cię. – Uśmiecham się do niej, zadowolony, że uległa i że nie odmawia.

Wracam do siebie, klękam i przeglądam zapasy, które trzymam pod łóżkiem. Dla siebie biorę piwo, a dla Eden wódkę z colą. Nie przesadzam z ilością wódki. Nie chcę, żeby się upiła. Włosy wciąż mam w nieładzie, jeszcze raz próbuję je przygładzić i dopiero wtedy wracam do jej pokoju.

– Daj mi jeszcze dwadzieścia minut – mówi, kiedy wchodzę. Stoi przy szafie i przegląda jej zawartość.

– Nie ma problemu. Proszę – rzucam. Podaję jej drinka, a gdy sięga po niego, muskamy się palcami. Nie wiem dlaczego, ale czuję się dziwnie. Ona chyba jednak niczego nie zauważa, a ja też udaję, że nic się nie stało.

– Wódka z colą? – pyta, jakby się bała, że próbuję ją otruć środkiem chwastobójczym.

– Tak. To pewniak – potwierdzam. Otwieram butelkę o krawędź komody i nagle uświadamiam sobie, że może nie tego chciała. – Lubisz wódkę z colą? Jeśli wolisz piwo, przyniosę ci...

– Nie, w porządku – przerywa mi, a jej usta układają się w coś na kształt uśmiechu. – Wódka z colą wystarczy.

– To dobrze. – Cholera, co jest ze mną nie tak? Dlaczego czuję się przy niej tak niezręcznie? Wbijam wzrok w sufit, pociągam łyk piwa i próbuję zebrać myśli, a gdy opuszczam wzrok, nie wiem, dlaczego nie mogę spojrzeć jej w oczy. – Wpadnij do mnie, jak już będziesz

gotowa.

– Pijecie? – słyszymy czyjś głos.

Odwracamy się i widzimy Jamiego. Stoi w drzwiach do pokoju Eden i patrzy na nas podejrzliwie. Zatrzymuje wzrok na butelce i szklance, a ja pospiesznie chowam piwo za plecami, chociaż sam nie wiem po co. Mój młodszy brat zdążył je zobaczyć i teraz będzie mnie szantażował. Znam go aż za dobrze.

– Nie – kłamię. Głos mam łagodny. Kiedy jestem z braćmi, nie potrafię mówić głosem Tylera Bruce’a. – Wiesz, że nie mamy dwudziestu jeden lat. Po co mielibyśmy pić?

– Przecież widzę – mówi Jamie. Wskazuje głową drinka Eden, ale wyczytuję z jego oczu, że w jego głowie tworzy się plan. – Mama o tym wie?

Przechylam głowę i wypuszczam powietrze.

– Wypiliśmy odrobinę. Dasz nam spokój?

– Dwadzieścia dolców – żąda Jamie. Wyciąga rękę w oczekiwaniu na gotówkę i raczy mnie tym diabelskim, czarującym uśmiechem, który przez lata doprowadził do perfekcji. Czeka cierpliwie.

– Ostatnio dałem ci trzydzieści – przypominam mu. Nie ma sensu się kłócić, bo wiem, że będzie mi truł tak długo, aż się zgodzę. Odstawiam piwo na szafkę i wyciągam portfel. – Na grę wideo, pamiętasz? Nie myśl sobie, że zapomniałem.

– Hmm. – Jamie milknie i stuka palcem wskazującym w usta. – W takim razie wezmę dziesięć.

– Dobra, dziesięć – zgadzam się ze śmiechem. Wkurza mnie, że urabia mnie sobie, jak chce. Naprawdę muszę przestać robić głupoty, przez które może mnie szantażować. Daję mu dziesięć dolców i wypycham go z pokoju. – A teraz spadaj stąd.

Wsuwa banknot do kieszeni i biegnąc korytarzem, woła ze śmiechem:

– Wziąłbym piątkę.

Śmieję się, sięgam po butelkę i upijam łyk piwa.

– Dzieciaki traktują mnie jak bankomat. – Wzdycham. – Szykuj się – rzucam i wychodzę.

Wciąż nie odpisałem Declanowi, ale mam to gdzieś. Wracam do pokoju, dopijam piwo i idę pod prysznic, żeby zrobić porządek z włosami. Biorę lekarstwa, o których zapomniałem rano, zakładam dżinsy i gładki podkoszulek. Czekać na Eden, czyli w ciągu następnych dwudziestu minut, wypijam kolejne dwa piwa i zaczynam ustawiać puste butelki na parapecie.

– Dobra. Wypiłam drinka i jestem gotowa, możemy już iść – mówi, kiedy w końcu wchodzi do mojego pokoju. Jest tu znacznie czystziej niż ostatnio. Pościeliłem nawet łóżko.

– Najwyższy czas – rzucam. Włosy ma upięte wysoko, jest umalowana i, na szczęście, ma na sobie zwykłe ciuchy, dżinsy i bluzę z kapturem, którą przewiązała w pasie, przez co, w przeciwieństwie do większości ludzi, wygląda jeszcze bardziej słodko. Machnięciem ręki przewracam butelki i sięgam po kluczyki od samochodu. Declan mnie zabije, jeśli wkrótce się nie pojawię, powinniśmy się zbierać. Nie jestem pijany; zresztą to całkiem niedaleko.

– Co ty wyprawiasz? – pyta przerażona Eden. Patrzy na mnie i kręci głową. – Właśnie wypiłeś te wszystkie piwa.

– Chryste – mruczę. Znowu się zaczyna; znowu mnie strofuje. Nikt z moich przyjaciół słowem by się nie odezwał. No, może z wyjątkiem Deana. – Dobra, załatwię nam jakiś transport. Zadowolona?

– Tak – mówi.

Przewracając oczami, rzucam kluczyki na łóżko i wyciągam telefon. Dzwonię do Declana, bo jeśli ktokolwiek będzie w stanie nas podrzucić, to on. Odbiera po drugim sygnale.

– Gdzie jesteś, do cholery? – warczy na mnie. – Mam pełną chatę ludzi, którzy chcą kupić

towar, a są tu tylko Kaleb i Liam. Ty i Warren macie tu być najszybciej, jak się da.

– Tak, tak, już jadę – zapewniam go. Wydaje się zdesperowany i trochę wkurzony. Najwyraźniej nie chce pobrudzić sobie rąk i kolejny raz zastanawiam się, w co ja się właściwie pakuję. – Kto dziś robi za kierowcę?

– Kaleb – rzuca Declan. Jego głos odzyskuje łagodny, gładki ton. – Mogę popytać, ale wszyscy są nieźle... powiedzmy, że nie są trzeźwi. – Kończy i tłumi śmiech.

– Daj mi Kaleba – mówię. Aż dziwne, że jest trzeźwy. – Możesz poprosić, żeby podjechał po mnie, najszybciej jak może? To kilka domów dalej. – Mówi, że nie ma sprawy. – Dzięki, stary. Widzimy się za dwadzieścia minut – rzucam.

– Kaleb? – pyta Eden.

– Kaleb jest w porządku – zapewniam ją. – Jest w college’u, ale wygląda jak drugoklasista. No i wie, co znaczy dobra zabawa. – Śmieję się, bo nagle dociera do mnie, że może rzeczywiście to nie jest najlepszy pomysł. Nie powinienem zabierać Eden na tę imprezę, ale jest już za późno. Nie wspominam, że Kaleb to diler ani że daję mu nieźle zarobić.

Lekkim krokiem wychodzę na korytarz i idę na dół. Eden w milczeniu idzie za mną; żadne z nas się nie odzywa. Myślę, że jest na tyle ogarnięta, żeby wiedzieć, że nie powinienem wymykać się z domu, cieszę się więc, że nie robi z tego problemu, gdy dyskretnie wychodzimy do ogrodu za domem.

– Nie powinnam powiedzieć ojcu, że wychodzę? – pyta. Przez chwilę wygląda na spanikowaną i ogląda się przez ramię na dom. – Rozumiem, że ty musisz wymykać się z domu, ale ja nie mam szlabanu. Zabije mnie, jeśli odkryje, że wyszłam i nic mu nie powiedziałam.

– Nie przejmuj się – radzę jej. – Napij się, a za kilka godzin w ogóle przestaniesz o tym myśleć. – To prawdopodobnie najgorsza z możliwych rad. Tyler Bruce jest idiotą.

Wychodzimy na ulicę, oddalamy się od domu – lepiej nie ryzykować – i czekamy na chodniku sześć domów dalej. Jest ciemno i mimo wiatru wieczór jest ciepły. Opieram się o drzewo i przyglądam się Eden. Im dłużej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że to *naprawdę* kiepski pomysł. Wystawiam na próbę swoje szczęście. W ubiegły weekend Eden nie powiedziała mamie o dragach, ale wątpię, czy zrobi to samo drugi raz.

– To duża impreza? – pyta, patrząc mi w oczy. Sprawia wrażenie podenerwowanej, prawdopodobnie dlatego, że nie powiedziałem jej, czego ma się spodziewać.

– Niezbyt – mówię i wzruszam ramionami. Ja również zaczynam się denerwować. Jak dotrzemy na miejsce, na pewno się wścieknę. Szczerze? Co ja sobie myślałem? No dobra, nie chciałem iść tam sam, ale *cholera*. Czemu zaprosiłem właśnie ją? Nie mogę zdobyć się na odwagę, żeby ją zagadnąć. Stoimy więc i czekamy, a ja trącam ziemię czubkiem buta i gapię się w niebo.

W końcu Kaleb podjeżdża swoim charkoczącym chevroletem. Opuszcza szybę i pochyla się nad fotelem pasażera, żeby na nas spojrzeć.

– Wskakuj, stary! – woła. Patrzą na niego nieufnym wzrokiem. Nie wiem, czy w kwestii trzeźwości Kaleba mogę ufać Declanowi.

Pakuję się na fotel pasażera, podczas gdy Eden siada z tyłu. Na szczęście wewnątrz pick-upa nie cuchnie trawą. Tylko papierosami.

– Kto to? – pyta Kaleb, spoglądając na Eden w lusterku wstecznym. Nie przepada za obcymi. Najwyraźniej nie kojarzy jej sprzed tygodnia, bo był za bardzo upalony. Nie pamięta, że nas nakryła.

– Moja... no... – zaczynam, ale słowa więzną mi w gardle. To słowo wydaje się zbyt dziwne, by powiedzieć je na głos, zbyt obce. Nie pasuje do niej. Z trudem przełykam ślinę i pogłaśniam muzykę. – Moja przybrana siostra – mówię.

– Nie wiedziałem, że masz przybraną siostrę – rzuca Kaleb. Mruży oczy i przez chwilę wpatruje się w Eden. W końcu rusza. – Co słyhać, stary? Mam wrażenie, że nie gadaliśmy od tygodni!

– Spotkaliśmy się we wtorek – mówię, kiwając głową w rytm muzyki. Eden siedzi w milczeniu, a ja nie mogę tak po prostu się odwrócić i zobaczyć, co robi. Zamiast tego patrzę przez przednią szybę.

– Cholera, prawda! – mruczy Kaleb. Parska śmiechem i uderza się dłonią w czoło.

– Jak tam impreza? – pytam. – Dzięki za podwózkę.

– Spoko. Nie ma sprawy. W porządku. – Wzrusza ramionami i upija łyk z puszki sprite'a stojącej w uchwycie na kubek. – Powodzenia, jak zobaczysz Warrena.

– Facet przegiął – mruczę. Czy powinienem się martwić? Mam gdzieś Warrena. Nie trzeba było gadać takich rzeczy. Jak znowu zaczniesz, walnę go jeszcze raz.

– Taa, przegiął, i to mocno – prychna Kaleb.

Dwadzieścia minut później podjeżdżamy pod dom Declana, który, tak jak się tego domyślałem, wygląda na opuszczony. To impreza, która nie może przyciągać uwagi. Gliny miałyby używanie, gdyby nas nakryły. Dlatego po dworze nie kręcą się żaden ludzie. Nie słyhać muzyki. Przed domem stoją zaparkowane cztery samochody, łącznie z naszym. Kiedy wysiadamy, Eden pyta:

– Jesteś pewien, że to ten dom?

– Tak. – Idę w stronę drzwi. Naprawdę nie wiem, jak zareaguje. – Pamiętaj, to mała impreza dla maksymalnie dwudziestu osób.

Otwieram drzwi i uderza mnie ściana dźwięku. Nie wiem, kto puszcza to pieprzone techno, ale muza jest koszmarna i ktoś musi pogadać z DJ-em. Kątem oka zerkam na Eden, która z niesmakiem marszczy nos – w całym domu pachnie ziołem, a ona nie jest głupia. Wie, co to za zapach. Słyszę śmiech i głosy, ale w korytarzu jest tylko parę osób. Byłem już na imprezie u Declana i wiem, że trzyma alkohol w wolnym pokoju na końcu korytarza, i tam się właśnie kieruję. Eden idzie za mną, zaś Kaleb ulatnia się bez słowa.

Pierwszą osobą, którą widzę po wejściu do pokoju, jest gospodarz imprezy. Chociaż spodziewał się mnie wcześniej i wkurzony, rozmawia przez telefon, wita mnie przebiegłym uśmiechem.

– Dajeś radę, Tyler – stwierdza i podchodzi do nas. – Kto to? – Patrzy wymownie na Eden.

– Moja przybrana siostra – mówię, tym razem bez zastanowienia. Eden nie powinna znać takich ludzi jak on, ale i tak ich sobie przedstawiam. – Eden, to Declan. Ten wieczór spędza ze mną, jeśli nie masz nic przeciwko – zwracam się do Declana.

– Kurczę. – Declan robi wielkie oczy i wciska mi w dłoń puszkę piwa. – Jest trzeźwy, żeby panować nad sytuacją w razie ewentualnych problemów. – Stary, od kiedy masz taką przybraną siostrzyczkę?

– Od ubiegłego tygodnia – rzucam jak gdyby nigdy nic. I zanim zdąży mi zadać kolejne pytanie, patrzę z uśmiechem na Eden. Mam nadzieję, że jeszcze nie wie, co to za melanz. – Czego się napijesz?

– Wszystko mi jedno – mówi. Spogląda na stół, zastawiony różnymi butelkami. Jest tu wszystko, począwszy od piwa, poprzez wódkę i rum, aż po cholerny absynt. Kto to w ogóle przyniósł? – Właściwie może być jeszcze jedna wódka z colą.

Jasne. Sięgam po kubek i nalewam najpierw colę, żeby nie widziała, ile doleję wódki. Drink jest mocniejszy niż ten, który zrobiłem jej w domu. Będzie jej potrzebny, jeśli chce przetrwać noc.

– Oprowadzę ją – mówię Declanowi. Podaję Eden drinka i z ręką na jej ramieniu wyprowadzam ją na korytarz. Zostawiam ją tam, a sam wracam do Declana, chwytam go za koszulę i ciągnę w kąt. – Mogę przynajmniej wciągnąć kreskę, zanim ci pomogę? – syczę mu do ucha. Palilem w ubiegły weekend, ale dziś potrzebuję czegoś mocniejszego. Minęło już trochę czasu.

Declan kiwa głową.

– Spotkamy się na zewnątrz, jak będziesz miał chwilę.

Wzdycham ciężko, wyobrażając sobie tę słodką, słodką ulgę i wracam do Eden, która, rzecz jasna, przez cały ten czas miała mnie na oku. Wiem jednak, że nic nie słyszała, i dlatego się nie martwię. Prowadzę ją do pokoju gościnnego, ignoruję ludzi, którzy zwracają się do mnie po imieniu, i puszką piwa wskazuję grupkę imprezowiczów, którzy rozsiedli się na kanapach.

– Dobra, widzisz tych ludzi? – Są kompletnie zjarani, kiwają się w rytm muzyki i gapią się w ekran telewizora. Nie znam żadnego z nich. Większość z nich to studenci college'u.

– No i? – Eden ściąga brwi i patrzy na mnie wyczekująco, jakby liczyła na dalsze wyjaśnienia. – Wyglądają na znudzonych.

– Wcale nie są znudzeni – rzucam ze śmiechem, którego nie jestem w stanie opanować. Chryste, panna nadal nie wie, gdzie jest. Kątem oka dostrzegam kota, który drżąc, przycupnął pod stolikiem na korytarzu. – Hej, patrz. – Wskazuję go puszką. Kociak wygląda na przerażonego i prawdopodobnie zdążył już ogłuchnąć od tej gównianej muzyki. – Biedaczek. – Odstawiam piwo na stół, kucam i podnoszę go. Zwierzak wierci się i pręży, a ja się prostuję. – Czemu nie miałabyś umówić się z tym maluchem? Ma pewnie większe jaja niż Jake.

– Zostaw go! – nakazuje mi Eden. Nie wygląda na zachwyconą. Lepiej niech nie mówi, że nienawidzi zwierząt, bo to byłoby... niewybaczalne.

Kociak się uspokaja i zaczyna wspinać się po moich ramionach.

– Cóż mogę powiedzieć? – Uśmiecham się znacząco, drapię kota za uszami i patrzę ponad jego głowę na Eden. – Jestem magnezem na kicie.

Eden krzywi twarz z udawanym obrzydzeniem, przewraca oczami i ostentacyjnie odwraca głowę. Parskam śmiechem i kładę kotka na podłodze. Widząc, że zwierzę czmycha w głąb korytarza, Eden mówi:

– Patrz, nawet kot ma dość słuchania tych bzdur.

Oto cała Eden. Sięgam po puszkę i patrzę na wiszący na ścianie zegar. Nie powinienem z nią tu stać. Powinienem być na zewnątrz z Declanem.

– Idź, pogadaj z ludźmi – mówię. W moim głosie słychać rozkazującą nutę. Uśmiech zniknął mi z twarzy. – Ja muszę coś załatwić.

Uśmiezek znika z jej twarzy.

– Żartujesz sobie?

– O co ci chodzi? – Upijam łyk piwa i patrzę jej prosto w oczy, zastanawiając się, czemu nagle spogląda na mnie z taką złością i niedowierzaniem. Co, u diabła, zrobiłem?

– Nie udawaj głupiego – warczy. Pierwszy raz słyszę w jej głosie taką agresję. Zaraz potem nachyla się w moją stronę; boję się, że zawartość jej kubka chluśnie mi na koszulkę. – Nie przyszłam z tobą na tę pieprzoną imprezę, żeby stać tu jak kolek, podczas gdy ty będziesz palił skręty i wciągał białe kreseczki – syczy mi do ucha.

– Nie twoja sprawa – warczę. Jak śmie tak się do mnie odzywać? Jeszcze nikt nigdy nie mówił do mnie takim tonem. A już na pewno nikt obcy. Odsuwam się, stwarzając między nami przestrzeń. – Idź, przywitaj się z ludźmi i pozwól, że będę robił to, na co mam ochotę.

Nie zamierzam jej słuchać, odwracam się i idę w stronę tylnych drzwi. Teraz jeszcze bardziej mam ochotę wciągnąć kreskę. Czuję, że Eden idzie za mną i nagle staje między mną



a drzwiami, blokując wyjście. Jaja sobie robi? Nie wierzę własnym oczom. *Proszę, Eden, nie rób tego*, błagam ją w myślach. Nie podobało jej się, gdy widziała, jak wyglądam, kiedy jestem zły, a już na pewno nie chciałaby mnie zobaczyć, jak jestem wściekły. A jeśli nie odpuści, tak właśnie będzie.

– Nie wyjdiesz tam – oświadcza. Oddycha ciężko i wpatruje się we mnie rozpaczliwym wzrokiem. – To głupie.

Ciskam puszką o ścianę za jej plecami; strużki piwa ściekają na podłogę. Wbijam w nią wzrok. Nie ma prawa mówić mi, co mam robić. Nawet mnie nie zna.

– Zejdź mi, kurwa, z drogi – syczę, cedząc powoli każde słowo.

– Nie!

Chwytam ją za nadgarstek i przyciągam ją do siebie, zmniejszając dzielącą nas odległość. Musi przestać. Posyłam jej najgroźniejsze spojrzenie, na jakie mnie stać, ale ona tylko się we mnie wpatruje.

– Eden – szepczę, starając się panować nad głosem. – Nie rób tego. – *Proszę, Eden. Nie rób tego, proszę. Nie rozwścieczaj mnie.*

– Nie. – Wyrywa rękę. W jej orzechowych oczach czai się strach. – Czemu to robisz? – pyta. W jej głosie słychać złość i w każdym słowie wyczuwam jej desperację.

– Bo muszę, jasne?! – wrzeszczę na nią. To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić, i szybko rozglądam się dokoła, żeby się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. Na szczęście głośna muzyka zagłusza nasze wrzaski.

– Wcale nie musisz – mówi nieco ciszej. Patrzy na mnie rozczarowanym wzrokiem. – Chcesz.

Nigdy, przenigdy tego nie pojmie. Nikt nigdy mnie nie zrozumie. Czy ona myśli, że chcę tak marnować sobie życie? Że podoba mi się uciekanie w cały ten szajs? Ja nie mam wyboru! Tylko tak panuję nad tym, co dzieje się w mojej głowie, i tylko w ten sposób mogę zaznać trochę spokoju. Oddycham głęboko i przeczesuję włosy palcami.

– Nie rozumiesz – szepczę. Nagle czuję się taki słaby, że nie mam siły mówić. Jakby zeszło ze mnie całe powietrze. I po raz pierwszy myślę, że właśnie mnie pokonała.

Otępiały, odsuwam ją na bok i otwieram drzwi do ogrodu. Wychodzę, trzaskając, i zostawiam ją za sobą. Zadzieram głowę, zaciskam powieki i wydaję z siebie wściekły gardłowy pomruk.

Kiedy opuszczam głowę i otwieram oczy, uświadamiam sobie, że nie jestem sam. Declan chowa do kieszeni plik banknotów i patrzy na mnie z marsową miną. Na leżaku z nogami na stoliku siedzi Liam; w zębach trzyma jointa i wpatruje się we mnie nabiegłymi krwią oczami.

– Co jest, kurwa? – parska śmiechem Kaleb.

– Hej, koleś! – woła ktoś z lewej. Odwracam się i widzę Warrena, który idzie w naszą stronę. Chwilę później rozciąga usta w głupkowskim uśmiechu, a jego pięść ląduje na mojej szczęce.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Mama pozwala nam posiedzieć do późna. Jest sobota i ojciec nie wrócił jeszcze do domu, a ona się zgadza, żebyśmy na niego poczekałi. Jamie i Chase są w moim pokoju. Światła są pogaszone, a od blasku telewizora bołą nas oczy. Gramy w Madden NFL na PlayStation 2, którą rok temu dostaliśmy na Gwiazdkę, choć lubię myśleć, że należy głównie do mnie, bo Chase prawie nie pamięta o jej istnieniu, a Jamie jest strasznie kiepskim graczem. Nie przegrałem dziś ani razu, a gramy od ponad godziny.

– To prawda, że wychodzi PlayStation 3? – pyta Jamie w trakcie gry. Chyba się poddał, bo częściej niż na ekran patrzy na mnie.

– Tak. W listopadzie – mówię i wzruszam ramionami. Na ekranie moja drużyna zdobywa punkty z przyłożenia. Szósty raz w ciągu jednego meczu. Leżymy na brzuchach, zdzierając łokcie o dywan, i tylko Chase przysypia na moim łóżku.

– Poważnie? – pyta, nagle się ożywiając i siada podekscytowany. – Może Mikołaj nam ją kupi?

Jamie parska i przewraca niebieskimi oczami, na co szturcham go łokciem i w ciemności gromię go wzrokiem.

– Nie wiem, Chase – mówię. Pauzuję grę i wstaję z podłogi. – Dodaj ją do listy, to się przekonasz.

W tym samym momencie słyszymy dobiegający z dołu radosny głos mamy:

– Chłopcy! Tata przyjechał!

Jamie ciska pada na ziemię, a Chase zrywa się z łóżka. Uśmiechnięci wybiegają z pokoju, a ja słucham ich kroków na schodach, kiedy biegną na spotkanie z ojcem. Przez krótką, bardzo krótką chwilę zastanawiam się, czy do nich dołączyć. Ale nagle przypominam sobie, że wcale nie chcę, żeby tata wracał, i wcale nie chcę biec na dół i tulić się do niego.

Wstaję, zamykam drzwi do pokoju i siadam po turecku przed telewizorem. Kończę grę i zaczynam nową w trybie jednego gracza, całą uwagę skupiam na ekranie. Trzy dni bezpieczeństwa i spokoju dobiegły końca. Tata nie lubi, gdy gram za dużo na konsoli, cieszę się więc wolnością jeszcze przez chwilę.

Mija dziesięć minut, a ja nie słyszę na dole żadnego poruszenia. Nie chcę go słyszeć. Nie chcę słyszeć *jego* głosu. Nagle drzwi do pokoju otwierają się i odzywa się głos, od którego ciarki przebiegają mi po plecach.

– Wiesz, Tyler, niegrzecznie jest nie zejść i nie przywitać się z ojcem, który po trzech dniach wraca do domu – stwierdza. Podnoszę na niego wzrok, ale nie zatrzymuję gry. Stoi w drzwiach z dłonią na klamce i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Nagle pchnięciem otwiera drzwi na oścież i włącza światło. – I czemu grasz, do cholery? – pyta, wchodząc do pokoju.

Światło razi mnie w oczy, ale widzę, jak idzie w moją stronę. Zaraz potem wrywa mi pada z ręki.

– Mama mówiła, że możemy. – Tłumaczę się, choć wiem, że nic to nie da. I tak mnie nie słucha.

– Grałeś przez cały czas, jak mnie nie było w domu? – dopytuje się. Macha mi przed oczami padem; drugą rękę ma zaciśniętą w pięść. – Mam rację, prawda?

– Nie, tylko dziś wieczorem – bąkam i wzdrygam się na dźwięk wściekłości w jego głosie. Jak to możliwe, że tak szybko go rozzłościłem? Co ze mną? Dźwigam się z podłogi i podnoszę ręce, jak człowiek, który się poddaje. – Przysięgam, tato. Odrobiłem całą pracę domową... Uczyłem się rano!

On jednak ciska we mnie padem, który odbija mi się od ramienia i trafia mnie w twarz, mimo że próbuję się uchylić. Wściekły podchodzi do telewizora i wyszarpuje kable. Serce wali mi tak mocno, że aż boli, i czuję, że ogarnia mnie strach. Ojciec, kiedy się wścieka, jest nieprzewidywalny, dlatego odsuwam się od niego.

Łapie konsolę, wkłada ją pod pachę, aż kable ciągną się po podłodze, i posyła mi jedno z tych pełnych dezaprobaty spojrzeń, których tak bardzo nienawidzę. Sprawiają, że czuję się winny, chociaż sam nie wiem dlaczego. Nie zrobiłem przecież nic złego. A może jednak? Przecież tylko się bawiłem.

– Koniec z graniem – cedzi przez zaciśnięte zęby. Chciałbym, żeby dzieląca nas odległość była większa. – A teraz kładź się do łóżka. Ale już. – Odwraca się i z konsolą pod pachą idzie w stronę drzwi, a ja nie wiem, gdzie ją zabiera ani dlaczego jest taki zły. W pewnej chwili ogląda się przez ramię i widząc, że się nie ruszyłem, prawie nią we mnie rzuca. – Nie pogrywaj ze mną – warczy i wskazuje głową łóżko. – Miałem kilka koszmarnych dni i to ostatnie, czego mi trzeba.

Trzeci raz nie musi powtarzać. Wiem, co się dzieje w takiej sytuacji. Łzy napływają mi do oczu, kładę się do łóżka i naciągam kołdrę pod brodę. Trzęsąc się, leżę na plecach i patrzę, jak podchodzi do drzwi i gasi światło.

– Tato – szepczę. Naprawdę nie wiem, co takiego zrobiłem, nie mogę więc nic na to poradzić. Zaczynam płakać. – Przepraszam.

Przepraszam, że go rozzłościłem. Przepraszam, że nigdy nie jestem dość dobry, żeby był ze mnie dumny, tak jak z mamy, Jamiego i Chase'a. Przepraszam, że go rozczarowałem.

Zatrzymuje się w korytarzu, ale się nie odwraca. Jego ramiona unoszą się i opadają w rytm oddechu i widzę, że powoli kręci głową. Tuż przed tym, jak zamyka drzwi, słyszę, jak mruczy:

– To nie wystarczy.

Zaciskam powieki, broda mi drży, a moim ciałem wstrząsa gwałtowny szloch.

Jego przeprosiny też nigdy nie wystarczają.



## DZIŚ

Siedzę rozwalony na kanapie w pokoju gościnnym, gapię się w sufit i walczę z zawrotami głowy. Głowę mam ciężką, a płuca ściśnięte, jak zawsze, kiedy narkotyki przestają działać. Chase siedzi po turecku na podłodze i, wpatrzony w telewizor, ogląda niedzielne programy dla dzieci. Dźwięk jest na tyle cichy, że słyszę go jak przez mgłę. Oddycham głęboko, zamykam oczy, wstrzymuję oddech i wypuszczam powietrze. Boże, ale kiepsko się czuję.

Wczorajszy wieczór był koszmarny. Pamiętam, że Warren jednym ciosem powalił mnie na ziemię – dowodem tego jest obolała szczęka – a wszystko, co wydarzyło się później, przypomina rozmazaną smugę. Nie wiem, czy zaprawiłem się trawą, czy czymś więcej. Dlatego mam takie gówniane samopoczucie. Pamiętam też, że kiedy przyszedłem w środku nocy, obudził się Dave; nie dlatego, że się o mnie martwił, ale dlatego, że martwił się o Eden. Bo Eden nie wróciła do domu.

*I nadal jej nie ma.*

Sam zaczynam się niepokoić. To moja wina, bo byłem pieprzonym idiotą, który zabrał ją na tę imprezę. A potem wyszedłem i zostawiłem ją. Z perspektywy czasu uważam, że był to bardzo kiepski pomysł. Eden nikogo tam nie знаła. Próbowwała wrócić do domu? Zgubiła się po drodze? Może leży teraz w jakimś rowie? Cholera. Gdybym miał jej numer, zadzwoniłbym, chociaż wątpię, żeby odebrała. Dave dzwonił do niej milion razy. Na próżno. Od rana krąży po domu. Mówi, że zaczeka do południa, a potem zacznie działać, cokolwiek to znaczy. Zabiłby mnie, gdyby wiedział, że to moja wina, że nie wróciła do domu.

Zakrywam twarz rękami i zaciskam powieki. Nie wyspałem się i jestem wykończony.

– Tyler. – Mama wchodzi do pokoju. Głos ma cichy, spokojny. Opuszczam ręce, otwieram oczy i patrzę na nią. Wydaje się zmęczona. Siada na drugim końcu kanapy, na oparciu. Krzyżuje ramiona na piersiach i uśmiecha się, ale nie jest to radosny uśmiech. – Tak tylko sprawdzam. Miałaś kiepski tydzień?

Zawsze to robi. Przynajmniej raz w tygodniu sprawdza, co u mnie słychać, jakby była moją terapeutką. Próbuje wy badać, jak się czuję, a ja zwykle wszystko bagatelizuję, żeby ją chronić. Gdybym powiedział jej prawdę, załamałaby się. Jak powiedzieć własnej matce, że równie dobrze mógłbym jutro umrzeć? Że nienawidzę siebie, że moje życie jest w rozsypce i nie wiem, jak je poskładać? Nie mogę tego zrobić. Dlatego wzruszam ramionami i z powrotem gapię się w sufit.

– Bywało gorzej – mówię. Wolę kłamać i uszczęśliwiać ją, niż powiedzieć prawdę i złamać jej serce.

Wypuszcza powietrze i przez moment siedzi w milczeniu. Czuję na sobie spojrzenie jej niebieskich oczu.

– Na pewno? Mnie się wydaje, że to był dla ciebie naprawdę kiepski tydzień. Jesteś podenerwowany bardziej niż zwykle. Co się dzieje? – Dotyka ręką mojej brody i zmusza mnie, żebym na nią spojrzał. Wygląda na zdesperowaną i na wystraszoną, jakby wcale nie chciała

usłyszeć odpowiedzi. – Porozmawiaj ze mną.

– Nie wiem, mamo – bąkam. Ale tak naprawdę wiem. Oboje wiemy. Jestem taki przez ojca. Chciałbym być wystarczająco silny, żeby żyć dalej, nie pozwolić, by tak bardzo mnie to dotknęło, ale myślę, że to się nigdy nie zmieni. Już zawsze będę zły, niepewny i popieprzony. W głębi duszy wiem, że powinienem się bardziej postarać, odpuścić sobie te wszystkie rozrywki i poszukać pomocy. Ale nie wiem, od czego zacząć. Spokój daje mi jedynie świadomość, że sięgnąłem już dna i nie może być gorzej. Tylko lepiej; mam nadzieję. Kiedyś.

Mama zerka na Chase'a. Jest tak pochłonięty oglądaniem telewizji, że nie zwraca na nas uwagi. Chwilę później znowu patrzy na mnie, a gdy ściąga brwi, w kącikach jej oczu pojawiają się zmarszczki.

– Proszę, nie odpychaj mnie, Tyler – szepcze błagalnie. – Zawsze będę po twojej stronie. Rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz, ale nie podoba mi się to. Są inne sposoby, żeby sobie z tym poradzić, niekoniecznie buntowanie się przeciwko wszystkiemu. Byłeś takim szczęśliwym dzieckiem... – Urywa, zamyka oczy i zakrywa usta dłonią.

– Taa, dopóki sama-wiesz-kto nie zrobił sobie ze mnie worka treningowego – mruczę i siadam prosto. W pokoju jest Chase i muszę uważać na to, co mówię. Nie może się dowiedzieć. Mama kręci głową; oczy wciąż ma zamknięte i wiem, że moje słowa rozdierają jej serce. Ale taka jest prawda, a przecież prawdę chce usłyszeć. – Oczekujesz, że będę szczęśliwy? – pytam ją poważnym, łagodnym tonem. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Nie – szepcze. Patrzy na mnie. Jej oczy pełne są skruchy i poczucia winy. – Ale bardzo bym tego chciała.

Coś gniecie mnie w piersi. Czuję się fatalnie, wiedząc, że nie mogę spełnić jej życzenia; że ją zawodzę. Spuszczam głowę i wbijam wzrok w podłogę.

– Przepraszam.

– Nie waż się mnie przeproszać, Tyler – mówi gwałtownie i klęka przede mną, żeby spojrzeć mi w oczy. Kładzie mi rękę na kolanie, a w jej oczach widzę ból, który rozumiemy tylko my dwoje. – Nie masz za co przeproszać.

– Ty też zawsze przeproszasz – szepczę słabym głosem. Bo tak właśnie jest. Kocham ją za to, że przejmuje się mną i jest wobec mnie taka opiekuńcza, ale ja czuję względem niej to samo. Nienawidzę, kiedy przeprosza za to, co zrobił ojciec, bo to był jego błąd, a nie jej. Nienawidzę poczucia winy w jej oczach, bo chciałbym, żeby przestała się obwiniać. Uważa, że jest złą matką, bo nie zauważyła, jaka krzywda działa mi się przez lata, ale ja robiłem wszystko, żeby niczego nie podejrzewała.

– Dlatego, że mam za co przeproszać – mruczy i spuszcza głowę. – Powinnam była się domyślić. Powinnam była... powinnam była coś zauważyć. Jesteś moim *synem*. – Łzy napływają jej do oczu, a broda zaczyna drżeć. – Jak mogłam niczego nie zauważyć? Jak mogłam nie wyczytać z twoich oczu, że cierpiełeś? – ciągnie. Nie mówi do mnie. Kieruje te pytania do siebie, a wolałbym, żeby tego nie robiła.

Biorę ją za rękę.

– Przestań. Proszę – mówię. Pochyliam się do przodu i patrzę, jak klęczy u moich stóp na podłodze. Jej widok łamie mi serce, które zaczyna bić nieco szybciej. Jestem hipokrytą, gdy oczekuję, że się pozbiera, skoro ja sam nie potrafię sobie z tym poradzić..

– Pozwól, że coś zrobię – błaga, splatając palce z moimi. Delikatnie ściska mnie za rękę, jakby się bała ją wypuścić. – Pozwól, że ci pomogę. Znajdę najlepszego terapeutę w Los Angeles. Proszę, Tyler, tylko spróbuj.

– Nie mogę – mówię i pospiesznie kręcę głową. Rozmawialiśmy już o tym i moja odpowiedź zawsze jest taka sama. – Nie jestem gotowy, żeby o tym rozmawiać. – Niemal czuję,

jak traci zapal. Od lat walczy o to, by posłać mnie na terapię i zdają sobie sprawę, że chce dla mnie jak najlepiej, ale po prostu wiem, że nie otworzę się przed nikim. Też ściskam ją za rękę. – Ale kiedyś będę – dodaję i widzę promyk nadziei na jej twarzy. – Obiecuję. Ale jeszcze nie teraz.

– Dobrze, Tyler – wzdycha. – Kocham się, wiesz? – Kiwam głową, na co ona ujmuje w dłoń moją twarz i całuje mnie w czoło, a zaraz potem niechętnie wychodzi z pokoju.

Oddycham głęboko i odchylam się na kanapie. Spoglądam na okno, na ulicę, i dopiero wtedy zauważam samochód Jake'a, zaparkowany przed domem. Wstaję, podchodzę do okna i ostrożnie wyglądam zza żaluzji. Nie. Bez jaj.

Eden wysiada z samochodu. Zamyka drzwi, odwraca się w stronę domu i naciąga kaptur na głowę. Ma na sobie wczorajsze ubrania. Przez cały ten czas była z Jakiem? Co jest? Dupek.

– Hej! Eden wróciła! – woła Chase, odrywając wzrok od telewizora.

– Taa, widzę – mruczę i zaciskam zęby. Teraz ma przerąbane nie tylko u Dave'a, ale i u mnie. Mówiłem jej, żeby trzymała się z dala od Jake'a. Czy jest aż tak naiwna? Na to wygląda. Albo po prostu jest idiotką. Sam już nie wiem.

Widząc, że idzie przez trawnik, pospiesznie wychodzę z pokoju, otwieram drzwi wejściowe i staję w progu. Eden zatrzymuje się naprzeciw mnie, a kiedy chwytam ją za ramię i wciągam do domu, wzdryga się, zaskoczona.

– Ej – rzuca sennie, jakby się jeszcze nie obudziła. Zamykam drzwi, a ona odsuwa się o krok.

– Żartujesz – warczę i odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Włosy, wczoraj upięte na czubku głowy, ma w nieładzie; luźne kosmyki wiszą smętnie tu i ówdzie. Pod oczami ma smugi rozmazanego tuszu. Gdzie ona spała? Czy w ogóle spała? Może przez całą noc migdałiła się z Jakiem Maxwellem na tylnym siedzeniu jego samochodu? Kurwa, mam nadzieję, że nie.

– Tak? Jaja sobie robisz?

Eden wypuszcza powietrze, szarpie sznurki bluzy i patrzy na mnie w milczeniu.

– Mogłabym powiedzieć ci dokładnie to samo – mówi w końcu, ale nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Miałem nadzieję, że udowodni mi, że nie dała się oczarować Jake'owi. Chowa ręce w przedniej kieszeni bluzy i przekrzywia głowę. – Zabrałeś mnie na imprezę pełną ćpunów i luzerów. Czy ty oszalał?

– Ćśśś. Mów ciszej – proszę i podnoszę palec. Zerkam w stronę kuchni, gdzie siedzą nasi rodzice.

– Przepraszam – rzuca, chociaż wcale nie ma zamiaru mówić ciszej. Zaciska usta i patrzy na mnie wyzywająco. Jej postawa jest zadziorna, a głos ocieka sarkazmem. Zabrałem ją na imprezę i pokłóciłem się z nią. Pokazałem się jej z najgorszej strony, tej, której nie jestem w stanie kontrolować. – Zapomniałam, że twoja mama nie ma pojęcia, jak żaloszny jest jej synalek.

Chciałbym, żeby przestała używać tego słowa. *Żaloszny*. Wiem, że taki właśnie jestem, ale nie musi mi o tym przypominać. Zupełnie jakby wiedziała, że w jej ustach brzmi to niemal boleśnie. Dlatego wciąż to powtarza. Nie dlatego, że to prawda, ale dlatego, że to jedyna rzecz, którą może wykorzystać przeciwko mnie. Moja własna, przeklęta słabość. To niemal okrutne z jej strony, nie mam więc wyrzutów sumienia, kiedy odwracam się i wołam z uśmiechem:

– Dave! Eden wróciła!

Eden rozchyła usta i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Żartujesz? – syczy.

– Ponieś konsekwencje – droczę się z nią. Niech poniesie konsekwencje za to, że przez całą noc szlajała się z pieprzonym Jakiem Maxwellem.

– Twojej głupoty – odgryza się. Z każdą sekundą robi się coraz bardziej podenerwowana. Zupełnie jakby na mój widok gotowała się w niej krew. – To ty zmusiłeś mnie, żebym poszła na tę imprezę.

– Zabawne, bo pamiętam, że sama zgodziłaś się na nią pójść.

– Dziwi mnie, że w ogóle cokolwiek pamiętasz – mruczy. – Czyżbyś wrócił do domu trzeźwy? Bardzo w to wątpię – dodaje protekcyjnie, żeby jeszcze bardziej mnie wkurzyć. Naciąga kaptur głębiej na oczy i wstrzymuje oddech. Słyszymy nagłe poruszenie w kuchni.

– Powodzenia – rzucam złośliwie. Z uśmiechem opieram się o ścianę i splatam ramiona na piersi. To dopiero będzie przedstawienie. Najwyższych lotów.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? – wrzeszczy Dave, jak tylko wychodzi na korytarz. Idzie w naszą stronę, ale, choć raz, jego wściekły wzrok nie jest skupiony na mnie. Nie tym razem. Teraz kolej na Eden. – Wiesz w ogóle, która jest godzina? Dochodzi południe. Gdzie byłaś całą noc? – Zadaje kolejne pytania, a jego niepokój przeradza się w złość. – Mogłaś przynajmniej odebrać telefon. Zamartwiałem się o ciebie, Eden.

– Przepraszam, ja... – zaczyna Eden, ale słowa więzną jej w gardle. Co ma powiedzieć? Jak ma się wytłumaczyć? Że zaciągnąłem ją na imprezę i zostawiłem samą sobie, aż pojawił się Pan Gracz Roku i ją uratował? Że spędziła noc z zupełnie obcym kolesiem? Już słyszę, jak to mówi. Dave najpierw zabiłby mnie, potem Jake'a, a na końcu Eden. Kiedy tak wodzi dokoła przerażonym wzrokiem, wygląda jak bezbronna dziewczynka. Zwykle jest pewna siebie i mówi, co myśli, ale teraz wydaje się mała i przestraszona. I jakoś wcale nie bawi mnie ten widok.

– Była u Meghan – mówię pospiesznie. Nie mam zamiaru jej pogrążyć. Nie po tym, co zrobiłem wczoraj wieczorem. Patrzę jej w oczy i daję znać, żeby była cicho, że załatwię to za nią. – Przecież mówiłem – kłamię i spoglądam na Dave'a.

Dave, wyraźnie skonsternowany, przez chwilę przygląda mi się w milczeniu. Brwi ma ściągnięte.

– Nie mówiłeś – odzywa się w końcu.

– Dałbym sobie rękę uciąć, że mówiłem wam, jak wieczorem wróciłem do domu. Zresztą sama mnie o to prosiła – mówię, udając niewiniątko. Nie przychodzi mi to łatwo, bo nie jestem niewiniątkiem. – Pamiętasz?

– Nie.

– Cóż, musiałem zapomnieć. – Przepraszająco wruszam ramionami i jeszcze raz patrzę na Eden. – Przepraszam, Eden. Dałem ciała.

Dave, skonsternowany, patrzy to na mnie, to na Eden. Nie kupuje tego, ale przynajmniej próbowałem. Eden wygląda na zdumioną. Naprawdę jest mi głupio z powodu ubiegłej nocy i czuję, że wyciągnięcie jej z problemów to jedyne, co mogę zrobić. Tymczasem ona patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Następnym razem uprzedź mnie, gdy będziesz wychodziła – burczy w końcu Dave. Niesamowite. Dał się nabrać na moje przedstawienie, chociaż nadal nie wygląda na zadowolonego. – A przy okazji – rzuca na odchodnym – idziemy na późny lunch. Wszyscy. Ty również, Tyler. Ubierzcie się jakoś. – Patrzy na mnie srogo i wiem, że w tej kwestii nie mam nic do powiedzenia.

– Tym razem ci się upiekło – mówię. Dave znika w kuchni. Dobra, wymyśliłem tę główną historyjkę, ale to ona spędziła noc poza domem, nie mówiąc o niczym ojcu. Ilekroć ja tak zrobię, Dave urządza mi piekło.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta Eden. Patrzy na mnie, znacznie spokojniejsza niż kilka minut temu i wyraźnie zaintrygowana.

– O co ci chodzi?

– Dlaczego mnie kryłeś? – wyjaśnia i wzrusza ramionami. – Nie rozumiem.

– Byłem ci to winien – rzucam. – Za to, że zabrałem cię na tę imprezę. Nie przemyślałem tego – dodaję, żeby wszystko było jasne. – Przepraszam. – Przepraszanie nie przychodzi mi łatwo i choć jestem zbyt bezpośredni, jest to najlepsze, co mogę jej zaoferować. Zresztą czuję, że powinienem.

– Po co w ogóle proponowałeś, żebym z tobą poszła? Naprawdę myślałeś, że będę się dobrze bawić? – pyta rozeźlona. Wiem to, bo za każdym razem wyczuwam subtelną zmianę w jej głosie. Staje się wtedy głębszy i bardziej schrypnięty. Lubię, kiedy nie jest zła czy poirytowana i nie słyszę w jej głosie niedowierzania. Lubię, kiedy po prostu... mówi. Ale nieczęsto się to zdarza.

– Przepraszam – powtarzam. Wiem, że podjąłem złą decyzję i głupio mi z tego powodu, dlatego mam nadzieję, że wie, iż nie przepraszam dla samego przepraszania. Wystarczy, że jestem zły na siebie, bo gdybym nie wyciągnął jej z domu, może nie spędziłaby nocy w towarzystwie Jake'a. A skoro o tym mowa... – A więc byłaś z Jakiem, tak?

– A jeśli nawet, to co cię to obchodzi? – odgryza się, co tylko potwierdza moje podejrzenia, że przez cały ten czas była z *nim*. Jak go spotkam, będzie miał mi wiele do wyjaśnienia. – Masz na jego temat swoje zdanie, a ja mam swoje. Nie chcę o tym rozmawiać, bo to nie ma nic wspólnego z tobą.

Ma rację: ze mną nie ma to nic wspólnego, ale gdyby się choć przez chwilę zastanowiła, czemu tak mnie to wkurza, wiedziałaby, że nie chcę, żeby ją skrzywdził. I nie dlatego, że jest moją przybraną siostrą, tylko dlatego, że autentycznie nie podoba mi się myśl, że Jake namiesza jej w głowie. Wydaje się zbyt mądra, żeby uwierzyć w całe to jego gadanie. Wolałbym jej tego oszczędzić. Nie zasługuje na to.

– Muszę wziąć prysznic – rzucam, chcąc zmienić temat. Nie ma szans, żebym przyznał na głos, że naprawdę mi zależy. Bo Tylerowi Bruce'owi nie zależy. – Pogadamy o tym później. Jeśli przeżyjemy ten cholerny lunch.

– Pogadamy o tym później? – powtarza Eden. Raczej nie ma na to ochoty, ale nie pozwolę Jake'owi bawić się jej kosztem, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zarobię.

– Taa – bąkam i idę w stronę schodów, żeby się przygotować na rodzinne wyjście. Nie bardzo mam na nie ochotę, ale nie mam siły się wyklócać. Idąc na górę, po raz ostatni oglądam się na Eden. Stoi na dole i odprowadza mnie wzrokiem. – I pamiętaj, co powiedział twój stary – przypominam jej. – Załóż coś ładnego.

Nie wiem, co jest w tej dziewczynie, ale przy niej się zmieniam. Przy nikim tak bardzo się nie motam. Wczoraj też dałem ciała. A gdy się kłóciliśmy... Nie kłóciła się z Tylerem Bruce'em. Kłóciła się ze mną. Z *moimi* słabościami. *Moją* szczerością. I *moim* lękiem. I nawet teraz, w tej sekundzie, jestem sobą.

Skąd to wiem?

Bo się do niej uśmiecham.





## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Nie jestem wystarczająco głodny, żeby coś zjeść. Jestem zbyt rozkojarzony, dlatego niechętnie biorę do ust kilka kęsów jedzenia, które leży przede mną na tacy, i wbijam wzrok w przypadkowy punkt na stole. Jest pora lunchu i w szkolnej stołówce panuje chaos. Jak zawsze. Słysząc gwar rozmów, piski i śmiech. Nienawidzę tego. Chciałbym, żeby wszyscy usiedli i się zamknęli.

– Hej! – rzuca ostro Jake i ciska we mnie gumką myszką. Mrugam i staram się wrócić do rzeczywistości. Powoli podnoszę głowę i patrzę na niego. Siedzi przy stole naprzeciw mnie, fluorescencyjne światło odbija się od aparatu na jego zębach. – Wchodzisz w to?

– W co? – pytam. Kątem oka zerkam na Deana, szukając u niego wsparcia, ale on tylko przewraca oczami i przeżuwa jedzenie. Myślę, że przyzwyczaili się do tego, że czasami odpływam, chociaż chciałbym przestać.

– W liceum będziemy startować do szkolnej reprezentacji. Wszyscy trzej. Zgoda? – mówi Jake. Po tych słowach on i Dean zderzają się pięściami. Wyciąga w moją stronę zaciśniętą pięść, a gdy napotyka mój nieobecny wzrok, przestaje się uśmiechać i wzdycha. – Chodzi o futbol, kretynie – tłumaczy mi. – Wchodzisz w to czy nie? Wszyscy wiedzą, że jeśli w liceum chcesz być kimś, to *musisz* należeć do szkolnej reprezentacji.

– Wiecie, że liceum jest dopiero za dwa lata, nie? – pytam. – I to raczej tak nie działa.

– Właśnie, że tak! – upiera się Jake i cofa rękę. Zanim zdąży cokolwiek dodać, do naszego stolika podchodzi Rachael Lawson i siada na ławce obok niego.

– O czym rozmawiacie? – pyta i opiera łokcie na stole. Przygląda się nam zza brudnych szkieł okularów. Ona i jej przyjaciółka Meghan czasami przysiadają się do nas na lunchu.

– Rach, czemu masz obsesję na moim punkcie? – droczy się z nią Jake i wymownie patrzy na jej ramię, które dotyka jego ramienia. Jake to jajcarz. Czasami chciałbym być taki jak on.

– Z tym aparatem? Śnij dalej – odgryza się Rachael, ale na wszelki wypadek odsuwa się od niego. – Pan Hayes poprosił mnie i Meghan, żebyśmy oprowadziły po szkole tę nową dziewczynę, więc bądźcie mili. O, idą.

– Jest jakaś nowa dziewczyna? – pyta Dean, ale nie ma czasu na odpowiedź.

Do stolika podchodzi Meghan Nguyen. Ciemne włosy kołyszają się jej wokół ramion. Za nią idzie dziewczyna, którą pierwszy raz widzę na oczy. Też nie wiedziałem, że mamy w klasie jakąś nową. Meghan siada po naszej stronie obok Deana, a nowa naprzeciw nas, obok Rachael.

– Przedstawisz się? – pyta Jake i wychyla się do przodu, żeby jej się lepiej przyjrzeć.

Nowa uśmiecha się z pewną siebie miną i zatyka za uszy jasne mysie ogonki. Na każdym z nas po kolei zatrzymuje spojrzenie swoich oczu, jasnoniebieskich jak lód.

– Jestem Tiffani. Dopiero się tu przeprowadziłam. A wy to...?

– Ktoś tu nie jest nieśmiały – mruczy pod nosem Jake; zakrywa usta dłonią, ale i tak go słyszymy. Zaraz potem uśmiecha się do niej. – Możesz mówić do mnie Jake i *musisz* wiedzieć,

że Rachael i Meghan są we mnie bezgranicznie zakochane, trzymaj się więc ode mnie z daleka.

– Zamknij się, świrze – syczy Meghan, Rachael szturcha go łokciem w żebra i wszyscy troje parszczą śmiechem. Jake drażni się z nimi cały czas, ale to tylko żarty.

– Nie denerwujesz się? – pyta Dean. Pośród panującego zgiełku jego głos jest ledwie słyszalny. Przekrzywia głowę i patrzy podejrzliwie na Tiffani. Żadna nowa dziewczyna tak szybko nie czuła się tak swobodnie. Zwykle przez pierwsze dwa tygodnie w ogóle się nie odzywają. – A przy okazji, jestem Dean.

– A czym tu się denerwować? – pyta Tiffani. Jej lśniące od błyszcznika usta układają się w niewinny, łagodny uśmiech, który w rzeczywistości wcale nie jest ani niewinny, ani łagodny. Nauczyłem się czytać z ludzkich twarzy lepiej od innych. Jasnoniebieskie oczy Tiffani zerkają w moją stronę i dziewczyna wydyma wargi. – A ty, spokojny chłopczyku? Masz jakieś imię?

– Tyler – mruczę i wbijam wzrok w tacę z nietkniętym jedzeniem. Nienawidzę obcych. Im więcej ludzi mnie zna, tym większe istnieje ryzyko, że ktoś odkryje, że coś jest nie tak.

– Mogę mówić do ciebie Ty?

Patrzę na nią obojętnym wzrokiem.

– Nie.

– Szkoda – rzuca i odwraca się ode mnie, jak gdybym nie był godny jej uwagi. Wyciąga plan lekcji i przegląda go, skubiąc zębami dolną wargę. – Ktoś z was ma teraz fizykę z panią Fitzgerald?

– Chyba Tyler – mówi Meghan, a gdy piorunuję ją wzrokiem, wzrusza ramionami.

– A, pan spokojny – mruczy Tiffani i zerka w moją stronę. W tej samej chwili rozbrzmiewa dzwonek i hałas w stołówce się wzmacnia; wszyscy wstają od stolików, my również.

– Możesz odprowadzić mnie do klasy, Ty – mówi nowa. Zarzuca plecak na ramię i odgarnia włosy. Obchodzę stół, a ona bierze mnie pod rękę. – Chodźmy – ponagla mnie. – Do zobaczenia! – rzuca przez ramię.

Wzdycham, ale nie mam ochoty się z nią wyklócać. Jest nowa, prawdopodobnie próbuje zrobić wrażenie i wkręcić się do pierwszej lepszej paczki. Mimo wszystko bąkam pod nosem:

– Mam na imię Tyler.



## DZIŚ

– Miło, że w końcu jesteśmy razem – stwierdza mama. Patrzy na nas, siedzących przy stole, a ciepły uśmiech rozjaśnia jej twarz. Pierwszy raz wyszliśmy z domu jako sześciopersonowa rodzina. – Powinniśmy powtarzać to w każdą niedzielę.

– Jestem za – mówi Dave. Wymieniają spojrzenia i przysięgam, że on sięga pod stolikiem po jej dłoń.

– A ja przeciw – rzucam tylko po to, by zrobiło się niezręcznie. Uśmiecham się sarkastycznie, spuszcza głowę, splatam ramiona i wbijam wzrok w sztućce. Nie chcę tu być, zwłaszcza że mama i Dave próbują zrobić z nas „rodzinę”. Nie jesteśmy rodziną. Dave nie jest moim ojcem. A Eden to obca mi osoba.

– Ile jeszcze musimy tu siedzieć? – pytam chwilę po tym, jak składamy zamówienie. Nie biorę udziału w „swobodnej” rozmowie zainicjowanej przez mamę i Dave’a; moi bracia i Eden również. Eden siedzi w milczeniu obok mnie i za każdym razem, gdy zerkam na nią ukradkiem, kręci młynki kciukami. Patrzę na siedzących naprzeciw mamę i Dave’a i poluzowuję krawat. Gorąco tu. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty – stwierdzam, choć to nieprawda.

Dave przewierca mnie wzrokiem, zupełnie jakby chciał mnie sprowokować, żebym zepsuł tę doniosłą chwilę. Jego palce zaciskają się na szklance.

– Przestań marudzić – rzuca mama niby żartem, choć twarz jej tężeje, a ona sama prostuje się na krześle i wpatruje we mnie. Sprawia wrażenie zaniepokojonej, jak podczas naszej porannej rozmowy. – A wzięłeś dziś lekarstwa?

– Mamo – warczę. Chryste, poważnie mnie o to zapytała? Tutaj? Tak przy wszystkich? Zerkam na Eden, żeby zobaczyć, czy słyszała i, rzecz jasna, słyszała. I co teraz o mnie pomyśli? – Pójdę się przewietrzyć – bąkam.

Wstaję, odwracam się i lawirując między stolikami, idę w stronę drzwi. Jest niedzielne popołudnie, restauracja pełna jest ludzi. Zdejmuję krawat i chcąc jak najszybciej znaleźć się na dworze, przepycham się między ludźmi. Tuż za drzwiami nabieram do płuc powietrza i na chwilę wstrzymuję oddech. W końcu oddycham i opieram się o ścianę. Niebo jest bezchmurne i czuję na twarzy dotyk słońca. Patrzę na krawat w mojej dłoni; przypomina mi o ojcu.

Im jestem starszy, tym wyraźniej widzę jego, gdy spoglądam w lustro. Coraz bardziej przypominam go w wieku dwudziestu kilku lat i wcale mi się to nie podoba. Za każdym razem, kiedy widzę siebie w koszuli i pod krawatem, przypominam sobie te dni, gdy wracał wkurzony z pracy i wyładowywał na mnie swoją złość. W koszuli i pod krawatem rzadko bywał szczęśliwy.

Nie ma mowy, żebym tu został. Chcę wrócić do domu, zdjąć tę przeklętą koszulę, napić się piwa i zrelaksować. Mama miała rację. To był kiepski tydzień. Dlatego cieszę się, gdy w kieszeni znajduję kluczyki od samochodu mamy. Nienawidzi parkować tyłem i poprosiła, żebym zrobił to ja. Super. Przynajmniej mam czym uciec.

Wyciągam kluczyki i idę przez parking w kierunku range rovera. Lexus Dave’a stoi zaparkowany obok, bo wychodząc z domu, odkryliśmy, że jako sześciopersonowa rodzina nie

mieścimy się w jednym samochodzie. Siadając za kółkiem range rovera, nie czuję się winny, bo wiem, że przynajmniej będą mieli czym wrócić. Przerzucam krawat przez ramię, ale zamiast uruchomić silnik, gapię się przez przednią szybę na krzaki okalające parking.

Nie, nie wziąłem dziś lekarstw. Czy brałem je wczoraj? Nie pamiętam, ale jakie to ma znaczenie? Łykam je od lat i dalej czuję się do dupy; chyba nie działają, jak należy. Ciągle jestem przygnębiony i rozdrażniony, najwyższy czas je odstawić.

Ktoś puka w szybę od strony pasażera. Wzdrygam się i odwracam wzrok. To Eden. Stoi przy drzwiach i patrzy na mnie przez szybę. Bawi się końcówkami włosów, których ciemne pukle luźnymi falami opadają jej na ramiona. Może jest zdenerwowana, nie wiem. Cieszę się, że za mną wyszła. Bo chociaż sprawia wrażenie, jakbym działał jej na nerwy, to najwyraźniej coś ją do mnie ciągnie. Może, w przeciwieństwie do innych ludzi, naprawdę jej zależy. Tylko dlatego opuszczam szybę.

– Czego chcesz?

Cofa się o krok, zwiększając dzielącą nas odległość. Może dlatego, że jestem w kiepskim nastroju, a to znaczy, że jestem nieprzewidywalny.

– Wracasz tam? – pyta.

– Pieprzyć to. Nigdzie nie idę. – Wbijam wzrok w krzaki i zaciskam zęby. – Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej szopce. Patrząc, jak mama i Dave próbują zrobić z nas jedną wielką szczęśliwą rodzinę, zwłaszcza po tym, jak mama zapytała mnie o tabletki. To żenujące i tylko mi przypomina, że coś jest ze mną nie tak, a tabletki mają mi pomóc.

– Nie sądzisz, że trochę dramatyzujesz? – Słyszę, że Eden ma ochotę westchnąć, ale się powstrzymuje. – To nic takiego. Tylko zadała ci pytanie.

– Głupia jesteś? Pytam poważnie. – Patrę na nią. Tylko zadała mi pytanie? Dla mnie to coś więcej niż *tylko pytanie*. – NIC nie rozumiesz, cholerna Eden Munro. – Czasami chciałbym, żeby ludzie znali prawdę; może wtedy by zrozumieli. Z drugiej strony to ostatnia rzecz, o której chcę, żeby wiedzieli. Gdyby znali prawdę, już nigdy nie spojrzeliby na mnie w ten sam sposób.

– Znowu zaczynasz. Reagujesz przesadnie na każdą bzdurę. Usiłuję zrozumieć, co się z tobą dzieje, ale za każdym razem, kiedy próbuję z tobą porozmawiać, traktujesz mnie jak gówna, więc daruj sobie. Ja wracam. Nie jestem egocentryczną idiotką, która wpada w szał, gdy coś idzie nie po jej myśli – dodaje i nie czekając na moją odpowiedź, obraca się na pięcie i odchodzi. Patrę na nią w bocznym lusterku i uświadamiam sobie, że wcale nie chcę, żeby sobie poszła.

Boże, czemu ona to robi? Dlaczego lubię, kiedy tak brutalnie wali mi prawdę między oczy? Wzdycham, pochylam się nad fotelem pasażera i wołam przez opuszczoną szybę:

– Eden! – Modlę się w duchu, żeby mnie usłyszała i słyszy, bo odwraca się przez ramię. – Podejdz tu – proszę łagodnie. – Wsiądź do samochodu, to ci powiem, o co mi chodzi, i wrócimy tam razem.

Widać jest to propozycja nie do odrzucenia, bo w jej oczach pojawia się błysk, a zaraz potem zawraca i idzie w moją stronę. Włączam silnik na chwilę przed tym, zanim otwiera drzwi i siada na fotelu pasażera.

– Dobra, o co ci chodzi? – pyta.

Chryste, muszę przestać się gapić na te jej przekłete usta. Zaciskam palce na kierownicy, spoglądam na Eden i przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Podoba mi się, że w jej idealnie orzechowych oczach widzę odbicie swoich własnych. Nie chcę, żeby wracała. Chcę być samolubny i zatrzymać ją przy sobie, żebym mógł patrzeć na jej usta, które mówią mi wszystko to, czego nie chcę słyszeć.

– Dobra, chcesz, żebym był z tobą szczerzy? – pytam. Ukradkiem kładę rękę na dźwigni

zmiany biegów. Siedzimy na parkingu, ale to się zaraz zmieni. – W porządku. Będę szczerzy aż do bólu i powiem ci, że wynosimy się stąd do jasnej cholery. – Wrzucam bieg, wciskam pedał gazu i range rover wytacza się z parkingu. Koła buksują przez chwilę, zanim złapią przyczepność. Wracamy do domu. Wyjeżdżam na ulicę i włączam się do ruchu.

– Jaja sobie robisz? – krzyczy Eden i rozpaczliwie zapina pas, jakby się bała, że wjadę samochodem do Pacyfiku.

– Nie – rzucam. – Jestem po prostu szczerzy.

– Odwieź mnie – nakazuje i przyciska dłoń do deski rozdzielczej. Wbija we mnie wzrok swoich orzechowych oczu. Najwyraźniej nasza spontaniczna ucieczka nie cieszy jej tak bardzo jak mnie.

– Naprawdę chcesz wracać? – pytam i zerkam w jej stronę. Przypadkiem zjeżdżam nieco w bok, zaraz jednak prostuję kierownicę i patrzę na Eden. – Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że chcesz tam wracać, jeść obrzydliwe żarcie i przez kolejną godzinę siedzieć przy stole ze swoim ojcem. Powiedz, że naprawdę tego chcesz.

– Nie – odpowiada niechętnie. Jej pełne, wilgotne usta poruszają się powoli. Boże, o mało nie rozwalilem pieprzonego samochodu. – Wiem jednak, że muszę wrócić, zanim oboje nas zabiją. Wolno ci w ogóle tym jeździć?

– A tobie tak wyglądać? – mruczę pod nosem. – Cała ta sytuacja zaczyna powoli działać mi na nerwy. – Najwyraźniej mówię za głośno, bo Eden mnie słyszy.

– Nie musisz mnie obrażać – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Chryste, nie chciałem cię obrazić. – Hamuję gwałtownie przed światłami, patrzę na nią i przeczesuję włosy palcami. Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału. – Nie wracamy. Jedziemy do domu, żebym mógł napić się piwa i wytłumaczyć ci, że Jake się tobą bawi.

– Dziękuję, Tyler – rzuca po chwili. Jej słowa ociekają sarkazmem. – Dziękuję, że pakujesz mnie w kolejne kłopoty.

– Ostatniej nocy to ty nabroiłaś – przypominam jej. Z łokciem opartym o drzwi masuję skroń. – Fakt, to ja wyciągnąłem cię z domu, ale to ty postanowiłaś do niego nie wracać, więc nie zwalaj wszystkiego na mnie.

– W porządku – rzuca. – Tyle że mamy nowy problem. Twoja mama wpadnie w szal, jak zobaczy, że jej samochód zniknął. Skąd w ogóle wzięłaś kluczyki?

– Wyluzuj, zmieszczą się w samochodzie twojego ojca. – Widząc, że światło zmienia się na zielone, wciskam pedał gazu w podłogę, aż silnik ryczy. – Miałem kluczyki w kieszeni po tym, jak musiałem parkować. A teraz przestań mnie rozpraszać, próbuję prowadzić.

– Postaraj się bardziej.

Po tych słowach milknie. Jest zbyt wkurzona, żeby ze mną rozmawiać. Wiem o tym, bo ręce ma skrzyżowane na piersi, siedzi bokiem z zaciśniętymi ustami i wygląda przez okno.

Skupiam się na drodze, ale co chwila zerkam w jej stronę, żeby zobaczyć, jak się czuje. Postanawiam, że jak dojedziemy do domu, zadzwonię do mamy. Na pewno będzie się zastanawiać, czemu Eden i ja tak długo nie wracamy.

– Tyler? – Słyszę w słuchawce głos mamy. Odebrała szybko, po trzecim sygnale. – Wracacie do nas?

– Właśnie się urwaliśmy – stwierdzam beznamiętnie z telefonem przy uchu i ręką na kierownicy. Lepiej, żeby wiedziała. – Przepraszam, ale rodzinne wypadki do restauracji to nie dla nas. Będziemy w domu. – Rozłączam się, zanim zdąży na mnie nakrzyczeć albo każe nam wracać i kładę telefon na desce rozdzielczej.

Eden zaciska zęby i rzuca mi pełne dezaprobaty spojrzenie, okraszone wzruszeniem ramion, a zaraz potem odwraca się i przez resztę drogi gapi się w okno. Pięć minut później

zajeżdżamy pod dom i parkuję na podjeździe.

– Idź do mojego pokoju – rzucam do Eden, gdy przecinamy trawnik. Znajduję w kieszeni klucze i kręcę nimi na palcu wskazującym. – Wezmę coś do picia i porozmawiamy o tym dupku, który tak bardzo ci się podoba.

– Ani myślę z tobą rozmawiać – warczy za moimi plecami. Kiedy otwieram drzwi, stoi dwa metry dalej i mrużąc oczy, wpatruje się we mnie. Jeśli myśli, że wygląda groźnie, jest w błędzie. Wygląda uroczo.

– Idź na górę do mojego pokoju – powtarzam, a sam kieruję się w stronę kuchni. Piwo to jedyne, na co mam w tej chwili ochotę. – Za dwie minuty przyjdę.

Słyszę trzask zamykanych drzwi, a zaraz potem kroki na schodach.

– Żeby było jasne – woła Eden. – Idę do *swojego* pokoju.

– W takim razie będę u ciebie za dwie minuty – odkrzykuję z kuchni i przewracam oczami. Nie sądzę, żebyśmy się dogadali, ale przynajmniej mam nadzieję. Zacznę od Jake’a, bo nadal nie podoba mi się to, że spędziła z nim noc. Pewnie myśli, że wracam do tego, bo jestem dupkiem, ale to nieprawda. Trzeba ją ostrzec, a ja jako jej przybrany brat powinienem się nią opiekować. Cholera, dziwnie to brzmi.

Biorę z lodówki piwo, otwieram je i idę na górę do pokoju Eden. Wchodzę i widzę, że stoi przy łóżku i, jak zwykle na mój widok, krzyżuje ramiona, wydyma usta i piorunuje mnie wzrokiem.

– Dobra, od czego by tu zacząć – mówię. Upijam łyk piwa i zastanawiam się, jak najlepiej powiedzieć to, co mam jej do powiedzenia. Nagle przypominam sobie, że lubi, kiedy się wyklada kawę na ławę. – Powiem krótko: Jake Maxwell mógłby się ubiegać o tytuł aktora roku.

– Zabawne. A ja myślałam, że w tej branży najlepszy jesteś ty. – mruczy.

Chwileczkę. Że co? Skąd, do cholery, ten pomysł? Dużo można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem aktorem.

– Nie, między mną a Jakiem jest zasadnicza różnica. – Oburzam się i kręcę głową. – Dziewczyny pragną mnie, a Jake pragnie dziewczyn. Ja nie uganiam się za dziewczynami. Po prostu wpadam na nie na imprezach. Trochę poflirtuję, czasem, jak wypiję, pocałuję się z którąś, jeśli nie ma w pobliżu Tiffani. Nic więcej – stwierdzam. Biorę kolejne piwo, bo czuję, że jest mi potrzebne. Eden słucha uważnie i nawet na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. – Tymczasem Jake to wytrawny gracz. Tygodniami albo nawet miesiącami zwodzi dziewczyny, sypia z nimi, a potem zrywa wszelkie kontakty. Spotyka się nawet z trzema naraz. Gwarantuję ci, że kiedy się z nim prześpisz, koleś zniknie. Zawsze tak robi. Sprzeda ci głodny kawałek o tym, że jego uczucie się wypaliło albo że nie może już z tobą rozmawiać, bo ma bardzo surową matkę, która zabrania mu spotykać się z dziewczynami do czasu, aż pójdzie na studia.

– Po co mi to mówisz? – pyta i opiera ręce na biodrach.

– Bo tak. – Wiem, że to gówniarska, pokrętna odpowiedź. Mówię jej to, bo nie chcę, żeby cierpiała. Bo może jestem egoistą i nie chcę, żeby spędzała czas z Jakiem: bo może chcę, żeby zamiast tego skupiła się na mnie. Ale nie mogę jej tego powiedzieć.

– To kiepski powód.

Uśmiecham się do niej.

– Tak jak to, dlaczego wyszedłem z restauracji. – Pociągam kolejny łyk piwa, odwracam się i wychodzę z pokoju.

\* \* \*

Jest późna noc, a ja nie mogę zasnąć. Wiercę się i przewracam z boku na bok, słuchając głosu Eden. Od jakiegoś czasu rozmawia z kimś na głośniku albo wideoczacie, bo niewyraźnie

słyszę drugi kobiecy głos. Rozmawiają o szkole, chłopakach i college'u.

Wstaję, wychodzę na korytarz, kucam w ciemności i sięgam po stojący na stoliku router. Wyłączam go, odstawiam na miejsce i wracam do pokoju. Ale zamiast położyć się do łóżka, stoję przy ścianie, która oddziela mój pokój od pokoju Eden. Nie słyszę jej, zakładam więc, że rozmawiała na wideoczacie. Dzięki Bogu, że wyłączyłem router. Nasłuchuję przez chwilę, a gdy mam pewność, że rozmowa dobiegła końca, trzy razy pukam w ścianę. Nie wiem, dlaczego to robię. Chyba pod wpływem impulsu, jakbym próbował zwrócić na siebie jej uwagę.

Mija kilka sekund, zanim słyszę pukanie po drugiej stronie ściany. Uśmiecham się i niemal czuję, jak mięśnie mojej twarzy się rozluźniają. Eden jest kilka centymetrów ode mnie; dzieli nas tylko ściana. Znowu pukam – teraz już cztery razy i nieco głośniejszym głosem.

– Możesz przestać? – pyta Eden. Ściana tłumi jej głos, ale słyszę pobrzmiwającą w nim groźbę. Cholernie mi się to podoba.

– Wyłączyłem internet – mówię. – Od twojego gadania bolała mnie głowa. „Boże, Amelio, czy Chicago nie jest boskie? Uwielbiam szkołę! Jest taka wspaniała! Uwielbiam psychologię. Kocham odrabiać pracę domową i naukę!” – naśladuję ją piskliwym głosem.

– Nic takiego nie mówiłam – odgryza się i słyszę głuchy łomot, jak gdyby uderzyła pięścią w ścianę. Pewnie sobie wyobraża, że to moja twarz.

Tłumię śmiech, opieram się plecami o ścianę i powoli osuwam się na podłogę. Wyciągam nogi, odchylam głowę i siedząc po ciemku, wpatruję się w sufit. Chcąc rozdrażnić ją jeszcze bardziej, stukam kłykciami w ścianę.

– Mogę tak całą noc. Słyszałem, że w college'u ludzie nie dosypiają, więc będzie to dla ciebie niezła lekcja. Raz-dwa sprawię, że zaczniesz cierpieć na bezsenność.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, jak bardzo jesteś irytujący? – pyta Eden, a jej głos łagodniejsze do schrypniętego szeptu.

– Hmmm, nie sądzę – żartuję. Potrafię jedynie wkurzać ludzi i Eden nie jest wyjątkiem. Właściwie ją irytuję bardziej niż innych. – No to jaki jestem irytujący? Proszę bardzo, studentko, oświeć mnie. – Mam nadzieję, że wie, że tylko się z nią droczę. Nie jestem kretynek. Kretyn by się teraz nie uśmiechał.

– Zaczniemy od tego, że odłączyłeś internet, a teraz pukasz w moją ścianę – mówi.

– Formalnie rzecz biorąc, to nasza ściana – odgryzam się i znowu pukam. Właściwie żałuję, że tu jest. Gdyby nie ona, mógłbym teraz patrzeć na Eden. Próbowałbym wyczytać coś z jej twarzy.

– Tak czy siak, to cholernie irytujące. Przestań, proszę – mówi, ale nie brzmi to jak groźba. W jej tonie brak stanowczości.

– Nie mogę – rzucam i zaczynam bębnić w ścianę kłykciami. Lubię jej dokuczać.

Chwilę później znów słyszę łomot i wybucham śmiechem. Zaczyna mnie to bawić, dlatego się wkurzam, gdy nagle zapada cisza. Eden nie mówi nic więcej. Nie puka w ścianę. Najwyraźniej dała sobie spokój. Wzdycham więc, opieram głowę o ścianę i nasłuchuję przez chwilę z nadzieją, że znów się odezwie. Dziesięć minut temu pragnąłem ciszy, ale teraz jest inaczej. Wciąż siedząc na podłodze, oparty o ścianę, zamykam oczy, a gdy je otwieram, dochodzi druga w nocy.

Cicho pukam w ścianę jeden raz, ale odpowiedź nie nadchodzi.

Próbuję znowu, kiedy budzę się o czwartej, ale Eden wciąż nie odpowiada.

O siódmej rano próbuję po raz ostatni i zasypiam z żalem, że się nie odezwała.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

– Wiesz, że nie musisz tu siedzieć całą noc – mówi mama. Jest niedzielny wieczór. Mama podchodzi do mojego biurka, uśmiecha się do mnie i delikatnie gładzi mnie po ramieniu. Nie wie, że w miejscu, które głaszcze, mam wielkiego sińca. – Nie chcesz obejrzeć meczu na dole? 49ers chyba przegrywają, ale kto wie? Może wróca do gry. Tata modli się, żeby tak było.

– W porządku – mruczę. Głowę mam spuszczoną, a moja ręka nie przestaje się poruszać. Przepisuję notatki z lekcji geografii z całego tygodnia. Niedługo mam test i nie mogę go oblać. Poza tym, tata powiedział, że mam się uczyć.

– Wiecznie siedzisz z nosem w książkach – ciągnie mama i choć na nią nie patrzę, wiem, że marszczy brwi. Słyszę to w jej głosie. – Nie zrozumiem mnie źle, wcale nie narzekam, ale może powinieneś trochę odpuścić.

– Chcę się uczyć – kłamię. Piszę teraz szybciej, dociskając długopis do papieru. Chciałbym, żeby zdjęła rękę z mojego ramienia. Jej dotyk sprawia mi ból.

– Czym sobie zasłużyłam na takiego pracowitego synka? – zastanawia się na głos. Czuję, że się rozpogadza i uśmiecha. Tak dobrze ją znam. – Ale mówię poważnie. Dość już na dziś tej nauki. Pooglądaj mecz albo pomóż mi z praniem. Możesz wybrać. – Sięga przez moje ramię i wyjmuję mi długopis z ręki. W sumie dobrze, bo od pisania zaczynała mi już drętwieć.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć, i widzę, że trzyma oparty na biodrze kosz z brudami, i uśmiecha się do mnie znacząco. Ja również zmuszam się do uśmiechu, chociaż wcale nie jestem szczęśliwy. Czuję się wycieńczony. Jak zawsze.

– Dobrze, mamo. Obejrzę mecz.

– No to zmykaj! – rzuca ze śmiechem i szturchnięciem zgania mnie z krzesła. Wstaję niechętnie i idę na dół, podczas gdy ona krąży po pokoju i zbiera leżące na podłodze ubrania.

Słyszę dobiegające z salonu odgłosy meczu i mimo narastającego lęku zmuszam się, żeby tam wejść. Z udawaną odwagą zadzieram głowę i otwieram drzwi. W telewizji leci transmisja; dźwięk jest zbyt głośny. Jamie leży na podłodze na brzuchu z brodą opartą na rękach i wzrokiem utkwionym w ekranie. Zniszczy sobie wzrok, jeśli będzie siedział tak blisko. Chase siedzi po turecku na kanapie obok taty i je chipsy. Ojciec trzyma w dłoni butelkę piwa i kiedy tylko wchodzi do pokoju, zerka w moją stronę.

Z dumnie uniesioną głową i wzrokiem wbitym w telewizor siadam na drugiej kanapie. Mimo to nie jestem w stanie się odprężyć. Cały się trzęsę; strach ścina mi krew w żyłach.

– Co ty tu robisz? – pyta ojciec kilka minut później. Wśród zgiełku gry jego głos wydaje się względnie cichy. Powoli upija łyk piwa i mrużąc oczy, patrzy na mnie znad butelki.

– Oglądam mecz – mówię. Próbuję panować nad głosem. Zerkam na niego, po czym skupiam się na telewizorze. *Nie ustępuj*, powtarzam sobie w duchu. Choć raz, ten jeden jedyny raz chcę się bronić. Zasługuję na to, żeby obejrzeć mecz.

Słyszę, jak tata wzdycha i kątem oka widzę, że wstaje z kanapy, by usiąść obok mnie. Trąca kolaniem moje kolano, nachyla się w moją stronę i syczy mi do ucha:



– Miałeś się uczyć.

– Uczyłem się – mówię. Nie lubię, jak siedzi tak blisko. Czuję na twarzy jego oddech i toczę wewnętrzną walkę, żeby pozostać na miejscu. Jeśli się ruszę, to znaczy, że jestem słaby. Jeśli ustąpię, to znaczy, że jestem słaby. Jeśli pozwolę mu mówić mi, co mam robić, to znaczy, że jestem słaby. – Dlaczego oni mogą oglądać mecz, a ja nie? – Mówiąc to, wskazuję głową Jamiego i Chase'a, wpatrzonych w telewizor. Mówimy cicho, żeby nas nie słyszeli.

– Bo tak – odpowiada tata. Szturcha mnie łokciem. – Wracaj na górę.

– Nie. Będę oglądał z wami mecz. Mama mi kazała – odgryzam się. Nagły zastrzyk adrenaliny sprawia, że zaczynam dygotać. Nigdy dotąd nie odzywałem się do ojca z taką determinacją. Z jednej strony sprawia mi to przyjemność, a z drugiej mnie przeraża.

Moja odwaga przeradza się w strach. Ojciec zgrzyta zębami i wolną ręką chwyta mnie za koszulkę. Zrywa się z kanapy, szarpnięciem stawia mnie na nogi i z całej siły pcha mnie w stronę drzwi. Patrzę na Jamiego i Chase'a, ale są tak zajęci meczem, że niczego nie zauważyli. Tata mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, jak gdyby rzucał mi wyzwanie i siada obok Chase'a. Upija kolejny łyk piwa, a ja daję za wygraną i wychodzę z pokoju.

Z uczuciem totalnej porażki wracam na górę. Mama zdążyła już wyjść i nikt mnie nie pyta, dlaczego wróciłem. Zamykam drzwi i zrezygnowany siadam pod ścianą. Dlaczego nie pozwolił mi obejrzeć głupiego meczu? Odrobiłem już pracę domową. Nie zasłużyłem na przerwę?

Sięgam po pierwszą lepszą rzecz, którą mam pod ręką – mój szkolny plecak i ciskam nim w drugi kąt pokoju. Z głuchym plaśnięciem uderza w ścianę. Dla mnie to jednak za mało; ze złości kopię krzesło, które się przewraca. Niemal od razu je podnoszę, bo mam wyrzuty sumienia.

– Tyler. – Wzdrygam się na dźwięk głosu ojca, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w drzwiach. Wiedziałem, że nie puści mi płazem tego, że mu odpyskowałem. Z piwem w ręce przyszedł za mną na górę. Wchodzi do mojego pokoju i powoli zamyka za sobą drzwi, a ja wiem już, że to będzie kolejna kiepska noc.

Stoję bez ruchu na środku pokoju i próbuję się skupić na czymś innym, popaść w odrętwienie, tak bym nie musiał pamiętać następnych kilku minut. Widzę, że idzie w moją stronę i żołądek podchodzi mi do gardła. Mrużę oczy, gotowy w każdej chwili zacisnąć powieki, ale on mija mnie i siada na krześle przy biurku. Otwieram oczy i patrzę, jak stawia na nim niemal pustą butelkę i smętnie zwiesza głowę.

– Przepraszam, Tyler – mówi. Głos ma łagodny i patrzy na mnie skruszonym wzrokiem, ale i tak mu nie ufam. Wierzę, że czuje się winny, ale nie wierzę w jego przeprosiny. Patrzy na mnie spod gęstych ciemnych rzęs. – Posłuchaj, miałem ci nie mówić, bo chciałem, żeby to była niespodzianka, ale kupiłem dla nas bilety na mecz z Chargersami w przyszłym miesiącu – mówi i uśmiecha się przepraszająco. – Jedziemy do San Francisco, kolego. Tylko ty i ja. Hugh bez przerwy zabiera tam Deana. Pojedziemy z nimi. Co ty na to? – Uśmiecha się nieco szerzej, aż w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki. Oto prawdziwy tata. Taki właśnie jest w głębi duszy. Takiego go kochałem.

– Naprawdę? – pytam i otwieram szeroko oczy. Nigdy wcześniej nie zabierał mnie na mecze futbolu, ale wie, że zawsze chciałem pojechać. – Pojedziemy na mecz?

– Pomyślałem, że się ucieszysz – mówi i chociaż raz wygląda na szczerze zakłopotanego. Patrzy na butelkę i wodzi palcem po obrzeżu szyjki. W milczeniu przebiega wzrokiem leżące na biurku notatki, po czym ściąga brwi. – Przepraszam, Tyler – powtarza i spogląda na mnie. – Dość się dziś napracowałeś. Chodź, pójdziemy na dół i obejrzymy mecz. – Uśmiecha się tym samym szczerym, szerokim uśmiechem co dawniej.



## DZIŚ

Rano szyję mam całkiem sztywną. Idąc po schodach, kręcę głową, aż słyszę chrupnięcie. Nie dość, że spałem na podłodze, to jeszcze zasnąłem na siedząco. *Na siedząco*. Teraz cierpię, ale idę z Deanem na siłownię i mam nadzieję, że po treningu uczucie sztywności zniknie. Dean się spóźnia, dlatego idę do kuchni napić się wody. Ignoruję Dave'a, z którym mijam się na korytarzu, i widzę Eden. Zamyka zmywarkę.

– Dzień dobry – mówię, podchodząc do niej.

Prostuje się i odwraca, a zaraz potem marszczy nos i patrzy na mnie z tą samą odrazą co zawsze.

– Fuj.

– Powinnaś odpowiedzieć „dzień dobry” – upominam ją i w drodze do lodówki celowo trącam ją łokciem. Otwieram drzwiczki i zaglądam do środka.

– Przez ciebie nie mogłam zasnąć – oświadcza Eden.

Zerkam na nią, nie bardzo wiedząc, o czym mówi.

– Że co? – bąkam.

– Przez to pukanie. – Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

A, o to chodzi. Czyli słyszała? Dlaczego nie odpukała?

– Nie pukałem – kłamię i śmieję się. – Ojciec nie wspominał ci, że dom jest nawiedzony? Tu wszędzie są demony.

– Zamknij się – rzuca, ale słyszę, że ma ochotę się roześmiać. – Nie mogłeś spać czy co?

– Niezupełnie. – Biorę butelkę wody i odwracam się. Zamykam drzwi lodówki, robię krok do przodu, krzyżuję ramiona na piersi i wymownie unoszę brew. – Miałem nadzieję, że się obudzisz i odpukasz.

– Przepraszam. Nie byłem w nastroju na komunikowanie się z tobą przez ścianę o czwartej nad ranem – mówi z kamienną twarzą. Jej wzrok prześlizguje się po całym moim ciele.

– Auć – rzucam i patrzę na nią, czekając, aż spojrzy mi w oczy. – A dziś wieczorem?

– pytam bardziej z ciekawości niż po to, żeby ją rozbawić.

Powoli spuszcza wzrok i zatrzymuje spojrzenie na mojej piersi.

– Co dziś wieczorem?

– Odpukasz? – Przechyliłam głowę i jeszcze wyżej unoszę brew.

– Nie, Tyler – mówi powoli i patrzy mi prosto w oczy. – To całe pukanie w ściany jest jakieś dziwne.

– Cholera – mruczę i zerkam na zegarek. Już mam zamiar przekląć Deana za to, że się spóźnia, ale słyszę, jak wita się z mamą w korytarzu.

Kilka sekund później wchodzi do kuchni, obracając na palcu wskazującym kluczyki od samochodu.

– Gotowy?

– Stary, miałeś tu być dwadzieścia minut temu – warczę na niego. Po dziesiątej na siłowni robi się prawdziwy tłok. A właśnie minęła dziesiąta.

– Tak, wiem – rzuca Dean przepraszająco. – Musiałem zatankować.

Zerkam na Eden i uświadamiam sobie, że znowu to robię. Przestaję grać. A w obecności

Deana nie mogę sobie na to pozwolić. Dlatego rzucam wściekle:

– Przez ciebie musiałem znosić towarzystwo tej pieprzonej luzerki. Dobra, spadamy.  
– Czuję się jak dupek, ale Tyler Bruce to dupek. Tyler Bruce to palant. Wygląda na to, że ani Eden, ani Dean nie są zachwyceni moim popisem. Oboje patrzą na mnie w milczeniu. Eden ściąga brwi, a Dean kręci głową z dezaprobatą. – Dajcie spokój – dodaję pospiesznie. – To taka rywalizacja między rodzeństwem, nie, Eden? – Słowo „rodzeństwo” zostawia na moim języku dziwny posmak.

– Nie jesteśmy rodzeństwem – zauważa Eden.

– Dzięki Bogu – odcinam się. Cieszę się, że się ze mną zgadza, bo nie wiem, czy tylko ja nie potrafię myśleć o niej w ten sposób. Nie umiem patrzeć na nią tak, jak patrzę na Jamiego czy Chase’a. Z nią jest inaczej. Jest... jest dla mnie zwykłą dziewczyną. A do tego całkiem ładną.

Eden wyslizguje się tylnymi drzwiami do ogrodu i po chwili tracę ją z oczu.

– Stary – mówi Dean. Stoi oparty o blat i powoli kręci głową. – Czemu tak się do niej odzywasz?

– Do wszystkich tak się odzywam – bronię się. Odkręcam butelkę i unikając jego wzroku, wypijam łyk wody. Wiem, że nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem, ale Tyler Bruce jest bezwzględny.

– Tak, ale... daj spokój. – Dean jest prawdopodobnie drugą osobą, zaraz po Eden, która potrafi wytknąć mi wszystkie moje wady. Wielokrotnie kazał mi usiąść z nim i pytał, czy wszystko ze mną w porządku. Zawsze kłamałem i mówiłem, że tak, że wszystko w porządku; w końcu jestem Tyler Bruce, gość, który spotyka się z fajną laską i wozi się super bryką. – Jest fajna.

– Skąd wiesz? – pytam odrobinę zbyt agresywnie. Nie chcę być palantem w stosunku do Deana, ale nie mogę się powstrzymać. Skąd niby wie, że Eden jest fajna? Nawet jej nie zna. Ja zresztą też, ale ja przynajmniej spędziłem z nią trochę czasu.

– W zeszły weekend odwiozłem ją do domu. Po tym, jak zachowałeś się jak kutas i wystawiłeś ją na imprezie Austina – przypomina mi. Wbija ręce w przednią kieszeń bluzy. – A w sobotę wieczorem poszliśmy na koncert La Breve Vita. Po tym, jak zabrałeś ją na imprezę u Declana. Stary, poważnie? Jake musiał po nią jechać.

– Taa, zdążyłem zauważyć – mruczę. Nie miałem pojęcia, że Eden była z nimi na jakimś koncercie, ale wiem, że koniec końców spędziła tę noc z Jakiem. – Rano odstawił ją do domu.

Dean patrzy na mnie zdumiony.

– Wow! Poważnie? – Odwraca wzrok i przez chwilę patrzy przez otwarte drzwi na patio.  
– Cholera, wiedziałem, że wyszła z nim po koncercie, ale... nie miałem pojęcia, że zostanie u niego na noc. Wygląda na to, że już zastawił na nią sidła – dodaje nieco ciszej. – Nieważne. Dobra, chodźmy.

\* \* \*

Serce bije mi odrobinę za szybko, oczy patrzą to tu, to tam, niezdolne skupić się na czymś konkretnym. Wiercę się na fotelu i wodzę palcami po kierownicy. Mam w schowku pół kilo zioła.

Czemu jakaś panna chciała się spotkać akurat na przeklętym molo? Jak na środowe popołudnie strasznie tu tłoczno, a ja zaparkowałem na głównym parkingu, gdzie kręci się całe mnóstwo ludzi. Czekam na kogoś, ale im dłużej tu siedzę, tym bardziej podejrzanie wyglądam, a przynajmniej takie mam wrażenie. Pomagam Declanowi od kilku dni, ale do tej pory nie byłem taki zdenerwowany. Pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie czekałem na klienta w najbardziej ruchliwym miejscu w całym pieprzonym mieście.

Telefon wibruje mi na kolanach. Wzdrygam się. Mam nadzieję, że to Stacey, dziewczyna, z którą mam się spotkać, ale nie, to Tiffani. Wysłała mi zdjęcie swoich paznokci, wymanikiurowanych i pomalowanych błyszczącym niebieskim lakierem. Pewnie po to, żeby pasowały jej do koloru oczu albo coś.

*Właśnie wysłałam od kosmetyczki. I co myślisz???*

Paznokcie Tiffani są ostre i kiedy drapie mnie po plecach, zostawiają ślady; nie, nie podobają mi się. Ale gdybym powiedział jej prawdę, prosiłbym się o awanturę, zamiast tego piszę więc: *Wyglądają fajnie. Dobrze się bawisz z dziewczynami?* Wolę jej nie prowokować.

*Tak, omawialiśmy imprezę urodzinową Meghan. Urządzimy ją w sobotę u Rachael, więc niczego nie planuj,* pisze. Przysłała kolejną wiadomość i tym razem mam zamiar jej odpisać. *Tylko ani słowa Declanowi Portwoodowi ani nikomu z jego paczki. To kretyni i nie chcemy ich widzieć u Rachael.*

Skubię zębami dolną wargę. Gdyby tylko wiedziała, że jestem jednym z tych kretynów i właśnie w tej chwili pracuję dla Declana. Obiecałem jej, że tego nie zrobię, ale jestem tu i muszę uważać jak nigdy. Gdyby się dowiedziała... Wolę nie wyobrażać sobie jej reakcji. *Jasne,* odpisuję i dorzucam uśmiechniętą emotkę.

– Hej – odzywa się ktoś zza opuszczonej szyby. Obracam głowę i widzę dziewczynę, która zagląda do samochodu. Włosy opadają jej na twarz. Serce wali mi jak szalone. – Tyler, tak? – Uśmiecha się, dyskretnie rozwiera zaciśniętą dłoń i na fotelu pasażera ląduje piętnaście dolców. A więc to jest Stacey.

– Sięgnij niżej – mruczę, ale gardło mam wyschnięte na wiór. Wszędzie dokoła nas kręcą się ludzie. Jesteśmy osaczeni.

Stacey pochyła się jeszcze bardziej, przez chwilę rozgląda się po wnętrzu samochodu, aż w końcu zatrzymuje wzrok na malutkim plastikowym woreczku w schowku na drzwiach od strony pasażera. Sięga po niego i chowa go w przedniej kieszeni džinsów.

– Dzięki – rzuca. – Do zobaczenia. – I jak gdyby nigdy nic odwraca się i odchodzi, a zaraz potem znika w tłumie na promenadzie.

Przygarbiam się i oddycham z ulgą. Serce wciąż wali mi jak młotem. Jeszcze przez chwilę siedzę bez ruchu i oddycham głęboko, aż czuję, że zaczynam się uspokajać. Jak Kaleb radzi sobie z tym każdego dnia? Ja zacząłem ledwie trzy dni temu i już zaczynam popadać w paranoję.

Nagle ktoś puka w szybę, tuż przy moim uchu. Podskakuję jak oparzony i podnoszę wzrok, spodziewając się, że to Stacey wróciła po więcej towaru, ale to coś gorszego niż lubiąca sobie zapalić panienska z college'u. To gliniarz.

Z rękami na biodrach, okularami przeciwsłonecznymi na nosie i odznaką błyszczącą w słońcu gapi się na mnie przez szybę. *Widział,* przebiega mi przez myśl. *Ma mnie, kurwa, na widelcu. Wie, co się kroi.*

Serce chce wyskoczyć mi z piersi, oddech więźnie mi w gardle. Ze ściśniętym żołądkiem opuszczam szybę, beznamietnym wzrokiem patrzę na gliniarza i modlę się w duchu, żeby nie wyczuł mojego strachu.

– Fajna bryka – zauważa, z aprobatą kiwając głową. – Który rocznik?

Że co? Marszczę brwi i przez chwilę zastanawiam się, czy facet robi sobie jaja. W końcu z trudem przełykam ślinę i zmuszam się do odpowiedzi.

– Dwa tysiące siódmy. – Poważnie pyta mnie o samochód, a nie o pół kilo trawy w schowku na rękawiczki?

– Fajna – powtarza. Robi krok w tył, przekrzywia głowę i patrzy na felgi. Siedzę i czuję, jak wali mi serce. Chwilę później znowu podchodzi, kładzie rękę na drzwiach i pochyła się, żeby

na mnie spojrzeć. – Wyglądasz znajomo – mówi. Podnosi okulary na rzednące włosy, a ja mam wrażenie, że zaraz zejdę na zawał.

Poznaję go; wystarczy rzut oka na odznakę i wszystko staje się jasne. Posterunkowy Gonzalez. Spotkaliśmy się już wcześniej, jak byłem młodszy. Kilka lat temu. Niejeden raz. Przyjechał tamtej nocy, gdy tata... Kiedy to wszystko się skończyło.

– Nie sądzę – bąkam pospiesznie i wbijam wzrok w kierownicę. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Nie chcę, żeby przypomniał sobie, kim jestem. Nie chcę, żeby przypomniał sobie, skąd mnie zna.

– Ależ tak – upiera się posterunkowy Gonzalez. Nachyla się jeszcze niżej, jak gdyby analizował rysy mojej twarzy. – Jesteś synem Elli Grayson, prawda?

Podnoszę na niego wzrok. Poważnie mnie rozpoznał?

– Już nie Grayson – mrużę. Nie ma sensu zaprzeczać. Zwłaszcza że już mnie skojarzył. – Ale tak, to ja, Tyler.

– No właśnie! – mówi z wyraźną ulgą. Zaraz potem prostuje się i wpatruje się we mnie przez chwilę. Twarz mu tężeje, a zmarszczki na czole pogłębiają się, gdy patrzy na mnie, mrużąc oczy. Widzę w nich współczucie. Pieprzone *współczucie*. – Jak sobie radzisz? Dobrze? – pyta ze spokojem.

– Tak, wszystko w porządku – rzucam zdawkowo i wbijam wzrok w kierownicę. Czuję się niezręcznie i nerwowo skubię dziurę na kolanie dżinsów.

– Miło mi to słyszeć – mówi, ale ja nawet na niego nie patrzę, a już na pewno nie mam zamiaru odpowiadać. Po prostu gapię się na kierownicę i czuję, jak wali mi serce. – Uważaj na siebie, Tyler – dodaje Gonzalez. Po tych słowach poklepuje drzwi samochodu i odchodzi.

W końcu nieznacznie podnoszę głowę i patrzę, jak patrolując okolice moło, idzie w stronę promenady. Zawsze lubiłem posterunkowego Gonzaleza. Był dla mnie miły, i wciąż jest. Jestem mu wdzięczny, że nie zadawał zbyt wielu pytań. Nie lubię ich, zwłaszcza gdy ktoś mnie wypytuje, czy wszystko u mnie w porządku. Bo nie, nic nie jest w porządku.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Tata znów jest zły.

Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, ale wiem, że to wszystko moja wina. Nie wścieka się na Jamiego. Ani na Chase'a. Nie wścieka się na mamę. A to znaczy, że z tatą wszystko jest w porządku; to ze mną coś jest nie tak. To ja byłem nieplanowanym dzieckiem. Dzieckiem, przez które musiał zmienić całe swoje życie. Dla którego wypruwa sobie żyły. To przeze mnie stał się potworem.

To jeden z najgorszych wieczorów. Jestem otępiały, błędę myślami gdzieś indziej i modłę się, żeby to się skończyło. Mama wyszła z przyjaciółkami. Raz w miesiącu umawiają się na drinka. W ciemnościach mam przed oczami jej roześmianą twarz. Podoba mi się jej uśmiech. Jest jasny i zaraźliwy. Chciałbym, żeby była tu teraz, żeby mogła mi pomóc, ale nie chcę, żeby przestała się uśmiechać.

Myślę, że tacie znów coś nie poszło w pracy. Nie wiem, co dokładnie, ale uczyłem się, tak jak tego chciał. Kończyłem odrabiać pracę domową, a on pracował na dole przy kuchennym stole, przerzucając papiery i raz za razem przeczesując włosy palcami. Powinienem był skończyć pracę domową, zanim zszedłem po coś do picia. Ale nie skończyłem. Zostało mi tylko jedno zadanie. Rozwiązałem je w minutę.

Ojciec wrzeszczy i przeklina po angielsku i hiszpańsku. Jego zielone oczy ciskają gromy, dlatego zaciskam powieki. Dla niego jestem lekki jak piórko. Ciska mną przez kuchnię; upadając, przewracam jedno z krzeseł. Upadłem na nadgarstek. Krótki gwałtowny ból przeszył mi ramię. Ale to nic. Nie jest złamany. Przy złamaniu ból jest większy.

Szarpięciem podnosi mnie z podłogi. Jestem posiniaczony i obolały. Kłykcie ma twarde jak skała. Czuję je, kiedy uderzają mnie w szczękę. Wrzeszczy na mnie, ale nie jestem w stanie zrozumieć słów. Krzywię się, a on chwytą mnie z całej siły. Popycha mnie gwałtownie, aż uderzam czołem o kant kuchennego stołu i osuwam się na podłogę. Czuję na skórze ciepłą lepkość krwi, która spływa ze świeżego rozcięcia. Podnoszę rękę i muskam ją czubkami palców. Nadal nie mogę otworzyć oczu. Czekam, aż znowu mnie chwyci i ryknie na mnie tym schrypniętym głosem.

Ale słyszę tylko brzęk tłuczonego szkła. Kolejne przekleństwa. Jęk. Głęboki oddech. I kroki, które – chociaż raz – nie zbliżają się. Znikają w korytarzu, poprzedzone trzaśnięciem kuchennych drzwi.

Oddech mam szybki i płytki. Powoli otwieram wilgotne oczy. Kuchnia wygląda jak pobożowisko. Papiery ojca walają się po podłodze; niektóre są podarte. Trzy krzesła leżą przewrócone. Tuż przede mną leżą okruchy szkła.

Odsuwam się od szkła i odczołguję się w tył, aż natrafiam plecami na ścianę. Podciągam kolana pod brodę; nadgarstek pulsuje bólem, otarte czoło piecze, a sińce zaczynają nabierać koloru. Moim ciałem wstrząsa niekontrolowany dreszcz i kryjąc twarz w dłoniach, wybucham płaczem.







## DZIŚ

Wreszcie przychodzi sobota. Oddycham z ulgą. Przez cały tydzień byłem kłębkim nerwów i dziś nie zamierzam pracować dla Declana. Potrzebuję przerwy; muszę odpocząć, oczyścić umysł i zastanowić się, co ja właściwie robię. Nawet lepiej, że Tiffani nie chce nigdzie wychodzić. Najwyraźniej czeka na telefon od Rachael, żeby jej pomóc przygotować wieczorną imprezę. Nie jestem w nastroju na imprezy, ale ta ma być dość kameralna. Przynajmniej Rachael ma taką nadzieję.

Minęła trzynasta, a ja siedzę w dresach przy kuchennym stole i powoli jem kanapkę z awokado, sałatą i pomidorem. Nie jestem głodny i męcę się z nią od dobrych dwudziestu minut. Nie chciało mi się nawet włączyć telewizora. Bezmyślnie gapię się w przeszklone drzwi na patio i widoczny za nimi ogród.

Wiem już, że to będzie jeden z *tych* dni. Już teraz czuję się kiepsko, chociaż nie mam powodu. Przejdzie mi. W końcu. Przez kilka godzin będę się snuł z kąta w kąt i dumał nad sensem swojego istnienia, a wieczorem będę się śmiał i żartował, jakbym był najszczęśliwszą osobą na imprezie.

Wypuszczam wstrzymywany oddech, gapię się w talerz i po chwili odsuwam go od siebie. Nie lubię być sam; nie teraz, kiedy jestem w takim nastroju.

– Nie jesteś głodny? – pyta mama, wchodząc do kuchni. Jak zawsze wita mnie ciepłym uśmiechem i naprawdę się cieszę, że tu jest.

– Nie bardzo – mruczę i wzruszam ramionami. Opieram łokieć na stole i z brodą wspartą na dłoni obserwuję, jak sprząta mój talerz.

– Wieczorem zabieramy twoich braci na mecz Dodgersów – mówi przez ramię. Wyrzuca resztki kanapki do kosza i wkłada talerz do zmywarki. Odwraca się w moją stronę i, oparta o blat, uśmiecha się do mnie wymownie. – Dokądkolwiek się dziś wybierasz, uważaj na siebie. I nie rób żadnych głupstw – upomina mnie surowo. Dobrze wiem, co ma na myśli. Żadnego picia, palenia czy nocowania poza domem.

Krzywię się i wbijam wzrok w ogród. Dzień jest słoneczny, promienie słońca odbijają się w sadzawce, ale nie mam trudności ze skupieniem się na niej. Nie chcę jej dziś rozczarować, choć wiem, że tak będzie.

– Tyler. – Jej ton nagle się zmienia. Ociężała siada obok mnie, na jej twarzy maluje się niepokój. Nie lubię, gdy tak na mnie patrzy. Serce zaczyna mi bić nieco szybciej i spoglądam na nią. – Znalazłam coś wczoraj – mówi łamiącym się głosem. Wyciąga coś z kieszeni i kładzie przede mną. Z jej niebieskich oczu wyziera smutek. Jedną rękę przykłada do piersi, drugą kładzie mi na plecach. – Musieliśmy je przeoczyć.

Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze. Widząc, że zachęcająco kiwa głową, patrzę na przedmiot, który położyła przede mną na stole. To zdjęcie. Fotografia z zamierzchłych czasów. Jestem na niej z ojcem. Ze ściśniętym gardłem wgapiam się w zdjęcie, podczas gdy mama głaszcze mnie po plecach. Milczy, dając mi czas, bym oswoił się z tym, co

widzę.

Na fotografii stoimy na promenadzie. Wieczór maluje na niebie niebiesko-różowe smugi, a słońce stacza się za ocean za naszymi plecami. Jestem mały, mam sześć, może siedem lat i kurczowo czepiam się ojcowskiego ramienia. Tata też jest młody i gdy patrzę na niego, na jego promienny uśmiech i pełne ciepła zielone oczy, uświadamiam sobie, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Im jestem starszy, tym wyraźniej to widzę. Mamy identyczne oczy. Tę samą opaloną skórę. Ciemne włosy i gęste brwi. I tę samą przeklętą szczękę.

Wtedy obaj byliśmy szczęśliwi. To były czasy sprzed złych dni. Wciąż pamiętam, kiedy tata uderzył mnie pierwszy raz. Miałem osiem lat i byłem zdezorientowany. Powiedział wtedy, że to się nigdy więcej nie powtórzy, a ja mu uwierzyłem.

Nie zdaję sobie sprawy, że zaciskam pięści, dopóki mama nie nakrywa mojej ręki swoją. Wodzi kciukiem po mojej skórze, aż powoli rozluźniam palce. Nie lubi, jak się wściekam, ale wie, że czasami nie jestem w stanie nad tym zapanować. Kolejna rzecz, która upodabnia mnie do ojca: wybuchowy charakter.

– Zrób to, dzięki czemu poczujesz się lepiej – szepcze. Wsuwa mi coś w dłoń i zaciska moje palce. Spoglądam na nią, bardziej posępny niż zły, a ona uśmiecha się do mnie ze smutkiem. Wstaje, kładzie mi rękę na ramieniu, całuje mnie w skroń i odchodzi, dając mi przestrzeń, której tak bardzo potrzebuję.

Spuszczam wzrok i rozwieram palce. W dłoni mam zapalniczkę.

Gdy miałem piętnaście lat i od trzech lat zmagalem się z napadami złości, szukałem dla nich ujścia, czegoś lepszego niż zwykły haj. Chciałem wymazać wszystkie wspomnienia o ojcu, nawet te pozytywne. Chciałem na dobre wyrzucić go ze swojego życia. Mama była gotowa zrobić wszystko, żebym tylko poczuł się lepiej. Nadal tak jest. Dlatego poszliśmy razem na strych i wyciągnęliśmy wszystkie albumy ze zdjęciami. Z ciężkim sercem pozwoliła mi rozpaść ognisko za domem i spalić wszystkie zdjęcia, na których byłem razem z ojcem. Poczulem się wtedy lepiej, ale to nie wystarczyło. Wciąż myślę o nim każdego dnia.

Wstaję od stołu i sięgam po fotografię. Z zapalniczką w dłoni wychodzę z domu, w piękny, ciepły dzień. Czuję na skórze delikatny orzeźwiający wiatr. Siadam na trawie na skraju sadzawki, podciągam kolana pod brodę i chwytam zdjęcie czubkami palców.

Jeszcze raz patrzę na swój uśmiech, a zaraz potem na uśmiech taty, i myślę: *pieprzyć go*. Pieprzyć go za to, że zrujnował mi życie.

Przytykam zapalniczkę do rogu zdjęcia, zapalam ją i patrzę, jak płomień liże papier. W mgnieniu oka pochłania najpierw mnie, a później tatę. Jego twarz zmienia się w popiół. Wrzucam zdjęcie do sadzawki i czuję ulgę, widząc, jak się rozpada.

Chciałbym, żeby tak samo było z bólem.

\* \* \*

Nastrój mam jeszcze gorszy niż rano. Żaden ze znajomych Declana nie został zaproszony na imprezę do Rachael i gdyby Rachael wiedziała, że dla niego pracuję, też nie miałbym tam wstępu. To wkurzające, bo dziś wyjątkowo chce mi się palić i jeśli na imprezie nie będzie towaru, będę go musiał skądś skołować. Dlatego kilka godzin przed wyjściem do Rachael umawiam się z Declanem.

Minęła siódma i mam cały dom dla siebie. Jest jeszcze za wcześnie, żeby się szykować. Gdy wychodzę z pokoju i zamierzam zejść na dół, widzę Eden, która wchodzi po schodach z przewieszoną przez ramię sukienką.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami – informuję ją z kretyńskim uśmiechem. Tyler Bruce zawsze jest w świetnym nastroju. Nie ma na głowie żadnych zmartwień. – Pojechali na

mecz Dodgersów. Anioły przegrają jak nic – dodają na wypadek, gdyby się zastanawiała, gdzie są nasi rodzice. Znowu się na nas wypięli, ale co tam. I tak bym z nimi nie pojechał.

– Wiem – rzuca Eden i patrzy na mnie spokojnie. Nie uśmiecha się, czyli nadal nie cieszy się na mój widok, chociaż ostatnio się nie widywaliśmy. Przychodzimy i wychodzimy o różnych porach. – Możesz się przesunąć?

– Jasne – rzucam i odsuwam się na bok, żeby ją przepuścić. Nie mam siły ani ochoty zachowywać się jak dupek, pewnie dlatego, że prawdziwy ja czuje się beznadziejnie. Jestem zbyt zmęczony, żeby odgrywać przedstawienie. Eden mija mnie, ale przed wejściem do pokoju zatrzymuje się i ogląda się na mnie przez ramię. – Co? – pytam.

– Idziesz dzisiaj do Rachael, tak? – pyta z ciekawością

– Taa. – Czemu pyta? Może chce, żebym poszedł. A może nie? Na pewno liczyła, że odpowiem „nie”. Ale to nie znaczy, że sam nie jestem ciekaw. Zastanawiam się, czy też tam będzie. – Ty chyba też idziesz?

– Tak.

– Fajnie – rzucam nonszalancko. Cieszę się, że idzie, mimo tego, co wydarzyło się na ostatniej imprezie. Zaczęła zadawać pytania, a ja się wściekłem i rzuciłem o ścianę puszką z piwem. Ale przynajmniej jej zależało. Tak myślę. A jeśli rzeczywiście jej zależy, to bardziej niż innym. – O której wychodzimy?

– Jak to „my”? – pyta i przewraca oczami. Odwraca się i otwiera drzwi do pokoju. – Przejdę na drugą stronę ulicy sama. Bez ciebie. Ty możesz przyjść, o której będziesz chciał – warczy.

– Wyluzuj – mrużę pod nosem. Czemu taka jest? Nawet nie zachowuję się jak kretyn, a ona dalej mnie nienawidzi. Sam nie wiem, co o tym myśleć, bo czasami, kiedy za wszelką cenę próbuje mnie rozgryźć, mam wrażenie, że naprawdę ją interesuje, co mam do powiedzenia.

Zaraz. Przecież nie tego chcę. Przecież zależy mi na tym, żeby mnie nienawidziła. Musi zachować dystans.

Widząc, że wchodzi do pokoju, pospiesznie kręcę głową i schodzę do salonu. Rozsiadam się na kanapie, włączam telewizor i ucinam sobie półgodzinną drzemkę, podczas gdy na górze Eden szykuje się do wyjścia. Rano nie wziąłem tabletek i dlatego przez cały dzień snuję się z kąta w kąt. Najchętniej odpuściłbym sobie tę imprezę, ale Tyler Bruce bywa na wszystkich melanżach, zwłaszcza tych organizowanych przez przyjaciół. O ósmej trzydzieści zwlekam się z kanapy i idę pod prysznic. Jeśli mam przetrwać ten wieczór, będę musiał się sztachnąć.

Po prysznicu wcieram we włosy żel, wkładam dzinsy oraz czarną skórzaną kurtkę i spryskuję się wodą kolońską. Wypiłbym przed wyjściem piwo albo dwa, ale ponieważ najpierw muszę jechać do Declana, na razie się wstrzymuję. *Możemy się spotkać?*, piszę do niego, a minutę później dostaję odpowiedź – dwa uniesione kciuki i mrugającą emotkę.

Biorę kluczyki od samochodu, wsuwam telefon do kieszeni kurtki, gaszę światła w pokoju i otwieram drzwi. Ja i Eden wychodzimy na korytarz dokładnie w tej samej chwili i kolejny raz stajemy naprzeciwko siebie.

– Wychodzę – oświadcza niechętnie i tłumi westchnienie. – Idziesz ze mną? – pyta, ściągawszy brwi, chociaż wcześniej oświadczyła, że nie zamierza iść razem.

Nie mogę przestać się na nią gapić. Znowu wygląda inaczej, prawie tak jak na imprezie u Austina, tylko lepiej. Ciemne włosy falami opadają jej na plecy, a oczy mienia się srebrem pod długimi i gęstymi rzęsami oraz ciemnymi brwiami. Mierzę ją wzrokiem od stóp do głów. Jest niska, ale szpilki sprawiają, że jej nogi wydają się dłuższe, i tym razem ma na sobie sukienkę, która jest dla niej odpowiednia. Brzoskwiniową, dopasowaną, ale niezbyt obcisłą. Przez chwilę zatrzymuję wzrok na dekolcie widocznym w wycięciu w kształcie łezki.

– Właściwie to muszę gdzieś skoczyć – bąkam. Nagle mam sucho w ustach.

Eden spuszcza wzrok i splata ręce na piersi, jakby wiedziała, że się jej przyglądam. Chwilę później patrzy na mnie i pyta:

– Gdzie?

– Po prostu gdzieś. – Cholera, mam nadzieję, że nie zaczniesz mnie znowu przesłuchiwać. Nie chcę się na nią wściekać. Nie chcę znowu widzieć strachu w jej oczach, nawet przez krótką chwilę. – Idź – mówię i proszę w duchu, by chociaż raz, ten jeden jedyny raz mnie posłuchała. – Przyjdę za dwadzieścia minut.

– Ale dokąd idziesz?

No to się zaczyna. Znowu będzie zadawała pytania, aż na nią naskoczę. Tym razem nie zamierzam dać się sprowokować. Patrzy na mnie zza firanki tych długich czarnych rzęs, a ja wiem, że autentycznie się martwi. Jej pociągnięte błyszczkiem różowe usta są delikatnie rozchylone, gdy czeka na moją odpowiedź.

– Do diabła, Eden. – Macham ręką, odwracam się i idę z powrotem do pokoju, ale ona, oczywiście, idzie za mną. Jest kurewsko uparta.

– Dlaczego się wściekasz? – W ciemności słyszę jej spokojny głos. Kiedy na nią patrzę, widzę wpatrzony we mnie jej błyszczące oczy. Powoli nabiera ostrości. – Zapytałam tylko, dokąd idziesz.

– Muszę się z kimś spotkać, jasne?! – rzucam podniesionym tonem. Czuję, jak ogarnia mnie złość, szybciej niż zwykle, i mam wrażenie, że zaraz wybuchnę. Musi przestać. – Muszę coś odebrać, a ty dasz mi w końcu święty spokój. – Czuję, że muszę zapalić.

Eden milknie. Obserwuję jej twarz: jest niczym białe płótno, na którym powoli maluje się rozczarowanie.

– Spotykasz się z Declanem – mówi w ciemnościach. Nie pyta, stwierdza. – On nie przychodzi do Rachael na imprezę, więc idziesz do niego. Tak? – mówi powoli ściszym głosem.

Zamykam oczy i oddycham głęboko. Wie. Wie, do cholery, a to znaczy, że będzie próbowała mnie zatrzymać. Podoba mi się to, że jej zależy, że rzuca mi wyzwanie, ale teraz to ostatnie, czego mi trzeba. Jestem zdesperowany.

– Po prostu idź już na tę pieprzoną imprezę – syczę i otwieram oczy.

– Nie! – rzuca podniesionym głosem. Na jej twarzy maluje się determinacja i robi krok w moją stronę. – Nie wypuszczę cię, żebyś mógł się z nim spotkać.

– Eden. – Stanowczo wymawiam jej imię. Ja również robię krok w jej stronę, zmniejszając dzielącą nas odległość. Pochylam się nad nią, tak że niemal stykamy się twarzami i zaglądam jej w oczy. Staram się, by wyczytała z mojej twarzy całą złość, którą w tej chwili czuję. – Nie możesz nic zrobić.

– Masz rację – stwierdza głosem, w którym pobrzmiewa gniew i irytacja. Kręci głową, a w jej orzechowych oczach widzę wszystko to, czego nienawidzę. Rozczarowanie, niepokój, dezaprobatę, a przede wszystkim współczucie. Współczuje mi i jest to najgorsze uczucie na świecie. – Nie mogę nic zrobić, bo TY masz to gdzieś. Masz gdzieś to, że martwię się, że przedawkujesz albo dostaniesz zapaści i umrzesz. Nie obchodzi cię to, że masz siedemnaście lat i jesteś uzależniony od kokainy. Masz to gdzieś, prawda? – Urywa na chwilę, ale nic nie mówię, bo i tak zna odpowiedź i wie, że ma rację. – Interesuje cię tylko to, żeby dobrze wyglądać na imprezach i imponować ludziom tym swoim wizerunkiem twardziela. To ŻAŁOSNE.

I znowu to słowo. Ale to prawda. *Jestem* żaloszny. Ma rację, ale nie we wszystkim. Nie próbuję nikomu zaimponować. Staram się tylko przetrwać, rozprawić się ze swoimi demonami.

– Nie dlatego to robię – odpowiadam ze spokojem i kręcę głową.

– Więc po co? – pyta. Stoi tak blisko, że jedyne, co widzę, to pieprzone współczucie w jej oczach, które zdaje się przytłaczać mnie swoim ciężarem. – Bo próbujesz być taki, jak ci twoi, pożał się Boże, przyjacie...

– Bo dzięki temu nie myślę! – krzyczę, przerywając jej w pół słowa. Cholera, powiedziałem to. Zamykam oczy, żeby nie widzieć tego politowania dla gościa, który musi zajmować czymś umysł, żeby przeżyć kolejny dzień. – Dzięki temu nie muszę myśleć – mruczę pod nosem. Czasami mam wrażenie, że sam sobie muszę o tym przypomnieć.

Powoli otwieram oczy i widzę, że przygląda mi się w milczeniu. Jestem wściekły. Nie tylko na nią; również na siebie. Wściekam się na siebie za to, że jestem takim idiotą, i wkurza mnie, że ona o tym wie. Jestem zły, że potrafi mnie przejrzeć i czyta ze mnie jak z otwartej książki. I że przez ułamek sekundy widzę zrozumienie w jej orzechowych oczach.

– A teraz najchętniej przestałbym myśleć – przyznaję.

Nagle ujmuję w dłonie moją twarz i przywiera do mnie całym ciałem. Jej usta ścierają się z moimi tak gwałtownie, że nie jestem w stanie się ruszyć. Czuję jej ciepło, jej energię, która przepływa między nami; zamykam oczy i rozkoszuję się smakiem jej ust. Ogień w mojej piersi przygasa, zastąpiony czymś nowym, czego nie potrafię nazwać. Ulgą? Nie, to niemożliwe. Ale nagle myślę wyłącznie o niej. Całuję jej usta. Te miękkie, pełne usta, które od tygodni osłabiały moją wolę. Nie wiedziałem, dlaczego tak na mnie działają, ale teraz już wiem – to dlatego, że chciałem je pocałować. Podnoszę rękę, żeby dotknąć jej twarzy i *naprawdę* ją pocałować, ale czuję, że ona powoli odsuwa się ode mnie.

Mrugam gwałtownie i zaglądam jej w oczy. Oszołomiony patrzę, jak się cofa. W jej spojrzeniu niepokój miesza się ze strachem i widzę, że drżą jej ręce. Czy naprawdę to zrobiła? Pocałowała mnie?

Coś się zmienia. Jestem tego boleśnie świadomy.

Czuję ulgę. Tygodniami się zastanawiałem, co takiego jest w Eden, zadawałem sobie pytanie, dlaczego podoba mi się to, że jej zależy, i dlaczego przy niej jednej nie mogę być Tylerem Bruce'em. Teraz w końcu rozumiem. To dlatego, że mi się podoba. Podoba mi się, że potrafi zależeć mi za skórę. Że przy niej czuję się niezręcznie, że sprawdza mnie i przesuwa moje granice. Podoba mi się, że przejmuje się mną, podczas gdy nikt inny tego nie robi. Że nie muszę przy niej udawać, chociaż naprawdę jestem żaloszny i tragiczny. Lubię jej zachrypnięty głos, pełne usta i orzechowe oczy.

– To nie byłem ja. Ja nie... nie wiem, co to było – bełkocze kruchym, lekko schrypniętym głosem, którego brzmienie tak bardzo lubię. Zupełnie jakby chciała się wytłumaczyć, ale nie wie jak. Otumaniony, wpatruję się w jej usta. Pragnę znowu poczuć ich dotyk. – Ja... nie... ja... przepraszam. Próbowałam... chciałam, żebyś zapomniał... ja...

Tym razem to ja reaguję. Podchodzę do niej, ujmuję w dłonie jej twarz i przyciskam usta do jej ust. Rozpaczliwie pragnę poczuć ich smak. Całuję ją tak mocno, jak tylko mogę, i zatapiam palce w jej gęstych włosach. Napieram na nią całym ciałem, choć uświadamiam to sobie dopiero wtedy, kiedy uderza plecami o ścianę. Tym razem całuję ją naprawdę, tak jak należy, tak jak powinienem był to zrobić chwilę temu. Głęboko i zachłannie, pospiesznie i rozpaczliwie. A ona odwzajemnia mój pocałunek. Nasze usta szukają się nawzajem; Eden opiera dłonie na mojej piersi, drży. Kładę rękę na jej karku i przyciągam ją jeszcze bliżej. Nagle zamieram.

Eden to moja przybrana siostra.

Całuję się z przybraną siostrą.

Odrywam usta od jej ust i niechętnie odsuwam się od niej. Już jej nie dotykam. Cofam się. Patrzymy na siebie tym samym wzrokiem, a w ciszy słychać nasze przyspieszone oddechy. W naszych oczach odbija się rozpacz i poczucie winy.

Do niej też to dotarło.  
Jesteśmy przybranym rodzeństwem.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Budzę się następnego dnia i wiem, że coś jest nie tak. Nadgarstek mam opuchnięty i obolały i gdy tylko próbuję poruszyć palcem, aż wzdrygam się z bólu. Ubieranie się to prawdziwa tortura i mdli mnie na samą myśl, że muszę zejść na dół na śniadanie. Nie ukryję przed mamą plastra na czole. Poobijany, stopień po stopniu, wlokę się na dół, próbując wymyślić jakąś wymówkę. Nie mogę powiedzieć, że znowu spadłem ze schodów, bo nie jestem aż tak niezdarny.

Stoję w korytarzu, szcękając zębami. Nie dlatego, że jest mi zimno, ale dlatego, że boję się wejść do kuchni. Słyszę głos taty, cichy i łagodny, jak mówi coś do mamy. Chase się śmieje. Jak to możliwe, że wszyscy są tacy szczęśliwi?

Z zapartym tchem zbieram się na odwagę i wchodzę do kuchni. Mama, odwrócona do mnie plecami, czegoś szuka w szufladzie ze sztućcami, a moi bracia i ojciec siedzą przy stole. Nikt nie wie, jaki zły i nieobliczany był wczoraj wieczorem. Teraz jest spokojny; z uśmiechem na ustach siedzi rozparty na krześle, w dłoni trzyma kubek kawy. Kiedy wchodzę, jego zielone oczy zwracają się w moją stronę, a uśmiech znika mu z twarzy. Czując na sobie jego wzrok, wstrzymuję oddech. Gdy zauważy plaster na moim czole, mięsień na twarzy zaczyna mu drgać. W jego oczach, niczym łyż, wzbiera poczucie winy i pospiesznie spuszcza wzrok na kolana.

– Co ci się znowu stało, Tyler? – pyta mama i odwraca się w moją stronę. Marszczy brwi i jedną rękę opiera na biodrze, a drugą, w której trzyma łyżkę, wskazuje moje czoło.

– Poślizgnąłem się wczoraj wieczorem, jak wychodziłem spod prysznic – kłamię w żywe oczy. Przekonałem się, że jestem świetnym aktorem, bo nawet mama nie potrafi wyczuć, kiedy kłamię. – Uderzyłem głową o umywalkę. To nic wielkiego – bąkam. Ojciec nadal nie podnosi głowy, wzrok ma utkwiony w podłogę. Siadam przy stole obok Jamiego.

– Nie znam nikogo innego, kto miałby takiego pecha jak ty, Tyler – komentuje mama i wymownie przewraca oczami. Kładzie na stole tosty i mierzwi mi włosy. Zawsze to robi.

– Czemu masz taką grubą rękę? – pyta Jamie. Zerkam na niego kątem oka i widzę, że z chorą fascynacją gapi się na mój spuchnięty nadgarstek.

Tata podnosi na mnie wzrok. Na jego twarzy maluje się przerażenie, prostuje się na krześle. Zamierzam schować rękę pod stół, ale mama chwyta mnie za ramię i pochyla się nade mną.

– Rany boskie! – jęczy. Zaniepokojona spogląda na mój nadgarstek, a na jej twarzy maluje się troska. – Coś ty zrobił?

– Nic mi nie jest – rzucam. Pospiesznie chowam rękę pod stół, ale gwałtowny ruch sprawia, że ramię przeszywa mi fala bólu. Wzdrygam się i spoglądam w dół. Im dłużej gapię się na nadgarstek, tym wydaje mi się on śmieszniejszy. Jest wykrzywiony pod dziwnym kątem, ale przecież nie może być złamany. Nie znowu.

– Wcale nie, Tyler – upiera się mama. Sięga po leżący na blacie telefon i w pośpiechu wybiera jakiś numer. – Dzwonię do doktora Colemana – oświadczam. – Musimy to zbadać. Nie

pójdiesz dzisiaj do szkoły. – Przykłada telefon do ucha i nerwowo przygryza wargę. – Jest cały opuchnięty. Może wdała się jakaś infekcja?

– Chcę go zobaczyć! – woła Chase. Podekscytowany, zeskakuje z krzesła, okrąży stół i zagląda mi przez ramię. Niechętnie podnoszę rękę, a on jak urzeczony wpatruje się w opuchliznę. Raczej nie byłby taki zafascynowany, gdyby wiedział, że to wina ojca.

– Nie musisz być dziś rano w sądzie? – pyta tata. Widząc, że Jamie i Chase oglądają moją rękę, zerkam w jego stronę. Oparty na łokciach, pochyla się do przodu. Głos ma łagodniejszy niż zwykle i słychać w nim wyrzuty sumienia.

– Cholera, no tak. – Mama wzdycha. Z telefonem przy uchu wolną ręką masuje skroń.

– Ja go zawiozę – proponuje tata. – Nie martw się. Akurat mam wolniejszy dzień. Poradzają sobie beze mnie.

Mama przygarbia się i oboje porozumiewawczo kiwają głowami. Tymczasem ktoś musiał odebrać telefon.

– Z gabinetem doktora Colemana poproszę – mówi mama i wychodzi z kuchni.

Nie wiem, dlaczego tata się zaoferował, że zawiezie mnie do lekarza. Myślę, że ma wyrzuty sumienia, ale nie chcę dziś zostawać z nim sam, nie po tym, co się wydarzyło. Boję się go jak nigdy dotąd i obawiam się, że będzie na mnie zły za to, że ściągam na siebie uwagę. Próbuję spojrzeć mu w oczy i wyczytać z nich, czy to kolejny z jego kiepskich dni, ale on kryje twarz w dłoniach.





## DZIŚ

– Cholera – rzucam. Moja pierś unosi się i opada, serce wali mi jak szalone. To nie mogło się wydarzyć. Nie wierzę, że pocałowałem Eden, a tym bardziej że to ona pocałowała mnie pierwsza.

Patrzę na nią kompletnie oszołomiony i próbuję ogarnąć wydarzenia ostatnich kilku minut. Eden wygląda jak sparaliżowana; jest przerażona i równie zakłopotana jak ja. Czy rozumie, co się właśnie wydarzyło? Czy dociera do niej, co zrobiliśmy? I nie chodzi wyłącznie o to, że jest moją przybraną siostrą. Mam dziewczynę, która czeka na mnie po drugiej stronie ulicy. Kretyn ze mnie. Wściekam się na siebie za to, że jestem taki głupi.

– Idę do Rachael – rzucam pospiesznie. Zapinam kurtkę i kieruję się w stronę drzwi.

Muszę się stąd wynieść, byle dalej od Eden. Potrzebuję przestrzeni, żeby to przetrwać i zastanowić się, czy to, co właśnie do mnie dotarło, jest prawdą, czy nie. W tej chwili modłę się, żeby nią nie było.

Rozpaczliwie chcę wyrwać się z domu. Zbiegam na dół, pokonując po dwa stopnie naraz, a wybiegłszy z domu, łapczywie chwytam w płuca świeże powietrze. Przez minutę stoję na trawniku z rękami w kieszeniach kurtki i głową zadartą ku ciemniejącemu niebu. Akurat kiedy mi się wydawało, że moje życie już nie może być bardziej popieprzone, musiałem pójść o krok dalej i popełnić pieprzony grzech. *Zajebicie, kretynie*. Eden właściwie nie jest moją siostrą, ale i tak czuję się dziwnie. Na myśl o tym robi mi się niedobrze i wiem, że jest tylko jeden sposób, żeby sobie z tym poradzić: wlać w siebie całe mnóstwo alkoholu. Chrzanić Declana. Nie mam czasu jechać na drugi koniec miasta. Potrzebuję czegoś *natychmiast*, a jeśli mam pod ręką wyłącznie alkohol, nie będę wybrzydzał.

Opuszczam głowę i patrzę na drugą stronę ulicy. W domu Rachael świecą się wszystkie światła i chociaż słyszę pulsowanie muzyki, z zewnątrz nie wygląda to tak, jakby odbywała się tam jakaś impreza. Tiffani mówiła, że będzie mało ludzi, bo inaczej rodzice Rachael ją zabiją.

Szybkim krokiem przechodzę przez ulicę i zatrzymuję się na ganku, żeby ochłonać. *Bądź Tylerem Bruce'em. Bądź wyluzowany. I szczęśliwy*. To nie Tyler Bruce pocałował przed chwilą swoją przybraną siostrę. To *ja* to zrobiłem. Czuję, że zaraz się zakrztuszę. Otwieram drzwi i wchodzę do domu z przyklepionym do twarzy idiotycznym uśmiechem. Potrzebuję piwa. Mnóstwa piwa.

Impreza się jeszcze nie rozkręciła. Jest wcześniej, a ponieważ ludzie dopiero zaczynają się zjeżdżać, Rachael stoi w drzwiach, żeby ich witać. Podchodzi do mnie lekko wstawiona i mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, jakbym obraził ją tym, że w ogóle przyszedłem.

– Gdzie jest Eden? – pyta. Żadnego cześć, nic. – Powinna już tu być!

– Nie wiem – kłamię i mijam ją. Nie mam zamiaru mówić o Eden. Rozmawiać o niej, wypowiadać jej imienia ani nawet o niej myśleć. Wchodzę do kuchni i zatrzymuję wzrok na butelkach, którymi zastawiony jest stół. Jestem dupkiem, który nie przyniósł swojego alkoholu, ale chrzanić to. Wystarczy dla wszystkich. Przede mną stoi napoczęty sześciopak piwa; sięgam

po puszkę.

Nagle ktoś tuli się do mnie od tyłu. Opiera brodę na moim ramieniu, kładzie mi rękę na piersi i wsuwa ją pod kurtkę.

– Mmm – mruczy uwodzicielsko Tiffani. – Jesteś.

– Och. – rzucam i odwracam się w jej stronę. Jest ostatnią osobą, którą mam ochotę oglądać. – Cześć.

Tiffani patrzy na mnie, zarzuca mi rękę na szyję i przywiera do mnie całym ciałem. Uśmiecha się, ale ja wiem, co kryje się za tym uśmieszkiem. Tak naprawdę jest na mnie zła, bo przez ostatni tydzień rzadko się z nią widywałem. Mam na głowie za dużo spraw.

– Tęskniłeś za mną? – pyta, a ja z przyzwyczajenia kładę rękę na jej biodrze. Gdybym tego nie zrobił, od razu by wiedziała, że coś jest nie tak. Muskam palcami biały jedwabisty materiał jej sukienki. Wygląda niesamowicie, ale w głowie mam taką gonitwę myśli, że nie jestem w stanie tego docenić.

– Wiesz, że tak – mówię. Kłamstwo. Uśmiecha się szeroko i zmusza mnie, żebym ją pocałował, ale pocałunek trwa ledwie sekundę. Sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Odsuwam się od niej i trzymam puszkę tak, żeby oddzielała nas od siebie. – Mogę się przynajmniej napić? Trzeźwy nie przetrwam tej imprezy.

Blask w niebieskich oczach Tiffani gaśnie, a uśmiech znika z jej twarzy, gdy zaciska lśniące od błyszcznika usta w wąską kreskę. Zdejmuje rękę z mojej szyi i cofa się o krok.

– Normalka – rzuca.

– Ty. – Wymierzam puszkę w Kyle'a Harrisona, który właśnie wszedł do kuchni. Staje jak wryty, jakby się bał, że rzucę się na niego z pięściami. Nie rozmawiamy, ale w ubiegłym roku chodziliśmy razem na historię. Wystarczy. – Spadamy stąd. Czas walnąć shotgunem<sup>1</sup> kilka browarów. Całą masę browarów.

Chłodna ręka Tiffani chwyta mnie za łokieć. Ciągnie mnie w tył i mruży oczy z dezaprobatą.

– Tyler... daj spokój.

– Nie teraz, Tiff. – Odpycham jej rękę i biorę skrzynkę piwa. Podchodzę do Kyle'a, który, choć wcale nie ma ochoty ze mną pić, nie ma też odwagi mi odmówić. Nikt nie odmawia Tylerowi Bruce'owi. Szturcham go w ramię i obaj wychodzimy do ogrodu za domem.

– Masz – mówię do niego. Stawiam skrzynkę na trawie i rzucam mu puszkę. Sam biorę drugą i wyciągam z kieszeni kluczyki od samochodu. – Spijemy tę kratę, dobra? Żadnych przerw.

– Stary... Jesteś pewny? – pyta Kyle, niepewnie spoglądając na puszkę. Obraca ją w dłoniach i marszczy grube brwi. – Nie chcę się porzygać.

Przewracam oczami.

– Zamknij się. Zaczynamy – mówię i w tej samej chwili dżgam puszkę kluczykiem. Przytykam usta do dziury, odchylam głowę i w ciągu kilku sekund opróżniam puszkę. Często to robię. Odkryłem, że to najszybszy sposób, żeby się nawalić i przestać myśleć. – *Número dos* – rzucam. Miażdżę w dłoni pustą puszkę i ciskam ją na ziemię. Kyle dopija swoje piwo kilka sekund później i choć z trudem łapie powietrze, od razu rzucam mu drugą puszkę. Czuję na sobie wzrok Tiffani, która obserwuje nas przez kuchenne okno, ale staram się o niej nie myśleć, podczas gdy razem z Kyle'em spijamy drugiego, trzeciego, czwartego, piątego browara.

Narzucamy sobie niezłe tempo i żołądek mam pełen piwa. Kyle powlókł się w kąt ogrodu i próbuje zmusić się do wymiotów. Przez kilka minut stoję oparty o ścianę, oddycham głęboko i pozwalam, by alkohol przeniknął mi do krwiobiegu. Zaglądam przez okno do kuchni, ale Tiffani już nie ma. Zostawiam rzygającego Kyle'a i wracam do domu.

Przyszli kolejni ludzie. Ludzie, których znam ze szkoły. I z którymi od czasu do czasu

zamienię słowo, jeśli mam ochotę. Zwykle trzymam się ze swoimi znajomymi. Czy Eden już przysłała?

*Przestań o niej myśleć.*

Ignoruję wszystkich, mijam dziewczyny, które piją tequilę przy kuchennym zlewie i sięgam po butelkę wódki. Wlewam ją do plastikowego kubka, dopełniam colą i wypijam na raz. Alkohol pali mnie w gardło, ale co mi tam. Mam zamiar się urządzić. Dlatego chwilę po tym, jak wypijam pierwszego drinka, nalewam sobie następnego.

– Próbujesz utrzymać swoją reputację? – Słyszę czyjś głos. Odwracam się i widzę Jake'a, który idzie w moją stronę. Trzyma w dłoni butelkę piwa, staje oparty o blat, upija łyk i patrzy na mnie z tym swoim cholernym cwaniackim uśmiechem.

– Nie mów do mnie, kurwa – warczę i odwracam się do niego plecami. Nie widziałem go, odkąd w ubiegły weekend odwiózł Eden do domu i chociaż muszę z nim porozmawiać, nie mogę zrobić tego dziś. Nie mogę o niej rozmawiać.

Jake staje przede mną i uśmiecha się jeszcze szerzej. Dupek.

– Wściekasz się, bo twoja siostra spała u mnie? – pyta głosem niewiniątka, ale widzę, że sprawia mu to sadystyczną przyjemność. Lubi mnie wkurzać.

Kładę mu rękę na piersi i odpycham go.

– Ona nie jest moją siostrą, kretynie. – Jeśli podejdzie bliżej, przysięgam, że mu przywalę. – Zejźdź mi z oczu, Jake. Mówię poważnie.

– Dobra, jak sobie chcesz. Dla mojej przyjemności możesz zachlać się na śmierć – mruczy i wychodzi z kuchni, prawdopodobnie po to, żeby zarwać pierwszą lepszą laskę. Nie mogę uwierzyć, że w dzieciństwie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. To taki pieprzony świr.

Dopijam drinka i przez kolejną godzinę nie wychodzę z kuchni, bo to miejsce, w którym składuje się alkohol. Dołączam do dziewczyn przy zlewie i wypijam z nimi kieliszek tequili. Piję wódkę z każdym pechowcem, który zapuszcza się do kuchni. Nikt nie ma wyboru. Nawet Rachael mi nie odmawia, choć pewnie tylko dlatego, że sama jest już pijana. Z kolei Tiffani, która właśnie wchodzi do kuchni i patrzy na mnie, nie jest pod wrażeniem.

– Daj spokój, Tiff – wołam do niej, próbując przekrzyknąć muzykę, i wyciągam w jej stronę niemal pustą butelkę wódki. Jestem nawalony. Ledwie trzymam się na nogach i omal nie spadam z blatu. Wszyscy w kuchni mają już nieźle w czubie, dlatego prowadzimy ożywioną dyskusję i ryczymy ze śmiechu.

Wszyscy oprócz Tiffani, która gromi mnie wzrokiem z drugiego końca kuchni i wbija we mnie spojrzenie zimnych jak lód niebieskich oczu. Podchodzi do mnie, wrywa mi z ręki butelkę i trzyma ją poza moim zasięgiem. Drugą ręką podtrzymuje mnie, żebym nie upadł.

– Jesteś żenujący – szepcze. Pochyla się w moją stronę i patrzy na mnie spod firanki sztucznych rzęs. – Przestań.

– Ooooch. Kogo to obchodzi? – Śmieję się, zabieram jej butelkę i zamierzam przyłożyć ją do ust, ale Tiffani znowu mi ją wrywa. Przez kilka sekund szarpiemy się, aż w końcu daję za wygraną, a ona wciska butelkę do ręki pierwszej lepszej osobie.

– Tyler – syczy, napierając na moje nogi. – Wyglądasz jak idiota. Proszę. Przestań pić. Albo przynajmniej zwolnij. – Czy ona w ogóle cokolwiek wypła? Czemu zachowuje się jak sztywniara? Wszyscy w kuchni świetnie się bawią. Tylko ona psuje zabawę.

– Skaaarbie – mruczę i patrzę na nią z miną niewiniątka. Nie jestem w stanie ukryć uśmiechu. Jestem pijany i, na szczęście, upiłem się na wesoło. Czasami bywa inaczej. Ujmuję w dłonie jej twarz i pochylam się, żeby ją pocałować, ale ona odsuwa się i odpycha mnie. Bawi mnie to jej oburzenie. Może smakuje, jakbym wypił o jedno piwo za dużo?

– Ooodrzucony! – woła ktoś z drugiego końca kuchni i wszyscy parszczą śmiechem.

Nawet ja.

Tiffani kręci głową, odwraca się na pięcie i wychodzi z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jak sobie chce. Teraz, kiedy wyszła, mogę pić jeszcze więcej, i tak właśnie robię. Więcej piwa, więcej wódki, więcej tequili i rumu. Piję, aż nie jestem w stanie otworzyć oczu i zapanować nad zmysłami. Boję się, że stracę kontrolę nad pęcherzem.

Niezdarnie ześlizguję się z blatu i ląduję na podłodze, podnoszę się i zataczając się, wychodzę z kuchni. Oczy mam na wpół przymknięte i mam wrażenie, że moje stopy żyją własnym życiem. Chwytam się ludzi i mebli, żeby nie upaść. Wiele razy byłem w domu Rachael, ale nie wiem, gdzie jest łazienka. Potykając się, snuję się po domu, aż w końcu, kompletnie zdezorientowany, upadam na kolana. Nie wiem, gdzie jestem. Muzyka dudni mi w uszach, tłumiąc głosy, a jednak jakimś cudem słyszę to.

Moje imię. Schrypnięty głos. Łagodny i spokojny.

Nie mogę podnieść głowy, jest zbyt ciężka, próbuję jednak podnieść wzrok. Pokój wiruje. *Ona* wiruje. Staram się otworzyć szerzej oczy, ale obraz Eden jest rozmazany. Wysiłam wzrok, skupiam się na jej błyszczących orzechowych oczach, na pełnych ustach, ale nie jestem w stanie. Patrzy na mnie, a ja żałuję, że nie mogę wyczytać niczego z jej twarzy.

– Skarbie. – Głos Tiffani rozlega się z każdej strony. Wszystko jest zniekształcone, jakbym był pod wodą. Znowu zamykam oczy i czuję na sobie ręce Tiffani, która próbuje podnieść mnie z podłogi. Chcę się dźwignąć, ale nogi mam jak z waty i upadam, uderzając twarzą o ścianę. Jestem zbyt pijany, żeby cokolwiek poczuć. – Tyler – mówi Tiffani, ale w jej ustach moje imię nie brzmi tak dobrze jak wtedy, gdy wypowiada je Eden. Prowadzi mnie gdzieś, ciągnie i nagle siedzę u podnóża schodów. – Wytrzeźwiej! – nakazuje mi Tiffani i wymierza mi siarczysty policzek. Nic nie czuję. – Jesteś koszmarny.

Głowa opada mi na pierś. Jest zbyt ciężka, żebym mógł ją utrzymać, ale Tiffani ujmuje mnie pod brodę i jak przez mgłę słyszę jej niewyraźny głos:

– Ella go zabije, jeśli wróci do domu w tym stanie. – *Czy Eden tu jest? To z nią rozmawia Tiffani?* Próbuję zapytać, ale język odmawia mi posłuszeństwa. – Wezmę go na noc do siebie.

Odpywam. Czuję nadciągającą falę, jak wielki czarny cień, i całe moje ciało wiotczeje. Zsuwam się ze stopnia, oczy mam zamknięte, twarz wciśniętą w podłogę. Mógłbym tu zostać i zasnąć, ale Tiffani mi nie pozwoli. Znowu jest przy mnie, sadza mnie i opiera o ścianę. Jestem pijany i mam ochotę poświntuszyć. Ciągnę ją za sukienkę, za ręce, szukam jej twarzy, ale ona mnie odpycha. Leżę z głową na jej kolanach. Tiffani coś mówi, ale nie potrafię rozróżnić słów.

*Czy Eden nadal tu jest?*

\* \* \*

Kac, z którym budzę się następnego dnia, jest nie do wytrzymania. Dlatego większość niedzieli spędzam w łóżku Tiffani. Pocę się jak świnia, piję hektolitry wody, wrzucam w siebie tabletki przeciwbólowe i przeklinam się za to, że jestem pieprzonym kretynem.

Jest wczesny wieczór, a ja dalej leżę, zakopany w pościeli, masuję skronie i gapię się w sufit. Wziąłem prysznic i czuję się odrobinę lepiej. Przynajmniej trochę się odświeżyłem. Ale głowa nadal mi pęka. Nawet sobie nie współczuję. Jestem zły. Urwał mi się film, co – bądźmy szczerzy – jest żenujące. Tyler Bruce powinien umieć pić, a nie odpywać i dać się zaciągać do domu swojej dziewczynie.

– Głodny? – Uśmiechnięta Tiffani wchodzi do pokoju. Zagląda do mnie co pół godziny. Ma na sobie jedwabne szorty i obcisły podkoszulek. O ósmej rano zrobiła mi pobudkę i nawrzeszczała na mnie za to, że narobiłem jej wstydu, za to, że się upiłem i zachowywałem się jak idiota. W południe przyjęła postawę pasywno-agresywną. O czwartej zachowywała się

względnie normalnie. A teraz jest miła. Zbyt miła.

– Nie – bąkam. Gdybym cokolwiek zjadł, zwymiotowałbym na bank.

– Jak się czujesz? – pyta. Patrzy na mnie współczująco i podchodzi do łóżka. Klęka przy mnie i przykładła mi do czoła chłodną dłoń. – Lepiej ci?

– Nie bardzo – odpowiadam. Ma przyjemnie chłodną dłoń, przyciskam więc czoło do jej ręki. Mam wrażenie, że skóra mi płonie.

– Założę się, że wiem, co zrobić, żebyś poczuł się lepiej – mruczy. Kładzie mi rękę na piersi, nachyla się nade mną i całuje mnie w policzek, w kącik ust i w szyję. Jej usta muskają moją skórę, zasypując ją szybkimi delikatnymi pocałunkami. Siada na mnie okrakiem i przyciska dłoń do mojej nagiej piersi. Całuje mnie w obojczyk i, cholera, to jest przyjemne.

– Twoja... twoja mama, Tiffani – mruczę z zamkniętymi oczami i ręką na jej biodrze. Odchylam głowę i rozkoszuję się dotykiem jej ust na moim ciele. Niewiele rzeczy lubię w Tiffani, ale ta jest wyjątkiem. Doskonale wie, gdzie i jak mnie całować.

– Właśnie wyszła – mówi i zbliża usta do moich ust.

Zatapiam palce w jej włosach i przyciągam ją do siebie. Całuję ją zachłannie, kęsając zębami jej dolną wargę. Tiffani i ja nie lubimy leniwych, delikatnych pieszczot. Jesteśmy szybcy i gwałtowni, może dlatego, że tak naprawdę wcale nam na sobie nie zależy. Mimo wszystko sprawia nam to przyjemność. Walczymy o dominację i kiedy ją całuję, ona napiera na moje biodra. Odsuwa się na chwilę, żeby zdjąć koszulkę, zaraz jednak przywiera do mnie ustami. Jej pocałunki są teraz szybsze, a palce szarpią mnie za włosy. Moje ręce błądzą po jej ciele, piersiach, talii, biodrach i pośladkach. Usta Tiffani zostawiają wilgotny ślad na mojej piersi, a ona schodzi coraz niżej, aż do gumki bokserek. Podnosi na mnie wzrok i zwilża wargi czubkiem języka.

I nagle coś sobie przypominam.

Wczoraj urwał mi się film. Z imprezy nie pamiętam nic, poza tym, że Kyle Harrison porzygał się przeze mnie. Ale pamiętam wszystko, co wydarzyło się przed nią.

Pamiętam Eden. I to, że się z nią pokłóciłem. Pamiętam, że powiedziałem jej, że potrzebuję czegoś, co pozwoli mi zapomnieć. I pamiętam smak jej ust.

– Tiffani – mówię nagle. Chwytam ją za nadgarstki i odsuwam od siebie. Oddycham ciężko i patrzę na nią spanikowanym wzrokiem. – Nie mogę teraz.

– Jaja sobie robisz? – mówi z niedowierzaniem i rozchyła usta. Wyszarpuje rękę z mojego uścisku i schodzi ze mnie. Mruży oczy i patrzy na mnie z nienawiścią. – W końcu mamy wolną chatę, a ty mi mówisz, że *teraz nie możesz?* Pieprz się, Tyler. Wracaj do domu. – Zaciska zęby, schodzi z łóżka i, odwrócona do mnie plecami, wkłada koszulkę. Podchodząc do drzwi, mruczy coś pod nosem, pewne wyzywa mnie od dupków.

– Tiffani – mówię cicho i siadam na łóżku. Podciągam kołdrę i spoglądam na nią w milczeniu, a ona się odwraca,. Patrzę na moją dziewczynę, ale nie jest to dziewczyna, którą lubię, a już na pewno jej nie kocham. Kiedy ją całuję, nie czuję tego samego przyływu adrenaliny co wczoraj wieczorem, gdy całowałem się z Eden. – Co jest? Z nami? Co to za związek?

– O co ci chodzi? – pyta i krzywi się, jakby nie wiedziała, co mam na myśli. Wygląda na zaskoczoną tym, że w ogóle o to pytam.

– Po prostu mi powiedz – rzucam błagalnie. Chyba zawsze miałem tę myśl gdzieś z tyłu głowy. – Co my robimy? Pytam, bo nie mam pojęcia. Przecież nawet nie... – Urywam, oddycham głęboko i kręcę głową. *Przecież nawet się nie lubimy.* Nie mogę powiedzieć tego na głos, bo zabrzmiałoby to okrutnie. – Czemu właściwie jesteśmy razem?

Wiem dlaczego. Jesteśmy razem, bo oboje na tym zyskujemy. Ja mam zajebistą

dziewczynę, dzięki której życie Tylera Bruce'a wydaje się jeszcze fajniejsze, a ona chłopaka, który zrobi wszystko, o co go poprosi. Którego może kontrolować. Wie, że w głębi duszy jestem słaby. Dlatego przychodzi jej to z taką łatwością. Jestem w jej życiu rekwizytem, tak jak ona w moim. Ale nie pasujemy do siebie. Nie powinniśmy być razem.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – stwierdza Tiffani. Zaciska zęby i wiem, że wiele ryzykuję, drążąc temat. Tiffani nie lubi, jak zachowuję się inaczej niż zwykle i robię coś wbrew jej woli. Zawsze się później mści. – Nigdy więcej nie zaczynaj tego tematu.

– Może powinniśmy... sam nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Wiesz tak jak ja, że to głupie. Może powinniśmy zrobić sobie przerwę albo coś.

– Jak tam sprzedaż trawy? – pyta ni stąd, ni zowąd głosem, który ocieka jadem. Krzyżuje ramiona na piersi i wierci mnie wzrokiem.

Mam wrażenie, że serce przestaje mi bić.

– Co? – pytam, udając zaskoczenie, jakbym nie wiedział, o czym mówi. *Skąd ona wie?*

– Myślałeś, że się nie dowiem? Że jestem taka głupia? – Przewraca oczami i zmienia się w Tiffani, której bardzo, bardzo nie lubię. Przebiegłą i lubiącą sprawować kontrolę. – Wczoraj, kiedy byłeś zbyt pijany, żeby normalnie funkcjonować, Greg zapytał mnie, czy nie wiem, gdzie jesteś, bo cholernie chciało mu się palić. – Ze złośliwym uśmiechem powoli podchodzi do łóżka. Wie, że mnie przyłapała. – Chodzą plotki, że handlujesz prochami.

– Tiffani...

– Tak, tak właśnie myślałam. Jesteś kłamcą. – Siada po turecku na łóżku i uśmiecha się do mnie. Rozkoszuje się władzą, którą ma nade mną w tej chwili. Czerpie z tego niemal sadystyczną przyjemność. – Oto więc, jak wygląda sytuacja – mówi słodkim głosem, od którego robi mi się niedobrze. – Do końca roku nie będziemy rozmawiać o nas. W przeciwnym razie nie wiem, czy będę w stanie dochować tajemnicy. – Wzrusza ramionami i marszcząc czoło, nachyla się nade mną i całuje mnie w usta. – Kocham cię. A ty kochasz mnie. Pamiętaj o tym.

Jak sparaliżowany patrzę, jak wychodzi z pokoju, kręcąc biodrami. Jest mi niedobrze, ale nie dlatego, że za dużo wypilem. Nie, powód jest znacznie gorszy.

Tiffani mnie szantażuje.

Tzw. Shotgun style – pijący robi dziurę w puszcze i w jak najkrótszym czasie wypija jej zawartość [wróć]



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

– Złamana – stwierdza doktor Coleman, obracając w naszą stronę ekran monitora. Gapię się na zdjęcie rentgenowskie swojej ręki i wskazywaną przez niego kość. – Znowu kość księżycowata – tłumaczy z marszem na czole. – Naturalnie była już osłabiona, nic więc dziwnego, że doszło do powtórnego złamania. – Z powrotem odwraca monitor, opuszcza okulary na nos i zaczyna stukać na klawiaturze.

W małym gabinecie zapada cisza. Mój nadgarstek pulsuje bólem. Tata siedzi na skraju krzesła obok mnie, przebiera palcami i nerwowo porusza nogą. Jest późny poranek i zamiast być w pracy i w szkole, siedzimy w gabinecie.

– Ale się zrośnie, prawda? – pyta ojciec. Oddech ma płytki.

– Na szczęście złamanie nie jest poważne – mówi doktor Coleman i podnosi wzrok znad monitora. – Trzeba będzie na trzy tygodnie założyć gips, ale teraz ręka jest za bardzo opuchnięta, unieruchomimy ją szyną na weekend. Przywieźcie go w poniedziałek, założymy gips. Za miesiąc kość powinna się zrosnąć. – Uśmiecha się do mnie, ale głos ma poważny. – To znaczy, jeśli znów jej nie złamiesz, Tyler! – mówi.

Tata znów wbija wzrok w podłogę. Czuje się dziś naprawdę podle, dużo gorzej niż zwykle. Może dlatego, że nie może zignorować bólu, który mi zadał? A może dlatego, że patrząc na mnie, widzi plaster na moim czole i opuchniętą rękę?

– Peter – doktor Coleman wystukuje coś na klawiaturze i kątem oka zerka na tatę – co słychać u twojego ojca? Ostatnio go nie widuję.

Tata z trudem przełyka ślinę i podnosi wzrok. Na jego twarzy maluje się ulga, jakby był dozgonnie wdzięczny za zmianę tematu.

– Och, w porządku. Bez przerwy grzebie coś w tej przeklętej corvecie!

– Przypomnij mu, że jest mi winien drinka – rzuca ze śmiechem doktor Coleman.

– I przejażdżkę!

Tata też się śmieje i nagle znów czuję się samotny. Doktor Coleman zakłada mi szynę i obaj żartują w najlepsze, zupełnie jakby zapomnieli, że jakimś dziwnym trafem kolejny raz złamałem nadgarstek.

\* \* \*

Wlokę się z tyłu za ojcem do samochodu i spoglądam na czarną szynę, którą muszę nosić przez weekend, zanim założą mi gips. Powiniennem być zły, że minął ledwie miesiąc, odkąd zdjęli mi poprzedni, ale w tym momencie jest mi już wszystko jedno. Mam to wszystko... gdzieś. Chyba już się z tym pogodziłem. Kiedy to złamanie się zrośnie, będzie następne.

Teraz myślę przede wszystkim o tym, że nie chcę wracać do domu. Widzę przed sobą mercedesa ojca, ale mam ochotę zawrócić, uciec z powrotem do gabinetu doktora Colemana i poprosić go, żeby mi pomógł. Powiedzieć mu, że mam złamany nadgarstek nie dlatego, że jestem niezdarą, tylko dlatego, że mój tata jest okrutny. Wiem jednak, że nie mogę tego zrobić.

Wiem, że nie mogę nikomu powiedzieć. Nigdy. Wiem, że to, co robi tata, jest złe, ale nie chcę, żeby przeze mnie rozpadła się nasza rodzina. Nie chcę zniszczyć mu życia. Jest przecież moim tatą.

Dlatego robię, co muszę, i wsiadam do samochodu. Niezdarnie zapinam pas jedną ręką i wbijam wzrok w deskę rozdzielczą. Czekam, aż ojciec uruchomi silnik i zawiezie nas do domu, ale on nic nie robi. Zastanawiam się, czy jest na mnie zły, czy nie wytrzyma i wybuchnie, zanim wrócimy do domu, czy złapie mnie tu i teraz, na szpitalnym parkingu. Zbieram się na odwagę i zerkam na niego.

Siedzi jak sparaliżowany z rękami na kierownicy. Nie rusza się, patrzy przed siebie i słyszę tylko jego płytki oddech. Jego pierś unosi się i opada, broda mu drży. Po minucie, która zdaje się trwać całą wieczność, odwraca głowę i spogląda na mnie zbolalym wzrokiem, pełnym skruchy, poczucia winy i żalu. Patrzy na plaster na moim czole, a jego zielone oczy robią się szkliste od łez.

– Nigdy, przenigdy więcej – szepcze zduszonym głosem. Zakrywa usta dłonią, krzywi się i kręci głową. Po jego twarzy toczą się łzy. – Obiecuję, Tyler. Nigdy więcej nie zrobię ci krzywdy. – mówi łamiącym się głosem, nie patrząc na mnie. Pochyliła się nad kierownicą, tłumiąc szloch, który wstrząsa całym jego ciałem. – Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam – bełkocze, choć trudno go zrozumieć.

Nigdy dotąd nie widziałem, żeby płakał. Nigdy w całym swoim dwunastoletnim życiu. Kiedyś powiedział mi, że tylko słabi mężczyźni płaczą. Czy to znaczy, że teraz jest słaby? Że nie jest dość silny, żeby zrobić mi krzywdę? Często przeprasza, ale nigdy tak, nie tak szczerze jak dziś.

Dlatego mu wierzę.





## DZIŚ

Poniedziałek to kiepski dzień. Jest popołudnie, ale nadal leżę w łóżku. Gapię się w sufit. Słucham ciszy. Myślę.

Po tym, jak wczoraj wieczorem wróciłem od Tiffani, poszedłem prosto do pokoju i położyłem się do łóżka. Dobrze, że ani mama, ani Dave nie przyszli na górę, żeby wypytywać, gdzie się podziewałem przez cały weekend. Wiedzą, że jeśli nie wracam do domu, to zwykle nocuję u Tiffani. U mojej dziewczyny, która właśnie zaczęła mnie szantażować.

Nie mogę przestać o tym myśleć. Byłem głupi, obiecując jej, że nie będę się zadawał z Declanem Portwoodem i jego kumplami, bo teraz wykorzystuje to przeciwko mnie. I jeśli choćby wspomnę o rozstaniu, zniszczy mi życie. Już wcześniej robiła takie rzeczy. Oto, jak dopina swego, trzyma mnie w szachu; właściwie nie powinienem się dziwić.

Z jękiem zwlekam się z łóżka. Jest zbyt gorąco, żeby leżeć w pościeli. Myślałem, że moje życie jest już wystarczająco porąbane, ale to dopiero teraz wszystko zaczyna się sypać. Pracuję dla Declana Portwooda. Moja dziewczyna mnie szantażuje. No i całowałem się ze swoją przybraną siostrą.

Przez krótką chwilę po przebudzeniu zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie był sen. Wszystko wydarzyło się dwa dni temu i nie widziałem Eden od imprezy u Rachael. Muskam usta opuszkami palców. To nie był sen. Wciąż czuję ciepło jej warg. To się naprawdę wydarzyło. Musimy o tym porozmawiać, tylko co tu jest do powiedzenia? To, co się stało, było złe, tylko... sam już nie wiem. Całując się z nią, nie czułem, że zrobię coś złego. Czy ona naprawdę mi się podoba, czy też działałem pod wpływem impulsu?

Idę do łazienki i uważam, by się w niej nie zamknąć. Drzwi same się zatrzasują, bo kiedyś walnąłem w nie pięścią i uszkodziłem zamek. Sięgam po opakowanie antydepresantów i wytrząsam na dłoń dwie tabletki. Będą mi dziś potrzebne, czuję się przybity.

Czasami się zastanawiam, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie to, co zrobił mi ojciec. Wciąż bylibyśmy rodziną. Nie byłoby Dave'a ani Eden. Pewnie mieszkalibyśmy w naszym starym domu, kilka ulic dalej. Tata rozmawiałby ze mną o dziewczynach, a przed wyjściem na imprezę upominałby mnie, żebym nie pił więcej niż jedno, dwa piwa. Razem oglądalibyśmy mecze, pomagałby mi pisać podania do college'ów i udzielałby mi rad. A mama nadal uśmiechałby się tym swoim szerokim, olśniewającym uśmiechem, który tak uwielbiałem. Po tym wszystkim przestała się tak uśmiechać.

A co ze mną? Jaki byłbym ja, gdyby wszystko potoczyło się inaczej? Gdyby ojciec nie uwziął się na mnie? Byłbym szczęśliwszy. Lepszy. Nie szukałbym ucieczki w alkoholu i narkotykach. Nie byłbym taki wybuchowy i nie byłoby we mnie takich pokładów złości. Nie musiałbym codziennie zakładać maski, za którą ukrywam wszystkie swoje tajemnice. Nie byłbym taki zuchwały i bezmyślny. Nie brałbym antydepresantów. Nie byłbym Tylerem Bruce'em, którego udaję. Byłbym sobą, Tylerem, szczęśliwym chłopakiem, który żyje pełnią życia, z przyjaciółmi, którzy naprawdę go lubią, i dziewczyną inną niż Tiffani.

Ale ojciec odebrał mi to wszystko. Zrujnował mi życie.

Potrzebuję mamy. Ona potrafi sprawić, że czuję się lepiej. Niezależnie od tego, jak bardzo ją rozczarowuję i jak bardzo ją martwię, zawsze jest przy mnie. Rozumie mnie jak nikt inny, a kiedy mam podły nastrój, zawsze mogę na nią liczyć. Chyba nawet nie wie, jak bardzo jej czasem potrzebuję.

Wychodzę z pokoju i schodzę na dół, w nadziei, że ją tam znajdę. Nie wiem nawet, czy jest w domu, gdy więc zastaję ją, jak sprząta kuchnię, oddycham z ulgą.

– Wstałeś – mówi i odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Uśmiecha się. Zawsze jest pełna nadziei, zawsze wita mnie uśmiechem i zawsze liczy, że może tego dnia będę się dobrze czuł.

– Wesołego Czwartego Lipca.

– Mamo... – szepczę, ale głos mi się łamie i łzy napływają mi do oczu. Usta mi drżą, ramiona opadają. Czuję się pokonany.

– Och, Tyler. – Podchodzi do mnie. Tak dobrze mnie zna. Widzi ból w moich oczach, tak jak ja widzę go nagle w jej oczach. Był tam zawsze, ale teraz nie próbuje go ukryć. Obejmuje mnie, tuli do siebie i otacza swoim ciepłem i miłością.

– Nie... dłużej już nie wytrzymam – mówię, ale mój głos jest zbyt słaby, zbyt kruchy i zbyt drżący. Słowa kaleczą mi gardło. Kryję twarz w jej ramieniu, a gdy tuli mnie jeszcze mocniej, nawet nie próbuję powstrzymywać łez. Co kilka miesięcy przechodzę takie załamanie, ale po wszystkim wcale nie jest lepiej.

Mama trzyma mnie w ramionach. Ona też płacze. Czuję, jak drży i pociąga nosem. Milczy, ale nie musi nic mówić. Wystarczy, że mnie przytuli. Czasami myślę, że jestem tu tylko dlatego, że próbuję być silny dla niej. Nie mogę złamać jej bardziej, niż to zrobiłem.

– Rozumiem – szepcze zbolalym głosem. Słowa, jedno po drugim, z trudem dobywają się z jej ust. – Masz prawo tak się czuć, Tyler. Masz do tego pełne prawo – mówi i kryje twarz w zagięciu mojej szyi. – Czasami to za dużo.

Nagle słyszę szcęk zamykanych drzwi i radosny głos Dave'a, który woła od progu:

– Zgadnijcie, kto wrócił wcześniej z pracy!

Odruchowo odsuwam się od mamy. Tylko przy niej pozwalam sobie na chwile słabości. Pospiesznie ocieram łzy, biorę głęboki oddech i idę na drugi koniec kuchni. Czuję na sobie spojrzenie mamy, ale oboje wiemy, że nie mogę tu zostać. Otwieram drzwi na patio i wychodzę do ogrodu. Siadam na trawie przy sadzawce, zamykam oczy, kryję twarz w dłoniach i płaczę.

\* \* \*

Kilka godzin później siedzę na tylnej kanapie range rovera mamy. Jedziemy do Culver City na pokaz sztucznych ogni z okazji Święta Niepodległości, chociaż nie jestem w nastroju do świętowania. Co gorsza, Eden siedzi obok mnie. Nie potrafię na nią spojrzeć. Nie po tym, co wydarzyło się w sobotę. Zamiast tego gapię się przez okno, ignorując dotyk jej ramienia i starając się nie zwracać na nią uwagi. Ona chyba też stara się mnie ignorować. Unikaliśmy się, jeszcze zanim wsiedliśmy do samochodu.

– Nie wiedziałam, że nosisz conversy. – Słyszę, jak mówi w połowie drogi. Mama i Dave rozmawiają z przodu, ale żadne z nas nie bierze udziału w ich dyskusji. Zaskakuje mnie to, że w ogóle się odzywa.

Odwracam głowę i patrzę na nią kątem oka. Spojrzenie ma ciepłe, zaciekawione. Ładnie wygląda; jak zawsze. Przez chwilę spoglądam na jej usta, przełykam gulę w gardle i rzucam zdawkowe:

– Taa.

Znowu spoglądam przez okno. Nie wiem dlaczego, ale nagle serce zaczęło mi bić

szybciej. Staram się je uspokoić, ale na próżno. Wciąż myślę o niej; o tym, jak patrzyła na mnie w sobotni wieczór, o smaku jej ust i jej dłoniach na moim ciele. Zamykam oczy, zaciskam powieki i próbuję wyrzucić ją z głowy, ale to niemożliwe, zwłaszcza gdy jej skóra ociera się o moją.

Nawet nie lubię Culver City, ale gdy w końcu parkujemy na parkingu przed miejscowym liceum, nawet się cieszę. To tu odbywa się pokaz sztucznych ogni. W Santa Monica nie organizują go od lat. Najwyraźniej władze miasta uznały, że to zbyt niebezpieczne urządzać fajerwerki w okolicach moło. A to oznacza, że co roku czwartego lipca musimy jeździć gdzieś indziej. W tym roku wybieramy Culver City i wszystko wskazuje na to, że nie my jedni wpadliśmy na ten pomysł. Parking jest pełen ludzi i wysiadam, gdy tylko mamie udaje się znaleźć wolne miejsce. Siedzenie obok Eden jest nie do wytrzymania i myślę, że dopóki w końcu nie porozmawiamy o tym, co się wydarzyło, sytuacja przez cały czas będzie niezręczna. Dlatego kiedy podążając za tłumem, przechodzimy przez kampus, idę nieco z przodu. Pokaz sztucznych ogni odbędzie się na szkolnym boisku, ale żeby na nie trafić, musimy podążać za licznymi wskazówkami w budynku szkoły.

– Możecie poszukać przyjaciół – mówi mama, patrząc na mnie i Eden. Jamie i Chase są za mali, żeby mogli chodzić samopas. – Gdybyśmy nie mogli was znaleźć, zadzwonimy, dobrze?

– I zachowujcie się – dodaje pospiesznie Dave. Patrzy przy tym na mnie, jakby się obawiał, że nawet w takim tłumie narobię problemów. A przecież to tylko cholerny pokaz sztucznych ogni. Niby co, jego zdaniem, miałbym zrobić?

– Tak, tak, jasne – rzucam i zrywam jego uwagę wzruszeniem ramion. Teraz, kiedy mogę już iść, nie zamierzam tracić czasu. Nie wiem nawet, czy są tu moi znajomi. Wiem tylko, że na szczęście nie ma Tiffani, ale to bez znaczenia. Nie chcę spędzać Czwartego Lipca w towarzystwie braci i dlatego robię wszystko, żeby zniknąć w tłumie. Nie przeszkadza mi to, że jestem sam. Czasami nawet wolę to od towarzystwa.

Wychodzę na chłodne świeże powietrze i przypominam sobie, dlaczego tak bardzo nie lubię Święta Niepodległości. Muzyki, parad, hałasu. Na oświetlonej reflektorami płycie boiska i na trybunach są tysiące ludzi. Czuję smród tłuszczu z budek z jedzeniem. *Ohyda*. Mijający mnie ludzie ocierają się o mnie ramionami, a ja nie mam pojęcia, dokąd pójść, i stoję w miejscu.

I nagle kątem oka widzę Eden. Stoi nieco z przodu, zagubiona pośród tłumu tak samo jak ja. Rozgląda się dokoła i wygląda na równie sfrustrowaną. Strasznie tu tłoczno i Eden sprawia wrażenie zmartwionej. Powiniennem z nią porozmawiać. Jestem sam. I ona jest sama. To idealna okazja, żeby mieć to za sobą. Jeśli teraz nie porozmawiam z nią o tym, co się stało, pewnie nigdy już tego nie zrobię. Denerwuję się, ale oddecham głęboko i podchodzę do niej.

– Nie sądziłem, że gdziekolwiek pójdziesz sama – zagaduję. Muszę podnosić głos, żeby usłyszała mnie pośród zgiełku. Eden spogląda na mnie. Wydaje się taka skrepowana i zagubiona, że to prawie słodkie. – Teraz możemy porozmawiać.

– Teraz? – pyta zaskoczona. Zerka na tłum i panujący dokoła chaos.

– Nie tutaj. – Uspokajam ją. To nie jest odpowiednie miejsce na taką rozmowę. Musimy być sami, potrzebujemy prywatności. – Chodź. – Mam ochotę wziąć ją za łokieć, ale powstrzymuję się i zamiast tego spuszczam głowę. Nie wiem, co myśli o całej tej sytuacji, i wolę jej nie dotykać, dopóki się nie dowiem. Choć to trudne.

Odwracam się w stronę szkoły i zaczynam przepychać się w tłumie. Modlę się w duchu, żeby Eden szła za mną. Gorzej, gdyby się okazało, że w ogóle jej to nie obeszło, ale wyczuwam za sobą jej obecność; pociesza mnie myśl, że jednak chce ze mną porozmawiać.

Po wejściu do budynku ignoruję znaki ZAKAZ WSTĘPU, przyklejone do ścian korytarzy. Muszę porozmawiać z Eden i jest to rozmowa, która nie może czekać. Musimy

znaleźć jakąś klasę albo coś. Jakieś miejsce, gdzie jest cisza i spokój; z dala od całego tego świętowania. Tak więc, mimo zakazów, skręcam w pierwszy lepszy korytarz i idę na sam koniec; nagle robi się cicho. Muzyka, choć słyszalna, jest odległa i przytłumiona. Ciemno tu i przez chwilę gapię się w ścianę, próbując zebrać myśli.

Powoli odwracam się w stronę Eden. Patrzy na mnie tymi dużymi orzechowymi oczami i chyba nigdy nie widziałem nikogo bardziej przerażonego. Boże, jak w ogóle mam zacząć? Mam gulę w gardle i uznaję, że nie ma sensu owijać w bawełnę. Dlatego pytam wprost:

– Co, do diabła, wydarzyło się w sobotę?

– Nie wiem – bąka pospiesznie. Może ona też chciała o tym porozmawiać, bo nagle słowa wylewają się z jej ust wartkim potokiem. – Przepraszam. Wkurzałeś mnie, a ja nie chciałam, żebyś znowu kupował narkotyki i... dlatego to zrobiłam. Nie chciałam. – Urywa, żeby wziąć oddech. Głos ma schrypnięty i drżący, i nic, co mówi, nie brzmi tak, jak należy. – Przepraszam, dobrze? To takie dziwne i na samą myśl robi mi się niedobrze, dlatego musimy udawać, że nic się nie wydarzyło.

*Udawać, że nic się nie stało?* Auć. Powinienem był wiedzieć, że to był tylko błąd. Że dziewczyna taka jak Eden w życiu nie zainteresuje się takim kolesiem jak ja. I nie dlatego, że jesteśmy przybranym rodzeństwem. Jej przeprosiny sprawiają mi przykrość.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo – mówię i chowam ręce w kieszeniach.

– Co?

– Odwzajemniłem twój pocałunek – przypominam jej. Pocałowałem ją, bo nie miałem pojęcia, jak bardzo tego chcę; bo było mi jej mało. Bo mi się podoba. Może ona pocałowała mnie przez przypadek, ale ja zrobiłem to celowo. – I nie zamierzam za to przepraszać.

Eden patrzy na mnie z rozchyłonymi ustami.

– Dlaczego?

Przez chwilę spoglądam na jej zmieszaną, zdenerwowaną twarz. W tym świetle, w blasku zachodzącego słońca, którego promienie wpadają przez okna i kładą się na jej twarzy, wydaje się taka czysta. Powiedzieć jej? Nie mam nic do stracenia. Powinna wiedzieć, bo jeśli tego nie zrobię, jeśli jej nie powiem, będę tego żałował. Druga taka szansa może się nie zdarzyć.

– Bo dokładnie wiedziałem, co robię – mówię w końcu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – powtarza piskliwym głosem. Jest wyraźnie podenerwowana. Widzę to po sposobie, w jaki oddycha i mruga.

– Bo cholernie chciałem to zrobić. – Wyrzucam to z siebie najszybciej, jak mogę, tak żebym nie miał czasu na zastanowienie. Odwracam się, przytrzymuję się ściany i wypuszczam powietrze. To prawda. Chciałem ją pocałować, po prostu nie wiedziałem o tym, dopóki ona nie pocałowała mnie. Dlatego czułem się tak dziwnie za każdym razem, gdy zbyt długo studiowałem jej twarz. Dlatego tak bardzo mnie intrygowała.

– Chciałeś? – pyta, a jej głos odbija się echem od pustych ścian. Mam wrażenie, że jesteśmy daleko od wszystkiego, co nas otacza. – Co masz na myśli, do cholery?

– Chcesz poznać prawdę? Chodzi o to, że cholernie mi się podobasz. – Odwracam się do niej i próbuję wyczytać coś z jej twarzy, gdy tak patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Dałem się ponieść emocjom i jestem na nią zły. – A wiem, że nie powinnaś, bo jesteś moją cholerną przybraną siostrą. Ale nic na to nie poradzę. To głupie jak diabli i wiem, że ty nie czujesz tego samego względem mnie, bo inaczej nie przepraszałaś za to, co wydarzyło się w tę pieprzoną sobotę. – Czemu to musiał być błąd? Wciąż mnie to boli, a chciałbym, żeby tak nie było. Do diabła, Tyler Bruce nie wie, co to znaczy być odrzuconym. Ale myślę, że w tej chwili po prostu jestem sobą. I przejmuję się. – Wolalbym, żebyś nie przepraszała – dodaję cicho, unikając jej wzroku. – Bo skoro przepraszasz, to znaczy, że żałujesz.

Eden milczy. Nie wiem, co chodzi jej po głowie i wcale nie wiem, czy chcę wiedzieć. Jeśli wcześniej mnie nie lubiła, to pewnie teraz ma o mnie jeszcze gorsze zdanie. Jestem upiornym starszym bratem, któremu wpadła w oko, i pewnie nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

– Myślałam, że mnie nienawidzisz – mówi po chwili. Nie tego się spodziewałem.

– Nienawidzę wielu osób, ale ty do nich nie należysz – zapewniam ją. A więc Tyler Bruce jako dupek był naprawdę przekonujący. – Ale za to nienawidzę tego, że tak bardzo mnie kręcisz.

– Przestań – mówi Eden. Potrząsa głową, na chwilę zamyka oczy i odsuwa się ode mnie. Stoi kilkadziesiąt centymetrów dalej, ale wolałbym, żeby była bliżej. – Jesteś moim przybranym bratem. Nie możesz mówić takich rzeczy.

– Kto wymyśla te idiotyczne zasady, co? – Wyglądam przez okno na tłumy na boisku; wszyscy ci ludzie są mi równie obcy co Eden. Poirytowany odwracam się w jej stronę i widzę, że wciąż patrzy na mnie ze strachem. – Trzy tygodnie temu nie wiedziałem nawet, kim jesteś. Nie patrzę na ciebie jak na siostrę, rozumiesz? Dla mnie jesteś dziewczyną, która niedawno pojawiła się w moim życiu. Jak, do cholery, można nazywać nas rodzeństwem?

– Masz dziewczynę – szepcze. Jeszcze bardziej odsuwa się ode mnie, twarz ma bladą. Wygląda, jakby lada chwila miała zwymiotować. – Tiffani jest twoją dziewczyną.

– Ale nie chcę, żeby nią była! – Nie chcę na nią krzyczyć, ale ona niczego nie rozumie. Nie mam wyboru. Muszę być z Tiffani, zwłaszcza teraz. Nie jestem zły na Eden. Jestem zły na Tiffani, na siebie i na całą tę sytuację. – Nie chcę być z Tiffani. Nie rozumiesz? To tylko kolejny sposób na to, żeby nie myśleć.

– O co chodzi z tym twoim niemyśleniem? – pyta Eden i rozkłada ręce. Nagle ona również wydaje się rozdrażniona i oboje zaczynamy na siebie krzyczyć.

– O NIC! – Potrzebuję chwili, żeby uspokoić oddech, ochłoniąć i zniżyć głos. To głupie. Marnuję czas, stojąc tu i rozmawiając z nią. Szczerze? Jestem zakłopotany i nie chcę już tego ciągnąć. Nie mogę uwierzyć, że byłem tak naiwny i miałem nadzieję, że poczuła to co ja. Choć raz próbuję być szczerzy, ale mój plan nie wypalił i teraz żałuję. Dużo łatwiej jest dochowywać tajemnic. – Powiedziałem, co chciałem powiedzieć. Wiesz, co o tobie myślę, i dałaś mi jasno do zrozumienia, że nic z tego nie będzie. To tyle z mojej strony. – Mijam ją, nerwowo szarpiąc włosy. – A teraz idź podziwiać pieprzone fajerwerki – mruczę pod nosem.

Upokorzyłem się i czuję się jak pieprzony idiota. Nawet nie mogę na nią spojrzeć. Nie wiem, jak dotrzymy pod jednym dachem do końca lata, bo to oczywiste, że będziemy na siebie wpadać. Od teraz każde spotkanie z nią będzie nie do zniesienia. Eden wie, że mi się podoba.

– Zaczekaj – mówi, a ja staję jak wryty i czuję, że wstępuje we mnie nowa nadzieja. *Proszę, proszę, powiedz, że tego nie żałujesz.* Nie mogę się odwrócić i na nią spojrzeć, ale słucham, modląc się w duchu, by miała do powiedzenia coś, na co warto czekać. I rzeczywiście, chwilę później ciszę wypełnia jej schrypnięty głos. – Nie dałeś mi szansy powiedzieć, że ty też mnie intrygujesz – mówi.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Kiedy w poniedziałek w przerwie na lunch wracam do szkoły, przyjaciele od razu tłoczą się wokół mnie, żeby zobaczyć mój gips. Jesteśmy w stołówce, siedzimy przy tym samym stoliku co zawsze. Czarny mazak przechodzi z rąk do rąk, a ja nadstawiam nadgarstek. Meghan pochyla się nad moją ręką i wystawia czubek języka, skupiona na ozdabianiu swojego imienia czarnymi wijącymi się kwiatami. Mam ochotę jej powiedzieć, że to obciach i że wolałbym, żeby tego nie robiła, ale się nie odzywam. Kwiaty i tak są lepsze niż autoportret, który próbowała narysować Rachael.

– Moja kolej – mówi Jake i wyciąga rękę, żeby wyrwać Meghan flamaster. Siedzi na stole po turecku, pochyla się i bierze mnie za rękę.

– Tylko nie pisz niczego głupiego – ostrzegam go. Poprzednim razem namalował cycki i mama musiała je zamazać. Mój gips wyglądał przez to beznadziejnie i chcę, żeby teraz było inaczej. Możliwe, że to ostatni gips w moim życiu.

Minęły trzy noce, odkąd tata ostatni raz podniósł na mnie rękę. Nie dotknął mnie, od kiedy obiecał, że już nigdy więcej mnie nie skrzywdzi. W weekend obserwowałem go i zauważyłem, że stara się nie podchodzić do mnie za blisko i zastanawia się, zanim coś powie. Nadal oczekuje, że będę się dużo uczył – i uczę się – a kiedy wczoraj wieczorem się zdenerwował, po prostu wyszedł z pokoju.

Myślę, że tym razem mówił prawdę. Myślę, że złe wieczory, te najgorsze... już się nie powtórzą. Myślę, że to już koniec. Może tym razem naprawdę przeproszał mnie po raz ostatni. Jeszcze może być dobrze, tak jak powinno być. Może będzie pomagał mi odrabiać pracę domową, może będziemy oglądać razem telewizję i bawić się w ogrodzie za domem... może będzie się zachowywał jak prawdziwy ojciec, który kocha swojego syna.

Mam taką nadzieję. Czuję się prawie... szczęśliwy. Nie do końca, ale dawno nie czułem się taki szczęśliwy jak teraz.

– Skończone – mówi Jake i ze złośliwym uśmieszkiem wraca na krzesło. Spoglądam na gips i szczerze, nie mam pojęcia, co narysował. Wygląda jak diabeł, pod którym widnieje napis: *Pamiętaj, że Jake jest fajniejszy od ciebie*. Jakoś wcale mnie to nie dziwi, ale na pewno nie zepsuje mi nastroju.

– Słodkie. – Uśmiecham się do niego. Uśmiech Jake'a przygasa, jakby był rozczarowany, że nie rzuciłem w niego lunchem. Biorę od niego mazak i podaję Deanowi. – Chcesz się podpisać?

– Jasne – rzuca. Podchodzi do mnie, bierze mazak i szuka na gipsie wolnego miejsca. – Jakim cudem znowu ją złamałeś? – pyta.

– Pamiętaj, że to Tyler – mruczy Rachael i przewraca oczami. – Przyciąga nieszczęścia jak magnes.

– Coś w tym stylu – przyznaję ze śmiechem. Nie wiedzą jeszcze, że koniec z nieszczęściami. Nie będzie więcej siniaków i guzów. Koniec z wymówkami i kłamstwami.

Dean kończy podpisywać gips. Zapisał na nim swoje imię, a pod spodem dopisał, że życzy mi powrotu do zdrowia. Żadnych cycków czy diabłów. Dean jest na to za miły. Patrzę, czy wszyscy siedzący przy stoliku już się podpisali i widzę, że została tylko ta nowa, Tiffani. W sumie to nie jest już nowa, od kilku tygodni przysiadła się do nas w przerwie na lunch. Teraz siedzi na końcu stolika, obserwuje nas w milczeniu i skubie zębami wargę.

Patrzę na nią, posyłam jej słaby uśmiech i wyciągam do niej rękę.

– Podpiszesz?

– A chcesz? – pyta zaskoczona, jakby się nie spodziewała, że ją o to zapytam. Skoro jednak uważa nas za przyjaciół, byłoby głupio, gdybym tego nie zrobił.

– Jasne. – Wyrrywam Deanowi mazak i wyciągam w jej stronę, a ona bierze go i wstaje. Sięga po plecak, okrąża stół i siada na rogu. Włosy opadają jej na twarz, kiedy zapisuje na gipsie swoje imię. Nic więcej. Tylko *Tiff* i małe serduszko. Chwilę później rzuca mazak na stół i wyciąga ciemnoróżową szminkę. Patrzymy w milczeniu, jak maluje usta, a zaraz potem oburącz podnosi moją rękę, przyciska wargi do gipsu tuż nad swoim imieniem i patrzy na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

– Wyjątkowy – mówi z uśmiechem i opuszcza moją rękę. – Jak ja.

– Hej – rzuca Jake. – Chyba coś stało mi się w usta. Może je też podpiszesz?



## DZIŚ

Niebo eksploduje feerią barw, wśród których dominują różowy, niebieski, zielony i żółty. Rozpoczął się pokaz. Eden i ja w milczeniu odwracamy się do dużych okien z widokiem na boisko i zgromadzone na nim tłumy. Kolory rozświetlają korytarz i odbijają się w naszych oczach, ale ja nie mogę skupić się na fajerwerkach. Cała moja uwaga koncentruje się na Eden. Jej oświetlone czerwienią orzechowe oczy zdają się świecić w ciemnościach. Czy na pewno dobrze ją zrozumiałem?

– Intryguję? – powtarzam. Słowo to brzmi dziwnie w moich ustach. Nie sądziłem, że mogę być intrygujący i nie to spodziewałem się usłyszeć. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Ominą nas fajerwerki – bąka żałośnie Eden. Nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy. Wygląda przez okno i patrzy na świat, który świetnie radzi sobie bez nas.

– Mam gdzieś fajerwerki – warczę. Jak w ogóle może zwracać na nie uwagę, skoro tuż obok dzieją się rzeczy dużo ważniejsze; na przykład trzeba wyjaśnić, co ma na myśli, mówiąc, że jestem intrygujący. – Jaja sobie robisz? Intryguję cię? – To kompletna porażka. Liczyłem na coś więcej.

– Ten twój mur – mówi drżącym głosem. Czyżby znowu się mnie bała? Bo jestem zły? A może boi się siebie. – Intryguje mnie mur, którym się otoczyłeś.

*Cholera.*

– Nie wiem, o czym mówisz – kłamię bez przekonania.

– Aż do tej chwili nie miałam o tym pojęcia – ciągnie Eden. Nerwowo przygryza wnętrze policzka i wbija wzrok w podłogę. Zupełnie jakby próbowała zebrać myśli. W końcu spogląda na mnie – Otoczyłeś się murem, który mnie intryguje – mówi.

– Wiesz co? Mam to gdzieś – warczę. Nie rozgryzie mnie. Przez tyle lat nikt mnie nie rozgryzł i myśl o tym, że to właśnie ona zauważyła skazy i pęknięcia na fasadzie mojego życia jest prawie nie do wytrzymania. – Myśl sobie o mnie, co chcesz.

– Mam sobie myśleć, co chcę? – powtarza. Głos ma silniejszy, jakby na powrót stawała się dawną Eden. Eden, która nie cofa się przed niczym, która rzuca mi wyzwania i która nie boi się powiedzieć mi prawdy. – No dobra, myślę, że mnie wkurzasz – zaczyna, mrużąc oczy. – Myślę, że jesteś aroganckim dupkiem, który nie potrafi być miły, bo słowo „miły” nie pasuje do tego, kogo udajesz.

Wygląda na to, że udając Tylera Bruce’a, zbyt często dawałem ciała, bo Eden przejrzała mnie na wylot. Wie, że to gra. Wie, że nie jestem taki, ale pragnę, żeby w to uwierzyła. Nie chcę, żeby odkryła, że w głębi duszy jestem kruchy i rozbity.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – rzucam. *Myli się.*

– Daj mi skończyć – upiera się i bierze głęboki haust powietrza. – Myślę też, że jesteś palantem. Masz wybudowane ego i wydaje ci się, że jesteś fajny, gdy udajesz twardziela. Tyle że tak naprawdę wygląda to żałośnie.



*Zamknij się, do cholery!* Mam ochotę wrzasnąć na nią, ale gryzę się w język i próbuję opanować złość. Wyznam jej, że mi się podoba, a ona patrzy na mnie i rzuca mi w twarz coś takiego. To boli. Powinienem był odejść, kiedy miałem okazję.

– Dobra, zrobiłem z siebie idiotę, przyprawiając cię tu i mówiąc ci, że mi się podobasz. Mogłaś potraktować mnie łagodniej.

Zaciska usta i jeszcze bardziej mruży oczy.

– Myślałam, że taki twardziel jak ty zniesie wszystko.

Znowu rzuca mi wyzwanie. Chowam ręce w kieszeniach i patrząc w okno, przez chwilę analizuję jej słowa. Sztuczne ognie wciąż eksplodują na niebie; podziwiam je w ciszy, słuchając huku i trzasków. Może w głębi duszy podoba mi się to, że Eden mnie rozgryzła. To przerażające wiedzieć, że ktoś zna twoje najmroczniejsze sekrety, ale jakaś część mnie niemal błaga, by tak się stało. Staram się z tym walczyć, odpycham od siebie ludzi, a tak naprawdę pragnę, by ktoś w końcu mnie zrozumiał. Ktoś, kto powie mi, że pewnego dnia wszystko będzie dobrze; że pewnego dnia poczuję się lepiej. Oglądam się przez ramię na Eden.

– A ja myślałem, że się domyślisz, że wcale nie jestem twardzielem – szepczę. Oto ja. Tyler.

Eden spogląda na mnie. Stoimy metr od siebie i ona patrzy na mnie w milczeniu. Jasne, kolorowe światła fajerwerków wciąż odbijają się w jej oczach. Widzę w nich tyle różnych emocji. Najpierw zmieszanie. Potem zaskoczenie. A wreszcie strach, który znam aż za dobrze. To ten sam strach, który czułem w sobotni wieczór, jak do mnie dotarło, że nie tylko pocałowałem swoją przybraną siostrę, ale że ona mi się podoba.

– Myślę – szepcze – że ty też mi się podobasz.

*Co?* Na krótką chwilę serce przestaje mi bić. Odwracam się od okna. Czuję zaskoczenie i wątpliwości.

– Naprawdę? – pytam głosem, który brzmi, jakby należał do kogoś innego.

– Tak – mówi. Na chwilę zamyka oczy i z trudem przetyka ślinę. – Przepraszam.

– Przestań przepraszać. – *Za co ona przeprosza?* Przecież to właśnie chciałem usłyszeć; tymczasem ona wygląda na kompletnie przerażoną. Wiem, że niełatwo uświadomić sobie coś takiego, ale jestem gotowy to zaakceptować. Mam nadzieję, że ona również. Powoli podchodzę bliżej i staję naprzeciw niej. – Niczego nie żałuj.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie. Zaglądam w jej oczy, różnobarwne od tańczących w nich kolorów, ja jednak widzę tylko orzechowy. Pragnę ją pocałować. Marzę o tym. Chcę przycisnąć wargi od jej warg. Dotykam jej łokcia i sunę palcami w dół, aż do nadgarstka. Następnie obejmuję ją w pasie.

– Co się dzieje? – szepcze Eden. Czuję, jak drży. Jest spięta i wstrzymuje oddech. Nie patrzy na mnie i zamiast tego wpatruje się w fajerwerki. Kciukiem rysuję koła na jej biodrze, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy. Czuję między nami chemię. Ona też tego pragnie. Zbliżam twarz do jej twarzy i muskam ustami jej delikatną miękką skórę. Jest ciepła, a ja zasypuję ją pocałunkami. Zbliżając się do kącika jej ust, zamieram, jakbym na coś czekał.

Cisza zdaje się zbyt krucha, by ją przerwać, ale mimo to szepczę:

– Pozwól mi się pocałować.

– Ale jesteś moim przybranym bratem. – Jej głos jest ledwie słyszalny, a ona sama stoi bez ruchu, blisko, tak bardzo blisko moich ust.

– Po prostu o tym nie myśl – mruczę. Czuję, że dłużej tego nie zniosę i przywieram ustami do jej ust.

Są pełne i idealne. Całuję ją tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie całowałem, delikatnie i leniwie. Rozkoszuję się smakiem jej ust i chyba nigdy nie będę miał go dość. Nie zwracam

uwagi na fajerwerki i głos, który słyszę gdzieś w tle. Skupiam się wyłącznie na tej chwili, na sercu, które tłucze mi się w piersi, i na Eden. Przyciągam ją do siebie, a mój pocałunek staje się głębszy i bardziej zachłanny. Chcę odkrywać każdy skrawek jej ciała i mam wrażenie, że nie panuję nad rękami. Zatapiam palce w jej włosach, dotykam jej karku i przyciągam ją do siebie, aż nie sposób powiedzieć, gdzie kończy się moje ciało, a zaczyna jej. Serce wali mi jak oszalałe, kręci mi się w głowie. Eden oddaje mi pełną kontrolę, nasze ruchy są zgodne, pocałunki znowu zwalniają. Ujmuję ją pod brodę, żebym mógł całować ją jeszcze głębiej. Boże, jakie to cudowne.

– Dobra, dość tego – woła czyjś głos, sprowadzając nas na ziemię. Jestem kompletnie zaskoczony i czuję, jak Eden sztywnieje mi w ramionach. – Powiedziałem dość tego!

– Cholera – mruczę i niechętnie odsuwam się od Eden. Czar prysł. Opuszczam ręce, przeczesuję włosy palcami i odwracam się w stronę kretyna, który nam przeszkodził. To gliniarz. Funkcjonariusz policji z Culver City gapi się na mnie, na co ja odpowiadam mu tym samym. Wszystko dzieje się tak nagle, że dopiero gdy słyszę swój pełen agresji głos, dociera do mnie, że znowu przywdziałem maskę Tylera Bruce'a. – Jakiś problem? – warczę.

– Wtargnęliście na teren prywatny – oświadcza gliniarz stanowczym głosem. Patrzy podejrzliwie najpierw na mnie, a zaraz potem na Eden.

– Wtargnęliśmy? – powtarzam. Jaja sobie robi? Koleś za bardzo przejął się swoją rolą czy co? – Nie ma pan czegoś lepszego do roboty? Może zająłby się pan pijackimi awanturami na boisku? – Mówiąc to, wskazuję głową okno i tłumy, które przyszły podziwiać podniebną feerię barw. Jest Czwartą Lipca i jestem pewien, że policja ma na głowie ważniejsze sprawy.

– Dość tego – warczy na mnie gliniarz. Opiera ręce na biodrach. – Budynek szkoły jest zamknięty, z wyjątkiem niektórych korytarzy. Wtargnęliście tutaj i macie szansę opuścić to miejsce dobrowolnie, w przeciwnym razie będę zmuszony użyć siły.

– Użyć siły? – Mało nie parskam śmiechem. Czy mi się zdaje, czy koleś grozi, że wywlecze mnie stąd siłą? Przecież nic nie zrobiliśmy. – Może nam pan dać minutę? Zaraz się stąd wyniesiemy. Chodzi o to, że nam pan przeszkodził.

– Chodź już, Tyler – mruczy Eden. Ciągnie mnie za koszulkę i prosi, żebym odpuścił, ale Tyler Bruce nie odpuszcza. Uparłem się i nie pozwolę się wyprowadzić.

– Właśnie widzę, że w czymś przeszkodziłem – stwierdza funkcjonariusz. Patrzy na nas z odrazą, a jego głos ocieka sarkazmem. Może przez cały czas nas podglądał? Zbok. – Nie mam zamiaru przemawiać wam do rozsądku – ciągnie. – Proszę, żebyście wyszli i oczekuję, że to zrobicie. Nie próbuj marnować mojego czasu, synu.

– To tylko cholerny korytarz – przypominam mu i rozkładam ręce. Pieprzenie. Wyjdę, ale dopiero jak skończę to, co zacząłem; kiedy będę mógł pocałować Eden. I nikt nie będzie mi w tym przeszkadzał. – Przecież nie buszujemy po Białym Domu. Proszę dać nam pięć minut.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? – warczy gliniarz, coraz bardziej poirytowany moim zachowaniem. – Ojciec nie nauczył cię słuchać poleceń?

I jak zawsze w takich sytuacjach puszczają mi nerwy.

– Jesteś pieprzonym dupkiem, czy co? – syczę i robię krok w jego stronę; ręce mam opuszczone, ale zaciskam dłonie w pięści. Gdyby nie był gliniarzem, rzuciłbym się na niego. Za kogo on się ma? Mój ojciec nie dawał mi niczego poza rozkazami.

– Dość tego – rzuca gliniarz i odpina od paska parę kajdanek. – Prosiłem, żebyście poszli, ale nie posłuchaliście. Do tego wasze zachowanie jest dalece niestosowne, więc aresztuję was zgodnie z paragrafem sześćset dwa.

*Cholera.* To nie może być prawda. Miałem siedzieć cicho, nie wychylać się i nie zwracać na siebie uwagi policji. Kątem oka widzę Eden, która otwiera usta i w tej samej chwili słyszę, jak gliniarz dodaje:

– Oboje.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

W piątek po szkole Hugh odwozi mnie do domu. Zastaję tatę siedzącego przy kuchennym stole. Zwykle kiedy bierze wolne popołudnia, nie przynosi pracy do domu. Ale dziś na stole obok kubka z kawą walają się segregatory, dokumenty, długopisy. Tata siedzi przygarbiony, z poluzowanym krawatem; jedną ręką drapie się po głowie, a w drugiej trzyma kartkę papieru, której przygląda się z uwagą.

W domu panuje cisza. Jamie i Chase są pewnie na górze. Odkąd ojciec przeniósł PlayStation do ich pokoju, oszaleli na punkcie gier wideo.

Wysuwam krzesło i siadam naprzeciw niego przy stole. Od jego obietnicy minął tydzień i na razie dotrzymuje słowa. Tylko dlatego się do niego przysiadam. Powoli próbuję znowu mu zaufać, jak kiedyś, zanim wszystko się popsuło. Kładę rękę na stole i uśmiecham się do niego.

– Pracujesz w domu?

– Nie pracuję – rzuca pospiesznie i nie podnosząc głowy, patrzy na mnie. On również się uśmiecha, ale widzę, że jest to wymuszony uśmiech. Na jego czole pojawiają się zmarszczki.

– Próbuję coś rozgryźć.

– Co?

– I tak nie zrozumiesz. Przynajmniej na razie. Kiedyś tak, ale nie teraz. – Z ciężkim westchnieniem odkłada dokument i masuje skronie. – Dlaczego zawsze wszystko wali się człowiekowi na głowę w tym samym czasie? Dlaczego brakuje mi raportów akurat wtedy, kiedy dwóch moich pracowników odchodzi? – mruczy pod nosem, jakby mówił do siebie. Z tego, co wiem, firma taty, Grayson's, nigdy nie miała problemów. Zajmują się inżynierią budowlaną czy czymś podobnym. Mają biura na całym Zachodnim Wybrzeżu. Odnoszą sukcesy. A przynajmniej odnosili. Może nie w ostatnich latach. Stres w pracy nie służy tacie; zawsze uważałem, że to z powodu stresu tak łatwo wpada w złość.

– Coś wymyślisz – mówię. To właśnie powiedziałyby mama, gdyby była teraz w domu, a ponieważ jej nie ma, to ja próbuję go pocieszać. Staram się go nie denerwować i nie przysparzać mu problemów. Nie chcę, żeby się złościł. – Dlatego byłeś w college'u. Żeby wiedzieć, jak rozwiązywać problemy.

– Nie – mówi i podnosi głowę. – Poszedłem do college'u, żeby utrzymać rodzinę. – Odsuwa leżące przed nim papiery, opiera łokcie na stole, splata palce i pochyla się do przodu. – Coś ci powiem, Tyler. W młodości byłem idiotą. Nic mnie nie obchodziło. Szkoła? Kto by się przejmował szkołą. Mało brakowało, a powtarzałbym klasę. Nie dlatego, że nie byłem wystarczająco mądry, ale dlatego, że nie przykładałem się do nauki. Twoja babcia... doprowadzałem ją do szału. – Tłumi śmiech i przewraca oczami. – Miałem szesnaście lat i byłem zakochany w twojej mamie. Podkradałem ojcu samochód i wymykałem się na spotkania z nią. Piliśmy razem tanie piwo. I wtedy... Cóż, znasz historyjki o pszczołkach i kwiatach. Przytrafiłeś nam się ty.

– Faj – bąkam i krzywię się z odrazą. Wiedziałem, że kiedy się urodziłem, rodzice byli

młodzi, że mieli po siedemnaście lat i chodzili do szkoły, ale nie muszą znać szczegółów. To obrzydliwe.

– Uwierz mi, jak będziesz miał szesnaście lat, nie będziesz się krzywił – żartuje tata, a zaraz potem unosi brew. – Albo przynajmniej osiemnaście, proszę – dodaje z powagą.

– Tato – mówię błagalnie. Czuję, że się czerwienię.

– Dobrze już, dobrze! – Śmieje się, podnosi przepaszającą rękę i patrzy na mnie łagodnie. – Chodzi o to, że postanowiliśmy zamknąć ludziom gęby. Nie zamierzaliśmy być rodzicami, którzy rzucili liceum, mieszkają w ruderze i ledwo wiążą koniec z końcem. Chcieliśmy dla ciebie czegoś lepszego. Dlatego ukończyliśmy szkołę i poszliśmy do college'u.

– Urywa na chwilę, a na jego twarzy maluje się powaga. – Tyler, twoja mama studiowała siedem cholernych lat, wychowując trójkę dzieci. Studia prawnicze. Przy trójce dzieci. Wyobrażasz sobie, jakie to trudne? – Kiwam głową. Nadal pamiętam, jak po nocach uczyła się do egzaminów.

– Tak bardzo was kochała. I ja też. Bo teraz macie wszystko, czego wam trzeba, prawda? – Znów przytakuję, a on wzdycha. Wstaje, siada na krześle obok mnie i wciska dłonie między kolana.

– Dlatego jestem wobec ciebie taki wymagający – tłumaczy. Dopiero teraz go rozumiem. – Nie dlatego, że jestem dupkiem, ale dlatego, że nie chcę, żebyś popełnił te same błędy co ja. Chcę, żebyś odniósł sukces. Żebyś skupił się na szkole i dostał się do naprawdę dobrego college'u. Jednego z najlepszych. Opłacimy nawet chesne za któryś z uniwersytetów Ligi Bluszczonej.

– Chcecie, żebym poszedł na uniwersytet Ligi Bluszczonej? – pytam, marszcząc brwi.

– Czemu nie? – pyta ojciec, a ja patrzę na niego w osłupieniu. – A jak skończysz studia, inżynierię, będziesz zarządzał firmą dużo lepiej ode mnie. Zgoda?

Nie mam odwagi mówić mu, że może nie chcę studiować inżynierii i może wcale nie chcę prowadzić jego firmy. Dlatego uśmiecham się i przytakuję.

Widząc to, uśmiecha się z dumą i tuli mnie do siebie.



## DZIŚ

– Musiałeś się odzywać? – szepcze mi do ucha Eden i nerwowo masuje skronie.

Siedzimy w celi na posterunku policji w Culver City. Wezwano naszych rodziców i im dłużej na nich czekamy, tym bardziej ona robi się niespokojna. Widać nigdy wcześniej nie została zatrzymana. Cała ta sytuacja wytrąciła ją z równowagi i gdybyśmy byli sami, może spróbowałbym ją przytulić albo coś. Ale nie jesteśmy sami. Mamy towarzystwo – na przykład nawaloną kobietę w szpilkach, która na znak protestu tarza się po podłodze, krzycząc i zawodząc.

– Gliniarz był kutasem – mruczę w odpowiedzi. Nienawidzę policjantów, przynajmniej tych tutaj. Opieram się o ścianę i patrzę, jak krążą po posterunku. Dzwonią telefony, słysząc gwar rozmów. – Jak oni wszyscy. – To nieprawda. Jest jeden gliniarz, który nie jest kutasem. To posterunkowy Gonzalez z komisariatu w Santa Barbara. Lubię go.

– Nie byłoby nas tu, gdybyś sobie odpuścił – ciągnie Eden. Znowu jest na mnie zła, bo to przeze mnie wylądowała w policyjnej celi. Ja ją w to wplątałem i chociaż źle się z tym czuję, to wiem, że nie mamy się czym przejmować.

Z jękiem pochylam się do przodu, opieram łokcie na kolanach i wbijam wzrok w podłogę.

– Moja mama nas stąd wyciągnie – uspokajam ją, zerkając w jej stronę. Siedzi tuż obok mnie, ale się nie dotykamy. Nie możemy. Nie wtedy, kiedy wokół nas są ludzie.

Eden przewraca oczami, ale wcale nie wygląda na uspokojoną.

– Niby czemu? Bo jest prawniczką?

– Bo robiła to już wcześniej – przyznaję i siadam prosto. Mama, która jest prawniczką, to dobra rzecz. Specjalizuje się w sprawach cywilnych, ale zna się też na prawie karnym. Nienawidzi, jak pakuję się w takie problemy, ale jak zwykle robi, co może, żeby obeszło się bez konsekwencji. Przez ostatnie pięć lat nie pracowała i próbowała ogarnąć bałagan w naszym życiu, ale nadal jest dobra w tym, co robi. – Zawsze ratuje mi tyłek.

– Wcześniej – powtarza Eden. Patrzy na mnie i mruży oczy, zaintrygowana. – Ile razy byłeś już aresztowany?

– Raz. Dwa. – Wzruszam ramionami i uśmiecham się szelmowsko. – Może trochę więcej.

– Za co?

– Hmm. Za jakieś głupoty – rzucam. Muszę się zastanowić. Od ostatniego aresztowania minęło już trochę czasu i jeśli się nad tym zastanowić, rzeczywiście zawsze chodziło o głupoty. Wstaję i wyłamując palce, zaczynam chodzić w kółko. – Bójki, wandalizm, zakłócanie spokoju – mówię, jak gdyby nigdy nic. Nie włamałem się do sklepu ani nic z tych rzeczy, nie mam się czego wstydzić. Zerkam na nią. – No i wtargnięcie – dodaję ze śmiechem.

– Przynajmniej nikogo nie zabiłeś – rzuca i prawie się uśmiecha.

– Jeszcze – mówię. Widzę twarz ojca, wyraźnie jak na dłoni... – Mam kogoś na oku. – Mówię to zbyt poważnym tonem – może dlatego, że zwykle jestem poważny – i Eden spogląda na mnie przerażonym wzrokiem. Naprawdę mi uwierzyła. – Eden! – Uspokajam ją. Kręcę głową i wybucham śmiechem.

– Jeszcze nie do końca rozumiem twoje poczucie humoru – tłumaczy, krzyżuje dłonie na piersi i wydyma usta. – Nawet nie wiedziałam, że je masz – dodaje uszczypliwie.

Uśmiecham się do niej i kręcę głową na znak, że się poddaję. Lubię się z nią przekomarzać. Jestem taki tylko przy niej i przy moich braciach. Czuję, że z nią mogę pozwolić sobie na żarty.

– To było dobre.

– Bruce, Munro! – woła nagle czyjś głos. Odwracam się i widzę funkcjonariusza Greene’a, który obserwuje nas z drugiej strony krat. To nie on nas zatrzymał, ale on się nami zajmuje, odkąd trafiliśmy na komisariat. Jest takim samym dupkiem jak tamten. – Przyjechali wasi rodzice – oświadcza.

– Zabiją nas – mruczy Eden pod nosem i podnosi się z ławki. – O, Boże. Oni naprawdę nas zabiją.

– Zamknij się – rzucam i posyłam jej ostrzegawcze spojrzenie. Musi wyluzować. – Ja będę mówił.

– Za mną – instruuje nas posterunkowy Greene, otwierając drzwi celi.

Idziemy przez komisariat. Eden trzyma się tuż za mną, słyszę za plecami jej ciężki oddech. To jasne, że mama i Dave nie będą zachwyceni, ale przecież nie postawiono nam żadnych zarzutów. Przynajmniej na razie. Zresztą zaraz się dowiemy. Funkcjonariusz Greene prowadzi nas do mniejszego, prywatnego gabinetu, w którym czekają nasi rodzice.

Najpierw patrzę na mamę. Wie, że mam kiepski dzień, ale w tej chwili nie może sobie pozwolić na współczucie. Ma na twarzy napiętą maskę profesjonalistki, którą zakłada, gdy pracuje nad czymś ważnym. Minę ma poważną, usta zaciśnięte i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Kiedykolwiek zrobię coś takiego, nie tyle złości się na mnie, co jest jej smutno. To jej przypomina, że nie jest ze mną dobrze, że wypadłem z szyn i przegrywam tę wojnę. Za to Dave jest wściekły za nich oboje. Z rękami na biodrach i ciałem napiętym niczym struna gromi nas wzrokiem. Wypina pierś do przodu, policzki mu płoną.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – warczy, ale mama szybko wkracza do akcji. W tej kwestii poradzi sobie znacznie lepiej.

– Panie...? – zaczyna, patrząc na posterunkowego Greene’a. Spogląda na odznakę i mruży oczy, choć ma sokoli wzrok.

– Greene – mówi gliniarz.

– Panie Greene – zaczyna mama i odchrząkuje znacząco. Kręci głową, szykując się do poważnej rozmowy. – Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego aresztowano ich za wtargnięcie? Tak przy okazji, jestem prawnikiem. – Uśmiecha się nieznacznie i unosi brew. Dobrze wie, co robi, i uwielbiam ją taką, silną i panującą nad sytuacją, chociaż ostatnio nieczęsto ją taką widuję.

– Zostali aresztowani na mocy paragrafu sześćset dwa kodeksu karnego za wtargnięcie na teren prywatny w liceum Culver City – informuje posterunkowy Greene, jednakże jest zmieszany. Nerwowo przestępuje z nogi na nogę. – W trakcie obchodów Święta Niepodległości tylko niektóre części kampusu były otwarte dla publiczności. Tych dwoje przyłapano na korytarzu w zamkniętej części budynku.

Mama przewraca oczami. Widać spodziewała się czegoś poważniejszego.

– Naprawdę? Aresztowaliście ich, bo weszli na nie ten korytarz co trzeba?

– Nie ja ich aresztowałem, proszę pani – tłumaczy się Greene i podnosi rękę, jakby chciał się bronić. – Funkcjonariusz Sullivan nie jest szczególnie cierpliwy, a pani syn stawiał opór, gdy go poproszono, żeby wyszedł. – Mówiąc to, zerka na mnie. – Oboje mieli kilka okazji, żeby opuścić tamto miejsce.

Omam nie parskam śmiechem. Nazwanie posterunkowego Sullivana niecierpliwym to

grube niedopowiedzenie. Facet nie chciał nam dać nawet pięciu minut. Mama gromi mnie wzrokiem, powstrzymuję więc uśmiech i gapię się w podłogę.

– Ja również byłam dziś wieczorem w tej szkole i pamiętam znaki ZAKAZ WSTĘPU. – Głos mamy jest silny i stanowczy. Mruży oczy i patrzy na Greene’a wyzywająco. – Ale takie znaki to nie to samo co tabliczki informujące o tym, że wtargnięcie jest wykroczeniem, i dlatego tych dwoje nie miało pojęcia, że wchodząc na korytarz, popełniają przestępstwo. A zatem nie można aresztować ich tylko dlatego, że pański kolega jest dość nerwowy.

Wciąż próbuję powstrzymać się od śmiechu. Podnoszę głowę i zerkam na Eden, a gdy widzę, że na jej twarzy wciąż dominują strach i zdenerwowanie, jeszcze bardziej chce mi się śmiać. Żeby nie parsknąć śmiechem, zakrywam usta dłonią.

– Może w takim razie – zaczyna posterunkowy Greene i wyciąga do mamy rękę – zaoszczędzimy państwu i mnie papierkowej roboty i puścimy wszystko w niepamięć?  
– Rozciąga usta w nerwowym uśmiechu.

– Tak będzie najrozsądniej – przyznaje mama i podaje mu rękę. Kątem oka zerka na Dave’a, który niemal niezauważalnie kiwa głową. Mama musi jeszcze na chwilę zostać na komisariacie.

– Dobra – rzuca Dave i klaszcze w dłonie. W jego głosie słychać, że jest wściekły. – Wy dwoje, idźcie do samochodu. Natychmiast. – Po tych słowach przeciska się między Eden a mną.

– Ktoś tu jest wściekły jak diabli – mrużę. Dopiero gdy stąd wyjdziemy, Dave pokaże nam, co o tym myśli. Mnie zakomunikuje, że mam szlaban na następne dziesięć lat, a Eden przytuli i powie jej, że nic się nie stało.

Kiedy wychodzimy z komisariatu na parking, konspiracyjnie szturcham Eden. Nie wiem, która godzina, ale jest już ciemno i zerwał się chłodny wiatr. Raczej wątpię, żebyśmy dalej świętowali Dzień Niepodległości. Podchodzimy do range rovera mamy, otwieramy drzwi i widzimy śpiącego na tylnej kanapie Chase’a. To idiotyczne, że rodzice wściekają się na nas za to, że zostaliśmy zatrzymani za wtargnięcie do szkoły, a sami łamią prawo, wożąc na tylnym siedzeniu całą naszą czwórkę.

– Co zrobiłeś tym razem? – pyta Jamie, patrząc na mnie z ciekawością.

Zerkam na Eden i posyłam jej szelmowski uśmiech.

– Coś, czego nie powinienem – rzucam.

Przesuwam Chase’a i siadamy z tyłu, ściśnięci jak sardynki. Nie wiem, jak przetrwam drogę powrotną. Już w tamtą stronę męczyłem się jak diabli, a przecież Eden i ja nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Teraz, po tym, jak niecałą godzinę temu całowałem się z nią, będzie jeszcze gorzej.

Czekam, aż Dave zacznie na mnie krzyczeć, ale on siedzi w milczeniu na fotelu kierowcy. Może nie chce się awanturować przy córce. Nawet jeśli zamierza coś powiedzieć, to nie ma okazji, bo z posterunku wychodzi mama. Siada na fotelu pasażera, zamyka drzwi, krzyżuje ręce na piersi i patrzy przez przednią szybę.

– Nieźle, mamó – mówię, chcąc rozładować atmosferę. Pochylam się do przodu i dotykam jej ramienia, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Dałaś im popalić.

– Nawet się do mnie nie odzywaj. – Mama odpycha moją rękę. Nie odwraca się ani nawet na mnie nie patrzy. Tylko siedzi ze wzrokiem utkwionym przed siebie. – Któregoś dnia palcem nie kiwnę. Rozczarowałaś mnie.

– A ty mnie, Eden – odzywa się w końcu Dave. Jego głos nie jest ostry i zjadliwy jak zawsze, ale zachrypnięty. Uruchamia silnik i wyjeżdża z parkingu. – Co wyście tam w ogóle robili? Jeśli dobrze pamiętam, pokaz odbywał się na zewnątrz.

– Wcale nie. Prawdziwy pokaz odbywał się w środku – żartuję i zerkam na Eden,



rozbawiony zdenerwowaniem malującym się na jej twarzy. To, że zrobiliśmy coś tak niestosownego, jest niemal... zabawne. Nasi rodzice nie mogą się dowiedzieć, że całowaliśmy się na korytarzu. Już sama myśl, że musimy zachować to w tajemnicy, jest tak ekscytująca, że chcę się przekonać, jak daleko mogę się posunąć. Siedząc w ciemnościach na tylnej kanapie samochodu, wodzę palcem po udzie Eden.

– Przestań pyskować – warczy mama, a ja uświadamiam sobie, że naprawdę jest na mnie zła. – Musiałam podpisać dokumenty za was oboje, a mogłam was tam zostawić na całą noc. Dlatego, Tyler, choć raz w życiu siedź spokojnie i się nie odzywaj.

Cholera. Mama rzadko mówi do mnie w ten sposób, ale i tak niespecjalnie się tym przejmuję. Wiem, że doprowadzam ją do szału, i wiem też, że czasami ma prawo się na mnie złościć. Dlatego słucham jej i w drodze powrotnej nie odzywam się ani słowem. Zamiast tego skupiam się na Eden i przy byle okazji dotykam jej dyskretnie. Muskam dłonią jej dłoń, napieram kolanem na jej kolano. Eden wygląda przez okno. Światło ulicznych lamp oświetla jej twarz na pomarańczowo, przez co jej skóra zdaje się lśnić. Droga powrotna mija szybciej niż podróż do Culver City, kiedy jednak wchodzimy do domu, dochodzi północ. Dave niesie śpiącego Chase'a.

– Nawet nie wiem, co ci powiedzieć, Tyler – mruczy mama, zamykając za nami drzwi frontowe. Dave z Chase'em w ramionach idzie na górę; Jamie wlecze się za nimi. – Mam tego... Po prostu mam tego dość. – Odwraca się w moją stronę i bierze głęboki oddech. Widzę w jej oczach, jak bardzo jest zmęczona. – Eden, idź do swojego pokoju. Prześpij się – mówi z wymuszonym uśmiechem, dyskretnie dając jej do zrozumienia, żeby zostawiła nas samych. Eden kiwa głową i bez wahania idzie na górę.

Kiedy zostajemy sami, mama idzie do kuchni, a ja za nią. Jest mi trochę głupio. Nienawidzę takich sytuacji. Spuszczam głowę, bo jestem zbyt zakłopotany, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Wiem, że masz kiepski dzień, Tyler – mówi cichym, spokojnym głosem. Z westchnieniem opiera się o blat i przykłada rękę do twarzy. – Ale... proszę. Przestań to robić. Boję się, że pewnego dnia wpakujesz się w poważne tarapaty.

*Jak sprzedawanie ziola?* Marszczę czoło i kiwam głową na znak, że jej słucham.

– Przepraszam, mamie – mówię. I naprawdę jest mi przykro. Jest mi przykro, że zawsze ją zawodzę.

– Wiem. – Patrzy na mnie z drugiego końca kuchni i uśmiecha się do mnie ze smutkiem. Czasami rozdieram jej serce, choć wcale tego nie chcę. – Dobranoc, Tyler.

– Dobranoc – bąkam i odwracam się do wyjścia. Idę na górę do swojego pokoju, ale widzę jeszcze, jak Eden wchodzi do swojego. Nie dokończyliśmy naszej rozmowy. Nie powiedzieliśmy sobie, co teraz będzie. Zanim więc zdąży zamknąć drzwi, wślizguję się do jej pokoju. Widząc mnie, wzdryga się zaskoczona.

– Hej – rzuca beznamiętnie. – Co powiedziała twoja mama?

– Nic – mówię. Chyba nadal jest na mnie zła, że przeze mnie ją aresztowali; zaczynam od przeprosin. – Przepraszam, że cię w to wplątałem. Powinienem był odpuścić, gdy gliniarz kazał nam się wynosić.

– W porządku. – Marszczy brwi.

Zamierzam powiedzieć coś jeszcze, zapytać, co teraz z nami będzie, ale ciszę przerywa dzwonek mojego telefonu. Wyciągam go z kieszeni i widzę wyświetlające się na ekranie imię Tiffani. *Proszę, tylko nie teraz.* Ilekroć przez cały dzień nie mamy okazji porozmawiać, dzwoni do mnie około północy.

– To Tiffani – tłumaczę Eden. Czasami ignoruję jej telefony, ale teraz nie mogę. Ma na mnie haka. Muszę ją zadowolić, bo kiedy Tiffani nie jest zadowolona, informuje o tym cały

świat. – Przepraszam, muszę z nią porozmawiać. Wścieknie się, jeśli nie odbiorę. Przepraszam – powtarzam i zerkam na Eden. – Oczy ma szeroko otwarte i znowu jest blada. Czuję się jak dupek. Mówię jej, że mi się podoba, całuję się z nią, a później zostawiam ją, bo muszę porozmawiać ze swoją dziewczyną? Telefon wibruje mi w dłoni. – Naprawdę przepraszam. Muszę... – szepczę. Czuję się podle. Chciałbym jej wszystko wytłumaczyć. Chciałbym, żeby wiedziała, jakie to wszystko pokręcone.

Jeśli nie odbiorę, Tiffani się rozłączy, ale mina Eden łamie mi serce, odwracam się więc i szybko wychodzę. Zamykając za sobą drzwi do swojego pokoju, odbieram telefon i przykładam go do ucha.

– Hej, co słyhać? – rzucam bez entuzjazmu.

– Wesołego Czwartego Lipca, kochanie! – Na dźwięk piskliwego głosu Tiffani mam ochotę cisnąć telefon w drugi koniec pokoju.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

W sobotę z samego rana moi bracia i ja zbiegamy na dół, ścigając się, który z nas pierwszy dotrze do sypialni rodziców, i wszyscy razem śpiewamy tacie *100 lat*.

Rodzice już nie śpią. Mama siedzi przy toalecie i maluje się, a tata zakłada koszulkę. Jest weekend, żadne z nich nie idzie dzisiaj do pracy. Słońce wlewa się do pokoju, a w powietrzu unosi się zapach kawy.

– Wcześniej wstaliście! – zauważa tata i odwraca się do nas z promiennym uśmiechem. Chase podbiega do niego, żeby zarzucić mu ręce na szyję, a tata kuca i tuli go do siebie. Jamie robi to samo i tylko ja stoję w drzwiach, patrząc, jak się obejmują.

– Będziesz teraz siwy? – pyta Chase.

– Mam nadzieję, że nie osiwieję przez następne dwadzieścia lat! – mówi tata. Przeczesuje palcami gęste czarne włosy i prostuje się.

– Też mam taką nadzieję! – żartuje mama. Wstaje i widząc oburzone spojrzenie ojca, podchodzi do niego i ściska go za ramię. – Żartuję, Peter. Zresztą, nawet gdy osiwiejesz, będziesz tak samo uroczy jak teraz. – Całuje go w policzek, po czym kładzie dłonie na ramionach Jamiego i Chase’a. – Kto jest głodny? Przygotujemy bekon! Ulubione śniadanie taty.

Wszyscy troje wychodzą do kuchni, a ja zostaję z tatą. W pokoju zalega cisza.

– *Feliz cumpleaños* – mówię mu. To po hiszpańsku wszystkiego najlepszego. Wiem, że doceni ten gest, dlatego uśmiecham się do niego. Minęły dwa tygodnie, odkąd złożył obietnicę. Dwa tygodnie, odkąd nie złamał danego słowa.

Patrzy na mnie łagodnym, radosnym wzrokiem.

– *Gracias* – mruczy i rozciąga usta w uśmiechu. Lubi, jak sam, z własnej woli, mówię po hiszpańsku. Próbuje nauczyć Jamiego i Chase’a, ale im nie przychodzi to tak łatwo jak mnie. – Myślisz, że jestem stary, co? – droczy się ze mną i podchodząc do mnie, unosi brew.

– Nie – mówię. – Jeszcze nie.

– Ale teraz jestem już oficjalnie w połowie drogi do sześćdziesiątki.

Obaj się śmiejemy, a on okręca mnie w kółko, kładzie mi ręce na ramionach i wprowadza mnie do kuchni. Mama włączyła telewizor, na patelni smaży się bekon, a ona, kołysząc biodrami i nucąc coś, nalewa kawy do dwóch kubków. Chase bębni łyżkami w stół, a Jamie pije mleko prosto z kartonu. Ohyda.

– Otwórz kartki – mówi mama. Odwraca się w stronę taty i wręcza mu kubek kawy. Sama upija łyk i patrzy na nas z błyskiem w oku, podczas gdy tata siada przy stole. Jej ręka spoczywa na oparciu jego krzesła.

Na stole leży stosik kartek od nas, rodziny i znajomych. Są też prezenty. Mama wybrała je w naszym imieniu, podobnie jak kartki. Podpisaliśmy je wczoraj wieczorem.

– Najpierw otwórz moją – mówi Chase. Wyjmuje z kupki jedną z kopert i podaje ojcu, niemal przewracając kubek z kawą.

– Jasne. – Tata wymownie patrzy w górę. Odstawia kubek i zagląda do koperty. Czyta

kartkę od Chase'a, potem od Jamiego i na końcu ode mnie. Obserwuję go, kiedy przebiega wzrokiem życzenia, które dla niego napisałem. Są krótkie i proste, i napisane po hiszpańsku.

*Feliz cumpleaños! Te amo, Papá.*

Podnosi wzrok znad kartki. Uśmiech, który mi posyła, jest szeroki i szczery, sięga jego oczu i rozświetla je. Czuję, że się rumienię, i nie wiedzieć czemu, jestem zawstydzony. Może dlatego, że chociaż raz naprawdę tak myślę. Nie napisałem tego tylko po to, żeby sprawić mu radość. Nie mogę teraz spojrzeć mu w oczy. Sięgam po sok pomarańczowy i nalewam sobie szklankę.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi mama, widząc, że tata sięga po jej kartkę. Ojciec przestaje otwierać kopertę i patrzy na mamę pytająco. Ona pochyla się nad nim, obejmuje go i chowa twarz w zagięciu jego szyi. – Jedziemy... – mruczy – do Vegas. W przyszły weekend. Tylko ty i ja, skarbie. Wszystkiego najlepszego. – Mówiąc to, całuje go za uchem.

– Do Vegas? – powtarza ojciec. Jego głos brzmi piskliwie, jak zawsze, gdy jest zaskoczony. Bierze mamę za rękę i odchyła głowę, żeby na nią spojrzeć. Mruga pospiesznie. – Naprawdę, Ella? Nie musiałaś... Nie musiałaś tego robić. – Nadstawia usta do pocałunku, a gdy mama go całuje, ściska jej dłonie. – Jesteś niesamowita.

– Czemu nie możemy jechać z wami? – pyta Jamie. Niezadowolony patrzy na rodziców, ale oni nie zwracają na niego uwagi, zbyt zajęci uśmiechaniem się do siebie. Aż miło popatrzeć, jak bardzo się kochają.

– Bo Vegas to nie miejsce dla dzieci – tłumaczy mama ze śmiechem i w końcu odrywa wzrok od taty. Patrzy na Jamiego, na mnie i na Chase'a. – Przykro mi, chłopcy, ale przyszły weekend spędzicie u dziadków.

– A co powiecie na to, żebyśmy najpierw wybrali się gdzieś razem? – proponuje tata. – Może na lody?

Chase piszczy z zachwytu, patrzy na mnie i posyła mi szczerbaty, niewinny uśmiech. Ja również się do niego uśmiecham. Tata od dawna nie zabierał nas na lody, To znaczy, że jest szczęśliwy. My jesteśmy szczęśliwi. *Ja* jestem szczęśliwy.



## DZIŚ

Lubię chodzić na siłownię z Deanem. Trening to jeden ze sposobów na to, żeby nie myśleć, i rzeczywiście mi pomaga. Na kilka godzin oczyszcza umysł i, szczerze, lubię kilka razy w tygodniu wyskoczyć gdzieś tylko z Deanem. Ze wszystkich moich przyjaciół przy nim czuję się najbardziej swobodnie. Kiedy mieliśmy po czternaście lat, zakradaliśmy się do jego garażu i ćwiczyliśmy na sprzęcie jego taty, ale rok temu zapisaliśmy się na siłownię w centrum miasta. Staram się nabrać trochę masy. Jako dziecko byłem słabeuszem i nie miałem siły się bronić. Teraz jest inaczej. Gdyby zaszła potrzeba, potrafiłbym sobie poradzić. Trochę mnie to uspokaja.

– Mogę cię o coś zapytać? – mówi Dean. Obserwuje mnie, jak wyciskam na ławeczce. Założył mi na sztangę dodatkowe ciężarki i zabezpiecza ją rękami, żeby mnie nie przygniotła. Zresztą i tak potrzebuję pomocy, bo lewy nadgarstek czasami daje mi się we znaki i jest słabszy od prawego.

Patrzę od dołu na jego zaniepokojoną twarz, ale wysiłek jest tak wielki, że nie mam siły odpowiedzieć. Zaciskam zęby i nieznacznie kiwam głową. Podnoszę sztangę; skórę mam lepką od potu, mięśnie twarde.

– Co ci się stało na imprezie u Rachael? – pyta Dean. – Kompletnie odpłynąłeś. Nie byłeś... – urywa i rozgląda się dokoła, ale w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Mimo wszystko zniża głos i znowu spogląda na mnie. – Nie brałeś niczego, co?

Drażni mnie jego pytanie i jednocześnie dodaje mi sił, żeby ostatni raz podnieść sztangę i odłożyć ją na stojak. Metal szczeka o metal, a ja wypuszczam powietrze i rozluźniam ramiona.

– Nie – mówię. Zwykle bym go okłamał, ale dziś nie ma takiej konieczności. Mówię prawdę. – Po prostu za dużo wypilem.

– Taa, dużo więcej niż zwykle – zauważa Dean. – Przed północą urwał ci się film. A Kyle Harrison mało nie wylądował przez ciebie w szpitalu.

– Co? Pięć piw tak go złomotało? – chichoczę. Podnoszę z podłogi ręcznik i wycieram czoło i włosy. Oddech nadal mam ciężki.

– Pięć piw w trzy minuty – uściśla Dean. Rzuca mi butelkę wody, którą łapię jedną ręką. Z rękami skrzyżowanymi na piersi opiera się o ścianę i patrzy na mnie z dezaprobatą. – Niewiele wytrzymałoby takie tempo. Ty, jak widać, też nie dałeś rady. Nocowałeś u Tiffani?

Przewracam oczami i upijam łyk wody.

– Niestety.

– Brzmi kiepsko – rzuca Dean. Mruży oczy, w których maluje się zaciekawienie i troska. Zawsze tak na mnie patrzy. Zupełnie jakby po tylu latach wciąż próbował mnie rozgryźć. Czasami mam wrażenie, że nie wie już, kim naprawdę jestem. – Pożarliście się czy co?

Omam nie parskam śmiechem. Tiffani i ja często się zjemy, dlatego wstaję i mówię:

– Nie. Po prostu Tiffani to Tiffani. Daj spokój, wynośmy się stąd. – Nie chcę wdawać się w szczegóły i kieruję się w stronę szatni.

– Rozmawiałeś już z Jakiem? – pyta Dean, idąc za mną. Nienawidzę tego. Nie cierpię, jak

wypytuje mnie o wszystko i nic. Uwielbiam go, ale czasem doprowadza mnie do pasji.

Otwieram szafkę i zerkam na niego kątem oka.

– O czym?

– O Eden – rzuca. Zagląda do własnej szafki i wyjmuję z niej ręcznik oraz kluczyki od samochodu. – Naprawdę mu się podoba czy tylko chce się zabawić? – pyta, a jego głos odbija się echem od metalowych ścianek.

Zatrząskuję drzwiczki szafki i odwracam się w jego stronę.

– Czemu sam go nie zapytasz? – Pieprzyć Jake'a. Myśl o nim i Eden... wkurza mnie. W końcu z nim o niej porozmawiam, ale nie teraz. Dean też nie musi zaczynać tego tematu.

– Nie. Ja nie... To znaczy, co mnie to obchodzi – bąka pospiesznie. Zamyka szafkę i wzrusza ramionami. – Tak się tylko zastanawiałem. Zbierajmy się.

Wychodzimy z siłowni i idziemy do samochodu Deana. Czasami w drodze do domu wpadamy gdzieś, żeby coś zjeść albo napić się kawy. Ale nie dziś. Dziś nie mogę. Mam do załatwienia parę spraw, trochę towaru do spylenia. Umówiłem się z ludźmi. Dlatego w drodze do domu siedzę cicho z nosem w telefonie. Dostałem wiadomości od Declana, który pyta, kiedy do niego wpadnę, a Tiffani pisze do mnie co rusz, pytając, co robię. Od kilku dni zasypuje mnie wiadomościami. Odpowiadam na ostatnią z nich; piszę, że po południu jadę na plażę z Deanem, i chowam telefon do kieszeni.

– Gdyby Tiffani pytała – mówię – byliśmy na plaży. Całe popołudnie. A potem poszliśmy coś zjeść. Okej?

Dean krzywi się i zerka na mnie kątem oka. Światła zmieniają się na czerwone i zatrzymujemy się na skrzyżowaniu.

– A naprawdę co będziesz dziś robił?

Mam ochotę przewrócić oczami i zapytać go, czy naprawdę myśli, że mu odpowiem, ale moją uwagę przyciąga dziewczyna, która przebiega przed samochodem. Odwracam głowę tak gwałtownie, że chrzęści mi w karku, prostuję się i mrużąc oczy, wyglądam przez okno. Dziewczyna przebiega na drugą stronę ulicy i znika w tłumie. Widzę jeszcze jej koński ogon, który kołyszę się wokół ramion, i lśniące w słońcu gołe nogi. Widziałem Eden wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, że to ona. Wiem też, że lubi biegać.

Światła zmieniają się na zielone, ruszamy. Szukam jej wzrokiem, aż w końcu zrównujemy się z nią. Nietrudno ją zauważyć. Nikt więcej nie biega, lawirując ostrożnie między ludźmi.

– Zwolnij trochę – mówię do Deana i opieram rękę na desce rozdzielczej. Twarz mam niemal przyklejoną do okna. – To Eden. Zatrzymaj się. – Nie ma mowy, żebyśmy tak po prostu ją minęli. Nie teraz, kiedy wygląda tak dobrze.

Dean robi, co mu każę, zatrzymuje się przy krawężniku i trąbi. Eden ma w uszach słuchawki, ale musi słyszeć klakson, bo nagle zwalnia i rozgląda się dokoła. Jest zdyszana, jej pierś unosi się i opada. Wyjmuję jedną słuchawkę i robi kilka niepewnych kroków w stronę samochodu. Nie wiem, czy nas rozpoznaje, bo samochód Deana ma przyciemniane okna. Szybko opuszczam szybę i uśmiecham się do niej. Bez makijażu wygląda jeszcze lepiej.

– Widziałem, że to ty – rzucam. Myślę, że rozpoznałbym ją wszędzie. Nie mogę przestać o niej myśleć.

– Niby po czym poznałeś? – pyta, dysząc. Wyjmuję drugą słuchawkę, opiera dłoń o drzwi i nachyla się w moją stronę z łobuzerskim uśmiechem. Widzę, że nie ja jeden jestem dziś w dobrym humorze.

Mimo to nie mogę odpowiedzieć na jej pytanie. Nie przy Deanie. Dlatego śmieję się i na chwilę odwracam wzrok.

– Właśnie wyszliśmy z siłowni – mówię, zmieniając temat. – Jedziemy do mnie, a ty wyglądasz, jakbyś miała zejść na zawał. Jeśli chcesz, możesz się z nami zabrać – dodaję.

– Nie umieram. – Oburza się i patrzy na mnie, mrużąc oczy. Kosmyki włosów okalają jej twarz. Zerka na Deana, a zaraz potem skupia wzrok na mnie. – Mogę biec bez przerwy kilka kilometrów, rozumiano?

– Zrozumiano – powtarzam piskliwym głosem, próbując ją naśladować. Lubię się z nią droczyć i chociaż powinienem skoczyć w kilka miejsc i spotkać się z paroma osobami, wolę pobyć z nią. Otwieram drzwi samochodu, na co ona odskakuje w tył jak oparzona. – Pobiegnę z tobą – mówię i wysiadam.

– Ale ja wolę biegać sama... – zaczyna, ale nie daje jej wyboru.

Zanim zdąży dokończyć, nachylam się i przez otwarte okno samochodu wyciągam swoją torbę sportową.

– Nie masz nic przeciwko, stary? – pytam Deana.

Obserwuje mnie zdezorientowany, a w końcu kręci głową i rzuca:

– Widzimy się w środę?

– Jasne. Do zobaczenia – rzucam i odsuwam się od samochodu. Dean podnosi szybę i włącza się do ruchu. Odprowadzam go wzrokiem, dopóki na dobre nie zniknie z pola widzenia. Dopiero wtedy odwracam się w stronę Eden i zaczynamy iść. – Do twojej wiadomości – mówię i uśmiecham się głupekowato – poznałem cię po pośladkach.

Słyszając to, spuszcza wzrok i spogląda na siebie.

– Eee... – bąka, a ja uświadamiam sobie, że być może nie mamy takiego samego poczucia humoru.

Przyspieszam kroku i zmieniam temat na wypadek, gdybym ją uraził.

– Pewnie potrafisz chodzić szybciej, niż ty biegać.

– Szczerze w to wątpię – odgryza się. Nie patrząc na mnie, wkłada jedną słuchawkę z powrotem do ucha i upija z butelki łyk wody. Patrzy przed siebie i zrównuje tempo z moim.

– Założę się, że szybciej wrócę do domu – droczę się z nią. Nie brałem jeszcze prysznicza i nie mam nic przeciwko temu, żeby znowu się trochę spoczyć, a poza tym liczę, że Eden lada chwila znów zacznie biec. – Wchodzisz w to?

Przewraca oczami i patrzy w moją stronę.

– Pewnie, że tak – mówi i nie czekając na mnie, rzuca się do biegu. Nie żebym miał coś przeciwko. Lubię patrzeć, jak biega; jak z zadartą głową sady długie kroki.

Ale nie mogę tak stać i się na nią gapić, dlatego po chwili sam zrywam się do biegu, zarzucam torbę na ramię i zaczynam ją gonić. Jestem szybki, ale brak mi jej kondycji. Potrzebuję dużo sił, żeby ją dogonić. W końcu ją prześcigam. – Frajerka! – wołam, oglądając się na nią.

Słyszę jej śmiech, lekki i nieco zasapany, i nagle, nie wiedzieć kiedy, jest tuż obok mnie. Biegniemy równym tempem ramię w ramię. Trochę się zmachałem i oddycham ciężko; zwalням do szybkiego truchtu. Spodziewam się, że Eden pobiegnie dalej beze mnie, dlatego jestem zadowolony, że ona również zwalnia.

– Naprawdę dużo biegasz – mówię, dysząc jak pies. Nie przepadam za bieganiem, ale Eden jest w tym naprawdę dobra. – Bierzesz udział w biegach przełajowych czy co?

– Nie. Po prostu lubię biegać – odpowiada. Patrzy przed siebie, oddech ma równy i spokojny. – To najlepszy trening.

– Osobiście wolę podnosić ciężary – mówię, spoglądając na swoje ramiona. Nawet trochę napinam mięśnie. Trening z Deanem na pewno da mi popalić. – Dobra – rzucam. Zatrzymuję się i podnoszę ręce. – Poddaję się. Nie jestem biegaczem. Wygrałaś. – Zdyszany, opieram się ręką o ścianę budynku i próbuję uspokoić oddech.

Eden również się zatrzymuje i staje przede mną z rękami na biodrach. Uśmiecha się od ucha do ucha, rozkoszując się moją porażką.

– Masz rację. Wygrałam.

– Ja miałem to powiedzieć. – Śmieję się i podnoszę na nią wzrok. Jej wpatrzone we mnie orzechowe oczy lśnią w promieniach słońca. Świadomie albo nie, powoli skubie zębami dolną wargę, czym doprowadza mnie do szaleństwa. – Wychodzimy dziś wieczorem – oświadczam. To nie jest pytanie. Muszę spędzić z nią trochę więcej czasu; nie dlatego, że aż mnie skręca, żeby znowu ją pocałować, ale mam ochotę pobyć z kimś, przy kim nie muszę udawać, kto stanowi dla mnie wyzwanie i fascynuje mnie w równym stopniu jak ja jego. – Zabiorę cię gdzieś. Byłaś już na molo? W Pacific Park?

Spuszcza głowę i rumieni się, ale nie jest to efekt zmęczenia.

– Nie – przyznaje szeptem.

– W takim razie pójdziemy na molo – oświadczam z uśmiechem, którego nie mogę powstrzymać. Czy właśnie zaprosiłem ją na randkę? I jak to możliwe, że nie była jeszcze na molo?

– Dobrze więc, pójdziemy na molo – zgadza się. Oczy jej błyszczą. Rozciąga usta w uroczym, zaraźliwym uśmiechu i chwilę później podejmuje przerwany bieg. Patrząc za nią, jak maleje w oddali, aż na dobre znika mi z oczu, pozostawiając po sobie dziwny niedosyt.

Z uśmiechem na ustach wracam pieszo do domu i nawet wcale mi to nie przeszkadza.





## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Uwielbiamy zostawać u dziadków. Dziadek zawsze pozwala nam do późna oglądać telewizję, nawet kiedy na drugi dzień musimy iść do szkoły, a babcia gotuje pyszne jedzenie, którym można by wykarmić całą armię. Spędzimy tu najbliższe trzy noce. Razem z braćmi pakujemy się do domu z bagażami. To nasi jedyni dziadkowie. Rodziców mamy nigdy nie poznaliśmy.

– Powoli! Powoli! – upomina nas babcia Maria, która wychodzi z kuchni, żeby powitać nas w korytarzu. Omal na nią nie wpadamy, ale to ja pierwszy tulę się do niej. Mam wrażenie, że nie odwiedzaliśmy ich od miesiący, chociaż mieszkają zaledwie dziesięć minut drogi od nas. Babcia Maria przytula jak nikt inny.

– Słysząc was, łobuziaki, już w ogrodzie! – mówi dziadek. Wchodzi do domu i zsuwa na nos okulary. Zawsze był ślepy jak nietoperz, dlatego nam powtarza, żebyśmy nie siedzieli za długo przed komputerem, bo w przeciwnym razie skończymy tak jak on. Jamie i Chase walczą o to, kto pierwszy go uściśnie.

Tata i mama, wyraźnie podekscytowani, wchodzi przez drzwi frontowe. Od rana zachowywali się jak dzieci, biegali po całym domu i wrzucali do walizek rzeczy, o których przypomnieli sobie w ostatniej chwili. Mama piła nawet szampana o ósmej rano; jestem pewien, że w weekend będą się świetnie bawić.

– O której macie lot? – pyta babcia. Jest z Meksyku i chociaż mieszka tu od ponad trzydziestu lat, wciąż ma silny akcent i czasami brakuje jej słów. Skórę ma opaloną, a włosy grube i ciemne; swoje meksykańskie geny przekazała tacie i mnie. Nadal mnie obejmuje, czule głaszcząc po ramieniu.

– W południe, musimy się spieszyć! – mówi tata. Puszczą rękę mamy, podchodzi do babci i całuje ją w policzek. – W razie problemów dzwońcie.

– Pete! – Mama z powagą patrzy na dziadka. – Nie woź ich samochodem. Ostatnim razem nie zatrzymałeś się na znaku STOP.

– Och, Ella. – Dziadek przewraca oczami. – I tak wiesz, że to zrobię. – Patrzy na mnie i mruga porozumiewawczo. Dziadek ma czerwoną corvetę, którą lubi szybko jeździć. Auto jest stare, ale nadal fajne. Uwielbiamy to, zwłaszcza gdy mkniemy po Pacific Highway z opuszczonymi szybami.

– W poniedziałek rano Tylerowi mają zdejmować gips, nie zapomnijcie o wizycie – przypomina tata dziadkom, ale mówiąc to, patrzy głównie na babcię. To pewnie z nią pojedę. Patrzę na swój gips, pokryty rysunkami, imionami i brudem. Minęły trzy tygodnie i nie mogę się doczekać, aż w końcu pozbędę się go na dobre. – I przypilnujcie, żeby Tyler odrobił pracę domową – dodaje ojciec. Zerkam na niego i widzę, że spogląda na mnie spod przymrużonych powiek. Nie lubi, kiedy sam nie może mnie pilnować. Zupełnie jakby mi nie ufał, dlatego w milczeniu kiwam głową.

– Daj spokój, Peter, jest weekend – chichocze dziadek. Tata ma imię po nim, chociaż

wszyscy mówią na dziadka Pete. Przeczesuje palcami siwiejące włosy, podchodzi do ojca i ściska go za ramię. – Rozchmurz się. Skoro wy wybieracie się do Vegas, dzieciaki na pewno nie będą ślęczały nad książkami. To byłoby niesprawiedliwe. Mam rację? – Uśmiecha się do mamy, która kręci głową i również się uśmiecha.

Tylko tacie nie jest do śmiechu. Wykręca szyję, żeby spojrzeć na dziadka, który stoi obok niego i nadal trzyma rękę na jego ramieniu.

– Tato – mówi z powagą, a twarz mu tężeje. – Dopilnuj, żeby się uczył.

– Peter. – Mama odchrząkuje znacząco. Tata spogląda na nią i wskazuje głową zegar ścienny. – Powinniśmy już jechać – mówi i skupia uwagę na naszej trójce. – Bądźcie grzeczni, chłopcy. No już, chodźcie tu! – Kuca i wyciąga do nas ręce, a kiedy tulimy się do niej, całuje każdego z nas i prosi, żebyśmy nie rozrabiali.

– Wy też bądźcie grzeczni! – żartuje dziadek i grozi im palcem.

– *Si* – dodaje babcia. Kładzie ręce na ramionach mamy, całuje ją w policzki i ściąga brwi. Patrzy to na tatę, to na mamę. – Nie pijcie za dużo alkoholu. Żadnych kasyn. I nie róbcie żadnych głupot.

– *Si, si. Te amo, madre.* – Mówiąc to, tata przewracam oczami i mam wrażenie, że ani on, ani mama nie zamierzają słuchać rad babci. – Pa, tato.

Patrzymy, jak schodzą po schodach, wsiadają do mercedesa taty i machając nam, odjeżdżają spod domu.

– No... – Dziadek spogląda na nas z uśmiechem. – Kto ma ochotę na przejażdżkę?



## DZIŚ

Jestem strasznie głodny i wcale mnie nie obchodzi, że wszyscy razem jemy kolację przy kuchennym stole. Mama, moi bracia, Dave... nawet Eden. Siedzimy naprzeciw siebie, a ja łapczywie pochłaniam kolejne kawałki lasanii. Najlepsze w byciu wegetarianinem jest to, że mama zawsze przygotowuje dla mnie osobne dania, dzięki czemu dostaję większe porcje niż inni. Pozostanę przy czterech serach, a oni niech walczą o mięso.

– Eden – odzywa się Dave, a ja, zaintrygowany, podnoszę wzrok znad talerza. Patrzę przez stół na Eden; ona również musiała na mnie patrzeć, bo pospieszenie spuszcza wzrok i sięga po sztucce, które podzwaniają o talerz. – Jesteś dziś wyjątkowo małomówna. O czym myślisz? – Drażni się z nią i naprawdę zachowuje się w porządku. Chyba pierwszy raz widzę, jak się do niej uśmiecha.

– Ja... no... ja tylko... ja... – duka Eden. Słyszając to, unoszę brew. Co z nią? Nabiera na widelec odrobinę jedzenia i wkłada do ust. Prawie nic nie zjadła. W ogóle mało je.

– Jak lasania? – pyta mama i przygląda się nam z zadowoleniem. Widzę, że wspólna kolacja wiele dla niej znaczy. To coś normalnego, coś, co robią prawdziwe rodziny.

– Jest pyszna, mamó – mówię i patrzę na nią z czułością. Chociaż nie jesteśmy prawdziwą rodziną, cieszy mnie to, że wydaje się szczęśliwa: nie zamierzam niczego psuć. Poza tym sam jestem szczęśliwy. Po kolacji zabieram Eden na molo. – Jest taka pyszna, że... – Prostuję się, przysuwam talerz i wsuwam do ust wielki kęs. Przy okazji połowa lasanii ląduje na stole, ale śmieję się tylko i ocieram usta wierzchem dłoni. – Jest taka pyszna, że nie zmieszczę już ani kawałka.

– Jesteś dziś w wyjątkowo dobrym nastroju, Tyler – komentuje Dave.

Opieram na stole splecione ręce i patrzę na niego. Dave, kiedy chce, potrafi być w porządku. To nie tak, że go nienawidzę albo coś. Po prostu się nie dogadujemy, a fakt, że nie szukam ojcowskiego autorytetu, też nie pomaga. David nie ma pojęcia, że to dzięki jego córce jestem w tak doskonałym humorze. Zerkam w jej stronę i z trudem powstrzymuję uśmiech.

– Chyba tak – rzucam. Nie mogę się doczekać, aż pójdziemy na molo. Zamiast siedzieć przy stole, wstaję i wkładam talerz do zmywarki. – Wychodzę – oświadczam i odwracam się w stronę stołu. Jamie i Chase nadal jedzą, szeroko otwierając usta.

– Dokąd? – pyta mama. Podnosi na mnie wzrok. Jej uśmiech gaśnie, a w jego miejsce pojawia się troska. – Masz szlaban.

– Ale umówiłem się z Tiffani – kłamię. Chociaż wiecznie mam szlaban, mama zwykle nie ma nic przeciwko temu, że bym spotykał się ze swoją dziewczyną. Chociaż wie, że związek z Tiffani nic dla mnie nie znaczy, wierzy, że kontakty z ludźmi mi służą; to na pewno lepiej niż odcinanie się od świata. Nie wie tylko, jak bardzo toksyczna jest nasza relacja. – Eden, nie wspominałaś, że wychodzicie gdzieś z Meghan? – pytam i posyłam jej spojrzenie, które mówi: *powiedz tak*. Jestem pewien, że z nas dwojga to ja jestem lepszym kłamcą.

– Tak – przyznaje Eden. Nadal siedzi przy stole i zerka na ojca.

– Mogę cię podrzucić – proponuję. Mówię głośno i wyraźnie, chcąc mieć pewność, że rodzice nas słyszą. Będą myśleli, że jestem z Tiffani, a Eden z Meghan i nie dowiedzą się, że tak naprawdę wychodzimy gdzieś razem. Zresztą i tak nie mieliby nic przeciwko. Pewnie by pomyśleli, że chociaż raz jestem miły i oprowadzam przybraną siostrę po mieście. Jasne. Sprawa jest dużo poważniejsza.

– Dzięki – bąka Eden, która w końcu załapała, o co mi chodzi. Stara się podjąć grę, ale jej głupawy uśmiech wystarcza, żeby człowiek nabrał podejrzeń. Nagle, nie wiedząc czemu, cieszy się, że ją podrzucę. Na szczęście nasi rodzice nie zwracają na nas uwagi, nie widzą więc, że uśmiecham się do niej.

– Za dziesięć minut?

– Dziesięć minut wystarczy – mówi.

– Spotkamy się w samochodzie – rzucam i jak kompletny palant puszczam do niej oczko. Słabe to, ale nie mogę się powstrzymać. Wychodzę z kuchni i idę na górę do swojego pokoju, nerwowo pocierając kark. *Naprawdę zabierasz Eden na randkę?* Nie, wcale nie. *Nie możesz iść na randkę ze swoją przybraną siostrą.* My tylko... wychodzimy razem.

*I nie możesz jej całować.*

Powinienem był umówić się z Eden za dwadzieścia minut, bo dziesięć to za mało. Odświeżam się, spryskuję się większą ilością wody kolońskiej niż zwykle i dłużej niż zwykle układam włosy. Nawet wcieram w nie trochę żelu i zaczynam przetrząsać szafę. Na biały T-shirt zakładam niebieską flanelową koszulę, potem przymierzam czerwoną i znowu niebieską. Ostatecznie wybieram czerwoną, ale nie mogę zdecydować – czy ją zapiąć, czy zostawić rozpiętą. Powtarzam sobie, że powinienem wyluzować. W końcu zostawiam koszulę rozpiętą, biorę portfel i kluczyki i schodzę na dół do samochodu. Jestem tak przejęty, że z tego wszystkiego zapominam powiedzieć mamie „cześć”.

Kilka minut siedzę w samochodzie, czekając na Eden, ale z każdą sekundą robię się coraz bardziej niespokojny. Wiem, że Eden i ja nie powinniśmy tego robić. Tiffani zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że wyszedłem gdzieś z inną dziewczyną. I chociaż nie mam pojęcia, czemu właściwie to robię, to wiem, że nie po to, żeby ją skrzywdzić. Chyba po prostu muszę wiedzieć. Już wcześniej całowałem się z innymi dziewczynami, ale na tym się kończyło. Z Eden... nie chcę tak po prostu o tym zapomnieć, ale czy naprawdę chcę czegoś więcej?

Zakładam okulary przeciwsłoneczne i spoglądam na dom. Widzę Dave’a, który stoi w oknie salonu. Drzwi frontowe otwierają się i wychodzi Eden. Biegnie przez trawnik w stronę samochodu, a kiedy się zbliża, opuszczam szybę od strony pasażera. Nachylam się i w jej stronę i mówię:

– Otworzyłem ci drzwi, ale myślę, że twój ojciec miałby na ten temat coś do powiedzenia.

Eden ogląda się przez ramię i zobaczywszy Dave’a, macha do niego. Dave odsuwa się od okna, jakby przyłapano go na gorącym uczynku, a Eden otwiera drzwi i sadowi się obok mnie na fotelu pasażera.

– Chyba masz rację. Pewnie by się zastanawiał, skąd u ciebie nagle takie dobre maniery – mówi z uśmiechem.

– Hej! – rzucam i rozkładam ręce, na co ona podnosi szybę i zapina pas. Odwraca się w moją stronę, a gdy napotykam jej wzrok, całe moje zdenerwowanie mija. – Udowodnię ci, że jestem prawdziwym dżentelmenem.

– Poważnie? – pyta i unosi brwi.

– Poważnie – zapewniam ją. Odwracam wzrok, włączam silnik i klimatyzację, opuszczam osłonkę przeciwsłoneczną i zdejmuję okulary, żeby móc ją oglądać w naturalnym świetle.

Patrzę na nią i uśmiecham się. – No dobra, nie jestem – przyznaję. Zwykle zachowuję się jak palant. Nigdy jak dżentelmen. – Po prostu słyszałem, że facet powinien być dżentelmenem. Wysiadać z samochodu, żeby otworzyć kobiecie drzwi, tak?

– Coś w tym stylu – przyznaje i patrzy na moje usta.

Gdybym mógł, pocałowałbym ją tu i teraz, ale muszę się powstrzymać. Kręcę głową i skupiam się na drodze; z przyzwyczajenia wciskam gaz w podłogę, słuchając ryku silnika. Droga na plażę jest przyjemna, głównie dlatego, że to typowy letni wieczór w Santa Monica, który zmienia niebo w złocistą mgiełkę. Opuszczam szyby, pozwalając, by wiatr owiewał nam twarze, a nawet włączam radio. Zwykle nie słucham mainstreamowego popu, ale dziś wieczorem kiwam głową w rytm muzyki.

– Dlaczego okłamałeś swoją mamę? – pyta Eden. – Dlaczego nie powiedziałeś, że jedziemy na molo?

Boże, jaka ona naiwna.

– Daj spokój, Eden. – Śmieję się. – Przecież nie chcemy, żeby zaczęli coś podejrzewać.

Przygryza wargę, a uśmiech znika z jej twarzy.

– A co z Tiffani?

– Wszystko załatwione – zapewniam ją, chociaż muszę odwrócić wzrok i skupić się na drodze. – Myśli, że jestem z chłopakami – mówię beznamiętnie, ale nie mogę w tej chwili myśleć o Tiffani. Dlatego, że mnie szantażuje, i dlatego, że robię coś takiego za jej plecami. Przełykam gulę w gardle.

Molo, jak zawsze, jest zatłoczone. Ledwo znajdujemy miejsce parkingowe, a gdy potem idziemy nabrzeżem, musimy lawirować między ludźmi. Eden idzie obok mnie, jej ramię ociera się o moje i omal nie biorę jej za rękę, tak jak wziąłbym za rękę Tiffani. To odruch, ale dziś wieczorem muszę się pilnować. Dziś wieczorem nie mogę się pomylić i jej dotknąć. Jesteśmy na molo, na widoku, gdzie w każdej chwili możemy wpaść na kogoś, kogo znam.

– Dobra – zaczynam i odchrząkuję. Mówię nieco podniesionym, oficjalnym tonem i wskazuję głową park rozrywki. – Oto Pacific Park. Zabiorę cię tam, bo jako dziecko uwielbiałem to miejsce i chcę pokazać ci je osobiście. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że jeszcze tu nie była. Nasze molo jest znane na całym świecie i to główna atrakcja miasta.

Eden milczy, przechyla głowę i uśmiecha się do mnie ciepło, jak gdyby czekała, aż powiem coś więcej. W końcu pyta:

– Dlaczego kolejka górська jest żółta?

Patrzę na nią. Jest kilkanaście centymetrów niższa ode mnie i gdy idziemy obok siebie, sięga mi do ramienia. Wzruszam ramionami.

– Szczerze? Nie mam pojęcia.

Zadaje mi kolejne pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Głupiutkie pytania, na przykład: czy jedzenie z food trucków jest do bani i dlaczego wszystkie ławki są ustawione w ten sam sposób. Zastanawiam się, czy gada tak dla samego gadania, tylko dlatego, że się denerwuje.

– W dzieciństwie cholernie się jej bałem – mówię, kiedy mijamy znak z napisem „Pacific Park” i oplatającą go gigantyczną fioletową ośmiornicę. Nie wiem czemu, ale jej nienawidzę. – Zresztą chyba nadal mnie przeraża – przyznaję i wbijam ręce w kieszenie.

– No proszę – żartuje Eden – chyba nie jesteś już takim twardzielem, co?

– Cóż, czy twardziel przyznałby się, że uwielbia watę cukrową? – Wyjmuję portfel i prowadzę ją do najbliższego straganu, na którym sprzedawane są rozmaite przysmaki, w tym, oczywiście, wata cukrowa. Jak byłem młodszy, dawno temu, kiedy z tatą jeszcze było wszystko dobrze, od czasu do czasu zabierał mnie i moich braci na molo, a gdy znudziliśmy się chodzeniem po pasażu handlowym, kupował nam watę cukrową. To jedno ze wspomnień, które

naprawdę lubię, nie tracę więc dobrego humoru.

– Jesteś pewien, że *uwielbiałeś* to miejsce? – pyta mnie, a ja jej wręczam watek na patyku. Wbija we mnie spojrzenie błyszczących orzechowych oczu, a ja sobie uświadamiam, że mój uśmiech jest może zbyt szeroki. Chociaż Pacific Park jest dla dzieci, nadal lubię to miejsce, chociaż nigdy bym się do tego nie przyznał.

– Musimy się przejechać kolejką górską. – Zmieniam temat i wpycham do ust watek. Rozpuszcza się na języku, a ja szukam miejsca, w którym moglibyśmy usiąść. Eden idzie za mną.

Uwielbiam turkot kolejki górskiej nad naszymi głowami, wiejącą od strony oceanu bryzę i śmiech, który wypełnia powietrze. Jest w tym miejscu coś... radosnego. Słońce stacza się za góry. Fajnie jest tak siedzieć na ławce pośród zgiełku i razem z Eden zajadać watek cukrowy. Jemy w milczeniu i mam świadomość, że chociaż jesteśmy w doskonałych nastrojach, coś poważnego wisi między nami w powietrzu.

– Eden – mówię i odwracam się w jej stronę. Ona kładzie na języku ostatni kawałek waty i patrzy na mnie spokojnie. – Wolałbym nie mówić o tym nikomu. Byłoby lepiej, gdybyśmy... na razie zachowali to wszystko w tajemnicy. Boże, powiedz, że jesteś dobra w dochowywaniu tajemnic.

Wyraz jej twarzy zmienia się, jakby nagle zrozumiała, że to, co robimy, jest nie w porządku.

– Jestem – mówi po chwili milczenia. Posyła mi wąty uśmiech. – Ty zresztą też, bo masz ich całe mnóstwo.

Dobrze mnie zna. To prawda, mam wiele sekretów i bez względu na to, jak bardzo ona chce je poznać, większość z nich pozostanie tajemnicą. Uśmiej się znacząco, jak gdybym chciał ją sprowokować do tego, by spróbowała mnie rozgryźć, po czym wrzucam do ust ostatni kawałek waty i wstaję z ławki.

– Czas się zabawić – mówię i wskazuję otaczające nas atrakcje.

W zapadającym zmroku chodzimy po parku, kupujemy żetony i stojąc w kolejkach, rozmawiamy ściszonymi głosami. Od czasu do czasu zapominam o otaczających nas tłumach i skupiam się wyłącznie na Eden. Jesteśmy beztroscy i roześmiani. Dobrze jest tak po prostu wyluzować i chociaż raz być sobą. Nie chcę, żeby ten wieczór się skończył, ale w końcu wychodzimy z parku i idziemy nabrzeżem w stronę parkingu. Uwielbiam molo nocą. Wszystko jest oświetlone, a w dole słychać delikatny szum fal.

Przed samochodem kilka osób robi sobie zdjęcia, ale widząc nas, szybko się rozchodzą. Przewracam oczami, otwieram samochód i oboje z Eden wsiadamy do niego. Jestem przyzwyczajony, że ludzie zwracają na niego uwagę. W końcu dlatego go kupiłem. *Ktoś, kto rozbija się taką bryką, musi mieć wszystko pod kontrolą.*

– Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy – tłumaczę Eden, wodząc palcem po znaczku audi na kierownicy. *Ktoś, kto rozbija się taką bryką, jest szczęśliwy.* – Nie wiem czemu. To Los Angeles. W Beverly Hills na każdym rogu stoją wypasione lamborghini.

– Skąd w ogóle masz ten samochód? – pyta i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Ludzie bez przerwy o to pytają, a ja zwykle wzruszam ramionami i mówię im prawdę. A przynajmniej jej część.

– Bo wcześniej dostałem pieniądze z funduszu powierniczego – mówię w końcu. Siedzę w fotelu, gapię się na kierownicę i muskam ją palcami. – A kiedy człowiek nagle dostaje taką kasę, nie zachowuje się racjonalnie, prawda? Jestem nastolatkiem. To oczywiste, że wydam wszystko na wypasioną brykę. – *Teraz wiem, że to był głupi pomysł.*

– Dlaczego dostałeś je wcześniej?

– Bo pieniądze mogą sprawić, że poczujesz się lepiej – mruczę bez zastanowienia

i zamieram. Nie powinienem rozmawiać o tym z nikim, ale... zapytała. Może chociaż raz powinienem być szczery. Duszenie wszystkiego w sobie nie służy mi, a Eden wydaje się szczerze zainteresowana, jakby rzeczywiście ją to obchodziło. – To kupa kasy – mówię po chwili. – Moja mama jest prawnikiem, a ojciec... Ojciec miał własną firmę. Zajmował się inżynierią budowlaną na całym Zachodnim Wybrzeżu. – Przetykam gulę w gardle i kątem oka zerkam na Eden. Mówienie o tym przyprawia mnie o mdłości, ale przynajmniej próbuję być szczery. Mama powtarza, że rozmowa o tym pomoże mi, ale nigdy jej nie wierzyłem.

– Jak się nazywała?

– Grayson's – mówię powoli. Brzmienie tej nazwy... naszego nazwiska... To ponad moje siły. Budzi zbyt wiele wspomnień o nim, o rodzinie, którą byliśmy kiedyś. – Tak nazywała się nasza rodzina.

Eden musi wyczuwać, że czuję się niezręcznie, bo odwraca się w moją stronę i siada po turecku. Nie odrywa ode mnie oczu, ale mija chwila, zanim zadaje kolejne pytanie.

– Przed rozwodem?

– Przed rozwodem – powtarzam. Zanim wszystko się spieprzyło. Odwracam wzrok i spoglądam na ostatnich spacerowiczów kręcących się po parkingu. Garbię się i nerwowo skubię włosy. Nauczyłem się tego od ojca. – Kiedyś nazywałem się Tyler Grayson. Mama nie chciała pozostać przy tym nazwisku.

Eden słucha mnie w milczeniu. Chyba nie wie, co powiedzieć, ale nie musi nic mówić. Wystarczy, że mogę to z siebie wyrzucić, wiedząc, że ktoś mnie słucha. I tak nie mogę powiedzieć jej nic więcej. Przynajmniej na razie. Nie zamierzam się przed nią otwierać. Już samo mówienie o tak podstawowych rzeczach jak dawne nazwisko jest dla mnie wystarczająco trudne. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę gotów podzielić się z nią swoimi tajemnicami ani nawet czy tego chcę. To uczyni mnie słabym, a po tym, jak pięć lat temu aresztowano mojego ojca, obiecałem sobie, że nigdy więcej nie pozwolę sobie na słabość.

Eden przygląda mi się z uwagą, nie odrywając wzroku od moich ust. Otacza nas cisza. Powoli prostuję się, nachylam się w jej stronę i zbliżam rękę do jej kolana. Przez cały wieczór marzyłem o tym, żeby jej dotknąć i teraz, zapatrzony w jej usta, zwilżam językiem wargi. Spoglądam jej w oczy i mówię:

– Mogę cię znów pocałować?

Nagle Eden podnosi się i siada mi okrakiem na kolanach. Wciśnięta między mnie a kierownicę, patrzy na mnie tymi dużymi błyszczącymi oczami i niewinnie rozchyła swoje pełne usta. Opiera dłonie o moją pierś i nie wiem, skąd u niej ta pewność siebie, ale muszę przyznać, że jest urocza.

Ujmuję w dłonie jej twarz, zatapiam palce w jej włosach i przywieram ustami do jej ust. Każdy kolejny raz jest bardziej niesamowity od poprzedniego i nie mogę się nią nacieszyć. Całuję ją najlepiej jak umiem, pokazując jej wszystko, co mam. Błądzą dłońmi po jej szyi, plecach, talii. Po minucie odrywam usta od jej ust, unoszę jej głowę, odgarniam włosy na bok i całuję ją po szyi. Wdycham jej zapach, znacząc skórę pocałunkami.

Eden przywiera do mnie całym ciałem, zatapia palce w moich włosach, ujmuje mnie pod brodę, zmuszając mnie, bym na nią spojrział i pochyla się nade mną. Czuję na skórze jej gorący oddech.

– Nawet nie musisz pytać – szepcze mi do ucha.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Tata i ja mamy spersonalizowane koszulki 49ers z nazwiskiem *Grayson* na plecach. Był to prezent niespodzianka, który tata wręczył mi tuż przed meczem, i teraz z dumą prezentujemy się w nich na stadionie. Mecz trwa w najlepsze i 49ers prowadzą. Pierwszy raz jestem na meczu i atmosfera jest niesamowita. Tłum zagrzewa zawodników do walki, a na stadionie jest gwarno jak w ulu. Tysiące ludzi cieszą się i krzyczą. Dean i ja stoimy i spoglądamy w dół na boisko. Hugh bez przerwy zabiera go na mecze. Chciałbym, żeby tata też mnie zabierał.

– Widziałeś? – pytam Deana i szturcham go łokciem. Zawodnicy na dole wyglądają jak miniatutki ludzie, dlatego mecz śledzimy głównie na telebimach. Komentujemy każde posunięcie. Dean zna się na futbolu trochę lepiej ode mnie i tłumaczy mi różne rzeczy; Hugh pozwala mi grać, a poza tym w liceum chce dołączyć do drużyny.

– Tak! Ten rzut był obłędny! – krzyczy. Ogląda mecz z rozdziawionymi ustami i nawet na chwilę nie odrywa wzroku od boiska. – Właśnie takie rzuty chciałem nauczyć się łapać.

Wychyłam się nieco do przodu i patrzę w bok, na tatę i Hugh, którzy siedzą obok siebie, śmieją się i popijają piwo z plastikowych kubków. Nawet nie wiem, czy oglądają mecz. Myślę, że po prostu dobrze się bawią.

Tata zauważa mnie, uśmiecha się szeroko i pyta:

– Podoba ci się mecz?

– Aha. Gdzie są... toalety?

– Zaraz wracam – zwraca się ojciec do Hugh, dopija piwo i wstaje. Przeciska się obok Deana, kładzie mi rękę na plecach i prowadzi mnie między rzędami krzeseł. Cieszę się, że idzie ze mną, bo w tym tłumie w życiu nie znalazłbym drogi powrotnej. Na meczach baseballu nie ma tylu ludzi.

– Możemy to powtórzyć? – pytam go. Lawirujemy między ludźmi. Na początku tygodnia zdjęto mi gips i fajnie, że nie muszę już dźwigać dodatkowego ciężaru. Nadgarstek nadal mam sztywny i słaby, ale niedługo wszystko wróci do normy.

– Fajnie, co? – Tata rozciąga usta w uśmiechu. – Rzadko wychodzimy gdzieś razem, tylko we dwóch, bez twoich braci, i myślę, że powinniśmy robić to częściej. Co ty na to? – Spoglądam na niego, a on trzyma w górze uniesioną dłoń; zdrową ręką przybijam mu piątkę. Lubię z nim wychodzić.

Wychodzimy z kabin i spotykamy się przy umywalkach. Przyglądam mu się z uwagą. Minał miesiąc. Jesteśmy szczęśliwi. Wszystko wygląda teraz inaczej i nie sędzę, żeby kiedyś znowu miało być tak jak dawniej. Myślę, że tata naprawdę się zmienił. Często się uśmiecha, a kiedy jest zestresowany, stara się mnie unikać. Dlatego ryzykuję i zadaję mu pytanie, które chodzi za mną od jakiegoś czasu. Wierzę, że skoro zmieniło się jego zachowanie, to może zmianie uległo także i nastawienie.

– Tato?

– Tak? – Zerka na mnie kątem oka.



Nie wiem, czemu się denerwuję, ale spuszcza wzrok i patrzę na strumień wody, który obmywa mi ręce.

– Myślisz... myślisz, że mógłbym czasami zagrać w futbol? – pytam powoli, z trudem wymawiając każde słowo. Wiem, że nie pochwała tego pomysłu. Mówi, że to zbyt niebezpieczne i że mogłoby mi się coś stać. – Z Deanem i Jakiem? W liceum chcielibyśmy grać w szkolnej drużynie.

Natychmiast zakręca wodę i odwraca się w moją stronę.

– Coś ty powiedział? – pyta, chociaż dobrze słyszał, co powiedziałem.

– Futbol... – powtarzam powoli. Nie wiedzieć czemu żołądek podchodzi mi do gardła. Nerwy mam napięte jak postronki. – Myślisz, że mógłbym grać?

– Daj spokój, Tyler. Nie będziesz grał w futbol – oświadcza stanowczym głosem. Odwraca wzrok i wyciera ręce w dzinsy. W toalecie jest kilku mężczyzn, ale oni wszyscy wychodzą.

– Ale tato! Dean może! – marudzę i krzyżuję ramiona na piersi. Dlaczego nie pozwala mi grać? To tylko futbol. Przecież nie poświęcę mu całego życia.

Ojciec świdruje mnie spojrzeniem zielonych oczu, uśmiech, który miał na twarzy jeszcze pięć minut temu, znika i chyba nieprędko znów się pojawi. Mruży oczy, zaciska zęby i wskazuje mnie palcem.

– Dean nie jest moim synem. Ty nim jesteś. Nie będziesz grał i nie poruszaj więcej tego tematu.

Odwracam się do umywalki, patrzę na swoje odbicie w lustrze i zagryzam zęby.

– Nie powstrzymasz mnie – mruczę pod nosem. Kocham tatę, naprawdę, i chyba mu wybaczam, ale chciałbym, żeby pozwolił mi na tę jedną jedyną rzecz. Ja robię wszystko, o co mnie prosi. Dlaczego on też nie może?

Nagle chwyta mnie za koszulkę i przyciąga do siebie. Robi to tak nagle, że oddech więźnie mi w gardle. Pochyla się nade mną, tak że zagląda mi w oczy i patrzy na mnie tak, że w jednej sekundzie wracają do mnie wspomnienia wszystkich złych nocy.

– Nie masz czasu na futbol – syczy. Jest tak blisko, że czuję piwo w jego oddechu. – Ani teraz, a już na pewno nie w liceum. Wspomnij o tym jeszcze raz... Jeszcze jeden pieprzony raz, Tyler!

– Tato... – Przełykam z trudem i spoglądam na jego pięść. Ścisną moją koszulkę tak mocno, że pobielają mu kłykcie. Czy zdaje sobie sprawę z tego, co robi? Czy wie, że łamie obietnicę? Rozglądam się dokoła, ale jedyną osobą jest facet w drugim końcu pomieszczenia, który chodzi w tę i z powrotem i rozmawia przez telefon. W ogóle nie zwraca na nas uwagi. – Przestań – mówię słabym, ledwie słyszalnym głosem.

Ojciec popycha mnie, aż wpadam na umywalkę. Kręci głową i pierwszy raz od miesiąca patrzy na mnie z rozczarowaniem i zdenerwowaniem. Przeczesuje palcami włosy, po czym odwraca się i w pośpiechu wychodzi beze mnie.

Obiecywał... Obiecywał, że nigdy więcej nie podniesie na mnie ręki. A właśnie to zrobił. Jest kłamcą.

A ja jestem idiotą, że mu uwierzyłem.

\* \* \*

Nie cieszy mnie końcówka meczu. Nie mogę się skupić. Siedzę odrętwiały na krzeselku i niewidzącym wzrokiem gapię się przed siebie. W głowie mam gonitwę myśli. W pewnym momencie Dean pyta, czy wszystko ze mną w porządku. Mówię, że tak, wszystko okej, tylko jestem trochę zmęczony. Nie patrzę więcej na tatę, chociaż słyszę, jak on i Hugh śmieją się

z czegoś. Widzę też, że pije kolejne piwo.

Czy zdaje sobie sprawę, że budowana tygodniami odrobina zaufania roztrzaskała się właśnie w drobny mak? Jak mogę znów mu zaufać? Naprawdę mu wierzyłem. Myślałem, że wszystko się zmieniło. Ale to nieprawda. Nic się nie zmieniło i teraz nie czuję się przy nim bezpieczny. Dzisiejszą noc mamy spędzić w San Francisco, ale ja chcę wracać do domu. Chcę zobaczyć mamę. Tęsknię za nią. Z nią czuję się bezpieczny.

Tłumy opuszczają stadion w radosnych nastrojach, 49ers wygrali mecz, ale mnie to nie obchodzi. Podążamy za tatą i Hugh, żeby się nie zgubić. Dean opowiada mi o swoich ulubionych grach; chyba nie wie, że go nie słucham.

– Zaczekajcie – mówi nagle Hugh. Zatrzymuje się i chwyta tatę za ramię. – Ogląda się na nas i widoczny za naszymi plecami stadion. – Powinniśmy zrobić zdjęcie, inaczej mama nie będzie zadowolona. Uwielbia fotografie. Prawda, Dean?

– Taa! – Dean bierze mnie za łokieć i ciągnie w kierunku naszych ojców. Dean i Hugh zawsze robią sobie zdjęcia na meczach i wieszają je w garażu jako pamiątki, u nich to coś w rodzaju tradycji.

Hugh zatrzymuje pierwszego lepszego gościa, wręcza mu telefon i prosi, żeby zrobił nam zdjęcie. Wszyscy czterej zbijamy się w gromadę na tle stadionu. Kątem oka zerkam na Deana. Obejmuje mnie ramieniem i uśmiecha się od ucha do ucha, podobnie jak stojący bok niego Hugh. Ojciec stoi odwrócony plecami i wskazuje kciukami napis *Grayson* na koszulce.

– Tyler! – woła do mnie radosnym głosem. – Odwróć się!

Ignoruję go. Nie odwrócę się, nie pokażę naszego nazwiska i nawet się nie uśmiechnę.

Czuję się tak, jakby coś we mnie pękło.



## DZIŚ

Następnego ranka po siłowni odwożę Deana do domu i zaglądamy do garażu Hugh, bo Dean chce mi pokazać rurę wydechową, którą jego ojciec zamontował wczoraj w samochodzie. Przy otwartych drzwiach siada na fotelu kierowcy i dodaje gazu, wyraźnie zachwycony gardłowym pomrukiem silnika.

Ja jednak nie mogę się skupić. Opieram się o półki z alkoholem i błędzę wzrokiem po ścianach garażu. Dean i jego ojciec są wielkimi fanami 49ers, ale nie miałem pojęcia, że zgromadzili taką... kolekcję. Garaż pełen jest pamiątek – począwszy od oprawionych w ramki koszulek, poprzez miniaturowe kaski, aż po flagi – a ściany obwieszane są zdjęciami. Są na nich głównie Dean i jego ojciec, ale jedno ze zdjęć szczególnie zwraca moją uwagę. Mrużąc oczy, patrzę ponad dachem samochodu i choć wyteżam wzrok, nie widzę dokładnie. Okrążam samochód, żeby lepiej przyjrzeć się fotografii i czuję, że żołądek ściska mi się w supeł.

*Wiedziałem.*

To zdjęcie sprzed lat, kiedy obaj z Deanem byliśmy dziećmi. Zrobiono je po meczu 49ers w San Francisco. Stoimy na tle stadionu i nie jesteśmy sami. Są z nami nasi ojcowie. Hugh, tata Deana oraz mój ojciec dupek. Dobrze pamiętam tamten dzień. Byłem taki podekscytowany. Szczęśliwy. Od jakiegoś czasu wszystko było w porządku, ale tamtego dnia... Tamtego dnia wszystko znów się posypało. Jak dziś pamiętam, jak ojciec nawrzeszczał na mnie w toalecie; niemal czuję na sobie jego rękę, a jego głos rozbrzmiewa mi w uszach.

A teraz patrzę na to zdjęcie. Dean i Hugh uśmiechają się do aparatu, a ojciec stoi odwrócony plecami, z dumą prezentując koszulkę z napisem Grayson; obaj mieliśmy takie na sobie tamtego dnia. Jestem też i ja. Stoję ze wzrokiem wbitym w ziemię i nawet nie próbuję udawać, że jestem szczęśliwy. Zdjęcie zostało zrobione zaledwie miesiąc przed aresztowaniem ojca.

– Po cholere powiesiłeś to zdjęcie? – pytam Deana, próbując przekrzyczeć ryk silnika. Wyciągam szyję, żeby na niego spojrzeć, i zaciskam zęby tak mocno, że aż boli mnie szczęka. Nie wiedziałem, że powiesił to zdjęcie razem z innymi, na których jest z ojcem.

Dean zdejmuje nogę z gazu i marszcząc brwi, rozgląda się po garażu.

– Rozejrzyj się – rzuca. – Ojciec wiesza tu zdjęcia z każdego meczu – tłumaczy i znowu dodaje gazu. – Co myślisz o nowej rurze?

– Jest super – mówię pospiesznie i znowu wskazuję na fotografię. – Możesz ją zdjąć? – Czasami chciałbym mieć na tyle odwagi, by powiedzieć przyjacielom prawdę. Rozumieliby mnie dużo lepiej, gdyby wiedzieli, dlaczego tak łatwo wpadam w złość i dlaczego wolę nie pamiętać pewnych rzeczy. Ale dużo łatwiej utwierdzać ich w przekonaniu, że wszystko jest okej.

Dean wzdycha, rozczarowany moim brakiem zainteresowania samochodem, gasi silnik i wysiada.

– Stary, to tylko zdjęcie.

Czuję, że zaraz wybuchnę. Mam ochotę rozwalić ramkę i podrzeć zdjęcie, ale drzwi

łączące garaż z domem otwierają się i wchodzi Hugh. Krzyżuje ramiona na piersi i staje oparty plecami o futrynę.

– Nawet w kuchni słyhać, jak gazujesz – mówi ze śmiechem. Zerka na mnie i milknie. Uśmiech, który mi posyła, jest cierpki i wymuszony. – Cześć, Tyler, co słyhać?

Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy. Za każdym razem, za każdym pieprzonym razem dostrzegam w jego oczach błysk współczucia. Zupełnie jakby się zastanawiał: „Co się stało z tym dzieciakiem? Jak to możliwe, że tak się zmienił?”.

A prawda, której Hugh nigdy nie pozna, jest taka, że wiele się wydarzyło. I cierpię przez to aż do dziś. Jestem pieprzonym nieudacznikiem, żalonym dzieciakiem, który za dużo pije, za szybko jeździ i zbyt często jest na haju. To dziwne, ale mam wrażenie, jakbym sprawił mu zawód. W dzieciństwie był dla mnie wzorem ojca. Zazdrościłem Deanowi.

Zaciskam dłonie w pięści, chowam je do kieszeni i wbijam wzrok w podłogę.

– Dzień dobry – mruczę. Co słyhać? Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Możesz już iść, tato – rzuca Dean i wyobrażam sobie, jak przewraca oczami. Odkąd byliśmy dzieciakami, zawsze czuł się skrępowany, gdy byliśmy w towarzystwie kóregoś z jego rodziców.

– Dobrze już, dobrze – mówi Hugh i podnosi ręce na znak, że się poddaje. – Już was zostawiam. – I znika za drzwiami, chichocząc, a Dean i ja wymieniamy spojrzenia.

– Masz ochotę wyskoczyć na kawę do Refinery? – pyta Dean i zamyka drzwi samochodu. Opiera łokcie o dach i wierci mnie wzrokiem.

– Nie, dzięki. Muszę pojechać do Malibu – mówię i natychmiast tego żałuję. Jadę do Malibu, bo Declan prosił mnie, żebym podrzucił komuś pewien nielegalny towar. Przez ostatnie dwa tygodnie wszystko, co robiłem popołudniami, było nielegalne. Nabieram pewności siebie, ale wciąż ryzykuję. Tiffani wie, czym się zajmuję, ale nie chcę, żeby inni też się dowiedzieli.

– Po co? – Na twarzy Deana maluje się zakłopotanie.

– Muszę nawoskować samochód. – Kłamię jak z nut. Nie chcę, żeby zaczął coś podejrzewać, tak jak nie chcę, żeby drażył temat. Uśmiecham się i wyjmuję z kieszeni kluczyki. – Zobaczmy się później – rzucam i w pośpiechu, być może zbyt wielkim, wychodzę z garażu.

Mój samochód stoi zaparkowany przy chodniku. Siadam za kółkiem, sprawdzam telefon. Tak jak przypuszczałem: wiadomości od Declana, wiadomości od ludzi, których nie znam, wiadomości od Tiffani i, co gorsza, nieodebrane połączenia od Tiffani. Od wczoraj ją ignoruję. Wiem, że igram z ogniem, ale nie mogę się zmusić, żeby z nią porozmawiać. Wyciszyłem telefon, wyłączyłem nawet wibracje. Rzucam aparat na fotel pasażera i ruszam do Malibu, spokojny, że Tiffani nie będzie mnie nękać.

\* \* \*

Wracam do domu w południe i krew odpływa mi z twarzy. Na podjeździe widzę samochód Tiffani. Powinienem był się domyślić, że jeśli będę ignorował jej telefony, w końcu mnie znajdzie. Wczoraj wieczorem powiedziałem jej, że jestem z Deanem i Jakiem. Ponieważ dziś jeszcze z nią nie rozmawiałem, nie miałem okazji jej okłamać. Będzie wściekła. Nienawidzi nie wiedzieć, gdzie jestem i co robię.

Mrucząc pod nosem, parkuję i idę do domu. Otwieram drzwi i pierwszą osobą, którą widzę, jest Tiffani. Stoi w korytarzu przy drzwiach do pokoju gościnnego z ręką na biodrze. Podchodzę do niej i mruczę:

– Co ty tu robisz?

Odwraca się do mnie tak gwałtownie, że kosmyki jej włosów smagają mnie po twarzy. Jej zimne niebieskie oczy są jak kamienie.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Mówiłem ci. Z chłopakami – rzucam pospiesznie. Przyzwyczailem się odpowiadać bez wahania. Niepokój zdradza człowieka, a ja nauczyłem się kłamać jak z nut.

– Tyler. – Głos mamy rozlega się nagle i nie wiadomo skąd, aż mam ochotę krzyknąć: kurwa! Patrzę ponad ramieniem Tiffani i widzę, że mama idzie w naszą stronę. Eden przygląda się nam z kanapy. – Mówiłeś, że byłeś z Tiffani. – Mama splata ramiona na piersi. – Dokąd pojechałeś wczoraj wieczorem?

Mama nienawidzi, kiedy kłamię. Pewnie myśli, że byłem na jakimś cholernym melanzu albo coś; nie podoba mi się to, że wsiadły na mnie razem z Tiffani.

– Chryste – wzdycham. – Czy to ważne?

Mama odwraca się do nas plecami.

– Gdzie on był, Eden?

Patrzę na Eden. Siedzi spięta na skraju kanapy i wpatruje się w naszą trójkę. Patrzę na nią rozpaczliwie, błagając w duchu, żeby coś wymyśliła, żeby nie pękła i skłamała dla mnie.

– Podrzucił mnie do Meghan, a potem zmienił plany – mówi w końcu. W ogóle nie patrzy mi w oczy. – Zamiast pojechać do Tiffani, umówił się z chłopakami.

Oddycham z ulgą. Wiem, że to wystarczy, żeby udobruchać Tiffani, dlatego robię krok w jej stronę i próbuję wziąć ją za rękę. Przez jakiś czas będę musiał włączyć jej w tyłek.

– Widzisz?

– Nie mów do mnie – warczy Tiffani, wyrywa rękę i odpycha mnie od siebie. Patrzę na nią zdumiony. *Czemu nadal się wścieka?* – Chodź ze mną, Eden – nakazuje. – Musimy porozmawiać z Rachael i Meghan. Natychmiast.

Patrzę z niedowierzaniem, jak Eden podrywa się z kanapy. Tiffani obejmuje ją w pasie i prowadzi przez korytarz w stronę drzwi. Mijając mnie, szturcha mnie łokciem w żebra i nawet na mnie nie patrzy. O co jej chodzi, do cholery? Mam przecież alibi – co z tego, że nieprawdziwe? – nie ma więc powodu się na mnie wściekać. To dlatego, że nie odbierałem telefonów? I po co jej Eden? Teraz ja też jestem wkurzony.

Drzwi zamykają się za nimi z trzaskiem, a ja, oddychając ciężko, zostaję w przedpokoju. W domu panuje cisza. W końcu mama kładzie mi rękę na ramieniu i mówi:

– Och, Tyler.

– Co? – Patrzę na nią.

– Mam nadzieję, że nie doprowadzisz jej do szału – mówi i marszczy brwi. Patrzy na drzwi i znowu na mnie. Poważnie bierze stronę Tiffani? – Wygląda na to, że wiecznie się na ciebie złości. Mam nadzieję, że nie bawisz się jej uczuciami.

– Mamo, zamknij się, do cholery – warczę i strącam z ramienia jej rękę. Nie ma pojęcia, jakie piekło Tiffani urządza mi od lat. Daleko jej do niewiniątka.

Twarz mamy tężeje.

– No pięknie. – Patrzy na mnie, nie mogąc uwierzyć, że tak się do niej odezwałem. Nie mogłem się powstrzymać. Za szybko wpadam w złość.

– Przepraszam – mówię szybko. – Nie chciałem...

– Jadę na zakupy, a potem odbiorę Chase'a. – Przerywa mi i odchodzi, nawet na mnie nie patrząc. Bierze ze stolika torebkę i kluczyki od samochodu i idzie w stronę drzwi. Stara się nie okazywać uczuć, chociaż wiem, jak wielką zrobiłem jej przykrość. – Jeśli czegoś ode mnie chciałeś, to masz problem – woła przez ramię i zamyka za sobą drzwi.

– Kurwa! – rzucam w końcu na głos. Czemu nie potrafię się kontrolować? Mama nie zasługuje na to, żebym się tak do niej odzywał. Przeczesałem włosy palcami, siadam na dole schodów, zaciskam zęby i wyjmuję z kieszeni telefon. Jestem tak wkurzony, że trzęsą mi się ręce.

Wybieram numer Declana i wysyłam mu wiadomość, którą wysyłałem już tak wiele razy: *Mam kiepski dzień. Zostaw mi trochę dobrego towaru.*



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Prawie zapomniałem, jak bolesne bywają sińce. Wiją się wokół ramion, zdobiąc moją skórę rozmaitymi odcieniami granatu i fioletu. Na żebrach mam duże rozcięcie – pamiątkę po tym, jak dwie noce temu wpadłem na róg biurka. Znowu się zaczęło. Tata ciągle chodzi zły. Myślę, że nigdy nie przestał się złościć; panował nad swoim gniewem tylko przez miesiąc. To był cudowny miesiąc, ale powinienem był wiedzieć, że wszystko to było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Teraz jest tak jak dawniej. A nawet gorzej. Od niemal tygodnia ojciec pastwi się nade mną. Znowu nauczyłem się wyłączać, bo każdej nocy jest coraz gorzej. Zupełnie jakby tłumiony od miesiąca gniew w końcu eksplodował ze zdwojoną siłą.

Nie mogę skupić się na lekcjach. Znowu zrobiłem się opryskliwy i dziś po południu pan Hayes kolejny raz wezwał mnie do swojego gabinetu. Denerwuję się na samą myśl o tym. Co mu powiem? Że przez ostatni miesiąc zachowywałem się jak należy, bo w końcu byłem szczęśliwy? Że miałem nadzieję? Czuję się bezpieczny? A teraz jestem nieszczęśliwy, straciłem nadzieję i poczucie bezpieczeństwa?

Jest czwartek, pora lunchu, i jak zwykle siedzimy przy stole w szkolnej stołówce. Jestem milczący jak dawniej. Moi przyjaciele rozmawiają i śmieją się, ale nie zwracam na nich uwagi. Przyparobiony, gapię się w przypadkowe miejsce na stole i oddycham głęboko.

Postanowiłem: nienawidzę ojca.

Zaufałem mu, chociaż nie powinienem. Uwierzyłem mu i to był błąd. Gdyby naprawdę mnie kochał, nie złamałby obietnicy. Do diabła, gdyby mnie kochał, w ogóle nie musiałby składać takich obietnic. Wygląda na to, że nie kocha mnie na tyle, żeby mnie nie krzywdzić.

Czemu więc go chronię?

Dlaczego tuszuję jego błędy? Dlaczego mówię ludziom, że się potknąłem, że spadłem ze schodów, że zrobiłem sobie krzywdę, bawiąc się w ogrodzie z Deanem i Jakiem? Dlaczego godzę się z sińcami? Z rozcięciami? Z bliznami? Dlaczego żyję z nimi, choć mogę to wszystko zakończyć? Wystarczy, że komuś powiem. Komukolwiek. Tylko czy mi uwierzą? Tata to szanowany biznesmen w eleganckiej koszuli i pod krawatem. Jeździ mercedesem i ma czarujący uśmiech. Komu uwierzą: mnie czy jemu? Jestem tylko dzieciakiem i kłamię od tak dawna, że może jest już za późno, żeby wszystko odkręcić.

W głowie mam mętlik. Kłębią się w niej rozmaite myśli, a wśród nich jedna, nowa. To nie ojca chronię. Tylko mamę i braci. Nie chcę rozbijać rodziny, niszczyć jej, oni są tacy szczęśliwi. Czy mama kiedykolwiek by mi wybaczyła? Nie chcę, żeby ona też się na mnie złościła.

Pan Hayes powiedział, że mogę porozmawiać z nim o wszystkim. Tylko czy on mi uwierzy? Może mógłbym mu powiedzieć, że boję się wracać do domu po szkole. Może domyśli się dlaczego. Może w ten sposób nie doniosę na tatę.

– Tyler – mówi ktoś i szturcha mnie łokciem w żebra, prosto w rozcięcie. Wzdrygam się, odrywam wzrok od stołu i kątem oka zerkam na Deana. – Słyszałeś, co mówił Blake? Idziesz czy

nie?

– Co? – Mrugam pospiesznie. Uświadamiam sobie, że wszyscy przy stoliku się na mnie gapią i zaczynają mi płonąć policzki. Tiffani przewraca oczami i wymienia spojrzenia z Rachael. Muszę przestać odpływać przy przyjaciółach, zanim uznają, że coś jest ze mną nie tak. Patrzę na Blake'a Montgomery'ego, który stoi przy naszym stole z plecakiem zarzuconym na jedno ramię i świdruje mnie wzrokiem. – Dokąd mam iść? – pytam. Kiedy w ogóle do nas podszedł? Cholera, naprawdę się zapatrzyłem.

– Dziś po szkole idziemy pograć na boisko – tłumaczy Blake. To fajny koleś. Chociaż jest w ósmej klasie, zawsze mówi nam „cześć”. Chyba kumpluje się z Jakiem. – No to jak, idziesz? – pyta z uśmiechem, który jednak zaraz gaśnie. Blake robi minę, zerka niepewnie na Deana, Jake'a i znowu na mnie. – Zaraz... – rzuca. – Twój ojciec nie pozwala ci grać. Sorki. Zapomniałem.

Tym razem zamiast rozczarowania ogarnia mnie nowe uczucie. To złość. Czuję, jak krąży mi w żyłach, jak wrze we mnie. Nie jestem zły na Blake'a, ale na tatę. Zaciskam zęby i pięści, cały się trzęsę. W ułamku sekundy wszystko we mnie pęka, jak elastyczna opaska rozciągnięta do granic możliwości. Zrywam się z ławki i walę Blake'a pięścią w twarz.

– Tyler! – odzywają się głosy przy stoliku.

Blake upada na plecy, oszołomiony gapi się na mnie i masuje szczękę. Ale ja jestem wściekły. Odbiło mi. Widzę przed oczami uśmiech ojca, czuję siniaki, które pozostawia na moim ciele i jego ręce, którymi szarpie mnie za ramiona. To jest jak ogień, który rozpala mnie od środka, nie jestem w stanie dłużej tego znieść. Rzucam się na Blake'a, zaciskam powieki i na oślep okładam go pięściami.

*Nienawidzę ojca. Cholernie go nienawidzę.*

Słyszę wokół siebie poruszenie. Czuję przyjaciół, którzy próbują mnie odciągnąć, dotykają siniaków, które ukrywam pod warstwą ubrań, szarpia mnie za ramiona, krzyczą moje imię. Blake wali mnie pięścią w twarz, próbuje zrzucić mnie z siebie, ale nie jestem tego świadomy. Uodporniłem się na ból. Przyzwyczyłem się do niego.

– HEJ! – krzyczy głęboki męski głos. Chwytają mnie czyjeś ręce, mocne i stanowcze jak ręce ojca, i jednym silnym szarpnięciem odrywają mnie od Blake'a. Zataczam się do tyłu i wpadam na stojącego za mną mężczyznę, a gdy otwieram oczy, widzę Blake'a, który leży na podłodze. Ludzie tłoczą się wokół nas w ciasnym kręgu i przepychają się, żeby mieć lepszy widok. Widzę swoich przyjaciół, zwłaszcza Deana, którzy gapią się na mnie z rozdziawionymi ustami, nie mogąc uwierzyć w to, co widzą. Oglądam się za siebie, żeby zobaczyć, kto stoi za mną i odciąga mnie od Blake'a i serce podchodzi mi do gardła. To szkolny ochroniarz.





## DZIŚ

Przez godzinę, odkąd Eden wyszła z domu, krążę w tę i z powrotem po korytarzu. Jestem sam w domu i aż mnie nosi, żeby walnąć pięścią w ścianę, ale się powstrzymuję. Coś jest nie tak, wiem to. Tiffani jest na mnie zła i muszę to wyprostować. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale od razu włącza się poczta głosowa. Wątpię też, czy odpisze na SMS-a. Im dłużej tak chodzę, tym większa ogarnia mnie panika. Przez ostatnie dni powinienem był bardziej się starać. Nie mogę jej teraz denerwować. Ma nade mną kontrolę.

Dlatego gdy drzwi frontowe otwierają się ze skrzypnięciem i do domu wchodzi Eden, mam ochotę błagać ją, żeby powiedziała mi cokolwiek. Zaciskam dłonie w pięści i podchodzę do niej.

– Co powiedziała? – pytam ostrzej, niżbym chciał. Nie chcę zwracać się do niej takim tonem, ale nic na to nie poradzę. Tiffani wyzwała we mnie to, co najgorsze, i nienawidzę tego.

– Co jej powiedziałaś?

Eden jest blada jak ściana. Patrzy na mnie przerażona, kręci głową i zerka do salonu.

– Gdzie twoja mama?

– Pojechała odebrać Chase'a – mówię pospiesznie. Muszę wiedzieć, co się dzieje. – O co chodzi, do cholery?

Eden milczy przez chwilę, oddycha głęboko i wbija we mnie przerażony wzrok.

– Ktoś nas wczoraj widział – mówi. Spuszcza głowę, broda jej drży. – Austin Cameron... powiedział Tiffani.

Chryste, tylko nie to. Austin nie mógł nas widzieć. Nie bez powodu mam w samochodzie przyciemniane szyby.

– Jaja sobie robisz? – Co ona sobie myśli? Teraz rozumiem, czemu Tiffani jest na mnie taka wściekła i wiem, że łatwo mi nie odpuści. Dlatego wzięła ze sobą Eden? Żeby się z nią skonfrontować? Rzygać mi się chce na myśl, jak szybko rozejdzie się ta wiadomość. *Tyler Bruce i jego przybrana siostra...* Uderzam pięścią w dłoń. Co ten koleś zrobił najlepszego? – Zabiję skurwie...

– Nie wiedzą, że to ja – przerywa mi Eden. Chociaż tyle. A zatem Tiffani wie, że spędziłem wieczór z jakąś dziewczyną, ale nie wie, kim ona jest. Chyba że się domyśliła, widząc minę Eden. – Ona jest zdruzgotana, Tyler – dodaje szeptem.

W ciszy biję się z myślami. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Całowałem się z innymi dziewczynami i Tiffani słyszała plotki, ale nigdy im nie wierzyła. Tym razem... sam nie wiem. Chyba uwierzyła Austinowi i sytuacja zrobiła się poważna. Tamte dziewczyny... Tamte pocałunki nic dla mnie nie znaczyły. Ale tym razem jest inaczej i wiem, że jeżeli Tiffani odkryje prawdę, zamieni moje życie w piekło.

– Załatwię to – mówię w końcu. Patrzę na Eden i serce mi się kraje, tak bardzo jest przejęta. Będąc z Tiffani, powinienem był wiedzieć, że prędzej czy później tak się to skończy.

– Posłuchaj, wiem, że jest wkurzona, ale jakoś jej to wynagrodzę. Powiem, że popełniłem błąd,

kupię jej coś ładnego, zapomni o całej sprawie i wszystko będzie jak dawniej – uspokajam ją. Przynajmniej do tej pory tak to działało. – Później coś wymyślimy.

Nagle wyraz jej twarzy zmienia się i teraz ona również jest na mnie zła.

– Nic nie będzie dobrze, Tyler! – wyrzuca z siebie i patrzy na mnie, jakby to wszystko była moja wina. – Nic nie jest dobrze! To się musi skończyć.

– Co się musi skończyć? – pytam, marszcząc brwi.

– To. – Wskazuje siebie i mnie. Wygląda na rozdrażnioną i nerwowo przeczesuje włosy palcami. – Masz dziewczynę. Nie chcę być nieuczciwa.

– Nie będziesz – zapewniam ją. Jeśli ktoś tu jest nieuczciwy, to tylko ja. Ale podoba mi się to, że się przejmuje. Podoba mi się, że chce być w porządku. Że nie chce nikogo skrzywdzić. Pociąga mnie to, dlatego podchodzę do niej i dotykam jej łokcia. Kiedy podnosi na mnie głos, kiedy mruży te swoje orzechowe oczy, jeszcze bardziej mi się podoba. Przyciągam ją do siebie i pochylam się nad nią, chcąc ją pocałować.

Ona jednak wyrывa się z moich objęć i odsuwa się ode mnie. Otwieram oczy i widzę, że stoi z rękami na biodrach i patrzy na mnie z niedowierzaniem. Dobra, rozumiem, może zrobiłem to nie w porę. Ale, Boże, jak ona na mnie działa!

– Żartujesz sobie? – pyta. – To nie czas na takie rzeczy. Nawet gdybyś zagwarantował mi, że o niczym się nie dowie, co nie jest możliwe, i tak bym tego nie zrobiła. – Cofa się o krok, zwiększając dzielącą nas odległość, i kręci głową. – Nie zrobię tego – stwierdza stanowczo.

– Daj spokój – mruczę i wpatruję się w nią, licząc, że jednak zmięknie. To bardzo w stylu Tylera Bruce'a i nienawidzę siebie za to, bo wiem, że Eden czyta we mnie jak w otwartej książce. I rzeczywiście chwilę później marszczy nos i zaczyna wbiegać po schodach. Odprowadzam ją wzrokiem, ale zanim na dobre stracę ją z oczu, rzucam jeszcze:

– Jakoś to rozwiążemy. – Nie żartuję. Jakoś to rozwiążę.

– Jak, Tyler? – pyta z powątpiewaniem i zatrzymuje się w połowie drogi na górę. Opiera rękę na balustradzie i patrzy na mnie. – Mamy tylko dwa wyjścia.

– Tylko dwa?

– Dwa – mówi i zaciska usta w wąską kreskę. – Musisz z nią zerwać.

– Nie – mówię pospiesznie i kręcę głową. – Nie mogę. – Tiffani odgrywa w moim życiu zbyt dużą rolę. Jest toksyczna i lubi mieć nad wszystkim kontrolę, ale stanowi dla mnie siatkę asekuracyjną. Dobrze jest wiedzieć, że nigdzie się nie wybiera i że kiedy życie znów stanie się nie do wytrzymania, ona tu będzie. Chyba odpowiada mi to poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli wiem, że związek z Tiffani to pomyłka. Może dałbym sobie radę bez niej, ale zerwanie z nią nie wchodzi w grę. Zwłaszcza teraz, kiedy wie o moich kontaktach z Declanem i mnie szantażuje. Po prostu nie jestem wystarczająco silny, żeby to zrobić.

– Dlaczego? – pyta Eden.

Powiedzieć jej? Jeśli to zrobię, będę musiał jej powiedzieć o Declanie Portwoodzie, a to długa, długa historia. Mój związek z Tiffani to trwająca trzy lata farsa.

– Bo to bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Tiffani... Posłuchaj, nie przeginaj.

– Patrzę na nią spod przymrużonych powiek, jak zawsze, kiedy chcę dać komuś do zrozumienia, że mówię poważnie. – A druga opcja? – pytam.

– Zapominamy o wszystkim, co się między nami wydarzyło – mówi zrezygnowana. Chyba obojgu nam nie podoba mi się takie rozwiązanie. Ale Eden ma rację i jej szczerą sprawą, że jeszcze bardziej jej pragnę.

– Krótko mówiąc – rzucam i splótłszy ręce na piersi, opieram się o ścianę – będę z tobą, tylko jeśli zerwę z Tiffani? Mam do wyboru: albo ty, albo ona, tak? – Patrzę na nią i żałuję, że nie stoi bliżej. Nie podoba mi się ta rozmowa. Cała ta sytuacja jest do niczego. Jestem zmuszany

szantażem do trwania w toksycznym związku, w którym czasami jest mi nawet dobrze, ale w Eden jest coś innego, coś, co chciałbym odkryć.

– Co cię tak dziwi? – pyta. – To chyba oczywiste. Mogłeś się spodziewać, że do tego dojdzie.

Odchylam głowę i przeczesuję włosy palcami.

– Kurwa – mrużę. Nie mogę rozmawiać o tym ani sekundy dłużej, bo zaraz mi odbije; postanawiam odpuścić, póki jeszcze jestem spokojny. Idę do kuchni i chwilę później słyszę trzask zamykanych drzwi.

Jestem rozdarty. Nie ma mowy, żebym zerwał z Tiffani, ale boję się, że jeśli tego nie zrobię, Eden oddali się ode mnie. Zresztą teraz wolę nie myśleć, co byłoby gorsze: zerwanie z Tiffani, która wyjawia wszystkie moje tajemnice, czy to, że nigdy się nie dowiem, jak mogły potoczyć się sprawy między mną i Eden. W głowie mi się kręci i wiem, że tak czy inaczej jestem przegrany. Czuję się pokonany i poirytowany. Mam ochotę się odprężyć. Dziś wieczorem jak nie spotkam się z Declanem. Potrzebuję *czegoś*.

Nalewam sobie szklankę wody, wysyłam Declanowi kolejną wiadomość i idę na górę. Eden jest w swoim pokoju, ale nie zaglądam do niej. Chyba oboje potrzebujemy teraz przestrzeni. Zamiast tego krążę po pokoju i próbuję się dodzwonić do Tiffani. Raz za razem wybieram jej numer, przez pół godziny słucham sygnału i błagam ją, żeby odebrała i żebym w końcu mógł się wytłumaczyć. Zamieram na chwilę. Ona w końcu odbiera, ale rozłącza się, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Odpuszczam sobie, ciskam telefonem w drugi koniec pokoju i słyszę, że pęka szybka ekranu. Wściekam się jeszcze bardziej, ale podnoszę go, żeby ocenić straty. Drzwi pokoju się otwierają i ku mojemu rozczarowaniu widzę, że to mama, a nie Eden. Musiała usłyszeć hałas, bo opiera się o futrynę i z dezaprobatą spogląda na telefon w mojej ręce. Musiała dopiero wrócić, bo wciąż trzyma w dłoni kluczyki od samochodu.

– Tyler – mówi.

– Co? – warczę. Tak jak myślałem, na ekranie pojawiło się kolejne pęknięcie. Zawsze tak jest, ale czasem po prostu muszę czymś rzucić. Czasami się zastanawiam, czy ojciec czuł taką samą satysfakcję, kiedy szarpał mnie i popychał. Nienawidzę go, ale bywają chwile, w których mi się wydaje, że może go rozumiem.

– Okej, czyli nadal masz kiepski humor – zauważa mama z westchnieniem.

– Wcale nie mam kiepskiego nastroju – sarkam i odwracam się w jej stronę. Rzucam telefon na łóżko, splatam ramiona i spoglądam na nią.

– Tak, jasne. – Mama zaciska usta, a w jej oczach pojawia się smutek. – Dlaczego tak się do mnie odezwałeś? – pyta ściszym głosem.

– Bo jestem kretynem, mam! – krzyczę. Mam ochotę zapalić i szybko tracię cierpliwość. Głupio mi, że tak się do niej odezwałem, ale nie zniosę tego jej wypytywania. I bez tego mam dość problemów.

Przez chwilę dogryzamy sobie, coraz bardziej wściekli, aż w końcu mama odpuszcza i wychodzi, całkiem załamana. Czuję się fatalnie i nosi mnie, żeby pojechać do Declana, ale zbliża się pora obiadowa, dlatego postanawiam poczekać. To tylko kilka godzin. Jakoś wytrzymam.

Schodzę do kuchni w podłym nastroju. Mama miała rację: mam kiepski humor i siedząc przy kuchennym stole, nawet nie próbuję ukryć niezadowolenia. Jesteśmy wszyscy, oprócz Jamiego, który je obiad u kolegi. Mama sili się na lekką, radosną rozmowę, a Dave opowiada o spotkaniu, które miał dziś w pracy, ale ja ich nie słucham.

Patrzę ponad stołem na Eden. Spoglądam na jej usta, kiedy się odzywa. Widzę, jak od

czasu do czasu spuszcza wzrok i jak ściąga brwi. Mama stawia na stole talerz grillowanych żeberek. Eden nawet na mnie nie patrzy. Myślę, że wciąż czeka, aż podejmę decyzję, ale prawda jest taka, że nie mam zamiaru wybierać.

– Nie mogę tu siedzieć – oświadczam. Odsuwam krzesło i wstaję od stołu. Zapach żeberek przyprawia mnie o mdłości, ale nie dlatego nie mogę tu zostać. Coraz bardziej chce mi się palić. – Idę na górę.

Mama patrzy na mnie. Stoi za Dave’em z rękami na jego ramionach; jej uśmiech gaśnie.

– Ale twoje jedzenie...

– Mam coś do roboty – przerywam jej. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, skoro wiem, że Eden jest na mnie zła. – Odgrzeję sobie później – wołam przez ramię, wychodząc z kuchni. *Jak zaczniesz mnie ssać w żołądku.*

Idę do pokoju, pokonując po dwa stopnie naraz, i wysyłam Declanowi kolejną wiadomość z pytaniem, czy mogę do niego wpaść najszybciej jak się da. Jestem zdesperowany, ale on nie odpisuje. Próbuję zadzwonić do Tiffani. Bez skutku. Jeśli nie porozmawia ze mną dziś, nie będę miał wyjścia i będę musiał jutro do niej pojechać. Zresztą prawdopodobnie tego właśnie chce. Chce, żebym błagał o wybaczenie.

Czekając na odpowiedź od Declana, siadam na skraju łóżka i z rękoma między kolanami próbuję uspokoić oddech. Wsłuchuję się w ciszę, nabieram powietrza i wypuszczam je. Przeszkadza mi Eden, która w pewnym momencie wchodzi bez pukania.

– Mamy zaopiekować się Chase’em – informuje mnie tym swoim lekko schrypniętym głosem. – Jamie chyba złamał rękę w nadgarstku.

Podnoszę na nią wzrok, serce wali mi jak szalone. To drażliwy temat, a ja tak bardzo chcę chronić braci, że zrywam się z łóżka i podchodzę do niej. Jestem gotów zrobić komuś krzywdę.

– Co się stało? Gdzie on jest? Kto? – pytam. Panika rozlewa się po moim ciele falą gorąca. Ojciec bez przerwy łamał mi nadgarstek.

– Co? – Eden patrzy na mnie zdezorientowana.

Nie powinienem był pytać, kto to zrobił. Zrobiłem to podświadomie, bo to pytanie jest we mnie zakorzenione od dzieciństwa. Jeśli to mnie działa się jakaś krzywda, zawsze ktoś za tym stał. Odchrząkuję i z trudem przełykam ślinę. – To znaczy... jak?

– Chyba się przewrócił. – Eden wzrusza ramionami. Nadal bacznie mi się przygląda, zaskoczona moimi pytaniami. Wiem, że dałem ciała. Mam nadzieję, że szybko o tym zapomni. – Słyszałam, że tobie też zdarzają się takie rzeczy, twardej – dodaje lekko i uśmiecha się do mnie.

Co jest? Skąd ona wie? I dlaczego ją to bawi? Miałem złamany nadgarstek trzy razy w ciągu roku tylko dlatego, że mój ojciec nie potrafił nad sobą zapanować.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Chase mi powiedział – mówi. Najwyraźniej nie ma pojęcia, o czym mi to przypomina. Przygryza dolną wargę i patrzy mi w oczy, jakby szukała w nich odpowiedzi. – O co ci chodzi?

*Och, Chase.* Nie mógł powiedzieć jej prawdy o ojcu, bo sam jej nie zna. Wie tylko, że w przeszłości jego starszy brat był straszną niezdara.

– Co jeszcze ci powiedział? – pytam, bo muszę mieć pewność. To jeszcze dzieciak, mógł nagadać jej różnych rzeczy.

– Nic.

Podchodzę do niej, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od jej oczu.

– Na pewno?

– Uspokój się – mówi, wyraźnie zakłopotana moją reakcją. – Na pewno.

Powinno się lepiej maskować ze swoimi uczuciami, ale, nie wiedząc czemu, gdy

chodzi o Eden, nie dbam o to, czy zobaczy mnie takiego, jaki jestem naprawdę. Niepokoi mnie myśl, że mogłaby poznać moją przeszłość, a przecież na pewno widzi panikę w moich oczach.

– Wiesz co? – mówię w końcu, uwalniając swoje uczucia w jedyny znany mi sposób: w formie agresji. – Mam już dość. Mam dość ciebie i Tiffani. Dość twoich głupich pytań i jej marudzenia. Mam tego serdecznie dość. – Idę do łazienki i opieram dłonie o umywalkę. Spuszczam głowę i kolejny raz skupiam się na oddechu. Zanim tu przyszła, próbowałem go uspokoić. Czemu Declan nie odpisuje? Chcę, żeby dał mi coś, po czym na kilka godzin zapomnę o wszystkim.

– Za bardzo się denerwujesz – mówi Eden. Weszła za mną do łazienki i stoi teraz obok.

– Uważaj na drzwi. Zamek jest spięrzony – syczę przez zaciśnięte zęby. Z każdą sekundą robię się coraz bardziej poirytowany. Mam wrażenie, że łazienka się kurczy. Duszę się. Eden próbuje położyć mi rękę na ramieniu, a ja się wzdrygam.

– Potrzebuję kreski – przyznaję i otwieram szafkę nad umywalką. Butelka antydepresantów leży przewrócona na bok. Czy brałem je dziś? Sięgam na najwyższą półkę i rozrzucam jej zawartość, aż znajduję ukrytą tam gotówkę. To pieniądze, które zarobiłem, pracując dla Declana i które, na szczęście dla niego, niebawem trafią z powrotem do jego kieszeni. Wygląda na to, że jestem lojalnym klientem. Zamykam drzwiczki szafki, odwracam się i widzę, że Eden stoi między mną a drzwiami, blokując wyjście.

– Nawet o tym nie myśl. – Grozi mi i odpycha mnie do tyłu. Głowę ma zadartą, zęby zaciśnięte i zagląda mi prosto w oczy. Nie żartuje.

– Eden – szepczę. Pochylam się w jej stronę i zbliżam usta do jej ucha, tak by usłyszała mnie głośno i wyraźnie. – Potrzebuję. Kreski. Natychmiast – warczę, cedząc każde słowo. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo.

Patrzy na pieniądze w mojej dłoni i znowu na mnie.

– Bo dzięki koce wszystko będzie jak trzeba?

– Eden – powtarzam stanowczo. Naprawdę nie powinna próbować mnie zatrzymać. Spotkam się z Declanem i wciągnę kreskę, czy jej się to podoba, czy nie. – Przesuń swój słodki tyłeczek i zejdź mi z drogi, zanim naprawdę się wkurzę. Muszę się spotkać z Declanem.

– Nie pozwolę ci – mówi i napiera na mnie. Spojrzenie ma harde i nieubłagane.

– Nie ty będziesz, kurwa, decydować! – wrzeszczę i walę pięścią w ścianę tuż obok jej ucha. Natychmiast tego żałuję. Nie chcę, żeby oglądała mnie w takim stanie, wściekłego, zrozpaczonego i żalowanego. Nie chcę, żeby widziała moją agresywną stronę, bo agresja nigdy, przenigdy nie jest dobra. Nauczyłem się tego w bardzo młodym wieku.

Nagle Eden wymija mnie i rzuca się na drzwi do łazienki, a kiedy się zatraskują, opiera się o nie plecami. Rozdziawiam usta, cała krew odpływa mi z twarzy. Nie wierzę, że to zrobiła. Teraz oboje utknęliśmy w tym maleńkim pomieszczeniu i jeśli do tej pory nie miałem wrażenia, że zaraz się uduszę, to teraz je mam.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Dyrektor Castillo siedzi w swoim fotelu i powoli kołysze się w przód i w tył. Dłonie ma splecione na brzuchu i przygląda mi się z uwagą. Zaciśnięte w wąską kreskę usta wyrażają dezaprobatę i rozczarowanie. Nigdy dotąd nie byłem w jego gabinecie. Nigdy nie było ku temu powodów. Aż do teraz. Siedzimy w ciszy, słuchając tykania zegara ściennego – ja po jednej stronie biurka, on po drugiej. Dyrektor Castillo zwykle jest miły, ale wszyscy wiedzą, że potrafi być surowy i nie toleruje złego zachowania, zwłaszcza bójek na terenie szkoły. Dlatego wiem, że mam poważne problemy, no i wezwano do szkoły moich rodziców. Teraz wszystko zależy od tego, kto przyjedzie pierwszy i modłę się w duchu, żeby to nie był tata.

Zerkam na worek z lodem, który trzymam w ręce. Mam rozciętą wargę i boli mnie szczęka, ale to dla mnie nic nowego. Dlatego zamiast przykładać lód do twarzy, obracam go w dłoniach, próbując nie myśleć o panującej w gabinecie napiętej atmosferze. Mam przerąbane nie tylko w szkole, w domu też.

– Ja... przepraszam, panie dyrektorze – mamrocę i kolejny raz zerkam na dyrektora Castillo. Już to przerabialiśmy. – Nie wiem, co mi strześliło do głowy.

– Człowiek nie robi czegoś takiego bez powodu – tłumaczy mi. Czując na sobie jego wzrok, pospiesznie spuszczam głowę i wzruszam ramionami. W życiu mu nie powiem, że rzuciłem się na Blake'a Montgomery'ego, bo wyobraziłem sobie, że to mój ojciec.

– Blake powiedział coś, co mi się nie spodobało – kłamię. – Zareagowałem zbyt mocno. To się więcej nie powtórzy. Naprawdę mi przykro.

Ledwie kończę mówić, rozlega się pukanie i drzwi gabinetu otwierają się. Odwracam się przez ramię i wyciągam szyję. Do gabinetu wchodzi ochroniarz Brown, a zaraz za nim mój tata. Żołądek podchodzi mi do gardła i przysięgam, że na krótką chwilę przestaję oddychać. Ojciec nawet na mnie nie patrzy.

– Dziękuję, że przyjechał pan tak szybko – mówi dyrektor Castillo. Wstaje, pochyla się nad biurkiem i podaje ojcu rękę. Ruchem głowy daje znać Brownowi, że może wyjść, i chwilę później słyszę szcęk zamykanych drzwi. – Proszę usiąść.

Dyrektor opada na fotel, a tata siada na krześle obok mnie. Pochyla się do przodu i nerwowo porusza stopą.

– O co chodzi? – pyta drżącym głosem. Jest zdenerwowany. Nie zły. Jeszcze nie. Nie wie, dlaczego go tu wezwano. Może myśli... Może myśli, że wiedzą? Boi się, że powiedziałem im prawdę? Prawdę o nim?

– W czasie przerwy na lunch Tyler wdał się w bójkę – oświadcza dyrektor Castillo i kolejny raz gromi mnie wzrokiem. Aż do dziś pewnie nie miał pojęcia, jak mam na imię. Zawsze byłem grzecznym dzieciakiem; nigdy się nie wychylałem.

Ojciec wstrzymuje oddech. Chyba mu ulżyło, ale jeśli tak, to na krótko. Chwilę później prostuje się na krześle i mrużąc oczy, patrzy na dyrektora. Na mnie nawet nie spojrzy.

– W bójkę? Tyler się bił? – pyta z niedowierzaniem.

Nigdy dotąd nikogo nie uderzyłem. Może poza moimi braćmi, z którymi w dzieciństwie klóciliśmy się o figurki bohaterów i konsolę Game Boy. Ale to się nie liczy. Pierwszy raz uderzyłem kogoś z zamiarem zrobienia mu krzywdy i nadal nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Straciłem kontrolę, zupełnie jak mój ojciec. Blake Montgomery miał pecha – znalazł się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. To nie była jego wina, ale moja też nie.

– Obawiam się, że tak, panie Grayson – mówi dyrektor Castillo. Ma głębokie zmarszczki wokół oczu, a posępna mina sprawia, że wygląda jeszcze starzej. – Podczas przerwy na lunch w szkolnej stołówce. Pan Brown musiał interweniować i odciągnął Tylera, zanim stało się coś gorszego, ale na terenie szkoły nie ma przyzwolenia na jakąkolwiek przemoc. W tej sytuacji nie mam wyboru i jestem zmuszony zawiesić Tylera na dziś, jutro i cały przyszły tydzień.

Tata otwiera usta.

– Zawiesić? – powtarza, wytrzeszczając oczy. Myślałem, że zostanę po lekcjach, nie sądziłem, że zostanę zawieszony... Teraz nie mogę już niczego cofnąć. Ojciec wpadnie w szal. – Czy ten drugi chłopak również został zawieszony?

Dyrektor Castillo kręci głową. Pochyla się do przodu i ściąga swoje grube brwi.

– Panie Grayson, mówiąc, że Tyler wdał się w bójkę, miałem na myśli to, że rzucił się na jednego z ósmoklasistów. Nikt go nie sprowokował, a więc nie, Blake Montgomery nie zostanie zawieszony. Tyler, jak wrócisz do szkoły, porozmawiasz o tym z panem Hayesem.

Tata patrzy w osłupieniu na dyrektora szkoły, a chwilę później powoli odwraca się w moją stronę. Jego zielone oczy świdrują mnie na wylot i widzę wzbierający w nich gniew. Nawet nie mruga. Zaciska zęby, a jego nozdrza rozszerzają się.

– Dziękuję, dyrektorze Castillo. Idziemy, Tyler – cedzi, ledwie otwierając usta. Wstaje, a ja pospiesznie zrywam się z krzesła.

– Będziemy w kontakcie – woła za nami dyrektor, ale ojciec i ja jesteśmy już na korytarzu. Naprawdę nie widział? Nie zauważył wściekłości w oczach ojca i strachu w moich? Może tylko ja je widzę, bo tylko ja jeden wiem, czego wypatrywać.

Jest piąta lekcja i wszyscy są w klasach, korytarze są ciche i wyludnione. Idziemy w stronę głównego wejścia. Tata sady długie kroki i muszę niemal biec, żeby za nim nadążyć. Nic nie mówi, dlatego wiem, że jego wściekłość narasta, bo nie może nawet otworzyć usta, żeby cokolwiek powiedzieć. Dłoń ma zaciśniętą w pięść. Wychodzimy przed budynek i jego oddech staje się głębszy.

– Coś ty sobie, KURWA, myślał? – wrzeszczy i popycha mnie na samochód. Znowu będę miał sińce. Czuję ostry ból w miejscu, gdzie ciało uderzyło o metal. Ojciec chwyta mnie oburącz, szarpie mnie za bluzę i przyciąga do siebie. – Właśnie cię zawiesili! ZAWIESILI! – Potrząsa mną i znowu popycha mnie na samochód. Żyły wystąpiły mu na czoło, a jego oczy płoną furją, której nie jest w stanie kontrolować. – Pobiłeś dzieciaka!

– Ty też to robisz – szepczę.

Nie powinienem był tego mówić. Nie powinienem był go prowokować, bo jego wściekłość eksploduje. Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu, jakby potrzebował czasu, żeby przetrwać moje słowa. Jego pierś unosi się i opada.

– Wsiadaj, Tyler – nakazuje mi niskim, ociekającym nienawiścią głosem. Trąca mnie, podchodzi do drzwi od strony kierowcy i, z jedną nogą w samochodzie, patrzy na mnie ponad dachem mercedesa. – Wsiadaj do pieprzonego samochodu! – wrzeszczy, gdy widzi, że się nie ruszyłem.

W tym momencie jestem pogodzony ze swoim losem. Jest za późno, żeby cokolwiek zmienić. Nie ma odwrotu, nie jestem w stanie go ugłaskać. Nie po tym, jak wdałem się w bójkę, nie po tym, jak mnie zawieszono i nie po tej uwadze. Z trudem przelękam ślinę i siadając na

fotelu pasażera, próbuję skupić się na czymś innym. Chcę popaść w odrętwienie, które mnie ocali. To jednak przychodzi zbyt późno.

Z chwilą, gdy zamykam drzwi samochodu, ojcowska pięść uderza mnie w twarz, a wraz z ciosem nadciąga ból.





## DZIŚ

Eden i ja, zamknięci w mojej łazience, patrzymy na siebie w milczeniu. Wciąż nie mogę pojąć, co ona zrobiła. Jestem uwięziony i wiem, że zatrasnęła drzwi celowo. Wykazała się odwagą i gdyby nie to, że tak bardzo potrzebuję koki, prawdopodobnie doceniłbym jej starania. Nie dalej jak rano dałbym się pokroić za to, żeby zostać z nią sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu, ale w tych okolicznościach nie widzę żadnych zalet obecnej sytuacji.

– Jaja sobie robisz? – rzucam, mrużąc oczy. Potrzebuję zająć czymś umysł, a ona pozbawiła mnie tej możliwości. Rozglądam się po łazience, ale nie ma stąd innego wyjścia. Sięgam do kieszeni po telefon, ale przypominam sobie, że zostawiłem go w pokoju.

– Nie – mówi Eden. Kąciki jej ust unoszą się w przebiegłym, wyzywającym uśmiechu. Uśmiechu, który mówi, że ma gdzieś, że jesteśmy uwięzieni. Wie, że ma nade mną przewagę i nawet nie próbuje ukryć satysfakcji.

Szturchnięciem odsuwam ją na bok i próbuję otworzyć drzwi. Chwytam za klamkę, szarpię ją i napieram na drzwi, błagając w duchu, żeby się otworzyły. Zamek jest zepsuty od ponad roku. Kiedy zatrasnąłem się w zeszłe wakacje, musiałem czekać cztery godziny, aż Dave wróci do domu i mnie otworzy.

– Daj spokój – mówi Eden. Patrzy, jak siłuję się z drzwiami, aż w końcu odsuwam się od nich z jękiem. Nie ma mowy, nie otworzę ich.

Stwierdzam z przerażeniem, że nie spotkam się z Declanem i serce zaczyna mi walić jak szalone. Mam wrażenie, że zaraz wyskoczy mi z piersi. Ciało mam spięte, w ustach sucho. Zakładam ręce za głowę i wbijam wzrok w sufit. Muszę pogodzić się z myślą, że utknąłem tu i że nie dostanę towaru, na którym tak mi zależy. Zamykam oczy i oddycham głęboko, z każdym wydechem wyrzucając z siebie negatywną energię. A przynajmniej część negatywnej energii. Otwieram oczy i spoglądam na Eden. Nadal nie mogę uwierzyć, że to zrobiła.

– Wybacz, że się o ciebie martwię – mówi i krzyżuje ramiona na piersi. Nie zamierza dać za wygraną. – Będziesz musiał znaleźć inny sposób, żeby zapomnieć. Alternatywę. Taką, która cię nie zabije.

Rozglądam się po pomieszczeniu i zatrzymuję wzrok na lustrzanych drzwiach szafki. Nie mogę patrzeć na swoją wykrzywioną wściekle twarz, zamiast tego wbijam wzrok w podłogę. Nie chcę się złościć na Eden. Ona jedynie próbuje mi pomóc, a to dużo więcej, niż zrobili dla mnie inni. Naprawdę jej zależy i doceniam to, choć momentami bywa to wkurzające. Dzisiejszy dzień to totalna porażka i potrzebuję czegoś więcej niż alkohol, a wszystko przez to, że w głowie mam chaos.

– Ty pozwalałaś mi zapomnieć – przyznaję, zniżając głos. Nie mogę na nią spojrzeć.  
– Ale wygląda na to, że nie mogę cię mieć.

Z początku nie odzywa się ani słowem. Zawsze milczy, kiedy przetrawia jakieś informacje. Słyszę, jak nabiera powietrza.

– Dlaczego pozwalałam ci zapomnieć? – pyta w końcu.

Patrzy na mnie zaintrygowana. Nie wie o tym, ale przy niej nie muszę udawać Tylera Bruce'a. To nowe doznanie i tak przyjemne, że niemal uzależniłem się od niego.

– Bo dzięki tobie wszystko wydaje się odrobinę łatwiejsze – mówię po chwili zastanowienia. To prawda, a zwykle kiepsko radzę sobie z prawdą. – Bo zamiast skupiać się na innych rzeczach, skupiam się na tobie.

– Więc nie przestawaj. – Wyczuwam w jej głosie nerwowość. Powoli robi krok w moją stronę. Nie spuszczam z niej wzroku. Staram się nie myśleć o równiusieńkiej bielutkiej kresce koki, ale nadal mam ją gdzieś z tyłu głowy; ta myśl nie daje o sobie zapomnieć. Eden dotyka dłonią mojego policzka. Skórę ma chłodną. – Skup się na mnie – szepcze.

– Więc spraw, żebym zapomniał – mówię. Dotyka mojej ręki dłonią i odsuwa ją. Bardziej niż kiedykolwiek muszę zająć czymś umysł, ale potrzebuję do tego czegoś więcej niż tylko jej dotyk.

– Możemy porozmawiać. Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy. – Głos ma cichy, niemal tak cichy jak szept. Wokół nas, w maleńkiej łazience, utworzył się nowy rodzaj ciszy i oboje boimy się ją przerwać.

– Dobra, porozmawiajmy – odpowiadam. Opieram się plecami o kabinę prysznicową i siadam na zimnej podłodze. Wyciągam nogi, zamykam oczy i skupiam się na nierównym oddechu. Nie lubię rozmawiać, ale z Eden jestem w stanie spróbować. Lubię słuchać jej głosu. Uspokaja mnie.

– Możemy porozmawiać o Tiffani? – pyta łagodnie, jak gdyby się bała wymówić na głos jej imię. – Tym razem spokojniej.

Otwieram oczy i widzę, że wciąż stoi przy umywalce. Wzrok ma nieufny. Tiffani to ostatnia osoba, o której mam ochotę gadać, mimo to rzucam niechętnie:

– W porządku.

Eden przechodzi nade mną, siada naprzeciwko mnie na podłodze, podciąga kolana pod brodę i opiera się o drzwi. Brwi ma ściągnięte.

– Dlaczego z nią nie zerwiesz? Nawet jej nie lubisz. Sam powiedziałeś.

Mój wzrok prześlizguje się po jej ciele, zatrzymuje się na jej oczach, ustach i dłoniach. Oczekuje odpowiedzi, ale ja nie wiem, co jej powiedzieć. Nie zrozumiałaby.

– Nie mogę z nią zerwać – powtarzam już dzisiaj drugi raz. To niemożliwe.

– Ale dlaczego?

Kręcę głową, gotowy odmówić odpowiedzi, ale uświadamiam sobie, że Eden i tak nie da mi spokoju. Kryję twarz w dłoniach i trąc oczy, zastanawiam się, co właściwie mam jej powiedzieć. To długa, skomplikowana historia i na samą myśl, że miałbym jej wszystko tłumaczyć, w moim gardle wzbiera jęk. Postanawiam uprościć sprawę.

– Tiffani wie, jak udawać najmiłszą dziewczynę z sąsiedztwa, ale wcale taka nie jest – mówię. – Wystarczy, że zrobisz jej coś złego, a zmieni się w psychopatkę. Ta dziewczyna za dużo o mnie wie. Nie mogę ryzykować. Przynajmniej na razie.

– Psychopatkę? – powtarza Eden. Wydaje się zaskoczona, co tylko potwierdza, jak świetną aktorką jest Tiffani. Jeśli chodzi o udawanie, jesteśmy siebie warci. – Co takiego wie?

– No... – Nawet nie wiem, co jej powiedzieć. Jest tyle rzeczy, które Tiffani zrobiła, odkąd jesteśmy razem. Przez chwilę wiercę się na podłodze, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.

– Dobra. Na przykład w styczniu usłyszała, że w każdy wtorek w przerwie na lunch spotykam się z pewną dziewczyną, co było kompletną bzdurą, i wpadła w szal. Od dwóch tygodni ślezczałem nad esejem na zajęcia z literatury angielskiej, bo musiałem poprawić oceny, a Tiffani skłamała nauczycielce, że to ona go napisała. Obniżono mi ocenę i zostałem zawieszony za oszustwo. Tego samego dnia wysłała z konta swojej mamy wiadomość do mojej mamy, że martwi się

o mnie, bo pałę skręty w szkolnej piwnicy. To akurat była prawda i ona jedna o tym wiedziała. Mama nie odzywała się do mnie przez prawie miesiąc. Już wtedy zerwałbym z Tiffani, ale dała mi jasno do zrozumienia, żebym nawet o tym nie myślał. No i nie myślę. Zakończenie tego związku nie wchodzi w grę. Jest wiele innych rzeczy, do których mogłaby się posunąć, bo ma nade mną przewagę. – Kiedy kończę, niemal brakuje mi tchu.

Eden słucha uważnie każdego słowa i przyswaja je w milczeniu.

– Co jeszcze wie, Tyler?

Powinienem powiedzieć jej prawdę albo przynajmniej część prawdy, ale nie mogę spojrzeć jej w oczy. Nie chcę widzieć rozczarowania na jej twarzy.

– Pamiętasz pierwszy dzień lata? – pytam.

– Tak. Ojciec mnie denerwował, grill był do niczego, a ty zrobiłeś spektakularne wejście.

– Właśnie. – Skubię nitkę postrzępionych džinsów i próbuję zebrać się na odwagę, żeby mówić dalej. Dziwnie jest opowiadać o tym wszystkim. – Byłem wtedy nieźle wkurzony.

– Dlaczego?

– Byłem wściekły na Tiffani – przyznaję. – Planowałem coś od jakiegoś czasu i tamtego wieczoru dowiedziała się o wszystkim. Obiecała, że nikomu nie powie, pod warunkiem, że zostanę z nią do końca liceum. Dlatego podlizuję się jej od początku wakacji. No wiesz, wtedy w American Apparel i takie tam... – Chryste, ale mi wstyd. Zastanawiam się, co Eden pomyślała sobie wtedy o mnie. Że jestem kretynem? Czy teraz też tak myśli? – Dopóki będzie szczęśliwa i dopóki z nią będę, nikomu o tym nie powie. Taka właśnie jest Tiffani. Lubi szantażem zmuszać ludzi, żeby robili to, na czym jej zależy. Dzięki temu wydaje się fajna i ma wszystko pod kontrolą. Powiedziała mi, że kiedy była młodsza, dzieciaki w szkole się nad nią znęcały, gdy więc po rozwodzie rodziców przeprowadziła się tu z matką, chciała mieć pewność, że sytuacja się nie powtórzy. Chce być lepsza i fajniejsza od innych. Związek ze mną dodaje jej pewności siebie. Dlatego w tym tkwię. – Wypowiedzenie tego na głos uświadamia mi, jak bardzo chora jest ta sytuacja. Przeczesałem włosy palcami. – I nienawidzę tego – dodaję z westchnieniem.

– Jejku – rzuca Eden. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie zerwę z nią – tłumaczę jej i odrywam wzrok od podłogi. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, kompletnie zdumiona tym, co właśnie usłyszała. Nie oczekuję, że zrozumie moją sytuację, ale mam nadzieję, że będzie miała o niej lepsze pojęcie niż chwilę temu. – Przynajmniej na razie. Nie mogę ryzykować.

Eden pochyla się do przodu, opiera brodę na kolanach i patrzy na mnie spod firanki rzęs.

– Co w takim razie zrobimy?

Mówi o nas? Mam nadzieję, bo jeśli chce wiedzieć, co się z nami stanie, to znaczy, że nadal jest mną zainteresowana.

– Po prostu nie chcę, żeby ktokolwiek zrobił się podejrzliwy – mówię. Nie wiem, co jeszcze mógłbym jej powiedzieć, bo sam nie znam odpowiedzi.

– Podejrzliwy wobec kogo?

– Wobec nas. – Bo przecież o tym rozmawiamy. O nas, cokolwiek może to znaczyć. – Musimy zachowywać się normalnie, dopóki czegoś nie wymyślimy. To kolejny powód, dla którego nie mogę z nią zerwać. Ludzie zaczęliby się zastanawiać. Tak więc na razie muszę być z Tiffani, bo Tiffani to moja normalność.

– Ale to nie w porządku wobec niej – mruczy Eden, która, jak zawsze, wszystkimi się przejmuje. Nie tylko mną, ale wszystkimi dokoła. Nerwowo przygryza wargę.

– Eden – mówię. Przechyliłam głowę i przyglądam się jej. Mógłbym ją teraz pocałować. Mógłbym, ale robię, co mogę, żeby nie zepsuć tej chwili. Jestem z nią szczerzy, a ona mnie słucha; to ważne, ale chcę także wysłuchać jej. – Porozmawiajmy o czymś innym.

Porozmawiajmy o Portland.

Eden podnosi głowę i prostuje się, krzyżuje nogi i ściąga brwi.

– Chcesz, żebym opowiedziała ci o Portland?

– Chcę, żebyś opowiedziała mi o sobie. – Uspokoilem się i nie myślę już o Declanie. Zamiast tego całą uwagę skupiam na Eden; myślę wyłącznie o niej. Nawet na chwilę nie przestajemy na siebie patrzeć. – Powiedz mi o czymś, o czym nie wie nikt inny.

Widzę, że się waha. Zastanawia się, zanim coś powie, w końcu jednak otwiera się przede mną tak jak ja otworzyłem się przed nią.

– Uwielbiam Portland – zaczyna. Odwraca wzrok, a na jej ustach pojawia się smutny tęskny uśmiech. – To cudowne miejsce, idealne, żeby w nim dorastać. Miałam trzy naprawdę bliskie przyjaciółki. Amelię, Alyssę i Holly.

– Miałas?

– Tak, miałam – przyznaje. – Miałam trzynaście lat, kiedy rodzice się rozwiedli. Bardzo to przeżyłam. Leżąc wieczorami w łóżku, płakałam, bo wiedziałam, że ojciec odszedł, mama jest nieszczęśliwa, a ja nie miałam pojęcia, jak ją pocieszyć. To było straszne. Naprawdę straszne. – Urywa, spuszcza wzrok i nerwowo splata palce. Bierze głęboki oddech. – Zaczęłam zajadać problemy i w pierwszej klasie mocno przybrałam na wadze. Alyssa i Holly miały na ten temat wiele do powiedzenia.

Żartuje sobie? Mój wzrok prześlizguje się po jej ciele, któremu przyglądałem się tak wiele razy. Podoba mi się kształt jej pupy, krągłość jej bioder. To niemożliwe.

– Nie jesteś gruba – stwierdzam stanowczo. – Co to w ogóle za panny?

– Dlatego, że biegam – odpowiada i wzrusza ramionami. Nie patrzy teraz na mnie, ale widzę w jej oczach smutek i wcale mi się to nie podoba.

Opieram ręce o podłogę i powoli przysuwam się do niej. Siadam przed nią, zaglądam jej w oczy i kładę jej ręce na kolanach.

– Mów dalej – proszę cicho. Chcę, żeby wiedziała, że tu jestem i że jej słucham.

Kolejny raz przygryza wargę i dotyka dłonią policzka. Nie odpycha moich rąk.

– Sprawiały, że czułam się jak gówno – mówi, a ja staram się nie okazywać wzbierającej we mnie złości. Eden nie zasługuje na to, żeby przejmować się czymś, co jest kompletną bzdurą. Jest na to za silna. Zasługuje na coś lepszego. – Moje dwie najlepsze przyjaciółki codziennie wyzywały mnie od grubasów, zaczęłam więc biegać. Nie rozmawiamy ze sobą, ale one wciąż obgadują mnie za plecami. Wiem, bo Amelia... Amelia nadal się z nimi przyjaźni. Chociaż była przy mnie przez cały ten czas.

– Eden – mówię. Lubię brzmienie jej imienia i chcę, żeby na mnie spojrzała. W ciągu ostatnich tygodni dostrzegłem w niej wiele szczegółów. Bywały chwile, że nie chciała jeść, odsuwała talerz i chyba nigdy nie zjadła całego obiadu. Teraz wiem dlaczego. – To dlatego mówisz, że nigdy nie jesteś głodna?

– Zauważyłeś? – Wbija we mnie wzrok i rozchyła te swoje pełne usta.

– Dopiero teraz o tym pomyślałem – przyznaje. Przełykam grudę w gardle i spoglądam na jej gołe nogi. Nie mogę się powstrzymać i wodzę palcami po jej udach. Wiem, że moje zdanie pewnie niewiele ją obejdzie, ale uważam, że wygląda idealnie. – Chcę, żebyś wiedziała, że kompletnie nie zgadzam się z tymi dziewczynami. Przykro mi, że musiałaś przez to przejść. – Spoglądamy sobie w oczy, podczas gdy ja rysuję palcami kręgi na jej miękkiej, delikatnej skórze.

Eden patrzy na mnie jak nigdy dotąd. W jej oczach jest ciepło. Oddycha z ulgą i wyraźnie się odpręża. Dłużej tego nie zniosę. Muszę ją pocałować i muszę to zrobić teraz. Chwytam ją za uda, nachylam się do przodu i przywieram wargami do jej warg.

Całuję ją głęboko, jak gdybym pierwszy raz smakował jej usta. Eden zarzuca mi ręce na

szyję, opiera się o drzwi i pozwala, bym się nad nią pochylił. Czuję, że się uśmiecha i nie chce, by przestała. Nie mogę się nią nacieszyć i bez względu na to, ile razy ją całowałem, każdy kolejny raz jest równie niesamowity jak poprzedni. W moich żyłach płynie adrenalina. Obejmuję ją w talii i zamierzam wsunąć dłonie pod jej koszulkę, ale zamiast tego niepewnie skubię materiał. Czekam, aż zacznie protestować i mnie odepchnie, ale ona obejmuje mnie za szyję i jeszcze mocniej przyciąga mnie do siebie. Teraz to ona przejmuje kontrolę, a ja pozwalam się całować, tak jak ona tego chce.

Moja dłoń wślizguje się pod jej koszulkę, czuję pod palcami ciepło jej gładkiej skóry. Jedną ręką obejmuję ją w pasie, podczas gdy druga błądzi po jej ciele, ocierając się o delikatną koronkę biustonosza. Wsuwam pod nią rękę i ujmuję w dłoń jej pierś. Odrywam usta od jej ust, nieznacznie odchylam się w tył i przez krótką chwilę spoglądam jej w oczy. Eden oddycha ciężko, jej pełne usta doprowadzają mnie do obłędu. Boże, mógłbym całować ją całą noc. Zасыpuję pocałunkami jej twarz i szyję, a ona odchyła głowę i opiera ją o drzwi, zatapia palce w moich włosach i delikatnie szarpie ich końcówki. Teraz obiema rękami pieścę jej piersi, kciukami zataczam kręgi na jej skórze i dyszę jej w szyję.

Eden ujmuję w dłoń moją twarz i zbliża usta do moich ust. Na chwilę zamieramy i zaglądamy sobie w oczy. Oddychamy ciężko, jakby brakowało nam tchu. Zaraz jednak uśmiecham się, pochylam się nad nią i znowu zaczynam ją całować.

Oboje wiemy, że nie powinniśmy tego robić. Moje dłonie nie powinny błądzić po jej ciele, a jej usta nie powinny odwzajemniać moich pocałunków, ale to jest silniejsze od nas. Tak bardzo jej pragnę. Jest wszystkim, czego chcę. Nie mogę się jej oprzeć.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

– To nie do pomyślenia – mruczy pod nosem mama już chyba piąty raz tego wieczoru.  
– Taki wstyd.

Jesteśmy w kuchni. Siedzę przy stole. Mama przykładła mi do twarzy okłady i worki z lodem, a dłonią masuje mi głowę. Ujmuje mnie pod brodę, ogląda moją twarz i wydaje stłumiony jęk. Przesuwa worek z lodem w stronę oka.

Jest źle, wiem o tym. Tym razem nie mogę tego ukryć.

Oko mam podbite i nie jestem w stanie go otworzyć. Wargi mam opuchnięte i rozcięte. Policzki posiniaczone. Moja twarz wydaje się dwukrotnie większa niż zwykle i boli za każdym razem, gdy próbuję coś powiedzieć albo chociaż zamrużyć. Dlatego się nie odzywam i w milczeniu siedzę przy kuchennym stole, pozwalając, by mama opatrywała mi rany. Nigdy nie zapomnę okrzyku przerażenia, który dobył się z jej gardła, kiedy mnie zobaczyła po powrocie do domu.

– Jak mogli zawiesić tylko jednego z nich? – ciągnie, dając upust swojej frustracji. Rzadko bywa zła, ale dziś wieczorem aż gotuje się ze złości. Widzę to w jej oczach. – Dwójka dzieciaków wdaje się w bójkę, a oni zawieszają tylko jednego z nich! Wiesz co? Jutro z samego rana zadzwonię do dyrektora Castillo.

Tata stoi w kącie kuchni i, przygarbiony, opiera się o blat. Głowę ma spuszczoną, wzrok wbity w podłogę.

– Ella... – mówi cicho, wciąż na nią nie patrząc. – Daj spokój. Cokolwiek zrobisz, Tyler i tak będzie zawieszony.

– Mam dać spokój? Żartujesz? – warczy mama i odwraca się w jego stronę. Pod oczami ma czarne smugi rozmazanego tuszu i nawet nie poprawia luźnych kosmyków, które wysunęły się jej z upiętych włosów. Jest naprawdę wściekła. – Popatrz, co narobił tamten dzieciak! POPATRZ! – Odwraca moją głowę, pokazując ojcu obrażenia.

Ale on nie patrzy, za bardzo czuje się winny. Powoli kręci głowę, a ja próbuję się od niego odwrócić. Nie chcę na niego patrzeć. Nienawidzę go.

– To ja zacząłem bójkę – tłumaczę mamie. Ja również chcę, żeby odpuściła. To nie Blake tak mnie urządził. – Blake nie zasługuje na to, żeby go zawieszano.

– Milcz, Tyler. Jestem na ciebie wściekła – warczy na mnie mama i przesuwa worek z lodem, przykładając go do opuchniętych warg. Jest tak zimny, że aż się wzdrygam. Jej niebieskie oczy wpatrują się we mnie z konsternacją i rozczarowaniem. Przede wszystkim z rozczarowaniem. Pierwszy raz tak na mnie patrzy i spojrzenie to sprawia, że coś ścisną mi w piersi. – Dlaczego w ogóle to zrobiłeś?

– Przepraszam, mamo – szepczę. I naprawdę jest mi przykro. Nie wiem, co się stało. Wściekłem się i musiałem dać upust swojej złości, a po wszystkim poczułem się lepiej. Czy tak samo jest z tatą? Czy po wszystkim on też czuje się lepiej?

– To do ciebie niepodobne – mówi mama. Wzdycha, przykładając rękę do czoła i okłada mi

lodem policzek. – Co zrobił tamten chłopak?

– Nic.

– Nie bije się ludzi bez powodu, Tyler. – Coraz bardziej zdenerwowana powtarza to, co wcześniej powiedział mi dyrektor Castillo. Nie mogę jej powiedzieć, dlaczego to zrobiłem. Prawda złamie jej serce.

– Niektórzy tak robią – szepczę. Wyciągam szyję i kolejny raz spoglądam na ojca. Wciąż stoi oparty o blat i patrzy w podłogę, ale chyba czuje na sobie mój wzrok, bo na krótką chwilę podnosi głowę i zerka na mnie. Mam nadzieję, że widzi nienawiść w moich oczach. Albo raczej w oku, bo drugie jest tak opuchnięte, że nie jestem w stanie go otworzyć.

– Tyler, nie tylko jesteś zawieszony, ale masz też szlaban – oświadcza mama i wciska mi w dłoń worek z lodem. – Idź do swojego pokoju.

Nigdy wcześniej nie miałem szlabanu, ale chyba mogłem się tego spodziewać. Ściągam brwi i spoglądam na nią. Jest mi przykro, że ją zawiodłem. Chciałbym, żeby wiedziała, jak bardzo teraz żałuję. Jak bardzo czuję się winny. Zaciskam palce na worku z lodem i ześlizguję się z krzesła. Przygarbiony kieruję się do drzwi. Czuję na sobie wzrok taty, ale nienawidzę go, nienawidzę, nienawidzę. Wychodzę z kuchni i idę na górę do swojego pokoju. Trzaskam drzwiami, ale w tej chwili jest mi wszystko jedno. Nie boję się taty, bo co jeszcze może mi zrobić?

Nigdy dotąd tak mnie nie pobił. Z dnia na dzień robi się coraz gorzej i choć trwa to od czterech lat, nigdy nie był taki nieostrożny. Jego błędy nigdy nie były tak widoczne. Nie panuje nad gniewem, dlatego wiem, że nigdy nie będzie lepiej. Jestem tego pewien.

Dlaczego mu na to pozwalałam?

Rozglądam się po pokoju, patrzę na rysy na ścianach, o które mnie rzucał, i wgniecenia na biurku. Klękam, zaglądam pod łóżko i wyciągam jeden ze starych plecaków. Dlaczego chronię ojca, powinienem przecież chronić siebie?

Ucieknę z domu.



## DZIŚ

Pan Forde, nasz sąsiad złota rączka, w końcu usuwa zamek. Z początku sytuacja jest bardziej niż niezręczna. Eden i ja powoli wychodzimy z łazienki pod wyczekującymi spojrzeniami mamy i Dave'a. Eden mówiła, że mieliśmy opiekować się Chase'em, ale nie spisaliśmy się, bo przez cały czas siedzieliśmy zamknięci w łazience. Nasi rodzice nie mają jednak pojęcia, że te dwie godziny wcale nie były dla nas piekłem i że plan Eden się powiódł. Znowu jestem spokojny i z całą pewnością nie zamierzam spotykać się z Declanem.

– Musimy to naprawić – oświadcza mama, gdy pan Forde wręcza jej zepsuty zamek. Wyciągnął go i teraz już na pewno się nie zatrzasnę.

– Taa – rzucam ze spuszczoną głową. Wolę nie patrzeć Dave'owi w oczy. Nie po tym, jak całowałem się z jego córką. Kątem oka zerkam na Eden, która stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Jak nadgarstek Jamiego?

– Niewielkie złamanie – mówi Dave. Wyjmuje z kieszeni portfel i daje panu Forde trzydzieści dolców. – Dziękuję. – Pan Forde wychodzi, Eden znika w swoim pokoju, a mama i Dave schodzą na dół.

Zostaję sam. Postanawiam zajrzeć do Jamiego. Wiem z doświadczenia, jak boli złamany nadgarstek.

Staję pod drzwiami jego pokoju, pukam i wchodzę, nie czekając na odpowiedź. Jamie siedzi na łóżku i ruszając ręką, patrzy na szynę. Coś chwyta mnie za gardło. Nienawidzę patrzeć, jak moi bracia cierpią.

– Cześć – rzucam i wchodzę głębiej do pokoju. Siadam obok niego na łóżku, a gdy patrzy na mnie, uśmiecham się do niego i unoszę brwi. – Słyszałem, że złamałeś nadgarstek.

– Taa – bąka i wzdycha. – Potknąłem się o cegły w ogrodzie Dylana i upadłem na nie. – Jamie zwykle jest hałaśliwy i pełen życia, ale dziś wieczorem jest cichy. Przez kilka sekund patrzy na swój nadgarstek i powoli podnosi na mnie wzrok. – Nie wiem, jak to zrobiłeś.

– Jak co zrobiłem?

– To – mówi i podnosi rękę. – Złamane nadgarstki. Jak wytrzymałeś to wszystko. Boli jak diabli.

– Przyzwyczyłem się – mruczę. Szczerze, jestem zaskoczony, że w ogóle o tym mówi. Nie lubi rozmawiać o ojcu. Chyba nadal nie może się otrząsnąć po tym, jak zobaczył, że ojciec, którego uwielbiał, pastwił się nade mną. Od tamtej pory nie jest już taki sam i żaden z nas nie chce do tego wracać, chociaż obaj wiemy, że to nieuniknione. To po prostu zbyt trudne. – Nauczyłem się... nauczyłem się popadać w odrętwienie – mówię w końcu.

Jamie przetyka z trudem i wbija wzrok w podłogę. W tle gra telewizor, ale dla mnie to tylko biały szum.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że ojciec był do tego zdolny.

– Wiem. – Czasami sam nie mogę w to uwierzyć.

– Ale dlaczego ty? – pyta i patrzy na mnie. Jego niebieskie oczy napotykają mój wzrok.



W ogóle nie wyglądamy jak bracia. – Dlaczego nie ja? Co zrobiłeś, czego nie zrobiłem ja albo Chase?

– Nie wiem, Jamie, ale cieszę się, że nie trafiło na któregoś z was. – Patrzę na szyję na jego nadgarstku i wracają do mnie wspomnienia z dzieciństwa. Niedługo założą Jamiemu gips, na którym jego przyjaciele zapiszą swoje imiona. – Kochał was – mówię i patrzę na swoje ręce. Na zewnątrz wszystko jest w porządku. Ale czasami wciąż czuję ból w nadgarstku. – Może nawet mnie też kochał.

Jamie patrzy na mnie jak na wariata.

– To bez sensu.

– Prawda? – Prawie się uśmiecham, bo Jamie ma rację. To bez sensu. Tata nie krzywdził mnie dlatego, że mnie nienawidził... nie, robił mi krzywdę, bo nie potrafił nad sobą zapanować. – Nawet ja tego nie rozumiem.

Telefon wibruje mi w kieszeni i jestem niemal pewien, że to Declan z pytaniem, czy nadal chcę się z nim spotkać. Wyciągam telefon, gotowy odrzucić połączenie, ale zamieram, widząc na pękniętym ekranie imię Tiffani.

Czuję ucisk w piersi i patrzę na Jamiego. Spogląda na telefon, który trzymam w dłoni, i znowu na mnie. Widzę, że nie chce, żebym odbierał. Chce, żebym został z nim i porozmawiał o tacie. Nie mogę odrzucić połączenia od Tiffani, nie po tym, jak przez cały dzień próbowałem się do niej dodzwonić. Jest gotowa mnie wysłuchać i nie wybaczyłaby mi, gdybym nie poświęcił jej teraz czasu.

Z trudem przełykam ślinę i wstaję, choć rozczarowanie na twarzy Jamiego sprawia mi ból. Telefon dzwoni i jeśli zaraz nie odbiorę, przestanie.

– Przepraszam, Jamie – mówię przez ściśnięte gardło. – Muszę odebrać. Nie mam wyboru. Możemy pogadać innym razem?

– Jasne – mruczy, ale widzę, że jest na mnie zły. Kładzie się na plecach i odwraca się twarzą do ściany, przez co czuję się jeszcze podlej. Tymczasem telefon nie przestaje dzwonić...

Wracam do pokoju, zamykam za sobą drzwi i oddycham głęboko. Nadal nie zdecydowałem, jak się wytłumaczę, ale wymyślę coś na poczekaniu. Odbieram telefon i przykładam do ucha.

– Tiffani.

– Tyler – rzuca gorzko, jakby moje imię napawało ją odrazą. Widzę ją, jak gdyby stała tuż obok. Wyobrażam sobie jej usta, zaciśnięte w wąską kreskę, rękę opartą na biodrze i przeszywające niebieskie oczy. Na szczęście nie muszę konfrontować się z nią twarzą w twarz.

– Cały dzień próbowałem z tobą porozmawiać – mówię. Przygarbiam się z ulgą. W końcu zadzwoniła. Podchodzę do łóżka, padam na plecy i wbijam wzrok w sufit. – Czyli słyszałaś, co się wydarzyło wczoraj wieczorem?

– Oczywiście, że słyszałam – warczy Tiffani. Jest wściekła i nie da się łatwo przekonać. – Myślałeś, że się nie dowiem? Znasz mnie, Tyler. Nic się przede mną nie ukryje.

Zamykam oczy, biorę głęboki oddech i wolną ręką przeczesuję włosy.

– To był błąd – zaczynam, choć to nieprawda. – Wszystko wydarzyło się pod wpływem chwili. Byłem w drodze na spotkanie z chłopakami i właśnie mijałem molo, gdy jakaś drugoklasistka z Inglewood chciała obejrzeć mój samochód – kłamię. Otwieram oczy, siadam i opieram się o poduszki. Czuję się jak totalny dupek. – Wsiadła do samochodu i... sam nie wiem. To się po prostu stało. Nie planowałem tego. Przysięgam, Tiffani. Wiesz, że idiota ze mnie.

– Tyler – rzuca ostro i wiem, że gdyby stała teraz naprzeciw mnie, położyłaby mi rękę na piersi. – Nie interesują mnie szczegóły. Chcę tylko, żebyś obiecał, że to się nigdy więcej nie

powtórzy. Lepiej nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

– Obiecuję – wyrzucam z siebie pospiesznie i z chwilą, gdy wypowiadam to słowo, uświadamiam sobie, że nie powinienem był tego robić. Nie mogę jej obiecać, że to się więcej nie powtórzy, zwłaszcza teraz, kiedy jest tu Eden. Jeśli znowu ktoś nas zobaczy, Tiffani nie da mi drugiej szansy. Zrzuń mi życie, a to znaczy, że od tej chwili ja i Eden musimy być bardzo, bardzo ostrożni.

\* \* \*

Cały ranek spędziłem z Tiffani, nadskakując jej i dbając o to, by była zadowolona. Dlatego o dziewiątej pojechałem do centrum i za pieniądze, które udało mi się zarobić oraz niewielką sumę uszczkniętą z tego, co zostało na moim funduszu powierniczym, kupiłem jej torebkę. Tiffani jest zachwycona, wydatek się opłacał.

Nawet teraz ma ją przy sobie. Spędziliśmy u niej kilka godzin, rozmawiając, aż oboje doszliśmy do wniosku, że nasz związek jest toksyczny i bez znaczenia, ale ważny i konieczny, a teraz wiozę ją na promenadę, gdzie umówiła się z dziewczynami. Ja mam się spotkać z Deanem oraz Jakiem i prawdopodobnie wylądujemy gdzieś wszyscy razem.

– Wyrzuć mnie przy Nordstromie – mówi Tiffani. Przynajmniej głos ma lekki i radosny, i z całą pewnością nieszczerzy. Założyła okulary przeciwsłoneczne i przez całą drogę robi sobie zdjęcia, wydymając usta do aparatu. Opuściłem szyby. Jej jasne włosy powiewają na wietrze.

– Dobra, Britney Spears – mówię i przewracam oczami. Jedną ręką trzymam kierownicę, a drugą opieram na jej udzie. Wiem, że to lubi. – Dość tych zdjęć. Które ustawisz na tapecie?

– Zamknij się, Tyler – rzuca i opuszcza telefon. Wskazuje przed siebie. Jedziemy Drugą i zbliżamy się do promenady. Jak na czwartek przystało, ulice pełne są ludzi. Dzień jest gorętszy niż zwykle, a upały sprawiają, że ludzie wychodzą z domów. – Zatrzymaj się tu.

Robię, co mi każe, i parkuję przy chodniku naprzeciw Nordstroma. Tiffani rozpina pas, patrzy na mnie i zakłada okulary na czoło.

– Wiesz, że ci wierzę – mówi z uśmiechem. – Myślę, że nie popełnisz kolejnego błędu. Nie chciałabym tego. – Kiedy mówi, gestykuluje. – Możemy już zachowywać się normalnie?

– Właśnie tego chcę, Tiffani – zapewniam ją i uśmiechając się do niej, ściskam jej udo. Robię, co mogę, żeby wypaść wiarygodnie. W życiu tak się nie starałem.

Tiffani pochyla się w moją stronę i całuje mnie mocno i zachłannie, ja jednak mam ochotę się odsunąć. Niełatwo jest odwzajemniać jej czułości, udawać, że wszystko jest dobrze i że wczoraj wieczorem nie całowałem się z Eden. Pocałunki Tiffani są inne. Agresywne i nudne. Brak im namiętności i ekscytacji. Jak mogłem się do nich przyzwyczaić? Wytrzymuję kilka sekund, odsuwam się od niej i opadam na fotel.

– Mam nadzieję, że ci się podobało, bo nie dostaniesz więcej, dopóki znowu ci nie zaufam – stwierdza i patrząc na mnie, chwyta za klamkę. Śmieje się, wysiada z samochodu i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Odprawiam ją wzrokiem, gdy przechodzi przez ulicę i widzę Rachael, Meghan i Eden, które czekają na nią na chodniku. Stały tam przez cały czas? Czy Eden widziała, jak całowałem się z Tiffani? Patrzę tylko na nią. Popija kawę, głowę ma spuszczoną i obserwuje wszystko spod opuszczonych rzęs. Kieruje wzrok w moją stronę. Mam nadzieję, że rozumie, dlaczego robię to, co robię. Uśmiecham się przeprasząco. Chciałbym być z nią, nie z Tiffani.

Widząc nadchodzącą Tiffani, Eden odwraca wzrok. Rachael nie wygląda na zadowoloną; wyraźnie zdenerwowana, wyrzuca kubek do kosza i rozkłada ręce. Nie czekam, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Umówiłem się z Deanem i Jakiem w Refinery. Wciskam pedał gazu, skręcam w Broadway i zostawiam dziewczyny za sobą.

Znalezienie miejsca parkingowego zajmuje mi kwadrans i kiedy wchodzę do Refinery, Dean i Jake są już na miejscu. Siedzą przy oknie i obserwują ruch na bulwarze, śmiejąc się i popijając kawę.

– Proszę, proszę, raczyłeś się pojawić – zauważa Jake i przewraca oczami.

– Jake, mówiłem ci kiedyś, jak cholernie lubię twoje towarzystwo? – odgryzam się. Szturcham go w ramię i idę do baru. Droczyliśmy się ze sobą. Moje relacje z Jakiem bywały różne, ale zwykle stoimy po tej samej stronie barykady.

Zamawiam americano i wracam do stolika, wysuwam krzesło i przysiadam się do nich.

– No i? – rzucam, upijając łyk kawy. Jest tak gorąca, że parzy mnie w język. Odstawiam kubek i czekam, aż przestygnie. – O czym rozmawialiście?

– W sumie o niczym – mówi Dean i wychyla się do przodu, żeby na mnie spojrzeć. Posyła mi ciepły, przyjazny uśmiech, dużo miłszy niż ten, którym uraczył mnie Jake. Wiem, że często irytuję Deana, ale on nigdy tego nie okazuje. Dobrze mieć chociaż jednego przyjaciela, który cię wspiera. – O sobotniej imprezie na plaży.

Słyszając to, prostuję się. Na śmierć zapomniałem.

– To w ten weekend?

– Taa – rzuca Jake i tłumi śmiech. – Tym razem postaraj się nie zabić – dodaje zaraz potem.

– Jake – syczy Dean. Wymieniają spojrzenia, a Dean powoli kręci głową z dezaprobatą. Jake wzrusza ramionami, opiera łokcie na stole i popijając kawę, gapi się przez okno.

Co roku na plaży organizowana jest impreza. Połowa plaży zostaje zamknięta, a na scenie przez całą noc grają różni DJ-e i zespoły. Ludzie przychodzą nawaleni i imprezują godzinami, słońce malowniczo zachodzi nad Pacyfikiem i jest super. I choć oficjalnie nieletni nie mają tam wstępu, co roku spotykamy na plaży połowę naszej szkoły. Powinienem się cieszyć, ale po tym, co wydarzyło się rok temu, denerwuję się. Na samą myśl żołądek podchodzi mi do gardła.

W ubiegłym roku trochę przesadziłem. Upiłem się i kupiłem towar od gościa, którego pierwszy raz widziałem na oczy. Myślałem, że nic mi nie będzie, ale się pomyliłem. Do tej pory nie wiem, co to właściwie było, ale nie był to czysty towar. Miałem koszmarnego tripa. Na szczęście moi przyjaciele – chociaż sami byli nieźle wstawieni – odstawili mnie do Tiffani, gdzie siedzieli przy mnie godzinami, pilnując, żebym się nie przekręcił. Wiem, że zwykle się mną nie przejmują, ale tamtej nocy było inaczej.

– Tak sobie pomyślałem – odzywa się Dean – że przed pójściem na plażę moglibyśmy zrobić biforka u mnie.

– Nie powinienem... Może nie powinienem iść – mrużę. W ustach mam sucho. Spuszczam wzrok i nerwowo bawię się palcami. Ubiegłoroczna impreza na plaży była najgorszą w moim życiu. Nie mam z niej żadnych dobrych wspomnień i nie chcę znowu popełnić jakiegoś błędu.

– Tak myślisz? – pyta Jake. Odwraca się w moją stronę i przysięgam, że mam ochotę mu przywalić. – Eden idzie? Ostatnio jej nie widuję.

– A co ci, kurwa, do tego? – warczę. Lepiej niech o niej nie wspomina. To dupek i wołałbym, żeby trzymał się od niej z daleka. Może i spała u niego, ale to było parę tygodni temu i mam wrażenie, że uwaga Eden nie skupia się już na Jake’u. Skupia się na mnie. – Już jej nie interesujesz.

– Naprawdę? – pyta Dean. Siada na skraju krzesła i pochyla się do przodu. Unosi brwi i świdruje mnie wzrokiem. – Tak powiedziała?

– Nie musiała – rzucam i zaciskam zęby. Dziś tracę cierpliwość szybciej niż zwykle. Nienawidzę, jak Jake wypowiada jej imię.

– Poważnie, Tyler, zamknij się – śmieje się Jake. Wkurza mnie, że zawsze zbywa wszystko śmiechem. Lubię udawać, że na niczym mi nie zależy, podczas gdy on rzeczywiście ma wszystko gdzieś. Zawsze miał i zawsze będzie miał. – Zbierajcie się. Rachael pisze, że dziewczyny są w Johnny Rockets.

Zabieram kawę i popijam ją w drodze do Santa Monica Place, luksusowego centrum handlowego, przy którym wysadziłem Tiffani. Dean idzie między mną a Jakiem, głównie po to, żeby zapobiec możliwym spięciom. Wchodzimy do restauracji na świeżym powietrzu i rozglądamy się, szukając wzrokiem dziewczyn. W końcu je zauważamy i przysiadamy się do nich. Jedzą desery lodowe, a przynajmniej trzy z nich, bo Eden nie je.

Przystawiam krzesło i siadam obok Tiffani. Nie wiem, jak powinienem się zachować, kiedy Eden jest tak blisko i są z nami moi przyjaciele. Boję się na nią spojrzeć, bo obawiam się, że uśmiechnę się bezwiednie, a nasze oczy zdradzą historię, która nie jest gotowa, by ją opowiedzieć.

– Hej – szepcze Tiffani i uśmiecha się do mnie. Kładzie mi rękę na kolanie.

– No więc tak! – rzuca Jake podniesionym głosem, pochyla się do przodu i patrzy po naszych twarzach. Tylko ja piorunuję go wzrokiem. – Postanowiliśmy, że przed sobotnią imprezą pójdziemy do Deana.

– Taki biforek – wtrąca Dean. Jest wyraźnie podekscytowany i też zatrzymuje wzrok na każdym z nas. Dean nie przepada za melanzami, ale uwielbia doroczną imprezę na plaży. – My zajmujemy się alkoholem.

– Wy macie się zrobić na bóstwo – kończy Jake. Wzrusza ramionami, odchyła się na krześle i krzyżuje ramiona na piersi.

– Kutafon – rzuca Rachael i rzuca w niego łyżeczką. Jake robi unik, a ja żałuję, że go nie trafiła.

– Skarbie, przecież wiesz, że żartuję – droczy się z nią. Prostuje się na krześle, przechyla głowę i posyła jej psotny uśmiech. Zachowują się tak od gimnazjum.

– Nie mów tak do mnie!

Przekomarzają się przez kilka minut, ale ja nie mogę się skupić, bo pod stołem dłoń Tiffani błądzi po moim udzie. Czuję ucisk w gardle, bo oto przysuwa do mnie krzesło i wodzi palcami po moim ramieniu, przyprawiając mnie o gęsią skórę. Siedzę jak sparaliżowany i patrzę na stół. Chciałbym, żeby przestała mnie dotykać. Jestem prawie pewien, że robi to tylko dlatego, że jesteśmy w towarzystwie. W ten sposób chce pokazać naszym przyjaciołom, że między nami wszystko jest jak należy, choć to nieprawda. Nagle ściska mnie za brodę i pochyla się, żeby mnie pocałować. Tyle że ja nie mogę; nie tu i nie teraz, kiedy siedzi z nami Eden. Gwałtownie odwracam głowę i zamiast w usta, całuje mnie w policzek. Spodziewam się, że będzie zła, ale ona tylko przytula się do mnie i nie przestaje mnie dotykać.

– Eden – rzuca Rachael piskliwym, żartobliwym głosem – ty i Jake powinniście iść na spacer albo coś. No już, zmykajcie, kochasie.

Co jest, kurwa? Podnoszę wzrok i pierwszy raz spoglądam na Eden. Tiffani kreśli palcem wzory na mojej szyi, ale nawet na tym nie mogę się skupić, bo cała moja uwaga koncentruje się na Eden. Zdaje się, że to nagłe zainteresowanie jej osobą wprawia ją w zakłopotanie i zastanawiam się, o co właściwie chodzi Rachael. Czy Eden nadal spotyka się z Jakiem? Nie sądzę. Sam przecież mówił, że ostatnio jej nie widuje.

Jake wstaje i chowa ręce w kieszeniach.

– Eden? – rzuca.

Ku mojemu zdumieniu Eden podnosi się z krzesła. Unika mojego wzroku i okrążając stół, bąka:

– Zaraz wracamy.

Zjeżdżają ruchomymi schodami, a ja odprowadzam ich wzrokiem. Zaciskam zęby tak mocno, że aż boli mnie szczęka, tymczasem Tiffani skubie zębami płatek mojego ucha i kładzie mi rękę na piersi.

– Bez urazy – mówi głośno Rachael i marszcząc nos, patrzy w naszą stronę – ale odpuście sobie.

Tiffani się śmieje i przywiera wargami do moich warg. Tym razem odwzajemniam jej pocałunek.

\* \* \*

Tej nocy nie mogę zasnąć. To dla mnie nic nowego. Często mam taką gonitwę myśli, że nie mogę się odprężyć wystarczająco, by zasnąć. Godzinami leżę rozbudzony, słuchając delikatnego pomrukiwania klimatyzacji, i gapię się w sufit. Nie mogę przestać myśleć o Tiffani, o mamie, Jamiem, a przede wszystkim o Eden. O trzeciej rano mam dość. Zbyt długo przewracam się z boku na bok; odrzucam kołdrę i wstaję.

Powoli wychodzę z pokoju i najciszej, jak mogę, uchylam drzwi do sypialni Eden. Wyteżam wzrok w ciemnościach, ale niczego nie widzę. Otwieram drzwi na oścież i wchodzę do jej pokoju. W miarę jak mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, zamykam za sobą drzwi i szepczę:

– Nie śpisz?

Widzę Eden opatuloną kołdrą i leżącą twarzą do ściany. Nie rusza się, zakładam, że śpi, ale nagle słyszę, jak mruczy:

– Nie. Która godzina? – Głos ma schrypnięty jak nigdy i teraz, kiedy go usłyszałem, na pewno nie zasnę.

– Trzecia – szepczę. Powoli posuwam się w głąb pokoju, unoszę kołdrę i wślizguję się do łóżka. – Mogę z tobą spać? – pytam. – Jej łóżko jest ciepłe, a ona jest pewnie jeszcze cieplejsza, ale nie przytulam się do niej. – Nie chodzi mi o to, żeby się z tobą przespać, tylko żeby zasnąć z tobą w jednym łóżku. No wiesz, odpocząć.

– Wiem, co miałaś na myśli – mówi Eden. Jej głos brzmi tak, jakby się uśmiechała. Kiedy jestem zmęczony, nie mogę trzeźwo myśleć.

Przez chwilę gapię się w sufit i oddychając głęboko, rozkoszuję się ciepłem. Słyszę jej oddech i w końcu zbieram się na odwagę, żeby odwrócić się w jej stronę i delikatnie przysuwam się do niej. Tulę twarz do jej ramienia i zaciskam powieki. Jest taka ciepła, taka przyjemnie ciepła.

– Przepraszam z powodu Tiffani – szepczę. Zatapiam palce w jej włosach i przyciągam ją do siebie. Chciałbym, żeby się odwróciła, i chciałbym zobaczyć błysk w jej oczach.

– I dobrze – mruczy.

– Pozwól, że to załatwię – mówię. Błagam ją, żeby dała mi szansę, czas, żebym mógł wszystko przemyśleć i zastanowić się, jak wybrnąć z sytuacji, w której się znaleźliśmy. Chcę być z nią, ale jeszcze nie wiem, jak to zrobić. – Spróbuję to wszystko załatwić.

– Niby jak?

– Gdybyś nie zauważyła, jestem kompletnie popieprzony – mówię. Odsuwam się od niej, odwracam się w stronę drzwi i wciskam twarz w poduszkę. Ona również odwraca się od ściany, twarzą do mnie.

– Ja bym tak tego nie nazwała – mruczy. Kładzie mi dłoń na łopatkę i palcami kreśli wzory na mojej skórze. Myślę, że dotyka mojego tatuażu. – Chyba raczej zagubiony.

– Zagubiony? – powtarzam. Jestem w rozsypce, moje życie to ruina, ale czy jestem

zagubiony?

– Tak. Myślę, że jesteś zagubiony – mówi. Jest zaspana, głos ma niski i schrypnięty.

– Dlaczego tak myślisz?

Wodzi palcem wzdłuż mojego kręgosłupa, przysuwa się i tuli do moich pleców. Przyciska policzek do mojego ramienia, obejmuje mnie i przez chwilę wierci się, szukając wygodnej pozycji.

– Bo nie masz pojęcia, co robisz i dokąd zmierzasz – szepcze.

Milczę przez dłuższą chwilę. Eden ma rację. Nie wiem, co robię, a już na pewno nie wiem, dokąd zmierzam. Może faktycznie jestem zagubiony? Patrzę na drzwi, czuję na plecach powolne bicie jej serca, sięgam po jej rękę i splatam palce z jej palcami.

– Eden? – szepczę, ale ona już śpi.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Mam wrażenie, że idę przez całą wieczność, choć minęło zaledwie dwadzieścia minut. Wlokę się przed siebie z plecakiem na plecach i siedemnastoma dolarami w kieszeni. Zakradłem się do sypialni rodziców i zabrałem drobne, które znalazłem w kieszeni ojcowskich dżinsów. Wystarczy, żeby wyjechać z Santa Monica. Nie wiem jeszcze, dokąd pojedę, ale nie będę wybrzydzał.

Najpierw jednak muszę dotrzeć na promenadę. Wiem, że są autobusy, które wyjeżdżają z centrum, ale to strasznie daleko, a słońce powoli zaczyna zachodzić. Tak czy siak, nie mam wyjścia. Uciekłem z domu i jeśli teraz wrócę, będę miał jeszcze większe problemy.

Idę dalej, noga za nogą, głowę mam spuszczoną i od czasu do czasu kopię leżący na chodniku kamyk. Zapinam bluzę z kapturem. Jest prawie grudzień i pogoda się zmienia. Robi się chłodniej. Nie jest zimno, ale brakuje mi letniego słońca, chociaż wiejący mi w twarz chłodny wiatr łagodzi obrażenia. Z łazienki zabrałem opakowanie środków przeciwbólowych.

Jestem gdzieś w sąsiedniej dzielnicy, w Wilshire. Tu chyba mieszka Jake. Rozpoznam jego dom, jeśli go zobaczę. Przyspieszam kroku i rozglądając się na boki, spoglądam na domy, które mijam po drodze. Może rodzice Jake'a pozwolą mi zostać na noc. Mijam nawet szkołę, ale wygląda na dziwnie opuszczoną, dlatego idę dalej, szukając lepszego miejsca, w którym mógłbym się zatrzymać.

Ale nie znajduję domu Jake'a, podobnie jak nie widzę żadnych autobusów. Przynajmniej jestem pół godziny drogi od domu oraz od ojca, i to mi wystarcza. Wzdycham głęboko i zatrzymuję się przy ogromnym dębie, którego korzenie przebiły się przez płyty chodnikowe. Rzucam plecak na trawę, a sam siadam na ziemi. Oparty plecami o drzewo, z kolanami podciągniętymi pod brodę, oglądam przejeżdżające samochody.

Może to głupie. Może powinienem wrócić do domu, ale za bardzo się boję. Zbieram się na odwagę i nie ruszam się z miejsca. Wyciągam z plecaka butelkę wody oraz tabletki przeciwbólowe i dwie połykam. Nawet gdy siedzę bez ruchu, wszystko mnie boli. Zamykam oczy, słucham przejeżdżających samochodów i czuję na twarzy powiew wiatru. Oddycham powoli i głęboko. Do chwili, gdy jeden z samochodów zatrzymuje się przede mną.

Otwieram oczy i widzę policyjny radiowóz z włączonym silnikiem. Mój oddech przyspiesza, gdy szyba zjeżdża w dół.

– Cześć, kolego – rzuca policjant, opierając łokieć o otwarte okno. Jego uśmiech jest przyjazny i pełen troski, jak uśmiech pana Hayesa i doktora Colemana. – Co tu porabiasz?

– Siedzę – odpowiadam. Aresztuje mnie jako młodocianego przestępcę. Wtedy dopiero będę miał problemy i jak nic będę musiał uciec z domu.

– Aha – mówi powoli policjant, jakby mi wcale nie wierzył. I dobrze, bo nie powinien. – W którym domu mieszkasz?

– Nie mieszkam w tej dzielnicy – tłumaczę. Szybko zapinam plecak i zarzucam go na ramię, gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Nadal siedzę na trawie, ale modłę się, żeby

gliniarz zostawił mnie w spokoju.

– Co więc tu robisz?

– Siedzę – powtarzam. *Uciekam od ojca, który się nade mną znęca.*

Policjant milczy przez chwilę, ale widzę, że przygląda mi się z uwagą.

– Co się stało? – pyta w końcu.

– Pobiłem się w szkole – odpowiadam i wzruszam ramionami. Naciągam głębiej kaptur, żeby ukryć siniaki. – Zawiesili mnie.

– Niedobrze. Nie powinieneś się bić – mówi i marszczy brwi. Gasi silnik, wysiada z samochodu i robi kilka kroków w moją stronę. Jest wysoki i góruje nade mną, zasłaniając mi słońce. – Jak masz na imię?

– Tyler – mówię. Przesuwam się, szykując się do ucieczki. Czy nie powinienem był skłamać? Chyba nie. Nie wydaje się aż taki groźny. Nie wygląda, jakby chciał mnie aresztować. Przynajmniej na razie.

– Dobrze, Tyler, ja jestem posterunkowy Gonzalez. – Ku mojemu zaskoczeniu siada na trawie obok mnie, ale w bezpiecznej odległości, i wyciąga do mnie dłoń. – Miło mi cię poznać.

Przez chwilę patrzę na jego rękę oraz szczerzy uśmiech i uznaję, że jest miły i chyba nie chce mnie aresztować. Ściskam jego dłoń.

– A więc – zaczyna posterunkowy Gonzalez, opiera dłonie na ziemi i odchyła się w tył – powiesz mi, co naprawdę tu robisz? Niedługo się ściemni. – Patrzy w niebo, a potem znowu na mnie. – Mnie możesz powiedzieć. Jesteśmy przecież kumplami, prawda?

Może. Nie wiem. Nie robi mi problemów ani nic, więc to chyba dobrze. Przydałby mi się ktoś, do kogo mógłbym się zwrócić, a miły gliniarz wydaje się właściwą osobą. Dlatego postanawiam mu zaufać i mówię:

– Uciekam z domu.

– Dlaczego chcesz uciec? – pyta i przechyla głowę. Mruży brązowe oczy i przygląda mi się z uwagą. Staram się zachować kamienną twarz i nie zdradzać żadnych emocji, żeby nie mógł ich odczytać.

– Rodzice byli źli o tę bójkę w szkole – wyznaję. Zdejmuję plecak z ramienia i kładę go na ziemi, bo na razie nie mam zamiaru uciekać przed posterunkowym Gonzalezem.

– Hmm. Ja też byłbym rozczarowany, gdyby mój syn wdał się w bójkę – mówi. Ma łagodny, spokojny głos, którego brzmienie sprawia, że czuję się odrobinę lepiej. – Ale gdyby uciekł z domu, zamartwiałbym się na śmierć. Nie sądzisz, że powinieneś wrócić?

– Nie wiem – bąkam. Mój dom już od czterech lat nie jest bezpiecznym miejscem. Coś złego spotka mnie prędzej w domu niż na ulicy, chyba więc zaryzykuję.

– Możesz wrócić ze mną samochodem – proponuje posterunkowy Gonzalez, uśmiecha się jeszcze szerzej i unosi brew. Mówiąc to, wskazuje radiowóz i znowu wyciąga do mnie rękę. – Co ty na to?

Zerkam na radiowóz, na plecak, w którym mam ledwie trochę ubrań i pieniędzy, i na posterunkowego Gonzaleza z jego miłym, ciepłym uśmiechem. Lubię go, poza tym niedługo zrobi się ciemno, a ja wołałbym nie spotkać ludzi, którzy nocami włóczą się po ulicach. Dlatego kolejny raz podaję mu rękę.





## DZIŚ

W sobotę wieczorem idę do Deana. Po tym, co się wydarzyło w ubiegłym roku, tym razem zamierzam się kontrolować. Dlatego jedno piwo piję przez niemal godzinę, podczas gdy wszyscy naokoło wlewają w siebie drinki i totalnie się wydurniają. Dziwnie jest chociaż raz być trzeźwym. Czy tak właśnie czują się ludzie, którzy patrzą, jak się upijam? Bo, cholera, strasznie to żenujące.

Dean zaprosił tylko garstkę przyjaciół. Są Jake, Meghan i oczywiście Tiffani. Jackson i TJ z drużyny futbolowej wałają shotguny w takim tempie jak ja tydzień temu. Jedynymi osobami, które powinny tu być, a których wciąż nie ma, są Rachael i Eden. Co chwila zerkam na drzwi frontowe, czekając, aż się pojawią, ale najwyraźniej się spóźniają. Rachael zawsze potrzebuje mnóstwo czasu, żeby się przygotować. Nie zaskakuje mnie to, tylko wkurza.

Wszyscy jesteśmy w kuchni. Oparty o blat, obserwuję towarzystwo, gdy nagle jak spod ziemi wyrasta przede mną Dean. Impreza na plaży to jedyny melanż, na którym puszczają mu hamulce i widzę, że już jest pijany. Szczerzy się do mnie, po czole spływają mu krople potu.

– Jesteś grzeczny. Podoba mi się to – zauważa. Uderza puszką piwa w moją i odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem; Dean naprawdę bywa dziwny.

Wzdycham, prostuję się i podchodzę do Tiffani, która stoi przy kuchennej wyspie i robi sobie drinka. Nachylam się nad nią i próbując przekrzyknąć muzykę, mówię:

– Idę na dwór zapalić.

– Pójdę z tobą – mówi i odwraca się z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Podnosi do ust plastikowy kubek, zamyka oczy i jednym haustem opróżnia jego zawartość. Po wszystkim stawia kubek na blacie i miażdży go dłonią. Co jest dzisiaj z nimi wszystkimi? Czy coś unosi się w powietrzu i tylko ja tego nie czuję?

Marszcząc czoło, biorę Tiffani za rękę i wychodzimy do ogrodu na tyłach domu. Wczesnowieczorne słońce wciąż grzeje jak szalone i jest tak ostre, że muszę założyć okulary przeciwsłoneczne. Opieram się o ścianę domu i wyciągam zapalniczkę oraz paczkę papierosów. Rzadko palę papierosy, ale dziś zastępują mi alkohol i narkotyki. Wkładam papierosa do ust, zapalam i zaciągam się. Dym pali mnie w płuca.

– Wiesz – odzywa się Tiffani i kładzie mi rękę na piersi – trzeźwy jesteś cholernie seksowny.

– Tak? – pytam i dmucham jej dymem prosto w twarz, ale ona nawet nie drgnie. Dużo łatwiej było z nią wytrzymać, kiedy nie podobała mi się inna dziewczyna, ale teraz korzyści płynące ze związku z Tiffani nie wydają mi się już takie atrakcyjne.

– Może nie wtedy, kiedy robisz coś takiego – rzuca i marszczy nos. Gdy dym się rozwiewa, Tiffani przysuwa się do mnie, zarzuca mi ręce na szyję i patrzy na mnie. – Dziękuję, że jesteś taki grzeczny. Nie chcę, żebyś znowu narobił mi wstydu – mówi.

Myśli, że robię to dla niej? Myśli, że raz w życiu jestem rozsądny, bo nie chcę narobić jej wstydu? Nie. Robię to dla siebie, dla swojego cholernego zdrowia, żeby nie skończyło się tak, jak

rok temu. Chociaż raz robię to, co należy, i robię to tylko dla siebie.

Palę w milczeniu przez kilka minut, podczas gdy Tiffani wtula twarz w moją pierś. Naszą uwagę przykuwa szcęk otwieranych i zamykanych drzwi. Oboje podnosimy wzrok i, szczerze, nie spodziewam się zobaczyć Eden, która wpatruje się w nas. Musiała właśnie przyjść. Stoi przy drzwiach i emanuje pewnością siebie. Gdyby nie Tiffani, od razu bym do niej podszedł. Gęste ciemne włosy ma wyprostowane, rzęsy długie i gęste, a oczy podkreślone ciemną kredką. Założyła spódnicę i conversy. Wygląda zjawiskowo.

– Możesz wrócić, skąd przyszedłaś? – warczy Tiffani. Gdy za dużo wypije, robi się wredna i dziś akurat trafiło na Eden. – I dać nam odrobinę spokoju?

– Odpuść sobie – mówię do niej, na co odwraca się w moją stronę i piorunuje mnie wzrokiem. Normalnie nigdy bym się jej nie postawił, ale nie pozwolę, żeby odzywała się tak do Eden.

Na szczęście Eden kompletnie ją ignoruje i zamiast wejść do domu, wskazuje głową papierosa, którego trzymam w dłoni. Na jej twarzy maluje się troska.

– Co robisz?

– Wyluzuj – rzucam z uśmiechem i wkładam papierosa między zęby. – To tylko szlug.

Twarz Eden tężeje, a jej pociągnięte błyszczkiem różowe usta zaciskają się w wąską kreskę.

– To wszystko, co zamierzasz dziś palić, prawda? Szlugi?

Zaciągam się papierosem i patrzę na nią. Gdyby nie było tu Tiffani, porozmawiałbym z nią o tym. Przy niej byłbym sobą. Ale Tiffani tu jest i muszę udawać Tylera Bruce'a, choć szczerze go nienawidzę.

– Jeśli zamierzasz mnie przesłuchiwać, siostrzyczko, lepiej wróć do środka – mówię. Mrużę oczy i przez ułamek sekundy modlę się, żeby się domyśliła, że to gra. Zaraz potem skupiam uwagę na Tiffani, udając, że nic mnie to nie obchodzi. Tiffani się śmieje.

– Gramy w alkoholową ruletkę – oświadcza Eden jak gdyby nigdy nic i zupełnie ignoruje moje zachowanie. Boże, myślę. Właśnie tego nam trzeba. – Jeśli chcecie się przyłączyć, chyba powinniście wracać.

– Ja w to wchodzę! – odzywa się Tiffani. Jej nastawienie zmienia się w ułamku sekundy. Nagle jest cała w skowronkach i podbiega do Eden, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. Nawet Eden jest zaskoczona tą nagłą zmianą.

– Idziesz z nami? – pyta mnie Eden i przechyliwszy głowę, patrzy, jak pociągam z puszki. Trzymam ją w dłoniach tak długo, że piwo zrobiło się ciepłe. I paskudne.

– Jasne – rzucam i przewracam oczami. Nienawidzę mówić do niej tym głosem, ale to głos Tylera Bruce'a. Tiffani, pijana czy trzeźwa, zauważyłaby, gdybym rozmawiał z Eden inaczej niż ze wszystkimi.

Eden kręci głową i obie z Tiffani wchodzą do domu. Alkoholowa, kurwa, ruletka? Wszyscy się nawalą. Stoję na dworze jeszcze przez kilka minut, dopalam papierosa i wylewam resztę piwa do stojącej obok donicy. Dopiero wtedy dołączam do reszty.

Wszyscy stoją wokół kuchennej wyspy, na której stoi ruletka, i okrzykami zagrzewają się do gry. Zatrzymuję się nieco z tyłu, za Tiffani. Nie chcę brać w tym udziału, ale coś mi mówi, że będę musiał zagrać w choć jednej rundzie. Patrzę na Eden stojącą w drugim końcu kuchni, między Deanem i Rachael. Dean obejmuje ją ramieniem i krzyczy jej coś do ucha, próbując przekrzyczeć muzykę, podczas gdy Rachael nachyla się w jej stronę i mówi jej coś do drugiego ucha. Nagle Rachael chwyta ją za rękę i ciągnie w stronę salonu. Zaraz potem obie znikają, a ja mam ochotę wybiec za nimi. Nie ufam Rachael; obawiam się, że ma na Eden zły wpływ, ale moja troska może wzbudzić podejrzenia i dlatego zostaję w kuchni.

Zabawa w alkoholową ruletkę szybko wymyka się spod kontroli; shoty znikają i pojawiają się, a towarzystwo z każdą chwilą robi się coraz bardziej hałaśliwe. Za każdym razem, gdy Tiffani podnosi do ust kieliszek, zerkam na nią z dezaprobatą, ale tym razem to ona mnie ignoruje. Dean pije jednego za drugim, wygląda też na to, że Meghan odpadnie, zanim pójdziemy na tę cholerną plażę.

– Dawaj, stary, dla ciebie to normalka – bełkocze Jake, obejmuje mnie ramieniem i wciska mi w dłoń kieliszek. Rozlewa połowę wódki na podłogę i uśmiecha się, jakbyśmy nagle byli najlepszymi przyjaciółmi. – Bycie trzeźwym jest nudne. Pij.

Szczerze mówiąc, nie mam ochoty iść na imprezę zupełnie trzeźwy, dlatego się poddam i wypijam kilka shotów. Otwieram dwa piwa, które piję, obserwując końcówkę gry, i kiedy w końcu wynosimy się z domu, jestem już trochę wstawiony.

Na plażę zawozi nas starszy kuzyn Deana. Kiedy wychodzimy z domu, widzimy, że jego minivan stoi zaparkowany na ulicy. Idę, trzymając Tiffani za rękę, lecz nagle się zatrzymuję.

– Zaraz. Gdzie Eden i Rachael? – pytam.

– Pójdę ich poszukać – rzuca Dean i zawraca w stronę domu.

Jake i Meghan stoją przy drzwiach wejściowych, ale Jackson i TJ idą już w stronę vana, a Tiffani ściska mnie za rękę i ciągnie przez trawnik. Idziemy na tył samochodu. Tiffani jest tak pijana, że zatacza się i żeby nie upaść, obejmuje mnie za szyję.

– Hej, kuzynie Deana, podkręć muzykę! – woła, a on spełnia jej życzenie, aż muzyka dudni nam w uszach. Tiffani wpada na mnie, kołysząc biodrami, ale nie zwracam na nią uwagi.

Patrzę na dom Deana, z którego właśnie wychodzą Eden i Rachael. Nie wiem, gdzie były i co robiły, ale są kompletnie zalane. Ledwie trzymają się na nogach i zataczając się; idą przez trawnik w asyście Deana, Jake'a i Meghan. Cała piątka pakuje się do samochodu, a ponieważ nie dla wszystkich starcza miejsc, Rachael siada na kolanach Eden, a Dean pakuje się na tył obok Tiffani i mnie.

Z niedowierzaniem patrzę na Eden, która co rusz parska śmiechem. Nigdy jej takiej nie widziałem i czuję się przez to niezręcznie. Nie podoba mi się, że wypła za dużo, że straciła kontrolę i jutro rano będzie tego żałowała. Upijanie się do niej nie pasuje.

W drodze na plażę wszyscy mają świetne humory, skaczą między fotelami, śpiewają i piszczą. Tiffani śmieje mi się do ucha. Jackson opuścił szybę i wymachuje rękami przez okno. Jake nagrywa nas telefonem, okraszając filmik jednym ze swoich głupawych powiedzonek.

Zaciskam zęby i odwracam się w stronę okna. Od początku nie chciałem jechać na tę imprezę, a teraz się zastanawiam, kiedy ktoś się porzyga. Czuję na sobie czyjś wzrok, odwracam się i widzę, że Eden ogląda się na mnie przez ramię. Patrzymy na siebie, ale ona tylko posyła mi szeroki, głupkowaty uśmiech. Jest *taka* pijana i, szczerze, nie wiem, jak przeżyje dzisiejszy wieczór. Nie mogę zmusić się do uśmiechu, bo martwię się o nią, dlatego odwracam się w stronę okna i się wyłączam.

Droga na plażę nie jest długa i gdy wjeżdżamy na parking przy molo, widzę, że impreza trwa już w najlepsze. W chwili, gdy Jackson otwiera drzwi, słyszymy muzykę ze sceny po drugiej stronie plaży. Ludzi rozpira energia i jeszcze nigdy nie widziałem na plaży takich tłumów. Są dosłownie wszędzie, a my wysypujemy się z vana, żeby do nich dołączyć. Zbijamy się w ciasną gromadę

– Jeśli jakiś kretyn wywinie numer, przez który nas wywałą, osobiście skopię mu tyłek – ostrzega nas Jake. Dziewczyny nie przestają chichotać, a Dean ledwie widzi na oczy. – Chyba że to będzie dziewczyna. Wtedy przestanę z nią gadać.

W dziewiątkę przecinamy promenadę i kierujemy się w stronę plaży. Mam wrażenie, że muszę ich wszystkich mieć na oku. Zataczając się, brną przez piasek, a ja nie mogę się

wyluzować w obawie, że ktoś z nich lada chwila padnie twarzą na ziemię. Dokoła pełno jest ochroniarzy, ale oni – jak zwykle – są tak zajęci wydarzeniami na scenie, że w zasadzie nie zwracają uwagi na to, co dzieje się poza nią. Mijamy ich i postanawiamy się rozdzielić. Dziewczyny idą w jedną stronę, a my – faceci – w drugą. Cieszę się, że w końcu pozbyłem się Tiffani, ale niechętnie spuszcza z oka Eden, nawet jeśli jest ze swoimi przyjaciółkami. Albo raczej z *moimi* przyjaciółkami. I chociaż wszystkie są równie pijane, jestem pewien, że się nią zaopiekują. Wątpię, czy w Portland mają takie imprezy i mam nadzieję, że Eden nic nie będzie.

Jake lawiruje w tłumie, rozpychając się łokciami, a my idziemy obok niego. Przeciskamy się w stronę sceny, Dean ledwie trzyma się na nogach i co rusz wpada na innych ludzi. Widząc to, obejmuję go ramieniem dla podtrzymania.

– Ej – mówi.

– Co jest, Dean?

– Eeeej – powtarza.

Niech to szlag. Może trzeba się było nawalić jak cała reszta, żebym nie musiał tego znosić, bo skończy się na tym, że będę musiał ich niańczyć. Kwadrans później TJ gdzieś się ulatnia, a ja przepraszam obcych ludzi, bo co chwila wpada na nich Jake, który skacze w rytm muzyki. W dodatku raz za razem podnoszę z ziemi Deana i sprawdzam, czy nic mu nie jest. Jest zupełnie inaczej niż rok temu i chociaż nie podoba mi się to, że jestem trzeźwy, przynajmniej jestem z siebie dumny.

Próbuję się zrelaksować i dobrze się bawić, ale nie potrafię. Stoimy w najgęstszym tłumie, gdzie cały czas ktoś nas trąca i popycha. Chłopaki krzyczą mi coś do ucha i zaśmiewają się do łez, i tylko mnie nie jest do śmiechu. Stoję z rękami w kieszeniach, co rusz zerkając na zegarek, ale jesteśmy tu zaledwie od godziny. Słońce nawet jeszcze nie zaszło, szykuje się długa noc.

Spoglądam na scenę i kątem oka zauważam Tiffani. Jest sama. Lawiruje w tłumie i rozgląda się dokoła, jakby czegoś szukała. Wiem, że to mnie szuka. Nie chcę się z nią użerać. Nie chcę, żeby wieszala się na mnie i próbowała mnie całować, dlatego odwracam się bez słowa i idę w przeciwnym kierunku. Łokciami i ramionami toruję sobie drogę w tłumie, chcąc zwiększyć odległość, jaka dzieli mnie od Tiffani. Oddalam się od sceny, idąc tam, gdzie ludzi jest mniej i gdzie tłum zaczyna się przerzedzać. Spokojniej tu i kiedy myślę, że udało mi się uciec przed Tiffani, odkrywam kolejny problem.

Tuż przed sobą widzę Eden. Jest sama, pijana i zapłakana. Szybko rozglądam się dokoła, ale nie widzę ani Rachael, ani Meghan. Włosy Eden nie są już proste i splątane falemi opadają jej na ramiona. Ze swetrem przyciśniętym do piersi stoi i gapi się w piasek. Rozmazany tusz spłynął jej na policzki, a do tego jest boso. Conversy, związane sznurowadłami, trzyma w dłoni. Co się, u diabła, stało?

– Cholera, Eden – mówię i podbiegam do niej. Dlaczego jest sama i dlaczego płacze? Dobrze, że ją znalazłem. Kto wie, od jak dawna tak stoi.

– Tiffani cię szuka – mówi, pociągając nosem, i podnosi na mnie wzrok. Oczy ma zapuchnięte i ociera je rękawem swetra. – Twoja dziewczyna.

W tym momencie mam gdzieś Tiffani. Tylko ona mnie obchodzi. Podchodzę bliżej i opuszczam głowę, tak że patrzymy sobie w oczy. – Czemu płaczesz?

– Wszyscy sobie poszli – mówi. Przygarbia się, broda jej drży. Rozgląda się dokoła i traci równowagę. – Tiffani, Meghan, Rachael... I nie mam telefonu.

Biorę ją za rękę i podtrzymuję, ale wciąż się zatacza.

– Bardzo jesteś pijana? – pytam i marszczę brwi. Powinienem być z nią zostać. Wiedziałem, że jest pijana. Cała ta impreza była kiepskim pomysłem.

Eden przechyliła głowę, jej wilgotne policzki lśnią w świetle stroboskopowych świateł.

– A ty?

– Już nie – mówię, chociaż w ogóle nie byłem pijany. I co ja mam zrobić? Nie wiem, jak kogoś otrzeźwić, bo zwykle to ja potrzebuję otrzeźwienia. Wbijam wzrok w ziemię. Na piasku walają się zgniecione puszki i aż trudno uwierzyć, że Eden jeszcze nie rozcięła sobie stopy. Biorę jej buty, rozplątnę sznurowadła i stawiam je przed nią na piasku. – Włóż buty – nakazuję surowym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Pełno tu śmieci. – Eden robi, co jej każe, i uśmiecha się do mnie, chociaż jeszcze przed chwilą tonęła we łzach. – Ojciec cię zabije – mruczę pod nosem. Dave dostałby zawału, gdyby zobaczył ją w tym stanie. Nie ma mowy, żebym odstawił ją do domu, ale tu też nie mogę jej zostawić.

Nagle wyrывa się do przodu i biegnie po piasku. W końcu się zatrzymuje i, wyraźnie rozbawiona, odwraca się w moją stronę. Boże, co ona wyprawia? Patrzę na nią, próbując odgadnąć, co robi za chwilę. Ona tymczasem odnajduje lukę w tłumie, rzuca się na piasek i zaśmiewając się, zaczyna turlać się w moją stronę. Stojący dokoła ludzie przyglądają się jej z niedowierzaniem, śmieją się i kręcą głowami.

– Wstawaj – warczę i chwytam ją za ramię. Szarpnięciem stawiam ją na nogi i posyłam jej pełne dezaprobaty spojrzenie. To nie jest zabawne. – Pamiętasz, co ci mówiłem na temat śmieci?

– Uwieeeeeelbiam tę plażę – bełkocze Eden i uśmiecha się od ucha do ucha. Chyba kręci jej się w głowie, bo zatacza się i muszę przytrzymać ją za ramiona. Tym razem jej nie puszczam i podtrzymuję ją, żeby nie upadła. – W przyszłym roku też tu przyjadę, specjalnie na tę imprezę!

– Przyjedziesz za rok? – pytam pospiesznie. To coś, nad czym do tej pory się nie zastanawiałem. Wciąż zapominam, że za parę tygodni Eden wróci do domu. Chciałbym, żeby nie musiała wyjeżdżać.

– Nie wiem – mówi i wzrusza ramionami. – To zależy, czy ojciec będzie jeszcze chciał mnie oglądać.

– Mam nadzieję, że tak – mówię. Proszę, Dave, zaprosz ją znowu. – Ja na pewno będę chciał cię zobaczyć – dodaję cicho.

Eden rozciąga usta w uśmiechu i podejmuje żalostną próbę czegoś, co chyba ma być tańcem. Porusza się niezdarne, a ja rozglądam się dokoła i widzę, że ludzie się z niej śmieją.

– Zwracasz na siebie uwagę – syczę jej do ucha. Zdejmuję ręce z jej ramion, obejmuję ją w pasie i trzymam najmocniej, jak mogę, żeby się nie ruszała. – Przez ciebie nas wywałam.

– Ale przecież mam dwadzieścia jeden lat! – krzyczy, chichocząc, i widzę, że kolejne głowy odwracają się w naszą stronę.

– Chryste – jęczę. Jest naprawdę źle i kombinuję, jak by tu ją stąd zabrać. Zamykam oczy, analizuję wszystkie możliwości i uświadamiam sobie, że nie ma ich wiele. Biorę oddech, otwieram oczy, pochylam się i bez zastanowienia biorę ją na plecy. Prostuję się i lawirując między ludźmi, idę plażą. – Musisz wytrzeźwieć, do cholery.

Eden kładzie mi głowę na ramieniu, obejmuje mnie za szyję i trzyma się mnie równie mocno, jak ja trzymam ją. Jej nogi oplatają mnie w pasie, a na szyi czuję jej głęboki oddech. Chciałbym, żeby wiedziała, że mnie to podnieca, ale próbuję się skupić na obecnej sytuacji, czyli na tym, żeby doszła do siebie.

Nie wiem nawet, dokąd idę, ale w tłumie dostrzegam TJ'a. Wydaje się jeszcze bardziej pijany niż w domu Deana i nie wiem, jak to możliwe, skoro żadne z nas nie piło od kilku godzin. Zagaduje dwie starsze, niezwykle atrakcyjne dziewczyny. W normalnych okolicznościach nie przeszkadzałbym mu, ale wiem, że niedaleko stąd ma mieszkanie.

– Troy-James! – wołam, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Z Eden na plecach

podchodzę do niego. Jej ramiona obejmują mnie za szyję tak mocno, że prawie się duszę, ale nie przeszkadza mi to.

– Co jest? – pyta TJ. Obejmuje dziewczyny w talii i szczerzy się do mnie leniwym, sennym uśmiechem.

– Muszę skorzystać z twojej chaty – rzucam pospiesznie. To dziwna prośba, wiem, ale naprawdę potrzebuję jego pomocy. – Dalej mieszkasz przy Ocean Avenue?

– Stary – mówi niepewnie TJ. Zerka na tulące się do niego dziewczyny; wygląda na niezdecydowanego. Mam wrażenie, że może sam chciałby skorzystać z mieszkania. – Co planujesz?

Wskazuję głową Eden. Odkąd wziąłem ją na barana, nie odezwała się ani słowem i nawet nie wiem, czy jest przytomna, czy może kompletnie odpłynęła.

– Musi wytrzeźwieć – tłumaczę TJ'owi i patrzę na niego błagalnym wzrokiem z nadzieją, że zrozumie. – Ojciec ją zabije, jeśli wróci do domu w takim stanie.

– Koleś, krzyżujesz mi plany – mruczy i świdruje mnie wzrokiem. Robi minę i prawie niezauważalnie wskazuje głową dziewczyny.

– Ja mam wolną chatę – mówi nagle jedna z nich. TJ wyraźnie się odpręży i bez zastanowienia rzuca mi klucze do mieszkania.

– Zostaw je pod wycieraczką – mówi. Nie wspomina o żadnych zasadach, a ja dziękuję mu pospiesznie i patrzę, jak on i jego towarzyszki odchodzą.

Chyba pamiętam, gdzie jest to mieszkanie. Po drugiej stronie ulicy, nad brzegiem oceanu i z widokiem na plażę. Oddycham głęboko i kieruję się w tamtą stronę. I tak nie chciałem przychodzić na tę imprezę, nie mam nic przeciwko temu, żeby opuścić ją razem z Eden. Muszę zadbać o to, żeby jak najszybciej wytrzeźwiała i żeby nic jej nie było.

– Dlaczego idziemy do jego mieszkania? – bełkocze Eden ponad moim ramieniem, gdy zostawiamy za sobą tłumy na plaży. Dobrze, to znaczy, że nadal jest przytomna. Nie chcę, żeby odpłynęła i zasnęła. – Jak to możliwe, że ten koleś w ogóle ma mieszkanie?

– Bo zachowujesz się niepoważnie – tłumaczę jej ze śmiechem. Znam to uczucie, bo sam bez przerwy się upijam i robię żenujące rzeczy. Dlatego nie mogę się na nią złościć. – A jego rodzice są milionerami. Kupili mu mieszkanie na szesnaste urodziny. Kto w ogóle robi coś takiego?

– Milionerzy – powtarza i oboje parszemy śmiechem.

Chociaż oddaliśmy się od plaży, nadal słyszymy muzykę. Impreza trwa bez nas i zastanawiam się, czy ktokolwiek zauważy naszą nieobecność. Wszyscy są tak pijani, że prawdopodobnie nikt nie zwróci na to uwagi. To dobrze. Ostatnie, czego mi trzeba, to Tiffani, która będzie mnie szukać.

– Możesz postawić mnie na ziemi – mówi Eden i zaczyna się wiercić.

– Po co? Żebyś wpadła pod samochód? Nie ma mowy. – Przytrzymuję ją jeszcze mocniej i korzystając z mniejszego ruchu, przechodzimy na drugą stronę Ocean Avenue.

– Ominie cię reszta imprezy – mruczy Eden, jakby w ogóle obchodziła mnie ta kretyńska impreza.

Boję się, że mogłaby zrobić coś głupiego, niosę ją więc aż do apartamentowca, w którym ma mieszkanie TJ. Przed wejściem ostrożnie stawiam ją na ziemi, ale ona chwieje się na nogach jeszcze bardziej niż na plaży.

– Jak się czujesz? – pytam i wkładam klucz do zamka. Gmeram przy nim przez kilka sekund, zanim w końcu udaje mi się otworzyć drzwi.

Eden spogląda na swoje buty i okrywa się swetrem.

– Zawstydzona.

Biorę ją za łokieć i prowadzę do środka. Z chwilą, gdy drzwi zamykają się za nami, muzyka cichnie.

– Wszyscy przez to przechodziliśmy. – Staram się ją pocieszyć. Jesteśmy młodzi. Upijanie się i robienie z siebie idioty to niemal część rytuału przejścia.

– Tak jak ty w ubiegłym roku? – pyta Eden. Słyszac to, staję jak wryty na środku holu.

Oglądam się na nią, zdumiony nagłością tego oskarżenia. Skąd wie? Ktoś musiał jej powiedzieć o tym, co wydarzyło się rok temu, kiedy omal się nie przekręciłem. Nie sędzę, żeby chciała sprawić mi przykrość, bo przygryza wargę, jakby żalowała, że w ogóle się odezwała. Dlatego postanawiam nie drażnić tematu, kręcę głową i biorę ją za rękę. Wciągamy ją do windy i wciskam przycisk z numerem dwa.

– Dwieście sześć – mówię i na wszelki wypadek sprawdzam numer na kluczach. Trzymając Eden za rękę, prowadzę ją korytarzem na drugim piętrze do mieszkania TJ'a. Otwieram drzwi i wchodzimy do środka.

Byłem tu już wcześniej, ale tylko na imprezie. Teraz mieszkanie wygląda jakoś inaczej. Ale teraz ja jestem trzeźwy, a po mieszkaniu nie walają się rozmaite śmieci. Zapomniałem, że w salonie są niesamowite okna, które sięgają od podłogi aż po sufit, z widokiem na plażę. Widzę światła moło i Pacific Wheel, lśniące w promieniach zachodzącego słońca. Eden najwyraźniej podoba się ten widok, bo stoi bez ruchu i jak zaczarowana wygląda przez okna.

Idę do kuchni, nalewam wody do szklanki i niosę ją Eden.

– Masz – mówię łagodnie, żeby jej nie przestraszyć. Odwraca się w moją stronę, a ja podaję jej szklankę. – Wypij to. Już.

Uśmiecha się z wdzięcznością, podnosi szklankę do ust i pije łączywie. Spędziliśmy na plaży ponad godzinę w palącym słońcu i coś mi mówi, że Eden w tym czasie nie zatrzymała się przy żadnym stoisku z napojami.

– Siadaj – rzucam i wyjmuję jej z dłoni pustą szklankę. Wskazuję głową kanapę za jej plecami. Nie bardzo wiem, co robić, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli usiądzie. Kładę jej rękę na ramieniu i prowadzę ją do kanapy.

– Pięknie tu – mruczy ze wzrokiem utkwionym w oknach i malowniczej panoramie Santa Monica. Opada na poduchy, zachodzące słońce maluje na jej twarzy pomarańczowe refleksy. – Prawda?

– Pewnie – zgadzam się i wracam do kuchni. Jeszcze raz napełniam szklankę wodą, zanoszę ją Eden i wycieram ręce w dzinsy. Eden siedzi po turecku na kanapie, a ja nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić, i siadam na skraju kanapy obok niej. – Musisz się przespać, żeby dojść do siebie – mówię, patrząc, jak duszkiem opróżnia szklankę. Staram się przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, które słyszę od ludzi, kiedy jestem pijany; zwykle mi powtarzają, że muszę napić się wody i pójść spać. Na mnie to raczej nie działa, ale może z Eden będzie inaczej. – No już – mówię łagodnie. Wyjmuję jej z dłoni pustą szklankę i odstawiam ją na stolik. Biorę Eden za rękę i pomagam jej wstać. Drugą ręką obejmuję ją w pasie, na wypadek, gdyby znowu się zatoczyła. – Lepiej ci?

– Tak – potwierdza.

Prowadzę ją do sypialni TJ'a; na szczęście jest tu czysto. Eden chyba rozpaczliwie chce się położyć do ogromnego łóżka na środku pokoju, bo już ściąga buty. Nie wiem, dlaczego to robię, ale nagle biorę ją na ręce. W odpowiedzi obejmuje mnie za szyję i tuli pierś do mojej piersi. Podchodzę do łóżka i delikatnie kładę ją na nim. Okrażam je, przez chwilę poprawiam pościel, a w końcu ją przykrywam.

– Przyniosę ci wody – mówię. Cisza w mieszkaniu robi się niezręczna, nie dlatego, że jesteśmy skępowani swoim towarzystwem, ale dlatego, że jesteśmy sami, a ja dalej nie wiem, co

właściwie robię. Cieszę się tylko, że to ja się nią opiekuję, a nie ktoś inny.

Wracam do salonu, biorę szklankę i w kuchni napełniam ją wodą. Może wcześniej byłam odrobinę wstawiony, ale teraz jestem zupełnie trzeźwy. Eden raczej nie piła, odkąd wyszliśmy od Deana, i gorzej już chyba z nią nie będzie. Odtąd może być tylko lepiej.

– Proszę – mówię, wchodząc do sypialni. Eden wzdyga się na dźwięk mojego głosu. Stawiając szklankę na stoliku nocnym, widzę przyklejone do niego sztuczne rzęsy i mam ochotę parsknąć śmiechem. – Woda i sen; tylko w ten sposób wytrzeźwiejesz i unikniesz koszmarnego kaca – tłumaczę. Mam nadzieję, że poprawię jej humor na tyle, żeby jutro rano nie znenawidziła siebie za to.

– Powinieneś czasami posłuchać własnych rad – mówi, gdy zaciągam zasłony. – Kiedy się upijesz następnym razem, będę ci śpiewała: „Woda i sen, woda i sen”.

Uśmiecham się do niej i kręcę głową. Boże, ależ ona mi się podoba.

– Prześpij się, Eden – mówię szeptem.

Eden zakopuje się w pościeli i naciąga kołdrę pod samą brodę. Słyszę jej miękki ciepły śmiech. W końcu układa się wygodnie na plecach, a ja podchodzę do drzwi, chcąc dać jej spokój, żeby mogła się wyspać i wytrzeźwieć. Jednak zanim wyjdę, zatrzymuję się na chwilę. Nie wiem, czy chce, żebym poszedł, czy żebym został. Powiniennem ją zostawić, czy może raczej posiedzieć przy niej?

– Wracasz na imprezę? – pyta i podnosi głowę.

– Nie wiem – przyznaję. Wbijam wzrok w podłogę. Tyler Bruce nie wychodzi z imprez przed czasem. – Tiffani pewnie mnie szuka.

– No tak – mruczy Eden i słyszę smutek w jej głosie.

– Śpij – mówię i oglądam się na nią. Posyłam jej słaby uśmiech, żeby wiedziała, że tu jestem i troszczę się o nią.

Zaraz potem opada z powrotem na poduszkę, odwraca się i otula się kołdrą. Niechętnie wychodzę z pokoju i zamykam za sobą drzwi. W mieszkaniu panuje cisza i teraz, kiedy zostaję sam, czuję się jak sparaliżowany. Zaciskam powieki, opieram czoło o drzwi sypialni i wypuszczam powietrze.

Powrót na imprezę to tchórzostwo. Czy naprawdę mnie obchodzi, co myślą o mnie ludzie? Czy muszę wrócić na imprezę, żeby udowodnić wszystkim, że jestem tam i świetnie się bawię? Stać mnie na więcej, wiem to. Nie potrzebuję niczyjej aprobaty. Nie potrzebuję, żeby wszyscy myśleli, że wszystko jest w porządku.

Pieprzyć Tylera Bruce’a. Nienawidzę gościa. Pierwszy raz myślę, że wolę siebie takiego, jaki jestem. Takiego, jaki jestem z Eden, bo przy niej naprawdę jestem sobą. Prawdziwym sobą; chłopakiem, który ma swoje tajemnice, swoje wzloty i upadki, i któremu brakuje pewności siebie.

Chrzanić imprezę. Nigdzie nie idę. Zostanę tu, z Eden, bo ta dziewczyna znaczy dla mnie więcej niż to, co myślą o mnie moi przyjaciele.

Otwieram drzwi i wchodzę do pogrążonej w mroku sypialni. Eden najwyraźniej zasnęła, bo choć chodzę po pokoju, ona nawet nie drgnie. Siadam na podłodze przed oknem, opieram głowę o ścianę i przyglądam się jej. Chciałbym, żeby wiedziała, że tu jestem, że nie wyszedłem. Jeśli będzie trzeba, będę tu siedział i gapił się na nią godzinami, żeby mieć pewność, że nic jej nie jest.

Chyba właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, że się w niej zakochałem.





## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Posterunkowy Gonzalez nie odwozi mnie do domu. Nie wie, gdzie mieszkam. A ja mu nie powiem. Dlatego zabiera mnie do miejsca, które jest jeszcze bardziej przerażające: na posterunek policji w centrum miasta. Zaczynam żałować, że w ogóle wsiadłem z nim do radiowozu.

Na całym posterunku dzwonią telefony. Powietrze pachnie kawą. Między biurkami chodzą policjanci. Siedzę na jednym z krzeseł ustawionych w rzędzie pod ścianą i nerwowo ściskam w rękach butelkę wody, którą dał mi posterunkowy Gonzalez. Rozglądam się dokoła, by nic nie umknęło mojej uwadze. Robiłem, co mogłem. Nie chciałem powiedzieć, jak się nazywam. Ale jeden z tutejszych prawników zna moją mamę i powiedział, kim jestem.

A to znaczy, że drugi raz tego samego dnia moi rodzice otrzymali telefon w mojej sprawie. Najpierw od dyrektora Castillo, a teraz od posterunkowego Gonzalez. I jeśli po telefonie ze szkoły się wkurzyli, to telefon z policji doprowadzi ich do szału. W ciągu jednego dnia narobiłem głupstw i nawet nie potrafię wytłumaczyć, co mi jest. Mama będzie rozczarowana, a ojciec wściekły.

– No więc tak – mówi posterunkowy Gonzalez, kiedy znowu się pojawia. Siada obok mnie z kubkiem parującej kawy i upija duży łyk. Zerkam na niego kątem oka. – Masz szczęście. Rodzice nie zauważyli twojego zniknięcia i nawet nie zaczęli jeszcze panikować. Będą tu lada chwila.

Wbijam wzrok w podłogę. Jest mi tak niedobrze, że aż mnie boli brzuch. Nie powinienem był się zatrzymać pod tym głupim drzewem. Powinienem był iść dalej. Wsiąść do autobusu i wyjechać z miasta.

– Wszystko w porządku? – pyta znowu, bo nie odpowiadam.

Prawda jest taka, że nic nie jest w porządku. Tylko jak mam mu to powiedzieć? Czuję się słaby, cały jestem obolały, kręci mi się w głowie i nie widzę wyraźnie przez łzy, które cisną mi się do oczu. Tak bardzo się boję. Podnoszę głowę i patrzę na niego. Spoglądam mu w oczy i błagam go w duchu, żeby naprawdę, naprawdę na mnie spojrzął, żeby zobaczył w moich oczach lęk i ból, powiedział, że wszystko będzie dobrze i że mnie ochroni. Chcę powiedzieć mu prawdę, ale nie potrafię znaleźć słów, żeby wyrazić, jak bardzo jestem zdruzgotany.

Ale prawda jest w moich oczach. Mówię mu. Próbuję.

Jestem zdruzgotany, cierpię i boję się.

Jednak on tego nie widzi. W ogóle się nie odzywa.

Odwracam wzrok, próbuję powstrzymać łzy i spoglądam w podłogę.

– Tak – odpowiadam.

– Sprawdź, czy nie przyjechali twoi rodzice – mówi. Poklepuje mnie po plecach, jakby chciał dodać mi otuchy, i wstaje. Odchodzi, popijając kawę, wita się z kolegami, a po chwili znika na tyłach budynku.

Osuwam się na krzesło, zaciskam powieki i przyciskam dłonie do twarzy. Wzdrygam się

z bólu, zatapiam palce we włosach i nerwowo szarpię ich końcówki. Jestem taki rozdrażniony, taki zagubiony. Jak mam sobie z tym wszystkim poradzić? Mam wrażenie, że z każdym dniem coraz bardziej tracę kontrolę nad własnym życiem. Z każdym dniem czuję się coraz bardziej bezradny. I coraz słabszy.

Chcę, żeby to się skończyło.

Chcę, żeby tata przestał.

Mam dość kłamania. Dość chronienia go i udawania, że nic mi nie jest.

Ale nie potrafię znaleźć słów, by to wszystko zakończyć.

– Tyler! – Głos mamy odbija się echem gdzieś w oddali, ale ona sama jest tuż obok, bo czuję na sobie jej ramiona. Obejmuje mnie i tuli do siebie, jakby się bała, że znowu zniknę. – Co ty sobie myślałeś?

Zasypuje moją głowę pocałunkami, a ja otwieram oczy, bo duszę się w jej uścisku. Próbuję spojrzeć na nią kątem oka, ale przytula mnie do siebie tak mocno, że nie sposób zobaczyć jej twarzy, dlatego siedzę bez ruchu. Szukam wzrokiem ojca, ale nigdzie go nie widzę. Rozglądam się za nim, ale wygląda na to, że mama przyjechała sama.

Posterunkowy Gonzalez przygląda się nam, ramiona ma skrzyżowane na piersi i kiwa głową, jakby chciał mnie uspokoić.

– Był w Wilshire na Dwunastej – tłumaczy. – Dzieciak siedzący pod drzewem? Pomyślałem, że lepiej sprawdzę. Martwił się, że jesteście na niego źli za bójkę w szkole – mówi i chichocze. – Nie wiedziałem, że to pani syn.

– Och, Tyler – powtarza mama. Wypuszcza mnie z objęć i odchyła się do tyłu. Delikatnie ujmuję w dłonie moją pokiereszowaną twarz i opuszkami palców muska posiniaczoną skórę. Wygląda gorzej niż wcześniej. Jest bardziej zmartwiona, bardziej zestresowana. Przewierca mnie wzrokiem. – Nigdy więcej nie rób takich głupot.

Wbijam wzrok w podłogę i kiwam głową. Nie chciałem znów jej zdenerwować. Teraz mam jeszcze większe wyrzuty sumienia. To najgorszy dzień roku; chcę tylko, żeby mama zabrała mnie do domu, żebym mógł zakopać się w pościeli i spokojnie przespać całą noc.

– Dziękuję, że pan go przywiózł – mówi mama. Prostuje się i spogląda na posterunkowego Gonzaleza. Ścisła mu dłoń i delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu. Czas na nas, sięgam po leżący na podłodze plecak i wstaję.

– Koniec ze szkolnymi bójkami, dobrze, Tyler? – rzuca z uśmiechem Gonzalez. Patrzę na niego i chociaż nadal jest miły, chciałbym od niego czegoś więcej. Chciałbym, żeby mi pomógł. I żałuję, że nie mogę mu powiedzieć, jak to zrobić.

Razem z mamą wychodzimy z biura i kierujemy się w stronę recepcji. Mama pozdrawia skinieniem głowy zaprzyjaźnionych policjantów i detektywów, ale z żadnym z nich nie rozmawia. Zupełnie jakby się wstydziła, bo idzie szybciej niż zwykle i nie zatrzymując się, prowadzi mnie do wyjścia. Z chwilą, gdy drzwi zamykają się za nami, staje przede mną i kuca, tak by spojrzeć mi w twarz. Bierze moje ręce w swoje dłonie.

– Tyler – mówi z powagą, szukając w mojej twarzy odpowiedzi. – Dlaczego to zrobiłeś? Co się z tobą dzieje?

– Ty i tata byliście na mnie źli – odpowiadam cicho i patrzę na swoje ręce w jej dłoniach. Próbuję je uwolnić, ale mi na to nie pozwala. Nie chciałem jej martwić.

– Oczywiście, że byliśmy źli. Pobijeś się z kolegą! – Zamyka oczy, opuszcza głowę i wzdycha. Milczy przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem znów otwiera oczy, patrzy na mnie i uśmiecha się. – Jak będziesz starszy, pewnie częściej będę się na ciebie złościć. Jestem twoją mamą. Na tym polega moja rola. Ale to nie znaczy, że cię nie kocham ani że powinieneś uciekać z domu. Rozumiesz? – Ścisła moje ręce.

– Tak – mówię. Z trudem przetykam ślinę. – Gdzie tata? – pytam. Cieszę się, że nie przyjechał, ale boję się, że to przez to, że jest za bardzo zły, żeby mnie oglądać.

– W domu z twoimi braćmi. – Mama puszcza moje ręce i prostuje się. – O niczym nie wie, niech to zostanie między nami. Powiedziałam mu, że poszedłeś do Deana, i chociaż nie podoba mu się, że wymknąłeś się z domu, przynajmniej nie wie, dlaczego to zrobiłeś. Wiesz, jaki jest opiekuńczy.

Gapię się na nią. Opiekuńczy? To przed nim trzeba mnie bronić. Mama naprawdę nie ma o niczym pojęcia. Ale przecież na tym właśnie mi zależy. Tak bardzo starałem się zachować to w tajemnicy, żeby ją chronić. Wygląda na to, że dobrze mi idzie, chociaż to takie trudne. Pozwalam się krzywdzić, żeby ochronić moją rodzinę, bo wiem, że prawda ich zrani. Tak czy inaczej, stoję na przegranej pozycji.

– Mamo – mówię, a ona przetrząsa torebkę w poszukiwaniu kluczyków. Zerka na mnie i unosi brew, dając znać, że słucha. Tyle że ja nie wiem, co powiedzieć. Za każdym razem, gdy mi się wydaje, że jestem na tyle odważny, żeby w końcu komuś powiedzieć, słowa więzną mi w gardle. Nie mogę tego z siebie wydusić. Nie potrafię się do tego przyznać. Dlatego, tak jak z posterunkowym Gonzalezem, wybieram prostsze rozwiązanie. – Jestem zmęczony – mówię.

– To dobrze – odpowiada mama. – Bo jak wrócimy do domu, pójdziesz prosto do łóżka.

Czuję, że opuszczają mnie resztki nadziei. Nawet moja mama nie słyszy bólu w moim głosie, nie widzi cierpienia w moich oczach ani sińców na moim ciele. Nawet wtedy, gdy tak bardzo tego chcę.



## DZIŚ

Eden śpi. Godzinami jej się przyglądam i słucham jej miękkiego oddechu. Rozsunąłem zasłony i, oparty o ścianę, patrzę na imprezę, która odbywa się bez nas. Jest środek nocy, ale światła wciąż błyskają i w ciemności wydają się jeszcze jaśniejsze. Nadal widzę tłumy bawiące się pod sceną. I docierają do mnie stłumione dźwięki muzyki.

Gdzieś za plecami słyszę ruch i wyciągam szyję. To Eden wierci się na łóżku. Odrzuca kołdrę, przewraca się na bok i po omacku szuka szklanki stojącej na nocnym stoliku. Opiera się na łokciu i pije duszkiem, jakby nie widziała wody od tygodnia. Wiem, jak to jest obudzić się na kacu.

– Jak się czujesz? – pytam łagodnie.

Eden przechyla głowę i, zaskoczona, patrzy na mnie, siedzącego w kącie pokoju. Wpatruje się we mnie przez kilka sekund, po czym mówi:

– Lepiej. Która godzina?

– Trzecia – odpowiadam. Kolejny raz wyglądam przez okno i śmieję się. – Impreza trwa w najlepsze.

Teraz, kiedy widzę ją nieco wyraźniej, zauważam, że marszczy brwi.

– Nie wróciłeś na plażę?

– Nie. – Naprawdę myślała, że tam wrócę? Że zostawię ją samą? – Bałem się, że zaczniesz wymiotować albo coś. Poza tym uznałem, że lepiej będzie, jak zostanę – dodaję nieco ciszej.

Rok temu mniej więcej o tej porze byłem już u Tiffani i nie miałem pojęcia, co się wokół mnie dzieje. Totalnie urwał mi się film, ale z tego, co mówili mi przyjaciele, nie było wesoło. Minął rok, a ja niczego się nie nauczyłem i nadal kilka razy w tygodniu kupuję towar od Declana.

– O co chodzi? – pyta Eden i siada na łóżku.

– O nic – kłamię. Podciągam nogi pod brodę, opieram łokcie na kolanach i splatam palce. Już wcześniej mówiłem jej o rzeczach, o których nie rozmawiam z nikim innym, ale o tym nie chcę rozmawiać nawet z nią. Wolę nie wiedzieć, co by o mnie pomyślała.

– Wiem, że coś jest nie tak – mówi, upija łyk wody i patrzy na mnie znad krawędzi szklanki. – Co się stało, Tyler? – pyta tym razem nieco bardziej stanowczo.

– Chodzi o to, że... – zaczynam, ale słowa więzną mi w gardle. Przygarbiam się. Nie mam odwagi jej powiedzieć. Boję się.

– O co? – naciska.

– Rok temu o tej porze... – mówię, ale to wszystko, na co mnie stać. Nie mogę jej powiedzieć, że byłem idiotą i że omal się nie zabiłem, bo szukałem towaru, który pozwoli mi przetrwać kolejny dzień.

– ...zemdląłeś – dokańcza za mnie, a ja podnoszę wzrok i spoglądam jej w oczy. A więc wie i na pewno jest już trzeźwa, bo taką Eden znam. Eden, która mówi mi prawdę prosto w oczy.

– Rachael mi powiedziała. Straciłeś przytomność przez narkotyki.

Przełykam grudę w gardle, wstaję z podłogi i z rękami w kieszeniach opieram się o ścianę.

– Napij się wody – mruczę.

Eden podnosi szklankę do ust i pustą odstawia na stolik nocny. Chwilę później wygrzebuje się z pościeli i wstaje. Robi kilka niepewnych kroków w moją stronę i pyta:

– Dlaczego to robisz?

Tej nocy szczególnie nie chcę o tym rozmawiać. Eden w kółko zadaje mi to pytanie, ale emocjonalnie nie jestem wystarczająco silny, by udzielić jej odpowiedzi.

– Po co kolejny raz mnie o to pytasz? – mruczę i wyjmuję ręce z kieszeni. To taki drażliwy temat, że od razu wzbiera we mnie złość.

– Bo chcę poznać prawdę.

– Już ci powiedziałem cholerną prawdę – warczę i zaciskam dłonie w pięści. Próbuję walczyć z ogarniającą mnie wściekłością. – Robię, co robię, żeby nie myśleć.

– O czym? – dopytuje podniesionym głosem, niezdolna ukryć frustracji. Myślę, że od początku lata nie daje jej to spokoju i nie przestanie mnie męczyć, dopóki nie pozna prawdy.

– Chcę wiedzieć, Tyler. Chcę wiedzieć, po co ta cała gadka o niemyśleniu.

– Kiedy człowiek nie myśli, wszystko jest prostsze – mruczę pod nosem. Jeszcze niedawno byłem taki spokojny i opanowany. Nie podoba mi się to, że znowu zaczyna mi odbijać. Ale to nie na nią jestem zły. Nigdy. Wściekam się tylko wtedy, gdy jestem zmuszony powiedzieć prawdę.

– Co jest prostsze?

Zaciskam zęby i patrzę na nią w milczeniu.

– Przestań, Eden – mówię powoli. Głos mam stanowczy. Mam nadzieję, że dostrzeże błaganie w moich oczach. Naprawdę nie chcę tego robić.

– Co mam przestać? – pyta i robi krok w moją stronę.

– Przestań próbować mnie rozgryźć – odpowiadam. Serce wali mi jak szalone. Spoglądam jej w oczy i modlę się, żeby zależała jej na mnie na tyle, by nie kazała mi przez to przechodzić. Jeśli odkryje prawdę, będzie wiedziała, jak bardzo jestem rozbity.

– Tyler – mówi – 49ers czy Chargersi?

To niemożliwe, że tak nagle zmieniła temat. Od pytania mnie, dlaczego uciekam w narkotyki, do tego, której drużynie kibicuję... No cóż, wszystko jest lepsze od tego.

– Co to za idiotyczne pytanie? 49ers.

Eden markotnieje, otwiera szerzej oczy i rozchyła usta.

– W domu Deana widziałam zdjęcie – mówi powoli niskim gardłowym głosem. – Byłeś na nim ze swoim ojcem przed meczem 49ersów. Skoro ich lubisz, to dlaczego wyglądałeś tak, jakbyś tam był za karę?

Patrzę na nią przerażonym wzrokiem. Wiem, które zdjęcie ma na myśli. To samo, które na początku tego tygodnia zobaczyłem w garażu Deana i które obudziło bolesne wspomnienia.

– Dean miał ściągnąć tę fotografię – rzucam, bo nie wiem, co innego mógłbym powiedzieć.

– Odpowiedz na moje pytanie – żąda Eden. – Co się wydarzyło tamtego dnia?

Nie odpuści. Zastanawiam się, czy oglądając zdjęcie, przyjrzała mi się wystarczająco dokładnie, by zobaczyć w moich oczach ból. Był dotkliwszy niż ten, który zadawał mi ojciec. Tamtego dnia byłem zdruzgotany. Czuję się bezwartościowy. Coś we mnie pękło.

Nie mogę teraz na nią spojrzeć, bo te same emocje uderzają we mnie ze zdwojoną siłą. Czuję, że znowu coś we mnie pęka. Biorę ze stolika nocnego pustą szklankę i ściskam ją z całych sił, żeby dać upust ogarniającej mnie wściekłości. Staję przy oknie i spoglądam na światła. Moje

życie to jeden wielki bałagan.

– O co ci chodzi, Eden? – pytam. Stoję odwrócony do niej plecami ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami. – Nie powinnaś próbować mnie zrozumieć. Nikt nie powinien.

– Tyler – szepcze. W jej ustach moje imię brzmi jak okrzyk rozpacz. Powoli oglądam się przez ramię i widzę, że patrzy na mnie z ręką przyciśniętą do piersi. – Zaufaj mi, proszę.

Odwracam głowę i znowu zamykam oczy. Tak bardzo chce poznać prawdę, a ja boję się zdradzić jej moje największe sekrety. Nigdy dotąd nikomu nie mówiłem. Od pięciu lat tłumię wszystko w sobie i nie potrafię wyrzucić tego z siebie. Moje tajemnice stały się częścią mnie. – Nie każ mi tego mówić.

Eden staje między mną a oknem. Przysuwa się do mnie i przykładą mi dłoń do piersi, jak gdyby chciała poczuć bicie mojego serca.

– Proszę – szepcze, patrząc mi w oczy.

Z jej orzechowych oczu wyczytuję, że zależy jej na mnie i że chce poznać prawdę, żeby lepiej mnie zrozumieć. Trzymałem prawdę o ojcu w tajemnicy, bo się bałem, że ludzie zaczną postrzegać mnie inaczej. Nie chciałem wzbudzać litości i nie potrzebowałem współczucia. Chciałem żyć dalej, pokazać, że jestem silniejszy od wszystkiego, co mnie spotkało, i że mój ojciec nie miał wpływu na to, jakim jestem człowiekiem. Nie chcę znowu okazywać słabości, ale w Eden jest coś, co dodaje mi otuchy, jakby miała zadbać o to, że wszystko będzie dobrze.

– Mój ojciec to dupek – szepczę, a słowa, które padają z moich ust, tną niczym noże. Głos mi się łamie, a serce bije tak szybko, że boję się, iż dostanę zawału. Naprawdę zamierzam to zrobić. Naprawdę zamierzam wyznać jej prawdę. – Powiedziałem wszystkim, że siedzi w więzieniu za kradzież samochodu, ale to nieprawda. – Nie mogę na nią spojrzeć; nie teraz, kiedy zamierzam powiedzieć na głos słowa, które przewrócą moje życie do góry nogami. Zaciskam zęby i wbijam wzrok w ścianę, mrugając wściekle, żeby powstrzymać łzy, które napływają mi do oczu. – Siedzi za znęcanie się nad dziećmi – wyznaję w końcu ledwie słyszalnym głosem.

Krew odpływa Eden z twarzy, a ja zamykam oczy. Słyszę, jak gwałtownie nabiera powietrza.

– Chodzi o ciebie? – pyta piskliwym głosem. Kiwam głową, nie otwierając oczu. Pieką mnie, gardło mam ściśnięte. Eden oddycha głęboko. – A Jamiego i Chase’a też to dotyczy?

– Nie, tylko mnie. – mówię. Gdyby było inaczej, nie zniósłbym tego.

– Tyler, ja... – Głos jej się łamie i Eden kładzie mi dłoń na piersi, jakby mi chciała przypomnieć, że jest tu ze mną. – Tak mi przykro – szepcze.

No i proszę: współczucie. Nie tego mi trzeba.

– Nauczyłem się ukrywać to przed światem – mówię i otwieram oczy. Eden jest blada, jej oczy szklą się od łez. Właśnie tego chciałem uniknąć. Cofam się, a ona opuszcza rękę. – Nikt nie wie. Ani Tiffani, ani Dean. Nikt.

– Dlaczego im nie powiedziałeś?

– Bo nie potrzebuję współczucia – warczę. Ogarnia mnie złość, chwytą mnie za gardło i ściska za serce. Odsuwam się od Eden i przytrzymuję się stolika nocnego, szukając oparcia. – Współczucie jest dla pańienek. Nie chcę, żeby myśleli, że jestem słaby. Mam dość bycia słabym. – Tak bardzo nienawidzę ojca. *Dlaczego mi to zrobił? Dlaczego zrujnował mi życie?* W przyływie złości walę pięścią w stolik nocny. Kłyckie powinny mnie boleć, ale nie czuję już bólu. – Oto, kim zawsze byłem. Słabeuszem.

– Nie jesteś słaby. – Eden kręci głową. – Byłeś dzieckiem.

Myli się. Byłem słaby. Powinienem być być silniejszy, powinienem był mu się postawić, powinienem był komuś powiedzieć. Przechodzę w drugi koniec pokoju, opieram się o ścianę

i ześlizguję się na podłogę.

– Wiesz, przez jakiś czas nie rozumiałem – wyznaję po chwili. Moja złość nieco słabnie. Muszę powiedzieć jej więcej. Chociaż raz muszę się przed kimś otworzyć; chociaż trochę. Nie mogę powiedzieć jej wszystkiego, ale tyle wystarczy. – Nie wiedziałem, co robię źle.

Eden siada przede mną na dywanie, krzyżuje nogi i milczy. Słucha, a ja uświadamiam sobie, że właśnie tego potrzebuję. Może mama ma rację. Może rozmowa z kimś pomoże.

– Moja mama i ojciec... – zaczynam, próbując znaleźć odpowiednie słowa. To skomplikowana historia i trudno ją opowiedzieć. – Byli nastolatkami, kiedy się urodziłem, więc pewnie nie mieli pojęcia, co robili. Oboje byli skoncentrowani na robieniu kariery. Tata miał swoją durną firmę, o której ci mówiłem.

– Grayson's – mówi Eden. Pamięta.

– Tak, Grayson's – potwierdzam. Wyjaśnienie wszystkiego zajmie trochę czasu. Odchrząkuję i pochylam się do przodu z rękami na kolanach. Serce wali mi jak szalone. – Na początku było super. Przez kilka lat biznes świetnie prosperował, ale jak miałem osiem lat, jakaś inwestycja nie wypaliła. Ojciec zawsze był wybuchowy. Pewnego wieczoru wrócił do domu, a ponieważ mama do późna siedziała w biurze, a on był mega wkurzony, wyżył się na mnie. Zapomniałem o tym. Myślałem, że to jednorazowa sytuacja. Ale gdy jego pracownicy zaczęli odchodzić, coraz częściej odgrywał się na mnie. Najpierw raz w tygodniu, a potem codziennie. Powtarzał mi, że nie mogę robić niczego, na co miałbym ochotę, bo muszę się skupiać na nauce. Chciał, żebym się dostał do Ligi Bluszczowej, żebym nie spieprzył sobie kariery tak jak on. Problem w tym, że ja nie chciałem robić kariery ani dostawać się na prestiżową uczelnię, a jednak co wieczór siedziałem zamknięty w swoim pokoju i próbowałem się uczyć, żeby tylko się na mnie nie wściekał. Myślałem sobie, że przecież się staram. Że to chyba wystarczy. Ale nie wystarczało. Co wieczór przychodził do mojego pokoju i mną pomiatał. – Przez chwilę mam wrażenie, że nie mogę oddychać. Tak trudno o tym mówić. Wracają do mnie wspomnienia. To, jak ojciec na mnie patrzył, jak się na mnie wyżywał i jak przepraszał. – Każdej nocy – szepczę. – Przez cztery lata.

– Przykro mi – powtarza Eden zduszonym głosem. Nie musi mnie o tym zapewniać.

– Mama była tak zapracowana, że o niczym nie miała pojęcia – ciągnę. – Teraz obwinia się o wszystko. Próbuje mnie karać, ale to nic nie daje, bo nie jest konsekwentna. Myślę, że boi się być wobec mnie surowa. Ale to przecież nie jej wina. Czasami coś zauważała. Pytała: „Tyler, co ci się stało w twarz?”. A ja za każdym razem wynajdowałem jakąś idiotyczną wymówkę. Mówiłem, że mam podbite oko, bo na wuefie graliśmy w futbol albo że złamałem nadgarstek, bo spadłem ze schodów. A tak naprawdę trzy razy w roku miałem złamany nadgarstek, bo ojciec chciał się przekonać, jak mocno jest w stanie go wygiąć.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałeś? – pyta szeptem. To rozsądne pytanie. Mama zadawała mi je wielokrotnie. – Czy mój tata wie?

– Bo panicznie się go bałem – wyznaję. Głos mam tak pełen napięcia, że sam ledwie go rozpoznałem. – Nie mogłem nikomu powiedzieć. Jediną osobą, która o niczym nie wie, jest Chase. Był wtedy za mały. Mama nie chciała, żeby się bał. Reszta rodziny nienawidzi ojca.

– Kiedy to się skończyło?

– Gdy miałem dwanaście lat – mówię. Pięć lat temu. Wszystko skończyło się pięć lat temu. A przynajmniej powinno było się skończyć. Tamte lata były dla mnie prawdziwym piekłem i na samo wspomnienie czuję narastającą złość. To, co zrobił mój ojciec, odbiło się na całym moim życiu. – Pewnej nocy Jamie wszedł na górę i zobaczył, jak ojciec mnie bije – tłumaczę i zrywam się z podłogi. – Był mały, ale wezwał gliny. Jeszcze tego samego wieczoru ojciec został aresztowany. Nie było rozprawy, bo przyznał się do winy, więc sprawa nie została

nagłośniona. Muszę trzymać to w tajemnicy. Udawać, że wszystko jest w porządku. – *Ale nie jest.*

Zaczynam nerwowo krążyć po sypialni, starając się opanować złość. – Nienawidzę go – rzucam. – Z całego serca. Mniej więcej po roku zacząłem wierzyć, że musi być jakiś powód. Myślałem, że zasługuję na takie traktowanie, bo jestem bezwartościową kupą gówna. Nadal tak myślę. Nie potrafię normalnie żyć, bo nie umiem zapomnieć. Wiem, że brzmi to żałośnie, ale taka jest prawda. Powinienem łykać antydepresanty, ale ich nie biorę, bo wolę pić i palić, a nie można robić obu tych rzeczy naraz. I wiesz co, Eden? Masz rację. Jestem zagubiony. Kompletnie się pogubiłem w tym całym syfie.

Eden również podnosi się z podłogi. Stoi bez ruchu i przygląda mi się, nie wiedząc, co powiedzieć. Tyle że nikt nie może nic powiedzieć. Pogodziłem się z tym, co się stało. Moja przeszłość jest częścią mnie. To przez nią jestem tym, kim jestem, i to przez nią jestem taki popieprzony. Nie uważam, że to, co się wydarzyło, było w porządku. Bo nie było. I teraz jestem wściekły.

– Dlatego staram się nie myśleć! – krzyczę do Eden, chociaż dzieli nas zaledwie parę metrów. – Dzięki temu wszystko staje się łatwiejsze, bo gdy jestem pijany albo na haju, albo jedno i drugie, zapominam, że mój własny ojciec mnie nienawidzi!

Muszę uwolnić wściekłość, która niczym krew krąży w moich żyłach, zatrzymuję się więc, chwytam pustą szklankę i ciskam nią o ścianę. Uwielbiam rozbijać rzeczy. To mnie uspokaja. Patrzę, jak okruchy szkła sypią się na dywan i oddycham ciężko. Eden wydaje stłumiony krzyk.

Nagle opuszcza mnie cała energia. Nienawidzę tego, co zrobił mi ojciec. Czuję się pusty, bez życia. Z walącym sercem osuwam się na łóżko stojące za moimi plecami i spoglądam w nocne niebo. Księżyc w pełni jest jasny.

– Nienawidzę go – warczę i z trudem przetykam ślinę. *Tak bardzo go nienawidzę.*

Eden podchodzi do mnie i staje przede mną. Odchylam głowę, żeby na nią spojrzeć i zajrzeć w jej oczy, pełne ciepła i pocieszenia.

Wyciąga ręce i delikatnie ujmuję nimi moją twarz. Nie odrywając ode mnie wzroku, siada mi na kolanach i przywiera do mnie całym ciałem; skórę ma ciepłą. Oddech więźnie mi w gardle. Jest tak blisko. Muska kciukami moje policzki, pochyla się do przodu, zbliża wargi do moich warg, ale mnie nie całuje. To nic. Wystarczy, że jest tak blisko, że czuję na skórze jej oddech i wiem, że w tej chwili jest tylko moja. Zamykam oczy i przez długi czas siedzimy, tuląc się do siebie. Najchętniej już nigdy nie wypuszczałbym jej z objęć.

W końcu Eden przerywa ciszę i szepcze tym swoim cudownym schrypniętym głosem:

– Dziękuję, że mi zaufałeś.

A potem mnie całuje.

Jest wszystkim, czego mi potrzeba. Wszystkim, czego pragnę. Chęć pocałowania jej jest przytłaczająca; rozkoszuję się dotykiem jej ust i czuję, jak płonie we mnie zupełnie nowy ogień. Właśnie pokazałem jej najmroczniejsze zakamarki swojej duszy, a ona wciąż jest ze mną. Widziała mnie, kiedy byłem słaby i bezbronny. Widziała *mnie*. I nadal tu jest. Siedzi mi na kolanach, całuje mnie i przytula, a ja jestem w niej bezgranicznie zakochany.

Całuję ją zachłannie, a po moim policzku toczy się samotna łza. Wodzę rękami po jej udach i pośladkach. Przywiera do mnie piersiami, a ja się prostuję i podnoszę ją. Nie przestaję jej całować, a ona nadal ujmuję dłońmi moją twarz. Nie przerywając pieszczot, kładę ją na łóżku. Pochylam się nad nią, moje pocałunki stają się głębsze i bardziej zachłanne. Wciąż mi jej mało. Eden ochoczo odwzajemnia moje pocałunki i leżąc pode mną, zdejmuje sweter. Sięga do mojej koszulki i szarpiąc materiał, próbuje ją zdjąć. Widzę jej starania i na chwilę przerywam



pocałunek, bo nie jestem w stanie powstrzymać śmiechu.

Siadam, zdejmuję koszulkę i ciskam ją na podłogę, podczas gdy Eden uśmiecha się do mnie zakłopotana. W pokoju jest ciemno, ale ona zdaje się emanować wewnętrznym blaskiem. Przygryza wargę i spogląda na moją pierś, ja jednak pragnę jej dotykać. Znowu pochylam się nad nią i przywieram ustami do jej obojczyka. Jedną ręką obejmuję ją w pasie, podczas gdy druga wędruje w górę jej uda, pod materiał spódniczki. Eden zatapia palce w moich włosach i opiera brodę o czubek mojej głowy. Czuję, że drży, podobnie jak ja.

Centymetr po centymetrze odkrywam jej ciało. Ona delikatnie szarpie mnie za włosy, a ja kryję twarz w zagięciu jej szyi i czuję jak porusza się pode mną, jak wygina plecy w łuk i jak tuli się do mnie. Oddycha ciężko. Dotykam jej policzka i czuję pod palcami jej ciepłą skórę.

Kiedy próbuję ściągnąć jej bluzkę, jej ciało tężeje. Świadomie czy nie, zasłania piersi ramionami, a ja sobie przypominam, co mi kiedyś powiedziała. Co mówiły o niej tamte dziewczyny. Czuję się niepewna swojego ciała. Odsuwam się na chwilę, by dać jej trochę przestrzeni. Biorę ją za rękę, splatam jej palce ze swoimi i zaglądam jej w oczy. Eden spuszcza wzrok i bierze głęboki oddech. Znowu na mnie patrzy, uśmiecha się i sama zdejmuje bluzkę. Przyciąga mnie do siebie i całuje.

Zatracamy się w sobie. Eden zdejmuje mi pasek, a ja rozpinam jej biustonosz. Zatapiam palce w jej włosach, podczas gdy ona kładzie mi ręce na piersi. Serce wali mi jak szalone. Jej też.

Oddychamy głęboko, a nasze ubrania leżą porzucane na podłodze.

Eden tak wiele dla mnie znaczy, nawet jeśli sama o tym nie wie. Ufam jej, a niełatwo ufam ludziom. Jest przy mnie, troszczy się o mnie i chce, żeby wszystko było w porządku. To więcej, niż ktokolwiek zrobił dla mnie w ciągu ostatnich lat.

Przywieramy do siebie biodrami, Eden wbija mi paznokcie w plecy, a ja jęczę jej do ucha. Wszystko jest zbyt idealne. Ona jest idealna i za nic w świecie nie zrezygnowałbym z tej chwili, chociaż mnie to przeraża.

Zdradziłem Eden swoje sekrety, ale teraz przybył mi kolejny.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Nie mogli mnie zawiesić w gorszym momencie. Rodzice na zmianę pracują z domu, żeby mieć mnie na oku, ale siedzi ze mną głównie tata. Pochyliła się nad kuchennym stołem, nerwowo szarpie końcówki włosów i drze kolejne kartki papieru. Z tego, co udało mi się podsłuchać z rozmowy z mamą, sytuacja w jego pracy wygląda naprawdę bardzo źle. Z firmy odeszli kolejni pracownicy. Brakuje pieniędzy. A jeden z największych projektów przewidzianych na przyszły rok nie wypalił.

To znaczy, że w tym tygodniu tata jest zestresowany, a jak jest zestresowany, łatwo wpada w złość. Od tygodnia siedzę w domu. Dzieciak, którego zawiesili za bójkę, który uciekł z domu i który zawiódł rodziców. Nic dziwnego, że zwała wszystko na mnie.

Codziennie siedzę przy biurku, próbując skupić się na nauce i nie myśleć o tym, że lada chwila ojciec wpadnie do pokoju. Popadłem w odrętwienie. Do tego stopnia, że czasami zapominam mrugać czy oddychać.

Jest piątkowe popołudnie, ostatni dzień zawieszenia, i tata znowu został w domu, żeby się mną opiekować. Poranek był spokojny. Ojciec w milczeniu krążył po kuchni, a ja uczyłem się na górze. Dziwnie jest, kiedy w domu panuje taka cisza. Mama jest w pracy, a bracia w szkole. Niedługo wrócą autobusem do domu; jak co dzień odliczam godziny do ich powrotu, bo lubię zgiełk, który pojawia się wraz z nimi.

Odszedłem od biurka i jestem w łazience. Siedzę na zimnych płytkach, oparty o ścianę, odlepiam stare plastry i zastępuję je nowymi. W tym tygodniu ojciec uważał, żeby nie dotykać mojej twarzy. Jest szansa, że sińce w końcu znikną. Oko wciąż mam podbite, ale opuchlizna zeszła parę dni temu. Za to moje ciało wygląda tak, jakbym walczył na wojnie. Tata robi się coraz bardziej agresywny. Kiedyś szarpał mnie i bił przez minutę albo dwie. Teraz trwa to znacznie dłużej. Kiedyś przestawał, gdy pojawiała się krew. Teraz tego nie robi.

Wzdrygam się, bo gwałtownie otwierają się drzwi. Ojciec wchodzi do małej ciasnej łazienki, a ja nie potrafię ukryć przerażenia. Nie zamyka za sobą drzwi. To dobrze.

– Co robisz? – pyta i mrużąc oczy, patrzy na opakowanie plastrów, które trzymam w dłoniach i leżące na podłodze tabletki przeciwbólne. Chwilę później podnosi na mnie wzrok. W tym tygodniu nie nosi krawata. Nie musi. Kiedy pracuje w domu, ma na sobie dzinsy i flanelową koszulę. Nie wiem, co o tym myśleć. Zwykle ubiera się swobodnie, jak ma dobry nastrój i jest zrelaksowany. Przynajmniej tak było kiedyś, bo szczęśliwe dni już dawno minęły.

– Zadałem ci pytanie – mówi, nie doczekawszy się odpowiedzi. Patrzę na niego przerażonym wzrokiem. – Po co ci one? Nie skaleczyłeś się przecież. – Ręce ma oparte na biodrach, usta zaciśnięte.

– Potrzebuję... – zaczynam, ale nie mogę dokończyć. Słowa mnie zawodzą. Serce wali mi jak szalone.

– Czego potrzebujesz, Tyler? – naciska, chcąc, żebym dokończył. Coś jest z nim nie tak. Jakby naprawdę wierzył, że jeśli będzie udawał, że nic mi nie jest, sińce i otarcia znikną; że jeśli

przekona samego siebie, że to nie on mnie skrzywdził, to ból, który czuję, zniknie.

– Potrzebuję tego – mruczę i pokazuję plastry. Sięgam po tabletki przeciwbólowe, patrzę na pudełka i widzę, że drżą mi ręce. – I tego. Dzięki nim czuję się lepiej.

– Posłuchaj – mówi nagle ojciec. Pochyla się, chwyta mnie za koszulkę i jednym płynnym ruchem podrywa mnie z podłogi. Przyciąga mnie do siebie, ale nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Nie teraz, kiedy jest w nich tyle gniewu i złości, kiedy nie wyglądają jak oczy mojego ojca. – Nic ci nie jest. Rozumiesz? – warczy. W jego głosie pobrzmiwa groźba. – *Nic* ci nie jest. Zachowuj się jak mężczyzna. – Wolną ręką wrywa mi plastry oraz tabletki i ciska je na podłogę. – A teraz, *proszę*, wracaj do nauki. Nie jesteś na wakacjach. Zostałeś zawieszony. A z tego, co wiem, lekcje kończą się za... – zerka na zegarek – pięć minut. – Pcha mnie w stronę drzwi.

Ale ja potrzebuję plastrów. Mam otarcia na ramionach i piersi, po tym, jak ojciec popycha mnie na różne rzeczy. Pieką mnie. Dlatego, chociaż gromi mnie wzrokiem, czekając, aż wrócę do pokoju, nie mogę tego zrobić. Próbuję być szybki. Próbuję odskoczyć w tył i złapać plastry, ale zanim zdążę się odwrócić w stronę drzwi, ojciec chwyta mnie za koszulkę.

– Tyler – cedzi przez zaciśnięte zęby. Głos ma schrypnięty i ostrzejszy niż jeszcze chwilę temu. Jego palce zaciskają się na moim ramieniu, wbijają się w skórę i przytrzymują mnie w miejscu, podczas gdy drugą ręką wrywa mi plastry. Gniecie pudełko w dłoni. – Przestań, do jasnej cholery!

Nie znam tego człowieka. To nie jest mój tata. Dawniej robił mi krzywdę tylko wtedy, gdy tracił nad sobą panowanie i nagle wpadał w szał; ale ostatnio wygląda na to, że dobrze wie, co robi. Teraz się kontroluje. Wie, że jest okrutny. To właśnie jest najgorsze.

– Tato... – bąkam i próbuję uwolnić się z jego uścisku. Ale tak naprawdę poddałem się. Poddałem się już dawno temu. I dlatego znajduję w sobie odwagę. – Co się z tobą dzieje? – pytam. Nie dbam o konsekwencje. Tak czy inaczej, zrobi mi krzywdę. Choćbym się starał, uczył i był grzeczny. Dlatego... chrzanić to. Mam tego dość. Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

– Nie wiem. Ty mi powiedz – warczy i chwyta mnie jeszcze mocniej. Jego palce wbijają się w moją skórę, ale ja patrzę mu w oczy i widzę płonący w nich gniew. Sądzę, że to nie na mnie się złości. – Może ty mi powiesz, dlaczego moja firma upada, co? Znasz odpowiedź? Nie? Tak myślałem. – Z całej siły ciska mną o ścianę, przeczesuje włosy palcami i ze świstem wypuszcza powietrze. Wbija wzrok w sufit i, poirytowany, zaciska zęby. Jest zły z powodu sytuacji w firmie. Jest zły na siebie.

– Wiem, że to nie jest moja wina – mówię powoli. *Nie przestawaj, skoro już zacząłeś*. Przełykam gulę w gardle. Dłonie mi drżą, a serce wali, jakby miało wyskoczyć mi z piersi. – To nie moja wina, że nie jest tak, jak byś tego chciał. Przestań się na mnie wyżywać – dodaję i czuję, jak spływa na mnie ulga.

Tylko że ojciec nie lubi, jak mu się sprzeciwiam. Nie lubi, kiedy pyskuję. Ulga znika równie nagle, jak się pojawiła; jego silne dłonie chwytają mnie za ramiona. Wypycha mnie z łazienki na korytarz. Potykam się i upadam. Uderzam się w głowę, ale nawet tego nie zauważam, bo tata szarpnięciem stawia mnie na nogi. Wlecze mnie do mojego pokoju, chociaż próbuję mu się wyrwać i uciec od jego brutalnych dłoni.

– PRZESTAŃ! – krzyczę. Z całej siły uderzam go w pierś, próbując go odepchnąć. Nie pozwolę mu tego zrobić. Nie zasługuję na to. Jestem tylko dzieckiem. Grzecznym dzieckiem. To nie moja wina. Nic z tego nie jest moją winą.

Ojciec gapi się na mnie. Stoimy dwa metry od siebie, cisza w domu jest nie do wytrzymania. Oddech mam płytki i nierówny, walczę ze łzami, które cisną mi się do oczu. Ojciec ma opuszczone ręce i dłonie zaciśnięte w pięści, aż pobielaly mu kłyckie. Na jego twarzy maluje się zdumienie, jak gdyby nie pojmował, jak mogę mu się sprzeciwiać. I nagle w ułamku sekundy

wszystko się zmienia. W jego zielonych oczach pojawia się furia, jakiej nigdy dotąd nie widziałem i chwilę później rzuca się na mnie.

Wlecze mnie do pokoju, przewraca na podłogę i rzuca mną o biurko i ścianę. Potrząsa mną. Jego ręce trzymają mnie mocno, wbijają się w sińce, którymi pokryte jest moje ciało. Zaciskam powieki, skupiam się na ciemności i wyłączam na ból. Ale dziś jest wyjątkowo źle. Leci mi krew. Pięść ojca trafia mnie w oko. W szczękę, nos i usta.

Chyba naprawdę mu odbiło. Po raz pierwszy od czterech lat przychodzi mi do głowy potworna myśl, coś, z czego nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy. Nie musiałem, aż do teraz. Jeszcze nigdy nie było tak źle. W dotyku ojca wyczuwam wściekłość. Brak panowania nad sobą.

Myślę, że może mnie zabić.



## DZIŚ

Budzę się przed Eden, która śpi smacznie obok mnie, tuląc się do poduszki. Usta ma rozchylone. Jest piękna. Palcem wskazującym piszę jej na plecach *te amo* i całuję ją w łopatkę. Wydaje się taka spokojna. Nie chcę jej budzić. Wyślizguję się z łóżka i zbieram nasze ubrania, porozrzucane po podłodze. Sprzątam okruchy szkła ze szklanki, którą potłukłem w nocy.

W zeszłym roku nienawidziłem imprezy na plaży. W tym zastąpiłem złe wspomnienia nowymi, lepszymi. Ubiegła noc była niesamowita. Czuję się, jakby ktoś zdjął mi z pleców ogromny ciężar, jak gdyby to, że podzieliłem się z Eden moimi sekretami, zmniejszyło brzemię, które dźwigam od kilku lat.

Biorę prysznic, zakładam ubrania, które miałem na sobie poprzedniego wieczoru, i nalewam sobie szklankę wody. Sprawdzam w telefonie, co słychać w wielkim świecie. Mam nieodebrane połączenia od Tiffani i Deana oraz wiadomości od nich, w których pytają, gdzie jestem, czy wszystko jest w porządku i co znowu kombinuję. Pewnie, że kombinowałem, ale nie tak, jak myślą.

Telefon wibruje mi w dłoni i na wyświetlaczu pojawia się imię TJ'a. Odchrząkuję i wciskam „odbierz”.

– Hej – rzuca. – Dalej jesteś w moim mieszkaniu? – pyta, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

– Taa – przyznaję. Cholera, czyli teraz już wie, że spędziłem tu noc.

– Dobra, w takim razie musisz się wynieść. – Śmieje się. – Laska mnie wywaliła, a całą noc nie spałem. Sam rozumiesz, że nie mam ochoty na gości.

– Jasne. A przy okazji, dzięki – mówię i zerkam na wiszący na ścianie zegar. Jest dopiero dziewiąta, wcześniej jak na niedzielny poranek. Muszę obudzić Eden, ale gdy kończę rozmowę, słyszę, że ona już woła mnie stłumionym głosem.

Biorę jej ubrania, które wcześniej poskładałem, otwieram łokciem drzwi i wchodzę do sypialni. Eden siedzi na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę i patrzy na mnie.

– Właśnie miałem cię zbudzić – mówię i uśmiecham się do niej. Nic na to nie poradzę, że jestem szczęśliwy.

– Myślałam, że wyszedłeś – mówi cicho.

Myślała, że wyszedłem? Że tak po prostu zniknę po tym, co wydarzyło się w nocy?

– Nie jestem aż takim dupkiem – zapewniam ją i wyglądam przez okno. Nigdy dotąd tego nie robiłem; nigdy nie budziłem się przy dziewczynie innej niż Tiffani, ale w życiu bym nie wyszedł. – Nie musisz się martwić. – Patrzę na nią i uświadamiam sobie, że spogląda na ubrania, które trzymam w dłoniach. Podchodzę do niej i kładę je na łóżku. – Proszę – mówię, ale czuję się... sam nie wiem. Nie zakłopotany, ale niepewny i trochę zdenerwowany.

– Wszystko w porządku? – pyta Eden. Głos ma schrypnięty. Może powinienem przynieść jej coś do picia?

– Przepraszam. Ja... nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji – przyznaję i czuję, że

się rumieniu. Do tej pory byłem wyłącznie z Tiffani, dlatego też ta sytuacja jest dla mnie zupełnie nowa. Nie bardzo wiem, co powinienem robić. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Myślę jednak, że byłoby dobrze zacząć od rozmowy. – Chyba powinniśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Eden mruga i pyta tym swoim cudownie schrypniętym głosem:

– Byłam kiepska?

– Nie, nie – mówię pospiesznie i przewracam oczami. Boże, jaka ona niewinna. Nie ma pojęcia, że ubiegła noc była jedną z najlepszych w moim życiu. – Chodziło mi raczej o to... No wiesz... co teraz?

Przez chwilę patrzymy na siebie. Co teraz? To już nie jest nieszkodliwy flirt i przypadkowe pocałunki, ale czy możemy ciągnąć to dalej? Czy może być z tego prawdziwy związek? Nawet gdyby w moim życiu nie było Tiffani, nic nie zmieni faktu, że Eden i ja jesteśmy przybranym rodzeństwem. To, co zrobiliśmy... Może postąpiliśmy źle, ale nie dbam o to. Nikt nie wie, ile znaczy dla mnie ta dziewczyna.

– Nie jestem pewna – mówi po chwili i ściąga brwi. – A ty jak myślisz?

– Nie jestem pewny – powtarzam i z westchnieniem chowam ręce do kieszeni. Ubiegła noc wiele dla mnie znaczyła i mam nadzieję, że Eden czuje podobnie. Załamałbym się, gdyby było inaczej. – Powiedz, żałujesz tego, co się stało?

– Nie – odpowiada bez zastanowienia. – A ty?

– Wiesz, że nie – mruczę i znowu się uśmiecham. Podnoszę ubrania i kładę jej na kolanach. – W końcu coś wymyślimy. A teraz się ubierz, musimy iść – ponagliam ją. Musimy się stąd wynieść, zanim wróci TJ. – Dzwonił Troy-James. Jest w drodze do mieszkania.

Eden rumieni się i jeszcze szczelniej zakrywa się kołdrą.

– Dasz mi chwilkę? – pyta nieśmiało.

– Zachowujesz się, jakbym nie widział cię nago – żartuję, ale dociera do mnie, że naprawdę jest skrępowana. Kiwam głową i idę w stronę drzwi. – Pospiesz się – rzucam przez ramię.

Krażę po mieszkaniu, ogarniam pokój gościnny, poprawiam nawet poduszki, a w końcu dzwonię po taksówkę. Tylko tak możemy dostać się do domu, bo nie poproszę nikogo ze znajomych, żeby nas podrzucił. Dopiero nabraliby podejrzeń. *Hej, możesz odebrać mnie i moją przybraną siostrę z jakiegoś mieszkania w ten piękny niedzielny poranek?* Nie ma mowy. Ludzie uznaliby, że to dziwne. Dlatego dzwonię po taksówkę. Operatorka mówi, że przyjedzie za pięć minut. Kończę sprzątać i gdy wyrzucam do kosza resztki potłuczonego szkła, Eden wychodzi z sypialni.

– Zadzwoń do taksówkę – mówię i zerkam na zegarek. Dochodzi dziesiąta. – Wiem, że to dziwne, ale gdybym poprosił kogoś, żeby nas podrzucił, ludzie zaczęliby się zastanawiać, co tu robiliśmy. A przecież nie chcemy zwracać na siebie uwagi, prawda? Taksówkarz nas nie zna. Powinien tu być lada moment.

– Gdzie moje buty? – pyta Eden i dopiero teraz zauważam, że jest boso. Przeczesuje palcami splecione końcówki włosów i rozgląda się po mieszkaniu.

– Nie wiem – przyznaję. Ja też się rozglądam, ale nie pamiętam, żebym widział je przy sprzątanii. Zresztą to tylko buty. Nawet jeśli ich nie znajdziemy, to nie koniec świata. – Musimy się stąd wynieść.

– Ale moje buty...

– Kupię ci nowe. A teraz chodź już – przerywam jej. To były conversy, pamiętam. Jeśli będzie trzeba, kupię jej nowe, żeby się nie smuciła.

Otwieram drzwi – Eden dołącza do mnie niechętnie – i zamknąwszy je, chowam klucz

pod wycieraczką, tak jak prosił TJ. Eden wbiega do windy, a ja dołączam do niej w ostatniej chwili. Podłoga musi być zimna, bo Eden przestępuje z nogi na nogę. Wracamy do domu i wiem, że czekają nas problemy. Rodzice nie chcieli, żebyśmy szli na imprezę, nie chcieli, żebyśmy nocowali poza domem, a już na pewno nie chcieli, żebyśmy ze sobą spali.

– Chyba nie powinniśmy mówić o tym naszym rodzicom – mówię, w miarę jak winda zjeżdża w dół. Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby się dowiedzieli. Jak nic wyrzekliby się nas.

– Chyba nikomu nie powinniśmy o tym mówić – poprawia mnie Eden z uśmiechem i zaraz potem milknie. Jest blada. Wpatruje się w drzwi windy. Czy myśli o tym samym co ja? Zupełnie jakby nagle ogarnęła ją panika.

Biorę ją za rękę, żeby dodać jej otuchy, a ona podnosi na mnie wzrok. Uśmiech, który jej posyłam, jest szczery i prawdziwy – to *mój* uśmiech. Tkwimy w tym razem. Jestem tuż obok. Przy niej.

Drzwi windy otwierają się z brzęknięciem. Wychodzimy oboje i kierujemy się do czekającej na nas taksówki. Trzymając się za ręce, siadamy na tylnej kanapie. Siedząca za kółkiem kobieta nie pyta, dlaczego Eden jest boso, dlaczego wyglądamy, jakbyśmy całą noc spędzili poza domem ani dlaczego nasze ubrania cuchną alkoholem. Chyba sama jest na kacu, bo cały czas skręca nie tam gdzie trzeba, przez co powrót do domu wydłuża się w nieskończoność. Eden i ja wciąż trzymamy się za ręce, a ja kciukiem kreślę koła na wierzchu jej dłoni. Rodzice jak nic nas zabijają, ale wczorajsza noc warta była każdej kary.

W końcu zajeżdżamy na miejsce, ale nie od razu wchodzimy do domu. Przygotowujemy się mentalnie na to, co nas tam czeka.

– Powiedziałas im wczoraj, gdzie wychodzisz? – pytam Eden.

– Do kina – mówi.

Nie, tylko nie to. Chociaż boję się wejść, nie mogę się nie roześmiać.

– Do kina? Gdzie twoja oryginalność?

Eden zaciska usta i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Uwielbiam, kiedy to robi.

– A ty co im powiedziałeś?

– Nic – rzucam. – Wyszedłem, zanim zdążyli cokolwiek zauważyć.

– Cóż, jakoś mnie to nie dziwi.

Oddychamy głęboko, zbieramy się na odwagę i razem wchodzimy do domu. W otaczającej nas ciszy słychać jedynie dźwięk telewizora. Ostrożnie zaglądamy do salonu. Mama siedzi na kanapie i przegląda jakieś papiery, a Jamie ogląda telewizję. Złamany nadgarstek opiera na poduszce. Odwraca się do nas i mierzy nas wściekłym spojrzeniem.

Z początku myślę, że mama w ogóle nas nie zauważyła, ale nagle woła:

– Dave, wrócili!

Nawet nie odrywa wzroku od cholernych dokumentów. Jest wkurzona. Słyszę to w jej głosie.

Kilka sekund później Dave wpada do pokoju. Jest niedzielny poranek, a on ma na sobie pieprzone dresy. Staje przed nami i warczy:

– Co macie na swoje usprawiedliwienie?

– Że film był dobry? – próbuje nieudolnie Eden. Piorunuję ją wzrokiem. Mogłaby sobie darować, bo jej wymówka jest daleka od wiarygodnych.

Dave zaciska zęby. Z rękami na biodrach próbuje wyglądać groźnie. Przynajmniej na tyle, na ile można wyglądać groźnie, mając na sobie dresy.

– Poszliście na imprezę na plaży, tak?

Mama podnosi wzrok znad papierów. Nawet nie siłę się na odpowiedź, bo ona i Dave nie są głupi. Całe miasto wiedziało o imprezie i nietrudno zgadnąć, że właśnie tam byliśmy.

Nagle stojąca obok mnie Eden uderza w płacz, a ja patrzę na nią zdumiony.

– Koleżanki zabrały mnie tam, jak wyszliśmy z kina – mówi, szlochając, chociaż znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że wcale nie czuje się skruszona. Nie wiem, co chce tym osiągnąć, ale jeszcze bardziej zanosi się płaczem. Czyżby miała nadzieję, że ojciec się nad nią zlituje?

– Nie miałam o niczym pojęcia!

Boże, jaka ona jest kiepska. Całe to przedstawienie jest żenujące. *Lepiej niech przestanie się pograżać*, myślę, i mówię nonszalancko:

– To był mój pomysł.

Wzruszam ramionami i mrużę oczy. Kiedy mówię do Dave’a, mówię jako Tyler Bruce. To moja druga natura.

– I co mi zrobisz? – prowokuję go. – Zamkniesz mnie w domu na kolejne pięć lat?

Dave patrzy na nas, nozdrza ma rozszerzone. Eden wciąż dramatycznie szlocha, a mama obserwuje z kanapy rozwój wypadków. Ona też jest na mnie zła, ale dziś postanawia się nie wtrącać. Może czuje, że w tym tygodniu dość już na mnie nakrzyczała.

– Gdzie byliście przez całą noc? – draży David, jakby w ogóle nie słyszał tego, co powiedziałem.

– Wszyscy spaliśmy u Deana – odpowiadam, zanim zrobi to Eden. Dość mam jej kiepskich wymówek. Moje przynajmniej są wiarygodne. – Wyluzuj. Są wakacje.

– Och – bąka Dave. Mruga pospiesznie i posyła nam sarkastyczny uśmiech. – Faktycznie. Zapomniałem, że są wakacje i możecie robić, co wam się żywnie podoba. Najmocniej przepraszam. – Jamie chichocze. Tymczasem Dave kręci głową, a jego twarz wykrzywia grymas niezadowolenia. – Już nie pierwszy raz nie wracasz na noc do domu, Eden.

– Po prostu nocowałam u znajomych – bąka Eden.

– Nie o to chodzi! – wrzeszczy Dave.

– A o co? – odkrzykuje Eden.

Dave nie wie, co powiedzieć. Mierzy ją wściekłym wzrokiem i porusza ustami, jakby szukał odpowiednich słów; żyły wystąpiły mu na czoło. Po chwili przenosi spojrzenie na mnie.

– Jesteś niezdolny i w ogóle nie zamierzam z tobą rozmawiać. Po prostu idź na górę. Po prostu idź na górę. Ale już. – Patrzy na Jamiego, dając mu do zrozumienia, że on również powinien wyjść, i Jamie posłusznie wstaje sprzed telewizora.

– Z miłą chęcią – rzucam jak gdyby nigdy nic. Nie musi się na mnie drzeć. Eden zerka na mnie, twarz ma ściągniętą. Uśmiecham się do niej pocieszająco. Nic jej nie będzie. Skoro potrafi poradzić sobie ze mną, to z całą pewnością poradzi sobie z własnym ojcem. Otaczam Jamiego ramieniem i razem wychodzimy z pokoju.

– Jak tam nadgarstek, młody?

– Złamany – odpowiada z powagą, a ja, słysząc to, parskam śmiechem. Dawniej, gdy byłem młodszy, odpowiedziałbym tak samo. – Możesz przestać nocować poza domem? Mamę to wkurza. Nie wiemy, czy nic ci nie jest.

Marszczę czoło. Czasami zapominam, że mam dopiero siedemnaście lat. Te moje zniknięcia w końcu doprowadzą mamę do załamania nerwowego. Na razie jakoś się trzyma, ale głupio mi, że wystawiam jej cierpliwość na próbę.

– Wiem – rzucam z westchnieniem. Zmuszam się do uśmiechu i ściskam Jamiego za ramię. Szkoda, że nie jestem inny. Lepszy.

Jamie znika w pokoju, a siła, z jaką zatrzaskuje za sobą drzwi, ma mi uświadomić, że nawet on ma dość moich wybryków. Mój pieprzony czternastoletni brat. Czemu wciąż im to



robię?

– Przepraszam – rzucam głośno, ale dokoła nie ma nikogo, kto by usłyszał moje przeprosiny.

Ze spuszczoną głową wlokę się do pokoju i padam na łóżko. Chociaż poprzedniego wieczoru wypilem niewiele, czuję, że zaczyna mnie boleć głowa. Sprawdzam telefon, ale padła mi bateria. Podłączam go do ładowarki, wstaję, zdejmuję koszulkę, ciskam ją w kąt i idę do łazienki. Czuję, że znowu muszę wziąć prysznic. Czuję się... sam nie wiem. Chyba winny. Ubiegła noc była błędem i to nie tylko z jednego powodu.

Zdejmuję spodnie, odkręcam wodę i wchodzę pod gorący strumień. Zaciskam powieki, opieram czoło o ścianę i wdycham parę. Tak wiele różnych myśli kłębi mi się w głowie. Próbuje je zebrać, jakoś poukładać, ale wszystko jest takie skomplikowane. Muszę wziąć się w garść. Całe to picie nie jest warte kilku godzin zapomnienia. Drugi rujnują mi życie. Declan Portwood i jego kumple nie są ludźmi, którymi chciałbym się otaczać. Nie chcę codziennie sprawiać zawodu mamie i chcę być starszym bratem dla Jamiego i Chase'a. Nie mam sił użerać się dalej z Tiffani i trwać w tej parodii związku. Po co w ogóle tracę na nią czas? Wiem, że może zrujnować mi życie, ale chyba byłbym gotów się z tym pogodzić, wiedząc, że to zakończy nasz związek.

No i jest jeszcze Eden... dla niej zrobiłbym wszystko. Jest pierwszą dziewczyną, o której myślę poważnie, pierwszą, przy której jestem sobą i w której się zakochałem. Nie zamierzam zapomnieć o tym, co zaszło między nami. Nie spieprzę tego, tak jak spieprzyłem wiele innych rzeczy.

Jutro poniedziałek. Nowy tydzień, nowa, czysta karta. Jutro wszystkim się zajmę.

Przez pół godziny siedzę na podłodze w kabinie prysznicowej, pozwalając, by woda spływała mi po twarzy i zmywała wszystko, co negatywne w moim życiu. A gdy w końcu wstaję i zakręcam wodę, czuję się jak nowo narodzony. Pełen nadziei. I optymizmu.

*Teraz będzie już tylko lepiej.*

Właśnie zakładam świeże dżinsy, osuszam włosy ręcznikiem i wkładam koszulkę. Słyszę na schodach kroki i spodziewam się zobaczyć mamę albo Eden, ale to żadna z nich. Chwilę później drzwi do sypialni otwierają się gwałtownie i do pokoju wpada Tiffani. Czy w tym domu nikt nie sprawdza, kto do niego wchodzi? Wygląda na to, że Tiffani wchodzi i wychodzi, kiedy chce.

– Ty – syczy. Jej niebieskie oczy ciskają gromy, gdy podchodzi do mnie i odpycha mnie ramieniem. Ma na sobie spodnie od dresu i obcisły podkoszulek. Włosy upięła w koński ogon. Jest nieumalowana. Rzadko ją taką widuję, dlatego od razu wiem, że coś jest bardzo, bardzo nie tak. Tiffani jest wściekła.

– Jeśli chodzi o to, że wczoraj zniknąłem... – zaczynam, patrząc, jak przecina pokój i zagląda do łazienki. – Nie zrobiłem nic złego, Tiff. Po prostu urwałem się z imprezy. Nie chciałem tam być po tym, co wydarzyło się rok temu.

– Pościeliłeś łóżko – zauważa i stając przede mną, wskazuje na łóżko za moimi plecami. Opiera dłonie na biodrach i zaciska usta. – Kiedy ostatnio ścieliłeś łóżko? Wczoraj w nocy nie wróciłeś do domu. Gdzie ona jest?

– Co? Gdzie jest kto? – jąkam się i mrugam. O co jej, do cholery, chodzi?

Ale Tiffani odwróciła się już i wyszła z pokoju. Wybiegam za nią na korytarz i widzę, że pchnięciem otwiera drzwi do sypialni Eden. Serce wali mi jak oszalałe. Czy ona... czy ona szuka Eden?

– Tiffani – mówię i wchodzę za nią do pokoju. Widząc, że nikogo tu nie ma, rozgląda się dokoła, mija mnie, trącając mnie ramieniem, i wychodzi na korytarz. Chwytam ją za łokieć, żeby

się zatrzymała i wytłumaczyła mi, o co ta cała szopka, ale w tej samej chwili Tiffani staje jak wryta.

– A oto i ona – ogłasza zjadliwie i odtrąca moją rękę. – W samą porę.

Spoglądam ponad jej ramieniem i krew odpływa mi z twarzy. Widzę Eden, która stoi na schodach i patrzy na nas zmieszana. Ma na sobie strój do biegania i wygląda, jakby przed chwilą wróciła z joggingu. Oddycha ciężko. Patrzę na nią, powoli kręcę głową i przeczesuję włosy palcami. A więc to *jej* szuka Tiffani.

– W samą porę na co? – pyta Eden, patrząc to na wściekłą Tiffani, to na moją przerażoną minę. To niemożliwe... niemożliwe, żeby Tiffani wiedziała o tym, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Tylko, w takim razie, co ona tu robi?

– Muszę z wami porozmawiać, bo jeśli nie zdążyliście zauważyć, jestem cholernie wkurzona – mówi Tiffani i odwraca się w moją stronę. Podnosi zaciśniętą pięść, ręka jej drży. – Mam ochotę przywalić ci w twarz, Tyler.

– Co znowu zrobiłem? – pytam, udając niewiniątko. Wiem, że to bez sensu. Wiem też, że jeśli Tiffani zaraz się nie uspokoi, to na pewno się na mnie zamierzy. Na wszelki wypadek odsuwam się od niej. Lepiej dmuchać na zimne.

– Co zrobiłeś? Pytasz poważnie? – rzuca z niedowierzaniem i rozdziawia usta. Bez makijażu wygląda młodziej, ale chyba jeszcze nigdy nie widziałem jej tak wkurzonej. Bierze głęboki oddech, jakby starała się opanować. – Do ogrodu. Ale już – warczy.

Mijając Eden, trąca ją i popycha na ścianę, a sama schodzi na dół. Eden odprowadza ją wzrokiem i patrzy na mnie, jakby liczyła, że powiem jej, o co chodzi. A ja wiem tylko, że szykuje się gruba afera.

– Kurwa – mówię bezgłośnie i chowam twarz w dłoniach. Modlę się w duchu, żeby Tiffani nie odkryła prawdy i mam nadzieję, że nie przyszła tu, żeby zapytać mnie wprost o moje relacje z Eden.

Tiffani stoi u podnóża schodów i patrzy na nas oboje.

– Możemy porozmawiać na dworze albo tutaj – mówi powoli i spogląda wymownie na drzwi do salonu, gdzie siedzą nasi rodzice. – A wierzcie mi, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w ogrodzie – dodaje, zniżając głos.

Teraz już nie mam wątpliwości, że wie, co się wydarzyło. Nie ma sensu się z tym kryć ani niczemu zaprzeczać. Nie mamy wyboru – musimy stawić czoła Tiffani i konsekwencjom. W gardle mam gulę. Niechętnie idę na dół, prowadząc przed sobą Eden, i oboje podążamy za Tiffani korytarzem, przez kuchnię i do ogrodu na tyłach domu.

Oślepia nas jasne słońce, a cisza między nami jest prawie nie do zniesienia. Eden wygląda na przerażoną i myślę, że ona również ma świadomość tego, co się zaraz wydarzy. Zostaliśmy przyłapani i za późno już, żeby cokolwiek zrobić.

– A więc – zaczyna Tiffani. Staje naprzeciw nas w odległości dwóch metrów.

– Więc... – powtarzam. Aż dziw bierze, że w ogóle jestem w stanie mówić. W ustach mam sucho i czekam tylko, aż Tiffani wyłoży kawę na ławę.

– A więc dziś rano dostałam SMS-a od TJ'a – zaczyna wolno i wyraźnie. Patrzy to na mnie, to na Eden, jakby czekała, aż któraś z nas pęknie. – I wiesz co, Tyler? Mam dość tego, że inni ludzie opowiadają mi, że widzieli nas, jak się całujemy, bo w połowie cholernych przypadków nie chodzi o mnie.

– O czym ty mówisz? – pytam, krzywiąc twarz. To kolejna żalosna próba wyłgania się od wszystkiego, ale tym razem nic z tego nie wyjdzie. Tiffani mierzy mnie wściekłym spojrzeniem i nawet stojąca obok mnie Eden popatruje na mnie sceptycznie, jakby nie mogła uwierzyć, że próbuję wszystkiemu zaprzeczać.

– Nie zaczynaj, Tyler. Po prostu nie zaczynaj – syczy Tiffani i nieznacznie kręci głową. Jej ton się zmienia. Jest ostrzejszy, słychać w nim gniew; mówi teraz szybciej i bardziej chaotycznie. – Napisał, że ubiegłej nocy musieliśmy się nieźle bawić, bo jego pokój wyglądał jak po przejściu huraganu, a oboje dobrze wiemy, że mnie tam nie było.

Niemal odruchowo zaczynam szukać w głowie wymówki i chociaż wiem, że to bez sensu, i tak próbuję.

– Posłuchaj, skarbie, z nikim się nie zabawiałem – mówię pospiesznie, zniżam głos do łagodnego szeptu i robię krok w jej stronę. – Po prostu zapomniałem posprzątać pokój po...

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzeszczy Tiffani. Jest wściekła, a kiedy Tiffani się wścieka, robi się nieprzewidywalna. Zamyka oczy, bierze głęboki wdech, a potem znów je otwiera. Teraz jej spojrzenie jest niemal spokojne, jakby znowu nad sobą panowała. Patrzy na Eden, a na jej twarzy rozkwita okrutny uśmiech. – Eden, nie chcesz odzyskać swoich butów?

Eden blednie i otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale język ją zawodzi. Nie wie, co powiedzieć, podobnie jak ja. Mamy przerąbane. W końcu wydusza z siebie:

– Skąd...

– Ponieważ TJ pytał, czy dobrze się bawiłam i powiedział, że zostawiłam swoje conversy – przerywa jej pospiesznie Tiffani. Jej głos odzyskał dawną ostrość, a w jej niebieskich oczach znów płonie ogień. – Pytał też, co znaczy tekst, który na nich zapisałam. Dobrze pamiętam, że przez cały wieczór machałaś nad głową trampkami. Tymi samymi, na których zapisano słowa piosenki, prawda? – Przekrzywia głowę i spogląda na nas groźnie. – Tak przy okazji, nie odzyskasz ich. Powiedziałam mu, że ich nie chcę i poprosiłam, żeby je wyrzucił.

– Ale Tyler jest moim... – próbuje Eden, jednak jej próby zaprzeczenia wszystkiemu są równie marne jak moje.

– Bratem przyrodnim? – dokańcza Tiffani. Jest tak wściekła, że łzy napływają jej do oczu; ociera je wierzchem dłoni i kładzie ręce na biodrach. – Tak, wiem. Przez ostatnie pół godziny klóciłam się sama z sobą. Mówiłam sobie, że to niemożliwe, bo przecież są spokrewnieni. Ale oglądałam *Słodkie zmartwienia*<sup>1</sup>, gdzie Cher zakochuje się w swoim przyrodnim bracie. Nie jestem GŁUPIA.

A zatem Tiffani zna prawdę.

Powinniśmy byli być bardziej ostrożni. Powinienem był trzymać się z dala od Eden, aż do czasu, gdy rozwiążę sprawę z Tiffani. Zdradziłem ją, byłem samolubny i chociaż nie znoszę Tiffani, wiem, że bardzo ją zraniłem. Widzę w jej oczach wściekłość, ale widzę w nich także ból. Nawet nie próbuje powstrzymać łez. Tylko czy cokolwiek ją obchodziło, kiedy przez ostatnie trzy lata kontrolowała moje życie? Czy interesowało ją to, że wcale nie chcę z nią być?

Może to koniec naszego związku. Nie chciałem, żeby tak się stało, ale skoro musiało do tego dojść, żebym w końcu się od niej uwolnił, muszę wziąć to na klatę. Tiffani nie może być z kimś, kto tak bardzo ją zawiódł. Nie może być z kimś, kto ją zdradził. Lepiej nam będzie bez siebie i mam nadzieję, że teraz to rozumie.

Kątem oka zerkam na Eden, która stoi jak sparaliżowana. Patrzy na Tiffani szeroko otwartymi oczami, twarz ma białą jak ściana. Jest przerażona. Chciałbym wziąć ją za rękę, żeby wiedziała, że jestem przy niej, że tkwimy w tym razem i że wszystko będzie dobrze.

– Wcale nie spałaś z Jakiem, prawda, Eden? – Słaby głos Tiffani przerywa milczenie.

– Nie – szepcze Eden. Wbija wzrok w ziemię i mruga gwałtownie, próbując powstrzymać łzy. *Już dobrze, jestem tu.*

– To ty byłaś z nim na molo – stwierdza Tiffani, szlochając. Chyba nigdy nie widziałem jej, jak płacze. Przynajmniej nie tak. – Jesteś kłamczuchą.

– Wiem – przyznaje Eden. Poczucie winy sprawia, że łamie się jej głos. – Kłamczuchą.

Suką. Koszmarną przyjaciółką.

To sprawa między mną a Tiffani. Nie doszłoby do tego, gdyby Tiffani pozwoliła mi odejść i gdyby szantażem nie zmuszała mnie do trwania w tym związku. Nie pozwolę jej traktować Eden w ten sposób, to wyłącznie wina moja i Tiffani. Chcę, żeby zniknęła z mojego życia.

– Wiesz, Tiffani? – mówię głośno i staję między nią a Eden. Mrużę oczy i spoglądam na płaczącą przede mną dziewczynę; dziewczynę, która kontroluje mnie od tak dawna, i czuję narastającą złość. W końcu mogę powiedzieć, co o tym wszystkim myślę. Czas zakończyć to na dobre. – Nie chcę z tobą być. Zmarnowałem trzy lata, bo mnie szantażowałaś. Rób, co chcesz. Powiedz wszystkim, co wiesz na mój temat, bo wolę, żeby ludzie poznali prawdę, niż żebym musiał dalej się z tobą użerać. – Zszokowana Tiffani rozdziawia usta i wbija we mnie opuchnięte od płaczu oczy, ale nie dbam o to. Nie ona jest tutaj ofiarą; żadne z nas dwojga nie jest tu ofiarą. Po prostu nie pasujemy do siebie i potrafimy tylko nawzajem się krzywdzić. – Koniec z nami. Pozwij mnie. Złóż na mnie skargę na policji. Mam to gdzieś. Skończyłem z tobą.

– To wszystko twoja wina! – Tiffani krzyczy na Eden, wychyla się zza mnie i wyrzuca w górę rękę. – Nie obchodzi mnie, że jesteście rodzeństwem, a powinno, bo to, co robicie, jest obrzydliwe, ale nie, obchodzi mnie tylko to, że wszystko zepsułaś.

Eden z jakiegoś niezrozumiałego powodu robi krok w jej stronę.

– Tiffani, ja nie chciałam...

Podnoszę rękę, żeby ją powstrzymać. Nie musi przeproszać. Próbowала mnie przekonać, żebym tego nie robił i trzymał się od niej z daleka, dopóki nie zakończę sprawy z Tiffani, ale jej nie słuchałem. *Nie* mogłem trzymać się od niej z daleka.

Wbijam wzrok w Tiffani i informuję ją stanowczym głosem:

– To koniec, *skarbie*.

Boże, co za ulga. Czuję, jak spływa na mnie spokój. Odsuwam się i wskazuję jej furtkę. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Z gardła Tiffani dobywa się stłumiony jęk. Zatapia palce we włosach i krzyczy:

– Ale ty nie możesz ze mną zerwać!

Jest taka żalosna, że mam ochotę się roześmiać. I śmieję się. Głośno. Niech w końcu odpuści. Życie toczy się dalej. Niech znajdzie kogoś, kto naprawdę będzie chciał z nią być.

– Bo beze mnie nie będziesz już taka fajna? Bo nie będziesz mogła mnie kontrolować?

– Bo JESTEM W CIAŻY, Tyler!

Jej słowa są jak cios pięścią w żołądek, który pozbawia człowieka tchu. Mam wrażenie, że cały świat wali mi się na głowę, czuję ucisk w piersi, serce przestaje mi bić. Nic nie słyszę. Ani przejeżdżających samochodów, ani nawet wiatru. Mam zamglony wzrok, przez co Tiffani, która kryje twarz w dłoniach i zanosi się płaczem, jest tylko rozmazaną plamą

– Co? – szepczę. Ledwie mówię. Głos odmawia mi posłuszeństwa.

Nie... nie ma mowy. To się nie dzieje naprawdę.

Tiffani cofając się, idzie w stronę furtki i nawet na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. Nadal szlocha, jest w kompletnej rozsypce.

– Co to za krzyki? – woła głos, który brzmi jak głos mamy, ale nawet on jest dziwnie niewyraźny. Jest stłumiony, zniekształcony. Mam wrażenie, że w tej chwili nie jestem dostrojony do rzeczywistości. Stoję i gapię się na odchodzącą Tiffani i wszystko wydaje mi się zamazane.

Dociera do furtki, otwiera ją szarpnięciem i zatrzymuje się. Odwraca ode mnie zboląły wzrok, nabiera powietrza i krzyczy:

– Powinnaś wiedzieć, że jest uzależniony od koki! I zaczął dilować!

W tej samej chwili moje zmysły odzyskują sprawność. Wraca mi słuch, wzrok się

wyostrza. Ogarnięty wściekłością, rzucam za Tiffani:

– Ty suko!

– Tyler. – Znów słyszę ten głos, rzeczywiście należy do mamy. Patrę na nią. Ona i Dave stoją w drzwiach na patio i spoglądają na mnie z niedowierzaniem. Mama jest blada, ze zbolałym wzrokiem przyciska dłoń do piersi. – Proszę, powiedz, że się przesłyszałam – mówi błagalnie. – Proszę, powiedz, że to nieprawda.

Nie mogę na nich patrzeć. Ani na Dave'a, ani na mamę, ani na Eden. Co myślą o mnie w tej chwili? Wstyd mi za siebie. Zawiodłem ich i teraz zasługują na szczerość. Chociaż tyle mogę im dać. Spuszczam głowę i zamykam oczy.

– Chciałbym – szepczę, czując pod powiekami palące łzy.

Stłumiony krzyk mamy przesywa mnie na wylot i jeszcze mocniej zaciskam powieki. Serce mi pęka na myśl o tym, co musi przeze mnie znieść, ale potrafię jedynie sprawiać jej zawód. Jednak tym razem jest gorzej niż zwykle. Miała świadomość, że palę, i chociaż tego nie pochwaliała, wiedziała, że to nie koniec świata. Ale koka... O tym nie miała pojęcia. Tak jak nie miała pojęcia, że od kilku tygodni zajmuję się dilerką. Sięgnąłem dna i czuję się jak najgorszy syn na świecie.

W końcu podnoszę głowę, gotowy pogodzić się z konsekwencjami. Najpierw widzę Eden. Patrzy na mnie przerażona, a ja szybko odwracam wzrok. Ją także zawiodłem, przez co czuję się jeszcze podlej. Spoglądam na mamę, która szlochając, tuli się do Dave'a. Jego dłoń gładzi ją po plecach, a zmrużone oczy zdają się przewiercać mnie na wylot.

– Mamo, nie płacz – mruczę, ale głos mi się łamie. – Wcale nie jestem uzależniony. To mi po prostu... pomaga – przyznaję szeptem. To prawda. Koka mi pomaga. Na kilka godzin pozwala mi zapomnieć o tym, przez co przeszedłem, o ojcu.

Mama próbuje coś powiedzieć, ale płacz i koszula Dave'a, w którą wtula twarz, sprawiają, że jej słowa są niezrozumiałe. Jest zrozpaczona i to wszystko moja wina. To ja wciąż ją ranię.

– Mamo, odetchnij – mówię łagodnie i podchodzę do niej powoli. Mimo że wciąż tuli się do Dave'a, kładę jej dłoń na ramieniu, błagając, by na mnie spojrzała. Chcę, żeby mnie wysłuchała. Żeby mi wybaczyła.

Ale ona odpycha moją rękę, a zaraz potem podnosi głowę i spogląda na mnie. Jej oczy szklą się od łez.

– Wynoś się z tego domu.

– Co?

– Powiedziałam – szepcze – żebyś się wynosił.

Jej słowa ścinają mi krew w żyłach i czuję się, jakbym kolejny raz oberwał pięścią w brzuch. Czy ona... czy ona wyrzuca mnie z domu? Tym razem przegiąłem. Nie jest w stanie dłużej znieść moich wybryków. Gdybym tylko był lepszy, gdybym bardziej się starał, nigdy by do tego nie doszło. Moje serce pęka na milion małych kawałków.

– Mówisz poważnie?

Mama wysuwa się z objęć Dave'a i odwraca się w moją stronę. Jest zdruzgotana.

– Proszę, Tyler – mówi, ale łzy znów napływają jej do oczu i toczą się po policzkach. Widok zapłakanej mamy sprawia mi nieopisany ból, zwłaszcza że płacze przeze mnie. – Po prostu wyjdź. Dłużej tego nie zniosę.

Stoję jak osłupiały. Dave przyciąga mamę do siebie i tuli ją, oferując wsparcie, którego ona tak bardzo potrzebuje. Spoglądam na Eden, która w milczeniu obserwuje rozwój wypadków. Usta ma rozdziawione, oczy szeroko otwarte. Czy ona także mnie nienawidzi? Czy ją też stracę?

*Przepraszam. Wszystko zepsułem. Wszystkich zawiodłem.*

Nie mogę spojrzeć im w oczy. Za bardzo się wstydzę. Dlatego pochylam głowę, jak człowiek, który przyznaje się do porażki, chowam dłonie w kieszeniach i zmuszam nogi, by się poruszyły. Wchodząc do domu, mijam mamę i Dave'a. Modłę się w duchu, żeby mama wymówiła moje imię, żeby mnie zawołała i powiedziała, że nie mówiła poważnie. Że nie muszę odchodzić i że kocha mnie bez względu na to, ile popełniłem błędów.

Ale ona milczy. A zatem to naprawdę koniec.

Przechodząc przez kuchnię, czuję w ustach smak żółci i kręci mi się w głowie. Wciąż to do mnie nie dociera. Jestem... jestem pieprzonym dilerem, który właśnie stracił dom i którego dziewczyna jest w ciąży. Oficjalnie sięgnąłem dna. Nie zniosę tego. Nie wiem jak. Czuję się zagubiony. Jak mam to wszystko naprawić? Jak się z tego wygrzebać?

Wbiegam na górę, ale gdzieś w tyle słyszę kroki. Nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że to Eden. Ona jedna pobiegłaby za mną w takiej chwili, chociaż wołałbym, żeby tego nie robiła. Nie wiem, co jej powiedzieć. Jakich udzielić odpowiedzi.

Jamie i Chase stoją na szczycie schodów i patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami. Czyżby podsłuchiwali? Czy ich także zawiodłem? Nawet nie mogę spojrzeć im w oczy. Chcę ukryć się przed światem, zniknąć z niego na dobre. Gdyby tylko było to takie proste.

Eden wchodzi za mną do pokoju, a ja zamykam za nami drzwi. Cieszę się, że tu jest. To daje mi nadzieję, że może nadal mi wierzy. Wiem jednak, że jest rozczarowana, i staram się unikać jej wzroku. Za bardzo zajmuje mnie myśl, że mama chce, żebym się wyprowadził. Że nie jestem mile widziany w tym domu.

Wyciągam z szafy płócienny worek i wpycham do niego pierwsze ubrania, jakie nawiną mi się pod rękę. Nie myślę jasno. W odrętwieniu przetrząsam zawartość szafy. Czy odchodzę na dobre? Czy mama pozwoli mi wrócić? Nie wiem. Na wszelki wypadek pakuję do worka tyle ubrań, ile jest w stanie pomieścić.

– Dokąd pójdziesz? – Podeszły niepokojem, schrypnięty głos Eden przerywa ciszę. Zrzucam worek na ramię i patrzę na nią przerażony. Jest równie blada jak ja; nawet ona wie, że wszystko schrzaniłem. Znowu dopada mnie poczucie winy, pospiesznie odwracam wzrok. Jeśli zbyt długo będę na nią patrzył, załamie się, a robię wszystko, żeby do tego nie doszło.

– Nie mam pojęcia – mówię. W ustach mam sucho. Idę do łazienki, mam w głowie gonitwę myśli. Dokąd iść? Jestem dzieciakiem. Nie wiem, jak radzić sobie w takiej sytuacji. To mnie przerasta. – Może do Deana. Nie wiem. Mam mętlik w głowie.

Po chwili ciszy słyszę jej cichy głos:

– Zaczęłeś dilować?

To nie czas na kłamstwa. Eden musi znać prawdę, ale tak trudno ją wyznać. Zaciskam dłonie na krawędzi umywalki i wypuszczam wstrzymywany oddech. Stoję odwrócony do niej plecami, pochylam głowę i wbijam wzrok w podłogę.

– Od niedawna.

– Dlaczego? – pyta. Głos ma niski, spokojny. To proste pytanie, ale jego ciężar mnie przytłacza. Nawet nie wiem, co odpowiedzieć.

– Łatwo... wpakować się w to wszystko – przyznaję. Nie wiem nawet, jak to możliwe, że nadal jestem w stanie mówić. W głowie mi dudni, żołądek mam zaciśnięty w supeł, a ręce zaczynają mi drżeć. – Tiffani jest wściekła. Pewnie będzie próbowała donieść na mnie policji. Jestem o tym przekonany.

– Nie wierzę, że ona jest... – mruczy Eden, ale nawet ona nie może wypowiedzieć tego na głos.

– Ja też – bąkam. Otwieram szafkę nad moją głową i nagle rzeczywistość uderza we mnie z siłą rozpędzonego pociągu.

Tiffani jest w ciąży. Nie mogę... nie mogę być ojcem. Mam dopiero siedemnaście lat. Mam problemy emocjonalne. Tata został ojcem w wieku siedemnastu lat i oto, jak skończył. Nie mogę być taki jak on. Nie mogę tego zrobić. Moi rodzice przynajmniej się kochali. Tiffani i ja tworzymy toksyczny związek.

Czuję, że zaraz zwymiotuję. Odwracam się i pochylam nad toaletą. Trzymam się ściany, żołądek pali mnie żywym ogniem, ale nie wymiotuję.

– Cholera.

– Nie wiem, co powiedzieć, Tyler – mówi Eden i podchodzi do mnie. Pochylony nad toaletą, oddycham głęboko, a ona delikatnie gładzi mnie po plecach. – I co teraz będzie?

– Jak to?

– Z nami. – Z trudem przełyka ślinę. Kiedy znowu się odzywa, ostrożnie dobiera słowa, jakby badała grunt pod wodą. – Co się z nami stanie? Co będzie z tobą i Tiffani?

Znowu wstrząsają mną mdłości, ale nie wymiotuję. Oddycham i prostuję się tak gwałtownie, że aż kręci mi się w głowie. Czuję, że zaraz zemdleję.

– Nie wiem – mówię i odwracam się do niej. Boi się tak samo jak ja. Ale teraz nie mogę myśleć o związku z Eden. Muszę znaleźć miejsce, w którym mógłbym przenocować; poza tym muszę pomyśleć o Tiffani. Resztą zajmę się później. – Najpierw muszę to wszystko poukładać.

– Ja też nie wiem – mówi. Zrezygnowana opuszcza ramiona i wbija wzrok w podłogę.

Staję przy umywalce, otwieram szafkę i wrzucam do torby przybory toaletowe. Muszę się stąd wynieść. Tego chce mama, a ja nie zasługuję na to, by błagać ją o przebaczenie.

– Proszę, weź je. – Eden wskazuje głową coś w szafce nad umywalką i posyła mi pełen napięcia, smutny uśmiech. – Nie będziesz taki przybity.

Podążam za jej wzrokiem i uświadamiam sobie, że ma na myśli moje antydepresanty. Buteleczki tabletek nadal stoją na najwyższej półce, nietknięte od kilku dni. Czuję gulę, która rośnie mi w gardle. Rzadko je biorę. Są inne rzeczy, po których czuję się dużo lepiej, nawet jeśli są nielegalne. Chyba nigdy nie potrzebowałam kreski bardziej niż w tej chwili, ale staram się o tym nie myśleć. Nie mogę stoczyć się jeszcze bardziej, dlatego ulegam namowom Eden. Sięgam po buteleczki i wrzucam je do worka. Nie mogę obiecać, że je wezmę, ale spróbuję. Dla niej. I dla siebie.

Patrzę na Eden, na dziewczynę, w której się zakochałem. Niezależnie od tego, czego się dowiedziała, wciąż tu jest. Troszczy się o mnie, chociaż ją zawiodłem. Chciałbym móc dać jej więcej. Jest dla mnie za dobra, nie zasługuję na nią.

Otoczam ją ramieniem i przyciągam do siebie. Zaciskam powieki i opieram brodę o czubek jej głowy, starając się powstrzymać łzy, które cisną mi się do oczu. Jej ciało tak doskonale dopasowuje się do mojego. Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej po prostu jej nie tuliłem. Tak dobrze jest kogoś obejmować, czuć miłość tej drugiej osoby. Eden chowa twarz w mojej piersi i obejmuje mnie w pasie. Zupełnie jakbyśmy się żegnali. Tulę ją przez długą chwilę, chłonąc jej ciepło i marząc o tym, bym nigdy nie musiał wypuszczać jej z objęć.

Całuję ją w czoło.

– Jakoś to załatwię – szepczę, ściskam ją mocno i odsuwam się od niej. Nie chcę jej zostawiać. Chciałbym, żeby wiedziała, jak bardzo mi przykro.

Kiwam głową i wychodzę z łazienki. Z ciężkim sercem podchodzę do drzwi pokoju, który zaraz opuszczę. Jeśli się na nią obejrzę, to się załamie. Pękne. Dlatego spuszczam głowę i wychodzę z pokoju. Broda mi drży.

– Mam taką nadzieję. – Słyszę jeszcze jej szept i tym razem nawet nie próbuję powstrzymać łez.

Słodkie zmartwienia (1995), reż. Amy Heckerling [przyp. red.]. [wróć]







## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Paraliżuje mnie fala paniki i przerażenia, ale zaraz za nią przychodzi dziwny spokój. Nagle wszystko we mnie zamiera. Tata już nie będzie w stanie mnie skrzywdzić. Wszystko się skończy. Koniec kłamstw. Koniec bólu. I właśnie tego... właśnie tego pragnę.

Nagle tylko to się liczy. Chcę tylko, żeby to się skończyło, żeby ojciec uderzył mnie mocniej, żeby zacisnął ręce na mojej szyi i zakończył to raz na zawsze. I chyba to właśnie zrobi.

Myśl o tym, że mógłbym przestać istnieć, jest dziwnie uspokajająca. Myśl o bezpieczeństwie.

Mam nadzieję, że mama jakoś to zniesie. Tak bardzo ją kocham. Będę za nią tęsknił. Nie chcę, żeby płakała, bo nie lubię, jak jest smutna.

Mam też nadzieję, że Jamie i Chase nie będą za bardzo za mną tęsknić. Teraz konsola Play Station 2 będzie mogła zostać w ich pokoju na zawsze. Dadzą sobie radę.

A tata... mam nadzieję, że będzie żałował. Mam nadzieję, że do końca życia będzie dręczył go ból i poczucie winy, i mam nadzieję, że uświadomi sobie, jak wiele wycierpiałem przez ostatnie cztery lata. To straszne. Mój ojciec, człowiek, który ciągle mi powtarza, jak bardzo mnie kocha, którego miałem darzyć szacunkiem i który miał mnie chronić, przyczyni się do mojej śmierci.

Odpywam, podążam za ciemnością i spokojem, który nadchodzi razem z nią.

Odpuszczam.



## DZIŚ

Czekam, aż ktoś otworzy mi drzwi i każda sekunda ciągnie się w nieskończoność. Serce wali mi jak szalone. Jest późno. Światła lamp ulicznych przedzierają się przez mrok, zalewając ulicę pomarańczowym światłem. Zimny wiatr chłodzi skórę na moim policzku, a ja spuszcza głowę i podtrzymuję ręką pasek zarzuconego na ramię worka.

To był długi dzień. Aż do teraz siedziałem na parkingu nad oceanem, godzinami gapiąc się na wodę i próbując pozbierać myśli. Byłoby tak łatwo... tak bardzo, bardzo łatwo zadzwonić do Declana Portwooda. Moje życie ogarnął chaos i chciałem jedynie o tym zapomnieć, choćby na kilka godzin. Ale nie uległem. Usunąłem nawet z telefonu numer Declana. Chciałem być ponad to. Musiałem pomyśleć, dokąd iść. Myślałem o tym, żeby jechać do Deana. Wiem, że byłbym tam mile widziany. Ale dotarło do mnie, że tak naprawdę jest tylko jedno miejsce, w którym powinienem być, i oto stoję na ganku domu, w którym mieszka Tiffani. Mimo tego, co się wydarzyło, naprawdę musimy porozmawiać. Oboje wpakowaliśmy się w ten bałagan i nie zostawię jej teraz samej.

Nagle słyszę szcęk otwieranego zamka i drzwi nieznacznie się uchylają. Podnoszę wzrok i napotykam niebieskie oczy Tiffani, która spogląda na mnie przez szczelinę w drzwiach.

– Tyler – mówi i odдыcha z ulgą.

– Tiff – szepczę. Tiffani otwiera drzwi na oścież, a ja przechodzę przez próg, rzucam worek na podłogę i padam jej w ramiona. W odpowiedzi obejmuje mnie i tuli do siebie. Chowam twarz w zagłębieniu jej szyi i zatapiam palce dłoni w jej włosach. Zamykam oczy, zaciskam zęby i staram się uspokoić. Tyler Bruce odszedł dawno temu. Ostatnio jestem sobą i nie dbam o to, czy Tiffani zobaczy, jak bardzo jestem załamany.

– Chodź na górę – szepcze mi do ucha. – Porozmawiamy.

Kiwam głową i odsuwam się od niej, a ona bierze mnie za rękę. Prowadzi mnie przez korytarz i dalej w górę po marmurowych schodach do swojego pokoju, ale ja poruszam się jak w letargu. Uszła ze mnie cała energia. Nie jestem nawet pewien, czy jestem gotowy na tę rozmowę.

Wchodzimy do pokoju Tiffani. Napięcie między nami jest niemal wyczuwalne. Cisza sprawia, że robi mi się niedobrze i nie wiem, od czego zacząć. Jest tyle do powiedzenia... tyle problemów do rozwiązania. Puszczam rękę Tiffani i siadam na skraju łóżka, chowając ręce między kolanami. Tiffani, ubrana w szorty i obcisły podkoszulek, stoi na środku pokoju i nerwowo bawi się końcówkami włosów, ale ja nie mogę na nią spojrzeć.

– Mama wykopała mnie z domu. – Przerывam milczenie. Zapuchnięte oczy bolą przy każdym mrugnięciu.

– Przykro mi – rzuca Tiffani i wzdycha. Siada na łóżku obok mnie, tak że stykamy się udami. – Albo nie, wcale nie jest mi przykro – przyznaje, a ja czuję na sobie spojrzenie jej niebieskich oczu. Wciąż jednak nie potrafię na nią spojrzeć. – Zdradziłeś mnie.

– Wiem – mówię i z trudem przetykam ślinę. Jej złość minęła i teraz po prostu czuje się

zraniona. Wraca poczucie winy, przypominając mi, że zabrałem się za wszystko w najgorszy możliwy sposób. Nie powinienem był pozwolić Tiffani, żeby mnie kontrolowała. Powinienem był zakończyć nasz związek bez względu na konsekwencje, a wówczas nie musiałbym spotykać się z Eden za jej plecami. Nie powinienem też być samolubny. – Przepraszam – bąkam i są to szczerze przeprosiny. Kiedy w końcu na nią spoglądam, wydaje się przygnębiona. Jeszcze nigdy jej takiej nie wiedziałem. Jej złośliwość ulotniła się i oto mam przed sobą zrozpaczoną dziewczynę. – Po prostu... Eden mi się podoba – rzucam, nerwowo, przebijając palcami. – Nic na to nie poradzę. Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie chcę tego słuchać – mówi i powoli kręci głową. Przykłada dłoń do czoła, zatapia palce we włosach i bierze głęboki oddech. – Musimy o tym zapomnieć, bo mamy... większy problem.

– Czy ty... – Nawet nie mogę tego powiedzieć. Żołądek mam ściśnięty w supeł i podnoszę dłoń do ust. – Naprawdę jesteś...?

Tiffani opuszcza ręce i odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. W końcu patrzymy sobie w oczy. Wykrzywia usta, jej dolna warga zaczyna drżeć, a niebieskie oczy szklą się od łez.

– Czekałam na odpowiednią chwilę, żeby ci powiedzieć – szepcze, a ja czuję się dokładnie tak jak wtedy, gdy powiedziała to po raz pierwszy. Zupełnie jakby wszystkie zmysły odmówiły mi posłuszeństwa.

– Ale jak? – rzucam zduszonym głosem i kręcę głową z niedowierzaniem. To niemożliwe. Uważamy. Zawsze uważaliśmy. – Przecież bierzesz pigułki.

– Chyba kilka razy zapomniałam. Nie wiem – tłumaczy, ale jej słowa są chaotyczne i pobrzmiwa w nich panika. Wstaje, przeczesując włosy palcami i zaczyna krążyć po pokoju. – Jestem przerażona – przyznaje i wybucha płaczem.

– Już dobrze – mówię pospiesznie i wstaję. Chwytam ją za nadgarstki i odrywam jej dłoń od twarzy, a następnie przechylam głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. – Już dobrze – powtarzam stanowczo. Oddychamy ciężko, bo oboje jesteśmy przerażeni. Żadne z nas nie wie, co robić, ale nie mówię jej, że boję się tak samo jak ona. – Coś wymyślimy. Nie ty i nie ja. My – zapewniam ją pospiesznie. – Dobrze?

Łzy toczą się jej po policzkach, ale Tiffani nieznacznie kiwa głową. Chwilę później obejmuję ją, a gdy tuli głowę do mojej piersi, chowam twarz w jej włosach. Musimy zapomnieć o tym, co nas dzieli. Ja skrzywdziłem ją, a ona mnie. Ale teraz nie możemy się na tym skupiać. Musimy dorosnąć i robić to, co należy.

– Musimy być razem, Tyler. – Tiffani pociąga nosem.

– Wiem – mruczę, ale świadomość tego rozdziera mi serce. Tak bardzo chcę być z Eden, ale to, co już wcześniej wydawało się skomplikowane, teraz stało się niemożliwe. Muszę zostać z Tiffani. Nie mogę jej zostawić; nie teraz.

Tiffani odsuwa się ode mnie, ale ja wciąż trzymam ręce na jej ramionach. Ociera łzy z twarzy i patrzy na mnie.

– Wybaczę ci – oświadcza po chwili ze spokojem. – Tylko dlatego, że muszę.

– Ja też ci wybaczę.

– Ty mi? Niby co? – pyta, marszcząc brwi.

– To, że powiedziałaś o wszystkim mojej mamie. – Tiffani wcale nie jest niewiniątkiem. To przez nią dziś rano moje życie legło w gruzach, a ona i tak dopięła swego i dostała wszystko, czego chciała. Ale teraz nie mogę o tym myśleć. Nie ma czasu na gierki. Musimy być odpowiedzialni, dorośli. – Mogę... mogę tu zostać?

– Tyler... – Tiffani skubie zębami dolną wargę. Zdejmuje z ramion moje ręce i cofa się o kilka kroków. – Wiesz, że moja mama się wścieknie. Zawsze tak jest.

– Proszę – błagam i chwytam ją za łokieć. Przyciągam ją do siebie, aż wpada na mnie.  
– Nie mam dokąd pójść. Tylko kilka nocy, zanim będę mógł pogadać z mamą. Proszę, Tiffani  
– powtarzam schrypniętym głosem.

Tiffani patrzy mi w oczy. Nie wiem, czego w nich szuka, ale cokolwiek to jest, znajduje to. W końcu wzdycha ciężko i nieznacznie kiwa głową.

– Dobrze, ale mama nas zabije.

Ogarnia mnie uczucie ulgi. Mam nadzieję, że będę mógł pomieszkać u niej przez kilka dni, zanim moja mama przemyśli sprawę i pozwoli mi wrócić. Wyrzuciła mnie z domu pod wpływem chwili i mam nadzieję, że za kilka dni pożałuje swojej decyzji.

– Powiedziałaś jej już? – pytam i wracam na skraj łóżka. – Twojej mamie? – Matka Tiffani i bez tego wystarczająco mnie nienawidzi. Już sobie wyobrażam, jak bardzo się wścieknie, gdy się dowie, że zaliczyliśmy wpadkę.

– Nie – rzuca Tiffani i gwałtownie kręci głową. Siada mi na kolanach, obejmuje mnie za szyję i wodzi palcami po moim karku. – Na razie niech to będzie nasza tajemnica, dobrze? – mruczy, patrząc mi w oczy. Jest tak blisko, że niemal stykamy się ustami, a ja nagle czuję, że cały tężeję. Wyraz jej twarzy zmienia się i ten, który widzę teraz, znam aż za dobrze. Tiffani jest pewna siebie, jest manipulatką i lubi mieć wszystko pod kontrolą. – Cóż, Eden też już wie – mówi i wzrusza ramionami. Zaciska usta, ujmuje mnie pod brodę i zmusza, żebym na nią spojrział. – Ale wygląda na to, że potrafi dochować tajemnicy, nią bym się nie martwiła – mruczy i całuje mnie.

Jej usta to jednak za mało, żebym przestał myśleć o jądzie, którym ocieka jej głos.



## PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Powoli otwieram jedno oko. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to że niebo bardzo przypomina prawdziwe życie.

Czuję zapach środków odkażających i kawy. Patrzą na mnie cztery pary oczu. Cały jestem obolały. Leżę w szpitalnym łóżku, wsparty na poduszkach; na stoliku po mojej lewej ręce stoi kubek wody. Dwie z czterech par oczu należą do policjantów, dwie pozostałe do mężczyzny i kobiety w garniturach. Stoją w drzwiach i patrzą na mnie ze smutkiem.

Nie mogę otworzyć prawego oka. Lewym zerkam na policjantów. Jeden siedzi na krześle w kącie pokoju, drugi stoi przy nim. Mija chwila, zanim rozpoznaję tego, który siedzi. To ten sam, którego spotkałem w ubiegłym tygodniu. Ten, który zgarnął mnie z ulicy i który był dla mnie miły. Posterunkowy Gonzalez.

– Tyler – odzywa się cicho. Jego cichy głos przerywa milczenie. Atmosfera w pokoju jest napięta i mam wrażenie, że zaraz się uduszę. Nie wiem, co się dzieje. W głowie mi się kręci, dlatego próbuję skupić całą uwagę na posterunkowym Gonzalezie. – Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się w ubiegłym tygodniu. – Nie mogę nawet przytaknąć. Nie mogę nic zrobić. Leżę jak sparaliżowany i nic nie rozumiem. Posterunkowy Gonzalez wskazuje na drugiego gliniarza. – To posterunkowy Johnson. Chciałbym też, żebyś poznał Paula i Janice – mówi i wskazuje głową mężczyznę i kobietę przy drzwiach. – To pracownicy opieki społecznej. Będą się tobą opiekować.

Próbuję otworzyć usta, żeby coś powiedzieć i zapytać, co się dzieje, ale twarz pulsuje mi bólem. W ustach mam sucho. Nie potrafię znaleźć słów. Spoglądam na swoje ramiona, całe pokryte są sińcami. Jedną rękę mam zabandażowaną. Na głowie też mam bandaż.

Słyszę, jak posterunkowy Gonzalez mówi:

– Proszę dać nam minutę.

Chwilę później słyszę kroki. Drzwi zamykają się. Posterunkowy Gonzalez wstaje, przysuwa krzesło do łóżka i siada obok mnie. Zwiesza głowę i kryje twarz w dłoniach. – Tyler – mówi, ale głos mu się łamie. Podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale jego ciepłe brązowe oczy są pełne smutku. – Przepraszam... Powinienem być... powinienem być się domyślić.

– C-co... co się stało? – wyduszam w końcu. Słowa ranią mi gardło, ale nie mam siły, żeby sięgnąć po kubek z wodą. Czuję się słaby, jakby ktoś wyssał ze mnie całe życie.

Posterunkowy Gonzalez kręci głową i na chwilę zamyka oczy. Jest zmartwiony. Dolna warga mu drży. Kiedy znowu podnosi na mnie wzrok, dostrzegam zmarszczki w kącikach jego oczu.

– Twój brat Jamie – zaczyna. – Gdyby nie on, mogłoby cię tu nie być. Zadzwoił do nas, dzięki czemu zdążyliśmy na czas. – Splata palce, chowa dłonie między kolanami i milknie na chwilę. Powoli nabiera powietrza i podnosi wzrok. – Twój ojciec został aresztowany, Tyler – informuje mnie, a ja mam wrażenie, że cały świat wali mi się na głowę.

On wie. Wszyscy wiedzą. Tajemnica, którą skrywałem od czterech lat, wyszła na jaw.

Wiedzą o tacie i o tym, do czego był zdolny. I... aresztowano go? Zatem to koniec. To już naprawdę koniec.

– A ja... – ciągnie zduszonym głosem posterunkowy Gonzalez. Kciukiem ociera łzę, pochyla się nade mną i patrzy mi w oczy. – Obiecuję ci, że cię już nigdy nie skrzywdzi. Osobiście tego dopilnuję. Odtąd wszystko będzie dobrze.

– Tak? – szepczę. Nie czuję się, jakby wszystko miało być dobrze. Mam wrażenie, że cały mój świat legł w gruzach. Liczyłem, że wszystko się zakończy, ale nie sądziłem, że przeżyję.

– Tak – zapewnia mnie posterunkowy Gonzalez i na potwierdzenie swych słów zdecydowanie kiwa głową. Wyciąga do mnie rękę, ale wie, że nie mogę jej uścisnąć, więc delikatnie poklepuje mnie po zabandażowanej dłoni i uśmiecha się. W jego uśmiechu jest smutek i skrucha, a także nadzieja i pocieszenie, dlatego postanawiam mu uwierzyć.

Wszystko będzie dobrze. Nikt nigdy więcej mnie nie skrzywdzi.

Drzwi otwierają się gwałtownie i do pokoju, stukając obcasami, wchodzi mama w towarzystwie posterunkowego Johnsona, który próbuje ją zatrzymać. Na mój widok mama staje jak wryta. Patrzy na mnie przerażonym wzrokiem, a z jej ust dobywa się stłumiony krzyk. Mama podnosi dłoń do twarzy.

Nawet nie muszę się widzieć, żeby wiedzieć, jak źle wyglądam. Świadczy o tym ból, który czuję.

– Co się stało?! – krzyczy mama i rzuca się w moją stronę, odpychając posterunkowego Gonzaleza. Zamierza chwycić mnie za rękę, ale widząc, w jakim jestem stanie, wybuch płaczem i kręcąc głową, zakrywa usta dłonią. Dopiero wróciła z pracy. Wciąż ma na sobie garsonkę i koszulę, a jej twarz okalają niesforne kosmyki włosów. Nie chcę, żeby płakała. Chcę, żeby przestała; chcę jej powiedzieć, że nic mi nie jest i że teraz wszystko już będzie dobrze. Że jestem bezpieczny. Że nie musi płakać.

– Ella – Posterunkowy Gonzalez wstaje z krzesła – możemy porozmawiać na zewnątrz? – Staje między mną a mamą i kładzie jej rękę na ramieniu. Nachyla się w jej stronę. – Nie przy Tyler. Proszę – słyszę, choć zniża głos.

Oboje wychodzą na korytarz, a mama wciąż płacze. Towarzyszy im posterunkowy Johnson. Na salę wchodzi Paul i Janice, zamykają za sobą drzwi i patrzą na mnie w milczeniu.

Przymykam oko. Czy powiedzą mamie prawdę? Czy złamią jej serce? Nie wiem, czy jestem w stanie to znieść. Czekam, nasłuchuję i spoglądam w mrok. Serce ciężko i wolno bije mi w piersi. Oddech mam jeszcze wolniejszy.

I nagle słyszę przerażający krzyk mamy. Jej rozpaczliwe szlochanie odbija się echem od ścian korytarza i dzwoni mi w uszach, coraz głośniejsze, podszyte bólem, którego tak bardzo chciałem jej oszczędzić. Mama krzyczy, wydaje z siebie zduszony szloch, który wysysa całe powietrze i dusi nas oboje.

Nie chciałem, żeby cierpiała.

Mama z płaczem wpada do pokoju. Posterunkowi Gonzalez i Johnson depczą jej po piętach, ale nie patrzę na nich. Cała moja uwaga skupiona jest wyłącznie na niej. Gorące łzy toczą się jej po twarzy, ręce ma przyciśnięte do piersi, jakby próbowała pochwycić wszystkie kawałki złamanego serca. Smutek i rozpacz w jej oczach sprawiają, że coś we mnie pęka. Zupełnie jakby cztery lata życia w ciągłym strachu dobiegły końca. Ulga, którą czuję, jest tak wielka, że ja również zaczynam płakać.

– Mamo – szepczę. Chcę, żeby mnie przytuliła, żeby objęła mnie i powiedziała, że odtąd wszystko już będzie dobrze. Że będzie przy mnie i mnie ochroni. Że tata już nigdy więcej nie zrobi mi krzywdy.

– Tyler – szlocha i kręci głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie, nie, nie, to nie może być

prawda”. Podchodzi do mnie i wyciąga ręce, ale Janice zagradza jej drogę.

– Pani Grayson, proszę, jest cały obolały. Proszę go nie dotykać...

– Pozwólcie jej – mówi posterunkowy Gonzalez. Nie wiem, co jeszcze dodaje, ale chwilę później wszyscy czworo, policjanci i pracownicy opieki społecznej, wychodzą z pokoju. Zostajemy tylko mama i ja.

Jeszcze zanim drzwi zamykają się za nimi, mama pada na kolana przy szpitalnym łóżku. Usta jej drżą, tusz spływa jej po policzkach, a zapuchnięte od płaczu oczy patrzą na mnie.

– Jestem tu, skarbie. Jestem przy tobie. – Płacze. Delikatnie bierze mnie za rękę i tuli do niej twarz. Ramiona ma przygarbione, oddech nierówny. Chciałbym złagodzić jej ból, tak jak ona chciałaby złagodzić mój.

Ściskam ją za rękę.

*Jest tutaj przy mnie.*



## DZIŚ

Jest piątek pięć dni później, a mama wciąż się nie odezwała. Myślałem, że zadzwoni albo chociaż wyśle SMS-a, ale nic z tego. Czy w ogóle wie, gdzie jestem? Czy wie, że nic mi nie jest? Domyślam się, że jest na mnie zła, ale to do niej niepodobne, żeby w ogóle się mną nie interesować. Normalnie bez przerwy mnie sprawdza, upewnia się, że nic mi nie jest, bo chce, żebym wiedział, że cokolwiek się stanie, mogę na nią liczyć. W niedzielę to ja zrobię pierwszy krok. Spróbuję z nią porozmawiać.

Przez pierwsze kilka dni Eden też się nie odzywała. Ma pełne prawo wściekać się na mnie, spodziewałem się, że będzie milczała. Tym większe było moje zaskoczenie, kiedy w środę zobaczyłem na ekranie telefonu jej imię. Wiadomość była krótka: *Czy wszystko u mnie w porządku?* I chociaż znałem odpowiedź, nie mogłem się przyznać, że nie, nic nie jest w porządku. Nie odpisałem, tak samo jak na inne jej wiadomości. Wczoraj chciała spotkać się ze mną w Refinery. Pytała, czy pomieszkuję u Deana. Prosiła mnie, żebym się trzymał z daleka od Declana. A na koniec zapytała, czy w ogóle pamiętam, co wydarzyło się między nami w ubiegły weekend. Na tę wiadomość również nie odpisałem.

Oczywiście, że pamiętam, co wydarzyło się w sobotę. Myślę o tym od tygodnia. Od tygodnia myślę o Eden. Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Przez chwilę miałem wrażenie, że może jednak wszystko będzie dobrze. Że uda mi się wszystko naprawić. Liczyłem, że będę z nią i tylko z nią. Ale teraz wygląda na to, że wszystko straciłem. Nagle wkroczyłem na zupełnie inną ścieżkę i nie wiem nawet, czy Eden pasuje do mojego życia.

– Czyli nie żartowaliście, mówiąc, że nie będzie piwa, co? – mruczy Jake. Na dźwięk jego głosu odwracam głowę od okna, po którym spływają strugi deszczu. Jake siedzi rozwalony na kanapie naprzeciw mnie z głową wspartą na dłoni. Nie mówi do mnie, raczej do Tiffani.

Zaprosiła naszych przyjaciół, ale na razie jest cholernie drętwo. Może dlatego, że przyszli tylko Jake i Dean. Meghan ma szlaban, Rachael się nie pojawiła, a Eden nie została zaproszona. Leje jak z cebra, przez co jestem jeszcze bardziej zdołowany. Szare chmury szczelnie zasnuwają niebo.

– Czemu nie możemy chociaż raz się spotkać, żeby się nie upić? – pyta Tiffani, a ja niemal czuję, jak dramatycznie przewraca oczami. Siedzi obok mnie po turecku, z głową na moim ramieniu i ręką na udzie. Rzuca pilota od telewizora Jake'owi, omal nie trafiając go w głowę. – Znajdź coś do oglądania.

Zerkam na Deana, który marszcząc brwi, gapi się na mnie. On i Jake siedzą na przeciwnych końcach kanapy, ale Dean jest wyprostowany i widać, że czuje się niezręcznie. Wymownie spogląda na dłoń Tiffani na moim udzie i z dezaprobatą kręci głową.

– Czy ktoś może napisać do Rachael i zapytać, gdzie się, do cholery, podziewa? – pyta Tiffani, a zaraz potem wzdycha i wstaje. – Przyniosę coś do jedzenia – rzuca przez ramię w drodze do kuchni.

Dean niemal natychmiast wykorzystuje okazję, żeby zadać mi pytanie, które od samego



początku cisnęło mu się na usta.

– No to jak... zerwaliście czy nie? – pyta sceptycznie i unosi brew. – Bo wcale na to nie wygląda.

– Tak jakby – mówię. Nie wiem, co właściwie jest między mną a Tiffani, ale oficjalnie wcale do siebie nie wróciliśmy. Opieram się o poduchy i patrzę na niego podejrzliwie. – A tak w ogóle, to skąd o tym wiesz?

– A jak myślisz? Od Rachael – mówi, ale przecież mogłem się tego domyślić. Wczoraj wieczorem Tiffani umówiła się z Rachael, a są przecież najlepszymi przyjaciółkami. To oczywiste, że opowiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatni tydzień... Ciekawe, czy powiedziała jej, że dilowałem dla Declana Portwooda, o moim związku z Eden i o tym, że mama wykopała mnie z domu. I że jest w ciąży. Czy nasi przyjaciele wiedzą już o wszystkim?

Nagle zrywam się z kanapy i mrużąc oczy, patrzę na Deana.

– Co jeszcze słyszałeś? – W moim głosie pobrzmiwa groźba. Mam wiele sekretów i chciałbym, żeby tak zostało.

– Boże, jakiś ty cholernie problematyczny – zauważa Jake, przeskakując po kanałach telewizyjnych. Nawet na mnie nie patrzy, liczy pewnie, że puszczą mi nerwy. Uwielbia, jak robię z siebie idiotę. – Słyszeliśmy, że zerwałeś z Tiff, ale dziwnym trafem u niej mieszkasz. Chyba jednak coś was łączy. *Skandal* – rzuca dramatycznie. Odkłada pilota i w końcu odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Koniec historii – dodaje. Nie ma pojęcia, ale słysząc to, czuję ulgę. Czyli nie wiedzą, że sprawa jest znacznie poważniejsza.

Słysząc, że Tiffani woła mnie z kuchni, zaciskam zęby i wychodzę. Tiff sypie do miski nachosy, w mikrofalni strzela popcorn. Opieram się o blat i przyglądam się jej. Ma przyklejony do twarzy uśmiech, zbyt radosny, nieszczerzy i wymuszony. Czasami się zastanawiam, czy to możliwe, że Tiffani jest lepszą aktorką niż ja. Jak może być taka spokojna? Dlaczego zachowuje się tak, jakbyśmy nad wszystkim panowali, skoro wcale tak nie jest? Od tygodnia chodzę spięty, ledwie śpię i gdy tylko pomyślę o naszej sytuacji, robi mi się niedobrze. Jak ona może udawać, że wszystko jest w porządku?

Mikrofalówka pika, Tiffani odwraca się, żeby wyciągnąć miskę popcornu, i gorącą pospiesznie stawia na blacie. Patrzy na mnie spod firanki rżęs i oblewa się rumieńcem. Nie nadążam za całym tym przedstawieniem, ale przynajmniej staram się do niej uśmiechnąć. Nawet nakrywam dłonią jej rękę.

– Rachael! – woła nagle i patrzy gdzieś ponad moim ramieniem. Bierze miskę popcornu i szturchnięciem odsuwa mnie na bok. Ściskam palcami grzbiet nosa, zamykam oczy i biorę głęboki oddech. – Eden? – Słyszę jej zdziwiony głos.

Odwracam się, serce wali mi jak oszalałe... I rzeczywiście, w drzwiach obok Rachael stoi Eden. Widzę ją pierwszy raz od niedzieli.

– Nieprędko nas zauważyłaś! – stwierdza Rachael i wchodzi do domu.

– Przepraszam – rzuca Tiffani zmienionym głosem. Jej zachowanie też nagle się zmienia. Cała jest spięta i stojąc w miejscu, wpatruje się w Eden.

Ale Eden patrzy tylko na mnie. Jej orzechowe oczy sprawiają, że jeszcze bardziej ją kocham. Boże, jak ja za nią tęsknię. Co ona tu w ogóle robi? Jest zdenerwowana, widzę to w idealnych rysach jej twarzy. Czy zepsułem wszystko, co było między nami? Czy nadal jej na mnie zależy? Chcę do niej podbiec, przytulić ją i powiedzieć, że jest mi przykro. Że chcę być z nią. Że ją kocham.

– Tiff, możemy chwilę pogadać? – pyta Rachael, która już wchodzi po schodach.

– Jasne – rzuca Tiffani, ale widać, że traci rezon. Mruży oczy, odstawia miskę z powrotem na blat i, mijając Rachael, wchodzi na górę.

Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale czuję, że muszę porozmawiać z Eden. Podchodzę do niej, ale nie wiem nawet, co jej powiedzieć. Wyczuwam na sobie wzrok Deana, żołądek mam ściśnięty w ciasny supeł. Nagle Eden odwraca się i rusza na górę za Rahael i Tiffani, zdążam jednak złapać ją za łokieć i przyciągnąć do siebie. Nachylam się w jej stronę i syczę:

– Co ty tu robisz?

Wiem, że niewiele rzeczy jest w stanie ją przestraszyć, ale pokazanie się tu to z jej strony prawdziwy akt odwagi. Tiffani mogłaby zniszczyć jej życie, gdyby tylko chciała. Zamienić je w piekło. Nastawić wszystkich przeciwko niej.

– Mogłabym zapytać cię o to samo – warczy. Wrywa mi się i patrzy na mnie niewzruszona. Jest wściekła i rozczarowana. Ale przede wszystkim skrzywdzona.

Wiem, jak to wygląda. Ale nie wróciłem do Tiffani. Nie chcę z nią być. Jestem tu tylko dlatego, że nie mam wyboru, a także dlatego, że nie mogę jej porzucić, kiedy mnie potrzebuje. Nie mógłbym tego zrobić. W moim życiu niewiele jest rzeczy, które mnie obchodzą, ale jeśli mogę postąpić słusznie, robię to. Mój ojciec popełnił zbyt wiele błędów i nigdy nie starał się ich naprawić. Nie chcę być taki jak on.

Nie wiem nawet, co mam jej powiedzieć, przynajmniej nie teraz i nie tutaj. Dlatego odpuszczam. Wracam do pokoju, do Deana i Jake'a, podczas gdy Rahael woła Eden ze szczytu schodów. Kiedy chwilę później oglądam się przez ramię, Eden już nie ma. Siadam na kanapie i jęcząc, przeczesuję włosy palcami.

– Co jest? – pyta Dean, a ja się cieszę, że nie ja jeden nie mam pojęcia.

Po co Eden tu przyszła? Dlaczego poszła na górę z Tiffani i Rahael? O czym, do cholery, rozmawiają? Mam gonitwę myśli i czuję się jak paranoik. Czy jest coś, o czym nie wiem?

Wbijam wzrok w telewizor, ale kompletnie nie mogę się skupić. Serce wali mi jak szalone. Mam ochotę wbiec na górę i sprawdzić, co się tam dzieje, ale zmuszam się do pozostania na miejscu. Tłumaczę sobie, że za bardzo się nad tym zastanawiam i przez to robię się nerwowy, ale nie potrafię wyrzucić z głowy pytań, które się w niej kłębią. Jestem zbyt niespokojny i nie mogę wyluzować.

– Tyler. – Kilka minut później słyszę głos Eden. Wyciągam szyję, oglądam się przez ramię i widzę, jak zbiega po schodach. – Muszę z tobą porozmawiać. Teraz. W kuchni. – Głos ma taki rozgorączkowany, że od razu wiem, że coś się stało. Czy Tiffani coś jej powiedziała? O co chodzi?

Zrywam się z kanapy i idę za nią do kuchni. Eden staje w najdalszym kącie, byle dalej od Deana i Jake'a, a ja zatrzymuję się tuż przed nią. Brwi mam ściągnięte i spoglądam na jej spanikowaną twarz. Nic jej nie jest?

– Tiffani nie jest w ciąży – mruczy pod nosem i zaciska usta. – Udawała, żebyś do niej wrócił.

Nie bardzo rozumiem, o czym ona mówi. Cofam się o krok i patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Jak to?

– Właśnie nam powiedziała!

Mam wrażenie, że czas staje w miejscu. Tiffani... Okłamywała mnie przez cały czas? A zatem to wszystko bzdury? Jestem kompletnie osłupiały. Powinienem był wiedzieć, że Tiffani nigdy się nie zmieni. To pieprzona manipulantka. Ale jak mogła posunąć się do czegoś tak żalosego? Myślę o tamtej nocy. O jej łzach i bólu w jej oczach... Wszystko to była cholerna farsa. Jak mogła wymyślić coś tak okrutnego? Jak mogła mi to zrobić? Naprawdę aż tak bardzo zależy jej na tym, żeby ze mną być?

Czuję rękę Eden na ramieniu, ciepło jej skóry przenika do mojego wnętrza i nagle uczucie niepewności znika. Na schodach słychać kroki, a kiedy się odwracam, widzę ją, widzę Tiffani. Wygląda jak siedem nieszczęść. Łzy toczą się jej po policzkach, biegnie w moją stronę.

– Skarbie, proszę, przepraszam – szlocha, wyciągając do mnie ręce. Znosi się płaczem jeszcze bardziej niż w niedzielę rano. Czyli to prawda. Przeprasza mnie. A to znaczy, że mnie okłamała. – Bardzo, bardzo cię przepraszam!

Odsuwam się od niej i z niedowierzaniem kręcę głową. Jest żalonna.

– Jesteś psychopatką! – wrzeszczę i nagle w całym domu zapada cisza. Dean i Jake patrzą na nas z pokoju gościnnego, Rachael ze schodów.

– Nienawidzę cię! – krzyczy Tiffani, ale jej słowa nie są skierowane do mnie. Nie, ona mówi do Eden, jakby to wszystko była jej wina. Ale tak nie jest. Tiffani sama jest sobie winna. Jej oczy płoną nienawiścią i przysięgam, że przez chwilę sam się jej boję.

Uświadamiam sobie, że dla Tiffani to idealna okazja, żeby powiedzieć wszystkim o mnie i o Eden. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Nienawidzi Eden i wie, że po tym wszystkim nigdy, przenigdy do niej nie wrócę. Czemu niby miałyby nas chronić? Ma powód, żeby zdradzić naszą tajemnicę i tylko czekam, aż to zrobi. Czekam, aż wypowie te słowa i nasi przyjaciele pomyślą, że oszalałem.

Ale Tiffani milczy. Szlochając, kryje twarz w dłoniach i biegnie na górę. Po drodze odpycha Rachael z taką siłą, że ta się zatacza i wpada na ścianę.

*Suka.* Czuję, jak coś we mnie pęka i walę pięścią w blat. Zaciskam powieki i oddycham głęboko. *Dobrze*, mówię sobie. Tiffani nie jest w ciąży, a to znaczy, że nie muszę dłużej tu tkwić. W końcu się od niej uwolniłem. To już naprawdę koniec.

– Wychodzę – oświadczam i otwieram oczy. – Nie zostanę tu. To wariatka. – Uczucie, które mnie ogarnia, graniczy z ulgą. Eden stoi przy mnie i patrzy na mnie tymi ślicznymi oczami. Wydaje się przerażona, ale nie musi się bać. Teraz wszystko będzie dobrze. Uporządkuję swoje życie, tak jak planowałem, i skupię się wyłącznie na niej. *Będę z nią.*

Na górze Tiffani trzaska drzwiami, ale nie obchodzi mnie to. Nie żal mi jej. Przekona samą siebie, że to ona jest ofiarą, ale to nieprawda. Żadne z nas nie jest ofiarą. W tej chwili marzę tylko o tym, żeby wynieść się z tego przeklętego domu. Chwytam leżące na blacie kluczyki i idę do drzwi, zostawiając za sobą przyjaciół i czując na sobie ich wzrok. Jestem pewien, że Rachael powie Deanowi i Jake'owi, o co chodzi, bo ja nie mam na to sił. Otwieram drzwi, wychodzę na ulewny deszcz i oddycham chłodnym świeżym powietrzem.

*Jestem wolny. Do cholery, w końcu jestem wolny.*

Leje tak bardzo, że zanim dobiegam do zaparkowanego na podjeździe samochodu, jestem kompletnie przemoczony. Siadam za kółkiem, zamykam drzwi i wypuszczam wstrzymywany oddech. Siedzę w ciszy, przeczesuję dłonią mokre włosy i patrzę na krople deszczu spływające po przedniej szybie. Z gulą w gardle, mrużąc oczy, patrzę na drzwi domu Tiffani. Czekam, aż wyjdzie za mną Eden. Modlę się w duchu, żeby za mną wyszła.

Uruchamiam silnik i czekam na nią, gotowy odjechać w każdej chwili. Wyniesiemy się stąd razem i pojedziemy do domu. Porozmawiam z mamą, naprawię wszystko i od tej pory nie będę już robił żadnych głupot. Jestem gotowy. Jestem gotowy na zmiany.

W końcu drzwi domu otwierają się i wychodzi Eden z kapturem naciągniętym na głowę. Zaciąga mocniej sznurowadła i biegnie do samochodu. Jej conversy – tym razem inna para – rozchlapują kałuże, które utworzyły się na podjeździe. Zatrzymuje się przy moim oknie i puka w szybę.

Nie wiem, co ona wyprawia, ale opuszczam szybę i krzyczę:

– Wsiadaj!

Eden okrąża samochód i wślizguje się na siedzenie pasażera, wpuszczając do środka deszcz i wiatr. Pospiesznie zamyka drzwi i zdejmuje kaptur. Ma zaróżowione policzki, a jej twarz okalają mokre kosmyki włosów. Nie jest umalowana, ale nie potrzebuje makijażu. Jej orzechowe oczy są takie błyszczące, takie zniewalające.

– Gotowa? – pytam, zaciskając palce na kierownicy.

– Nie, Tyler – odpowiada ze spokojem. – Zaraz tam wracam.

Chwileczkę. Jak to? Nie jedzie ze mną? Wraca tam? Przez chwilę się zastanawiam, czy nie jest po prostu sarkastyczna, ale kiedy na nią patrzę, dociera do mnie, że Eden nie żartuje.

– To po cholerę wychodziłaś?

– Bo – mówi i wierzchem dłoni ociera z twarzy krople deszczu – najpierw muszę porozmawiać z tobą. Posłuchaj. – Twarz ma poważną, brwi ściągnięte. – Po pierwsze, proszę, nigdy nie wracaj do Tiffani.

Mam ochotę parsknąć śmiechem. Naprawdę myśli, że po tym wszystkim mógłbym do niej wrócić?

– Pieprzyć Tiffani – rzucam, wyglądając przez okno. Przewracam oczami i jeszcze mocniej zaciskam palce na kierownicy. – Jest nienormalna.

– Tyler – ciągnie Eden. Głos ma spokojny, schrypnięty. Patrzy na mnie z uwagą. – Proszę, wróć do domu i porozmawiaj ze swoją mamą. Jest teraz sama i wierz mi, z radością przyjmie cię z powrotem. Ma ci coś do powiedzenia, coś bardzo, bardzo ważnego.

Gdyby mama chciała mi coś powiedzieć, zadzwoniłaby do mnie. Nie dawała znaku życia, zakładałam więc, że wciąż mi nie wybaczyła.

– Nie jestem tam mile widziany – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Mówię poważnie – zapewnia mnie Eden. Odwraca się w moją stronę i nerwowo bawi się palcami. Wyraźnie coś ją niepokoi. Atmosfera w samochodzie robi się napięta, a ja nie wiem dlaczego. – Po prostu wysłuchaj, co ma ci do powiedzenia. Wróć do domu i zapytaj ją o Nowy Jork.

Zerkam na nią. Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Nowy Jork?

– Porozmawiaj ze swoją mamą, Tyler – prosi i kiwa głową na zachętę.

– Dobrze – zgadzam się w końcu. I tak miałem zamiar z nią porozmawiać. Bawię się końcówkami włosów, czując pod palcami wilgoć.

Eden milknie, a ja widzę, że spogląda na mnie jak nigdy dotąd. Mruży oczy i przygryza dolną wargę, choć to za mało, żeby powstrzymać jej drzenie. Coś jest nie tak. Nigdy dotąd nie patrzyła na mnie takim zbolałym wzrokiem.

– O co chodzi? – pytam.

– Chciałabym móc całować cię każdego dnia – mówi głosem cichym jak szept. Tym miękkim, schrypniętym głosem... niemal hipnotyzującym pośród stukotu deszczu.

– Możesz – odpowiadam. Prostuję się i odwracam się w jej stronę. Obejmuję wzorkiem całe jej ciało i krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach. Przełykam z trudem. Mógłbym ją teraz pocałować. Mógłbym całować ją jutro. I pojutrze. I przez całą wieczność. – Każdego dnia. Nie miałbym nic przeciwko temu.

– Ja też – mówi i oddycha głęboko. Nagle krzywi się i marszczy czoło. – Ale na tym polega problem, Tyler. Oboje nie mielibyśmy nic przeciwko – mruczy. – A co z innymi?

Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, o co jej chodzi. O czym ona mówi? Nie może teraz zacząć wątpić. Wszystko zaszło już za daleko. Wiem, że jesteśmy przybranym rodzeństwem, ale to tylko etykieta. Nie łączą nas więzy krwi. Wiem, to niecodzienna sytuacja, ale nie robimy przecież nic złego. Poradzimy sobie z tym. Czy ona... czy ona się boi? *Proszę, nie.*

– Możemy to wszystko jakoś obejść. Znaleźć rozwiązanie. Oni zrozumieją. Może nie od razu, ale w końcu się z tym pogodzą. – Panika sprawia, że głos zaczyna mi się łamać. Wygląda na to, że się rozmyśliła. Że zaczęła w nas wątpić. – Poważnie. Damy radę. Razem... Razem nam się uda.

– Tyler – mówi i urywa. Wstrzymuję oddech i czekam, co powie dalej, ale nagle łzy napływają jej do oczu i Eden mruga gwałtownie, żeby je powstrzymać. Patrzy na mnie zrozpaczonym wzrokiem. – Nie możemy być razem – szepcze.

Równie dobrze mogłaby mnie zastrzelić. Moje serce rozpada się na milion małych kawałków, które wbijają mi się w pierś. Dlaczego ona to robi? Myślałem, że w końcu, w końcu wszystko będzie dobrze. Kręcę głową z niedowierzaniem; staram się wypchnąć z głowy jej słowa i marzę o tym, żeby je cofnęła. Czy mam zamknięte i zmuszam się, żeby je otworzyć, choć pod powiekami czuję palące łzy.

– Powiedz, że to nieprawda – mówię, z trudem otwierając usta. Głos mam słaby.

Patrzę na Eden i widzę, że płacze. Łzy toczą się jej po policzkach i choć próbuje je ocierać, jest ich tyle i płyną tak szybko, że nie nadąża. Nie chce tego, wiem o tym, dlaczego więc to robi? Dlaczego chce ze wszystkiego zrezygnować?

– Po prostu nie możemy – chrypi i widzę w jej oczach, że toczy z sobą wewnętrzną walkę. Oddycham ciężko.

– Nie rób tego. Przysięgam na Boga. Proszę, Eden – rzucam błagalnie. W moim głosie pobrzmiwa desperacja. Nie mogę na nią spojrzeć, nie po tym, co mi powiedziała. Wyglądam przez szybę i nabieram powietrza. Patrzę na deszcz, który toczy się po szkle i chcę, żeby to wszystko się skończyło. Żeby deszcz ustał. Żeby Eden przestała. – Zaszliśmy tak daleko. Nie możesz się teraz poddać.

– Musimy.

– Powiedz, co mam zrobić, a zrobię to – mówię pospiesznie i odwracam się w jej stronę. Zaciskam jedną dłoń na kierownicy, a drugą dotykam kolana Eden. Zrobię wszystko, cokolwiek zechce. – Wszystko naprawię.

Eden patrzy ze smutkiem na moją rękę na swoim kolanie i powoli kręci głową. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy, dlatego szepcze tylko:

– Proszę, nie utrudniaj.

Nie może mi tego zrobić. W życiu nie przypuszczałem, że spotkam kogoś takiego jak ona. Kogoś, komu będzie zależało na mnie i na kim będzie zależało mi. Kogoś, przed kim będę mógł się otworzyć i komu będę mógł zaufać. Dla kogo będę chciał się zmienić. *Ja ją Kocham.*

– Chcę być z tobą – szepczę i z trudem przełykam ślinę. Biorę ją za rękę, splatam palce z jej palcami, jakbym już nigdy nie zamierzał jej puścić, i nachylam się w jej stronę. W końcu podnosi na mnie wzrok, ale widzę, jakie to dla niej trudne. – Nie rozumiesz? Nie chodzi o to, że pozwalasz mi zapomnieć – mówię. Tiffani pozwalała mi zapomnieć. Tak jak alkohol i narkotyki. Z Eden chodzi o coś więcej. Pojawiła się w moim życiu, kiedy najbardziej tego potrzebowałem, nawet jeśli wtedy nie miałem o tym pojęcia. Jest moją wybawczynią. – Taki właśnie jestem, Eden. Oto cały ja. Taki, jakim widzisz mnie teraz – wyrzucam z siebie. Ja też płaczę i nawet nie próbuję się powstrzymywać. – Sprawiasz, że jestem kompletnie rozbity, ale to nic, bo taki właśnie jestem. Rozbity. Uwielbiam to, że przy tobie mogę być sobą. Bo ci ufam. Jesteś jedyną osobą, której zależało na tyle, żeby próbować mnie rozgryźć.

– Nadal będzie mi na tobie zależało – zapewnia mnie przez łzy. – Ale jak przybranej siostrze.

– Eden – próbuję i ściskam ją za rękę. Nie musi tego robić. Jesteśmy w tym razem i razem wymyślimy, jak powiedzieć o tym naszym rodzicom. Zresztą, czy obchodzi nas, co myślą inni?

Mnie nie. – A ubiegły weekend? My... Czy to nic dla ciebie nie znaczyło? Czy całe to cholerne lato było dla ciebie niczym?

– Nie. Wiele się nauczyliśmy – mówi. Patrzy na nasze splecione palce i ściska mnie za rękę. Ona też nie chce mnie wypuścić.

– To nie w porządku! – krzyczę i walę wolną ręką w kierownicę. Nie pozwolę, żeby to się... skończyło. – Powiedziałem ci o sobie wszystko. Wyjawiłem ci prawdę. Zerwałem z Tiffani, która pewnie już się zastanawia, w jaki sposób zrujnować mi życie, ale mam to gdzieś, bo myślałem, że będzie warto. Wierzyłem w to, bo myślałem o tobie. Byłaś najważniejsza. Wiesz, o czym myślałem, wychodząc z tego domu? Że w końcu będę mógł być z Eden. – Ale tak się nie stanie i ta świadomość sprawia mi cholerny ból. W końcu cofam rękę i ocieram oczy. Beznamiętnym wzrokiem wyglądam przez zalaną deszczem szybę. – A ty wychodzisz i mówisz, że wcale tego nie chcesz.

– Myślisz, że łatwo mi to mówić? – naskakuje na mnie, wściekła. – Wcale nie jest mi łatwo i robię to wyłącznie dla naszego dobra. Nie chcę patrzeć, jak cierpisz, jeśli coś pójdzie nie tak. Co zrobisz, jeśli nasi rodzice dowiedzą się o wszystkim i nas znienawidzą? To nie jest właściwy czas. Nie udźwigniemy tego ciężaru. Musisz uporządkować swoje życie i wyjechać do Nowego Jorku. Nie potrzeba ci kolejnych problemów.

– O co, do diabła, chodzi z tym Nowym Jorkiem? – pytam, podnosząc głos. Oboje mamy łzy w oczach, ale jesteśmy tak wściekli, że złość bierze w nas górę nad smutkiem. Nie złość na siebie nawzajem, ale na sytuację. – Czemu nie możesz mi powiedzieć?

– Bo chce to zrobić twoja mama – tłumaczy Eden, zniżając głos. Milknie, kilka razy pociąga nosem i ociera z twarzy łzy. Mijają sekundy. Siedzimy w ciszy i słyszę tylko deszcz tłukący o dach samochodu oraz własny płytki oddech. W końcu Eden mówi:

– Cokolwiek jest między nami, od tej pory musimy to ignorować. Trzeba to zakończyć, zanim zabrnijemy za daleko.

A zatem podjęła już decyzję i nie ma takiej siły, która skłoniłaby ją do zmiany zdania. Tego właśnie chce. Muszę to uszanować i chociaż pęka mi serce, przynajmniej wiem, że nie robi tego, bo przestało jej na mnie zależeć. Robi to, bo jesteśmy przybranym rodzeństwem i gdybyśmy stali się dla siebie kimś więcej, sprawy tylko by się skomplikowały. Robiłem, co mogłem, ale to za mało, żeby ją przekonać. Nie mam wyboru, muszę odpuścić.

– Jeśli tego właśnie chcesz... – mówię powoli. Oczy mam zamknięte, w gardle rośnie mi gęsia skórka. – Jeśli naprawdę chcesz, żebyśmy zaczęli to ignorować... chyba nie mam wyjścia.

Otwieram oczy i jeszcze raz patrzę na siedzącą naprzeciw mnie Eden. Nie przestaję jej podziwiać. Jak mam zapomnieć o tym wszystkim, co wydarzyło się tego lata? Jak mam udawać, że nic nas nie łączy? Muszę... muszę pozwolić jej odejść, ale nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie to zrobić. Zatrzymuję wzrok na tych pełnych wargach, które, gdy zobaczyłem je pierwszy raz, sprawiły, że kolana się pode mną ugięły. Odruchowo nachylam się w jej stronę. Tak bardzo pragnę ją pocałować, ten jeden, ostatni raz.

Nagle Eden się odwraca, przechodzi nad drążkiem zmiany biegów i siada mi na kolanach. Jej ciepłe ręce obejmują mnie za szyję. Patrzę jej w oczy aż do chwili, gdy jej wargi delikatnie muskają moje.

Jeśli to ma być nasz ostatni pocałunek, zrobię wszystko, żeby trwał jak najdłużej. Obejmuję ją w tali i przyciągam do siebie. Całuję ją powoli. Boję się, że coś mi umknie. Uwielbiam dotyk jej ust i zamierzam całować ją tak długo, aż to uczucie na dobre zapadnie mi w pamięć. Chyba oboje nie chcemy, żeby to się skończyło. Ujmuje w dłoń moją twarz i delikatnie wodzi kciukami po szczęce. Odwzajemnia moje pocałunki z taką delikatnością, jak gdyby były czymś kruchym i niemal świętym. Wszystko dlatego, że tak właśnie jest.

Ale nie mogę trzymać jej przy sobie przez całą wieczność. Dlatego w końcu odsuwam się od niej, z moich ust dobywa się ciche westchnienie. Oczy wciąż mam zamknięte, a dłonie Eden nadal dotykają mojej twarzy. Czuję, że znowu nachyla się w moją stronę, jej delikatny policzek ociera się o mój. Tak cudownie jest trzymać ją w ramionach i przez długą chwilę tkwimy tak, spleceni ze sobą.

– Przybrane rodzeństwo – szepcze Eden. Jej ciepły oddech muska moją szyję. – Nic więcej.

– Nic więcej – mruczę. Pochylam głowę, podczas gdy ona wraca na fotel pasażera. Już mam ochotę ją pocałować, poczuć pod palcami jej ciepłą skórę, powiedzieć jej, że ją kocham. Ale nie mogę znaleźć słów. Jestem zdruzgotany i wiem, że żadne słowa nic tu nie zmienią.

Nie mogę patrzeć, jak wychodzi. Opieram ręce na kierownicy, odwracam twarz do okna i patrzę na deszcz. Jeszcze bardziej przybrał na sile. Eden otwiera drzwi, a ja słyszę krople dudniące o ziemię. Kilka sekund później drzwi się zamykają, a kiedy oglądam się przez ramię, jej już nie ma.

Z bólem serca patrzę, jak biegnie przez trawnik w stronę domu, jednak zaraz odwracam wzrok. Nie mogę patrzeć, jak tak po prostu odchodzi. Zapinam pas i wycofuję spod domu Tiffani. Mam ochotę ruszyć z piskiem opon, ale nie mogę, przez deszcz. Odjeżdżam powoli, pochylony nad kierownicą, którą ściskam tak bardzo, że bieleją mi kłykcie.

Zerkam w lusterko wsteczne, chociaż wiem, że nie powinienem. Nadal widzę Eden. Stoi na trawniku i patrzy, jak odjeżdżam, a jej sylwetka rozmywa się w strugach deszczu. Kurczy się i kurczy, aż wreszcie na dobre tracę ją z oczu. I w tym momencie pękam.

Droga przede mną jest rozmazana, ale nie z powodu deszczu. Broda mi drży, jedną ręką nerwowo szarpię włosy, łapię płytki oddech. Całe moje życie legło w gruzach. Myślałem, że wcześniej byłem rozbity, ale teraz wiem, że nigdy się nie pozbieram. Czuję się taki zagubiony, taki samotny. Potrzebuję teraz tylko jednej osoby; jedynej, do której zawsze mogę się zwrócić i na którą zawsze mogę liczyć. Mojej mamy.

Wracam do domu pierwszy raz od tygodnia, walcząc z ulewnym deszczem i łzami. Świat mi się zawalił, a teraz straciłem dziewczynę, która się o mnie troszczyła. Dziewczynę, która mnie słuchała. Dziewczynę, dzięki której uwierzyłem, że może wszystko będzie dobrze. Dla której byłem gotowy się zmienić. Odeszła, a z jej odejściem wszystko straciło sens. W końcu zrobiłem postępy, podjąłem decyzję, żeby zmienić coś w swoim życiu, a teraz mam wrażenie, że wróciłem do punktu wyjścia. Brak mi celu i motywacji.

Range rover mamy stoi na podjeździe. Parkuję za nim, otwieram drzwi i wychodzę na deszcz. Mrużąc oczy, patrzę na dom. Moja pierś unosi się i opada przy każdym oddechu. Strugi wody spływają mi po twarzy, moczają włosy i ubrania. Tak bardzo potrzebuję mamy.

Biegnę przez trawnik, ale mama musiała zauważyć, że wróciłem, bo czeka na mnie w otwartych drzwiach. Łzy odbierają mi ostrość widzenia, ale sylwetka mamy wciąż emanuje ciepłem i miłością. Jest dla mnie wszystkim. Widziała, jak rujnę sobie życie, ale zawsze była przy mnie. Dziś jak nigdy dotąd potrzebuję jej zapewnień, że wszystko się ułoży. Bo nic na to nie wskazuje.

– Tyler – szepcze, a ja wpadam w jej otwarte ramiona i wpuszczam do domu deszcz.

– Mamo – szlocham jej w ramię i tulę się do niej tak mocno, jak tylko się da. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie mogę otworzyć oczu, tak mocno płacę. Drżę w jej objęciach, coś ściska mnie w piersi, serce wali mi jak szalone. – Przepraszam. Tak bardzo przepraszam – szepczę, a ona przytula mnie jeszcze mocniej.

Jest mi przykro, że ją zawiodłem. Że popełniłem tak wiele błędów. Że nie mogę być z Eden. Przepraszam za wszystko.

To właśnie w tej chwili, stojąc na progu domu w objęciach mamy, składam obietnicę.  
Sobie. Moim przyjaciołom. Braciom. Mamie. I Eden.  
Obiecuję, że się poprawię.



## Podziękowania

Dziękuję wszystkim moim niesamowitym czytelniczkom za to, że tak dzielnie kibicowały Tylerowi i Eden i tak długo śledziły ich historię. Wasze wsparcie wiele dla mnie znaczy.

Dziękuję drużynie z Black & White Publishing za to, że to najlepsi wydawcy na świecie. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszych współpracowników i jestem Wam wszystkim bardzo wdzięczna. Dziękuję, że tak bardzo wspieraliście mój pomysł, by opowiedzieć tę historię z perspektywy Tylera.

Dziękuję Emmie Ferrier, mojej wieloletniej współpracownicy, za to, że zawsze słucha moich pomysłów, bez względu na to, jak bardzo się nad nimi rozwodzę. Pragnę również podziękować Rachael Lamb, Olivii Matthews, Milly Shimmin i Jess Cook za ich nieustające wsparcie.

Dziękuję również rodzicom za to, że mnie wspierają i są przy mnie, kiedy spełnia się moje marzenie. Bardzo Was oboje kocham.

## **Wiem, że nie mogę powiedzieć nikomu. Nigdy**

Tyler w dzieciństwie był ofiarą domowej przemocy fizycznej. Dodatkowych cierpień przysparza mu fakt, że wszystko zachowuje w tajemnicy. Również jako nastolatek niechętnie rozmawia o tym, jak poczynania ojca odbiły się na jego zdrowiu psychicznym.

Chcemy, aby Czytelnicy *Nawet o tym nie wspominaj* wiedzieli, że zawsze mogą liczyć na darmową pomoc i wsparcie. Podobnie jak Tylerowi, Wam również może być trudno. Prosimy jednak, abyście się nie bali poprosić o pomoc, jeśli zmagacie się z problemami takimi jak poruszane w tej książce.

Poniższe telefony zaufania oferują darmowe porady, pomoc i wsparcie, a ich pracownicy wysłuchają Was, gwarantując Wam pełną anonimowość.

**116 111** – bezpłatny, anonimowy telefon zaufania dla dzieci i młodzieży Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Więcej informacji znajdziesz na ich stronie internetowej [www.116111.pl](http://www.116111.pl)  
**0 801 120 002** – Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia”

